

ANDRZEJ SAPKOWSKI PRZEDSTAWIA

JACQUELINE CAREY

WYBRANKA
KUSZIELA



CAREY JACQUELINE

Kusziel II Wybranka Kusziela

(Kusziel's Chosen)

JACQUELINE CAREY

PODZIĘKOWANIA

Wszystkim moim przyjaciołom, znajomym i krewnym, bliskim i dalekim – za zrozumienie dla mojej walki, za wybaczenie braku czasu, za miejsce i czekanie, za dzielenie radości (i joi), za pytanie, za słuchanie, za notatek pisanie i wysyłanie, za wieczory na werandzie, za picie szampana i wznoszone toasty, za czytanie, za rozpościeranie skrzydeł opowieści, za szerzenie wieści: Dziękuję. Po tysiąckroć, dziękuję.

DRAMATIS PERSONAE

DOMOWNICY FEDRY

Anafiel Delaunay de Montreve – mentor Fedry (nieżyjący)

Alcuin nó Delaunay de Montreve – uczeń Delaunaya (nieżyjący)

Fedra nó Delaunay de Montreve hrabina de Montreve, anguisette

Benoit, Gemma – służący

Fortun, Remy, Ti-Filip – kawalerowie, zwani Chłopcami Fedry

Eugenia- kuchmistrzynie

Joscelin Verreuil – brat kasjelita (Siovale)

Purnell Friote – zarządca Montreve

Richelina Friote – żona Purnella

CZŁONKOWIE RODZINY KRÓLEWSKIEJ: TERRE D'ANGE

Ysandra de la Courcel – królowa Terre d'Ange, małżonka Drustana mab Necthana

Ganelon de la Courcel – były król Terre d'Ange, dziadek Ysandry (nieżyjący)

Izabela L'Envers de la Courcel – matka Ysandry (nieżyjąca)

Roland de la Courcel – ojciec Ysandry (nieżyjący)

Barquiel L'Envers – brat Izabeli, diuk L'Envers (Namarra)

Baudoin de Trevalion – syn Lyonetty i Marka, książę krwi (nieżyjący)

Bernadetta de Trevalion – córka Lyonetty i Marka, żona Ghislaina de Somerville

Lyonetta de Trevalion – cioteczna babka Ysandry, zwana Lwicą z Azalii (nieżyjąca)

Mark de Trevalion – mąż Lyonetty, były diuk de Trevalion (Azalia)

Nicola L'Envers y Aragon – kuzynka Ysandry

CZŁONKOWIE RODZINY KRÓLEWSKIEJ: LA SERENISSIMA

Benedykt de la Courcel – stryjeczny dziadek Ysandry, książę krwi

Maria Stregazza de la Courcel – żona Benedykta (nieżyjąca)

Etaine de Tburais – druga żona Benedykta de la Courcel

Imriel de la Courcel – syn Benedykta i jego drugiej żony

Maria Celestyna de la Courcel Stregazza – córka Benedykta i Marii, księżniczka krwi, żona Marka Stregazza

Severio Stregazza – syn Marii Celestyny i Marka, książę krwi

Teresa de la Courcel Stregazza – córka Benedykta i Marii, księżniczka krwi, żona Dominika Stregazza (nieżyjąca)

ARYSTOKRACJA D'ANGELIŃSKA

Izydor d'Aiglemort – syn Maslina, diuk d'Aiglemort (Kamlach) (nieżyjący)

Solaine Belfours – markiza, sekretarz Tajnej Pieczęci

Cecylia Laveau-Perrin – żona kawalera Perrina (nieżyjącego), adeptka Domu Cereusa, nauczycielka Fedry i Alcuina

Roxanna de Mereliot – Pani Marsilikos (Eisanda)

Quincel de Morhban – diuk de Morhban (Kuszet)

Lord Rinforte – prefekt Bractwa Kasjelitów

Edmee de Rocaille – narzeczona Rolanda (nieżyjąca)

Faragon Szachrizaj – diuk de Szachrizaj (Kuszet)

Melisanda Szachrizaj – dama z Kuszetu (Tabor, Sacriphant, Persja, Marmion, Fanchone – członkowie rodu Szachrizaj, krewni Melisandy)

Ghislain de Somerville – syn Percyego, mąż Bernadetty de Trevalion

Percy de Somerville – hrabia de Somerville (LAgance), książę krwi, dowódca wojsk królewskich

Tibault de Toluard - markiz de Toluard (Siovale)

Caspar Trevalion – hrabia de Forcay (Azalia), kuzyn Marka

Apollonary i Dianna – markiz i markiza, współwłaściciele majątku de Fhirze

Vivienna Neldor, Maria de Flairs – damy dworu Ysandry

Lord Amaury Trente – kapitan gwardii królewskiej

Lady Denise Grosmaine – sekretarz królewski

DWÓR NOCY

Moiretha Lereux - duejna Domu Dzikiej Róży

Favriela nó Dzika Róża - szwaczka

Rafael Murain nó Gencjana - adept Domu Gencjany

TRZY SIOSTRY

**Pan Cieśniny - władca morza rozdzielającego Albę i Terre d'Ange *Hiacynt* – uczeń
Pana Cieśniny, przyjaciel Fedry, Cygan**

ALBA IEIRE

***Drustan mab Necthana* - cruarcha Alby, małżonek Ysandry de la Courcel**

***Eamonn mac Conor* - władca Dalriady (nieżyjący)**

***Grainna mac Conor* - siostra Eamonna, władczyni Dalriady**

***Necthana* - matka Drustana**

Breidaja, Moireada* (nieżyjąca), *Sibeal* – córki *Necthana

LA SERENISSIMA

***Cesare Stregazza* - doża La Serenissimy**

***Marco Stregazza* - starszy syn doży**

***Ricciardo Stregazza* - młodszy syn doży**

***Allegra Stregazza* - żona Ricciarda**

***Benito Dandi* - szlachcic, członek Immortali**

***Orso Latrigan* - szlachcic, kandydat na urząd doży**

***Lorenzo Pescara* - szlachcic, kandydat na urząd doży**

***Bianka* - kapłanka, wyrocznia Aszery**

***Vesperia* - kapłanka, uczennica Bianki**

***Giulia Latrigan* - szlachcianka**

***Magister Acco* - astrolog**

***Serena Pidari* - żona Manuela Buonarda**

***Felicita d'Arbos* - była dama dworu Marii Stregazza**

Naczelnik więzienia La Dolorosa

Constantin, Fabron, Malvio, Tito - dozorczy

ILIRIA

Wasilij Kolcei - ban Ilirii, zwany Zim Sokali Zabela Kolcei - żona bana Pjetri Kolcei - średni syn bana Czibor - dowódca straży bana

Kazan Atrabiades - kapitan piratów (Epafras, Gavril, Lukin, Oltuch, Spiridon, Stajeo, Tormos, Kolos, Uszak – ludzie Kazana) Daroslav - brat Kazana (nieżyjący) Glaukos - człowiek Kazana, były niewolnik tyberyjski Zilje - żona Glaukosa Marjopi - gospodyni Kazana Njesa Atrabiades - matka Kazana Janari Rossatos - ambasador w La Serenissimie

KRITI

Ojneus Asterius - hierofant Temenos Pazifae Asterius - kore Temenos Demetrios asterus -.archont Fajstos Tymantes - szlachcic, kochanek acheronta Altaja - szlachcianka, siostra Tymantesa

INNI

Maestro Gonzago de Escabares - historyk aragoński, dawny nauczyciel Delaunaya

Thelesis de Mornay – nadworna poetka Kwintylius?, Rouse - admirał floty królewskiej Emil - dawny kompan Hiacynta Jacques Brenin - faktor Fedry Nahum ben Izaak - rabbi Hanna - Jeszuitka

Michelina de Parnasse – królewska archiwistka

Tarren d'Eltoine – dowódca Niewybaczonych, Południowy Fort (Kamlach)

(Octave, Vernay, Svariel, Fisz, Giles – żołnierze z oddziału Niewybaczonych) Manuel Buonard – wartownik z Troyes-le-Mont

Louis Namot – kapitan statku „Dariela”

Brys nó Rinforte, Dawid nó Rinforte – bracia kasjelići

Gregorio Liwiniusz – pan Pavento

Diuk i duchessa Milazzy

Gilles Lamiz – początkujący poeta

Mika ben Ksylen, Sara, Teppo – Jeszuci, sprzymierzeńcy Joscelina

Cewianus – pomocnik w świątyni Aszery

JEDEN

Nikt nie powie, że nie zaznałam w życiu trudów, choć trwały one krótko, zważywszy na ogrom moich dokonań w tym czasie. Sądzę, że mogę to powiedzieć bez cienia chępliwości. Obecnie noszę tytuł hrabiny de Montreve i moje nazwisko zalicza się do najświetniejszych w Terre d'Ange, nie zapomniałam jednak, że wydarto mi wszystko, co miałam; po raz pierwszy w wieku zaledwie czterech lat, kiedy rodzona matka sprzedała mnie do terminu w Dworze Kwiatów Kwitnących Nocą, i drugi raz, kiedy mój pan i mistrz Anafiel Delaunay został zabity, a Melisanda Szachrizaj oddała mnie w ręce Skaldów.

Przemierzyłam pustkowie Skaldii w środku srogiej zimy i stawiałam czoło gniewowi Pana Cieśniny na wzburzonym morzu. Byłam zabawką barbarzyńskiego wodza i straciłam najdroższego przyjaciela, który miał spędzić wieczność w samotności. Widziałam okrucieństwa wojny i śmierć towarzyszy. Poszłam, sama i w nocy, do wielkiego obozu wroga ze świadomością, że czekają mnie tortury i pewna śmierć.

Żadne z tych doświadczeń nie było takie trudne, jak oznajmienie Joscelinowi, że wracam do służby Naamie.

Zdecydował za mnie płaszcz sangoire, symbol mojego powołania oraz wyzwania rzuconego mi przez Melisandę; płaszcz, który oznajmiał, że jestem anguisette, Wybranką Kusziela, w sposób tak oczywisty jak szkarłatna plamka od urodzenia widniejąca w tęczęwce mojego lewego oka. Płatek róży pływający po ciemnej wodzie, powiedział kiedyś jeden z moich wielbicieli. Barwa sangoire jest głębsza, to czerwień granicząca z czernią, czerwień rozlanej krwi w blasku gwiazd. Jest odpowiednim kolorem dla kogoś takiego jak ja, skazanego na znajdowanie rozkoszy w cierpieniu. Co więcej, płaszcz sangoire nie wolno nosić nikomu, kto nie jest anguisette. D'Angelinowie uwielbiają takie poetyckie niuanse.

Jestem Fedra nó Delaunay de Montreve, jedyna w swoim rodzaju. Strzała Kusziela uderza nieczęsto, ale trafia celnie.

Kiedy maestro Gonzago de Escabares przywiózł z La Serenissimy płaszcz, a wraz z nim opowieść, w jaki sposób wszedł w jego posiadanie, podjęłam decyzję. Tamtej nocy zrozumiałam. Tamtej nocy moja droga wydawała się jasna i prosta. W sercu Terre d'Ange jest zdrajca, który stoi wystarczająco blisko tronu, aby móc go dotknąć – tyle wiedziałam. Postępek Melisandy uświadomił mi, że mogę zdemaskować zdrajcę, że powinnam wziąć udział w grze. Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. W Dworze Nocy i w domu Delaunaya zostałam wyszkolona na niezrównaną kurtyzanę i równie dobrego szpiega. Melisanda wiedziała o tym – Melisanda, która zawsze pragnęła widowni albo przynajmniej godnego siebie przeciwnika. To było oczywiste, przynajmniej tak uważałam.

W świetle dnia, przeszyta spojrzeniem niebieskich oczu Joscelina, uświadomiłam sobie, że moja decyzja doprowadzi go do rozpacz. Z tego powodu ociągałam się i grałam na zwłokę, bo

choć byłam pewna swoich racji, pękało mi serce. Maestro Gonzago bawił u nas jeszcze przez kilka dni, a ja starałam się ze wszystkich sił, żeby był zadowolony z gościny. Nie wątpię, że domyślał się mojej udręki, widziałam to w jego miłej, pospolitej twarzy. Wreszcie, nie próbując mnie wypytywać, wyruszył wraz ze swoim uczniem Camilem z powrotem do Aragonii.

Zostałam sama z Joscelinem i swoją decyzją.

Byliśmy szczęśliwi, oboje, a zwłaszcza on, wychowany w górach Siovale. Wiedziałam, jaką cenę płaci za związanie swego życia z moim wbrew kasjelickiej przysiędze posłuszeństwa. Niech dworacy się śmieją, jeśli taka ich wola, ale Joscelin poważnie traktował przyrzeczenia, a życie w celibacie nie było wśród nich najmniej ważne. D'Angelinowie przestrzegają przykazania Błogosławionego Elui, zrodzonego z krwi Jezui ben Josefa, zmieszanej w łonie Ziemi z łzami Magdaleny, który powiedział: Kochaj jak wola twoja. Kasjel jako jedyny pośród Towarzyszy nie podporządkował się temu nakazowi. Kasjel przyjął na siebie wieczne potępienie, byle tylko móc żyć w czystości i trwać przy Elui jako Towarzysz Doskonały, przypominając Bogu Jedynemu o uświęconym obowiązku, o którym nawet On zapomniał.

Joscelin złamał dla mnie wiele przysiąg. Pobyt w Montreve wielce się przyczynił do zagojenia tych duchowych ran. Mój powrót do służby Naamie, która chętnie kroczyła u boku Elui i przez wzgląd na niego kładła się z królami i wieśniakami, miał otworzyć rany na nowo.

Powiedziałam mu.

I patrzyłam, jak białe linie, świadczące o napięciu i tak długo nieobecne, żłobią jego piękną twarz. Wyłuszczyłam mu swoje racje, punkt po punkcie, jak zrobiłby to Delaunay. Joscelin znał moje dzieje niemal równie dobrze jak ja sama. Został wyznaczony na mego towarzysza, kiedy moja marka wciąż należała do Delaunaya, i wiedział o roli, jaką odgrywałam w jego służbie. Był ze mną, kiedy Delaunay zginął z rąk siepaczy, a Melisanda Szachrizaj zdradziła nas oboje – i potem w tę straszną noc w Troyes-le-Mont, kiedy uciekła przed sprawiedliwością.

–Jesteś pewna? – Tylko tyle powiedział, kiedy skończyłam.

–Tak – szepnęłam, zaciskając w dłoniach fałdy płaszcza sangoire. – Joscelinie...

–Muszę pomyśleć. – Odszedł z miną człowieka mi obcego. Patrzyłam za nim z bólem w sercu i świadomością, że nie mogę dodać nic więcej. Joscelin od samego początku

wiedział, kim jestem. Tylko że nigdy nie spodziewał się, że mnie pokocha, ani że ja pokocham jego.

W ogrodzie, który z wielką troską pielęgnowała Richelina Friote, żona mojego rządcy, stał ołtarzyk z niewielkim posążkiem Elui. Wokół w wielkiej obfitości rosły kwiaty i zioła, a Elua uśmiechał się dobrotliwie, patrząc na nasze dary – płatki rozrzucone u jego marmurowych stóp. Dobrze znałam ten ogród, spędziłam bowiem wiele godzin na ławce, zastanawiając się nad wyborem drogi. Tam poszedł medytować Joscelin i teraz klęczał przed Eluą w kasjelickim stylu, z opuszczoną głową i skrzyżowanymi rękami.

Przebywał tam dość długo.

Pod wieczór zaczął siąpić deszcz, a Joscelin wciąż klęczał – milcząca postać w szarym zmierzchu. Jesienne kwiaty zwiesiły ciężkie od wody główki, bazylia i rozmaryn nasyciły aromatem wilgotne powietrze, a on klęczał. Strumyczki deszczu spływały po jego złotym jak pszenica warkoczu, spoczywającym nieruchomo na plecach. Zapadła noc, a on klęczał.

–Lady Fedro. – Drgnęłam, słysząc zatroskany głos Richeliny. Nie słyszałam, jak weszła, co w moim przypadku było nie do pomyślenia. – Jak myślisz, pani, jak długo on tam będzie?

Odwróciłam się od okna, które wychodziło na ogród.

–Nie wiem. Podaj kolację, nie czekając na niego. To może potrwać. – Joscelin kiedyś czuwał przez długą skaldyjską noc, klęcząc na śniegu, posłuszny jakiemuś niejasnemu dla mnie aspektowi kasjelickiego honoru. Tym razem został zraniony głębiej. Popatrzyłam w szczerą, przejętą twarz Richeliny. – Powiedziałam mu, że zamierzam wrócić do Miasta Elui, aby służyć Naamie.

Richelina odetchnęła głęboko, ale jej mina nie uległa zmianie.

–Zastanawiałam się, czy to zrobisz, pani. – W jej głosie brzmiała nuta współczucia. – To będzie dla niego trudne.

–Wiem, Richelino – odparłam z pewnością większą od tej, jaką czułam. – Mnie ta decyzja też nie przyszła łatwo.

–Tak, pani. – Pokiwała głową. – Wiem.

Jej zrozumienie podniosło mnie na duchu bardziej, niż mogłam przypuszczać. Spojrzałam przez okno na niewyraźną, klęczącą postać Joscelina i łyż zapiekły mnie w oczy.

–Purnell nadal będzie zarządcą, oczywiście, a ty razem z nim. Montreve potrzebuje twojej ręki, tutejszy lud wam ufa. W przeciwnym wypadku nie zostawiłabym posiadłości.

–Tak, pani. – Z trudem znosiłam jej życzliwe spojrzenie, bo w tej chwili nie za bardzo siebie lubiłam. Richelina przyłożyła zaciśniętą rękę do serca w starożytnym geście poddaństwa. – Zaopiekujemy się Montreve dla ciebie, Purnell i ja. Możesz być tego pewna.

–Dziękuję. – Z trudem przełknęłam ślinę, walcząc z dławiącym mnie smutkiem. – Wezwiesz chłopców na kolację, Richelino? Trzeba im powiedzieć, że będę potrzebowała ich pomocy. Skoro mam to zrobić przed zimą, musimy zacząć przygotowania. – Naturalnie.

„Chłopcy”, czyli Remy, Fortun i Ti-Filip, byli moimi kawalerami z oddziału zwanego Chłopcami Fedry. Ci trzech waleczni marynarze admirała Kwintyliusza Rouse po wyprawie do Alby i bitwie pod Troyes-le-Mont zgłosili chęć do przejścia na służbę u mnie. Sądzę, że królowa spełniła ich prośbę nie bez sporego rozbawienia.

Poinformowałam ich przy kolacji, podanej na białym obrusie w salonie oświetlonym licznymi świecami. Z początku panowała cisza, potem Remy wrzasnął z radości i zwrócił na mnie roziskrzzone zielone oczy.

–Do Miasta, pani? Słowo?

–Słowo – zapewniłam. Ti-Filip, niewysoki blondyn, radośnie wyszczerzył zęby, podczas gdy ciemnowłosy Fortun popatrzył na mnie z zadumą. – Dwóch z was powinno wyruszyć wcześniej, żeby poczynić przygotowania. Muszę mieć przyzwoity dom, dość blisko pałacu. Dam wam listy polecające do mojego faktora w Mieście.

Remy i Ti-Filip zaczęli sprzeczać się o udział w przygodzie. Fortun patrzył na mnie niewesoło.

–Wybierasz się na łowy, pani?

Przesuwałam po talerzu gruszkę zapiekaną w tartym serze, żeby ukryć brak apatyty.

–Co o tym wiesz, Fortunie?

Patrzył na mnie niewzruszenie.

–Byłem w Troyes-le-Mont. Wiem, że ktoś spiskował, by uwolnić lady Mdisande Szachrizaj. I wiem, że jesteś anguisette wyszkoloną przez Anafiela Delaunaya, którego poza granicami Montreve niektórzy nazywają Kurwimistrzem Szpiegów.

–Tak – szepnęłam i przebiegło mnie drżenie, zniewalające i niezaprzeczalne. Uniosłam głowę, czując ciężar włosów ujętych w aksamitną siatkę, i wypłam miarkę wybornej brandy z sadów L'Agnace. – Czas, żeby Strzała Kusziela uderzyła na nowo, Fortunie.

–Kasjelita nie będzie zachwycony, pani – ostrzegł mnie Remy, przerywając sprzeczkę z Ti-Filipem. – Siódmą godzinę klęczy w ogrodzie. Teraz chyba wiem dlaczego.

–Joscelin Verreuil to moja sprawa. – Odsunęłam talerz i przestałam udawać, że jem. – Potrzebuję waszej pomocy, kawalerowie. Kto pojedzie do Miasta i znajdzie mi dom?

W końcu postanowiono, że Remy i Ti-Filip pojedą pierwsi, aby zapewnić nam lokum i uprzedzić znajomych o moim powrocie. Nie byłam pewna, jak Ysandra przyjmie wiadomość. Nie powiadomiłam jej o darze Melisandy ani o moich obawach dotyczących ucieczki. Nie wątpiłam, że mogę liczyć na wsparcie królowej, ale potomkowie Elui i jego Towarzyszy potrafią być kapryśni, dlatego uznałam, że na razie lepiej działać w tajemnicy. Niech zainteresowani myślą, że uciekłam ze wsi, bo kłuje mnie Strzała Kusziela. Im mniej będą wiedzieli, tym więcej ja zdołam się dowiedzieć.

Tego nauczył mnie Delaunay i była to dobra rada. Nie wszyscy są godni zaufania.

Trzem kawalerom ufałam, bo w przeciwnym wypadku nie wyznałabym im swoich zamierzeń. Delaunay próbował mnie ochronić – mnie i Alcuina, który zapłacił za to najwyższą cenę – każąc nam żyć w niewiedzy. Nie chciałam powtórzyć błędu swego pana, ponieważ dziś uważam, że popełnił błąd.

Ale był tylko jeden człowiek, któremu ufałam całym sercem i duszą, i człowiek ten klęczał w zalanym deszczem ogrodzie Montreve. Nie spałam długo w nocy, czytając jezuicki traktat przywieziony przez Gonzago de Escabaresa. Nie przestałam marzyć, że pewnego dnia uwolnię Hiacynta z terminu u Pana Cieśniny. Hiacynt, mój najdawniejszy przyjaciel, towarzysz z dzieciństwa, przyjął los przeznaczony dla mnie: miał żyć wiecznie na samotnej wyspie, chyba że

wymyślę, jak złamać wiążące go geis. Czytałam, aż zaszklily mi się oczy, a myśli zaczęły błędzić. W końcu zapadłam w drzemkę przed ogniem w kominku, podsycanym o równej godzinie przez dwóch poszeptujących chłopców służebnych.

Zbudziłam się, czując czyjąś obecność. Otworzyłam oczy.

Joscelin stał przede mną, a z jego ubrania ściekała na dywan woda. Skrzyżował ręce i uklonił się.

–W imię Kasjela – rzekł głosem lekko ochryplym po wielu godzinach milczenia –

chronię i służę.

Znaliśmy się zbyt dobrze, żeby udawać.

–Coś jeszcze?

–Nic więcej – odparł niewzruszenie – i nic mniej.

Siedziałam na krześle, spoglądając w jego piękną twarz, w błękitne oczy zmęczone po długim czuwaniu.

–Czy nie możemy dojść do porozumienia, Joscelinie?

–Nie. – Z powagą pokręcił głową. – Fedro... Elua świadkiem, że cię kocham, ale jestem zaprzysiężony Kasjelowi. Nie mogę robić dwóch rzeczy naraz, nawet dla ciebie. Dotrzymam przysięgi, będę chronić i służyć. Do śmierci, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nie powinnaś żądać więcej. A jednak to robisz.

–Jestem wybranką Kusziela i zaprzysiężona Naamie – szepnęłam. – Szanuję twoje śluby. Nie możesz uszanować moich?

–Tylko na swój sposób. – On też szeptał. Wiedziałam, ile kosztowało go to ustępstwo, i zamknęłam oczy. – Fedro, nie prosź o więcej.

–Zgoda – odparłam.

Kiedy otworzyłam oczy, już go nie było.

DWA

Ostatnim razem wjechałam do Miasta Elui po zwycięstwie nad Skaldami w triumfalnym orszaku Ysandry de la Courcel i Drustana mab Necthana, z wojskiem królewskim i albijskim kontyngentem. Tym razem powrót do mojego rodzinnego miasta przebiegał znacznie mniej dramatycznie, choć dla mnie miał ogromne znaczenie.

Powrót do domu to rzecz nadzwyczaj ważna. Pokochałam zielone góry i wiejski urok Montreve, ale przecież to Miasto było moim domem, dlatego zapłakałam, gdy znów ujrzałam jego białe mury. Moje serce, od ponad roku przywykłe do umiarkowanego tempa życia wsi, gwałtownie przyspieszyło.

Spędziliśmy w drodze długie dni, podczas których rześka pogoda jesieni ustępowała chłodom nadciągającej zimy. W czasie poprzedniej podróży miałam ze sobą tyle dobytku, ile mogły udźwignąć krzepkie wierzchowce moje i moich towarzyszy. Teraz jechały z nami wozy załadowane wełną z ostatniego strzyżenia, a także furgon pełen moich rzeczy, w tym jezuitskich ksiąg i zwojów, jakie zgromadziłam w ciągu roku.

Było ich niemało, wyznawcy jezui są bowiem płodnymi pisarzami. Ich dzieje sięgają daleko w przeszłość przed czas, kiedy Jezua ben Josef, prawy syn Boga Jedynego, zawisł na tyberyjskim krzyżu, a z jego krwi zmieszanej z łzami Magdaleny został poczęty Błogosławiony Elua. Jeszcze nie natknęłam się w pismach na wskazówki, które pomogłyby mi zdjąć geis wiążące Hiacynta, ale nie traciłam nadziei.

Naszą karawanę uzupełniał wóz ze sprzętami, namiotami i prowiantem oraz juczne muły dźwigające dobytek mojej służby. Prowadziliśmy również parę koni pod siodło, wierzchowce na zmianę dla Remyego i Ti-Filipa, którzy kursowali pomiędzy naszą powolną karawaną a Miastem.

–Będzie ci potrzebny powóz, pani – powiedział praktyczny Fortun, gdy zbliżyliśmy się do Miasta. – Nie przystoi, żeby hrabina de Montreve jeździła wierzchem. Ale przypuszczam, że to może poczekać, dopóki nie sprzedamy wełny.

–Będzie musiało. – Zanim nadworny skarbnik powiadomił mnie, że odziedziczyłam majątek i tytuł Delaunaya, o co wcale nie zabiegałam, wyobrażałam sobie, że cała d'Angelińska szlachta ma pieniędzy jak lodu. Rzeczywistość wyglądała zgoła inaczej. Folwarki Montreve przynosiły skromny dochód, który wystarczał tylko na pensje i utrzymanie dla służby. Otrzymałam wprawdzie rekompensatę za miejską rezydencję Delaunaya, zajęta po jego śmierci, kiedy ja zostałam zaocznie skazana za morderstwo. Dzięki interwencji Ysandry moje imię zostało oczyszczone. W Mieście Elui wszem wobec wiadomo, że kochałam swojego pana i nie przyłożyłam ręki do

jego śmierci. Skoro mianował mnie swoją spadkobierczynią, przyjął spuściznę, nie miałam jednak ochoty zamieszkać w domu, w którym zginął. Dlatego odszkodowanie przeznaczyłam na zakup nowej siedziby w Mieście. Z niewielkiej sumy, jaka mi pozostała, znaczną część pochłonął księgozbiór.

Nie żałowałam tych zakupów. Zawsze warto wiedzieć jak najwięcej, zwyczaj mawiać Delaunay, a ja miałam zamiar dobrze wykorzystać wiedzę, w którą zainwestowałam. Szkoda tylko, że zostało mi tak mało pieniędzy.

Kiedyś miałam diament... Był wart tyle, że mogłabym otworzyć salon, którego pozazdrościłaby mi każda kurtyzana. Na myśl o nim dotknęłam nagiej szyi, gdzie kiedyś wisiał. Wolałabym jednak przymierać głodem niż spieniężyć klejnot i czerpać z niego zyski.

Gdy zbliżyliśmy się do południowej bramy, Fortun podniósł sztandar Montreve z zielonym półksiężycem w srebrnym górnym prawym polu i czarnym szczytem z dołu po lewej stronie. Straż miejska w odpowiedzi poderwała włócznie i wesoly okrzyk odbił się od białych murów – Ti-Filip czekał na nasze przybycie, grając w kości z wartownikami. Usłyszałam urywki aż nazbyt dobrze mi znanej piosenki: marszowej pieśni Chłopców Fedry, zrodzonej podczas desperackiej wyprawy do Alby.

Zerknęłam na Joscelina i zobaczyłam, że zgarbił się, zrezygnowany.

Tak oto wjechaliśmy do Miasta.

Pod pewnymi względami wydawało się małe, pod innymi zaś większe i piękniejsze, niż pamiętałam, pełne wdzięku i dumy. Ti-Filip wybiegł nam na spotkanie i poprowadził wzdłuż krętej rzeki w kierunku pałacu. Mieszczanie przystawali na ulicy i przypatrywali się nam z zaciekawieniem. Niemal słyszałam, jak zaczynają rozchodzić się plotki. Na wschodzie wznosiło się wzgórze Mont Nuit. Tam był Dwór Nocy ze swymi Trzynastoma Domami, tam w Domu Cereusa, Pierwszym spośród Trzynastu, odebrałam podstawowe nauki. U stóp wzgórza rozpościerał się Próg Nocy, mój azyl, w którym Hiacynt zasłynął jako Księżę Podróżnych.

To wszystko należało do przeszłości. Przed nami leżała przyszłość. Widzieliśmy już pałac, gdy na skrzyżowaniu z wąską uliczką pojawił się Remy. Po krótkiej naradzie Ti-Filip przejął dowodzenie nad wozami z wełną, aby poprowadzić je do dzielnicy przędzarzy.

–Pani... – Remy z szerokim uśmiechem złożył ukłon w siodle, następnie wskazał ręką w głąb ulicy – twoja siedziba czeka!

Gdyby ktoś sądził, że postąpiłam niemądrze, poruczając moim nieokrzesanym marynarzom szukanie mieszkania, to wyprowadzę go z błędu. Chłopcy Fedry zazdrośnie strzegli mojego honoru i nikomu nie pozwalali z niego sztydzić, wyjąwszy

siebie samych. W cieniach pałacu czekała na mnie uroczą kamieniczka. Miała stajnię, maleńki dziedziniec niemal zarośnięty przez winorośl i przestronne wnętrze, pomimo zwodniczo wąskiego frontu. Było tam mnóstwo miejsca dla nas wszystkich.

–Wynająłem kuchmistrzynie i dochodzącą służkę – oznajmił Remy. – Jest też chłopak stajenny, a poza tym uznałem, że nasza trójka... czwórka... – zerknął na Joscelina – poradzi sobie ze wszystkim innym. Czy to ci odpowiada, pani?

Stanęłam w wejściu. Zimowe światło, chłodne i zielone, przesączało się przez gęstwą odpornych pnączy.

–Odpowiada – odparłam ze śmiechem. – Jak najbardziej, kawalerze!

Tak oto zamieszkałam w Mieście Elui jako hrabina de Montreve.

Pierwsze zaproszenie przybyło jeszcze zanim się urządziłam, i nic dziwnego, bo przecież listownie uprzedziłam Cecylię o swoim powrocie. Korespondowałyśmy przez czas mojego pobytu w Montreve, bo nie dość, że zaliczała się do moich najdawniejszych znajomych – była też jedną z nielicznych osób, którym ufałam niemal tak bardzo, jak Joscelinowi – to na dodatek lubiła pisać listy, zawsze pełne nowinek i plotek, zawsze sprawiające mi niepomiarłą radość. Natychmiast skorzystałam z zaproszenia.

–Fedro! – Cecylia Laveau-Perrin wyszła do drzwi i bez wahania zamknęła mnie w ciepłym uścisku, który szczerze odwzajemniłam. W jasnoniebieskich oczach osadzonych w twarzy, nie tracącej z wiekiem na urodzie zapaliło się światło, gdy odsunęła mnie na odległość ramion. – Dobrze wyglądasz. Wiejskie życie ci służy. – Z uśmiechem obdarzyła Joscelina powitalnym pocałunkiem. – I Joscelin Verreuil! Wciąż jestem zazdrosna o prawo Kasjela do ciebie.

Joscelin zarumienił się po korzonki włosów i wymamrotał coś w odpowiedzi. Ostatnim razem był bardziej uprzejmy.

–Za twoim pozwoleniem – zwrócił się do mnie sztywno – zobaczę, czy uda mi się znaleźć dom uczonych, o którym wspominał Seth ben Javin, i wrócę do ciebie za kilka godzin. Jestem pewien, że macie z panią Cecylią wiele spraw do omówienia.

–Jak sobie życzysz. – Ta formalność była krępująca. Miałam ochotę ugryźć się w język, słysząc brzmienie własnego głosu, choć nie był chłodniejszy od jego tonu.

Cecylia uniosła brwi, lecz nie powiedziała słowa, dopóki nie rozsiadłyśmy się w mniejszym, przytulnym salonie, w którym przyjmowała zażytych przyjaciół. Służąca naleła wina i przyniosła tacę przysmaków, a następnie oddaliła się z nienaganną dyskrecją osoby wyszkolonej do służby u adeptki Domu Cereusa.

–A zatem, moja droga, brzemię waszego zrodzonego pod złą gwiazdą związku okazało się zbyt wielkie, prawda? – zapytała życzliwie.

–W Montreve było inaczej. – Pokręciłam głową i wypięłam łyk wina, po czym odetchnęłam głęboko. – Wracam do służby Naamie.

–Ach. – Cecylia wsparła podbródek na czubkach palców, patrząc na mnie uważnie. – Dlatego messire Joscelin rozpacza. Cóż, Fedro, nie sądziłam, że Naama z tobą skończyła – powiedziała, zaskakując mnie. – Pisana ci chwała, a nie marnowanie młodości na strzyżenie owiec i potańcówki w stodole. Ile masz lat? Dwadzieścia?

–Dwadzieścia dwa. – Nutka oburzenia w moim głosie skłoniła ją do uśmiechu.

–A widzisz? Dziewczęce lata prawie za tobą. – Bawiła się sznurem pereł, ale jej jasnoniebieskie oczy spoglądały przenikliwie. – Przyznaję, że widziałas i robiłaś rzeczy, jakich nie przeżyłaby żadna adeptka Dworu Nocy. Ale czas ucieka, za dziesięć lat będziesz w kwiecie wieku. Tylko o to chodzi, moja droga, czy może pragniesz wziąć udział w grze Anafiela

Delaunaya?

Powinam się domyślić, że będzie coś podejrzewać. Cecylia szkoliła nas, Alcuina i mnie, w sztuce miłości. Była również jedną z nielicznych osób, które wiedziały, czym zajmował się Delaunay. Przez krótką chwilę zastanawiałam się, czy nie odpowiedzieć szczerze. Ufałam jej dyskrecji, ale prawda bardzo by ją zmartwiła i mogła narazić na niebezpieczeństwo. Poza tym, w przeciwieństwie do Joscelina i moich kawalerów, Cecylia nie była zaprzysiężonym wojownikiem, zdolnym do ochrony mojej osoby. Dopiero teraz w pełni zrozumiałam rozterki Delaunaya i jego chęć ochraniać mnie poprzez trzymanie w niewiedzy.

–Ślubowałam Naamie, nie rodowi Courcel – odparłam lekkim tonem. – W przeciwieństwie do mojego pana, lorda Delaunaya. Ale możesz być pewna, że nie zapominałam, czego się nauczyłam, służąc Anafielowi. Będę mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Jeśli się dowiem czegoś, o czym powinna wiedzieć Ysandra... – wzruszyłam ramionami – to tym lepiej.

Niezupełnie przekonana, Cecylia przeszła mnie wzrokiem.

–Uważaj na siebie, Fedro.

Jako adeptka Domu Cereusa wiedziała, co mówi. W Trzynastu Domach Dworu Nocy służba Naamie jest aktem wiary. Jak Naama kładła się z nieznanymi dla Błogosławionego Elui, tak i my czynimy; my jednak jesteśmy śmiertelnikami, a gdzie tylko władza spleta się z rozkoszą, tam zawsze czyha niebezpieczeństwo. Adepce Dworu Nocy z wielką ostrożnością maczają palce w politycznych intrygach. Ja,

będąc hrabiną, ryzykowałam tym bardziej.

Położyłam na języku kandyzowany płatek róży i przez chwilę rozkoszowałam się słodyczą.

–Będę ostrożna – obiecałam. – Czy ominęły mnie jakieś nowiny?

–Ach! – Jej oczy rozbłysły. – Cruarcha bawił tego lata w Terre d'Ange lecz stało się jasne, że królowa nie jest przy nadziei. Teraz, gdy zima zagląda nam w oczy, mnożą się spekulacje, czy weźmie sobie kochanka, a jeśli tak, to kogo.

–Naprawdę? – mruknęłam. – Myślisz, że to zrobi? – Jesteśmy D'Angelinami. Kochaj jak wola twoja. Ysandra nie byłaby pierwsza ani ostatnia.

–Nie – odparła Cecylia stanowczo. Pokręciła głową i napiła się wina. – Ysandra została wychowana jako pionek na szachownicy politycznego mariażu. Umie grać w tę grę bez zaangażowania, ale z tego, co słyszałam, jest bardzo oddana mężowi. Jeśli w domu Courcel pojawi się dziedzic, będzie półkrwi Piktem.

Tak wyglądała prawda, a ja powinnam o tym wiedzieć. Królową Terre d'Ange i cruarchę Alby połączyła miłość, choć rozdzielała ich Cieśnina niemal równie głęboka jak przepaść, która istniała pomiędzy Joscelinem i mną.

–A jednak – mówiła Cecylia – sezon polowania na stanowisko kochanka królowej został otwarty i kandydatów nie brakuje.

–Skoro Ysandra się tym nie trapi, ja też nie będę się przejmować. – Podniosłam dzbanek i nalałam wina do kieliszków. – A co u Skaldów? Na granicach panuje spokój?

–Cisza jak w grobie. – W jej tonie brzmiała satysfakcja. – Somerville dostał księstwo w nagrodę, jak wiesz, i jest suwerennym panem w L'Agnace. Nikt tego nie kwestionuje. Wojska królewskie wróciły do koszar. Kamaelici strzegą granicy.

–Ludzie d'Aiglemorta? – Zaskoczona, uniosłam głowę.

Cecylia przytaknęła.

–Nazwali się Niewybaczonymi – rzekła cicho. – Noszą czarne tarcze.

Obie milczałyśmy przez chwilę, pogrążone we wspomnieniach. Niewielu Sprzymierzeńców z Kamlachu wyszło z życiem z bitwy pod Troyes-le-Mont, gdy skaldyjski wódz Waldemar Selig zjednoczył plemiona i napadł na Terre d'Ange. Miał powody wierzyć, że zwycięży, utwierdzany w tym przekonaniu przez Melisandę Szachrizaj, która prowadziła misterną grę. Wiem, bo sprzedała mnie do skaldyjskiej

niewoli, kiedy odkryłam jej plan. Zapewne myślała, że nie przeżyję. Ale przeżyłam, przeżyłam srogą skaldyjską zimę. Zostałam nałożnicą Seliga, poznałam jego zamierzenia i uciekłam, żeby ostrzec Ysandrę. Zdążyłam, choć z wielkim trudem. Ysandra wysłała mnie do Alby, skąd sprowadziłam wojsko cruarchy na ratunek ojczyźnie. W końcu winni ponieśli zasłużoną karę i tylko Melisanda się wykpiła.

Nie dokonałabym niczego bez Joscelina.

Sprzymierzeńcy z Kamlachu byli wasalami zdradzieckiego diuka Izydora d'Aiglemort, sojusznika Melisandy, którego fatalny spisek otworzył drzwi przed Skaldami i niemal doprowadził kraj do zguby. Izydor d'Aiglemort nie żył, poległ śmiercią bohatera.

Byłam tam i patrzyłam z blanków, kiedy prowadził natarcie na wojska Waldemara Seliga. Sprzymierzeńcy z Kamlachu wbili się klinem w formacje Skaldów, a d'Aiglemort własną ręką uśmiercił ich wodza. Nie przeżył, żeby o tym opowiedzieć, niewielu rycerzy z Kamlachu przeżyło tę szarżę. Ci, którzy uszli z życiem, przysięgli odeprzeć wroga daleko od d'Angelińskich granic.

Niewybaczeni. Ta nazwa miała niepokojący wydźwięk.

–Słyszałaś? – Cecylia zmieniła temat, pochylając się nad tacą smakołyków. – Księżę Benedykt powtórnie się ożenił.

–Niemożliwe!

–Ale prawdziwe. – Miała rozbawioną minę. – Myślisz, moja droga, że potrzeby ciała zanikają z wiekiem?

–Przecież musi mieć ze...

–Tylko sześćdziesiąt osiem – odpowiedziała Cecylia z zadowoleniem. – I od dwunastu lat był wdowcem. Ganelon był od niego znacznie starszy. Pojął za żonę kamaelińską pannę, której rodzina zginęła w czasie wojny. Nazywa się Tiurande, Tourais, jakoś tak. Spodziewają się dziecka, na wiosnę. Nie pisałam ci o tym?

–Nie – odparłam z roztargnieniem. – Co to wróży dla tronu?

–Nic, o ile wiem. – Skubnęła kawałek marcepana. – Jako brat Ganelona, Benedykt formalnie jest pierwszy w kolejce do tronu, a sam z kolei ma dwie córki, choć, jak rozumiem, Teresa została uwięziona za przyczynienie się do śmierci Izabeli L'Envers.

–A Barquiel L'Envers?

–Diuk L'Envers... – Cecylia odłożyła marcepan. – Miej się przed nim na baczności,

Fedro. Ysandra jest w dobrej komitywie z wujem. Nie powiem, że to źle, bo przecież krew ciągnie do krwi. Ale ród L'Envers zawsze miał wielkie ambicje, a diuk był wrogiem twojego pana, jak sama dobrze wiesz. Ysandra może sobie być córką Izabeli, lecz w jej żyłach płynie krew Rolanda.

Wiedziałaś, wiedziałaś o tym dobrze. Diuk Barquiel L'Envers stał wysoko na liście wielmożów, którym nie ufałam, choć tak się złożyło, że zawdzięczałam mu życie.

–Hmmm... – mruknęłam z zadumą – wygląda to na prawdziwe gniazdo szerszeni.

–Czy kiedykolwiek polityka była czymś innym? – Cecylia obrzuciła mnie długim, szacującym spojrzeniem. – Jeśli zamierzasz to zrobić, trzeba stosownie cię wyposażyć, Fedro nó Delaunay de Montreve. Za ludzkiej pamięci żaden arystokrata nie wstąpił do służby Naamie. Postępujesz wbrew modzie, moja droga.

–Wiem, ale sztuki Naamy są starsze niż sama Terre d'Ange, a my służymy jej od niepamiętnych czasów. Byłam jej sługą, zanim zostałam hrabiną. Kiedyś jedno i drugie było zaszczytem, i jedno nie wykluczało drugiego. Złożyłam przysięgę, Cecylio. Oddałam się Naamie i uwolniłam gołębicę ku czci jej imienia. Czy według ciebie powinnam się tego wyprzeć?

–Nie. – Cecylia westchnęła. – Królowa też ci tego nie nakaze. Czy planujesz otworzyć salon?

–Nie – odparłam z uśmiechem. – Nigdy tego nie zrobiłam w służbie u Delaunaya. Moi klienci wolą spotkania na swoich warunkach, na swoim terenie. Ostatecznie jestem anguisette.

–Cóż, jeśli ktoś może przywrócić blask służbie Naamie, to tylko ty, dziecko. – Przekrzywiła głowę. – Będziesz potrzebowała odpowiednich usług. Upatrzyłaś już sobie szwaczkę? Jeśli nie, słyszałam o pewnej dziewczynie z Domu Dzikiej Róży. Zarejestrowałaś się w gildii? Musisz to zrobić, skoro już masz ukończoną markę. Och, Fedro! – Cecylia klasnęła w ręce i jej oczy rozbłysły. – Mamy tyle do zrobienia!

TRZY

–Znalazłem dom uczonych, jesziwę.

Nie rozmawialiśmy o tym w drodze powrotnej od Cecylii. Joscelin nie zaproponował, a ja ostatnimi czasy trochę za mocno na niego naciskałam. Dolałam mu herbaty, uniosłam brwi i czekałam.

–Poznałem rabbiego. – Odchrząknął i pociągnął łyczek herbaty. – Jest... dość onieśmielający. Przywiódł mi na myśl prefekta.

–Mówiłeś z nim o studiowaniu?

–Wspomniałem. – Joscelin odstawił filiżankę. – Uznał, że jestem zainteresowany nawróceniem – dodał oschle. – Może powinienem się nad tym zastanowić?

Bractwo KasjELITÓW miało szczególny stosunek do wyznawców Jezui, bo ich wiara splatała się pod wieloma względami. Przebiegły mnie ciarki trwogi, ale niczego nie dałam po sobie poznać.

–Nie powiedziałaś mu o Hiacyncie.

–Nie. – Joscelin zaczął krążyć po gabinecie, przesuwał ręką po nowych półkach i schowkach na zwoje. – Uznałem, że lepiej z tym poczekać. Fedro, naprawdę wierzysz, że jest jakiś klucz?

–Nie wiem – odparłam szczerze. – Ale muszę szukać.

Gdzieś daleko na zachodzie mój Książę Podróżnych spędzał dni na samotnej wyspie, terminując u Pana Cieśniny, skazany na odsłuzenie warunków klątwy Rahaba. Poświęcił się dla nas wszystkich na mocy okrutnej umowy. Gdyby nie on, albijska armia nie przebyłaby Cieśniny i Skaldowie podbili by Terre d'Ange. Zapłacił wysoką cenę. Klątwa miała obowiązywać dopóty, dopóki Bóg Jedyny nie wybaczy nieposłuszeństwa aniołowi Rahabowi, a jak powiedział Pan Cieśniny, Bóg Jedyny ma długą pamięć.

Elua też nie posłuchał rozkazu Boga Jedyne go, ale jemu i jego Towarzyszom pomagała Matka Ziemia, w której łonie został poczęty. Milcząca od wielu długich stuleci, nie wydawała się skłonna do kolejnej interwencji – a nadto ta sprawa Jej nie dotyczyła. Nie, jeśli istniał sposób na złamanie geis anioła, to krył się w starożytnych pismach Jezuitów.

Wiedziałałam, że tak było, znałam opowieści o herosach, którzy sprzeciwili się woli wysłanników Boga Jedyne go, przewyższając ich sprytem i mądrością. Ale działało się

to w czasach, kiedy aniołowie stąpali po ziemi, a bogowie przemawiali wprost do swoich ludów. Teraz bogowie chowali swoje zdanie dla siebie i my, zwykli śmiertelnicy, w których krwi przetrwały nikłe ślady boskiego ichoru, musieliśmy sami zarządzać oddanym nam krajem.

Mimo wszystko musiałam próbować.

–Pomówię z nim, jeśli zechce mnie wysłuchać.

–Rozbawi go ta odmiana. – Ton Joscelina znowu zabrzmiał cierpko. – D'Angelińska kurtyzana dyskutująca z Jezuitem. Dość się namęczył, słuchając moich wywodów.

Mam dar do języków, ale nie o to mu chodziło. Zamknęłam oczy, czując ból, jego ból, swój ból, przeszywający na wskroś i rozlewający się na zewnątrz w falach udręki. Eluo, jakże było to słodkie! Ból ciała jest niczym w porównaniu z udręką duszy. Zagryzłam dolną wargę, pragnąc odwrócić przyływ, przerażona jakąś częścią siebie, że czerpię z tego przyjemność. Pod moimi zamkniętymi powiekami ukazała się twarz Melisandy, subtelnie rozbawiona. Będąc nieodrodnym potomkiem rodu Kusziela, jak nikt inny potrafiłaby zrozumieć moje uczucia.

–Remy znalazł powóz. – Joscelin zmienił temat. – Posłałem go do Emila, dawnego kompana Hiacynta. Wciąż ma stajnię w Progu Nocy.

–Ile zapłacił?

Wzruszył ramionami.

–Powiedział, że dostał go za bezcen, ale jest w okropnym stanie. Chłopcy sądzą, że zdołają doprowadzić go do porządku. Dziadek Fortuna był kołodziejem.

Przegarnęłam włosy palcami, burząc gąszcz kruczoczarnych loków. Nie obchodziły mnie te oszczędności, choć były konieczne. Mój ojciec utracjusz nie umiał oszczędzać, dlatego w dzieciństwie zostałam sprzedana do Domu Cereusa. Z tego powodu wystrzegałam się długów, ale przecież nie musiałam lubić liczenia się z każdym centymem. Joscelin obserwował mnie kątem oka.

–Ile czasu to zajmie? Muszę powiadomić Ysandrę o przyjeździe do Miasta.

–Może ze trzy dni. Mniej, jeśli nie będą mieli innych zajęć. – Podniósł się nagle, zabierając tacę z serwisem do herbaty. – Późno już. Do zobaczenia rano, pani.

Wypowiedziane formalnym tonem słowa kłuły jak kolce. Ucierpiałam je w milczeniu i patrzyłam, jak wychodzi, zostawiając mnie samą z rozkoszą bólu.

Doprowadzenie powozu do takiego stanu, żeby nie przyniósł wstydu hrabinie de

Montreve, zabrało tylko dwa dni. Wysłałam wiadomość do Ysandry i tego samego popołudnia królewski goniec przyniósł odpowiedź. Nazajutrz miałam udać się na audiencję. Elegancki kurier w barwach rodu Courcel stał i czekał, gdy czytałam list. Ukłonił się z gracją, kiedy poleciłam przekazać królowej, że czuję się zaszczycona zaproszeniem. W jego oczach widniała ciekawość, lecz nie pozwolił sobie na zdradzenie uczuć mimiką czy gestem.

Doskonale wiedziałam, że na mój temat krążą liczne opowieści. Thelesis de Mornay zawarła moje dzieje w najwcześniejszych partiach Cyklu Ysandryjskiego, poematu epickiego opisującego burzliwe okoliczności wstąpienia Ysandry na tron. Nie brakowało także innych historyjek, przekazywanych ustnie. Wielu moich klientów zachowywało dyskrecję, ale nie wszyscy.

I dobrze. Służba Naamie nie hańbi, podobnie jak usługi świadczone przez anguissette. Jesteśmy D'Angelinami i wielbimy takie rzeczy. Z tego powodu inne nacje uważają nas za miękkich; jak przekonali się Skaldowie, jest zgoła inaczej. Ale, jak już wspomniałam,

śmiertelność zagęściła naszą krew i ktoś taki jak ja, naznaczony boską ręką, był prawdziwą rzadkością.

Mogę powiedzieć, że to nie napawa mnie dumą. Wychowałam się w Domu Cereusa, gdzie z uwagi na szkarłatną plamkę w oku uważano mnie nie za wybrankę Kusziela, lecz za osobę wybrakowaną, nie spełniającą wymogów Dworu Nocy. Dopiero Delaunay odmienił moje życie, uświadamiając mi, kim jestem. Szczerze mówiąc, nie mam żadnego wyjątkowego daru poza umiejętnością przeobrażania bólu w rozkosz, co bywa zarówno błogosławieństwem, jak i przekleństwem. Jeśli nauka języków przychodzi mi z łatwością i umiem logicznie myśleć, to jedynie za sprawą sumiennej nauki – Alcuin był znacznie lepszy ode mnie. Tylko dzięki kaprysowi losu mogę cieszyć się życiem i doskonalić swoje zdolności, podczas gdy Alcuin i Delaunay odeszli. Nie ma dnia, żebym o tym nie pamiętała. Oddałabym wszystko, by odmienić przeszłość. Skoro nie mogę, staram się w pełni wykorzystywać swoje możliwości i modłę się, żeby to uczciło ich pamięć.

Poczułam się dziwnie, gdy zostałam powitana przez gwardię królowej ukłonem u bramy pałacu, a potem służby w liberiach wprowadzili mnie wraz z moją świtą do sali audiencyjnej. Joscelin był poważny, a Chłopcy Fedry ze wszystkich sił starali się wyglądać godnie. Nie martwiłam się o Fortuna, statecznego z natury, ale Remy i Ti-Filip uwielbiali psoty.

Ysandra przyjęła nas w Sali Gier, przestronnym salonie z kolumnadą, dokąd mieszkający w pałacu wielmożowie lubili schodzić się na gry i pogawędki. Wypatrzyłam ją, gdy z dwiema damami dworu przystanąła obok stołu, przy którym rozgrywano partię rytmomachii. Za królową stała w dyskretnej odległości przyboczna

kasjelicka straż – dwóch braci odzianych w popielatą szarość. Nie byli młodzi, ale ich proste plecy jakby przeczyły wiekowi. Dziś już niewiele Wielkich Rodów przestrzega dawnych tradycji i wysyła średnich synów do służby Kasjelowi.

–Hrabina Fedra nó Delaunay de Montreve! – oznajmił głośno lokaj.

Głowy odwróciły się, w sali poniosły się szepty. Ysandra de la Courcel podeszła do mnie z uśmiechem.

–Fedro – rzekła, chwytając moje ręce i obdarzając mnie powitalnym pocałunkiem. Szczere zadowolenie błyszczało w jej fiołkowych oczach, gdy się odsunęła. – Wierz mi, cieszę się, że cię widzę.

–Wasza Wysokość. – Dygnęłam. Ysandra prawie się; nie zmieniła. Była rzecz jasna trochę starsza i zmęczona sprawami tronu, ale wciąż cechowało ją eteryczne piękno. Byliśmy prawie w tym samym wieku.

–Joscelin Verreuil. – Położyła palce na jego ramieniu, kiedy wyprostował się z głębokiego ukłonu. – Ufam, że dbałeś o bezpieczeństwo mojej prawie kuzynki?

Nazywanie mnie w ten sposób było żartem Ysandry. Oczywiście, nie łączyły nas ani więzy krwi, ani powinowactwo, ale mój pan, lord Delaunay, który przyjął mnie pod swój dach, gorąco miłował jej ojca Rolanda. W istocie miłość ta trwała dłużej, niż można by przypuszczać, a

Delaunay potajemnie przysiągł strzec życia Ysandry jak własnego.

–Chronię i służę, Wasza Wysokość – zapewnił Joscelin z uśmiechem. Jego słowa były pełne ciepła, nie ironii. To, co nas dzieliło, nie umniejszyło jego lojalności wobec królowej.

–To dobrze. – Ysandra popatrzyła z rozbawieniem na pochylone głowy Remyego, Fortuna i Ti-Filipa, którzy padli przed nią na kolana. – Miło was widzieć, kawalerowie – rzekła uprzejmie. – Służba wam odpowiada czy też morze wzywa was do powrotu do lorda admirała Rouse?

Remy uśmiechnął się do niej.

–Wszyscy jesteśmy zadowoleni, Wasza Wysokość.

–Miło mi to słyszeć. – Ysandra popatrzyła na mnie. – Chodź, Fedro, powiedz mi, jak sobie radzisz. Jestem pewna, że twoi ludzie znajdą odpowiednie rozrywki w Sali Gier, a mnie ciekawi, co cię sprowadziło do Miasta Elui.

Jeśli czułam się dziwnie, przekraczając progi pałacu jako hrabina, to przejście przez

salę u boku Ysandry, z kasjelickimi strażnikami za plecami, zrobiło na mnie jeszcze większe wrażenie. Zaraz po wojnie wszystko wyglądało inaczej, gdy wciąż panował zamęt, wszędzie kręcili się Albijczycy i Dalriadowie, a mnie stale potrzebowano jako tłumaczki. Obecny wyważony porządek przypominał mi pałac mojej młodości, kiedy bywałam tutaj na życzenie klientów wysokiego rodu.

–Wydaje się, że wszystko idzie dobrze – zauważyłam.

Ysandra uśmiechnęła się cierpko.

–Dość dobrze. Niestety, jesteśmy mniej liczni niż kiedyś, ale przymierze z Albą wzmocniło nasze siły. Drustanowi będzie przykro, że się z tobą nie spotkał.

–Ja również tego żałuję. – Łączyła nas silna więź sympatii, cruarchę Alby i mnie.

–Wróci z nadejściem wiosny. – W głosie Ysandry pobrzmiwała nutka tęsknoty. Wątpiłam, czy usłyszał ją ktoś, kto nie był wyszkolony do wylapywania takich drobiazgów. – Powiedz mi, czy Montreve okazało się zbyt rustykalne jak na twój gust?

–Niezupełnie – odparłam szczerze. – Posiadłość jest bardzo przyjemna. Ale pewnych spraw nie można załatwić w zaciszu wiejskiego dworu. – Ysandra popatrzyła na mnie z zaciekawieniem, powiedziałam jej więc o zgłębianiu wiedzy jezuickiej i o moim marzeniu znalezienia klucza do więzienia Hiacynta. Gdy szłyśmy przez salę, mimo woli zauważyłam, że wszystkie oczy śledziły królową, a w ślad za nami ciągnął się pomruk spekulacji. Wielmoża starali się ustawiać na naszej drodze, by następnie ustępować z dygiem lub ukłonem. Na twarzach mężczyzn i kobiet wyraźnie widziałam wypisane propozycje.

Ysandra zbywała ich z niewymuszonym wdziękiem.

–Tak, twój cygański młodzieniec. Życzę ci szczęścia. Jeszuici są dziwnym ludem. – Pokręciła głową. – Nie będę udawać, że ich rozumiem. Witamy ich w Terre d'Ange z otwartymi ramionami, a oni przyjmują naszą gościnę jak z łaski.

–W ich teologii nie ma miejsca dla Błogosławionego Elui, pani. Nie potrafią pogodzić się z naszym istnieniem, i to ich trapi.

–Cóż. – Jasne brwi Ysandry wygięły się w łuki. – Mieli trochę czasu, żeby przywyknąć do tego faktu. Podjęłaś decyzję w innej sprawie? – zapytała, zmieniając temat. – Wciąż jesteś zaprzysiężona Naamie, o ile się nie mylę. – Tak. – Mimowolnie przekręciłam pierścień z czarnymi perłami, który nosiłam na serdecznym palcu prawej ręki; był to dar klienta, diuka de Morhban. Uśmiechnęłam się. – Gdy odsłonię swoją markę, poznasz odpowiedź, pani.

Ysandra roześmiała się.

–W takim razie zaczekam i zobaczę. – Omiotła gestem ręki salę. – Będą się zastanawiać, wiesz? Nie mają lepszego zajęcia.

–Tak słyszałam – odparłam z rezerwą.

–Wasza Królewska Mość. – Męski głos był głęboki i jedwabisty. Kącikiem oka pochwyliłam wir czerni w misterne złote wzory, gdy ktoś podniósł się z krzesła z wysokim oparciem. Ukłonił się i wyprostował, a wówczas wstrzymałam oddech. Splecione w warkoczyki granatowoczarne włosy spadały na jego ramiona jak drobne łańcuszki, a z pięknej twarzy, której cera miała barwę kości słoniowej, spoglądały oczy o barwie szafiru. Mężczyzna pokazał w uśmiechu białe zęby i pomachał ułożonymi w wachlarz ozdobnymi kartami. – Obiecałaś mi partyjkę batarda.

Znałam go. Ostatnim razem widziałam go w towarzystwie kuzynki, którą zdradził.

–Owszem, lordzie Marmion, lecz nie powiedziałam kiedy – odparła Ysandra.

–Będę wyglądać tego dnia. – Spojrzenie ciemnoniebieskich oczu spoczęło na mojej twarzy. – Lady Fedra nó Delaunay de Montreve – wyrecytował pieściodiowym tonem. Moje nogi przemieniły się w watę. – Jak na tak młody wiek, dość długotrwałe związki łączą cię z rodem Szachrizaj.

Wraz z siostrą, Persją, Marmion Szachrizaj powążył się być może na najbardziej ryzykowne posunięcie w dziejach ich rodu. Zdradził swoją kuzynkę Melisandę, umożliwiając aresztowanie jej diukowi Quincelowi de Morhban, suwerennemu księciu ich prowincji, Kuszetu. Patrzyłam, jak prowadzili ją do Ysandry, która rezydowała tymczasowo w fortecy Troyes-le-Mont po wygranej bitwie. Słyszałam, jak Melisanda została oskarżona o zdradę.

Złożyłam zeznanie, które ją pogrzyżyło.

–Lordzie Szachrizaj... – wezwałam całą siłę woli, żeby mój głos zabrzmiał chłodno – wierność koronie wyszła ci na dobre.

Roześmiał się i ukłonił.

–Jakżebym mógł postąpić inaczej, skoro nosi ją tak piękna pani? – powiedział, przypochlebiając się Ysandrze. – Jej Wysokość jest mądra nad swój wiek, dlatego wie, że zdrada jednego członka rodu nie plami wszystkich pozostałych. – Oddalił się, złożwszy wprzód kolejny wykwintny ukłon.

Westchnęłam z drżeniem.

–Powinam cię uprzedzić. – Ysandra popatrzyła na mnie ze współczuciem. – W istocie okazał się wielce pomocny, dzięki niemu schwytaliśmy kilku popleczników Melisandy. Zapomniałam o twoich... długotrwałych związkach z jego rodem.

–Popleczników. – Staralam się uporządkować myśli. – Ale nie Melisandę?

–Nie. – Ysandra pokręciła głową. – Zapadła się pod ziemię, Fedro, ukryła się jak lis. Przypuszczam, że wyjechała daleko poza granice Terre d'Ange. Gdziekolwiek jest, tutaj nie ma żadnych wpływów. Wszyscy jej sprzymierzeńcy zostali straceni. Sądzę, że nikt nie będzie na tyle głupi, żeby jej pomagać, skoro za jej głowę wyznaczono nagrodę. Zapewniam, że nie masz się czego obawiać ze strony Melisandy.

Kiedyś byłam dość młoda i naiwna, żeby przyjąć zapewnienie królowej bez zastrzeżeń. Teraz tylko uśmiechnęłam się i podziękowałam za troskę, trzymając strach na wodzy. Rozglądałam się po Sali Gier i zastanawiałam, kim są zdrajcy.

W to, że są tutaj obecni, nie wątpiłam.

CZTERY

Klucz do tajemnicy, jaka otaczała zdrajcę w gronie królowej, krył się w mrokach tamtej nocy w Troyes-le-Mont. Tego byłam pewna. Melisanda Szachrizaj zniknęła z pilnie strzeżonej komnaty w fortecy, w której panował stan najwyższej gotowości, i ktoś jej w tym dopomógł. Gdybym odgadła, jak to się stało, miałabym początek tropu, którym mogłabym podążyć.

To Fortun, najstateczniejszy z moich kawalerów, wpadł na pomysł narysowania trasy ucieczki Melisandy.

–Wiesz, pani, gdzie była przetrzymywana? – spytał z zadumą. – Na parterze czy na piętrze?

Joscelin obrzucił mnie długim spojrzeniem.

–Na piętrze – odparłam.

Melisanda posłała po mnie owej nocy, a ja, jak ostatni głupiec, spotkałam się z nią w jej królewskiej celi. To, co zaszło pomiędzy nami, nie miało znaczenia, wyjąwszy fakt, że wyszłam od niej roztrzęsiona. Udałam się na mury, pragnęłam bowiem być sama ze swoimi mieszanymi emocjami, czekając na jej egzekucję o świcie. Zasłużyła na śmierć – nie było żadnych wątpliwości, że Melisanda Szachrizaj spiskowała ze skaldyjskim wodzem Waldemarem Seligiem, by obalić tron Terre d'Ange – nie mogłabym jednak patrzeć na wykonanie wyroku. Kiedyś była moją klientką.

Do egzekucji nie doszło. O brzasku przed jej komnatą znaleziono dwóch martwych strażników i trzeciego przy tylnej bramie.

–Załóżmy, że to korytarz. – Klęcząc przy niskim stole w moim saloniku, Fortun wyjął z wazonu długi irys i położył go na blacie. – Jak daleko od schodów?

Policzyłam na palcach, przypominając sobie.

–Troje drzwi. Nie, czworo. Jej komnata była pierwsza za zakrętem.

–Wobec tego tutaj. – Złamał łądyżkę kwiatu, zgiął ją i postawił przy końcu pustego kieliszek po likierze. – A tu schody.

–Tak. – Pochyliłam się nad stołem i przyjrzałam improwizowanemu planowi. – Niezbyt daleko.

Joscelin podniósł się z krzesła po drugiej stronie pokoju.

–Fedro.

–Słucham? – Popatrzyłam na niego od stołu.

–Wyłącz ich z tego. – Miał nieodgadniony wyraz twarzy. – Jeśli upierasz się przy prowadzeniu niebezpiecznych gier, niech tak będzie. Ale nie wciągaj w swoje intrygi tych biednych, zadurzonych chłopców. Nie mogę chronić was wszystkich.

–Czy ja cię o coś proszę? – Narosła we mnie złość. – Jeśli to ci przeszkadza, po prostu odejdź. Rzuć się prefektowi do stóp i błagaj o wybaczenie. Albo idź do Ysandry. Poskarż się, że zwolniłam cię ze służby, niech przyjmie cię do swojej. Jest przyzwyczajona do obecności

kasjelitów.

Joscelin parsknął śmiechem.

–Mam pozwolić, żebyś na oślep rzuciła się w niebezpieczeństwo z trzema nie wyćwiczonymi marynarzami do ochrony? Pozwól mi przynajmniej dotrzymać ostatniej przysięgi, Fedro.

Otworzyłam usta, ale Fortun chrząknął i ubiegł mnie:

–Kwintyliusz Rousse nie mustruje nie wyćwiczonych marynarzy na swój okręt flagowy, bracie.

–To nie to samo. – Błysnęły stalowe zarękawia, gdy Joscelin poruszył się nerwowo. – Jesteście wyszkoleni do bitwy, nie do tego, żeby chronić i służyć. To zupełnie różne rzeczy.

–Uczę się – odparł Fortun spokojnie.

Zwarli się spojrzeniami, a ja trzymałam język za zębami. Czy wkraczanie pomiędzy nich przyniosłoby coś dobrego? Joscelin musiał sam dokonać wyboru. Po chwili rozłożył ręce i prychnął z pogardą.

–Życzę ci zadowolenia z kawalerów – powiedział opryskliwie i wyszedł z pokoju.

Nie sądziłam, że wyjdzie. Patrzyłam za nim w milczeniu.

–Wróci – oznajmił Fortun spokojnie. – Nie opuści cię, pani. Za bardzo zależy mu na tobie.

–Nie jestem pewna – szepnęłam. – Nie sądziłamrże wyjdzie.

–Wróćmy do planu. – Nie patrząc na mnie, Fortun pochylił się nad stołem i swoimi szerokimi dłońmi zaczął układać przedmioty. – Skoro to jest dolny poziom, a tutaj jest tylna brama... – w jednym narożniku postawił wazon – tędy zaś biegnie

korytarz... – przesunął szkatułkę z laki – wartownicy musieli stać tutaj i tutaj. – Wskazał miejsca palcami. – Ten, kto zaprowadził Melisandę do tylnej bramy, musiał minąć posterunki. Bez wątpienia zrobiło to wiele innych osób, ale mimo to...

Pomasowałam bolące skronie, próbując się skupić, próbując nie myśleć o Joscelinie.

–Zostali przesłuchani. Wszyscy zostaliśmy przesłuchani, Fortunie. Gdyby istniał jakiś punkt zaczepienia, Ysandra nie wypuściłaby go z rąk.

–A jeśli postawiono niewłaściwe pytania?

–Co masz na myśli? – Ściągnęłam brwi, rozpamiętując tamte wydarzenia. Będąc jedną z ostatnich osób, które widziały Melisandę, zostałam poddana drobiazgowemu przesłuchaniu. W końcu oczyszczono mnie z zarzutów, choćby dlatego że przecież to moje zeznanie ją pogrążyło. Ysandra szukała zdrady albo dowodu zdrady. Nikt nie wspomniał, że widział coś podejrzanego. Ale co widzieli? – Masz rację. U stóp schodów też stała warta. Ktoś musiał minąć wszystkie posterunki, żeby dostać się do jej komnaty. Melisanda sama nie dałaby rady zabić strażników. Może jednego, ale przecież nie dwóch. – Zaczęłam przekładać przedmioty na stole. – Gdybyśmy mieli listę osób, które tej nocy przechodziły obok wartowników, porównalibyśmy ich zeznania...

–Otrzymalibyśmy listę podejrzanych. – Fortunowi rozbłysły oczy. – Pani, możemy to zrobić. Tobie nie przystoi brać na spytki gwardzistów królowej. Nawet pan Joscelin nie jest w dobrej komitywie, jeśli mogę tak powiedzieć, z szeregowymi żołnierzami. Ale trzech byli marynarze, wojacy admirała Rouse... my możemy rozpytywać do woli. Popijawa, gra w kości... znamy się na tym, co rozwiązuje ludziom języki. Kas jelita jest wyszkolony, żeby chronić i służyć, a nie prowadzić batalie. A to zupełnie różne rzeczy.

Roześmiałam się, widząc jego nadzwyczaj zadowoloną minę,, ale zaraz potem spowaźniałam.

–Prawda, Fortunie, ta gra jest ryzykowna. Jeśli ktoś zacznie podejrzewać, do czego zmierzacie, znajdziecie się w poważnym niebezpieczeństwie.

–Pani, jeśli myślisz, że któryś z nas wstąpił do służby u ciebie, bo nie lubi ryzyka, to się grubo mylisz. – Ściągnął brwi w wyrazie dezaprobaty. – Jesteśmy marynarzami, mamy przygodę we krwi. Skoro uznaliśmy cię za gwiazdę, na którą warto obrać kurs, nie pomniejszaj:znaczenia naszej decyzji.

–Dlaczego to zrobiliście? – zapytałam. – Dlaczego ja?

–Widziałem cię na polu bitewnym pod Bryn Gorrydum, jak nosiłaś wodę rannym i

konającym. I potem, kiedy pasowałaś nas na kawalerów. Wiem, że admirał cię o to poprosił. Jego miecz był prawie tak długi, jak ty wysoka. – Uśmiechnął się na to wspomnienie. – Emisariuszka królowej! Wyglądałaś tak, jakby ktoś dał ci po głowie. Czy mogłem dokonać innego wyboru?

Westchnęłam i przegarnęłam włosy palcami.

–Dobrze, zgadzam się. Dowiedźcie się, ile tylko zdołacie. Ale nie pozwólcie... – postukałam go w pierś dla podkreślenia wagi przestrogi – nie pozwólcie, żeby ktokolwiek zaczął podejrzewać, że jesteście kimś więcej niż świeżo upieczonymi kawalerami, chętnymi przeżyć na nowo chwile chwały i próbującymi zgłębić tajemnice szlacheckiego stanu.

–Nie ma obawy, pani. Noszę szczęśliwe imię. – Fortun uśmiechnął się. – Moja matka przysięgła to na dzień mojego patrona.

PIĘĆ

Joscelin wrócił późnym wieczorem. Nie spytałam, gdzie był, a on nie kwapił się z wyjaśnieniami. Przywitaliśmy się rankiem, uprzejmie niczym dwoje nieznajomych. Potem ćwiczył w ustronnym ogrodzie za domem, z wdziękiem wykonując kasjelickie figury, wymachując stalowymi sztyletami, a jego oddech zamarzał w zimnym powietrzu. Obserwowałam go z bólem w sercu.

Jakiż dziwny, jakże dojmujący jest ból, gdy zadaje się cierpienie umiłowanej osobie.

W takich sytuacjach robiłam jedno: uciekałam.

Ściśle mówiąc, buntowałam się. Robiłam to w domu Cereusa i w domu Delaunaya, choć przyznam, że w tym drugim przypadku chodziło o coś więcej niż tylko zwyczajny bunt. Prowadziłam grę z moim panem i jeśli udawało mi się wygrać, nie ponosiłam konsekwencji.

Nie byłam już dzieckiem, żeby biec do Progu Nocy i szukać pociechy w błazeństwach Hiacynta. A jednak poczułam się lepiej, gdy wymknęłam się moim pełnym najlepszym intencji strażnikom, poszłam do stajni i kazałam chłopcu stajennemu, prostodusznemu Benoit, osiodłać wierzchowca. Niepostrzeżenie wyprowadziłam wałacha na ulicę, a Benoit stadnie zamknął za mną bramę.

Siedząc w siodle, byłam wolna.

Oddalałam się od pałacu, a radość śpiewała w moich żyłach. Ledwo pamiętałam, kiedy ostatni raz naprawdę byłam niezależna. To dziwne, jak człowiek jest związany przez posiadanie czeladzi. Nie mając ich spraw na głowie, mogłam zająć się tylko własnymi. Skręciłam ku rzece i pojechałam jej brzegiem na rynek, gdzie przekupnie zachwalali swoje towary.

Widok gołębi podsunął mi pomysł. Tuziny ptaków ofiarnych stroszyły pióra, broniąc się przed zimnem. Kierowana litością, wybrałam najmniejszego i zapłaciłam za złoconą klatkę.

–Wielmożna pani ma dobre oko – powiedział kramarz przypochlebnie, podając mi ptaka. – Jest mały, ale nie brak mu woli przeżycia.

–Elua słyszy cię i pochwała. – Z uśmiechem pochyliłam się w siodle, żeby zabrać klatkę. Wałach parsknął i zarzucił głową. – Ten jest dla Naamy.

Kramarz zgiął się w ukłonie, zerkając na mnie ukradkiem. Gołąb zatrzepotał skrzydłami, bijąc w złocone pręty klatki. Wałach spłoszył się, podkute kopyta zadzwoniły na bruku. Gapie nagrodzili mnie oklaskami, gdy zdołałam utrzymać się w

siodle. Kiedyś byłam niewydarzonym jeźdźcem, ale to było przed ucieczką z osady Waldemara Seliga na grzbiecie kuca, w samym środku srogiej zimy. Od tej pory niemało czasu spędziłam w siodle. To dziwne, spojrzeć wstecz i dostrzec, w jaki sposób nabierało się umiejętności, wtedy bowiem myślałam tylko o tym, by utrzymać się przy życiu.

Z uniesioną głową, choć panował przenikliwy ziąb, pojechałam do świątyni Naamy. Jeśli ludzie wołali i pozdrawiali mnie po drodze, to nie dlatego, że byłam hrabiną de Montreve czy

Fedrą nó Delaunay – mogli nie widzieć szkarłatnej plamki w moim oku – ale ponieważ byłam młoda, piękna i jechałam z gracją, trzymając gołębia dla Naamy.

Wielka Świątynia Naamy w Mieście jest w rzeczywistości niewielkim, lecz ślicznym budynkiem otoczonym ogrodami. Nawet teraz, choć w powietrzu wyczuwało się tchnienie nadchodzącej zimy, było tam pełno kwitnących kwiatów. Zostawiłam wierzchowca stajennej, która ze spuszczonego wzrokiem wyszła mi na spotkanie, i udałam się do świątyni. W drzwiach zjawił się akolita w szkarłatnej tunice.

–Witaj – powiedział i pochylił się, żeby pocałować mnie na powitanie. Czując dotyk jego miękkich warg, zrozumiałam, że w pewien sposób powróciłam do domu. Przyjrzał mi się badawczo oczami koloru zmytego deszczem łubinu. – Witaj, anguisseite, i złoś hołd Naamie.

Jedną ręką ujęłam go pod ramię, a w drugiej niosłam złożoną klatkę, i tak weszliśmy do świątyni. Pokonaliśmy długi korytarz, na końcu którego stał wielki posąg: Naama szeroko rozkładała ręce, jakby chciała przygarnąć do piersi każdego, kto do niej przychodzi. Tam, pod okrągłym okienkiem w kopule, czekała kapłanka.

Poznałam ją, kiedy się zbliżyła w gronie akolitów. Długie włosy barwy moreli, zielone, skośne kocie oczy – była akolitką, kiedy ja składałam śluby. Kapłan, który je odbierał, zmarł na gorączkę w czasie Najsroźszej Zimy, jak zresztą wielu innych.

–Miło cię widzieć, siostró – rzekła, a jej głos, choć cichy, niósł się w najdalsze zakamarki świątyni. Obdarzyła mnie powitalnym pocałunkiem. Wolną ręką chwyciłam ją za łokieć, żeby nie stracić równowagi. Po długim czasie absencji pobyt wśród sług Naamy uderzał mi do głowy. – Czy pragniesz odnowić śluby?

–Tak – szepnęłam, podnosząc połączoną klatkę. – Powiesz mi, czy Naama chce, bym to uczyniła?

–Ach... – Kapłanka poprawiła kołnierz szkarłatnej szaty i odwróciła się, by spojrzeć w oblicze Naamy, łagodne i życzliwe. – W samym Mieście są setki jej sług. Co najmniej trzysta w Trzynastu Domach Dworu Nocy, a na każdą przypada wiele innych o mniejszych aspiracjach. W Namarze ich liczba sięga tysięcy. Zapewne w całym

kraju nie ma wioski, w której nie byłoby kilku osób powołanych do służby Naamie. Byłabyś zaskoczona, gdybym ci powiedziała, ile z nich stawia to samo pytanie. Czy służę Naamie z jej woli? Wszystkim daję tę samą odpowiedź: Liczy się twoja wola. Słudzy Naamy, tak jak wszyscy inni, wypełniają warunki przymierza z Błogosławionym Eluą. Kochaj jak wola twoja. Ścieżka Naamy jest dla nas święta, ona bowiem z własnej woli postanowiła zapewnić Błogosławionemu Elui wolność i utrzymanie, składając w ofierze własne ciało. Sama podjęła decyzję, dlatego nie zmusza nikogo do podążania w swoje ślady. – Odwróciła się i obrzuciła mnie długim, pełnym namysłu spojrzeniem. – Tobie odpowiem inaczej.

Akolici zaszepotali, podchodząc bliżej, żeby posłuchać. Odstawiłam klatkę i czekałam. Kapłanka dotknęła z uśmiechem mojej twarzy, przeciągając palcem po zewnętrznej krzywiznie

lewego oczodołu.

–Potężny Kusziel, pan różgi i pręgi, wypuszcza Strzałę z niezawodnej dłoni. Przeszywa oczy wybranych śmiertelnych, a krwawa rana nigdy się nie goi – zacytowała te same strofy, na podstawie których Delaunay rozpoznał moją naturę. – Nie mogę wskazać ci ścieżki, anguisette, bo twoje powołanie wykracza poza kompetencje samej Naamy. Jesteś wybranką Kusziela, a on pośle cię tam, gdzie zechce. Tylko Elua, któremu podlegają wszyscy Towarzysze, zna całą prawdę. Jesteś jednak sługą Naamy i przebywasz pod jej opieką, o tym więc mogę mówić. Pytasz, czy służysz Naamie z jej woli. Odpowiem ci: tak. – Otulając się szatą, kapłanka spojrzała w dal. – Dziesiątki tysięcy jej sług – podjęła takim tonem, jakby rozmyślała na głos – słucha głosu świętego powołania. A jednak nasza pozycja w kraju maleje. Sprzedajne dziewczki, kokoty, ladacznice... Słyszałam te słowa, wymawiane przez ordynarne języki. Nie wszyscy tak mówią, ale jest ich wielu. Zbyt wielu.

Prawda, sama to słyszałam. Takie słowa nie istniały w naszym języku, kiedy Elua i jego Towarzysze stąpali po ziemi, a ludzie wysokiego i niskiego rodu czerpali radość ze służenia Naamie. W obecnych czasach było inaczej, a obyczaje Terre d'Ange zostały skażone przez wpływy innych nacji. Nie wybrałam sobie łatwej drogi.

–Ile czasu minęło, odkąd koronowany władca wezwał duejną Domu Cereusa dla zasięgnięcia rady? – Bystre oczy kapłanki odczytały moje myśli. – Cztery pokolenia albo i więcej, jak mniemam. Zbyt długo. Nie do mnie należy przywracanie chwały Dworowi Kwiatów Kwitnących Nocą, ja dbam tylko o chwałę Naamy... Tak. Wiem, kim jesteś, Fedro nó Delaunay. – Uśmiechnęła się niespodziewanie. – Hrabina de Montreve. Twoja historia jest znana i powiadają, że nic sangoire wplotła się głęboko w gobelin wojny i zdrady, która niemal rozdarła nasz naród. Dzięki tobie potomkowie Elui i jego Towarzyszy powrócili do Domów Dworu Nocy, by się bawić do woli oraz pławić w wyblakłej glorii z bezmyślnym zapalem. Ale ty należysz teraz do

arystokracji. Czy jest wolą Naamy, żeby za twoim pośrednictwem jej świetlana obecność przeniknęła w mury pałacu i raz jeszcze opromieniła serce Terre d'Ange? Tobie odpowiem: tak.

Spojrzałam jej w oczy.

–Polityka.

Uśmiechnęła się szerzej.

–Naama nie dba o politykę ani o władzę. O chwałę, tak. Co mówi twoje serce, siostro?

Zadrżałam i odwróciłam wzrok.

–Moje serce jest rozdarte – szepnęłam.

Znów dotknęła mojej twarzy, delikatnie.

–Co mówi Kusziel?

Tym razem jej dotyk palił, rozgrzewając moją krew tak bardzo, że na mej twarzy odmalował się ciepły rumieniec. Kapłanki i kapłani mają ogromną charyzmę. Chciałam odwrócić twarz, odsunąć się od jej dłoni, uciec od smaku soli na skórze kapłanki.

–Wola Kusziela zgodna jest z wolą Naamy.

–Masz zatem odpowiedź na swoje pytanie. – Kapłanka opuściła rękę, chłodna i nieporuszona; niemalże jej pragnęłam, ale udało mi się zachować panowanie nad sobą. – A ja powtórzę swoje. Czy pragniesz odnowić śluby Naamie?

–Tak. – Tym razem powiedziałam to z głębokim przekonaniem. Pochyliłam się, żeby otworzyć klatkę, i chwyciłam w ręce drżącego gołębia. – Tak.

Wśród akolitów zapanowało poruszenie i po chwili wzajemnego potrącania jeden wystąpił z misą pełną wody i podał kropidło kapłance. Stałam, czując w dłoniach szybko bijące serce ptaka, gdy kapłanka skropiła mnie wodą.

–Na świętą rzekę Naamy, chrzczę cię do jej służby. – Stałam już tak kiedyś, będąc nieledwie dzieckiem, podczas gdy Delaunay i Alcuin z dumą czekali za moimi plecami. Teraz nikt na mnie nie czekał. Posłusznie otworzyłam usta, żeby przyjąć kawałek miodowego ciastka i wypić łyk wina. Słodycz i pożądanie. Na Eluę, jak bardzo za tym tęskniłam! Na koniec kapłanka namaściła olejem moje czoło, żeby zjednać mi łaskę. Kiedy byłam dzieckiem, nie miałam pojęcia, co to oznacza. Teraz modliłam się, żeby

znaleźć ją w służbie u Naamy.

Kiedy się dokonało, kapłanka i akolici odsunęli się Ina bok. Uklękałam przed ołtarzem, przed posągami Naamy, trzymając przed sobą gołębia. Nieodgadnione były te rzeźbione oczy; w jej służbie znajdujemy to, co sami wnosimy.

–Pani, bądź łaskawa dla swojej sługi – szepnęłam i uwolniłam gołębia.

Tym razem nie patrzyłam za nim, gdy wyrwał się z moich rąk i wzleciał ku okrągłemu okienku w kopule. Kapłanka i akolici, uśmiechnięci, śledzili go wzrokiem. Ja bez patrzenia wiedziałam, że gołąb znalazł drogę. Klęczałam z pochyloną głową, aż ręce kapłanki na moich ramionach dały mi znak, bym wstała.

–Witaj z powrotem – powiedziała i pocałowała mnie, a koniuszek jej języka przesunął się między moimi wargami. Z trudem powstrzymałam się od złapania jej za rękę, kiedy mnie puściła. Kapłanki Naamy różnią się od innych – Jej kocie oczy błysnęły w skośnych promieniach słońca, mądre i pełne zrozumienia. – Witaj z powrotem, sługo Naamy.

Potknęłam się dwa razy, opuszczając świątynię, wsparta na ramieniu akolity – Tama może wytrzymać setki lat pod naporem wody, ale kiedy raz pojawi się rysa, prędzej czy później następuje powódź. Tak właśnie się czułam przez ponad rok hamując siłę mojego pożądania. Tama zarysowała się, kiedy otworzyłam paczkę od Melisandy i zobaczyłam swój płaszcz sangoire. Na skutki nie trzeba było długo czekać.

Nie chcę przez to powiedzieć, że mniej kochałam Joscelina czy mniej go pożądałam. Od samego początku, nawet kiedy nim gardziłam, doceniałam jego piękno. Tym, którzy sądzą, że kasjelita niewprawny w sztukach miłości nie może równać się z wyszkoloną kurtyzaną, powiem krótko: nie mają racji. Kiedy Joscelin uległ – bo uległ – wniósł do naszego łóżka czysty, radosny entuzjazm, podobny zapewne do tego, z jakim Elua odbywał swoje pierwsze wędrówki po ziemi

śmiertelnych. To skarb, jakiego nikt inny mi nie dał ani nigdy nie da. Wszystkie moje nauki chłonał z zapalem odkrywcy, chętnie i naturalnie.

To wystarczało, przez pewien czas.

Teraz już nie.

Tak oto jechałam, rozdarta pomiędzy uniesieniem i poczuciem winy. Kiedy dotarłam do domu, zapadał zmierzch. Po spuszczonego wzroku stajennego poznałam, że został skarcony za to, że pozwolił mi jechać samotnie.

–Benoit – powiedziałam, a on uniósł głowę – ja jestem panią tego domu.

–Tak, pani – wymamrotał, biorąc wodze. Sama czułam się winna, bo w przeciwnym wypadku nie uważałabym swojej eskapady za ucieczkę.

Mimo wszystko oświadczyłam stanowczo:

–Postąpiłeś słusznie, spełniając moje życzenie. Tak właśnie im powiem.

Znowu coś wyburczał, a potem popędził do stajni tak prędko, że koń musiał przyspieszyć do truchtu. Z podniesioną głową weszłam w progi domu. Wszyscy na mnie czekali. Służąca dygnęła i przemknęła do wyjścia. Remy i Ti-Filip unikali mojego spojrzenia, a Fortun patrzył na mnie bez wyrazu. Za nimi dreptała nerwowo kuchmistrzyni Eugenia.

Joscelin wystąpił do przodu i złapał mnie za ramiona.

–Fedro! – Moje imię wybuchło z jego ust, głos miał chrapliwy. Potrząsnął mną lekko.
– Błogosławiony Eluo, na siedem piekieł, gdzieś ty była?!

Jego palce wbiły się w moje ciało. Zamknęłam oczy.

–Poza domem.

–Poza domem? – Białe linie wściekłości odznaczyły się na jego twarzy, tak blisko mojej. Palce nacisnęły z większą siłą. – Idiotko, jeden z nas powinien jechać z tobą! Niezależnie dokąd się wybierasz, nie powinnaś jeździć bez eskorty, rozumiesz? My nie wiemy, kim są popiecznicy Melisandy, ale oni doskonale wiedzą, kim ty jesteś! – Akcentował słowa, potrząsając mną coraz gwałtowniej. – Obiecuj, że nigdy i nigdzie nie wyjdiesz bez opieki! Do licha, co w ciebie wstąpiło?

Mocno zaciskał ręce na mych ramionach i moja głowa kołysała się pod wpływem siły jego gniewu. Ach, Eluo, jakże to było słodkie! Przemoc jest iskrą, która mnie rozpala.

Nie wiem, co odbiło się na mojej twarzy, ale Joscelin coś dostrzegł, bo opuścił ręce.

–Błogosławiony... – szepnął z odrazą, odwracając się ode mnie. Kiedy znowu przemówił, już na mnie nie patrzył. – Nie rób tego więcej.

–Joscelinie. – Czekałam, aż się odwróci. – Wiedziałeś, kim jestem.

–Tak – odparł szorstko. – A ty wiesz, kim ja byłem. Co mamy teraz zrobić, Fedro?

Nie znałam odpowiedzi, więc nic nie powiedziałam, a on odszedł. Remy wypuścił ustami długo wstrzymywane powietrze i pomacał sztylet u pasa.

–Pani, jeśli cię skrzywdzi, kasjelita czy nie...

–Zostaw go w spokoju – przerwałam mu. – Cierpi, i to z mojej winy. Daj mu spokój.

–Nie. – Teraz przemówił Fortun, powoli i z namysłem. – To wina Kasjela, pani. Nawet ty nie możesz nic na to poradzić.

–Możliwe. – Przycisnęłam ręce do oczu. – Ale to ja wybrałam swoją drogę, a Joscelin płaci za moją decyzję.

–Niemądrze mówić o winie, kiedy w grę wchodzi wola nieśmiertelnych. – Ti-Filip, żywiołowy jak zawsze, wyłowił kości z sakiewki i z szerokim uśmiechem podrzucił je wysoko. – Niech kasjelita dusi się we własnym sosie, pani, słyszałam, że to im dobrze robi. Fortun mówi, że mamy pytania dotyczące naszego planu i zwierzynę do upolowania!

–Tak. – Opuściłam ręce i popatrzyłam w ich szczerze, pełne zapału twarze, utwierdzając się w swoim postanowieniu. – W istocie. A ja muszę zaplanować swój debiut.

SZEŚĆ

W końcu los za mnie rozstrzygnął. W życiu każdego są prawidłowości zataczające kręgi i powracające jak niezliczone wariacje na dany temat. Tak wedle muzyków skomponowane są największe sonaty. Nie wiem, czy to prawda, ale umiałam dostrzec wzór wyłaniający się na gobelinie mojego życia.

Otrzymałam zaproszenie na Zimowy Bal Maskowy w pałacu.

W pierwszym takim wydarzeniu uczestniczyłam jako dziecko niespełna dziesięcioletnie, w Domu Cereusa. Tam wówczas po raz pierwszy ujrzałam Baudoina de Trevalion, księcia krwi. Teraz już nie żył, stracony za zdradę wraz ze swoją matką Lyonettą, siostrą króla Ganelona, zwaną Lwicą z Azalii. Zbierałam informacje na jej temat dla Delaunaya; wśród moich klientów była pewna markiza, znajoma Lwicy z Azalii. A jednak to nie Delaunay spowodował upadek domu Trevalion. Było to dziełem Melisandy, Melisandy i Izydora d'Aiglemort. Wtedy nikt z nas nie miał pojęcia, dlaczego Melisanda zrobiła coś takiego, bo przecież Baudoin jadł jej z ręki albo był tego bliski. On dał jej listy, które go pogrążyły, korespondencję matki z Foclaidhaz Alby, planującymi obalenie tronu Terre d'Ange.

Teraz wiem, co nią powodowało, wszyscy wiedzą. Melisanda była świadoma, że Baudoin nie wystąpi dla niej przeciwko matce, a nadto przyświecał jej znacznie ważniejszy cel. Marzyła o połączeniu Terre d'Ange i Skaldii, o stworzeniu cesarstwa, jakiego świat nie widział od czasów Tyberium. D'Aiglemort był tylko pionkiem, choć poznał swoją rolę dopiero na końcu. Wiem, bo sama mu o tym powiedziałam.

Tyle o moim pierwszym Zimowym Balu Maskowym. Co do ostatniego... Mój ostatni bal był zarazem ostatnim zleceniem, jakie przyjął jako anguisette Delaunaya, i jedynym, o jakie Melisanda poprosiła dla siebie. Tamtej Najdłuższej Nocy zarobiłam dzięki jej darowi na ukończenie marki. Odbylałam setki spotkań, lecz tylko wtedy podałam signale, umówione słowo poddania, które nakazuje klientowi zaprzestać zabawy. Wyrzekłam je dwa razy owej nocy, za drugim razem wyłącznie dlatego, że Melisanda tego chciała.

Tak oto przedstawiała się moja historia Zimowych Balów Maskowych. Kiedy Ysandra wystosowała zaproszenie, uznałam je za znak – i dlatego ze zmarszczonymi brwiami patrzyłam na swoją garderobę.

–Nie mam się w co ubrać. – Z irytacją zatrzasnęłam drzwi szaty i usiadłam gwałtownie na łóżku. Gemma, pokojówka, odłożyła miotkę z piór i szeroko otworzyła oczy. według niej miałam sukien bez liku.

–Pani. – zagadnęła nieśmiało – co myślisz o tej z szarego aksamitu? jest śliczna i... i mam brata, który terminuje u rzemieślnika wyrabiającego maski. Mógłby zrobić dla

ciebie odpowiednie dodatki, może diadem z gwiazd albo woal panny mgieł...

–Nie, dziękuję ci, Gemmo – uprzejmie odrzuciłam jej propozycję. – Gdyby nie chodziło o bal w pałacu, to by wystarczyło, a ty podsunęłaś dobry pomysł. Nie, na tę okazję potrzebuję czegoś innego. Jeśli mam zadebiutować jako sługa Naamy i hrabina, muszę mieć na sobie coś, czego nikt dotąd nie widział. – Wspierając podbródek na rękach, dumałam: – Cecylia ma rację. Potrzebna mi szwaczka.

Gemma przyniosła przybory do pisania – szybko nauczyła się odgadywać moje życzenia – i skreśliłam krótki liścik.

Cecylia Laveau-Perrin, była adeptka Domu Cereusa i jedna z największych kurtyzan swoich czasów, nadal cieszyła się względami w Dworze Nocy, bo już na drugi dzień byłam umówiona z Favrielańó Dzika Róża. Gdybym myślała, że szybkie załatwienie sprawy miało coś wspólnego z moją pozycją, to zmieniłabym zdanie w ciągu paru pierwszych minut rozmowy ze szwaczką.

Tak jak każdy z Trzynastu Domów inaczej tłumaczy postępowanie Naamy, tak również każdy z nich chlubi się różnymi talentami. Dzika Róża jest domem artystów w tuzinie dyscyplin. Są wśród nich aktorzy, poeci, malarze, rzeźbiarze, muzycy, tancerze, akrobaci i, jak się wydawało, projektanci strojów. Wszyscy adepci muszą zrobić markę przed oddaniem się swoim artystycznym zamiłowaniom, dlatego zdziwiło mnie, że młoda szwaczka stała się sławna jeszcze pod dachem swojego Domu.

Nie dziwiłam się długo.

–Hrabino – powitała mnie krótko Favrielańó Dzika Róża, obrzucając krytycznym spojrzeniem. – Czy zdajesz sobie sprawę, że wybrałaś czas najgorszy z możliwych, by ubiegać się o moje usługi? Tuziny adeptów proszą mnie o stroje na maskaradę, a poza tym zjawiasz się niemal w ostatniej chwili.

Zamrugalam, zbита z tropu. Nie była starsza ode mnie, być może nawet o rok lub dwa lata młodsza. Miała duże szare oczy, rudozłotą kędzierzawą czuprynę i urocze piegi na nosku – poszczególne Domy określają ich dopuszczalną liczbę. Piegi Favrieli mieściły się w kanonie piękna... w przeciwieństwie do brzydkiej blizny, która lekko wykrzywiała jej górną wargę.

Spostrzegła, że ją zauważyłam.

–Możemy to mieć z głowy? Jestem wybrakowanym towarem, hrabino – powiedziała z ironią. – Nie nadaję się dla klientów, lecz mimo to muszę zrobić markę. Dlatego przyjmuję zamówienia na stroje, kiedy duejna pozwala. I choć twoja prośba jest dla mnie wielce niedogodna, nie mogę jej odtrącić. Czego więc sobie życzysz?

–Jak to się stało?

Favriela westchnęła.

–Pośliznęłam się w kąpeli – wyrecytowała bez emocji – i rozciąłam wargę. – Zerknęła na liścik i uniosła brwi. – Maskarada w pałacu, tak? O to chodzi?

–Favrielo, trochę rozumiem. – Dotknęłam jej ramienia. – Wychowałam się w Domu Cereusa ze skazą, niezdolna do służby.

–A teraz jesteś wybranką Kusziela, hrabiną de Montreve, zbawczynią kraju, bohaterką bitwy pod Troyes-le-Mont i faworytką królowej. – Skrzywiła zniekształconą wargę. – Tak, Fedro nó Delaunay, wiem. Daj mi znać, kiedy będziesz mogła także mnie przeobrazić. Na razie powiedz, czego ci trzeba.

Urażona, uniosłam brodę i odparłam zimno:

–Potrzebna mi toaleta odpowiednia dla pierwszej od stu lat arystokratki, która zadebiutuje jako sługa Naamy na królewskim balu maskowym.

–Świetnie. – Favriela splotła ręce na piersi. – Rozbierz się.

Uświadomiłam sobie, że minął długi czas, odkąd byłam poddana krytycznemu spojrzeniu adeptki Dworu Nocy. Stałam naga w przymierzalni Domu Dzikiej Róży, otoczona przez lustra, podczas gdy Favriela krążyła dookoła mnie, mrużąc szare oczy, biorąc miarę bezosobowym dotykiem, drapując na moich ramionach różne tkaniny, by sprawdzić, jak się układają.

–Mogłabyś być wyższa – mruknęła zrzędliwie. Niewiele innego mogła skrytykować. Od roku nie służyłam Naamie, ale dbałam o figurę. – Przynajmniej masz dobre proporcje. – Usatysfakcjonowana, lekko skinęła głową. – Ubierz się, a ja ci powiem, co myślę.

Ubrałam się posłusznie i usiadłam w poczekalni. Zarumieniona uczennica przyniosła napar z mięty i obsłużyła mnie z wdziękiem. Wreszcie przyszła Favriela. Bez ceremonii napiła się herbaty.

–W tym sezonie modne są przepyszne stroje – zaczęła. – Ciężkie brokaty, wielowarstwowe spódnice, koronki i lamówki, rękawy z trzema rozcięciami, maski na szerokość ramion. Uzewnętrznienie dostatku po wojnie i tak dalej. Gdybym chciała prześcignąć kostiumy, które już zaczęłam szyć dla innych, musiałabym dać tyle warstw, że ledwo mogłabyś się ruszyć. Ha. – Jej filiżanka zagrzechotała na tacy, gdy sięgnęła po kupon materiału. – Chcesz się wyróżnić, anguisette Pójdziemy w drugą stronę. W stronę prostoty.

Pogładziłam tkaninę, jedwab o splocie tak delikatnym, że spływał niczym woda pomiędzy palcami.

–Na jaki temat?

–Znasz opowieść o Marze? – Favriela pytająco uniosła brwi. Gdy pokręciłam głową, chrząknęła z niesmakiem. – wybranka Kusziela, a ciemna jak tabaka w rogu. Liwio... – zwróciła się do uczennicy – biegnij do biblioteki i przynieś mi Historię Namarry. wydanie ilustrowane.

Otworzyłam i zamknęłam usta. Ciemna jak tabaka w rogu! Władza znośnie pięcioma językami i rozwiązałam zagadkę Pana Cieśniny. Ale to prawda, Dom Dzikiej Róży stanowił większą skarbnicę wiedzy niż wszystkie akademie Siovale, przy czym znaczna część tej wiedzy znana była tylko w jego murach.

–Proszę. – Favriela otworzyła oprawioną w skórę książkę i wskazała kolorową ilustrację. Zobaczyłam smukłą, ciemnowłosą kobietę w szkarłatnej sukni, która spowijała ją niczym płomień. Włosy miała wymyślnie uczesane, a czarny woal przysłaniał jej oczy. – W piątym roku

Elui w Terre d'Ange Naama położyła się z mężczyzną skazanym na śmierć za morderstwo – przeczytała na głos. – Ów skórę miał jasną, oczy zaś czarne niczym węgle. Został powieszony za szyję i wisiał, póki nie skonał. Naama przyjęła w siebie jego nasienie i stała się brzemienna. Powiła córkę w szóstym roku Elui i nazwała ją Marą. Mara była naznaczona klątwą krwi swojego ojca i chodziła z przysłoniętymi oczami. Szukając odkupienia, poszła do Kusziela, on zaś ulitował się nad nią, wyznaczył jej pokutę i uczynił swoją służebnicą. – Słyszac mój cichy jęk protestu, Favriela zamknęła książkę. – Rozumiesz?

Rozumiałam.

–Myślisz, że Mara była anguisette.

–Całkiem możliwe. – Favriela wzruszyła ramionami. – Nie nam to osądzać – przyznała niechętnie. – Żebracy, książe i pasterze – proszę bardzo, ale Dwór Nocy nie lubi rozgłaszać, że Naama położyła się z mordercą. A jednak tak było. – Przygryzając kostki palców, popatrzyła na mnie uważnie. – Niektórzy o tym wiedzą. Myślałam, że ty też. Będiesz idealną Marą.

–To prawda, pomysł był genialny. Spojrzałam na zamkniętą książkę.

–Czy mogłabym dostać egzemplarz?

–Nie – odparła krótko. – Interesują cię książki?

– „Owoc przyszłości tkwi w glebie historii” – powiedziałam w bezbłędnym caerdicci, cytując historyka Kalpurniusza. Zaskoczenie na jej twarzy sprawiło mi sporą satysfakcję. – Mniejsza z tym. Porozmawiam z duejną. A teraz chciałabym, żebyś mi powiedziała, jak wyobrażasz sobie mój kostium.

Zaczerpnęła tchu i wykonała projekt, rysując śmiało, eleganckie linie na arkuszu papieru. Był prześliczny, wprost idealny. Nie polubiłam Favrieli i niemal życzyłam jej niepowodzenia, wystarczył jednak jeden rzut oka na szkic, a wpadłam w nieklamany zachwyty.

– Tutaj trzeba zostawić otwarty szew... – pokazała – i zaszyć go, gdy już się ubierzesz. Jeśli twoja służąca ma zwinne palce, poradzi sobie bez trudu. Nie ma innego wyjścia, z takim głębokim dekoltem na plecach. Ale przysyłanie twojej marki byłoby zbrodnią. – Favriela z roztargnieniem postukała stylusem w zęby i popatrzyła na mnie sceptycznie. – Słyszałam wiele historii i spodziewałam się, że będziesz miała pręgę na przędze od dziobu po rufę, ale twoja skóra jest gładka jak jedwab.

– Moje rany dobrze się goją – odparłam krótko. To jedyny plus bycia anguissette. wybranka Kusziela nie przetrwałaby długo, gdyby nie to dobrodziejstwo. – Ile to będzie kosztować?

– Pięćset dukatów – odparła kategorycznym tonem. Myślę, że tylko dzięki zimnej krwi moja reakcja ograniczyła się do zamrugania. Była to suma niebotyczna. Suma, której nie miałam.

– Słucham? Powiedziałaś: pięćset dukatów?

– Tkaninę trzeba ufarbować na zamówienie. Poza tym mam mało czasu. – Wzruszyła ramionami. – Odrobisz to w jedną noc, hrabino, jeśli naprawdę zamierzasz wrócić do służby Naamie. Ja muszę myśleć o marce. Szyciem dla Domu płacę za utrzymanie. Duejna

wyświadczyła mi łaskę, pozwalając przyjąć twoje zamówienie. Nie stać mnie na pracę za niższą cenę.

– Jeśli kreacja zrobi furorę, klienci z wielkich rodów Terre d'Ange zapukają do bram Domu Dzikiej Róży, prosząc o twoje usługi – zauważyłam. – Duejna na pewno ich nie odpędzi. Trzysta, nie więcej.

– Projekt jest doskonały – powiedziała Favriela stanowczo. – Jego powodzenie zależy wyłącznie od ciebie, a na to nie postawiłabym złamanego centyma. Czteryście.

– Jeśli znajdziesz inną anguissette, która bardziej ci się spodoba, posłucham z zainteresowaniem. Trzysta pięćdziesiąt. – Tyle też nie miałam, ale wiedziałam, że coś wymyślę.

–Zgoda. – Młoda szwaczka uśmiechnęła się. Tutaj nie targują się tak zawzięcie jak w Domu Przestępu, gdzie doskonale znają erotyczną siłę pieniądza, ale nie są też gamoniami. W Dworze Nocy nie uświadczysz gamonia. – Poślę po sekretarza, żeby spisał kontrakt. Liwio, przynieś barwniki. Muszę dobrać kolor do twojej marki, hrabino.

Niedługo później zakończyłyśmy rozmowę. Miałam nadzieję, że Favriela będzie dla mnie miłsza, bo nie lubiłam, gdy osoby w moim wieku odnosiły się do mnie wrogo. Ja zaczęłam czuć do niej umiarkowaną sympatię, ale jej zachowanie nie uległo zmianie.

Kostium zapowiadał się oszalamiająco.

Remy czekał na mnie w zewnętrznej poczekalni. Chłopiec w zielono-białym stroju Domu Dzikiej Róży wspierał się na jego kolanie i z rozdziawionymi ustami patrzył na sztuczkę z miedziakiem przekładanym po grzbietach palców.

–Pani – powitał mnie mój kawaler. Sprawił, że moneta zniknęła, a następnie wyjął ją z kasztanowych włosów chłopca. – Masz – powiedział do niego. – Zatrzymaj ją i ćwicz.

Chłopiec zaśmiał się, poderwał i pocałował Remy'ego w usta, a potem odskoczył i z czystej radości fiknął koziołka w powietrzu.

Remy patrzył na niego ze zdumieniem.

–Czy jako dziecko zachowywałaś się podobnie, pani?

–Nie. – Pokręciłam głową. – W Domu Cereusa uchodziłoby to za nieprzyzwoite. – Kwitnący Nocą Cereus, który oferuje piękno w najbardziej efemerycznej postaci, wyuczył mnie taktu i subtelności. – Ale mój pan, lord Delaunay, kazał mi wykonywać akrobacje – dodałam – a Hiacynt nauczył mnie różnych sztuczek.

–Umiesz robić salto? – zapytał z poważną miną Remy, lecz jego oczy zdradzały rozbawienie, gdy zerknął na mnie z ukosa.

–I otwierać zamki wytrychem. – Przypuszczam, że mi nie uwierzył, co wywołało mój śmiech. – Chodź. Muszę złożyć wizytę faktorowi i zapytać, czy udzieli mi pożyczki. Właśnie podpisałam kontrakt, z którego nie mogę się wywiązać, kawalerze, i muszę jakoś temu zaradzić.

Moim faktorem w Mieście Elui był niejaki Jacques Brenin. Traktowałam go z rewerencją należną królewskiemu skarbnikowi. Miał reputację człowieka bez skazy. Na nieszczęście ta sama

uczciwość, która czyniła go nienagannym pośrednikiem, wzbudziła w nim niechęć

do udzielenia mi pożyczki.

–Pani – powiedział i odchrząknął – udzielam pożyczek tylko za poręczeniem w naturze. Mogę liczyć na twój prawdopodobny zysk w służbie Naامية nie bardziej niż na wełnę z przyszłego wiosennego strzyżenia. Z pewnością są factorzy, którzy grają w ciemno, ja jednak tego nie pochwalam. Gdybyś chciała zastawić część ziemi Montreve albo dom w Mieście...

–Nie – zaprzeczyłam stanowczo. – Nie będę handlować spuścizną lorda Delaunaya ani dachami, pod którymi mieszkają moi ludzie. Dla spokoju sumienia nie mogę tego uczynić.

Jacques Brenin rozłożył ręce w geście bezsilności.

–Jeśli nie chcesz ryzykować...

–Messire Brenin – weszłam mu w słowo – proponuję zastaw w naturze. – Powoli, z rozmysłem podniosłam się z krzesła i zaczęłam rozpinać stanik sukni. Factor zwilżył usta koniuszkiem języka i wlepił we mnie wzrok, gdy zsunęłam rękawy i opuściłam suknię do bioder. Robiąc to, odwróciłam się do niego plecami.

Przejrzałam się w zwierciadłach w Domu Dzikiej Róży, choć bez patrzenia wiedziałam, że moja naga skóra lśni jak atlas w świetle lampy. Od dołeczków poniżej kibici do zwieńczenia karku biegła marka, śmiały, misterny wzór wytatuowany czernią, ze szkarłatnymi akcentami. Zrobił go mistrz Tielhard, największy markarz swoich czasów.

Factor głośno przełknął ślinę. Bez dalszej zwłoki nałożyłam suknię na ramiona i zasznurowałam stanik. Kiedy się odwróciłam, był blady.

–Proponujesz swoje usługi jako zabezpieczenie w razie, gdybyś nie zwróciła pożyczki. – Jego panowanie nad głosem było godne najwyższego uznania.

–Tak. – Uśmiechnęłam się. – Ale sądzę, że się wywiążę.

–Ja również tak sądzę, niestety – mruknął Jacques Brenin, oblizując usta. wypisał skrypt i podał mi kartkę. – Idź do mojej skarbniczki, ona wypłaci ci pieniądze. Zwrot w ciągu sześciu dni, dwanaście procent. I niech Elua ma w opiece twoich klientów.

Roześmiałam się.

–Dziękuję, messire Brenin.

–Nie dziękuj mi – powiedział oschle. – Mam nadzieję, że nie spłacisz długu.

SIEDEM

Przygotowania do Zimowego Balu Maskowego zabierały niewiele czasu. Raz pojechałam na przymiarkę do Favrieli z Domu Dzikiej Róży, ale okazało się, że tkanina jeszcze nie została ufarbowana.

Był to dobry czas na spotkanie z rabbim.

Umówił mnie Joscelin, który zaprzyjaźnił się z wielkim jeszuickim uczonym – nazywał się Nahum ben Izaak – w stopniu, w jakim w owym czasie potrafił się z kimkolwiek zaprzyjaźnić.

Dzień był zimny, a powietrze na dworze rzeńskie, cieszyłam się więc, że powóz zapewnia mi ochronę przed wiatrem. Wysiedliśmy na dziedzińcu i szybko weszliśmy do środka.

Dzięki naszym przyjaciółom, Taaviemu i Danele, którzy pomogli nam w ucieczce przed Sprzymierzeńcami z Kamlachu, oraz młodemu uczonemu Sethowi ben Yavinowi, który uczył mnie w Montreve, znałam wrażliwość Jeszuitów, dlatego ubrałam się skromnie. Oznajmianie wszem wobec, że jestem sługą Naamy, nie leży w mojej naturze – wbrew temu, co mogą sobie myśleć pewni pruderyjni kasjelici – ale lubię ładne stroje. Z powodu spotkania z rabbim odsunęłam na bok swoją próżność. Włożyłam suknię z brunatnej wełny, służącą mi jako strój podróżny, i okryłam ramiona grubym wełnianym szalem. Była to odzież porządna, ale taka, jaką szlachcianka ze wsi może nosić na co dzień. Uznałam, że w wełnianej czapeczce, z włosami splecionymi w warkocz, w mocnych trzewikach na nogach, jestem uosobieniem szarej skromności.

Tak w każdym razie myślałam u siebie w domu. Kiedy weszliśmy do sali jesziwy, gdzie kosze z węglami odpierały chłód, a wokół rozbrzmiewały dziecięce głosy, szybko zmieniłam zdanie.

W morzu cudzoziemskich twarzy D'Angelin wyróżnia się jak latarnia, błyskając tym zabójczym pięknem, które tnie niczym ostrze. W Mieście, wśród własnego ludu, nie pamiętałam o tym. Tutaj, gdy głosy umilkły i dzieci uniosły zaciekawiony wzrok, od razu sobie przypomniałam. Co czują Jeszuici, widząc w twarzach otaczających ich ludzi dowód na pochodzenie z bocznej gałęzi pnia ich własnej mitologii? To musi być dla nich osobliwe. Jezua ben Josef chodził po ziemi, umarł i zmartwychwstał. Jeszuici niezłomnie wierzyli, że on jest ich Masziachem, Odkupicielem i przyszłym Królem. Ale przecież Błogosławiony Elua, którego nie uznają, także chodził po ziemi i wraz ze swoimi Towarzyszami zaludnił cały kraj. W Terre d'Ange nie znajdzie się wieśniaka, niezależnie jak niskiego urodzenia, który nie miałby niebiańsko poczętego przodka; może tylko Aza kotłował się w sianie z jego antenatką sprzed trzydziestu

pokoleń, ale to nie zmienia faktu.

Tak więc dzieci wytrzeszczały oczy, podobnie zresztą jak zajmująca się nimi młoda kobieta. Joscelin chrząknął.

–Przyszliśmy na spotkanie z rabbim – powiedział z rumieńcem, choć patrzyły nie na niego, lecz na mnie. – Przepraszam, zjawiliśmy się przed czasem. Proszę kontynuować.

Ku mojemu zdziwieniu dziewczyna również pokraśniała.

–Kalebie, powiadom rabbiego, że przyszedł jego przyjaciel Joscelin Verreuil – poleciła jednemu z chłopców w uroczo akcentowanym d'Angelińskim. – I... przepraszam – zwróciła się do mnie – kto mu towarzyszy?

–Jestem Fedra nó Delaunay – odparłam i pamiętałam, żeby dodać: – Hrabina de Montreve.

–Och! – Rumieńce na jej policzkach pociemniały i poderwała rękę do ust. Opuściła ją prędko, żeby pchnąć chłopca w stronę drzwi. – Pospiesz się, Kalebie.

Niedługo później zjawił się wysoki, poważny mężczyzna w średnim wieku.

–Przepraszam, hrabino – rzekł z lekkim ukłonem. – Spodziewaliśmy się was o trzech dzwonach, ale rabbi przyjmie cię teraz. – Uśmiechnął się do Joscelina. – Miło cię widzieć, bracie Verreuil, przyjacielu apostato.

–Baruch hatah Adonai, ojcze. – Joscelin odwzajemnił uśmiech i złożył kasjelicki ukłon. – Tędy – powiedział do mnie, wskazując ręką.

Ile razy był tutaj od czasu pierwszej wizyty? Kilka, a jednak znał korytarze i kroczył pewnie za naszym przewodnikiem. Mijaliśmy małe klitki do nauki, z których płynął pomruk głosów starszych studentów, recytujących ustępy na wpół mi znajome.

Gabinet rabbiego był większy, choć kiepsko oświetlony. Nasz przewodnik poprosił, byśmy zaczekali w korytarzu, i wprowadził nas dopiero po chwili.

Joscelin mówił prawdę. Nahum ben Izaak rzeczywiście budził onieśmienie. Nie oparł się niszczącemu wpływowi czasu, każdy jednak mógł zobaczyć, że w młodości był potężnym mężczyzną, a jego szerokie ramiona wciąż prężyły się pod czarnym materiałem stroju. Musiał się zbliżyć do osiemdziesiątki. Jego prawie zupełnie białe włosy były poprzetykane nielicznymi nitkami czerni. Nie stracił ich ani trochę – czuprynę miał bujną, pejsy niemal zakrywały końce modlitewnego szala, a równo przycięta broda sięgała do pasa. Z twarzy, która przypominała zmięty pergamin, patrzyły na mnie przenikliwe oczy.

–Wejdźcie. – Mówił z dziwnym akcentem, jak młoda nauczycielka, ale głos miał bardziej chrapliwy. Joscelin skłonił się, ponownie mrużąc błogosławieństwo, i zajął miejsce na niskim stołeczku u jego stóp. Ku mojemu zdziwieniu rabbi poklepał go po policzku. – Jesteś dobrym chłopcem, jak na apostatę. – Bezlitosne oczy powróciły na mnie. – A więc to ty.

–Fedra nó Delaunay de Montreuve, ojciec. – Pochyliłam głowę. Nie dygnęłam, choć kosztowało mnie to sporo wysiłku. Hrabina czy nie, jestem wyszkolona do okazywania szacunku ludziom godnym, a od niego wręcz biła powaga.

–Sługa Naamy. – Słowa dosłownie ścinały się mu na języku. – Zwij się, jak tylko chcesz, dziewczyno. Wiem, kim jesteś. Te wymyślne tytuły nie wywiodą mnie w pole. Dlaczego ktoś taki chce studiować habiru i nauki Masziacha?

Zwiemy ich Jezuiciami, teraz oni sami też się tak nazywają. Przedtem byli Dziećmi Yisraela, a jeszcze wcześniej plemiennym ludem Habiru żyjącym na pograniczach Khebbel-im-Akad. Od tego plemienia jezuicy uczeni wywodzą nazwę swojego starożytnego języka. Jeśli rabbi myślał, że zamrugam z konsternacji, to się pomylił. Wciąż jako jedna z nielicznych D'Angelinów wyznaję się na podziałach Cruithnów, których badacze z Caerdicci nazwali Piktami. Delaunay kazał mi się uczyć takich rzeczy i nadal mam do tego smykałkę. Usiadłam na drugim stołeczku, starannie układając spódnice.

–Trochę się orientuję w naukach Jezuici ben Josefa, ojciec – powiedziałam, biorąc głęboki oddech. – Wszyscy potomkowie Błogosławionego Elui i jego Towarzyszy znają opowieść o Masziachu, jest ona bowiem także częścią naszych dziejów. Mnie jednak interesują najstarsze nauki, księga Tanach, a zwłaszcza midraszim, zapisany lub przekazywany ustnie. W tym celu muszę poznać habiru.

Rabbi zamrugął; zapewne nie spodziewał się usłyszeć takich słów z ust sługi Naamy. Mimo wszystko powtórzył swoje pytanie, choć teraz z chytrym błyskiem w starych oczach.

–Dlaczego?

Odpowiedziałam pytaniem:

–Co wiesz o Zaginionej Księdze Razjela, ojciec?

–Ba! – Nahum ben Izaak lekceważąco machnął ręką. – Mówisz o księdze wszechwiedzy, którą Adonai dał Edomowi, Pierwszemu Człowiekowi? Bajki dla dzieci, nic więcej.

–Nie. – Z przekonaniem pokręciłam głowę. – A co z Panem Cieśniny, ojciec? Czy to opowieść do straszenia dzieci?

Z zadumą skubnął brodę.

–Żeglarze powiadają, że nie. Żeglarze z reguły kłamią. Ale niebezpieczeństwa czyhające na tym wąskim pasie wody, który mógłbym przerzucić kamieniem, nie kłamią. – Tak, jego oczy zdecydowanie miały chytry wyraz. – Mówisz, że ma to coś wspólnego z Sefer Razel?

–Tak. – Pochyliłam się ku niemu. – I aniołem Rahabem, który spłodził dziecko ze śmiertelną kobietą. Bóg Jedyny ukarał oboje. Rahab wyniósł z głębin stronice, rozrzucone stronice z Zaginionej Księgi Razjela, dał je swojemu synowi i zobowiązał go do odsłużenia kary jako Pan Cieśniny, chyba że ktoś rozwikła tajemnicę i zajmie jego miejsce.

Rabbi zawzięcie przeżuwał kosmyk brody. Nie sądziłam, żeby zdawał sobie sprawę, co robi... przynajmniej nie z brodą.

–To dobra opowieść – przyznał niechętnie. – Ale nic ponadto.

–Nie – wtrącił cicho Joscelin. – Nie tylko opowieść, ojcze. Ja też tam byłem. Widziałem Oblicze z Wody i byłem niesiony przez falę, która się nie łamała. Znam też Cygana, który zgłębił tajemnicę. Był... – Po chwili wahania dokończył pewnie: – Był moim przyjacielem.

Poczułam wdzięczność do niego za te słowa. Joscelin podchwycił moje spojrzenie i uśmiechnął się smutno. Przez chwilę czułam się tak, jakby nic nie zmieniło się między nami.

–Cygan! – Rabbi był wstrząśnięty. Obawiam się, że nikt nie odnosi się do Cyganów z większą pogardą niż Jeszuici.

–Był księciem wśród swojego ludu – powiedziałam, ostro – z darem drornonde, który pozwala spoglądać wstecz i do przodu. Jest moim przyjacielem i proszę, ojcze, żebyś nie szydził z niego w mojej obecności.

–Nie zwracaj na to uwagi. – Rabbi znów lekceważąco machnął ręką. – Ha. – Przeszył mnie świdrującym wzrokiem. – Czy dobrze rozumiem, sługo Naamy? Pragniesz studiować język habiru, aby otworzyć łańcuchy, które skuwają twojego cygańskiego przyjaciela. Szukasz sposobu, żeby zmusić do posłuszeństwa wysłanników samego Adonai.

–Tak – odparłam zwięźle.

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu rabbi wybuchnął śmiechem.

–Ha. – Potrząsając głową, wyjął z ust pasemko brody. – Proszę, proszę. – Może

jednak wiedział, że przeżuwał kosmyk. – Słowo Jeszui nakazuje mi nieść pomoc, gdzie tylko mogę – rzekł łagodnie – i wydaje się, że prosisz mnie nie bez powodu, sługo Naamy. Twierdzisz, że studiowałaś pod kierunkiem Setha ben Yavina z L'Arene, on zaś pisze, iż nie jesteś złym uczniem, choć przyprawiłabyś o rumieniec wstydu samą Magdalenę. On jednak jest młody, a ja młodym ludziom ufam nie bardziej niż żeglarzom. Powiedz mi, co to oznacza? – Z gęstwiny brody wyluskał naszyjnik, noszony na łańcuszku blisko serca.

Wystarczył jeden rzut oka, bo symbol wykuty w srebrze był mi dobrze znany. Szerokie, płaskie pociągnięcie pędzlem nad dwiema nóżkami, z ogonkiem wijącym się po lewej stronie.

–To słowo Chat, ojcze, złożone z liter Chet i Jud z języka habiru.

–A co oznacza? – Popatrzył na mnie chytrze.

–Żywy – odparłam z przekonaniem. – To symbol zmartwychwstania Jeszui, dowód, że Masziach powstał z martwych i żyje, i że powróci jako przyszły król, by ustanowić swoje królestwo na ziemi.

–Ha. – Nahum ben Izaak schował naszyjnik pod brodę. – Wygląda na to, że Seth czegoś cię nauczył. A jednak nie wierzysz.

Podalam jedyną odpowiedź, jaka mi się nasunęła:

–Ojcze, ani wierzę, ani nie wierzę. Jestem D'Angelina.

–Nawet D'Angelin może dostać odkupienia. – Rabbi poprawił szal modlitewny. – Nie ma grzechu krwi ani ciała tak wielkiego, żeby nie odkupiła go śmierć Masziacha. – Zerknął na Joscelina, który unikał mojego spojrzenia. – Niech zatem tak będzie. Nauczę cię, sługo Naamy, ile jestem w stanie. – Otworzyłam usta, żeby mu podziękować, a on uniesionym palcem nakazał mi milczenie. – Mam jednak prośbę. Dopóki nie wyrzekniesz się życia w grzechu, będziesz przychodzić tylko na moje wezwanie. Masz przestrzegać naszych obyczajów i z nikim nie rozmawiać. Nie wolno ci pokazywać się naszym dzieciom. Czy akceptujesz te warunki?

Poczułam się dotknięta i chciałam odpowiedzieć ostro, ale zmieniłam zdanie. Oczami wyobraźni ujrzałam wesołą twarz Hiacynta, jego roziskrzone czarne oczy i białe zęby błyskające w uśmiechu. Skazany na osiemset lat pobytu na samotnej wyspie...

–Tak, ojcze. – Potrafię mówić bardzo potulnie, kiedy zachodzi potrzeba. – Zrobię, co każesz.

–To dobrze. – Rabbi klasnął w ręce. – W takim razie przez następny tydzień

będziesz studiować Bereszeit, pierwszą księgę Tanachu. Zaczniemy, jak jest napisane, „Od początku”. I możesz być pewna, że kiedy cię wezwę, to dokładnie przepytam. – Popatrz na mnie gniewnie. – W habiru! Nie będziesz rozmawiać ze mną w języku, który zwiecie jesusickim, jasne?

–Tak – szepnęłam. – Dziękuję, ojcie.

–Baruch hatah Jeszua a'Masziach, lo ha'lam – zaintonował rabbi i machnął ręką. – Teraz odejź. I włoż na siebie coś przyzwoitego, zanim znów się tu zjawisz.

Na dworze Joscelin patrzył na mnie koso, bez potrzeby poprawiając uprzęż zaprzęgowych koni. Na dziedzińcu panowała cisza, dzieci nie było w polu widzenia, dzięki niech będą Elui. Nie chciałam nikogo urazić tuż po dośściu do porozumienia z rabbim.

–Jest wielkim człowiekiem, Fedro – powiedział Joscelin powściągliwie. – Nie zamierzał ci uchybić.

–Ja zaś jestem ucieleśnieniem obrazy dla wszystkiego, co on uważa za święte – odparłam chłodno. – Rozumiem, Joscelinie. Zrobię, co w mojej mocy, żeby go nie urazić. Mam nadzieję, że pomoże nam znaleźć sposób na uwolnienie Hiacynta, tylko to się liczy. Chyba że się boisz, iż przeszkodzę ci w odkupieniu.

Moje ostatnie słowa były niesprawiedliwe i dobrze to wiedziałam. Joscelin zadrżał, jakby sprawiły mu ból.

–Nie szukam odkupienia – rzekł niskim, szorstkim głosem. – Po prostu rabbi jako pierwszy uświadomił mi, że nie muszę ani narażać się na potępienie Kasjela, ani traktować swoich ślubów z takim lekceważeniem, jakby były tylko jakimś przestarzałym konwenansem!

–Joscelinie! – Cofnęłam się o krok, zaskoczona. – Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam!

–Nie. Wiem. Ale tak myślałaś. – Znów wzruszył ramionami i odwrócił się, żeby po raz kolejny sprawdzić sprzączki upręży. – Wsiadaj do powozu – polecił stłumionym głosem. – Zawiozę cię do domu.

Była to długa jazda, cicha i samotna.

OSIEM

Nazajutrz odwiedziła mnie Thelesis de Mornay, a ja przyjął ją z niekłamanym zadowoleniem. Nadworna poetka miała niemal pospolite rysy i jej urodę można by nazwać przeciętną, gdyby nie błyszczące ciemne oczy. Miała też melodyjny głos; każdy słuchał jej z przyjemnością.

–Fedro... – Thelesis objęła mnie z uśmiechem i blaskiem w oczach – przepraszam, że wcześniej do ciebie nie przyszłam. Wybacz, że zjawiam się bez uprzedzenia.

–Wybacz...? Chyba nie ma osoby, którą bardziej pragnęłabym zobaczyć – zapewniłam, ściskając jej rękę. To była prawda. Kiedyś, gdy myślałam, że pogrążam się w otchłani rozpacz, Thelesis podała mi pomocną dłoń. Teraz wiem, że cierpiałam tylko z dziecięcej zazdrości, lecz to nie umniejszało jej dobroci i taktu.

Delaunay także ją cenił i miał do niej zaufanie. Kiedy po ucieczce ze Skaldii wróciłam z Joscelinem do Miasta i dowiedziałam się, że zostaliśmy skazani zaocznie za zamordowanie Delaunaya, Thelesis pomogła nam w sekrecie i wyjednała audiencję u Ysandry. Powierzyłam jej wtedy życie i w razie potrzeby zrobiłabym to znowu.

–Proszę. – Skinęła na lokaja w barwach domu Courcel. Sługa podniósł dużą drewnianą skrzynkę. – Przyniosłam ci prezent.

–Nie musiałaś tego robić – zaprotestowałam.

Thelesis uśmiechnęła się.

–Ale zrobiłam. Poczekaj, a zobaczysz.

Przeszliśmy do bawialni, Gemma przyniosła kieliszki z likierem. Thelesis wypła łyżek i zakaszła cicho.

–Wciąż niedomagasz? – zapytałam ze współczuciem. W czasie Najsroźszej Zimy zaraziła się gorączką, która zabiła wielu ludzi.

–Przejdzie. – Na chwilę przyłożyła rękę do piersi. – Śmiało, otwórz.

Skrzynka stała na stole pomiędzy nami. Odchyliłam wieko i zajrzałam do środka. Wyciągnęłam kłębki bawełny, które skrywały niewielkie marmurowe popiersie. Podniosłam je w drżących dłoniach, spojrzałam.

Była to podobizna Anafiela Delaunaya.

Rzeźbiarz przedstawił go w kwiecie wieku, trzydziestokilkuletniego, w całym surowym pięknie: dumne rysy, cierpko wykrzywione usta, spojrzenie ironiczne i

zarazem czułe, gruby warkocz przerzucony przez ramię. Marmur nie oddawał barw, naturalnie; Delaunay miał za życia orzechowe oczy, z topazowymi błyskami, i włosy w kolorze kasztanów. Ale twarz... Na Eluę! Tak, to był on.

–Dziękuję – szepnęłam drżącym głosem, bo nagle żal uderzył mnie i odczułam ten cios niemal fizycznie. – Dziękuję, Thelesis... Błogosławiony Eluo, brakuje mi go, tak bardzo mi go

brakuje! – Popatrzyła na mnie z zafascynowaniem, a ja potrząsnęłam głową, próbując odeprzeć nawał uczuć. – Nie martw się, nie... Podoba mi się, naprawdę, jest piękne, a ty jesteś najserdeczniejszą przyjaciółką. To tylko tęsknota za nim. Myślałam, że już go opłakałam, ale widok tej rzeźby... I Alcuin, i Hiacynt, i teraz Joscelin... – Chciałam się roześmiać. Śmiech uwiązł mi w gardle, zduszony przez łzy. – Joscelin chce mnie zostawić, by pójść własną ścieżką, może nawet zostanie Jesuitą, och, Eluo, ja tylko...

–Fedro. – Thelesis delikatnie wyjęła popiersie z moich rąk, postawiła je na stole i czekała cicho, aż minie atak szlochów, które mną wstrząsały. – Nic nie szkodzi. Masz prawo rozpaczać. Mnie też go brakuje, a przecież był tylko moim przyjacielem, nie panem i mistrzem. – Jej słowa nie miały znaczenia. Mogła mówić cokolwiek swym kojącym głosem.

–Tak mi przykro. – Schowałam twarz w dłoniach. Po chwili odsunęłam ręce i zamrugałam, patrząc na nią przez łzy. – Naprawdę, to najcudowniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam. Mam nadzieję, że będę mogła się odwdzięczyć – powiedziałam uprzejmie, choć nie mogłam się powstrzymać od pociągania nosem.

–Rada jestem, że ci się podoba. Złożyłam zamówienie u rzeźbiarza, który znał go dobrze. – Dotknęła popiersia i pogładziła marmur. – Miał wpływ na ludzi, Anafiel Delaunay.

Pokiwałam głową, wycierając mokre od łez policzki.

–W istocie.

–Tak. – Thelesis popatrzyła na mnie z powagą. – Fedro. – Jedno słowo, moje imię. To dar poetów, przechodzenie do sedna jednym słowem. – Dlaczego?

Każdego innego mogłabym okłamać, powiedziałam nieprawdę Cecylii i samej Ysandrze de la Courcel. Ale Thelesis była poetką, a jej ciemne oczy umiały zajrzeć w duszę. Gdyby nie choroba, ona zamiast mnie popłynęłaby do Alby. Winna byłam jej prawdę, przynajmniej tyle mogłam zrobić.

–Przepraszam cię na chwilę – powiedziałam i poszłam po płaszcz sangoire. Podałam jej kłęb aksamitu barwy krwi o północy. – Pamiętasz?

–Twój płaszcz. – Pochyliła nad nim głowę. – Pamiętam.

–W pewien sposób ocalił mi życie. – Zdałam sobie sprawę, że mimowolnie spaceruję po pokoju, i zmusiłam się do zajęcia miejsca. – Zbrojni Ysandry też go zapamiętali w dzień śmierci Delaunaya. Zapamiętali anguisette w płaszczu sangoire i członka Bractwa Kasjelitów, ubiegających się o posłuchanie u księżniczki. Płaszcz potwierdził nasze słowa. Ale po tym dniu więcej go nie widziałam. Zdjęłam go w komnatach Melisandy Szachrizaj, która poczęstowała mnie kieliszkiem likieru. – Przypomniałam sobie o własnym i napiłam się, krzywiąc usta. – Zbudziłam się na wozie z płócienną budą, w połowie drogi do skaldyjskiej granicy, owinięta w wełniane koce, bez płaszcza. – W międzyczasie zaszło coś więcej, ale Thelesis nie musiała o tym wiedzieć. Zdarzenie dotyczyło Melisandy i ostrych jak brzytwa narzędzi, które zważyły strzałkami, oraz sporej dozy mojego wrzasku. Powiedziałam Melisandzie wszystko, co chciała, oprócz

podania signale i treści wiadomości Kwityliusza Rouse dla Delaunaya. Wciąż o tym śniłam i, Eluo wybac, niektóre fragmenty snów były przewyborne. – Odzyskałam go tej jesieni.

–Jak? – zapytała Thelesis czujnie.

–Gonzago de Escabares. – Wsparłam brodę na rękach i zapatrzyłam się na popiersie Delaunaya. – Jego znajomy spotkał w La Serenissimie kobietę, piękną kobietę. Ona dała mu paczkę, żeby przekazał ją swojemu przyjacielowi, który wybierał się na spotkanie z hrabiną de Montreve. – Wskazałam płaszcz. – Był w paczce.

–Melisanda – szepnęła. – Fedro, czy powiedziałaś królowej?

Pokręciłam głową.

–Nikom, z wyjątkiem Joscelina i moich chłopców. Oni wiedzą. Zapytałam Ysandrę, kiedy mnie przyjęła, czy słyszała coś o losie Melisandy. Odparła, że zasięgała informacji we wszystkich większych miastach od Aragonii po Caerdicca Unitas. Nikt jej nie widział. W La Serenissimie rezyduje Benedykt de la Courcel. Ysandra jest pewna, że zakułby ją w łańcuchy, gdyby tylko się pokazała. Cisza.

–Benedykt de la Courcel ma d'Angelińską żonkę – powiedziała cierpko Thelesis – i w swoim dzieciństwie umyślił sobie zostać ojcem. Wedle powszechnego mniemania nie zauważyłby Melisandy, nawet gdyby kopała go po goleniach.

–Możliwe. – Wzruszyłam ramionami. – Tak czy inaczej, dobrze się ukryła. Wiem jedno: ktoś pomógł jej uciec z Troyes-le-Mont. I ktokolwiek to był, zajmował pozycję na tyle wysoką, że wartownicy przepuścili go bez indagowania. Strażnik przy tylnej bramie zginął od ciosu sztyletem w serce. Zabójca musiał podejść bardzo blisko bez

wzbudzania podejrzeń ofiary. – Rozłożyłam ręce. – Nie było cię tam, Thelesis. Ja byłam. Mogę policzyć na palcach ludzi, którzy wchodzi w rachubę. A ten płaszcz? – Skubnęłam aksamitną fałdę. – To wiadomość Melisandy, zaproszenie do gry. Ktokolwiek jej pomógł, mam szansę go zdemaskować.

Nadworna poetka zrobiła taką minę, jakby zaraz miała się rozchorować.

–Musisz powiedzieć Ysandrze. Jeśli nie jej, to przynajmniej... przynajmniej Gasparowi. On ci pomoże.

–Nie – zaprzeczyłam cicho. – On też wchodzi w rachubę, Thelesis.

–Gaspar? – Na jej twarzy odmalowało się niedowierzanie, i nic dziwnego. Gaspar Trevalion, hrabia de Forcay, był jednym z niewielu ludzi, których Delaunay darzył bezgranicznym zaufaniem. Stał za nim murem, kiedy sieć zacisnęła się wokół rodu Trevalion.

–Gaspar – potwierdziłam nieubłaganie. – Thelesis, kimkolwiek jest zdrajca, walczył po naszej stronie, nie rozumiesz? To musi być ktoś, komu ufaliśmy, do kogo nie mieliśmy żadnych zastrzeżeń, wartownicy nie przepuściliby bez pytania diuka de Morhban, chociaż jest suwerennym księciem Kuszetu. Obiecuj mi, że nikomu nie piśniesz słówka. Ani Casparowi, ani Ysandrze... nikomu. Kimkolwiek jest wspólnik Melisandy, jeśli dowie się, do czego zmierzam, nabierze wody w usta, to pewne jak sama śmierć.

–Sądziś więc... – zaczęła z zadumą – naprawdę sądziś, że coś się komuś wypśnie w łózkowej pogawędce, gdy będzie cię gościć jako sługę Naamy?

–Nie. – Pokręciłam głową. – Taka głupia nie jestem, wierz mi. Po prostu myślę, że gdzieś są jakieś luźne nici. Jeśli dopisze mi szczęście, z wolą Naamy i Kusziela trafię po nich do kłębka. Zdaję sobie sprawę, że szanse są niewielkie, ale są, a ja nie mam nic do stracenia. Melisanda stosuje własne zasady, lecz gra według nich uczciwie. Gdyby nie było żadnych szans... – podniosłam aksamitny płaszcz – nie rzuciłaby mi wyzwania.

–Chyba zwariowałaś. – Tylko Thelesis de Mornay mogła delikatnie wypowiedzieć takie słowa. – Bardziej niż Delaunay, a uważałam go za szaleńca, gdy postanowił honorować tę nedorzeczną przysięgę złożoną Rolandowi de la Courcel. – Miała rację, bo w konsekwencji mój pan ucierpiał srodze z powodu wrogości żony Rolanda, Izabeli L'Envers, ale on zawsze dotrzymywał słowa. Oni wszyscy już nie żyli, i to żywi mieli ponieść koszty. Thelesis z westchnieniem rzuciła płaszcz sangoire na moje kolana. – Ale spełnię cwojąprośbę, ponieważ jesteś uczennicą Delaunaya i nosisz znak Strzały Kusziela, a poetce nie wolno sprzeciwiać się woli nieśmiertelnych. Mimo wszystko powinnaś dobrze się zastanowić. Diuk L'Envers ani trochę nie jest

zainteresowany doprowadzeniem do detronizacji Ysandry.

–Barquiel L'Envers stoi wysoko na mojej liście podejrzanych.

Thelesis de Mornay zaśmiała się niewesoło.

–Anafielu... – powiedziała, zwracając się do popiersia Delaunaya – to ty, a nie ja, powinieneś zostać nadwornym poetą i zostawić tę małą na łasce Domu waleriany. – To prawda, gdyby Delaunay nie zabrał mnie z Domu Cereusa, Waleriana kupiłaby moją markę. Ich specjalnością jest kształcenie adeptów, którzy znajdują przyjemność w bólu. Ale nie oni mnie znaleźli, tylko Delaunay. – Powiedz mi... – Thelesis zmieniła temat – o co chodzi z dołączeniem Joscelina Verreuil do wyznawców Jezui?

Opowiedziałam jej całą historię, od początku do końca, a ona słuchała bez wydawania sądów, jak na prawdziwego przyjaciela przystało. Kiedy skończyłam, współczująco ścisnęła moją rękę.

–Cierpi – rzekła łagodnie. – Zraniłaś go głęboko, umyślnie czy nie. Decyzja należy do niego, Fedro, i ty nie możesz jej podjąć. Pozwól mu dokonać wyboru. Kiedy Bóg Jedyńy wysłał posłańców, żeby wezwali Eluę do powrotu, Kasjel podał sztylet, z pomocą którego Błogosławiony udzielił odpowiedzi. Ale nigdy nie słyszałam, żeby Elua go o to poprosił.

Miała rację, nie mogłam temu zaprzeczyć. Bawiłam się płaszczem, układając aksamitne fałdy.

–Myślisz, że to prawda? – zapytałam po chwili. – Jezua może zmazywać grzechy?

–Nie wiem – odparła z zadumą. – Bogowie mają dziwne obyczaje, a Jeszuici, podobnie jak kasjelici, pojmują grzech inaczej niż my. Nie wiem. Hellenowie twierdzą, że potomkowie rodu Minosa mają dar zdejmowania z człowieka klątwy krwi. To dar Zagreusa, po tym, jak

odpukutowali... ha, znasz tę historię. – Znałam, bo przecież nosiłam pechowe imię królowej z tego rodu. – Ale słyszałam także, że niewielu ludzi znosi ów proces bez utraty zmysłów.

Zadrżałam, bo była to myśl przerażająca.

–Ha, dzięki Elui, że nikt z nas nie potrzebuje oczyszczenia. Posłucham twojej rady i dam Joscelinowi wolną rękę. Kiedyś kapłan przepowiedział mu, że zawsze będzie stać na rozdrożu i wybierać drogę. Boję się, że ten rabbi wskazuje mu trzecią ścieżkę.

–Ścieżek zawsze jest wiele – zauważyła filozoficznie Thelesis de Mornay – a my

musimy dokonywać wyboru. – Wstała. – Fedro, dziękuję ci za gościnę i za... – uśmiechnęła się – za zaufanie. Uszanuję je, obiecuję. Ty obiecaj mi w zamian, że będziesz ostrożna i wyjawisz Ysandrze wszystko, czego się dowiesz. – Uniosła brwi. – Zakładam, że jej nie podejrzewasz?

–Nie – odparłam ze śmiechem. – Jej nie. Poza mną i prawdopodobnie Joscelinem Ysandra de la Courcel jest jedyną osobą, która, w co święcie wierzę, nie miała żadnego interesu w uwolnieniu Melisandy. I powiem ci, że gdyby mnie tam nie było, zapewne podejrzewałabym również siebie. Dziękuję, Thelesis. – Wstałam, żeby ją uściskać. – Przepraszam za swoje niemądre zachowanie. Naprawdę nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę z twojego prezentu.

–Miło mi. – Odwzajemniła uścisk. – Fedro, zawsze możesz odwiedzić mnie w pałacu, obojętne z jakiego powodu.

–Nie omieszka – obiecałam, odprowadzając ją do drzwi.

Po wyjściu Thelesis wróciłam do bawialni i spojrzałam na popiersie Delaunaya. Ach, panie, co byś mi powiedział, gdybyś mógł to zrobić?

Piękna marmurowa twarz uśmiechała się tajemniczo.

Byłam zdana wyłącznie na siebie.

DZIEWIĘĆ

Dostarczono materiał na moją suknię, a kurier przyniósł wiadomość od Favrieli ó Dziką Różą, że mam przyjść do przymiarki. Ale jeszcze jedna sprawa związana z maskaradą w pałacu pozostała nierozstrzygnięta.

–Chciałabym, żebyś mi towarzyszył – powiedziałam do Joscelina. – Jeśli jednak wolisz odprawić czuwanie, zrozumiem.

Zawarliśmy swego rodzaju pokój. Joscelin przyniósł pięknie wykuty cokół z czarnego marmuru pod popiersie Delaunaya, co uznałam za milczące przeprosiny. Nie pytałam, skąd wziął pieniądze. Później dowiedziałam się, że zastawił nabijany klejnotami sztylet, dar Ysandry.

–Myślę, że będzie lepiej, gdy weźmiesz jednego z chłopców – mruknął. – Ja nie... Minął długi czas, odkąd w Najdłuższą Noc czuwałem ku czci Elui, Fedro. W obecnej chwili bardziej mi to odpowiada niż picie joie z wielmożami. – Uśmiechnął się leciutko, aby załagodzić słowa. – Niech Fortun ci towarzyszy, ma więcej rozumu niż dwaj pozostali.

–Zgoda. – W drodze do drzwi pochyliłam się, żeby pocałować go w czoło, a on zadrżał pod dotykiem moich ust.

Fortun udał się ze mną do Domu Dzikiej Róży, gdzie Favriela z aprobatą otaksowała go wzrokiem.

–Asmodel – powiedziała, mierzając ręką szerokość jego ramion. – Jeden z siedmiu wysłanników piekła, którzy służyli Kuszielowi. Ubierzemy go w czarny aksamitny wams, a na szyi zawiesimy łańcuch z wielkim mosiężnym kluczem. Do tego rogata maska z czarnego atłasu. Odpowiedni sługa dla Mary. Noreis! – podniosła głos, przywołując krawca. Nie był adeptem, ale podszedł natychmiast. – Zajmiesz się tym? Prosta elegancja, bez niedorzecznej przesady modnej w tym sezonie.

–Oczywiście. – Skłonił głowę. Geniusz włada w Domu Dzikiej Róży. Być może Favriela nie nadawała się do służby Naamie, ale zdecydowanie królowała w przymierzalni.

–Dobrze. – Favriela odwróciła się do mnie, westchnąwszy. – Zobaczymy, jak to wygląda.

Kiedy się rozebrałam i włożyłam sfastrygowaną suknię, chcąc nie chcąc, musiałam oddać hołd jej talentowi. Strój był naprawdę wspaniały. Szkarłatny jedwab idealnie harmonizował z akcentami marki i spływał po mojej skórze jak żywy. Stałam na stołku i z zachwytem patrzyłam na swoje odbicie w lustrze. Favriela krążyła wokół mnie,

zbierając materiał i spinając zakładki szpilkami.

–Favrielo, moja słodka! – Drzwi otworzyły się i do przymierzalni wszedł wysoki adept w wieku około trzydziestu pięciu lat, z wesołymi oczami w przystojnej, żywej twarzy. – Gdzie mój trzywarstwowy płaszcz Trubadura z Eisandy? Jestem umówiony na wieczorne przyjęcie u lorda Oriona, a duejna obiecała mu prywatne przedstawienie! – Zobaczył mnie, zatrzymał się i złożył wykwintny ukłon. – wybacz, łaskawa pani... – Jego dźwięczny głos wyciszył się, a spojrzenie

zbystrzało, gdy przesuwiał je wzdłuż mojej marki. W lustrze spojrzął mi w oczy, znalazł szkarłatną plamkę. – Pani, to w istocie ty. Fedra nó Delaunay de Montreve, o ile się nie mylę.

–Rousillon nó Dzika Róża. – Uśmiechnęłam się. Jego satyry były słynne w Progu Nocy i kiedyś sama słyszałam, jak je deklamował. – Miło cię poznać.

–A ja tu wchodzę bez jednego rymu! – Udał zawstydzenie, potem stanął w afektowanej pozie. – Waldemar Selig był skaldyjskim wodzem... wyrecytował – Waldemar Selig miał ogromny miecz, nie zdołał jednak wyjść w bitwie na swoje, z ręki lzydora spotkała go śmierć. Lepiej nie zadzierać ze Strzałą Kusziela.

Po drugiej stronie pokoju Fortun parsknął śmiechem. Był tam, na polu bitwy, kiedy lzydor d'Aiglemort zabił Waldemara Seliga. Osobiście uważam, że największy zdrajca Terre d'Ange odpokutował swój haniebny postępek, uśmiercając największego nieprzyjaciela kraju i płacąc za to życiem.

Mimo wszystko cieszyłam się, że stać mnie na śmiech.

–Jeszcze nie skończyłem – zaznaczył Roussillon uprzejmie, chrząknął i podjął: – Waldemar Selig miał chrapkę na ziemie, dlatego ruszył ze Skaldii na łowy. Żądza trawiła jego przyrodzenie, więc za późno poszedł po rozum do głowy. Lepiej nie mieć Fedry za nieprzyjaciela.

Roześmiałam się głośno, kdaszcząc w ręce. Roussillon zgiął się w ukłonie, a Favriela zamruczała z odrazą. Skrzywiłam się, gdy niebacznie ukuła mnie szpilką.

–Trzeba podłożyć rąbek – powiedziała ze złością do satyryka. – Za godzinę podeślę strój do twojego pokoju. Idź już i przestań mnie rozpraszać swoimi tanimi rymowankami!

Z wielkim przekonaniem zamarkował przestrach, a ja z trudem powstrzymałam się od śmiechu.

–Dziękuję! – zawołał wylewnie. Chwycił ręce Favrieli i ucałował je, choć się broniła. – Jesteś aniołem wśród szwaczek, bezcennym skarbem! Zapalę świeczkę na twoją

intencję. – Puścił ją i uśmiechnął się do mnie, tym razem bez cienia sztuczności. – Pozwolę sobie powiedzieć, że jestem zaszczycony, pani, iż mogłem cię poznać. Słudzy Naamy są twoimi dłużnikami.

–Dziękuję. – Z powagą odwzajemniłam uśmiech. Roussillon skłonił się zamasyście i wyszedł.

–Gadający osioł! – mruknęła Favriela. Podniosła upuszczoną szpilkę i ze złością wbiła ją w jedwabną tkaninę. Delikatny materiał ustąpił łatwo i szpilka prawie na cal wniknęła w moje ciało. Zdążyłam tylko syknąć.

Ognisty, promieniujący ból wybuchł w koncentrycznych kręgach, pulsując i powodując skurcze. Słodkie fale przenikały mnie do szpiku kości, gdy się rozprzestrzeniał. Czerwona mgiełka zaćmiła moje lewe oko, zniekształcając odbicie w lustrze. Gdzieś poza nią majaczyło mosiężne oblicze Kusziela, patrzące znad skrzyżowanego pręta i cepa, surowe i pełne aprobaty.

Kiedy mgła się rozwiała, Favriela klęczała i patrzyła na mnie z bezbrzeżnym zdumieniem, z otwartymi ustami, trzymając w palcach wyciągniętą szpilkę. Zamrugowała i wyjąkała:

–To musi być... kłopotliwe.

Po raz pierwszy w jej głosie zabrzmiało nie potępienie, lecz jakby cierpkie współczucie. Z drzeniem wciągnęłam głęboki haust powietrza.

–Tak. – Odetchnęłam. – W zasadzie anguissette nie ma lekkiego życia. – Postarałam się, żeby dostosować brzmienie głosu do jej tonu, co dzięki długo wpajanej dyscyplinie wcale nie było trudne. – Co nie znaczy, że lubię cię bardziej niż wcześniej.

Favriela nó Dzika Róża roześmiała się wbrew własnej woli.

W domu wraz z poruszonym Joscelinem czekał na mnie poważny uczeń rabbiego. Wstał, gdy weszłam do pokoju.

–Rabbie chciałby się z tobą zobaczyć, hrabino – oznajmił. – Przyjdiesz?

Westchnęłam.

–Nie żartował, mówiąc, że mam stawić się na wezwanie, prawda? Dobrze. – Wygładziłam przód sukni. Uszyta z cienkiej niebieskiej wełny, była mniej skromna niż tamta z pierwszej wizyty w jesziwie. – Daj mi chwilę na przebranie się w coś, co nie urazi rabbiego. Fortunie, powiedz Benoit, żeby nie wyprzęgał koni.

Uczeń uśmiechnął się lekko.

–Twój strój jest odpowiedni, hrabino. Nie bierz do serca wszystkiego, co mówi rabbi. Może nie pochwałać sług Naamy, ale jestem przekonany, że w tej kwestii żartował.

Skrzywiłam się, co raczej nie przystoi hrabinie.

–Humor rabbiego pozostawia wiele do życzenia.

–Możliwe. – Jeszuita skłonił głowę, skrywając uśmiech. – Jest jednak mężem wielkiej miary i sędzę, że ma prawo do niewinnych żartów. Pójdziemy?

Miał rację, Nahum ben Izaak nie skomentował mojego stroju. Kazał mi zająć miejsce za biurkiem, a sam wyjął zwój z szafy. Joscelin siedział cicho na stołku.

–Zaraz się przekonamy – powiedział rabbi surowo. Rozwinął zwój, odsłaniając pierwsze słowa Bereszeit. Trzcinką wskazał pierwsze zdanie. – Będiesz czytać, dopóki nie każę ci przestać. Potem w swoim języku powtórzysz, co przeczytałaś. Wtedy zobaczymy.

Siedząc koniec wskaźnika – świętego zwoju, używanego w czasie nabożeństw, nie wolno dotykać rękami – czytałam głośno w habiru, czasami płynnie, czasami z potknięciami. Za każdym razem, gdy się zacinałam, rabbi poprawiał mnie niecierpliwie, ale zaraz potem ruchem ręki kazał kontynuować. Kiedy wreszcie mi przerwał, zaczerpnęłam tchu i wyrecytowałam po d'Angelińsku całą opowieść o zalaniu ziemi przez wielką powódź.

Rabbi pochylił się i słuchał, z zadumą przygryzając kosmyki brody. Od czasu do czasu kiwał głową na znak pochwały albo krzywił się z dezaprobatą.

Kiedy skończyłam, popatrzył na mnie z niechęcią.

–Studiowałaś tłumaczenie, jak sędzę.

–Nie. – Pokręciłam głową. – Czytałam przekład wcześniej, ojcze, dawno temu. Kazałeś zgłębić tekst w habiru, więc tak uczyniłam.

Łypnął na mnie podejrzliwie. Joscelin odezwał się z kąta:

–Fedra ma talent lingwistyczny, ojcze. Z tego powodu królowa wysłała ją do Alby.

–Ha. Słyszałem tę historię. – Rabbi skubnął brodę i obrzucił mnie chytrym spojrzeniem. – W takim razie dobrze. Przeczytaj to jeszcze raz, dziecko, linijka po linijce. Najpierw w habiru, potem po d'Angelińsku. I może – może – jeśli nie popełnisz

zbyt wielu błędów, opowiem ci, co słyszałem od swojego mistrza o Sefer Raziel i nieposłuszeństwie Rahaba.

Joscelin poruszył się na stołku, gotów na długie czekanie. Ja westchnęłam i zaczęłam czytać od początku.

Nahum ben Izaak był wymagającym nauczycielem. Jeśli myślałam, że młody Seth dobrze mnie nauczył, to ten dzień rozwiął moje złudzenia. Mój poprzedni nauczyciel wybaczał mi wiele błędów w wymowie i tłumaczeniu, uważając je za mało znaczące. Nic dziwnego, jak sądzę, bo przez pierwszy tydzień nie mógł nawet patrzeć na mnie bez rumieńca. Ale małe błędy nałożyły się i rozrosły w wielkie. Rabbi nie przepuszczał najmniejszej omyłki i przerywał mi stale w czasie tej lekcji czytania, wytykając drobne potknięcia, aż w końcu oboje nas to zgniewało.

–Wina! – rzekł ze złością, poprawiając mnie po raz trzeci; ten błąd w tłumaczeniu utkwił mi głęboko w pamięci. – Nie grzech, wina! Wina! Tylko Jezua był bez grzechu! – Dla podkreślenia tej racji uderzył mnie trzcinką po palcach.

Joscelin z cichym zgrzytem zębów zerwał się ze stołka i do połowy wyciągnął sztylety, zanim zdał sobie sprawę, co robi. Zmartwił i wydukał:

–Wybacz mi, ojcze, ja...

–Wciąż jesteś bardziej kasjelita niż kimkolwiek innym. – Patrząc na niego, rabbi zaśmiał się w brodę. – Ano, apostato, zobaczmy. – Musnął palcami naszyjnik chai i pokiwał głową. – Nie przyniosłaś wstydu Tanachowi. Opanuj te wersy, a następnym razem opowiem ci o Rahabie i Zaginionej Księdze. Może w tych bajkach dla dzieci jest coś, co uznasz za pomocne.

–Dziękuję – powiedziałam szczerze, podnosząc się z biurka. Ścierpłam po długim siedzeniu i miałam przeciążony umysł. Co dziwne, nie było to przyłae. Podobnie czułam się dawno temu, kiedy Delaunay zmuszał Alcuina i mnie do nauki języków, historii, polityki. Złościłam się wówczas, choć nie zaniedbywałam zajęć. Teraz doceniałam wartość jego starań. – Przybędę na twoje wezwanie, ojcze, o ile będę mogła.

Joscelin, wciąż zaczerwieniony, złożył kasjelicki ukłon.

–Ja'er Adonai pana welecha, ojcze, proszę, przyjmij moje przeprosiny. Ma w pół drzemałem i postąpiłem bezmyślnie.

–Skoro drzemałeś, to znaczy, że, jak dziecko, czujesz się bezpiecznie w obecności Jezui, ha! – Rabbi uśmiechnął się chytrze i szturchnął go palcem. – Rzeczwarta zastanowienia. –

Machnął ręką, odprowadzając nas. – Idźcie już.

Na zewnątrz Joscelin poruszał się jak we śnie, szykując konie do jazdy. Chciałam zbudzić go słowem, lecz nie wiedziałam jakim.

Do domu wróciliśmy o zmierzchu. Wszyscy trzej kawalerowie skupili się w salonie. Gemma przykładała wilgotną szmatkę do prawego oka Ti-Filipa.

–Nic nie mów – rzekłam, westchnąwszy. Miałam za sobą długi dzień.

–To nie to, co myślisz, pani. – Ti-Filip z uśmiechem odsunął rękę Gemmy, odsłaniając siniaka i opuchliznę. – Nie zostaliśmy przyłapani ani nic w tym stylu. Graliśmy w kości w kwaterach straży pałacowej, jak było umówione.

–Jeden z gwardzistów oskarżył Ti-Filipa o szachrowanie – dodał Remy – i zaczęliśmy się wadzić. Potem powiedział o tobie coś, co nas zgniewało. Daliśmy mu nauczki.

Ciężko opadłam na krzesło.

–W jak wielkich jesteście kłopotach?

Remy zakaszłał.

–Niewielkich. Kapitan straży przyznał nam rację i udzielił reprimendy niewyparzonej gębie. Wolno nam wrócić. Tylko że... nałożyli małą grzywnę za bałagan w kwaterach.

–Jak małą?

–Dwadzieścia srebrnych regali. – Skulił się z zakłopotania. – Obiecaliśmy, że zapłacisz.

–Fortunie? – Popatrzyłam na niego błagalnie.

–Zajmę się tym jutro – powiedział spokojnie. – Możesz odjąć z naszej pensji, jeśli trzeba. Ale, pani, ważniejsze jest coś innego. Chłopcy dowiedzieli się paru rzeczy, które mogą rzucić światło na ucieczkę Melisandy Szachrizaj.

DZIESIĘĆ

Słowa Fortuna wprawiły mnie w wielką ekscytację i przepędziły zmęczenie. Pociągnęłabym ich za język w jednej chwili, gdyby nie nawyk dyskrecji. Słudzy Delaunaya byli starannie dobrani i godni zaufania, w przeciwieństwie do moich, chociaż ich lubiłam.

–Gemmo – zwróciłam się do służącej – sprawdź, czy Eugenia przygotowała kolację. Jest wcześnie, ale zgłodniałam. Jeśli wieczerza gotowa, byłoby miło, gdybyś podała do stołu.

Gemma z niezadowoleniem odęła usta, lecz posłuchała bez słowa. Na szczęście jagnięca potrawka z fenkułem i bochenki ciepłego, chrupkiego chleba już były gotowe. Podziękowałam kucharce i zwolniłam ją na wieczór, nie zważając na jej marudzenie. Eugenia uważała, że d'Angelińska hrabina nie może obyć się bez przynajmniej jednej wyszkolonej służącej. W innych okolicznościach skwitowałabym jej słowa śmiechem. W skaldyjskiej dziczy gotowałam krupnik na stopionym śniegu i przeżyłam. Nie sądziłam, że przeżyję, dopóki nie stanęłam przed faktem dokonanym. Oczywiście, nie byłam wtedy hrabiną, ale przecież wysoko cenione kurtyzany także nie słyną z umiejętności radzenia sobie w leśnych ostępach. Podczas tej koszmarnej ucieczki z Joscelinem nauczyłam się rozpalać ogień w śnieżnej zamieci, mając tylko krzemień i przemoczoną hubkę. Przypuszczam, że tej sztuki nie dokonałby żaden adept Dworu Nocy.

W każdym razie nie minęło wiele czasu, a siedzieliśmy w jadalni przy stole. Remy i Ti-Filip opowiedzieli swoją historię pomiędzy kęsami treściwej potrawki, zagryzanej ciepłym chlebem i popijanej dużą ilością wina.

–Znaleźliście ludzi, którzy stali na straży w noc ucieczki Melisandy? – zapytałam wprost.

Ti-Filip, mając pełne usta, energicznie pokręcił głową.

–Nie, pani – odparł Remy w imieniu ich obu, robiąc żalosną minę. – Mamy tylko parę nazwisk. Nikt nie wie, dokąd zostali wysłani. Nie śmieliśmy dopytywać się zbyt natarczywie, bo to mogłoby wzbudzić podejrzenia. Możliwe, że już nie służą w gwardii pałacowej. Jeśli należeli do kontyngentu, który dowódca wojsk królewskich wysłał do Kamlachu, mogli zostać zwolnieni i trudno będzie ich znaleźć. Mimo wszystko dowiedzieliśmy się czegoś ważnego.

–Śmiało – przynagliłam, zaintrygowana.

–W domu Szachrizaj trwa wewnętrzna wojna. – Ti-Filip uśmiechnął się krzywo. – Ci dwoje, którzy zdradzili Melisandę... Marmion i Persja, dobrze mówię? Otóż Persja nie

żyje.

–Co takiego?

–Tak, nie żyje. – Remy z błyskiem w oku pociągnął długi łyk wina. – Wypadek, pani, pożar w jej dworze w Kuszczecie. Rzecz w tym, że kilku ludzi Persji nie wierzy w wypadek, podobnie jak dwóch jej krewniaków. Wskutek ich starań trzej zbrojni trafili do gwardii pałacowej. Żeby mieć oko na lorda Marmiona.

–Myślą, że to jego sprawka? Jej rodzonego brata i sprzymierzeńca? – W mojej głowie kłębiły się spekulacje. To straszne, tak, ale straszne rzeczy zdarzają się nawet w wielkich rodach

Terre d'Ange.

–Ten człowiek, Branion – podjął Ti-Filip – powiedział, że lady Persja pierwsza nawiązała kontakt z diukiem de Morhban. To ona nakłoniła lorda Marmiona, żeby wraz z nią wydał kuzynkę. Branion uważa, że Marmion zgodził się później przyłożyć rękę do jej ucieczki. Teraz Melisanda ma go w wielkim poważaniu, tym bardziej że Marmion cieszy się łaskami królowej. Persja musiała czegoś się dowiedzieć albo odgadła prawdę. Dlatego umarła. I tak oto ród się podzielił, nikt jednak nie śmie oskarżyć Marmiona, bo nie ma dowodu.

–Marmion mógł przejść swobodnie do komnaty Melisandy – powiedziałam z zadumą. – Wartownicy wiedzieli, że jest jej kuzynem. Przepuściliby go, żeby mógł pomówić z nią w przeddzień śmierci. Mnie nie zatrzymali. Joscelinie... – odwróciłam się w jego stronę – Ysandra przesłuchała Szachrizaj, bo byli głównymi podejrzanymi, przynajmniej tak mówiono. Czy ktoś z rodu odwiedził Melisandę po mojej wizycie?

Joscelin skubnął kawałek chleba i ściągnął brwi.

–Odwiedził. Ale to była Persja, nie Marmion. Mówiła, że idzie błagać o wybaczenie. – Wzruszył ramionami. – Nie wiem czy to prawda. Wyszła na długo przed świtem. Wartownik przy schodach potwierdził jej słowa, w przeciwnym wypadku Ysandra nie przeszłaby nad tym do porządku. Zeznał, że widział, jak weszła i wyszła. – Po chwili dodał: – Ghislain de Somerville wspomniał, że ze łzami w oczach opuściła salę audiencyjną po przesłuchaniu. Dodał, że tylko wtedy widział zapłakanego członka rodu Szachrizaj. _

–Ale Marmion nie płakał. – Pogrążona w zadumie, skrobałam łyżką o dno pustego talerza. – Dobrze. Nawet jeśli odwiedził Melisandę, wartownik przy tylnej bramie kazałby mu się opowiedzieć i nie pozwolił zbliżyć do siebie. Jeśli więc Marmion przyczynił się do ucieczki...

–To nie był sam – dokończył moją myśl Fortun. – Musiał być z nim ktoś, komu

wartownik ufał.

–Otóż to. – Odłożyłam łyżkę. – Nasuwa się więc nowe pytanie: Kto współdziałał z Marmionem Szachrizaj i dlaczego? A znalezienie odpowiedzi... – uśmiechnęłam się – leży w zakresie moich kompetencji.

–Fedro – mruknął Joscelin, spoglądając w kieliszek wina – ostrożnie z Szachrizaj.

–On nie jest Melisanda. – Nie musiałam dodawać, że Marmion Szachrizaj był bladym księżcem w porównaniu z płonącym słońcem swojej kuzynki. Joscelin o tym wiedział. Poeci pisali ody do Melisandy Szachrizaj, choć nie słyszałam, by któryś z utworów oddał jej sprawiedliwość. Wciąż je śpiewają, zmieniają tylko nazwisko. Nawet niepoprawnie politycznie wiersze bywają zbyt piękne, żeby rzucać je w kąć z powodu polityki.

–Nie. – Spojrzał na mnie twardo. – Ale żmija nie bywa mniej groźna tylko dlatego, że jest mała. Jeśli Marmion Szachrizaj przyczynił się do śmierci rodzonej siostry, to znaczy, że nie ma za grosz skrupułów.

–Będę ostrożna.

–Ysandra go faworyzuje – oznajmił Ti-Filip. – Tak mówią gwardziści. Umie ją rozbawić.

Całkiem możliwe, bo od niepamiętnych czasów z rodu Szachrizaj wywodzili się nadzwyczaj zręczni dworacy. Żaden z nich nigdy nie zasiadł na tronie – ani nawet nie objął władzy nad suwerennym księstwem w Kuszecie – zgromadzili jednak ogromne bogactwo i stworzyli sieć wpływów, z jaką nikt inny nie mógł konkurować. Jeśli Marmion współdziałał z Melisanda, to musiał poświęcić kilku swoich sojuszników, żeby zdobyć zaufanie Ysandry. Jeśli któryś ocalał, z pewnością żył w strachu.

–Skoro kapitan straży nie ma nic przeciwko – powiedziałam, myśląc na głos – utrzymajcie kontakt z ludźmi Szachrizaj i dowiedzcie się od nich, ile tylko zdołacie. Musimy znaleźć tych, którzy tamtej nocy pełnili wartę w Troyes-le-Mont, to niezwykle ważne.

–Rozkaz, pani! – Remy z szerokim uśmiechem oddał elegancki salut. – Nie sprawiliśmy się źle, prawda?

–Nie. Doskonale. Z wyjątkiem bijatyki.

–Pani! – zaprotestował Ti-Filip. – Powiedział, że jesteśmy pachołkami...

–Dość – przerwałam mu łagodnie. Słowa zamarły na jego ustach. – Filipie, przysiągłeś służyć anguisette i słudze Naamy. Jeśli cudze kpiny nie są gorsze od

waszych, przełknijcie je w milczeniu.

Ti-Filip burknął coś pod nosem i ucichł, na pozór poskromiony.

–A jeśli są gorsze? – zapytał Remy.

–To niemożliwe – odparłam oschle.

Niekiedy wydaje się, że zagadki po prostu nie można rozwiązać, że wszystkie możliwości zostały wyczerpane, wszystkie pytania zadane. Takie wrażenie miałam tamtego wieczoru, ale rankiem przyszła mi do głowy nowa myśl. Thelesis de Mornay, nadworna poetka, rozmawiała z wieloma osobami, które uszły z życiem z bitwy o Troyes-le-Mont. Sporządziła obszerne notatki do Cyklu Ysandryjskiego. Może zawierały coś użytecznego?

Podzieliłam się swoim pomysłem z Joscelinem, gdy wrócił z porannych ćwiczeń.

–Tak czy siak, warto spróbować. – Z uśmiechem pokiwał głową. – Rozminęliśmy się w czasie jej pierwszej wizyty. Nie miałbym nic przeciwko spotkaniu.

Przybyliśmy do pałacu w południe i szybko zostaliśmy przyjęci. Mieszkanie Thelesis było przestronne i ładnie urządzone. Wschodnią ścianę zdobił elegancki fresk, wyobrażający Ejszet z harfą, a na kominku umieszczono brązowe popiersie tyberyjskiego poety Katyliny. Wszędzie jednak panował rozgardiasz, tu stały chwiejne stosy książek, ówdzie piętrzyły się zwoje, sekretarzyk ugiął się pod ciężarem arkuszy pergaminu... W istocie była to siedziba tworzącej poetki.

–Fedro, Joscelinie! – Thelesis miała smugę inkaustu na policzku, nic jednak nie mogłoby ukryć jej zadowolenia. – Cieszę się, że was widzę. Joscelinie Verreuil, niech no ci się przyjrzę. – Chwyła go za rękę, patrząc nań z przyjemnością. – Wyglądasz wspaniale.

Joscelin pochylił się, żeby pocałować ją w policzek. Thelesis de Mornay była jedną z niewielu osób, które darzył szczerym uczuciem.

–Ty również – zapewnił. – Mam nadzieję, że dbasz o siebie.

–Dość dobrze. – Thelesis wskazała ogień w kominku. – Ysandra pilnuje, żebym się nie przeziębiła – dodała z rozbawieniem. – Przez większość czasu gorąco tu jak w łaźni parowej. Mam nadzieję, że to wam nie przeszkadza. Mówcie, co was sprowadza.

Gdy odpowiedziałam, jej oczy stały się czujne. Zamyśliła się na chwilę.

–Sporządziłam notatki, pamiętam. Ghislain de Somerville był strasznie rozdrażniony, bo ojciec na tę noc przekazał mu komendę nad strażą.

Wymieniłam spojrzenie z Joscelinem. On lekko pokręcił głową.

–Chyba nie podejrzewasz... – zaczęła Thelesis. – Czyżbyś podejrzewała Ghislainą?

–Nie chcę tego – zapewniłam. – Jechaliśmy pod jego rozkazami od brzegów rzeki Rhenus do gór Kamlachu. Mógł roześmiać mi się w twarz, kiedy zaproponowałam, że damy Izydorowi d'Aiglemort szansę na odkupienie winy, a jednak tego nie zrobił. Z drugiej strony...

–Nie Ghislain – powiedział Joscelin stanowczo. – Ja go nie podejrzewam.

Wzruszyłam ramionami.

–Co ci powiedział?

Thelesis przełożyła stertę papierów i książek, wydobywając spod nich grubą teczkę przewiazaną rzemykiem.

–To chyba ta – powiedziała, spoglądając na napis nagryzmołony w górnym rogu. – To może trochę potrwać.

Siedzieliśmy cicho, czekając, podczas gdy Thelesis de Mornay przekładała arkusze pergaminu.

–Gdyby chodziło o wiersze – mruknęła – upamiętniłabym je, wiesz, ale uznałam, że nie warto marnować inkaustu na opisywanie okoliczności zniknięcia Melisandy... Ona nie zasługuje nawet na przypis w annałach historii... Jest. – Odsunęła arkusz na długość ręki i przeczytała głośno: – Noc mijała spokojnie, jak przystało na tę, której kres miał zapowiedzieć egzekucję d'Angelińskiej arystokratki. Zrobiłem obchód o pierwszym dzwonie, potem o trzecim i piątym, i wszędzie panowała cisza. Gdy nadszedł czas zmiany warty, rozpętało się piekło. Fanuel Buonard poszedł zluzować strażnika przy tylnej bramie i znalazł go z nożem w sercu. Biegł z krzykiem przez korytarze, szukając mojego ojca, gdy zatrzymałem go i spytałem, dlaczego podnosi larum. Zanim zdążył odpowiedzieć, połowa strażników przybiegła do kwater na parterze i wielu z nich musiałem odesłać z powrotem na posterunki. Wtedy zjawił się mój ojciec i przejął komendę. Niezwłocznie wysłał oddział na piętro, do komnaty, w której była uwięziona Melisanda Szachrizaj. Pod drzwiami znaleziono martwych wartowników, jednego ze sztyletem w żebrach, drugiego z poderżniętym gardłem. Komnata była pusta. – Thelesis odchrząknęła i popatrzyła na nas przepraszająco. – Obawiam się, że to wszystko. Niewiele wam pomoże.

–Nic, czego byśmy nie wiedzieli – podsumował Joscelin.

–Nieprawda. – Ściskając w zadumie garb nosa, spojrzałam w ich zaskoczone oczy. – Wiemy, że do ucieczki doszło po piątym dzwonie. Wiemy, że tej nocy strażą dowodził

Ghislain, a nie jego ojciec Percy. Wiemy, że o śmierci wartownika przy bramie dowiedziano się przed stwierdzeniem zniknięcia Melisandy, i znamy nazwisko człowieka, który odkrył ucieczkę. Wiemy też, że strażnika przy bramie i wartowników przy drzwiach Melisandy zabito w różny sposób.

–Fedro, są tuziny śmiercionośnych ciosów sztyłem – zauważył Joscelin rzeczowo.

–Możliwe. – Wzruszyłam ramionami. – Ale to nam nic nie daje. – Zwróciłam się do Thelesis: – Bardzo dziękuję. Czy ktoś inny opowiadał ci o tej nocy?

–Nie. – Ze smutkiem pokręciła głową. – Teraz żałuję, że nie pytałam. Jeśli nie ufasz nikomu innemu, wciąż jestem zdania, że powinnaś porozmawiać z Ysandra.

–Zrobię to – obiecałam. – Kiedy będę wiedziała coś więcej.

JEDENAŚCIE

Nie dowiedziałam się niczego więcej do dnia Zimowego Balu Maskowego. Nie mogło być inaczej, bo całą energię musiałam poświęcić służbie Naamie.

Wszystko było gotowe. Posłaniec z Domu Dzikiej Róży dostarczył mój kostium i strój Fortuna. Po sprawdzeniu, czy nie są już potrzebne żadne poprawki, zaczęłam przygotowania od rozkosznej kąpieli w gorącej wodzie z wonnymi olejkami, w wannie otoczonej przez pół tuzina świec, które oświetlały girlandy pary.

Za drzwiami rozległ się głos Joscelina:

–Fedro.

Drgnęłam, wycłilapując wodę na posadzkę.

–Wejdz.

Wszedł do łaźni, starannie zamykając za sobą drzwi. Zwiesiłam ręce przez brzegi wanny i popatrzyłam na niego z zaciekawieniem.

–O co chodzi?

–Po prostu chciałem cię zobaczyć – rzekł cicho, klękając obok wanny i ujmując moje dłonie. Smutny uśmiech wykrzywił mu kącki ust. – Ostatni przed całą resztą świata.

–Och, Joscelinie. – Palcami śliskimi od wody i oleju ścisnęłam ręce mojego kasjelity. Jego twarz w blasku świec była tak piękna, że pękało mi serce. – Czy możesz mi wybaczyć, choć odrobinę?

–Jeśli ty wybaczysz mnie. – Pogładził moje mokre włosy. – Kocham cię, przecież wiesz.

Pokiwałam głową.

–Wiem. Ja ciebie też kocham.

–Eluo, ulituj się nad nami. – Podniósł się i stał, patrząc na mnie. – Zrobisz piorunujące wrażenie. Nie docenią nawet dziesiątej części tego, ile jesteś warta, ale olśnisz ich, Fedro. – Łzy zapiekły mnie w oczy. Nie odpowiedziałam. Po chwili uśmiechnął się leciutko. – Muszę już iść, jeśli mam zdążyć do świątyni Elui przed nocą. Niechaj Naama czuwa nad tobą i ma cię w opiece.

Sama nie wiem, jak udało mi się odzyskać głos.

–Dziękuję – szepnęłam.

Z nietypowym dlań niezdarnym ukłonem odwrócił się i wyszedł.

Zamknęłam oczy i przez chwilę rozkoszowałam się gorzkosłodkim bólem. Przynajmniej przyszedł, żeby się ze mną zobaczyć, i na swój sposób udzielił mi błogosławieństwa. Sługa Naamy i kasjelita; Eluo ulituj się, doprawdy. Ale na szali leżało zbyt wiele, żeby teraz roztrząsać niuanse mojego związku z Joscelinem. Z niechęcią odłożyłam te myśli na bok. Wysłam z wanny i wezwałam Gemmę, by pomogła mi przygotować się na maskaradę.

Prawdę powiedziawszy, przydałaby mi się cała gromada służących, ale skoro ich nie miałam, musiałam poradzić sobie sama. Byle jak podpięłam włosy, fryzura miała poczekać na sam koniec.

Najpierw suknia.

Ze szmerem szeptanej modlitwy szkarłatny jedwab prześliznął się nad moją głową i omył mnie niczym woda, czule obejmując biodra i spadając w nieskazitelnych fałdach do samej podłogi. Wysoka stójka wznosiła się wokół mojej szyi jak szkarłatny płomień, kontrastując ze śmiałym wycięciem na plecach, sięgającym podstawy marki.

–Och, pani! – zawołała Gemma, szeroko otwierając oczy i przygryzając kostki palców.

–Nieźle, zważywszy na koszt. – Przejrzałam się w lustrze. – Tutaj. – Wskazałam szew na lewym boku. – Tutaj musisz zszyć. Podobaś temu zadaniu?

–T... tak. – Ze zdenerwowania najpierw zadrżał jej głos, a potem palce, gdy zaczęła zszyć igłą przyslaną wraz z suknią przez Favrielę nó Dzika Róża.

Po minucie jej zabiegów westchnęłam.

–Pozwól... nie, czekaj, Gemmo. Zawołaj Remy'ego, dobrze?

Sprowadziła go migiem. Kawaler wszedł z szerokim uśmiechem, zobaczył mnie, zakaszłał i dosłownie potknął się o własną nogę.

–Remy. – Popatrzyłam na niego z niecierpliwością. – O ile pamięć mnie nie myli, wszyscy marynarze admirała Rousse potrafią sobie radzić z igłą i nitką, a ty w szczególności, prawda?

–Na Eluę! – sapnął. – Naprawdę wszystko zauważysz! Co mam zeszyć, pani?

Powiedziałam mu. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Gdyby moje życie potoczyło się innym torem, pomyślałam z zadumą, ten wieczór też wyglądałby zupełnie inaczej. Zbiłabym fortunę pod patronatem Delaunaya, otworzyła własny salon, byłabym urzędzona. Nie zostałabym hrabiną de Montreve, nie musiałabym wydawać większej części dochodów na utrzymanie posiadłości i jej mieszkańców, nie żebrałabym o pożyczkę na kostium, nie byłabym zdana na łaskę skwaszonej młodej szwaczki, nie miałabym zaprawionego w boju marynarza za głównego pomocnika.

Całe szczęście, że Błogosławiony Elua obdarzył mnie poczuciem humoru.

Remy sprawił się doskonale i kiedy skończył, szkarłatna suknia opinała moje ciało jak wymalowana na skórze. Ta przekłeta Favriela była geniuszem.

–Dziękuję – powiedziałam do Remyego, a on błysnął zębami i odszedł, uśmiechając się pod nosem. – Gemmo, przynieś kosmetyki.

Nie używam ich wiele, bo w moim wieku nadmiar wyglądałby wulgarnie. Odrobina proszku antymonowego do podkreślenia oczu, które miały być przysłonięte woalką, i karmin na usta. Kiedy skończyłam, zajęłam się włosami. W Domu Cereusa każdy musi umieć takie rzeczy, a ja na szczęście nie straciłam drygu. Odtworzenie wymyślnej fryzury, jaką widziałam u Mary na ilustracji Favrieli, zajęło trochę czasu, ale byłam zadowolona z wyniku.

Przypięłam woalkę szpilkami o lśniących czarnych główkach, a wówczas z lustra spojrzała na mnie twarz nieznajomej. Oczy za woalką były lśniące i tajemnicze, choć raz nie zdradzane przez szkarłatną plamkę. Wyszukana fryzura dodawała mi archaicznej elegancji, a czarny tiul

podkreślał bladość cery. Co do sukni... wstałam i odwróciłam się, a zwiewny materiał zawirował wokół moich bioder w szkarłatnej glisadzie.

–Może być – powiedziałam cicho.

–Pani... – Gemma podniosła pęk szkarłatnych wstążek – na nadgarstki.

Zapomniałam o ostatnim elemencie kostiumu Mary, o jedwabnych wstążkach, które miały spływać z wdziękiem z moich rąk. Gemma zdążyła ochłonąć i w miarę zręcznie zawiązała ładne kokardy. Wstrzymałam oddech, czując, jak pasy materiału zaciskają się wokół przegubów. To rozstrzygnęło sprawę. Jeśli stare legendy mówiły prawdę, Mara, córka Naamy, naprawdę była anguisette. Odwróciłam się w wirze wstążek, żeby przejrzeć się po raz ostatni. Moje nagie plecy o barwie kości słoniowej, ujęte w ramy szkarłatnego jedwabiu, były przedzielone dramatycznie czarnymi liniami i szkarłatnymi akcentami marki.

–W istocie, może być – rozbrzmiał niski głos. Fortun stał w drzwiach, zaskakująco

elegancki w czarnych aksamitach. Mosiężny klucz, atrybut Asmodela, połyskiwał matowo na jego piersi, a czarna maseczka przydawała mu tajemniczości. Maskę wieńczyły rogi, sterczące spomiędzy czarnych loków, które opadały mu na czoło. – Jesteś gotowa, pani? Ti-Filip już czeka w powozie.

Głęboko zaczerpnęłam tchu.

–Jestem gotowa.

Uklonił się i wyciągnął rękę.

–W takim razie jedziemy.

Ti-Filip siedział na koźle, z maską chochlika podciągniętą wysoko na czoło, żeby dobrze widzieć drogę. Kiedy wyszłam, wsparta na ramieniu Fortuna, zagwizdał głośno i zatupał, płosząc konie.

–Wystarczy – powiedziałam, śmiejąc się. – Zachowuj się dziś przyzwoicie.

–Ty też, pani. – Ze śmiechem zeskoczył z kozła, żeby otworzyć drzwiczki powozu. – Choć w twoim przypadku to może oznaczać coś innego!

Fortun pomógł mi wsiąść do powozu i gdy sam zajął miejsce, ruszyliśmy w drogę.

Z niewiadomego powodu byłam zdenerwowana. Minął długi czas – dokładnie dwa lata – odkąd wystąpiłam publicznie w formalnej roli sługi Naamy. Wiele się wydarzyło, odkąd Melisanda Szachrizaj przeprowadziła mnie przed wielmożami Kuszetu na aksamitnej smyczy. Na myśl o tym odruchowo sięgnęłam do szyi, gdzie kiedyś wisiał jej diament. Byłam niewolnicą, ambasadorem królowej i dziedziczką arystokratycznego tytułu. Wiele się zmieniło od czasów, kiedy jako anguisette Delaunaya robiłam tylko to, co dyktowała mi natura, a potem zdawałam relację mojemu panu.

Nie miałam pana, nie miałam patrona, przed którym musiałabym się opowiadać, ale znów brałam udział w grze, której stawkę znałam aż za dobrze.

–Pani... – Fortun przerwał moje rozmyślenia – padnie mnóstwo pytań. Co mam odpowiadać?

Miał rację, naturalnie. W Terre d'Ange każdy pięciolatek wiedział, co to znaczy, gdy sługa Naamy publicznie pokazuje swoją markę.

–Dziś mamy Najdłuższą Noc – odparłam – a ja uczestniczę w Zimowym Balu Maskowym na zaproszenie królowej jako hrabina de Montreve. Prowadzenie interesów, nawet w imię Naamy, w tych okolicznościach byłoby niestosowne, dlatego

dobrze zrobisz, gdy im o tym uprzejmie przypomnisz. Oczywiście, jeśli ktoś będzie chciał ubiegać się o spotkanie, już jutro może przysłać gońca z pisemną ofertą.

Fortun chrząknął.

–Czy słusznie zakładam, że nie należy niczego obiecywać, ponieważ jesteś wybredna, ale też nie wolno nikogo zniechęcać, gdyż słyniesz ze zmienności upodobań?

–Tak. – Uśmiechnęłam się. – Słusznie zakładasz.

–Już wybrałaś, pani? – zapytał z zaciekawieniem. – Czy wiesz, kto będzie pierwszy?

–Nie. – Musnęłam palcami skraj zasłonki w oknie. – Mój pan Delaunay zarzucał przynętę i łowił. Ja zrobię to samo. Nie wiem, szczerze mówiąc, kto się na nią skusi.

–A jeśli będzie to Marmion Szachrizaj?

–Wtedy zobaczymy. – Bawiłam się zasłonką. Z Melisanda znałam się prawie osiem lat, zanim poprosiła o spotkanie, wyjąwszy sprezentowanie mnie księciu Baudoinowi de Trevalion. Czekanie doprowadzało mnie do szaleństwa. Nie sądziłam, by jej młodszy kuzyn umiał grać na zwłokę z tą samą wyrafinowaną cierpliwością, ale uznałam, że przekonanie się o tym będzie interesujące.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu.

–Joscelin powinien ci towarzyszyć – powiedział Fortun cicho. – Ma rację, nie jestem wyszkolony na przybocznego strażnika. I tylko jemu jednemu wolno nosić broń w obecności królowej.

Wsparłam się na poduszkach.

–Joscelin robi to co trzeba, podobnie jak ja. Idź, gdzie cię zapraszają, słuchaj i dowiedz się, ile zdołasz. Nie współczuj mi pod tym względem, Fortunie.

–Przepraszam, pani, tylko... – Pochylił się, a jego oczy płonęły w otworach maski, gdy wpatrywał się we mnie pilnie. – Wybacz, ale głupcem jest ten, kto zrezygnował z towarzyszenia ci w tę noc jedyną pośród wszystkich nocy.

Uśmiechnęłam się.

–Dziękuję, kawalerze. Właśnie to chciałam usłyszeć.

DWANAŚCIE

Weszliśmy do sali balowej, gdy dzwony wybiły dziewiątą.

–Hrabina de Montreve! – zawołał lokaj. Jego głos niemal zaginął w hałasie muzyki i rozmów.

A jednak wywołał poruszenie.

Minęło trochę czasu, nim wszyscy goście ujrzeni i zorientowali się, kto przybył. Favriela nie skłamała, w tym roku kostiumy na Zimowy Bal Maskowy były niezwykle strojne. Kobiety spowite wieloma warstwami falbaniastych tkanin odwracały się powoli i ociężałe niczym galeony, mężczyźni mieli ledwie odrobinę swobodniejsze ruchy. Zamaskowane twarze zwróciły się w moją stronę.

Czułam na sobie spojrzenia setek oczu, gdy uczestnicy balu utworzyli szpaler na marmurowej posadzce. W Domu Cereusa nauczono nas wdzięku płaczącej wierzby i chodzenia z wysoko uniesioną głową. Przywołałam cały bagaż wiedzy, żeby pokonać to przejście, patrząc na zgromadzonych przez woal, czując się na wpół naga w szkarłatnej sukni z wstążkami powiewającymi wokół dłoni. Fortun idący u mojego boku był wzorem surowej godności.

Widok odsłoniętej marki wywoływał pomruk za moimi plecami.

Tej nocy pałacowa sala balowa prezentowała się naprawdę wspaniale – wielka, otwarta przestrzeń z dwoma rzędami smukłych kolumn, na trzech ścianach pysznił się olśniewający fresk Le Cavaillona, przedstawiający Eluę uczującego z Towarzyszami, a granatowy sufit zdobiły złożone gwiazdy. Pośrodku sali stało drzewo przemyślnie wykute z brązu; z gałęzi zwieszały się tuziny owoców na jedwabnych nitkach: jabłka, gruszki, daktyle, figi, persymony, śliwki i nektarynki, a także wiele innych, których nazw nie znałam.

Naprzeciwko wejścia, pod ścianą z wyobrażeniem Elui, Kasjela i Naamy, umieszczono niewielką sztuczną górę z grota, gdzie muzycy przebrani za helleńskie muzy tworzyli żywy obraz, grając romantyczne melodie. Tu i ówdzie stały fałszywe kolumny z niszami, w których płonęły lampiony, rzucając łagodne światło. Z sufitu zwisały żyrandole ze szklanymi lampami, migoczącymi jak błędne ogniki na zabarwionej wodzie. W koszach płonęło słodkie kadzidło, a girlandy szpilkowych gałęzi rozsiewały czystą, żywiczną woń.

–Fedra! – Ysandra de la Courcel, królowa Terre d'Ange, przeszła szpalerem z dwoma odzianymi na szaro kasjelickimi strażnikami, niepasującymi w ogóle do tej sali. Jak przystało, była przebrana za Królową Śniegu, w warstwy pianistego białego tiulu usianego diamentami. Nosila łabędzią maskę rodu Courcel, z fantastycznym

kapturem na głowie. Fiołkowe oczy błyskały pomiędzy białymi piórami. – Nie poznałabym cię w woalce, ale marka, moja droga! Ona cię zdradza. Mogę spytać o charakter twojego kostiumu?

–Mara – odparłam, unosząc rękę, z której zwisały szkarłatne wstążki. – Spłodzona przez mordercę córka Naamy i służebnica Kusziela.

–Bardzo trafnie. – Ysandra patrzyła na mnie z rozbawieniem. – Cóż, prawie kuzynko, witam cię jako hrabinę i jako służbę Naamy. Niech nikt nie mówi, że nie traktuję służby Naamie z należnym szacunkiem. – Ze swobodą osoby wysoko urodzonej i przywykłej do rozkazywania odwróciła się i znalazła służbę dokładnie tam, gdzie się go spodziewała, trzymającego tacę z kieliszkami likieru. – Joie – powiedziała, wznosząc toast. – Oby Najdłuższa Noc szybko przeminęła, a po niej powróciło światło.

–Joie. – Wzięłam kieliszek i spełniłam toast. Sługa został po odejściu królowej, podsuwając tacę mojemu towarzyszowi. Fortun wypił likier i chuchnął, gdy poczuł na języku czysty, palący smak. – Za Najdłuższą Noc, kawalerze! – Zaśmiałam się, czując, jak krew w moich żyłach krąży szybciej. – Tańczysz, Fortunie? Nigdy cię o to nie pytałam.

–Przekonaj się. – Zabrał nasze kieliszki, postawił na tacy przemykającego sługi i ukłonił się, by następnie poprowadzić mnie na parkiet.

Tańczył całkiem nieźle, a ja umiem się dostosować do prowadzącego partnera. Dobrze wyglądaliśmy razem, gdy szkarłat mojej sukni wirował na tle jego czarnych aksamitów. Głowy odwracały się w naszą stronę, zaintrygowane szepty wzbudzone przez moją zawoalowaną twarz ustępowały zrozumieniu na widok marki. Niemal ją czułam, skomplikowany wzór wyryty wzdłuż kręgosłupa, palący, jakby igła markarza przed chwilą wsączyła tusz w moją skórę.

Gdy taniec dobiegł końca, ruszyła ku nam postać przebrana za Pustelnika z Nadmorskiego Gaju, nie do poznania w zwiewnych niebiesko-zielonych szatach, w masce przysłaniającej górną połowę twarzy i ze sztuczną białą brodą spływającą na pierś.

–Fedra nó Delaunay – powiedział przybysz, a jego ton, choć formalny, był pełen ciepła. – Ten kostium ma jedną wadę: zdradza twoją tożsamość.

Uśmiechnęłam się.

–Podobnie jak twój głos, lordzie de Forcay.

Gaspar Trevalion, hrabia de Forcay, zaśmiał się i wziął mnie w objęcia.

–Na Eluę, dziecko, dobrze cię widzieć! Jak się czujesz z tytułem?

–Delaunay radziłby sobie znacznie lepiej, panie, ale robię, co w mojej mocy – odparłam zgodnie z prawdą. Wydziedziczony przez ojca Anafiel Delaunay de Montreve nigdy nie nosił tytułu, który należał mu się z urodzenia; to ironia losu, że przeszedł on na mnie. I choć nie mogłam wykluczyć Gaspara Trevaliona z grona podejrzanych, nie wątpiłam, że jego przyjaźń z lordem Delaunayem nie była nieszczera, podobnie jak sympatia do mnie. – Powiedz mi, jak ty sobie radzisz?

Gdy rozmawialiśmy, wysoka kobieta w kostiumie eleganckiej pasterki – przypuszczam, że jej falbany wywołałyby popłoch w każdym stadzie – subtelnym ruchem pasterskiej laski zaprosiła Fortuna do tańca. On spojrzał na mnie pytająco, a ja pokiwałam głową.

–Nie ma z tobą kasj elity – zauważył Gaspar.

–Czuwa ku czci Elui.

–Szkoda. Ghislainowi będzie przykro, że się z nim nie spotkał. Darzy tego młodzieńca wielkim szacunkiem. – Uśmiechnął się. – Jak ja, choć posądziłem Delaunaya o utratę zmysłów, kiedy powiedział, że najął brata kasjelitę do ochrony sługi Naamy.

–Ja również – odparłam z roztargnieniem, wodząc wzrokiem po tłumie przebierańców. – Czy lord de Somerville jest tutaj? Nie, czekaj, nie mów. – Wypatrzyłam wysokiego, barczystego mężczyznę w masce rybołowa, z niższym towarzyszem w podobnym stroju. Rozmawiali z kimś. kogo nie potrafiłam rozpoznać. – Tam, pod freskiem Azy. Zapewne jest z nim Bernadetta.

–W istocie. – Głos Gaspara Trevaliona zdradzał zaskoczenie. – Nic wiedziałem, że ją znasz.

–Nie znam. Widziałam ją na procesie. – Był to delikatny temat – Bernadetta de Trevalion została skazana za zdradę, na banicję, choć nic uczestniczyła w machinacjach matki. Ysandra odwołała ją z wygnania i naprawiła szkody, aranżując jej małżeństwo z Ghislainem de Somerville, utalentowanym synem dowódcy wojsk królewskich. Patrzyłam, korzystając z dyskrecji zapewnianej przez woalkę. Próbowałam poznać ich towarzysza po sylwetce, postawie lub zachowaniu, lecz skończyło się to fiaskiem. Nie potrafiłam nawet zidentyfikować kostiumu, krótkiego kaftana z bufiastymi rękawami, pasiastych rajtuzów i maski z długim nosem. – Gasparze, kto jest z nimi?

–Ach. – Uśmiechnął się. – To, moja droga, Severio Stregazza, najstarszy syn Marii Celestyny de la Courcel Stregazza, wnuk doży La Serenissimy – Chciałabyś go poznać?

–Tak. – Ujęłam hrabiego pod ramię, opierając czubki palców na rękawie. – Bardzo, panie.

Gaspar Trevalion dotrzymał słowa, niezwłocznie prowadząc mnie do rozmawiających. Po wymianie uprzejmych słów powitania z Ghislainem i formalnej prezentacji jego żonie – nie powiedziałam Bernadecie, że widziałam, jak skazano ją na wygnanie – zostałam przedstawiona młodemu serenissimskiemu panu.

–Jestem zaszczycony, hrabino. – Gburowaty ton z lekkim d'Angelińskim akcentem mówił zgoła coś innego. Severio Stregazza skubnął sztywną koronkową krezę. Z bliska dostrzegłam warstewkę potu na jego twarzy. Chyba czuł się niezręcznie w maskaradowym kostiumie, na d'Angelińskim balu, dotkliwie świadom swej mieszanej krwi. Severio, urodzony i wychowany w La Serenissimie, był nie więcej niż rok, może dwa lata starszy ode mnie. Od stóp do głów zmierzył mnie palącym, poirytowanym spojrzeniem. – Jesteś piękna – powiedział zapalczywie. – Czy jesteśmy spokrewnieni?

–Nie, księżę Severio – odparłam, kręcąc głową. – Mój pan, lord Anafiel Delaunay de Montreve z Siovale, przyjął mnie formalnie do swojego domu i po nim odziedziczyłam tytuł. Nie jesteśmy krewnymi.

–Co za ulga. – Mocniej szarpnął kołnierz, robiąc gniewną minę. – Niemal każdy szlachcic, którego poznałem, rości sobie pretensje do takiego czy innego pokrewieństwa z tronem. Gubię się w tym wszystkim.

–Niełatwo to pojąć, kuzynie – powiedziała Bernadetta ze współczuciem. – Sama jestem zdezorientowana, gdy próbuję rozwikłać splątane nici pochodzenia potomków Błogosławionego Elui.

Severio Stregazza obrzucił ją niemiłym spojrzeniem. Nie mogłam go winić za złość i zakłopotanie. Tutaj, wśród D'Angelinów wysokiego rodu, jego pospolite uczesanie i bardziej toporne rysy zdradzały rozcieńczoną krew linii Elui, przyniesioną do La Serenissimy przez Benedykta de la Courcel, stryjcznego dziadka Ysandry.

–Twoje pochodzenie wydaje się dość jasne, kuzynko.

–Pozory mogą mylić. – Ghislain objął ją opiekuńczo. Choć pozostał spokojny, każdy mógł poznać, że targają nim emocje, bo w powietrzu unosił się zapach jabłek, charakterystyczny dla Somerville'ów, którzy wywodzili się od Anaela. – Moja żona doświadczyła zdrady i wygnania, księżę Severio, i suwerenność księstwa zależy od naszego potomka. Przypuszczam, że nie możesz powiedzieć tego o sobie.

–A jednak krew tutaj mówi. Potomkowie Elui i jego Towarzyszy! – prychnął Severio szyderczo, wzruszając ramionami. – W La Serenissimie to nic nie oznacza. Nie wiecie, jak to jest.

–Może ty zechcesz nam powiedzieć, panie – zaproponowałam.

–A wy będziecie udawać zainteresowanie? Za jakąś cenę? – Severio szorstko złapał moją rękę i trzymał mocno, obrzucając mnie złym spojrzeniem. – Słyszałem, hrabino, komu przysięgłaś służyć! W La Serenissimie trzymamy kurtyzany tam gdzie ich miejsce.

Jego uścisk sprawiał mi ból, a brutalność zdradzała gniew i frustrację, pragnienie atakowania wszystkiego co wiąże się z D'Angelinami, a także ich poczucia wyższości wobec wszystkiego, co d'Angelińskie nie jest. Krew zaszumiła mi w uszach w odpowiedzi na jego gniew i śmiało spojrzałam mu w oczy przez mgiełkę woalki.

–Służę Naamie, panie, to prawda. I za określoną cenę nie będę udawać absolutnie niczego.

Wokół nas zapadła cisza. Przypuszczam, że Gaspar, Ghislain i Bernadetta nie wiedzieli, co zaszło. Ja jednak wiedziałam, młody Stregazza także. Jeśli w swoim powołaniu mogę czymś się szcycić, to tym, że nigdy się nie pomyliłam w ocenie klienta – i zawsze umiałam poznać, kto chce nim zostać. Severio Stregazza był potencjalnym klientem. Po chwili parsknął pogardliwie i puścił moją rękę.

–Muszę wypić kieliszek likieru – powiedział, niezbyt uprzejmie wymawiając się od naszego towarzystwa.

Gaspar Trevalion patrzył za nim.

–Dziwny młody człowiek – zauważył. – Fedro, do licha, co cię w nim zainteresowało?

Nie mogłam mu wyjaśnić pobudek anguisette, nie śmiałam wspominać o swoich podejrzeniach dotyczących Melisandy Szachrizaj oraz o zabójczej sieci intryg w rodzinie Stregazza. Dlatego tylko się uśmiechnęłam i lekkim tonem odparłam:

–Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o La Serenissimie. Tyle przynajmniej powinien mi powiedzieć.

–Skoro tak mówisz – rzekł Gaspar powoli, patrząc na mnie sceptycznie.

Nie wiem, co powiedziałabym, żeby uśpić jego podejrzenia. Gaspar Trevalion zaliczał się do najbliższych przyjaciół Delaunaya i na pewno nie był głupcem. Na szczęście akurat w tej chwili kobieca ręka dotknęła mojego nagiego ramienia. Odwróciłam się i zobaczyłam podochoconą młodą parę w strojach Diany i Apollona, bliźniaczych helleńskich bóstw Słońca i Księżycy.

–Powiedz mi, sługo Naamy... – zagadnęła ze śmiechem śliczna kobieta w przekrzywionej srebrnej maseczce – za kogo się przebrałaś? Założyłam się z bratem.

Skłoniłam głowę i uniosłam ręce, żeby pokazać szkarłatne wstążki.

–Za Marę, pani, córkę Naamy i służebnicę Kusziela.

–Mówilem! – zawołał mężczyzna z pijacką satysfakcją.

Kobieta znowu się roześmiała, muskając palcami moją woalkę. Stała tak blisko, że czułam ciepło jej ciała i słodką woń joie w oddechu.

–W takim razie muszę zapłacić karę za przegraną – szepnęła. – Już to uzgodniliśmy. Kiedy otrzymasz moją propozycję, pamiętaj, że chodzi o dług honorowy.

–Będę pamiętać, pani – obiecałam, walcząc z zawrotami głowy.

Roześmiali się i odeszli. Gaspar Trevalion w kostiumie Pustelnika potrząsnął sztuczną brodą.

–Delaunay byłby dumny – rzekł oschle. – Tak myślę.

–Możliwe. – Kostium Mary powinien mieć wachlarz w komplecie, pomyślałam. Nie zaszkodziłby mi chłodny powiew. – Panie, Serenissimczyk ma rację, tej nocy trzeba pić joie. Czy złożysz mi wizytę przed wyjazdem z Miasta Elui? Z rozkoszą zaoferuję ci gościnę, zanim ruszysz do domu.

–Będę zaszczycony – odparł Gaspar z ukłonem.

W tym czasie joie i wino lało się strumieniami, a wesołość osiągnęła szczyty. Nawet nie spróbuję wyliczyć panów i dam, z którymi tańczyłam, przekomarzałam się i flirtowałam, ani nie podam liczby zapytań, dyskretnych i bezpośrednich, jakie otrzymałam. Posłuchałam rady danej Fortunowi i nikomu nic nie obiecałam. Minęła godzina z okładem, nim mój sumienny kawaler zjawił się wreszcie, nieco potargany.

–Pani – powitał mnie z lekką zadyszka – wydaje się, że zainteresowanie, jakie wzbudzasz, obejmuje twoich towarzyszy!

Roześmiałam się i przyglądałam jego rozwichrzone włosy.

–Z czyich szponów się wyrwałeś, Fortunie?

–Dzientelmen o tym nie mówi – odparł z szerokim uśmiechem. – Powiem tylko, że kilkoro d’Angelińskich wielmożów doszło do przekonania, że ich prośby zostaną pilniej wysłuchane, kiedy ja ci je przekażę. Zakładają się, pani, kto będzie twoim pierwszym klientem.

–A niech się zakładają – powiedziałam z satysfakcją. – Czy teraz zdobędziesz dla nas

miejsce przy bankietowym stole?

–Uważaj to za załatwione.

W Najdłuższą Noc nie ma formalnej wieczerzy, ale stół był zastawiony suto przez cały czas i nieprzerwany potok służących wnosił puste tace i półmiski, w ich miejsce przynosząc kolejne potrawy. Talerze i srebra szczękały, połyskując w blasku świec, a goście posilali się, gawędzili, wznosili kieliszki wina, omywali palce w różanej wodzie. Zjadłam kawałek pieczonego bażanta w polewie z miodu i tymianku. Słodkie mięso było tak delikatne, że niemal rozpląwało się w ustach. Przypuszczam, że Fortun pochłonał pięć porcji na każdą jedną moją. Przy stole skupiła się grupa Cruithnów, przedstawiciele Drustana mab Necthana. Odbyliśmy ożywioną rozmowę, kiedy odkryli, że znam ich mowę. Wielu z nich wciąż miało kłopoty z d'Angelińskim, a ja nie zapomniałam swojej roli tłumaczki.

W tym czasie muzycy zagrali żywą melodię z Caerdicci, a ja poczułam, że ktoś staje za moim ramieniem. Odwróciłam się i napotkałam spojrzenie Severia Stregazza.

–Hrabino. – Ukłonił się lekko i wyciągnął rękę. – Zatańczysz?

–Z przyjemnością. – Ujęłam jego dłoń, z gracją podniosłam się z krzesła i ruszyłam na parkiet.

Niedawno chwaliłam się swoją umiejętnością tańca, ale Serenissimczyk prowadził wyjątkowo niezgrabnie i nadażalam za nim nie bez trudu, starając się maskować jego niedociągnięcia. Stanęłam na wysokości zadania, bo szkolenie w Domu Cereusa jest gruntowne. Długi nos maski partnera trącał moje nagie ramię, a jego oczy płonęły w otworach.

–Słyszałem, że król Dalriadów ruszył na wojnę po nocy w twoich ramionach – rzekł nagle. – To prawda?

–Tak, panie. – Spodziewając się szybkiego obrotu, przyspieszyłam. – W pewien sposób. – Mniej więcej tak wyglądała prawda. Nie uznałam za konieczne wyjaśniać, że zazdrość Eamonna mac Conora o siostrę dorównywała pożądaniu, jakie czuł do mnie. Teraz Eamorin nie żył, zabity pod Troyes-le-Mont, a poza tym sądzę, że wolał wierzyć w to drugie.

–W Terre d'Ange panuje pokój. – Severio prowadził mnie przez tłum, na zewnątrz kręgu tancerzy. – Jaka jest więc cena dla księcia z La Serenissimy?

–Panie... – powiedziałam łagodnie, unosząc głowę, żeby spojrzeć mu w oczy – nie ustanawiam ceny, mając na względzie tylko honor Naamy. Kiedy minie Najdłuższa Noc, rozpatrzę propozycje, a wówczas zobaczymy. Powiem ci tylko jedno. – Uśmiechnęłam się i poczułam, jak narasta w nim żar. – Naama zawsze miała

różnorodne zainteresowania, ty zaś jesteś jedynym serenissimskim księciem na moim debiucie.

Poczułam, jak pręży ramiona, w których mnie trzymał. W milczeniu skinął głową. Kiedy taniec dobiegł końca, uklonił się sztywno i odszedł. Nie miałam wątpliwości, że niebawem dostanę od niego wiadomość.

Cisza, jaka nastąpiła po ostatnim tonie, przedłużała się, powoli przyciągając uwagę zgromadzonych. Muzycy zebrali instrumenty i opuścili górską grotę. Tancerze zeszli z parkietu. Ciszę przerwało bicie gongu. Horolodzy obwieścili godzinę i Herold Nocy ruszył przez salę, rytmicznie uderzając w mosiężną tarczę. Poczułam rękę na ramieniu. Fortun stanął u mojego boku, obrzucając mnie szybkim spojrzeniem. Po drugiej stronie kolumnady zobaczyłam Ysandrę de la Courcel, olśniewającą w kostiumie Królowej Śniegu, otoczoną przez tłum wielbicieli, ze wzrokiem wbitym w sztuczną górę.

Kiedy Herold Nocy dotarł do stóp góry, uderzył w gong po raz ostatni.

Nagle zapadła ciemność. Służący jednocześnie zdmuchnęli świece, a wiszące lampy zgasili srebrnymi kapturkami opuszczonymi na linkach. Płonęły tylko lampiony w wydrążonych kolumnach i jeden nad górskim szczytem.

Nagle góra rozsunęła się z okropnym zgrzytem, odsłaniając schodki i podium, na którym stała Królowa Zimy, sędziwa i kulawa, wsparta na lasce z tarniny. Mam przyjaciół wśród aktorów i wiem, jak osiąga się taki efekt, lecz mimo to westchnęłam ze zdumienia. Wszyscy pochylili głowy, nawet Ysandra, a ja, wiedzona głęboko zakorzenionym nawykiem, z trudem powstrzymałam się od przyklęknienia. Z drugiego końca sali dobiegło miarowe łomotanie drzewcem włóczni w zamknięte drzwi. Jeden, dwa, trzy.

–Niechaj drzwi się otworzą na przyjęcie powracającego światła! – zawołała władczo Ysandra i wielkie podwoje rozchyliły się na te słowa.

Wjechał przez nie wspaniały rydwan, obwieszony lampionami, ciągnięty przez parę dobranych siwków. Powoził Księżę Słońce, odziany w przepyszne złotogłowie, w promienistej masce pięknego młodziana. Pomruk zachwytu przetoczył się przez salę. Rumaki podeszły idealnie zgranym krokiem do stóp rozszczepionej góry. Stojąc w rydwanie, Księżę Słońce wskazał złoconą włócznią na Królową Zimę.

Na pozór nawet nie drgnęła, a jednak jej strój opadł, odsłaniając smukłą figurę. Dziewczyna jednym śmiałym ruchem zdarła maskę i pokazała, że jest w kwiecie młodości. Potrząsnęła głową i złote loki opadły, sięgając do talii. Światło zapłonęło w sali, języki płomieni wspięły się węzowo po długich, nasączonych olejem knotach do niezliczonych lamp, zapalając je jednocześnie. Blask po niedawnej ciemności

wydawał się dwakroć jaśniejszy.

Krzyknęliśmy na wiwat, wszyscy krzyknęliśmy. W takiej chwili nie można się powstrzymać. Z kątów sali wrócili muzycy i zagrali ze zdwojonym wigorem. Księżę Słońce zeskoczył z rydwanu, a Królowa Zima, teraz Panna Wiosna, zeszła z góry, by towarzyszyć mu w tańcu. W jednej chwili dołączyło do nich kilkanaście par. Z boku parkietu świta Ysandry zaczęła się rozpraszać, konkurując o zaszczyt podania jej następnego kieliszkami?

Wypuściłam ustami wstrzymywane mimo woli powietrze, wspierając się na ramieniu Fortuna. Spektakl był wspanialszy niż w Domu Cereusa, który słynie ze swoich przedstawień, choć przypuszczam, że w Progu Nocy nikt się nie zakłada i nie typuje odtwórców ról Królowej

Zimy i Księcia Słońce na dworze. Ci tutaj byli zawodowymi aktorami, występującymi na życzenie królowej, mającymi dziesiątki rzemieślników do pomocy.

–Zatańczymy, pani? – zapytał Fortun.

–Jeśli nie masz nic przeciwko, hrabino de Montreve – wtrącił mężczyzna o jedwabistym głosie – ja prosiłbym o ten zaszczyt.

Odwróciłam się i ujrzałam ostatniego konkurenta przebranego za Hesperos, gwiazdę wieczorną. Miał wams w kolorze nieba o zmierzchu, a na nim jedwabną pelerynę w głębszym odcieniu błękitu, w barwie nadciągającej nocy. W przeciwieństwie do innych, krój jego stroju był elegancki i prosty, podkreślający zgrabną sylwetkę. Pelerynę zdobiły misterne wytłaczane wzory, w które wprawiono niezliczone lustrzane okruchy, lśniła więc subtelnym światłem wieczornego nieba. Srebrna gwiazdzista maska skrywała rysy mężczyzny. Poznałam go po głosie, gracji i czarnych włosach, spadających w kaskadzie drobnych warkoczyków na plecy.

–Z miłą chęcią, lordzie Szachrizaj – powiedziałam chłodno.

Marmion Szachrizaj złożył nienaganny ukłon i powiódł mnie na parkiet.

Tej nocy miałam więcej niż tuzin partnerów, żaden jednak nie mógł się z nim równać. Mniemam, że kandydat na idealnego dworzanina ćwiczy równie sumiennie jak kurtyzana, a pod tym względem Szachrizaj są najlepsi. Marmion unosił mnie w tańcu, jedną ręką podtrzymując mą dłoń, drugą pewnie obejmując mnie w talii, i gdy prowadził, o krokach musiałam myśleć nie więcej niż o oddychaniu. Naprawdę słyszałam szmer podziwu, kiedy krążyliśmy, bo w naturze D'Angelinów leży podziw dla piękna we wszystkich jego postaciach. Stanowiliśmy dobraną parę, Marmion i ja.

Rozdzielały nas zaledwie cale, a to zupełnie inna sprawa.

–Powiedz mi zatem – zagadnął, uśmiechając się uprzejmie – czy miałaś wieści od mojej kuzynki?

Odwzajemniłam uśmiech, płynnie dostosowując się do jego ruchów.

–Dziwne, że pytasz, panie. Zastanawiałam się nad postawieniem ci tego samego pytania.

Marmion Szachrizaj pochylił głowę nad moim ramieniem.

–Gdybym otrzymał wieści od Melisandy... – wymruczał do mojego ucha – najpewniej zostałyby dostarczone na czubku noża. Ale dużo myślałem, mała hrabino. – Odsunął mnie na długość ramienia, gdy wykonywaliśmy złożoną serię figur, potem znów przyciągnął blisko, gdy muzyka zwolniła. – Ktoś dotarł do tylnej bramy Troyes-le-Mont przez nikogo nie zatrzymany, prawda? A kto cieszył się większym zaufaniem i wzbudzał mniej strachu niż anguisette, ulubienica królowej? – Jego mina ani na chwilę nie uległa zmianie, gdy uśmiechał się do mnie. Tylko ja potrafiłam doszukać się w niej okrucieństwa. – Miałaś konszachty z moją kuzynką od początku, hrabino, nie sądz, że jestem ślepy. Zapewniam cię... – wyszeptał, mocno ściskając moją rękę – że czuwam.

Przycisnął mnie mocno do siebie, moje uda otarły się o jego nogi, a biust naparł na tors Marmiona. Odchyliłam głowę, żeby spojrzeć w nieprzejednaną, uśmiechniętą, zamaskowaną twarz.

–Nie udajesz lojalności wobec królowej, lordzie Szachrizaj? – wydyszałam bez tchu, starając się dorównać jego opanowaniu. – Słyszałam, że podłożyłeś ogień, który zabił twoją siostrę, aby nie ujawniła współnika, z którym ją zdradziłeś.

Uśmiech Marmiona stwardniał, a jego dłoń rozcapierzyła się na moich plecach, przyciskając mnie jeszcze mocniej. Czułam palce wbijające się w skórę, a pod spodniami podnoszącą się męskość, sztywną i napierającą na mnie. Druga ręka miażdżyła moją dłoń.

–Doprawdy? – wycedził. – Ja o tobie też słyszałem mnóstwo rzeczy, hrabino. Mam nadzieję, że nie wszystkie są szkalującymi cię oszczerstwami, jak to, co ty usłyszałaś o mnie.

Strzała Kusziela uderza tam, gdzie zechce. Moje ciało zdradziło mnie, pragnąc jego ciała. Marmion Szachrizaj tańczył z wdziękiem wytrawnego dworaka i nikt poza mną nie wiedział, że porusza biodrami z subtelnością trybadystki, ocierając się o mnie. Żelazne ramiona nie pozwalały mi się odsunąć i bez powodzenia walczyłam z drżeniem w lędźwiach, z narastającym żarem.

–Lordzie Szachrizaj – powiedziałam z napięciem w głosie – proszę, puść mnie.

–Chcesz zrobić scenę? – Uśmiechnął się bezlitośnie. Moja lewa ręka zdrętwiała w jego uścisku i bezradnie ocierałam się o niego, drżąc z pożądania. – A może podasz signale, anguisette? Wiem o tobie wszystko, i patrzę. Zrozum, że nikt nie stanie pomiędzy mną i królową, ani jakieś tatuowane barbarzyńskie książątko, ani moja kuzynka, i na pewno nie ty!

Muzycy zakończyli melodię głośną fanfarą, która zagłuszyła moje westchnienie. Gdy Marmion Szachrizaj wypuścił mnie z objęć, byłam niemal na skraju orgazmu. Popatrzył na mnie wyniośle.

–Kiedy przyjdzie ci do głowy, żeby wejść mi w drogę, mała anguisette – powiedział z pogardliwym rozbawieniem – wspomnij ten taniec.

–Panie... – odparłam, z trudem prostując ramiona – eolska harfa brzmi na każdym wietrze, ale to wcale nie znaczy, że melodia jest mistrzowsko zagrana.

Po chwili milczenia zaśmiał się cynicznie i uklonił.

–Potrafisz nadrabiać miną, anguisette. To było do przewidzenia u zabawki Melisandy, trzeba jednak przyznać, że jesteś w tym wyjątkowo dobra. – Lekko, ostrzegawczo, dotknął mojej twarzy. – Raz to powiedziałem i powtarzać nie będę. Niezależnie jaką grę prowadzisz, trzymaj się ode mnie z daleka.

Gdy patrzyłam za nim, u mojego boku wyrósł Fortun.

–Pani, czy mam z nim pomówić? – zapytał niespokojnie.

–Nie – mruknęłam, patrząc, jak blask świec odbija się w lustrzanej pelerynie Marmiona Szachrizaj. – Albo jest głupcem i przeszarżował, albo jest bardziej wyrafinowany, niż sądziłam, i każe mi tak myśleć. Raczej wątpię, że w grę wchodzi to drugie. Miejmy oko na lorda Marmiona,

a zobaczymy, z czym się jeszcze zdradzi. Na razie jednak uważam, że naszego zdrajcy musimy szukać gdzie indziej. – westchnęłam, a moje ciało tętniło od niezaspokojonej żądz. – Fortunie, jeśli moje dobro leży ci na sercu, nie odstępuj mnie na krok do końca tej Najdłuższej Nocy i pilnuj, żebym nie zrobiła niczego, czego mogłabym żałować o świcie.

–Obiecuję – powiedział stanowczo.

Trochę ku mojemu rozczarowaniu dotrzymał słowa.

TRZYNAŚCIE

–Eluo, zlituj się! – Gemma weszła do bawialni, zataczając się pod ciężarem paczek i listów. – Pani, ile jeszcze... och! – Przewiązane wstążką pismo z dołączonym zakorkowanym flakonikiem wysunęło jej się z rąk i spadło na podłogę. Korzenny zapach goździków wypełnił powietrze, gdy pękła woskowa pieczęć i olejek wyciekł z buteleczki.

–Nie szkodzi – powiedziałam z roztargnieniem, odsuwając na bok stos przejranych propozycji, żeby zrobić miejsce dla następnych. – Dziękuję, połóż je tutaj.

–Będziesz potrzebowała większego domu. – Ti-Filip ostrożnie odłączył od listu ciekący flakonik i postawił go na stole. Oblizał palce i skrzywił się. – Za mocny.

–W zasadzie smak nie jest ważny. To służy do odświeżania oddechu. – Podniosłam pismo, zerkając na pieczęć. Baron d'Eresse, pan z Eisandy trudniący się handlem korzennymi przyprawami. – Dobre też na ból zębów. Gdybym zajmowała się sprowadzaniem towarów, wzięłabym go pod uwagę. – Ponieważ się nie zajmowałam, odłożyłam list na stosik tych, które kwalifikowały się do wyrzucenia. – Pomóżcie mi posortować ostatnią partię.

Moi kawalerowie byli zadowoleni, bo w ciągu ostatnich paru dni napłynęło wiele propozycji i nie mieli nic przeciwko zabawie w sekretarzy. Przez pewien czas w bawialni było słyhać tylko cichy trzask przełamywanych pieczęci i szelest papieru.

–Aha! – Remy zaśmiał się głośno. – Brat i siostra, pani, współwłaściciele majątku de Fhirze. Mam położyć ich na kupce odrzuconych?

–Zastanowię się... czekaj. – Dostrzegłam herb, nałożone maski Diany i Apoilona. – Nie, ona mi się spodobała. Zobaczymy.

–Jak sobie życzysz. – wyszczerzył zęby i uniósł brwi.

–Pani – rzekł cicho Fortun, unosząc głowę. Było nie odpieczętowane, rulon grubego welinu przewiązany złotym sznureczkiem z czerwoną pieczęcią. – Sądzę, że to cię zainteresuje.

–Od kogo? – Wzięłam zwój i zerknęłam na pieczęć. Zbyt prymitywna jak na d'Angelińską robotę, wyobrażała serenissimską karakę w porcie, z wieżą w tle. Insignia rodziny Stregazza. – Lord Severio – mruknęłam, łamiąc pieczęć i zsuwając sznurek. – Zastanawiałam się, jak długo będzie zwlekać. – Rzuciłam okiem na treść listu.

Nikt nie zauważył, kiedy welin wysunął się z moich zmartwiałych palców.

–Fedro? – Joscelin wszedł do pokoju i spostrzegł moją minę. Popatrzyłam na niego pustym wzrokiem. – Dobrze się czujesz?

–Tak. – Zamrugałam, podniosłam zwój i podałam mu. – Czytaj.

Przeczytał szybko – było to tylko kilka linijek – i na jego twarzy odmalowało się oszołomienie.

–Czy to żart?

–Nie. – Pokręciłam głową. – Nie sędzę. Nie sprawiał wrażenia człowieka obdarzonego zbyt wielkim poczuciem humoru.

–Nikt nie przebije Stregazza – przeczytał Joscelin głośno, bezbarwnym tonem. – Dwadzieścia tysięcy w złocie za prawo pierwszeństwa. – Nie zwracając uwagi na równoczesne westchnienie moich kawalerów i cichy pisk zdumionej Gemmy, rzucił rulon na stół. – Żadnej poezji, żadnych zapewnień o pożądaniu, żadnych wzruszających peanów na cześć Naamy. Ale sumie nie można nic zarzucić, jeśli przywiązuje się do niej wagę.

Popatrzyłam na niego chłodno.

–Severio Stregazza jest w trzech czwartych Caerdicci i wychował się w La Serenissimie. Może brakuje mu ogłady i wdzięku, żeby konkurować z połową królewskiego dworu D'Angelinów, ale przynajmniej ma dość rozumu, żeby o tym wiedzieć. Obiecałam mu, że nie będę udawać. Złapał mnie, jak myślę, za słowo.

–To gbur – mruknął Fortun.

–Tak – przyznałam. – Jest gburem. A ja zamierzam przyjąć jego ofertę.

–Co... – zaskoczona Gemma ciągle wytrzeszczała oczy – pani, co zrobisz z taką górą pieniędzy?

Uśmiechnęłam się.

–Zobaczysz.

Tak się złożyło, że dowiedzieli się o tym niedługo później. Dopracowanie warunków umowy zajęło bite dwa dni, przy czym Remy pełnił rolę mojego przedstawiciela. Miał smykałkę, jak się wydawało, do takich rzeczy – Trzeba było objaśnić Severiowi prawa gildii, które decydowały o postanowieniach naszego kontraktu, i kary za ich złamanie. W Terre d'Ange to ważna sprawa. Pogwałcenie praw sługi Naamy jest równoznaczne z pogwałceniem przykazania Błogosławionego Elui i najpoważniejszą formą świętokradztwa. Wszędzie indziej, jak słyszałam, kurtyzany są często zdane na

łaskę swoich klientów. Wśród D'Angelinów tak nie jest.

Serenissimskiemu księciu należało również wytłumaczyć charakter i cel signale, bo choć słyszałam, że grupa młodych panów zabrała go do Dworu Nocy, szukali rozkoszy dla ducha i ciała w Domu Orchidei. Spośród Trzynastu Domów tylko Waleriana i Mandragora używają signale, przy czym w Mandragorze przywilej ten chroni klientów. W sztukach zadawania bólu stawianie oporu jest elementem gry, stąd konieczność umówionego signale. Wiem, o czym mówię, bo dużo przeżyłam bez wypowiedzania swojego.

Wybranie słowa nie nastęczało kłopotów, miałam bowiem to samo od początku służby Naamie: Hiacynt. Był moim najszczęśliwym przyjacielem, moim azylem i schronieniem od czasów dzieciństwa. Jeśli przed laty wybrałam jego imię, aby zirytować Delaunaya – a tak było – teraz zrobiłam to dla samego Hiacynta, który w czasie tamtej pamiętnej podróży złożył największą ofiarę z nas wszystkich.

Nie marnowałam czasu w związku ze swymi planami i gdy Remy wrócił z podpisanym kontraktem oraz nerwową gromadką pałacowych gwardzistów, którzy otaczali dwa juczne muły, byłam już gotowa do drogi.

–Połowa przy podpisaniu! – zawołał Remy, szczerząc zęby. – Jak chciałaś, pani.

–Dobrze. – Stojąc w drzwiach, zapięłam broszę płaszcza sangoire. – Każ im to zabrać do Domu Dzikiej Róży. Mam spotkanie z duejna.

Remy rozdziawił usta i wlepił we mnie wzrok, a gwardziści zamruczeli.

–Chyba nie...

–To moje złoto i zrobię z nim, co zechcę – powiedziałam łagodnie, a potem podniosłam głos: – Joscelinie! Czy chcesz zobaczyć, jak wydaję pieniądze, które napawają cię taką odrazą?

Jeśli myślałam, że okaże skruczę, to się pomyliłam. Zrobił rozbawioną minę, poprawiając zarękawia.

–Czy będziesz zadowolona, jeśli zgodzę się z ciekawości?

–Większą przyjemność sprawiłby mi twój podziw – powiedziałam – ale przystanę na to. Chodź, a zobaczysz.

Duejna Dzikiej Róży była niejaka Moiretha Lereux, stateczna niewiasta po czterdziestce bez znamion ekscentryzmu, który cechuje tylu członków tego Domu – przypuszczam, że właśnie dzięki temu została duejna. Słyszałam również, iż grała na harfie tak pięknie, że wojownicy płakali, a przestępcy przyznawali się do winy, nigdy

jednak nie miałam przyjemności słuchać muzyki w jej wykonaniu.

Widok pieniędzy nie jest w stanie wstrząsnąć adeptem Dworu Nocy, aduejnowie są jeszcze bardziej odporni, ale nawet Moiretha nie powstrzymała się od spojrzenia drugi raz, gdy gwardziści rzucili brzęczące worki na jej biurko. Sekretarz Domu zbliżył się chyłkiem, żeby je policzyć, gdy z podziękowaniem odprawiłam gwardzistów. Wyszli w pośpiechu, kręcąc głowami, jakby nie mogli przejść do porządku nad szaleństwem sługi Naamy.

–Zatem uzgodnione? – Czułam się dziwnie, siedząc naprzeciwko duejny jako d'Angelińska arystokratka skąpana w złocie, z kasjelita i kawalerem za plecami. – Cztery tysiące za jej markę i cztery tysiące na wynagrodzenie Domowi utraty jej talentu i pracy w czasie, w jakim robiłaby markę.

–Plus dwa tysiące na zakup materiałów oraz roczny patronat Domu Dzikiej Róży, jeśli tego zechce. Jeśli nie wyrazi zgody, ta suma przejdzie w jej ręce – dodała Moiretha Lereux, spoglądając na spisana umowę. – Zgadzam się, hrabino. Złożymy podpisy?

Zrobiłyśmy to, a nasze sygnatury zostały poświadczone przez sekretarza, który już otworzył worki i zważył w palcach monety Severia.

–Zrobione – oświadczyła duejna. – Anzelmie. – Skinęła na milczącego ucznia, który klęczał abeyante. – Proszę, przyprowadź Favrielę.

Nie wątpię, że się spieszył, a jednak minęło trochę czasu. Moiretha Lereux czekała cierpliwie, częstując nas schłodzonym winem i cukrzonymi migdałami, których Remy schrupał wielką ilość. Kiedy Fawiela nó Dzika Róża, krzywiąc się, stanęła w drzwiach, było jasne, że przyszła we własnym tempie.

–Hrabino – zagaiła bez cienia zadowolenia – połowa elegantek z Miasta nęka mnie z twojego powodu! Nie prosiłam, żebyś rozgłaszała wszem wobec, kto uszył tę suknię.

–Nie rozgłaszałam – zaprotestowałam.

–Fortun im powiedział – pospieszył z wyjaśnieniem Remy. – Ciebie nie śmieli pytać, pani.

Moiretha Lereux chrząknęła.

–Favrielo, w uznaniu za zaprojektowanie kostiumu na Zimowy Bal Maskowy, hrabina Fedra nó Delaunay de Montreve postanowiła nagrodzić cię darem klienta. Zapłaciła równowartość twojej marki wycenionej przed... wypadkiem i wyrównała Domowi utratę twoich usług. Dla ciebie wyasygnowała dwa tysiące dukatów. Jeśli chcesz,

możesz przeznaczyć tę sumę na zakup materiału i roczny patronat Domu Dzikiej Róży. Będiesz mogła zatrzymać wyszkolone pomocnice i wszystko, co zarobisz, trafi do twojej szkatuły. Jeśli nie życzysz sobie tu pozostać – dodała – twoja wola, ale będziemy radzi, jeśli to uczynisz.

Favriela miała ostry język, w tej chwili jednak zabrakło jej słów i tylko na mnie patrzyła.

–Dlaczego to robisz? – zapytała w końcu. Bez zwyczajnej kąśliwości jej głos brzmiał młodo i wyrażał konsternację. – Przecież nawet mnie nie lubisz!

Przekrzywiając głowę, przyjrzałam się szwaczce, jej ślicznej twarzy usianej złotymi piegami, zeszpeconej tylko przez bliznę na wardze. W tej chwili zdumienie starło z niej wyraz wiecznego zagniewania.

–Powiedziałaś mi, żeby dać ci znać, kiedy zdołam przeobrazić cię tak, jak Strzała Kusziela przeistoczyła wymowę mojej skazy – odparłam. – Cóż, nie mogę zrobić z ciebie anguissette i nie sądzę, żebyś tego chciała. Ale mogę umożliwić ci przemianę z wybrakowanej adeptki, skazanej na lata służby w Domu Dzikiej Róży, w niezależną kobietę i największą projektantkę mody w Mieście Elui.

Wciąż wytrzeszczając oczy, Favriela parsknęła śmiechem.

–Jesteś szalona!

–Możliwe. – Wzruszyłam ramionami. – Podobnie jak wszyscy oferenci, proponujący mi spotkanie, a twój geniusz podwoił ich obłąd. Tyle zatem ci daję i teraz jesteśmy lewita.

Przygryzając dolną wargę, zwróciła się do duejny:

–A więc to prawda? Jestem wolna?

–Tak. – Moiretha podała jej dokument. – Rzecz jasna wedle zasad Dworu Nocy nie wolno ci nosić marki Dzikiej Róży, nie zostałeś bowiem zaangażowana jako sługa Naamy. Ale twoja marka została spleciona i mogę oddać ci twój kontrakt.

Favriela z roztargnieniem przyjęła dokument. Jej spojrzenie było nieobecne, gdy kalkulowała.

–Zostanę – powiedziała do duejny. – Dwa tysiące nie wystarczą na założenie pracowni, nie z kosztem najmu mieszkania i zakupu materiałów. W ciągu roku zarobię dość, żeby otworzyć sobie kredyt u kupców i zatrudnić pomocnice. Ale nie będę pracować za darmo dla Domu Dzikiej Róży.

–Oczywiście. – Moiretha Lereux rozłożyła ręce. – Wszelkie prace dla adeptów Domu będą wykonywane na zamówienie. Pod warunkiem, że zajmiesz się szkoleniem wybranych dziewcząt i pozwolisz im pracować na rzecz Domu, gdy zajdzie taka potrzeba. Możemy negocjować przy każdej okazji.

–Zgoda. – Favriela pokiwała głową. Przeniosła wzrok na mnie i zmarszczyła czoło. – Dla ciebie też nie będę pracować za darmo, hrabino. To twoja decyzja, nie moja. Nie jestem ci nic dłużna.

–Zgadza się – powiedziałam łagodnie.

Z namysłem zmrużyła oczy.

–Masz pieniądze?

Remy odchrząknął i usłyszałam szmer, gdy Joscelin wbił mu łokieć w żebra.

–Będę miała – odparłam, nie zwracając na nich uwagi. – Kiedy wypełnię mój kontrakt i zwrócę dług faktorowi. A dlaczego pytasz?

Jej oszpecone usta wykrzywiły się drwiąco.

–Dzięki tobie, hrabino, wysoko ustawiłam poprzeczkę. Miasto będzie patrzeć na ciebie, bo teraz ty będziesz dyktować modę. Obu nam wyjdzie na dobre, jeśli nadal będę projektować twoją garderobę. Niezależnie od moich uczuć do ciebie, interesująco jest cię ubierać.

–W takim razie – powiedziałam, wstając – odezwę się do ciebie, Favrielo nó Dzika Róża, kiedy moja szkatuła znowu będzie pełna.

Zebrałiśmy się do wyjścia. Joscelin zaczekał, aż znajdziemy się na dziedzińcu, i tam parsknął niewesołym śmiechem.

–Fedro... – pokręcił głową – czy nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać?

–Gdybyś miał o mnie lepsze zdanie, nie byłbyś taki zaskoczony – odpaliłam.

Popatrzył na mnie ze smutkiem w oczach błękitnych jak letnie niebo.

–Nie zbywaj tego tak lekko – rzekł cicho. – Wszystko byłoby prostsze, gdyby chodziło tylko o pieniądze.

–Tak – odparłam z westchnieniem. – Dawno temu uciekłyś do Bractwa Kasjelitów. Ale nie będę udawać chciwości tylko po to, żeby ulżyć twojemu sumieniu. Stój sobie na rozdrożu, jeśli taka twoja wola, wiedz tylko jedno: jeśli nie dokonasz wyboru, pójdę dalej bez ciebie.

-Wiem – mruknął i więcej o tym nie rozmawialiśmy.

CZTERNAŚCIE

W dzień mojego spotkania z Severiem Stregazza nadeszło wezwanie do rabbiego. Prawdę powiedziawszy, trochę zaniedbałam naukę, ale ponieważ obiecał opowiedzieć o Zaginionej Księdze Razjela, nie chciałam stracić okazji. Uznałam, że wystarczy mi czasu.

Byłam nieprzygotowana, ale niekiedy rozproszenie uwagi jest lepsze od skupienia, i wtedy tak było. Na wpół bezmyślnie odklepałam wyznaczone wersy Tanachu, nie popełniając ani jednego błędu. Spodziewałam się, że rabbi uderzy mnie wskaźnikiem po rękach, ale zamiast tego zostałam nagrodzona jedną z apokryficznych opowieści jezuickich, przekazywanych ustnie, nie zapisanych w księgach.

– Powiada się – zaczął rabbi – że Sammael i inni spośród sług Adonai byli zazdrośni, że On dał taką władzę Edomowi, Pierwszemu Człowiekowi, władzę nawet nad malachim. – (Tutaj pozwolę sobie wyjaśnić, że to nazwa aniołów w języku habiru). – Dlatego Sammael skradł Sefer Raziel i rzucił ją do wody.

– Tyle słyszałam, mistrzu – powiedziałam grzecznie.

– Nie skończyłam. – Rabbi spiorunował mnie wzrokiem. – Jest inna opowieść, o Lilit, pierwszej żonie Edoma, którą Adonai stworzył przed matką wszystkich ludzi, lewą. Z kurzu uczynił ich oboje, równych sobie, i tchnął życie w ich ciała – i pożałował tego, Lilit bowiem nie raczyła służyć pod Edomem i uciekła, zabierając ze sobą Sefer Raziel. Kiedy Adonai posłał swoich malachim, aby ją odzyskać, Lilit roześmiała się, otworzyła księgę i przeczytała głośno słowo, rozkazując im na Święte Imię wrócić do Pana z pustymi rękami.

Zaintrygowana, wsparłam brodę na ręce. Bóg Jedyny wysłał swoje sługi, żeby Eluę nakłonili do powrotu. Pierwszego, który zjawił się z mieczem, Błogosławiony Elua oczarował swoją słodyczą. Drugiemu, który przybył z prośbą, odpowiedział własną czerwoną krwią, rozcinając ciało i skrapiając żyzną glebę Terre d'Ange. Dlatego jesteśmy związani z tą ziemią, my, D'Angelinowie, nawet wyznawcy Kasjela, on bowiem podał sztylet Elui. Nigdy jednak nie słyszałam, by Elua i jego Towarzysze znali słowo, które mogłoby wymusić posłuszeństwo na sługach Boga Jedynego.

– I co było dalej? – przynagliłam.

– Mikael, dowódca zastępów Pana, natarł na Lilit i wyrwał jej Sefer Raziel, ale wiązał go jej rozkaz, dlatego wrzucił księgę do oceanu i wrócił z pustymi rękami przed tron Pana – dokończył rabbi. – Adonai kazał Rahabowi, Księciu Głębiny, odzyskać tom. Jeśli mówisz prawdę, być może Rahab posłuchał, ale nie do końca, bo zachował kilka stron. – Wzruszył ramionami. – Takie historie krążą wśród naszego ludu. Ja nie wiem czy to prawda.

–Co się stało z Lilit?

Rabbi musnął palcami naszyjnik chai.

–Poślubiła Aszmedaja, Księcia Demonów, i zrodziła sześć tysięcy dzieci ciemności, które nawiedzają nasze sny po nocach, przynajmniej tak powiadają ludzie. Kiedy przyszedł na świat Jezua ben Josef, ośmieliły się wodzić go na pokuszenie, a on wówczas przemienił je w czarne psy i przykuł pod górą Seir, gdzie będą cierpieć i wyć do czasu powrotu Masziacha, który położy kres ich cierpieniu.

–Dużo mi to daje – mruknęłam. – Ale co się stało z Zaginioną Księgą po tym, jak Rahab wydobył ją z głębin?

–Chcesz biegać, nim zaczniesz chodzić? – zapytał rabbi surowo, wskazując zwój Tanachu. – Następnym razem przestuduj Szmoet. Może wtedy powiem ci coś więcej.

–Tak, mistrzu. – Westchnęłam i przygotowałam się do wyjścia. – Będę czekać na twoje wezwanie.

Przestrzegając warunków naszej umowy, uśmiechałam się do ludzi napotkanych w jesziwie, ale nie próbowałam z nikim rozmawiać. Z trudem znosiłam zachowanie Joscelina, stanowiącego wyjątek od nałożonej na mnie reguły i wymieniającego uśmiechy i słowa powitania z Jezuitami. Młoda kobieta, która nauczała dzieci w czasie mojej pierwszej wizyty, zatrzymała go i szepnęła coś pośpiesznie. Zarumienił się, gdy założyła mu łańcuszek na szyję.

Wypytałabym go o to w chwili, gdy drzwi jesziwy zamknęły się za nami, ale rozproszyło mnie zamieszanie na dziedzińcu. W pobliżu naszego powozu grupa Jezuitów klóciła się w habiru, kilku młodych mężczyzn nastawało na najmłodszego. Zapewne nie zwróciłabym na nich większej uwagi, gdyby nie fakt, że wszyscy prócz najmłodszego ubrani byli na d'Angelińską modłę. Wyrzekli się ponurego przydzwiewku i pejsów na rzecz niby to żołnierskich strojów, a dwaj mieli miecze u pasa.

–...Przynosi śnieg niczym wełnę – mówił jeden z nich, agresywnie wysuwając głowę do przodu – rozrzuca szron jak popioły. Jak to rozumieć; Simeonie, jeśli nie jako wiatr z północy? Powiadam ci, nie będziemy siedzieć z założonymi rękami, kiedy Adonai każe nam stworzyć królestwo na przyjęcie Jezui! Czy wątpisz? Wysła swoje słowo i topi je. To przez tchórzliwych starców i lamentujące niewiasty wybrani z Terre d'Ange są bezdomni niby Cyganie!

Zerknęłam na Joscelina, który ściągał brwi, popatrując na nich z zadumą.

–O co im chodzi? – zapytałam.

Jeden z Jezuitorów odwrócił się, słyszając mój głos.

–Powinieneś dołączyć do nas, bracie apostato! – zawołał do Joscelina. – Przydałby się nam twój miecz.

Joscelin spokojnie, z uśmiechem pokręcił głową i otworzył drzwiczki powozu, po czym pomógł mi wsiąść. Chwyciłam drzwi i przytrzymałam je, zanim zdążył zamknąć.

–Powiesz mi? – zapytałam i nagle dostrzegłam naszyjnik chai na jego wamsie, małą srebrną tarczkę z wyrytym w czerni symbolem Chet i Jud. – A to? – dodałam, podnosząc medalion z jego piersi.

–Prezent – odparł Joscelin krótko, wrywając mi wisiorek. – Nie twoja sprawa.

Niespodziewany ból przeszył moje serce, bo jego twarz nagle stała się obca.

–W takim razie – szepnęłam, wstrzymując oddech – czy powiesz mi, dlaczego ci ludzie mówili o mieczach?

Przez chwilę tylko patrzył na mnie, marszcząc czoło, potem odparł niechętnie:

–Proroctwo mówi, że Królestwo Jeszui powstanie na północy, daleko na wschód od terytoriów Skaldów. Podobno Jeszuici z innych krajów już wyruszyli na poszukiwanie nowej ojczyzny. Niektórzy z młodszych pragną za nimi podążać. Są przekonani, że będą musieli wywalczyć królestwo mieczami.

–Bardzo dobrze. – Siląc się na zachowanie spokoju, powstrzymywałam głos od drżenia. – Nie wiedziałam o tym. Dziękuję.

Pokiwał głową, z twarzą wciąż pozbawioną wyrazu, i chciał zamknąć drzwi.

–Joscelinie... – przeszkodziłam mu raz jeszcze, nie będąc w stanie powstrzymać się od złośliwości – lord Delaunay najał cię, bo jego człowiek Guy został zabity przez pachołków Stregazza. Pozwolisz, żebym poszła do tego księcia z rodu Stregazza w towarzystwie nie wyćwiczonego marynarza – kąśliwie zacytowałam jego słowa – czy też staniesz u mojego boku, Towarzyszu Doskonały?

Jego twarz równie dobrze mogłaby być maską, kiedy się uklonił. Medalion zakołysał się i zadzwonił o skrzyżowane zarękawia.

–W imię Kasjela – rzekł zimno – chronię i służę.

To rzekłszy, zatrzasnął drzwi powozu, pozostawiając mnie samą, a ja zgrzytałam zębami, w ten sposób broniąc się przed płaczem. Na przekór wszelkim oczekiwaniom usłyszałam głos Melisandy, melodyjny i rozbawiony. „Och, chronisz dość dobrze, ale

gdybyś przysiągł służyć mnie, poprosiłabym cię o rozszerzenie usług”. Na Eluę, pomyślałam, dusząc w sobie rozpaczliwy śmiech, jak bardzo chciałam, żeby ona tu była. Nikt inny nie mógł zrozumieć mego przewrotnego bólu. Zastanawiałam się, czy wysyłając płaszcz, wiedziała, jaki zamęt wywoła w moim związku z Joscelinem. Wielce możliwe, uznałam po zastanowieniu. Ona pierwsza poznała się na jego uczuciach, na długo przed tym, zanim ja sama dopuściłam do siebie myśl o nich. Roześmiała się głośno, kiedy zobaczyła, że jest moim opiekunem. Tylko ten jeden raz Delaunayowi udało się ją zaskoczyć. Mniej uczuć okazała nawet na samym końcu, kiedy składałam pogrążające ją zeznanie.

Cóż, co się stało, to się nie odstanie – nie mogłam teraz zawrócić. Pod wieloma względami Melisanda związała mnie z Joscelinem, sprzedając nas razem w niewolę do Skaldii. Teraz jej gra nas rozdzieliła, a płaszcz był zagrywką, której nie mogłam zignorować. Kręty szlak, którym do mnie dotarł, prowadził do La Serenissimy, do gniazda kłowań członków rodziny Stregazza. Młody książę Severio dawał mi okazję na wysnucie nici ze splątanego wężła. Jeśli mogłam odzyskać Joscelina, to tylko po rozwikłaniu tej tajemnicy.

Miałam nadzieję, że wciąż będzie tutaj, gdy tego dokonam.

Wymyśliłam najlepsze moim zdaniem rozwiązanie i odłożyłam tę sprawę na bok. Kasjelickie poczucie winy i jezuitskie proroctwa musiały poczekać, bo na mnie czekał klient. Ale wspomnienie rozbawionej Melisandy nie opuszczało mnie, gdy kąpałam się i szykowałam, i czy tego chciałam, czy nie, powolny żar rozgrzewał moje ciało na myśl o wieczornej rozrywce. Na Eluę, minęło dużo czasu! Jeśli nawet Severiowi Stregazza brakowało talentu, żeby zagrać na mnie tak, jak zasługiwałam, jego tępy gniew mógł współbrzmieć z moim nastrojem.

–Jesteś gotowa? – zapytał Joscelin szorstko, kiedy wreszcie wyszłam z pokoju. W zestawieniu z granatową aksamitną suknią moja skóra lśniła jak śmietanka. Ciemne włosy przewiązałam nisko na karku złotą wstążeczką. Ti-Filip, który zgłosił się do powożenia, nerwowo przestępował z nogi na nogę. Żaden z moich kawalerów nie lubił, kiedy byłam skłócona z Joscelinem, ale w tej chwili ich uczucia nie miały dla mnie znaczenia.

–Tak – odparłam cicho, zarzucając płaszcz sangoire na ramiona.

–Chodźmy więc.

Przejście z Joscelinem przez pałac w drodze na spotkanie zrobiło na mnie znajome i zarazem obce wrażenie. Nie sądziłam, że kiedyś przywyknę do składanych mi ukłonów i cichych powitań. „Hrabino”. Po moim przejściu szeptano tak samo jak dawniej. Surowość i dezaprobata Joscelina także się nie zmieniły, tylko ich powód był inny. Poza tym, zamiast popielatoszarego stroju swoich byłych braci nosił

poważne czarno-zielone barwy z herbem Montreve na sercu i medalionem chai na srebrnym łańcuszku na szyi.

Nikt jednak nie wzięłyby go za kogoś innego niż kasjelitę. Nie tylko z powodu tradycyjnej broni – bliźniaczych sztyletów noszonych nisko u pasa, miecza na plecach i stalowych zarękawi zapiętych na przedramionach – ale także z uwagi na typową dla członków Bractwa postawę, która łączyła sztywną godność z płynną gracją ruchów. W Montreve wyżył się sztywności. Tutaj dawny nawyk powrócił.

Idiota, pomyślałam i poczułam się winna.

Jako wnuk doży, Severio przybył do Miasta z serenissimską świtą. Służący wprowadzili mnie do jego komnat, witając z szacunkiem i ukradkiem obrzucając spojrzeniami. Ysandra wyznaczyła kuzynowi wspaniałe mieszkanie, pomyślałam, rozglądając się dokoła. Nie dziwiło mnie to, bo Severio był pierwszym emisariuszem jej serenissimskiego krewniaka, który złożył hołd królowej po koronacji. Nie wiem, z czego wynikało takie opóźnienie, czy z powodu wojny, czy może złej krwi pomiędzy jej wujem diukiem L'Envers a potomkami stryjecznego dziadka księcia Benedykta, chociaż niewątpliwie to ostatnie musiało odgrywać pewną rolę.

–Hrabino. – Sługa w liberii Stregazza uklonił się rusko, mówiąc w caerdicci z lekkim akcentem. Wszystkie miasta-państwa Caerdicca Unitas posługują się językiem caerdicci, ale dialekty są różne. W La Serenissimie zachowały się wpływy melodyjnej mowy starożytnych fenickich żeglarzy, założycieli miasta. – Pan Severio przyjmie cię lada chwila – powiedział,

biorąc mój płaszcz i przewieszając go przez rękę. – Czy twój człowiek ma jakieś życzenia, które mogłyby umilić mu czas oczekiwania?

Joscelin uprzejmie podziękował za propozycję.

A zatem własni słudzy Severia nie nazywali go księciem. Uznałam to za rzecz wartą zapamiętania. Serenissimczyk czy nie, będąc w prostej linii potomkiem Benedykta de la Courcel, w Terre d'Ange Severio uchodził za księcia krwi. W La Serenissimie status wnuka doży, choć dość wysoki, musiał mieć mniejsze znaczenie.

Dziś wydaje się dziwne, gdy wspominam, jak niewiele wówczas wiedziałam o polityce Serenissimczyków.

Inny sługa, tym razem wysokiej rangi, wszedł do komnaty i zgiął się w ukłonie.

–Pan Severio przyjmie cię teraz, hrabino.

Nie spojrział mi w oczy, dlatego zastanowiłam się, co mnie czeka. Cóż, niebawem miałam się dowiedzieć. Poleciałam się łasce Naamy i odwróciłam, żeby pożegnać

Joscelina.

–Bądź spokojny – powiedziałam cicho. – Niebawem wrócę.

Joscelin skinął głową i skłonił się, błyskając zarękawiami.

–Będę czekać, pani. – Mocno zacisnął szczęki i w jego oczach błysnęło współczucie. – Niechaj Elua ma cię w opiece.

Biorąc głęboki oddech, zwróciłam się do sługi:

–Prowadź.

PIĘTNAŚCIE

Nie umiem powiedzieć, czego się spodziewałam po Severiu Stregazza. Za mało wiedziałam o Serenissimczykach, by pokusić się o snucie domysłów. Z drugiej strony przypuszczam, że gdybym nawet wiedziała więcej, i tak bym się pomyliła.

Nosił strój starożytnego tyberyjskiego magistrata.

Rozważając to później, uznałam, że nie powinnam być zaskoczona, bo przecież posiadałam szeroki zasób wiedzy. Struktura władzy w La Serenissimie wywodzi się z dni chwały Tyberium sprzed okresu cesarstwa. Nawet dziś La Serenissima jest jedyną republiką wśród monarchistycznych miast-państw Caeridicci Unitas. Gdybym wtedy wiedziała to, co wiem teraz, nie byłabym ani trochę zdziwiona, że syn republiki postanowił przypomnieć d'Angelińskiej kurtyzanie, iż La Serenissima znała dobrodziejstwa cywilizacji w czasie, gdy my mieszkaliśmy w krytych trzcina chałupach i radośnie tarzaliśmy się w brudzie. Zanim Elua i jego towarzysze postawili stopę na d'Angelińskiej ziemi i nazwali ją swoim domem, przynosząc w żyłach ichor oraz sztukę i naukę wykradzioną z Nieba, nie różniliśmy się od Skaldów.

Cóż, nie wiedziałam wtedy o zazdrości, jaką inne cywilizowane nacje żywią do Terre d'Ange, chociaż znałam już dość dobrze pożądlivość barbarzyńskich królestw. Jestem jednak wychowanką Dworu Nocy wyszkoloną przez Anafiela Delaunaya i umiem odgadywać pragnienia klienta. Kiedy ujrzałam Severia Stregazza siedzącego na krześle z kości słoniowej, ubranego w tyberyjską togę, z wieńcem laurowym na ciemnych kędziorach, opuściłam głowę i uklęknęłam.

–Zbliź się. – Głos miał stanowczy, tylko z cieniem niepewności, gdy skinął fascies, pękiem brzoźowych witek przewiązanych szkarłatną nicią. Z lektury wiedziałam, że są one symbolem władzy Tyberium. – Podejdz do podium i klęknij, suplikancie.

Przed krzesłem leżał dywan o barwie głębokiego szkarłatu. Przeszłam po nim posłusznie, czując, jak serce mi przyspiesza na myśl o złożeniu mojego losu w ręce Severia. Naprawdę nic nie może równać się z rozkosznym poddaniem się woli klienta! Znów osunęłam się na kolana, abeyante; w istocie to poza suplikanta, wpajana wszystkim dzieciom w Dworze Nocy. Minął długi czas, odkąd klękałam na życzenie klienta, i uczucie to przypominało powrót do domu.

–Czego pragniesz ode mnie? – Głos miał szorstki, gdy próbował zapanować nad niepewnością.

Uniosłam głowę i spojrzałam mu w oczy.

–Panie – szepnęłam, wcale nie udając zdenerwowania. Musiałam odgadnąć jego najgłębsze pragnienie. Wiedziałam, że jeśli nie zgadnę, zawiodę w służbie Naamie. –

Panie, moi rodacy przyjęli cię w sposób godny ubolewania i obawiają się, że wzbudzili twoje niezadowolenie. Jestem tutaj, by wynagrodzić ci przykrości.

Moje słowa i drżenie głosu sprawiły mu dużą przyjemność. Jakby iskra padła na hubkę, światło okrucieństwa zapłonęło w jego oczach.

–Jesteś tutaj, aby sprawić mi przyjemność? – Severio odchylił się na oparcie krzesła i uśmiechnął niemiło. Przypominał posąg tyberyjskiego magistrata, siedząc w wystudiowanej pozie, z jedną obutą w sandał stopą wysuniętą przed drugą. – Dobrze. – Machnął pękiem fascies. – Wstań zatem, niech ci się przypatrzę.

Stałam i drżałam, gdy wodził po mnie pożądliwym wzrokiem. Szumiało mi w uszach, z dali płynął łopot wielkich mosiężnych skrzydeł. Naama mnie przysłała, ale mój pan Kusziel też miał w tym swój udział. Żar narósł w żyłach i moja skóra zarumieniła się pod wpływem spojrzenia Severia.

–Rozbierz się – polecił szorstko.

To potworne znajdować przyjemność w takim traktowaniu. Łzy zakręciły mi się w oczach, kiedy rozwiązałam tasiemki i oswobodziłam ramiona. Suknia zsunęła się i ułożyła wokół moich stóp. Stałam przed nim naga. Już zdążył mnie obejrzeć i pogardliwie wykrzywił usta, gdy zrozumiał, że w istocie powiedziałam prawdę – niczego nie udawałam.

–Czego pragniesz, D'Angelino? – zapytał szyderczo.

–Sprawić ci rozkosz, panie – wymruczałam.

Oczy Severia Stregazza rozbliły, gdy uświadomił sobie swoją władzę.

–Błagaj mnie o ten przywilej – powiedział – a może ci na to pozwolę.

Uczyniłam to ze wstydem i radością, moje słowa z początku płynęły urywanie, a potem wylały się w istnym potoku. W końcu pożądanie wzbudzone przez upokorzenie przytłumiło mój głos i uklękną nieproszona, żeby ucałować jego stopę. W Bhodystanie znają pieszczotę zwaną „łaskotkami węgorza”, polegającą na wwiercaniu języka pomiędzy palce...

–Dość! – Ręka Severia zamknęła się na moich włosach, szarpnęła głowę w górę. – Przekonajmy się... – powiedział, oddychając ciężko – jak bardzo skruszony jest twój lud. – Wolną ręką odrzucił fałdy tyberyjskiej togi, odsłaniając przekrwiony, nabrzmiały fallus.

Klękną pomiędzy jego kolanami i wykonałam languisement, wkładając w to całą swoją sztukę. Przypuszczam, że młody Stregazza nie wyszedł źle na ubitym ze mną

interesie. Minał długi czas, odkąd służyłam Naamie; ustami, językiem i gardłem chłonełam go tak, jak pole pije deszcz po długiej suszy, dając mu tyle, ile byłam warta. Dwadzieścia tysięcy dukatów? To okazyjna cena! Jego ciało wygięło się w łuk, gdy osiągnął spełnienie, mocno zaciskając rękę na moim karku.

–Ach! – krzyknął chrapliwie i odepchnął mnie, jego palce zerwały wstążkę, którą miałam przewiązane włosy. Leżałam rozpostarta na dywanie, gdy podniósł pęk brzozowych witek. – Myślisz, że tak łatwo mnie ubłagać?

–Nie, panie. – Chwytnąjąc oddech, oblizalam słone usta. – Chciałam tylko sprawić ci przyjemność...

–Jeśli pragniesz wynagrodzić winy swojego ludu... – wycodził ponuro, uderzając fasces w dłoń – żądam czegoś więcej. Czy wciąż się zgadzasz?

Patrzyłam na pęk brzozowych witek, oszczędny i okrutny, i nagle zabrakło mi tchu. Musiałam zamknąć oczy.

–Tak, panie. Proszę, panie.

–Odwróć się zatem i złóż ręce za plecami.

Zrobiłam to z drżeniem, z wciąż zamkniętymi oczami, zbierając rozpuszczone włosy. Usłyszałam, jak głęboko zaczerpuje tchu na widok moich nagich pleców, na widok marki pyszniącej się w całej okazałości na tle jasnej skóry. Usłyszałam szmer jego togi, gdy wstał, i cichy świst, gdy machnął wtkami. Pod opuszczonymi powiekami widziałam podnoszącą się czerwoną mgłę, a za nią oblicze Kusziela, surowe i mosiężne. Pęk witek rozciął powietrze i szkarłatna fala bólu rozlała się po mojej skórze. Nie mogłam temu zaradzić – krzyknęłam głośno z rozkoszy.

–Aszera! – Będące przekleństwem albo inwokacją słowo wybuchło z ust Severia i brzozowe witki znów ze świstem spadły na moje plecy. – Ty... D'Angelino... – powiedział bez tchu i smagnął mnie dwa razy, zadając mi cudowny ból. Ścisnęłam ręce za plecami, aż zbieleły mi kostki. – Ty... – następne smgnięcie – uznasz... moją... zwierzchność... – Ach, Eluo, Naamo, Kuszielu! Wciągnęłam powietrze i usłyszałam, że błagam go, aby przestał, choć nie wiedziałam, czy na pewno tego pragnę. – Lubisz to, prawda? – rzekł Severio drwiąco, bezlitośnie chłoszcząc mnie wtkami. – Chcesz, żebym skończył? Poproś mnie raz jeszcze... – Wybuchy rozkosznego bólu tłumili moją świadomość, świat wirował mi przed oczami, zasnuty czerwoną mgłą, przez którą napływały moje błagania i trzask brzozowych witek. – Jeszcze raz! – I jego głos, chrapliwy i zadyszany. – Powiedz mi jeszcze raz... jak chcesz... sprawić mi rozkosz...

Nie pamiętam, co odpowiedziałam, wiem tylko, że wtedy poczułam na sobie jego ręce. Rozsunął moje kolana i wdarł się we mnie, a ja płakałam z ulgi. Zwieszałam

głowę, dopóki nie wczepił mi palców we włosy i nie szarpnął mocno, aż wygięłam się w łuk.

–Pokaż mi – jego głos zazgrzytał przy moim uchu. Zrobiłam to w długim, drżącym spełnieniu, którego fale wyciskały jego soki, gdy wbijał się we mnie, mocno uderzając podbrzuszem w moje pośladki.

–Jeszcze raz – poleciał bezlitośnie. Puścił moje włosy i chwycił piersi, ściskając je i szczypiąc. Był niestrudzony, rozochocony przez languisement. – Jeszcze raz!

Rozpaczając w duchu, posłuchałam.

Tak wyglądało moje pierwsze spotkanie od czasu odnowienia ślubów Naamie, a kiedy dobiegło końca, czułam się zaspokojona i rozleniwiona. Mój nastrój przypominał ciepły, wilgotny wieczór po letniej burzy. Zawsze tak było. Już w Domu Cereusa, gdy wymierzono mi chłostę za nieposłuszeństwo, rozkoszna błogość przenikała moje obolałe ciało.

Severio Stregazza był potulny jak baranek, oczyszczony z młodzieńczego gniewu i zdumiony tym, co się wydarzyło. Z troskliwością kochanka zarzucił jedwabną szatę na moje ramiona, starając się nie urazić świeżych pręg, które szpeciły skórę, po czym podprowadził mnie do sofy i zawołał, by przyniesiono wino.

–Zatem to prawda – powiedział ze zdumieniem, kładąc rękę na mojej twarzy i patrząc mi w oczy, na szkarłatną plamkę w lewym. – Jesteś an... anguisette.

–Tak, panie. – Zaśmiałam się cicho. – Prawda. Czy to sprawia ci przykrość?

–Nie! – Szeroko otworzył oczy i ze śmiechem zajął miejsce na drugim końcu sofy. – Nie, pani, ani trochę. Powiedz mi, czy są inne?

–Nie w dzisiejszych czasach. – Pokręciłam głową. – Były, w przeszłości. Mistrz Robert Tielhard, który wyrysował moją markę, słyszał opowieści od swojego dziadka.

–Co się z nimi stało?

Ułożyłam fałdy szaty w bardziej malowniczy sposób.

–Ostatnią żyjącą anguisette, o ile mi wiadomo, była Iriel de Fiscarde z Azalii, która z własnej woli poślubiła kuszelickiego diuka de Bonneł, aby zapobiec wojnie pomiędzy ich domami. D'Angelińska polityka. – Uśmiechnęłam się do sługi, który przyniósł wino. Widziałam, jak w trakcie napełniania kielichów zerkał na puste krzesło z kości słoniowej i pęk fascies. Po jego wyjściu skosztowałam wina i zwróciłam się do Severia: – Powiedz mi, panie, czy naprawdę nami pogardzasz?

Westchnął, przegarnął włosy i zdjął wieniec z wawrzynu, który i tak był przekrzywiony.

–Tak. Nie. – Rzucił laur na podłogę. – Moja gruba serenissimska skóra ścieniała pod tym względem – rzekł cierpko. – Zbyt często przypominano mi o moich brakach w porównaniu z pełnokrwistymi D'Angelinami.

–Myślę, panie, że wypadasz dość dobrze w takim porównaniu. – Uśmiechnęłam się na widok jego rumieńca zadowolenia. Młodemu ludziom pochlebstwo uderza do głowy bardziej niż wino. – Kto śmiał powiedzieć coś innego?

–Nieszczery Serenissimczycy. – Jednym haustem wychylił połowę kielicha i otarł usta dłonią. – I nikt tutaj, prawdę powiedziawszy. To tylko spojrzenia i zerknięcia. Nie, to się bierze skądinąd, z Małego Dworu w La Serenissimie. – Pochwycił moje pytające spojrzenie. – Tak nazywają palazzo mojego dziadka Benedykta i d'Angelińskie domy w dzielnicy. – Severio skrzywił usta. – Za życia mojej babki było inaczej.

–Twój dziadek ożenił się powtórnie, prawda?

Z roztargnieniem pokiwał głową.

–Nazywa się Etaine do Tourais, jest d'Angelińską uciekinierką szlacheckiego rodu ze wzgórz kamaelińskich. Mąż, ojciec, nawet jej brat, wszyscy zginęli w pierwszej fali najazdu Seliga. Jej rodzina została zwolniona ze zobowiązań wobec domu Courcel. Miało to coś wspólnego ze zbrojnym wystąpieniem jej ojca u boku Benedykta w jakiejś dawnej bitwie

przeciwko Skaldom.

–Bitwa Trzech Książąt – mruknęłam. Miałam powody, by znać ją dobrze. Poległ w niej umiłowany mojego pana Delaunaya, delfin Roland de la Courcel.

–Właśnie. – Severio wypił resztę wina. – Nie można mieć do niej pretensji, jak mi się zdaje, bo to nie jej wina. Przywdziała nawet Welon Aszery, żeby podziękować Łaskawej Pani Morza za schronienie, podczas gdy Elua i jego Towarzysze nie zapewnili jej ochrony – powiedział z pewną satysfakcją. – Ale obawiam się, że zapas odwagi zużyła na ucieczkę przed Skaldami. Współczuję jej z powodu utraty bliskich, to jednak nie usprawiedliwia faktu, że wyszła za starca. Po Małym Dworze krąży plotka, że dziadek planuje wydziedziczyć nas wszystkich na rzecz pełnokrwistego potomka. Dziedzica nie skażonego poślednią krwią Stregazza. – Z goryczą popatrzył w pusty kieliszek. – Czy wiesz, że wywodzimy swój ród od Marcellusa Aureliusza Stregi?

–Szlachetne pochodzenie, to pewne – odparłam machinalnie. – Twój przodekowie

musieli być dumni. Severio, jeśli twój ojciec ma odziedziczyć tron doży, jakie znaczenie mają machinacje Małego Dworu?

–Urząd doży jest wybieralny – odparł krótko. – Na całe życie, tak, ale sukcesja nigdy nie jest pewna. Jeśli mój ojciec nie zostanie wybrany, a ksiązę Benedykt wycofa swój patronat nad Stregazza, stanę się po prostu kolejnym serenissimskim paniczem szukającym lukratywnego stanowiska. Będę w nieco lepszej sytuacji niż czworo dzieci Teresy i Dominika, ponieważ ich ojciec nie żyje, a matka przebywa w więzieniu. Benedykt na to przyzwolił, jak ci wiadomo. Moi kuzyni zostali pozbawieni widoków na przyszłość.

Przebiegły mnie ciarki. Ja byłam za to odpowiedzialna, ja i Alcuin.

–Z pewnością masz jakieś przypuszczenia co do wyniku wyborów?

Severio wzruszył ramionami.

–Mój ojciec cieszy się sympatią w klubach naszej Sestieri, pani, ale to niczego nie gwarantuje, tym mniej dla mnie. Potrzebna mu aprobata księcia Benedykta, na co nie można liczyć, odkąd wyszła na jaw zdrada Teresy i Dominika. Tymczasem mój wuj Ricciardo spiskuje przeciwko ojcu, buntując cechy rzemieślników. Dlatego ważne jest, żebym w czasie niniejszej wizyty zdobył poparcie dla mojej rodziny. Dobre stosunki handlowe z Terre d'Ange przysłużą się La Serenissimie. – Z zasmuconą miną nalał wina do kieliszka. – Jak dotąd nie spisałem się zbyt dobrze. I znaczną część pieniędzy, jakie ojciec wyasygnował na zapewnienie przychylności arystokratów... – Patrząc na mnie, Severio chrząknął i zarumienił się. – Mój ojciec był bardzo hojny, ale nie wiem, czy uzna, że mądrze wydałem jego pieniądze.

Kiedy zrozumiałam o co mu chodzi, roześmiałam się głośno.

–Kupiłeś mnie za pieniądze, które ojciec dał ci w dobrej wierze?

–Cóż... nie za wszystkie. – Miętosił w palcach skraj tuniki. – Ale za większą ich część.

–Severio... – pochyliłam się z błyskiem w oczach – czy zdajesz sobie sprawę, że nie mogłeś zrobić niczego lepszego, żeby wyrzeć wrażenie na d'Angelińskich arystokratkach? Zakładali się,

kto będzie moim pierwszym klientem! Jednym szerokim gestem zyskałeś status, jakiego żaden D'Angelin nigdy nie osiągnie. Dawanie ci rad nie jest moją sprawą, ale wierz mi, jeśli pozwolisz, by wieść się rozeszła, wzbudzisz podziw i zazdrość całego pałacu.

Z nagle pojaśniałą twarzą wydał się młodszy i bardziej przystojny.

–Naprawdę tak myślisz?

–Ja to wiem. – Wiedziałałam. Kiedy byłam Angisette Delaunaya, korzystanie z moich względów uważano za rozkosznie dekadentcki sekret, którym dzielili się arystokraci o pewnych skłonnościach. Teraz stawka wzrosła. Hrabina de Montreuve była ceniona znacznie wyżej.

–Dlaczego mnie wybrałaś? – Jakaś myśl wpadła mu do głowy i zmarszczył brwi. – Tylko dla pieniędzy? Tak przypuszczałem, dlatego wysunąłem wysoką ofertę.

–Nie. – Z uśmiechem spojrzałam na jego znów pochmurną twarz. – Spodobał mi się twój gniew.

–Naprawdę? – Wyciągnął ręce i posadził mnie na kolanach. Objęłam go nogami, a on rozsunał szatę, wodząc rękami po moim ciele. – Czy nadal mnie lubisz, gdy już nie jestem zły? – zapytał z ciekawością, szarpiąc togę. Tępa główka unoszącego się członka wsunęła się pomiędzy moje dolne wargi, gdy chwycił mnie za poranione plecy.

–Tak, panie. – Sapnęłam, zanim wszedł we mnie, bo jego paznokcie wbiły się w moją skórę.

Młodzi mężczyźni!

SZESNAŚCIE

Severio Stregazza skorzystał z mojej rady, choć o wszystkim dowiedziałam się dopiero po powrocie na dwór. Jak kiedyś w służbie u Delaunaya, teraz też zrobiłam sobie kilka dni wolnego. Zostałam opatrzona przez eisandzkiego konsyliarza, ale musiałam wydobrzeć po spotkaniu.

Miałam zamiar skontaktować się z jezuitskim doktorem, który w przeszłości opiekował się Alcuinem i mną, ale Joscelin zgłosił stanowczy sprzeciw. Popatrzyłam na piękną, nieubłąganą twarz kasjelity, na naszyjnik chat lśniący srebrem na jego piersi, i ustąpiłam. Byłam zbyt zmęczona, żeby toczyć boje z jego sumieniem. Joscelin nie chciał, żeby moja natura obraziła bodaj jednego Jezuitę, dlatego miałam być opatrzona przez lekarza z naszego ludu. Eisandczycy są być może najbardziej utalentowanymi uzdrowicielami na świecie, dlatego pod tym względem nie miałam zastrzeżeń. Delaunay polegał na dyskrecji Jezuity, bo oni nie plotkują o swoich klientach. Rozstrzygnęłam sprawę, posyłając Fortuna z poleceniem znalezienia i sprowadzenia najbardziej miłkliwego Eisandczyka.

Joscelin nie odezwał się ani słowem, kiedy wróciłam do niego w kwaterach Severia. Przypuszczam, że tylko my dwoje wiedzieliśmy, co kryło się pod płaszczem naszego serdecznego powitania. Ukłonił się, ja pochyliłam głowę, powstrzymując się od grymasu, gdy ciężki płaszcz otarł się o świeżo wychłostaną skórę. Doświadczyłam w życiu mąk znacznie gorszych niż te, jakich doznałam z rąk młodego Stregazza, mogłam więc odejść pewnym krokiem.

Nie pytałam, co czuł Joscelin, bo wiedziałam to dość dobrze. Ból ciała jest niczym w porównaniu z bólem serca.

Severio wybił się jako mój pierwszy klient i dyskretnie rozpuścił wieści o sumie, jaką uiścił za nasze spotkanie. Dowiedziałam się o tym od moich kawalerów, którzy z kolei zasięgnęli języka u gwardii pałacowej – uszom strażników nic nie umyka. Wspomniała o tym również Cecylia Laveau-Perrin, która złożyła mi wizytę w czasie rekonwalescencji.

–Dwadzieścia tysięcy dukatów, powiadają – oznajmiła, patrząc na mnie z namysłem.
– To prawda?

–Mniej więcej – powiedziałam, odkładając na bok kolejny stosik propozycji. Po spotkaniu z Severiem wysokość ofert znacznie wzrosła, przy czym niektóre były nadzwyczaj dziwaczne. Na przykład, pewien L'Agnatczyk obiecywał mi winnicę. – Czy mówią, co zrobiłam z pieniędzmi?

–Nie. – Cecylia przeszyła mnie wzrokiem. – Ale coś słyszałam. Wciąż mam uszy w Dworze Nocy. Zapłaciłaś za markę Favrieli nó Dzika Róża. Wiedziałaś, że dziewczyna

podobno została popchnięta?

–W kąpieli, kiedy rozcięła sobie wargę? – Uniosłam brwi. – Nie, ale się domyśliłam. Ja też wychowałam się w Dworze Nocy, pamiętaj. Kiedy o tym mówiła, recytowała jak z jezuickiego katechizmu.

–Stało się to na dwa tygodnie przed debiutem nowo mianowanych adeptek. W Dzikiej Róży sami projektują kostiumy. – Cecylia podniosła jeden z listów i przeczytała go z roztargnieniem. – Favriela miała niewątpliwą przewagę, co doprowadziło do niesnasek, jak słyszałam. Zazdrość to okrutna pani. Kim jest baronowa de Charlot i po co ci para pełnokrwistych kasztanów?

Zabrałam jej pergamin.

–Po nic, ale rodzina Charlot hoduje piękne konie. W Kuszecie. Pełnokrwiste kasztany... ach, mniejsza z tym, Cecylio, nie przyjmę jej oferty. Co jeszcze słyszałaś?

–Dobrze się czujesz? – Cecylia popatrzyła na mnie figlarnie. – Myślę, że powinnaś złożyć wizytę w pałacu.

Nic więcej nie powiedziała, pozostawiając mi domysły. Zastanawiałam się, czy nie złożyć wizyty Thelesis de Mornay, ale okazja nadarzyła się szybciej, niż sądziłam. Ysandra przysłała zaproszenie na koncert dla uczczenia ostrożnego pojednania pomiędzy jej wujem, diukiem L'Envers, a rodziną Stregazza. Eisandzki kompozytor – muzyka i medycyna są darami Ejszet – połączył siły ze siovaleńskim inżynierem, tworząc koncert na przemyślnie skonstruowany instrument, który wykorzystywał system miechów i pedałów do przepuszczania powietrza przez niezliczone rury o różnych tonach.

Brzmienie było niezwykle dziwne, ale nie nieprzyjemne, pełne osobliwych harmonii. Siedziałam z tyłu, w przedostatnim z sześciu rzędów krzeseł, i półuchem słuchałam koncertu, kierując uwagę na miejsca z przodu. Tibault, hrabia de Toluard ze Siovale – obecnie markiz, za udział w obronie kraju przed nawałą Seliga – siedział rozpromieniony. Sam będąc zapalonym uczonym, był również patronem inżyniera. Wielu potomków Szamchazaja interesuje się takimi wynalazkami. Przypuszczam, że gdyby Delaunay tu był, też pragnąłby obejrzyć instrument.

Severio Stregazza siedział pomiędzy królową a diukiem Barquielem L'Envers. Od czasu do czasu Ysandra pochylała się w jego stronę i szeptała. Severio dobrze się spisał, pomyślałam, i królowa chce zacerować rozdarcie.

Barquiel L'Envers nonszalancko rozpierał się na krześle, wyciągając przed siebie długie nogi. Każdy mógł wziąć to za brak poszanowania, lecz gdy chodziło o niego, ja niczego nie byłam pewna. Przez długi czas przebywał w Khebbel-im-Akad i twierdził, że rozsmakował się w tamtejszych zbytkach. Ja nigdy nie dałam się zwieść i nie

wierzyłam, że jest miękki jak akadyjskie poduszki.

Obok L'Enversa z zaskoczeniem ujrzałam Percy'ego de Somerville, dowódcę wojsk królewskich, oraz jego syna Ghislaina z synową Bernadettą. Ostatnio słyszałam, że Percy przeprowadzał inspekcję pogranicznych garnizonów w Kamlachu, obsadzonych przez ludzi d'Aiglemorta, którzy zdradzili nasz naród, a potem przewalili się Niewybaczonymi. Nikt nie miał większej niż oni motywacji do ofiarnej ochrony skaldujskiej granicy, ale Ysandra miała się na baczności i śledziła ich poczynania.

Skoro Percy de Somerville wrócił, może przybyli także ludzie pełniący wartę w noc ucieczki Melisandy z Troyes-le-Mont? – pomyślałam z nadzieją. Będę musiała wysłać kawalerów na przeszpiegi do koszar.

Mniej radosny dla moich oczu był widok Marmiona Szachrizaj w drugim rzędzie. Siedział dość blisko królowej, żeby móc szeptać jej do ucha; zrobił to dwa razy. Miejsce obok niego zajmowała nie znana mi młoda dama, szczupła, z burzą zaczesanych wysoko brązowo-złotych loków. Traktowała Marmiona wyniośle, ale dostrzegłam też lekki, rozbawiony uśmiech, gdy jej towarzysz zwracał się do królowej. Barquiel L'Envers odwrócił się i powiedział coś do niej, uśmiechając się szeroko. Chyba roześmiała się w odpowiedzi.

Kiedy koncert się skończył, nagrodziliśmy wykonawców uprzejmymi oklaskami. Muzycy – trzeba ich było trzech do obsługi instrumentu – ukłonili się, potem to samo zrobił kompozytor i inżynier, który zaprosił słuchaczy do obejrzenia instrumentu. Tibault de Toluard, choć z pewnością wiedział znacznie więcej o tym urządzeniu niż wszyscy inni obecni tutaj panowie, pierwszy znalazł się na podium, a jego twarz jaśniała z zadowolenia.

Wmieszałam się w tłum, prowadząc uprzejme pogawędki, gdy słudzy krążyli z winem i schłodzonymi owocami. Miałam oko na Severia i widziałam, jak z wyszukaną dwornością wita się z d'Angelińskimi magnatami.

–Fedro! – zawołał radośnie Ghislain de Somerville. – Coś ty, u licha, zrobiła temu chłopcu? Przysięgam, odmieniłaś go! Pięć dni temu niezbyt pasował do wytwornego towarzystwa, a dziś jest niemal jego duszą. Jak tego dokonałaś?

–Sługa Naamy nie zdradza sekretów – odparłam z uśmiechem. – Ale miło mi to słyszeć. Jak miewa się twój ojciec? Dobrze wygląda.

–Zdrów jak ryba. – Ghislain spojrział z podziwem na ojca, postawnego mężczyznę ze złotymi włosami, które już szarzały. – Przejechał cały Kamlach w środku zimy, przeprowadzając inspekcję garnizonów. Mam nadzieję, że ja w tym samym wieku będę miał choć połowę jego wigoru.

–Jesteś mu równy w wojennym rzemiośle. Nie wątpię, że odziedziczyłeś również jego konstytucję.

Ghislain zarumienił się, rozsiewając lekki zapach jabłek.

–Miło mi, że tak mówisz, ale obawiam się, że na polu bitwy jestem bladą imitacją ojca.

Uważam, że rozminął się z prawdą, choć nie mnie to osądzać. Obaj dowodzili wojskami tworzącymi młot i kowadło, pomiędzy którymi znalazły się siły Seliga. Ich strategia umożliwiła Sprzymierzeńcom z Kamlachu przełamanie potęgi nieprzyjaciela. Ani jedna ze stron nie dokonałaby tego w pojedynkę. Nie ulega wątpliwości, że genialny plan Percyego ograniczył swobodę działania Skaldów do czasu przybycia armii albijskiej – ale gdyby nie Ghislain, nigdy nie dotarlibyśmy do Troyes-le-Mont.

–Mów, co chcesz, panie, ale dwie silne gałęzie rodu Somerville podparły Terre d'Ange w

godzinie potrzeby – powiedziałam dyplomatycznie.

–Ha. – Ghislain popatrzył na mnie poważnie. – Mało brakowało. Nie myśl, że zapomniałem, Fedro, o twoim udziale. Tamtej nocy przywiązałbym cię do drzewa, gdybym wiedział, co ci chodzi po głowie. Z drugiej strony, gdybyś nie przedarła się przez linie Seliga i nie powiadomiła fortecy... – Pokręcił głową. – Ocaliłaś wiele istnień ludzkich i być może zapewniłaś nam zwycięstwo w tej bitwie.

–Może – szepnęłam. Nie lubię wspominać tamtej nocy. Zadrzałam, gdy wróciły echa dawnego bólu, koszmarnej udręki, cięć sztyletu, którym Waldemar Selig oddzielał moją skórę od ciała. Nawet moja wytrzymałość ma swoje granice. – Błogosławieństwo Kusziela jest wątpliwym darem, panie. Skorzystałam z niego w sposób, jaki uważałam za najlepszy.

–Cieszę się, że jesteś tutaj, aby móc to powiedzieć. – Z uśmiechem poklepał mnie po ramieniu, wzbudzając świeżą falę noszonego w pamięci cierpienia, i odszedł.

Przepędzając mruganiem szkarłatną mgiełkę, która zaćmiła mi oczy, przyjął kieliszek od przechodzącego sługi i powoli sącyłam wino, żeby uspokoić nerwy. Niemal w ostatnim momencie zobaczyłam Severia. Podeszedł do mnie rozpromieniony.

–Hrabino de Montreve – zagadnął formalnie, składając wykwinny ukłon. Jego ciemne oczy tańczyły, gdy się wyprostował. – Jestem dłużnikiem twojej mądrości!

Wspomnienie Troyes-le-Mont spłowiło. Wzięłam się w garść i odwzajemniłam uśmiech.

–A zatem moje słowa się sprawdziły?

–Co do joty! Stało się dokładnie tak, jak powiedziałaś. – Roześmiał się. – To inny kraj, Terre d'Ange! Jestem ci wdzięczny za rolę przewodnika oraz za... inne rzeczy.

–Co do tego, mój panie magistracie – odparłam żartobliwie – jestem równie wdzięczna tobie, a oboje winniśmy podziękowania Naamie za wielorakie dary, jakie rozdziela wśród kochanków.

–A więc tak mówicie tutaj. – Ujął moje ręce. – W La Serenissimie nie rozmawiamy o takich rozkoszach. Szczerze mówiąc, bałam się, że uległem deprawacji, skoro znajduję w nich przyjemność. Już za to jestem ci wdzięczny... – Severio urwał w połowie zdania, patrząc nad moim ramieniem. – Wolałbym, żeby tak się na mnie nie gapił – burknął z irytacją.

Odwróciłam się i zobaczyłam Marmiona Szachrizaj. Jego jasna skóra miała chorobliwy odcień. Uśmiechnął się ironicznie i odszedł, ale zdążyłam dostrzec coś w jego oczach. Był to strach.

–Masz na myśli lorda Szachrizaj? – zapytałam lekkim tonem.

–Och, wciąż kręci się przy królowej. Raz grałem z nim w batarde w Sali Gier – odparł Severio, ściągnąwszy brwi. – Kiedy zablefowałem śmiało, powiedział coś bardzo dziwnego... co to było? „Jeśli przysłała cię, aby mi zagrozić, powiedz jej, że się nie boję”. Kiedy zapytałem, o co mu chodzi, wymigał się od odpowiedzi. Do licha, co przez to rozumiał?

Przysięgam, że moje serce na chwilę zamarło, a kiedy podjęło, pracę, biło dwakroć szybciej.

–Chodzą plotki, że jego kuzynka Melisanda przebywa w La Serenissimie, pod ochroną doży – powiedziałam beztrąsko, ogromnie świadoma podejmowanego ryzyka. To nie była plotka, ani trochę, o czym świadczyła paczka, która trafiła pod mój dach w Montreve. – To prawda?

–Jeśli tak, ja o tym nie słyszałem. – Severio wzruszył ramionami. – Ale niewykluczone. Nie znam nazwisk wszystkich D'Angelinów, którzy szukali schronienia pod egidą La Serenissimy.

–Poznałbyś Melisandę, gdybyś ją zobaczył – powiedziałam ostrożnie. – Jest podobna do lorda Marmiona tak, jak słońce przypomina gwiazdę. I gdyby książę Benedykt usłyszał o jej obecności, z pewnością kazałby ją wydalic do Terre d'Ange, ciąży bowiem na niej wyrok za zdradę. To lord Marmion wydał ją w ręce królewskiej sprawiedliwości.

–Aha. – Severio pokiwał ze zrozumieniem głową. Wyglądało na to, że szybko się orientuje w wewnętrznych intrygach. – Pojmuję więc jego strach, lecz źle kieruje swoje podejrzenia. Jeśli jego kuzynka przebywa w La Serenissimie, nie mam z nią nic wspólnego. Ani, jak sądzę, mój dziadek doża. Jest zbyt mądry, żeby narażać się na niezadowolenie d'Angelińskiej królowej.

–Niewątpliwie masz słuszność – przyznałam machinalnie, patrząc, jak Marmion podchodzi do Ysandry. On wiedział, że Melisanda jest w La Serenissimie! I żył w strachu przed jej zemstą. Nie prowadził gry tamtej nocy na Zimowym Balu Maskowym, naprawdę podejrzewał, że jestem z nią w zмовie. Marmion grał w zgadywanki, podobnie jak ja. Gdziekolwiek przebywała Melisanda, miało to coś wspólnego ze Stregazza. Nie z Severiem. Byłam pewna, że on naprawdę nic nie wie. Widziałam, jak odsłonił najskrytsze zakamarki duszy. Nie umiał kłamać dość dobrze, żeby udawać niewiniątko. Ale Marmion o tym nie wiedział.

Zatem kto? Zagubiona w myślach, przygryzłam wargę i się zastanawiałam.

–Muszę przywitać się z Jego Wysokością diukiem de Somerville – powiedział Severio, krzywiąc się. – Matka poleciła mi, abym w imieniu księcia Benedykta podziękował mu za kompanię d'Angelińskich gwardzistów, których przysłał do Małego Dworu. – Ukłonił się. – Fedro, czy mogę złożyć ci wizytę przed powrotem do domu? W celach towarzyskich – dodał, zawstydzony. – Od kilku dni wielce szanuję twoje rady. Wierz mi, konwersacja z tobą sprawi mi dużą przyjemność.

–Przyniesiesz zaszczyt mojemu domowi – odparłam z uśmiechem i dygnęłam. – A teraz idź i bądź dyplomatyczny, książę Severio.

Roześmiał się, rozradowany, ucałował moje ręce i odszedł.

–Musi być z ciebie nadzwyczaj zadowolony. – Oparty o kolumnę Barquiel L'Envers mówił takim tonem, żeby głos docierał do mojego ucha, a on nie musiał się ruszać.

–Wasza Książęca Mość – mruknęłam, składając ukłon i zastanawiając się, jak długo tam stał i co usłyszał. – To przyjemność widzieć cię ponownie. Często myślę o moim długu u ciebie. – Musiałam to powiedzieć, chociaż słowa znowu przywołały wspomnienia z pola bitwy pod Troyes-le-Mont. Tego zdarzenia też nie mogłam zapomnieć. Ślaniałam się, zalana krwią, na

klęczkach czekając na śmierć, patrząc w pełne miłości oczy Joscelina, który wyrwał się ludziom Seliga, żeby wykonać terminus i miłosiernie przeciąć nici naszych żywotów. Nagle wyraz jego oczu zmienił się, gdy zobaczył, że za moimi plecami podnosi się brona, a z bramy wypada Barquiel L'Envers na czele swoich akadyjskich jeźdźców, spiesząc nam na ratunek.

–Zachowaj wdzięczność dla swoich klientów, Fedro – powiedział L'Envers. – Jak

słyszałem, zrobiłaś spore wrażenie na młodym Stregazza. W swojej wspaniałomyślności dopuścił nawet możliwość zawarcia pokoju między naszymi rodami, choć jego krewniak zamordował moją siostrę. W istocie, wielka to łaska. Jak myślisz, czy lordowi Delaunayowi spodobałoby się dzieło tego dnia?

–Nie wiem, panie. – Bezskutecznie próbowałam odgadnąć jego intencje. Barquiel L'Envers uśmiechnął się do mnie, pokazując równe białe zęby. Jego jasne włosy były jak zawsze krótko przystrzyżone, wbrew modzie panującej wśród d'Angelińskiej szlachty. Oczy miał fiołkowe, jak Ysandra.

–Ja też nie – powiedział uprzejmie. – Z jednej strony Stregazza usunęli moją siostrę Izabelę, która była uosobieniem jego nemesis, z drugiej zaś stanowili wielkie zagrożenie dla jego podopiecznej, Ysandry, córki ukochanego Rolanda. Zwrócenie się do mnie o pomoc w przywróceniu równowagi musiało go wiele kosztować.

–Jeśli tak, nigdy tego nie powiedział.

–A teraz wszyscy jesteśmy w jednym łóżku, jeśli wolno mi tak powiedzieć. – Barquiel błysnął kolejnym uśmiechem. – Niektórzy z nas bardziej dosłownie niż inni. Ach, biedny Anafiel! Zastanawiam się, co by sobie pomyślał.

–Ja również, panie. – Irytowały mnie jego podchody, ale żal wzbudzony myślą o lordzie Delaunayu przydał mi godności i pomógł skryć niezadowolenie. – Zastanawiam się nad tym codziennie.

–Cóż, nigdy się nie dowiemy, prawda? – Diuk oderwał się od kolumny i wzruszył ramionami. – Chodź, Fedro nó Delaunay, przedstawię ci kogoś.

Posłusznie przeszłam z nim na drugą stronę salonu, gdzie wokół Ysandry skupiało się kilka osób. Młoda szatynka, którą widziałam wcześniej, odwróciła się i pocałowała Barquielu na powitanie, jakby od ostatniego ich spotkania minęły dni, a nie minuty. Odrobinę wyższa ode mnie, była jakieś pięć lat starsza i bardzo urodziwa.

–Kuzynie Barquielu – zagadnęła naturalnie zmysłowym głosem, biorąc go pod rękę i patrząc na mnie z zainteresowaniem – kogóż to przyprowadziłeś?

Barquiel L'Envers zaszczycił mnie białym uśmiechem i spojrzeniem pięknych fiołkowych oczu, takich samych, jak u królowej i kobiety, która w zażyły sposób obejmowała jego ramię.

–Fedro nó Delaunay de Montreve, poznaj Nicole L'Envers y Aragon – z rozbawieniem w głosie dokonał prezentacji.

Dygnęłam odruchowo, słysząc nazwiska wielkich rodów Terre d'Ange i Aragonii.

–Robi wrażenie, prawda? – Nicola miała ten sam nieodgadniony uśmiech co diuk. – Szkoda tylko, że mój mąż jest drobnym szlachcicem, a do tego pijakiem. Ale każdy robi, co może, dla swojego rodu, nawet jeśli gałąź jest mniej znamienita niż inne. – Puściła ramię Barquiela i postąpiła w moją stronę, zbliżając się bardziej, niż pozwalała etykieta. Doznałam znajomych zawrotów głowy, jakie zawsze odczuwałam w obecności klienta, a jej fiołkowe spojrzenie mówiło, że jest świadoma swojego wpływu. – Sądzę jednak – podjęła cicho – że ekscytująca rozrywka mogłaby mnie zatrzymać jeszcze przez jakiś czas na tutejszym dworze. – Poklepała mnie po policzku i wróciła do Ysandry.

Patrzyłam, jak Marmion Szachrizaj usiłuje dokonać wyboru pomiędzy bawieniem królowej a wzbudzeniem zainteresowania w nowej kuzynce, Nicoli, która traktowała go tak wyniośle. Nie dałam się zwieść temu, co widziałam podczas koncertu. Bawiła się nim, i bawiła się dobrze. Odwróciłam się, by spojrzeć na Barquiela L'Envers.

–Co mam powiedzieć? – Z uśmiechem wzruszył ramionami, rozkładając ręce. – L'Envers są ambitni, a parę lat temu znalazłem dla Nicoli nieodpowiednią partię. Skoligaciłem się z Aragonami, lecz ona sama nie wyszła na tym zbyt dobrze. Jej mąż jest głupcem. Czy można mieć do niej pretensje, że chce spróbować szczęścia w domu, kiedy na tronie zasiada jej kuzynka Ysandra?

Pierwszą i najważniejszą lekcją w Domu Cereusa jest nauka milczenia, geż słowa patrzyłam na Barquiela L'Envers, aż jego uśmiech zgasł.

–Anafiel Delaunay nie miał dla ciebie litości, szkoląc cię na szpiega, mała anguisette – powiedział niskim głosem. W tej chwili każdy uznałby go za niebezpiecznego przeciwnika. – Stracił życie z powodu mieszania się w sprawy stanu, choć nie powinien tego czynić. Nie powtórz jego błędu.

Łagodnym tonem odparłam:

–Mój pan, lord Delaunay, został zamordowany przez zdrajców knujących obalenie tronu, Wasza Książęca Mość. Czy grozisz mi tym samym?

L'Envers zaśmiał się szorstko i pogroził mi palcem.

–Nawet o tym nie myśl, Fedro. W uznaniu za twoje zasługi traktuję cię pobłaźliwie, ale na więcej nie licz. Po głowie chodzi mi wiele pytań, a ja nie znam odpowiedzi. Mam nadzieję, że dla własnego dobra nie skrywasz ich przede mną. – To rzekłszy, złożył niedbały, lekceważący ukłon i odszedł, niebezpieczny jak lampart na łowach.

Patrząc za nim, myślałam o pytaniach kłębiących się w mojej głowie.

SIEDEMNAŚCIE

–Jesteś pewna? – Joscelin patrzył na mnie posępnie.

–Postawiłabym na to swoje życie. Umiera ze strachu.

–Ale jeśli lord Marmion Szachrizaj przyczynił się do uwolnienia Melisandy, dlaczego miałby się jej lękać?

–Nie. – Z brodą opartą na ręce Fortun patrzył na rozłożony na stole plan dwóch poziomów fortecy Troyes-le-Mont. Krzyżyki wskazywały pokój Melisandy, tylną bramę i stanowiska strażników. – Nie brał udziału. – Popatrzył na mnie. – Czy jego zachowanie miałoby sens, gdyby było inaczej?

–Nie. – Pokręciłam głową.

–W takim razie, dlaczego zabił swoją siostrę? – Fortun wpatrywał się w plany z takim natężeniem, jakby gdzieś na nich kryły się odpowiedzi. – Mówię ci, pani, ten gwardzista Branion święcie w to wierzy. Remy i Ti-Filip nie mają co do tego żadnych wątpliwości.

Wymieniłam spojrzenie z Joscelinem.

–Są dwie możliwości – powiedziałam, prostując palec wskazujący. – Po pierwsze, wasz gwardzista nie ma racji, Fortunie. To wyjaśnienie, jest więc najbardziej prawdopodobne. Po drugie... – wyprostowałam drugi palec – było na odwrót. Marmion zabił Persję, bo to ona pomogła Melisandzie w ucieczce.

–Dlaczego? – Fortun zmarszczył czoło, zastanawiając się głęboko. – Jeśli rzeczywiście to zrobiła, a on się dowiedział, dlaczego miałby odbierać jej życie? Na miłość Elui, przecież zdobył zaufanie królowej, wydając popleczników Melisandy. Dlaczego miałby wypuszczać z rąk tę nową monetę? Dlaczego miałby zabijać rodzoną siostrę? Już sama pogłoska rozdarła na dwoje ród Szachrizaj! Chyba że... – Popatrzył na nas. – Chyba że nie miał dowodu.

–Nie. – Joscelin pochylił się, kładąc ręce na kolanach. Popatrzył na mnie jak za dawnych czasów, kiedy nasze przetrwanie zależało od zdolności myślenia i działania jak jedna osoba. – To nie wszystko. Masz rację, nie miał dowodu, ale jest jeszcze coś więcej. Do Marmiona i Persji odnosi się to samo założenie. Wartownik przy tylnej bramie byłby ostrożniejszy i nie pozwoliłby podejść ani bratu, ani siostrze. W planie musiał uczestniczyć nieznany sojusznik, budzący zaufanie straży. Jeśli Marmion dowiedział się o Persji czegoś kompromitującego i zagroził, że to ujawni, ona zrewanżowała się czymś, co go wystraszyło.

–Melisanda – powiedział Fortun.

–Melisandy boi się teraz – zauważyłam. – Musi chodzić o kogoś, kto jest znacznie bliżej. O kogoś, kogo Ysandra darzy bezgranicznym zaufaniem. O kogoś, kogo jedno słowo wystarczyłoby, żeby zgubić Marmiona. Jeśli Persja postraszyła go kimś takim... cóż, może.

–Jeśli wie, kto to jest – wtrącił Joscelin – mógł powiedzieć królowej.

–Ale jeśli nie wie – zaznaczył Fortun – miał do wyboru: albo uznać, że siostra blefuje, albo...

–Albo ją uciszyć – dokończyłam. – Marmion nie wie. Gdyby wiedział, nie podejrzewałby mnie. A podejrzewa, wierzcie mi. Ostrzegł mnie na maskaradzie i poszarzał na twarzy, kiedy zobaczył, że rozmawiam z Severiem. Nie sądzę, żeby udawał. Boi się o życie.

–Skąd wie, że Melisanda jest w La Serenissimie? – zapytał Joscelin trzeźwo. – My wiemy tylko... – zerknął na mnie koso – tylko dzięki temu przekłętemu płaszczowi.

–Melisanda musi mieć wpływowego protektora – mruknęłam. – Gdybym wiedziała kogo, wszystko byłoby znacznie prostsze. Ale wracając do Marmiona: jeśli wystąpił przeciwko Persji, to co od niej usłyszał? Dość, by wiedzieć, że Melisanda jest dobrze chroniona, tutaj i w La Serenissimie. Dość, żeby poczuł się zagrożony na tyle, by posunąć się do morderstwa. Ale nie dość, żeby wystarczyło na dowód.

–Dlaczego Marmion miałby podejrzewać rodzoną siostrę? – zapytał Fortun.

Ścisnęłam skronie i patrzyłam na plan fortecy, aż rozmył się przed moimi oczami. Tam, na piętrze, mieściła się kwatery Melisandy, zaznaczona jej inicjałami.

W Troyes-le-Mont było tak mało miejsca, że spaliśmy w pokojach po dwoje i troje, z wyjątkiem Melisandy. Ysandra wspaniałomyślnie pozwoliła Melisandzie spędzić w osobnej komnacie noc, która miała być jej ostatnią. Głos Thelesis de Mornay rozbrzmiał w mojej pamięci, powtarzający słowa, które zanotowała, kiedy wypytywała Ghislaina de Somerville. „Wtedy zjawił się mój ojciec i przejął komendę. Niezwłocznie wysłał oddział na piętro, do komnaty, w której była uwięziona Melisanda Szachrizaj. Pod drzwiami znaleziono martwych wartowników, jednego ze sztyletem w żebrach, drugiego z poderżniętym gardłem. Komnata była pusta”.

Kawałek układanki wpadł na swoje miejsce, z niemal zapomnianym przeze mnie poczuciem prawidłowości i pewności.

–Ona nie wyszła z pokoju Melisandy – powiedziałam, unosząc głowę.

–Myślisz...? – Joscelin spojrział na mnie – Melisanda...?

–Tak. Pamiętasz osadę Seliga? Człowiek widzi to, co spodziewa się zobaczyć. Zrzuciłeś wilczą skórę na głowę i wymamrotałeś parę słów po skaldyjsku, a ludzie Seliga widzieli nie ciebie, lecz jednego z Białych Braci. Melisanda nie musiała mocno się wysilać, żeby wartownicy w Troyej-le-Mont wzięli ją za Persję, bo Szachrizaj są podobni niczym krople wody. Widzieli, jak kobieta z rodu Szachrizaj wchodzi do komnaty, a potem wychodzi. Zobaczyli to, co spodziewali się zobaczyć.

–Ale jak Marmion to odgadł? – zapytał Fortun.

Wzruszyłam ramionami.

–Pomyśl o wilczej skórze. Wierzchnie ubranie, w którym jego siostra weszła do komnaty, nagle gdzieś się zapodziało, a on to zauważył. Nie jest głupi, niezależnie od tego, czy może

równać się z Melisanda, czy nie. Skojarzył fakty na tyle, żeby rzucić oskarżenie w twarz Persji. – Drgnęłam. – Na Eluę! Musimy porozmawiać z wartownikami. Czy chłopcom dopisało szczęście w koszarach?

Fortun zrobił ponurą minę.

–Z de Somerville'em nie było w Kamlachu nikogo, kto pełnił służbę tamtej nocy, pani, a większość jego ludzi stacjonuje w dalekiej L'Agance. Mamy wpaść do nich z wizytą? – Jego twarz pojaśniała na tę perspektywę.

–Tak – odparłam zdecydowanie. – Chcę wiedzieć, co ma do powiedzenia Fanuel Buonard, który znalazł martwego wartownika przy bramie, i każdy, kto pełnił wtedy służbę. Każdy! Jeśli się nie mylę, Melisanda wydostała się na wolność po trzecim dzwonie, a kiedy podniesiono alarm, Persja niepostrzeżenie przemknęła do swojej kwatery, zanim ktokolwiek pomyślał o przeszukaniu pokoju uciekinierki. W tym czasie każdy, kto myślał, że widzi Persję, widział Melisandę. Ghislain de Somerville nie wspomniał o tym w swoim raporcie, ale przecież ktoś musiał ją zauważyć!

–Kto w takim razie uśmiercił wartowników pod drzwiami Melisandy? – zapytał Joscelin cicho. – Czyżby zrobiła to ona sama, i to tak cicho, że nie zaalarmowała straży przy schodach? – Położył palec na planie fortecy i uniósł brwi. – Czy umie tak wprawnie obchodzić się ze sztyletem? A może zrobił to ten nieznany sprzymierzeniec?

–Nie wiem – burknęłam. – Melisanda potrafi wykorzystywać ludzi, ma do tego talent. Nigdy nie słyszałam, by pobrudziła własne ręce. – Spojrzałam mu w oczy. – Co myślisz?

Patrząc na plan, zagryzł usta.

–Myślę... – zaczął powoli – myślę, że zabójca wprawnie włada sztyletem, skoro zabił dwóch doborowych ludzi Percy'ego de Somerville, nie wywołując alarmu. Na twoim miejscu... – Zadrżał mu głos, odchrząknął i zapanował nad nim, patrząc mi w oczy. – Na twoim miejscu, pani, zapytałbym, którzy bracia kasjelici służyli Ysandrze podczas oblężenia Troyes-le-Mont. Ani razu nie wzięliśmy pod uwagę takiej możliwości, bo nawet teraz wydaje się nieprawdopodobna. Ale w fortecy przebywali kasjelici. My też jesteśmy ludźmi.

Fortun wciągnął z sykiem powietrze.

–Kasjelici! Gdyby admirał Rousse postawił mnie na straży, w dawnych czasach... pani, ani by mi w głowie powstało, żeby zatrzymywać kasjelitę! Nie wiem, czy w ogóle bym go zauważył.

–Przenosili informacje jak kraj długi i szeroki – powiedziałam, chora na to wspomnienie – pracując dla Ysandry. Prefekt Rinforte podjął się tego zadania, bo nikt nie podejrzewałby Bractwa Kasjelitów o maczanie palców w polityce. – W oczach Joscelina ujrzałam smutek. – Joscelinie, należałeś do nich. Czy kasjelita z jakiegoś powodu mógł wspierać Melisandę?

–Nie. – Ukrył twarz w dłoniach. – Nie wiem. Szkolenie... nie wyobrażasz sobie, Fedro! To wnika do szpiku kości. Ale zdarzały się dziwne... dziwniejsze rzeczy, jak przypuszczam.

–Spróbuję dowiedzieć się tego na własną rękę – powiedziałam łagodnie. – Ale czy zgodzisz się napisać do prefekta z zapytaniem? Potrzebne mi są tylko nazwiska. Resztą my się zajmiemy.

Joscelin uniósł głowę i zobaczyłam jego zbolaną minę.

–Zapytam – szepnął. – Powiedziałaś... pamiętasz? Nawet jeśli... – podjął już silniejszym głosem. – Nawet jeśli nasze domysły są słuszne, powiedziałaś, że nie sądzisz, by ta sama osoba zabiła wartownika przy tylnej bramie, pamiętasz?

–Tak. – Bolało mnie serce, tak bardzo mu współczułam. – Być może to... może to tylko kolejna ślepa uliczka, Joscelinie – dodałam, nie przypominając mu, że on pierwszy wyprowadził mnie z błędu. – Ale musimy wiedzieć.

–Zapytam – powtórzył szeptem.

Fortun wpatrywał się w plan Troyes-le-Mont z groźnym marsem na czole.

–Pozostaje pytanie, dlaczego.

Nikt nie odpowiedział.

Joscelin dotrzymał słowa i skreślił list do prefekta Bractwa Kasjelitów, choć wiedziałam, ile kosztowało go błaganie o informacje człowieka, który zarzucił mu łamanie przysięg. Czy prefekt nie odpisał ze złości, czy był ku temu jakiś inny powód, odpowiedź nie nadeszła.

Remy i Ti-Filip pojechali do Champs-de-Guerre, gdzie kwaterowały wojska królewskie, z kwotą pieniędzy wystarczającą na trzydniową hulankę. Wydali wszystko co do grosza. Wrócili do Miasta Elui z bolącymi głowami, pustymi kieszeniami i wiedzą nie większą od wcześniejszej. Wartownicy z Troyes-le-Mont zapadli się pod ziemię.

Zapytałam Thelesis de Mornay, czy nie ma notatek dotyczących służby braci kasjelitów w czasie oblężenia. Popatrzyła na mnie z łagodnym zdziwieniem, gdyż zapisywanie takich rzeczy nawet jej nie przeszło przez myśl. W końcu nadarzyła się okazja i mogłam spytać samą Ysandrę, poruszając sprawę w okrężny sposób.

Królowa zmarszczyła czoło, ściągnęła jasne brwi.

–Naprawdę nie pamiętam. Kasjelici towarzyszyli mi zawsze, nawet kiedy byłam dzieckiem. Nie sądzę, żebym choć raz widziała ojca bez dwóch braci za plecami. Z czasem człowiek zapomina o ich obecności. Lord Ignacy d'Avicenne był sekretarzem, on może pamiętać. Albo udaj się do królewskiego archiwum. Mogę wiedzieć, dlaczego to cię interesuje?

Jej ton zmienił się, gdy stawiała pytanie. Ysandra de la Courcel nie była głupia. Wymamrotałam, że Joscelin interesuje się tą sprawą. Ysandra wiedziała o napięciu w naszych relacjach i wiedzona delikatnością nie podjęła tematu, ale patrzyła na mnie z zadumą. Nad jej ramieniem dostrzegłam to samo zaciekawienie w drugiej parze fiołkowych oczu. Oczy należały do osoby stojącej tuż poza zasięgiem naszych głosów.

Do Nicoli L'Envers y Aragon, której obecność na dworze mocno mnie trapiła.

Po rozstaniu z królową poszłam rozmówić się z lordem Ignacym d'Avicenne. Królewski sekretarz, pełniący urząd już za czasów Ganelona, okazał się sędziwy i słaby na umyśle. Po

wojnie Ysandra taktownie pozwoliła mu odejść na emeryturę. Pamiętał imiona wszystkich swoich piastunek, lecz ani jednego nazwiska kasjelitów, którzy służyli królowej.

Poszłam zatem do Micheliny de Parnasse, królewskiej archiwistki. Była około dziesięciu lat starsza od Ignacego d'Avicenne, ale umysł miała ostry jak sztylet

Kasjela. Przeszyła mnie wzrokiem i powiedziała parę słów do jednego ze swoich pomocników, chudego siovaleńskiego panicza, który szczyrzył zęby, kiedy nie patrzyła, a poza tym odnosił się do niej z najwyższą rewerencją.

Można by spodziewać się kurzu i bałaganu w królewskich archiwach, gdzie przechowywane są dokumenty z okresu tysiącletniego panowania d'Angelińskich władców, ale wewnątrz było nieskazitelnie czyste, pachnące świeżym woskiem pszczelim i zorganizowane w najwyższym stopniu. Asystent bezbłędnie wykonywał polecenia Micheliny de Parnasse, ale po kolejnym zastygł w bezruchu, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

–Nie ma, pani – wydukał. – Tych stronic brakuje.

Brwi archiwistki nastroszyły się groźnie.

–Co takiego? Na pewno szukasz w niewłaściwym miejscu. Niech no ja zobaczę. – O lasce pokuśtykała do półki. Pomocnik podał jej oprawioną w skórę księgę, a ona obejrzała ją dokładnie w świetle lampy, przechylając we wszystkie strony. Wreszcie popatrzyła na mnie ponuro. – On ma rację. Trzy kartki zniknęły. – Pokazała mi wąskie paseczki, resztki po wyciętych kartkach. – Tutaj była udokumentowana pięcioletnia służba braci kasjelitów przy rodzinie de la Courcel. Ktoś je zabrał.

Och, Joscelinie! Z wysiłkiem zapanowałam nad głosem:

–Pani, kto ma dostęp do tych dokumentów?

–Bezpośredni? – Michelina de Parnasse zmarszczyła czoło, z roztargnieniem gładząc księgę tak, jakby pocieszała skaleczone dziecko. – Ja i moi dwaj asystenci, którzy prędeż udusiliby ośeska w kołysce, niż zniszczyli jakieś dokumenty. Królowa, naturalnie, i sekretarze Tajnej Pieczęci.

Zbyt długo przebywałam poza miastem.

–Kto piastuje tę godność?

Podawała mi trzy nazwiska, a ja drgnęłam na dźwięk trzeciego.

–Solaine Belfours? Nie wiedziałam, że sprawuje ten urząd. – Pospiesznie zebrałam myśli. – Pani, koniecznie trzeba uzupełnić te zapiski.

–Tak. – Przytuliła księgę do piersi. – Tak, napiszę do prefekta Bractwa Kasjelitów i poproszę go o dostarczenie informacji. Rinforte będzie wiedział, oni prowadzą własną dokumentację. Sprofanowanie królewskiego archiwum jest poważną sprawą! – Zrobiła groźną minę, a ja pomyślałam, że nie chciałabym być podejrzana o to przestępstwo. – Rinforte będzie wiedział. Czy mam cię powiadomić, kiedy nadejdzie

odpowieź, młoda... Fedro?

–Tak, pani – szepnęłam. – Bardzo proszę.

Skrawek pergaminu z nazwiskiem i adresem podałam siovaleńskiemu asystentowi, który chwycił go niczym bezcenny skarb i uśmiechnął się do mnie szeroko. – Nie martw się – powiedział. – Dowiemy się.

–Zostawiłam ich – mamroczącą gniewnie królewską archiwistkę i jej uśmiechniętego pomocnika.

–Dowiedziałam się wiele w czasie pogoni za wiedzą, która mi umykała.

OSIEMNAŚCIE

Niedługo później Gaspar Trevalion skorzystał z zaproszenia i złożył mi wizytę.

Był przyjacielem Delaunaya, a dla mnie kimś w rodzaju wuja. Przyjąłem go serdecznie i kazałem Gemmie podać najlepsze wino. Gdy napełniłem jego kieliszek i oboje usiedliśmy, Gaspar wyraził się pochlebnie o popiersiu Delaunaya, które czuwało nad moją bawialnią. Po krótkiej pogawędce zadałem mu pytanie, które mnie nurtowało.

Gaspar Trevalion, hrabia de Forcay, ściągnął brwi nad kieliszkiem wina.

–Ysandra zatrzymała Solaine Belfours na urzędzie, ponieważ wstawiłem się za nią, Fedro.

Akurat popijałem wino i niemal się zakrztusiłem.

–Dlaczego?

Dobrze pamiętam, jak klęczałam zapomniana w kącie salonu w wiejskiej posiadłości, podczas gdy markiza krążyła z błyszczącymi oczami, wymachując szpicrutą. Zastanawiała się, czy przyjąć propozycję Lwicy z Azalii, która nakłaniała ją do zdrady stanu i przyłożenia Tajnej Pieczęci na podrobionym liście do kalifa Khebbel-im-Akad.

–Ponieważ poprosiła mnie o to. – Gaspar pewnie spojrzał mi w oczy. – Tak, wiem. Była marionetką Lwicy i niemal dopuściła się zdrady za jej namową. Ale do niczego nie doszło, Fedro. Ty to wiesz i ja to wiem. Solaine nie chciała zdradzić, dlatego poprosiła o eskortę Baudoina jako rękojmię. Wiedziała, że Lyonetta de Trevalion nigdy nie narazi swojego syna. – Rozłożył ręce. – Lyonetta była jej protektorką, potężną protektorką. Co mogła zrobić? Nie śmiała zaryzykować odmowy. Tak powiedziała, a ja dałem jej wiarę.

Patrzyłam na marmurowe oblicze Delaunaya i zastanawiałam się, co on by pomyślał.

–Fedro – podjął Gaspar łagodnym tonem – ona była mniej winna niż moja kuzynka. Przekonałem Ysandrę, żeby przywróciła Markowi godność diuka de Trevalion we wszystkim oprócz samego tytułu, z gwarancją sukcesji dla jego wnuka. Byłoby niedbalstwem z mojej strony, gdybym pozwolił, żeby Solaine poniosła karę, jakiej uniknął ród Trevalion. Ona wychowała się w Trevalionie.

–Tak. – Przyznałam mu rację, choć wcale mi się to nie podobało. Więzy szlacheckiej adopcji, skomplikowane i mocne, ustępowały tylko małżeńskim, a i to nie zawsze. Więzy małżeńskie łatwiej rozwiązać niż te, które wynikają z lojalności i ze zobowiązań z okresu dzieciństwa. – Rozumiem.

–To dobrze. – Jego twarz pojaśniała. – Powiedz mi teraz, dlaczego spytałaś?

Przynajmniej na to mogłam odpowiedzieć szczerze bez wzbudzania natychmiastowych podejrzeń.

–Była jedną z moich klientek, panie. Delaunay jej nie ufał, kazał ją pilnie obserwować. Był gotów przejąć list do kalifa, gdyby został wysłany.

–Wiem. Popierałem go w tej sprawie. Ale list nie został wysłany. – Jego ton dawał do zrozumienia, że tę kwestię uważa za zamkniętą, zaczęliśmy więc gawędzić na bardziej przyjemne tematy. Robiłam dobrą minę, przytaczając pałacowe plotki. Nie potrafiłam jednak pozbyć się głębokiego niepokoju, nie sądziłam bowiem, że Solaine Belfours nie dopuściła się zdrady, bo ruszyło ją sumienie.

Nie znałam też sumienia Gaspara Trevaliona.

Wieczorem powtórzyłam Joscelinowi wszystko, czego się dowiedziałam. Ze zmarszczonym czołem i białymi liniami po obu stronach ust, krążył po pokoju niczym tygrys w klatce, wspaniały w zranionej dumie. Siedziałam cicho i wodziłam za nim wzrokiem. Niezależnie od tego, co myślałam o sensie kasjelickich ślubów, szanowałam ich naturę. Joscelin, wyrzucony z Bractwa oraz wyklęty za pogwałcenie przysięgi posłuszeństwa i czystości, nigdy, nawet w najcięższej godzinie, nie złamał naczelnego nakazu Kasjela: chronić i służyć.

Kiedy wreszcie usiadł i z rozpaczą ukrył twarz w dłoniach, pogładziłam jego rozpuszczone włosy, pszenicznazłote pasma spływające na silne ręce.

–Nie – mruknął i zadygotał. Uniósł głowę, a twarz miał ściągniętą ze złości i bólu. – Fedro, nie. Nie mogę tego znieść.

Ja też nie mogłam, dlatego zrobiłam jedyną możliwą rzecz: zostawiłam go samego.

Tonęłam i wiedziałam, że nikt nie poda mi pomocnej dłoni. Spałam źle, nękana przez koszmary, budząc się ze zduszonym krzykiem, z otwartymi ustami, bo dławił mnie strach. Nie wiem, co mój pan Delaunay robił w takich przypadkach, kiedy był rzucony na morze intrygi, a strzępy informacji unosiły się wokół jak szczątki rozbitego okrętu, lecz poza jego zasięgiem; gdyby nawet mógł ich dosięgnąć, nie utrzymałyby jego ciężaru, nie skleciłyby z nich tratwy. Ja byłam sługą Naamy i wybranką Kusziela. Zdałam się na ich łaskę i zgodziłam na kolejne spotkanie.

Nigdy nie miałam w zwyczaju służyć więcej niż jednemu klientowi na raz, ale chyba pamięć o Bliźniętach, Eamonnie i Grainnie skłoniła mnie do przyjęcia propozycji właścicieli majątku de Fhirze. Co by było, gdyby Władcy Dalriady razem skosztowali moich wdzięków? Czy równowaga pomiędzy nimi zostałaby zachowana? Nie wiedziałam, dotąd nawet się nad tym nie zastanawiałam. I nigdy się tego nie dowiem,

bo Eamonn zginął pod Troyes-le-Mont, a siostra zabrała jego głowę do ojczystej Alby, zakonserwowaną w wapnie. Cóż, byli barbarzyńcami, ale szlachetnymi sercem i uczynkiem.

Apollonary i Dianna. Helleńskie maski słońca i księżycy nie były pustym żartem, lecz odzwierciedleniem ich imion, a także świadectwem długiej historii rodziny Fhirze. Nie byli bliźniętami – Dianna przyszła na świat rok przed bratem – ani barbarzyńcami, tylko D'Angelinami w pełnym tego słowa znaczeniu. Posiadłość Fhirze leży w Namarze blisko kuszelickiej granicy, gdzie krew ich rodu miesza się swobodnie z krwią potomków Kusziela, ale oboje byli stałymi bywalcami pałacu i spędzali zimę w Mieście Elui. Mieszkali w wysokim,

wąskim domu z licznymi oknami, żeby słońce i księżyc mogły swobodnie zaglądać do środka.

Jedno całe piętro służyło do zabawy i było tak wypełnione zabawkami jak seraj w Dworze Nocy. Zobaczyłam tam flagellarium z biczami, pejcami i packami, szczypce i miotełki z piór do łaskotania, pasy, trapezy i wiszące uprząże oraz aides damour z kości słoniowej w skórzanych futerałach.

I wszystkie te rzeczy Apollonary i Dianna wypróbowali na mnie, wymieniając się w grze zorganizowanej w taki sposób, że musiałam prosić o łaskę jedno, podczas gdy drugie dręczyło mnie prawie nie do zniesienia. Szybko zorientowałam się, że Dianna dyryguje grą, ale jej brat odgrywał główną rolę, bo choć w porównaniu z nią wydawał się cichy i nieśmiały, przewyższał ją pod względem siły, wytrwałości i nadzwyczajnych wrodzonych uzdolnień.

Cóż, jestem jaka jestem, dlatego po wielu godzinach drżący i wyczerpany Apollonary de Fhirze padł na poduszki rozrzucone po komnacie. Jego przystojna twarz miała pusty wyraz, mięśnie krzepkich ud podrygiwały ze zmęczenia. Członek, nie tak dawno onieśmielająco wielki, leżał teraz zwiotczały i wilgotny w kroczu.

–Dość, Dianno – wymamrotał. – Dość.

–Na Eluę! – Jego siostra mocno szarpnęła rzemyk łączący szczypce zaciśnięte na moich sutkach. Świeża fala bólu przemyła moje ciało, zdwojona i jakby niedokończona. – Czy ty też masz dość? – zapytała złowieszczo, przeciągając pierzastym skrzydełkiem po delikatnej skórze wnętrza moich ud, rozsuwając czubkiem wilgotne i nabrzmiałe dolne wargi.

Ktoś mógłby sądzić, że po kilku godzinach katuszy zakończenia nerwowe pozostaną obojętne na tak finezyjną pieśczoć. Ta prawda nie odnosi się do mnie. Jęknęłam i zamknęłam oczy, wysapując słowa odpowiedzi:

–Jak sobie życzysz... pani.

–Ha! – Zdegustowana Dianna de Fhirze odrzuciła piórko i zwolniła zapadkę bloczka, na którym wisiałam. Z cichym łoskotem opadłam na poduszki. – Sprawileś mi zawód, Apollonary – powiedziała, zajmując się rozwiązywaniem skórzanych pasów na moich rękach i nogach oraz zdejmowaniem szczypczyków.

Leżąc na poduszkach, uśmiechnął się do niej słodko, zadowolony.

–Naprawdę?

Zignorowała go, śmiejąc się i bawiąc moimi włosami.

–Tak, chociaż... Nikt, mężczyzna czy kobieta, nigdy nie przetrzymał mojego brata. Nic dziwnego, że Dalriadowie poszli dla ciebie na wojnę!

Zaczerpnąwszy tchu, podniosłam się na kolana.

–Ta historia jest nieco przesadzona, pani. – Takie właśnie są wszystkie najlepsze historie – odparła z rozleniwieniem w głosie, kładąc się i spoglądając na mnie. – Powiedz mi, hrabino, co wybierzesz jako dar klienta? Sięgnęliśmy do szkatuł Fhirze, żeby uiścić należność za to spotkanie, ale nie chciałabym uchybić tradycji Naamy. – Leniwie machnęła ręką. – Wszystko w

tym domu należy do ciebie. Po prostu powiedz, czego sobie życzysz. Doprowadzenie Apollonarego de Fhirze do stanu wyczerpania naprawdę jest nie byle jakim wyczynem.

Zebrałam potargane włosy i odrzuciłam na plecy, zasłaniając markę.

–Jeśli chcesz oddać cześć Naamie, złóż dar w jej świątyni. Co do mnie... – uśmiechnęłam się – będę nosić znak twojej pamięci na skórze.

–Czy to prawda, że byłaś szpiegiem? – zapytał nagle Apollonary. – Nawet w służbie Naamie?

–Tak. – Siedząc na piętach, popatrzyłam na niego poważnie. – To prawda. t

Wsparł się na łokciu, a zaciekawienie ożywiło jego twarz.

–Co byś zrobiła, gdyby to nas przyszło ci szpiegować?

–Cóż, mój panie. – Pytanie rozbawiło mnie, zadał je bowiem klient wybrany wyłącznie dla przyjemności, bez żadnych ukrytych podtekstów. Zapewne dlatego odpowiedziałam szczerze: – Wiem, że w rodzinie Fhirze nie rodzą się intrygi, ale zajmujecie pewną pozycję w pałacu i lubicie słuchać plotek, a poza tym jest was dwoje i bez wątpienia wspólnie roztrząsacie ciekawostki dnia. Gdybym chciała się

czegoś dowiedzieć, spróbowałabym was wysondować.

–Na przykład? – Dianna była równie ciekawa jak brat.

Aż do tej chwili nie brałam pod uwagę erotycznego potencjału mojej byłej – w oczach klientów – szpiegowskiej profesji. Z uśmiechem wzruszyłam ramionami i położyłam ręce na udach, wnętrzami dłoni skierowanymi do góry.

–Nicola L'Envers y Aragon – powiedziałam lekkim tonem. – Jej zainteresowanie Marmionem Szachrizaj jest bardzo dziwne, prawda? On zagiął parol na królową, ale ona zawraca mu w głowie.

–Nicola! – Rodzeństwo wymieniło spojrzenia i Dianna parsknęła śmiechem. – Nie ma centyma przy duszy, nie wiedziałaś? Zgodnie z aragońskim prawem jej cały majątek przeszedł na męża, a on, czego nie przepije, to roztrwoni w inny sposób. Niezależnie od tego, jakie Nicola ma plany, pomysłodawcą jest diuk L'Envers, to nie ulega wątpliwości. Kursują plotki, że diuk włożył dużo pieniędzy w handel cyną, która wedle powszechnego mniemania zacznie przyływać z Alby. W jego interesie leży utrzymanie jak najlepszych stosunków królowej z piktyjskim królem, a intrygancki Szachrizaj próbuje wejść pomiędzy nich.

Gdybym wiedziała, że plany Barquiela L'Envers sprowadzają się do samego handlu, spałabym znacznie spokojniej.

–Pieniądze dla niej, cyna dla niego. Już się czegoś dowiedziałam. – Ponownie wzruszyłam ramionami i uśmiechnęłam się smutno. – Ale trzeba by mojego pana, Anafiela Delaunaya, żeby dostrzec w tym jakiś sens.

–Coś mogę ci powiedzieć. – Apollonary usiadł ze skrzyżowanymi nogami, eksponując swoją imponującą męskość. Choć klęczałam skromnie, nie mogłam się powstrzymać od rzucania okiem. Podjęłam słuszną decyzję, wybierając tych dwoje.

–Hrabia... to znaczy diuk Percy de Somerville nie jest uszczęśliwiony zaufaniem, jakim królowa darzy Niewybaczonych. Przypadkiem usłyszałem, jak sprzeczał się z Ghislainem. W przeciwieństwie do niego i królowej nie do końca wierzy w lojalność Czarnych Tarcz.

–Mój pan Delaunay uznałby to za interesujące – przyznałam. To rzeczywiście było interesujące. Czy Ghislain spiskował z byłymi Sprzymierzeńcami z Kamlachu? Czy Percy spiskował przeciwko nim? A może chodziło tylko o rywalizację ojca i syna? Ghislain był towarzyszem Izydora d'Aiglemort, skończonego zdrajcy i wielkiego bohatera spod Troyes-le-Mont. Ja również z nim jeździłam. Percy nie. To było interesujące, podobnie jak markiz de Fhirze, który uśmiechał się do mnie promiennie, dumny ze swojej rewelacji, z okazałym członkiem budzącym się z uśpienia.

Nagle silne ramiona chwyciły mnie za ręce, ściągając łokcie za plecy, piersi Dianny nacisnęły na moje łopatki, jej śmiech zawibrował w mym uchu.

–Wygląda na to – szepnęła – że mój brat nie jest aż tak zmęczony. Machinacje twojego Delaunaya są natchnieniem dla potomków Naamy!

Chyba tak było, bo inspirowałam ich jeszcze jakiś czas.

W takich chwilach nie zważa się na ból kończyn i stawów, ale sprężystość doczesnej powłoki ma swoje granice. Przypuszczam, że tego dnia je przekroczyłam, chociaż dbam o sprawność fizyczną, odkąd Delaunay polecił Alcuinowi i mnie ćwiczyć akrobację. Mimo wszystko dobrze się bawiłam, bo rodzeństwo było wyzwute ze wstydu, jeśli chodzi o uprawianie sztuk Naamy, a swoje żądze wyostrzyło na oselce okrucieństwa Kusziela. Dowiedziałam się od nich paru ciekawych rzeczy i osiągnęłam zamierzony cel, na jakiś czas zapominając o nękających mnie zmartwieniach.

A jednak moje łóżko wciąż było puste, gdy kładłam się spać z nadejściem nocy, i wciąż budziłam się z drżeniem, nękana przez koszmary.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Mijały szare, ponure dni zimy, wypełnione zawodzeniem lodowatego wiatru. Tylko od czasu do czasu śnieg przyoblekał Miasto w nieskazitelną biel, przemieniając zwyczajne budowle w roziskrzone wieże i lodowe minarety. W tym czasie stałam się modna i przystawałam na kolejne spotkania, gdy tylko zagoiły się pamiątki po poprzednich. W niektórych wypadkach powodował mną ukryty interes, kiedy indziej zaś kierowałam się kaprysem, żeby nikt nie dopatrzył się jakiegoś schematu w doborze klientów. Wszyscy oni byli wysoko urodzonymi potomkami Elui i jego Towarzyszy, różniącymi się pod względem pragnień, i ani jeden nie okazał niezadowolenia z moich usług.

Miałam wszystko, o czym marzyłam jako młoda adeptka w służbie u Delaunaya. Poeci pisali ody na moją cześć, wysławiając mą urodę i wdzięki. Jeden przespał trzy noce na moim progu i mało brakowało, a umarłby z zimna, gdyby Fortun siłą nie zawlókł go do domu. Klienci przysyłali mi z własnej woli podarki, bibeloty i błyskotki o różnej wartości. Żyłam w dostatku, pieniądze napływały niczym rzeka. Hojnie wynagrodziłam służących i kawalerów, a także spłaciłam dług ponuremu, wcale nie zaskoczonemu faktorowi. Wiedziona niejasnym przeczuciem, zainwestowałam w serenissimskie przedsięwzięcie. Po cichu przekazałam znaczną sumę świątyni Naamy, z przykazaniem, żeby część przesłano do zniszczonych podczas wojny sanktuariów w Namarze. Stamtąd pochodziła kapłanka, która kiedyś oddała się skaldyjskiemu wojowi, by zapewnić mi kilka cennych minut na skontaktowanie się z obrońcami fortecy Troyes-le-Mont.

Składałam wizyty Favrieli nó Dzika Róża, pływającej się w wolności niczym ryba w wodzie. Z dziką, skupioną radością geniusza zaprojektowała dla mnie wiele wspaniałych sukien. Spotykałam się z rabbim Nahumem ben Izaakiem i zmuszałam umysł do wykonywania trudnych ćwiczeń, jakie przede mną stawiał. Godzinami recytowałam wersety w habiru, podczas gdy on przeżuwał kosmyki brody i łytał na mnie gniewnie.

I w głębi duszy byłam bardzo nieszczęśliwa.

Ani jeden kolejny element układanki nie wpadł na swoje miejsce, niezależnie jak długo żonglowałam nimi w głowie. Moi kawalerowie pili, grali w kości i ciągnęli za języki z wielkim zaangażowaniem, nie znaleźli jednak ani jednego wartownika z Troyes-le-Mont. Od prefekta Bractwa Kasjelitów nie napłynęły żadne wiadomości, ani odpowiedź na prośbę Joscelina, ani na list królewskiej archiwistki. Oddawałam się najdzikszym rozkoszom w rękach zmieniających się klientów, a przez cały czas maleńki, wyszkolony przez Delaunaya zakamarek umysłu czuwał, patrzył i słuchał, lecz nikt nie ujawnił klucza do tajemnicy ucieczki Melisandy.

Coraz rzadziej rozmawiałam z Joscelinem.

Gdzieś daleko śmiała się Melisanda.

W owym czasie często myślałam o Hiacyncie i niekiedy brakowało mi go tak srodze, że bolało mnie serce. To było nasze młodzińcze marzenie: Królowa Kurtyzan i Księżę Podróżnych. Cóż, ja je ziściłam, ale przeżywanie w pojedynkę wspólnego marzenia budzi bolesny niedosyt. Mówiłam mu o wszystkim. Nie zliczyłamby godzin, jakie spędziliśmy w „Kogutku”, roztrząsając tajemnicę Anafiela Delaunaya, składając elementy układanki, próbując odgadnąć sens wyłaniających się wzorów. On zawsze chętnie słuchał moich domysłów i spekulacji, a także opowieści o mych klientach, o ich dziwactwach i zachciankach, podczas gdy jego czarne cygańskie oczy tańczyły wesoło, a biały uśmiech błyskał w odpowiednich momentach.

Czasami czułam się równie samotna i odcięta od świata jak on.

Miałam swoich kawalerów, prawda, i ich wciąż narastającą, napuszczoną dumę, przynajmniej w przypadku Remy'ego i Ti-Filipa. Fortun zawsze był bardziej stateczny. Patrzyłam na niego czasami, na ciemne kosmyki wijące się na czole, i zastanawiałam się, czy nie wziąć go na kochanka. Zastanawiałam się i za każdym razem decydowałam, że nie. Lubiłam go, bardzo, i miałam do niego zaufanie.

Ale Fortun nie wywoływał u mnie śmiechu. Poza tym był Joscelin.

Pewnego dnia nasze ścieżki skrzyżowały się w jesziwie, choć ono tym nie wiedziało. Rabbi przysłał po mnie i pojechałam z Ti-Filipem. Pozwoliłam mu pójść do pobliskiej winiarni, gdzie mógł flirtować do czasu zakończenia moich zajęć. Lekcja była długa i wyczerpująca. Wyczytałam w oczach rabiego dumę zmieszaną z rozpaczą, bo jego uczennica sprawiała się dobrze, mając zarazem tak niewiele wiary. W tym czasie w d'Angelińskich kręgach otwarcie mówiono o schizmie wśród Jezuitów. Nie zapomniałam tego, co widziałam na dziedzińcu, gdy młodzi uzbrojeni ludzie sprzeczali się zajadle o chwałę, jaka czekała na nich w dalekich stronach.

Rabbi odprawił mnie tego dnia, ze zmęczeniem zwieszając sędziwą głowę. Podeszłam cicho i pocałowałam go w przywiedły policzek, a potem wyszłam z jesziwy, żeby czekać na Ti-Filipa. Wtedy już dobrze znałam drogę.

W takim miejscu nie sposób nie rozpoznać d'Angelińskiego głosu, nawet szepczącego.

Nie zapomniałam o dawnym szkoleniu. Kiedy chcę, potrafię poruszać się bezgłośnie i ukradkowo jak cień. Po cichu tropiłam nić głosu Joscelina, aż prawie na nich wpadłam, rozmawiających z przejęciem w pustej klasie. Słyszałam kiedyś jej głos, tylko raz, ale to wystarczyło. Młoda kobieta mówiła po d'Angelińsku z lekkim obcym akcentem. To ona uczyła dzieci i dała Joscelinowi medalion chat.

Miała na imię Hanna, co znaczy „łaska”. Wiedziałam, ponieważ studiowałam jej ojczyzną mowę.

–Nie rozumiesz, Joscelinie – mówiła czarująco błagalnym głosem – ten ból, który ci doskwiera, jest bólem rozłąki z Adonai, który jest Panem nas wszystkich! Musisz tylko złożyć ofiarę z tego bólu, złożyć go na ołtarzu Jezui, a On go odejmie. Naprawdę nie potrafisz tego pojąć?

–Mówisz tak, jakby chodziło o rzecz oderwaną ode mnie. – Głos Joscelina zdradzał napięcie. – Jest zgoła inaczej. Należę do Kasjela i przysięgłem mu służyć. Ten ból jest wszystkim, czym ja jestem.

–Myślisz, że Adonai żądałby mniej od ciebie? – W jej drżącym głosie narastała pasja, pasja żarliwego wyznawcy. – Jesteś dumny ze swojego bólu i nie myślisz, że On tego nie widzi! Jest jednak miłosierny i kocha cię za to jeszcze bardziej. Powiadam ci: Masziach żył i cierpiał, żeby odkupić ból nas wszystkich. Czy chcesz umniejszyć jego poświęcenie? Jeśli nawet, On będzie cię miłował i czekać na ciebie jak oblubieniec. Przy Jego stole jest miejsce przygotowane dla ciebie, powiadam ci! I coś więcej czeka na nas na wyciągnięcie ręki, nie za bramami śmierci, ale tu i teraz, jeśli tylko wystarczy nam odwagi, żeby sięgnąć! Zaczęła się diaspora, Joscelinie, a na północy leży królestwo Jezui. Czy zaprzeczysz, że jest w nim miejsce dla ciebie?

–Tak – odparł udręczonym głosem i usłyszałam brzęk, gdy zarękawia uderzyły w rękoności sztyletów. Jeśli się uklonił, musiał zrobić to wyjątkowo niezgrabnie. – Nie. Nie wiem, Hanno! Muszę to przemyśleć.

Kolejny hałaśliwy ukłon, a potem szybkie kroki. Stałam w ciemnym kącie, kiedy mnie mijał. Jego twarz odzwierciedlała zamęt panujący w sercu. Po chwili usłyszałam westchnienie i szelest sukni, gdy kobieta szła do wyjścia.

Wyszłam na korytarz i zastąpiłam jej drogę.

Twarc Hanny zmieniła się, kiedy mnie ujrzała; odmalowało się na niej poczucie winy, wyzwanie i pasja. Była Jeszuitką i nauczycielką, ale przede wszystkim kobietą, zakochaną kobietą. Usłyszałam to w jej głosie. Znam się na takich sprawach.

–Hrabino – zaczęła obronnym tonem, cofając się o krok i zaciskając szal pod szyją. – Tylko rozmawialiśmy. Joscelin Verreuil nie jest twoim sługą, ogólnie rzecz biorąc.

–Nie – odparłam cicho i przekrzywiłam głowę, patrząc na nią. – Ogólnie rzecz biorąc, jest sługą Kasjela. A bogowie są zazdrośni o tych, których uznali za swoich. Ja to wiem.

–Bogowie! – Młodej jeszuickiej nauczycielce rozbłysły oczy. Odsunęła rękę od szyi i zacisnęła ją w pięść. – Ten, którego Joscelin czci jako boga, jest najniższym sługą

Adonai. Czy potępisz mnie za to, że mu to powiedziałam? – Kiedy wzruszyłam ramionami, odwracając się, podniosła głos: – Hrabino! – Desperacja sprawiła, że stał się szorstki. – Rabbi nie posiada wiedzy, która mogłaby uratować twojego przyjaciela. Udaje, bo wie, że podczas gdy ciebie trzyma przy nim nadzieja, Joscelina wiąże lojalność. Twoja sprawa jest przegrana, on jednak staje się jednym z nas. Jest powiedziane, że jeśli Kasjel Apostata powróci przed tron Wszzechmogącego i schyli głowę przed Masziachem, Towarzysze Elui pójdą w jego ślady. Wszystkie rzeki wpadają do oceanu, hrabino. Adonai jest morzem – a każda śmiertelna dusza może odwrócić przyływ.

**Choć jej słowa uderzały jak strzały pomiędzy moje łopatki, nie odwróciłam się, tylko odeszłam. W sprawie rabiego nie powiedziała mi nic, czego już bym nie wiedziała.
Mistrz**

Nahum wcale nie udawał, że zna rozwiązanie zagadki Hiacynta. Potrzebowałam od niego wiedzy, która pomogłaby mi osiągnąć cel na własną rękę, a on uczył mnie uczciwie.

Co do Joscelina... cóż. Teraz wiedziałam, dlaczego Jeszuici zabiegali o niego z taką gorliwością. Wybór Kasjela, tak to nazywają, kiedy członek Zakonu wybiera wygnanie zamiast porzucenia podopiecznego, któremu poprzysiął. Joscelin uczynił to dla mnie, choć go nie prosiłam. Ostrzegłam Hannę. Nie mogłam zrobić nic więcej. Być może sprawa przedstawia się inaczej, kiedy to bóg żąda wyboru. Nie wiem; mogłam tylko rozpaczać, bo wybór był nieunikniony.

Na małym dziedzińcu nie dostrzegłam Joscelina. Trzech uzbrojonych młodych Jeszuitów napadło na Ti-Filipa, gdy zajechał powozem. Chwycili uzdy koni i długie lejce, szydząc z niego w habiru. Mój kawaler okręcił lejce wokół ręki, spiorunował wzrokiem napastników i rzucił pod ich adresem d'Angelińską obelgę. Jeden z Jeszuitów wyciągnął miecz i dźgnął sztychem w jego but.

Dałam upust tłumionemu dotąd gniewowi.

–Panowie! – W moim głosie zadźwięczała lodowata pogarda. Nie wiedziałam, że jestem zdolna do wyrażania takich uczuć. Stałam bez ruchu, otulona płaszczem, gdy odwrócili się z minami winowajców. – Zostawcie go w spokoju. – Na wypadek, gdyby nie zrozumieli, powtórzyłam bezbłędnie w habiru, wymawiając słowa z zimną precyzją: – Zostawcie go. Rozumiecie?

Miecze zniknęły w pochwach, młodzi mężczyźni odstąpili od powozu. Mijali mnie z ponurymi minami. Ostatni odwrócił twarz pełną nienawiści.

–Nie śmiałybyś powiedzieć tak do nas w kraju Adonai!

Być może miał rację. Nie wiem. Ale byliśmy w kraju Elui, wolnym dzięki poświęceniu

żołnierzy takich jak Ti-Filip, który z narażeniem życia walczył ze Skaldami. Gdyby nie on i dziesięć tysięcy jemu podobnych, wszyscy dźwigalibyśmy na karkach jarzmo Seliga i modlili się do Ojca Wszechrzeczy, Odyna. Pomyślałam o tym, ale nic nie powiedziałam. Jezuita rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy, i wycelował rozsuniętymi palcami w moją twarz.

–Bodaj zaraza wyżarła ci ślepią, wiedźmo! – wysyczał drwiąco, spluwając pod moje nogi.

Ludzie szydzą z tego, czego się boją. Patrzyłam na niego w milczeniu, aż buta przemieniła się w skrępowanie. Młodzieniec odszedł, by dołączyć do swoich kompanów, z każdym krokiem przybierając coraz to bardziej dumną postawę.

Ti-Filip zeskoczył z furją z kozła. Klął w żywy kamień i groził zemstą, otwierając drzwiczki.

–Daj spokój – powiedziałam ze zmęczeniem, wsiadając do powozu. – Dom Jezui dzieli się na swoją niekorzyść, a ja nie mam zamiaru powiększać ich smutków. Mam dług wdzięczności wobec jego dzieci. – Wspomniałam Taaviego i Danele, dwoje Jezuitów, którzy tyle dobroci okazali Joscelinowi i mnie w czasie naszej ucieczki. Zastanowiłam się, czy oni też zostali uwikłani w tę schizmę, i modliłam się, żeby tak nie było.

Miałam pieniądze, więc kupowałam książki i czytałam, śledząc palcem linijki tekstu w habiru. Sypiałam źle, rzucałam się w pościeli, budziłam rozgorączkowana ze snów, których nie pamiętałam. Czytałam, uczyłam się i studiowałam, i ani trochę nie zbliżyłam się do rozwiązania zagadki.

Hiacynt.

Eluo, jak bardzo za nim tęskniłam!

Przypuszczam, że długotrwały smutek uczynił mnie lekkomyślną, choć może wina leżała po stronie narastającej frustracji, będącej wynikiem bezskuteczności moich dociekań. Tak czy siak, przyjąłam propozycję Nicoli L'Envers y Aragon.

Zagadnęła mnie w Sali Gier, gdy patrzyłam, jak Fortun gra w rytmomachię z baronową de Carvoile, której matka była adeptką Domu Przystępu. Nie mam szczególnego upodobania do tej gry, będącej domeną ludzi umiających bez wysiłku zonglować liczbami. Grywam, jeśli muszę, lecz nie radzę sobie zbyt dobrze. Fortun, który przed wstąpieniem do mojej służby nie widział planszy na oczy, wykazywał się zdumiewającym talentem.

Układali pionki o dziwnych kształtach w różnych sekwencjach, według zmieniających się matematycznych zasad, aż w końcu się w tym pogubiłam.

–Ach – mruknął przypatrujący się znawca, gdy Estella de Carvoile pewnym ruchem ułożyła sekwencję. – Serie fabryzańskie!

Zamrugałam, dezorientowana, nie widząc związku w liczbach. Fortun tylko ściągnął brwi i zripostował czymś, co zwali układem Tertulliana. Potrafię dostrzec wzory w wydarzeniach i zachowaniu – w matematyce mam większe kłopoty. Mimo wszystko dołączyłam do tych, którzy wychwalali posunięcie mojego kawalera.

–Nudna gra – powiedział ktoś za moimi plecami – dla tych, którzy woleliby zabawiać się czymś innym niż liczby. – Odwróciłam się i spojrzałam w fiołkowe oczy Nicoli L'Envers y Aragon, bystre jak ślepieca wygłodzonej lamparcicy. – Twój kawaler ma talent, hrabino.

–Tak – odparłam odruchowo. – W istocie. – Zerknęłam na nią koso. – Gdzie twój towarzysz, lord Szachrizaj, pani?

–Och, Marmion. – Nicola wzruszyła ramionami. – Bez wątpienia się dąsa. Powiedziałam mu, że nie rozwiodę się dla niego, i złości się na mnie. To mu wyjdzie na dobre. Ja tymczasem jestem znudzona. – Położyła czubki palców na moim ramieniu i uśmiechnęła się do mnie. – Czy wiesz, że spotkania z tobą mają swoją nazwę, Fedro? Polowaniem na hiacynty zwą je ci, którzy mieli przyjemność cieszyć się twoimi względami.

–Nie. – Z wysiłkiem panowałam nad głosem. – Nie wiedziałam, że jest jakaś nazwa. – Nie potrzebowałam wyjaśnień. Każdy klient znał mój signale.

–Oczywiście, że jest. – Uśmiechnęła się, leniwie i zarazem groźnie. – Jak słyszałam, nikt jeszcze nie zerwał hiacynta. Powiedz, czy przyjmiesz moją propozycję?

Coś się wydarzyło przy stole do gry, rozległy się dobroduszne wiwaty. Fortun wygrał. Patrzyłam w fiołkowe oczy Nicoli – tak bardzo podobne do oczu jej kuzynów, diuka i królowej – i rozważałam ryzyko. Podjęłam decyzję na przekór wszystkiemu.

–Tak, jeśli będzie stosowna – odparłam, kalkulując. Ile to było warte dla Barquiela L'Envers?

Nazajutrz kurier dostarczył list od Nicoli.

DWADZIEŚCIA

Na mojej szyi wisiał długi biały sznur spleciony z jedwabnych nici.

–Poznałam w Aragonii pewnego człowieka – mówiła Nicola, przeciągając końce sznura pod moimi pachami i krzyżując je na plecach – który szlakami korzennymi udał się na najdalszy wschód, do tak zwanego Cesarstwa Słońca. Powiedział, że znają tam sztuki alkowy, które zainteresowałyby nawet Naamę. – Okręciła sznur wokół mojej talii i stanęła za mną, żeby związać mi ręce. – Oczywiście, nie miałam czasu nauczyć się ich wszystkich, ale to, co opanowałam, w istocie jest interesujące. Tak, łacinie.

Odsunęła się, patrząc na swoje dzieło. Stałam potulnie, skrępowana i naga, gdy sięgnęła po następny sznur. Przeciągnęła go od szyi do talii i pomiędzy udami, by następnie przywiązać do nadgarstków. Naprobę poruszyłam ramionami i poczułam, jak sznur przesuwa się między nogami.

–Jeszcze nie skończyłam – powiedziała Nicola L'Envers y Aragon, chwytając mnie za kark. – Na kolana, jeśli łaska.

Uklękałam, odruchowo opuszczając głowę. Naprężony jedwabny sznur wsunął się pomiędzy dolne wargi, co przyprawiło mnie o sapnięcie. Uniosłam głowę, zmuszając się do klęczenia z wygiętymi plecami i piersiami wysuniętymi do przodu.

–Zaraz zrozumiesz – powiedziała z satysfakcją.

Potem dokończyła dzieła, mocno wiążąc moje nogi w kostkach i przeciągając linkę do nadgarstków. Każdy ruch sprawiał, że sznur napinał się mocno pomiędzy moimi nogami, przesuając się tam i z powrotem. Żeby nie wzięła tego za przypadek, Nicola przemyślnie zawiązała supeł. Niewielkie, twarde zgrubienie na miękkim sznurze szdyżło ze mnie, pocierając Perłę Naamy za każdym razem, gdy się poruszyłam, aż zagryzałam usta.

To sprawiało przyjemność Nicoli, dużą przyjemność. Nie mogłam na nią nie patrzeć, z uniesionym przez sznur podbródkiem. Krążyła wokół mnie, uśmiechnięta, z fiołkowymi oczami jaśniejącymi z zadowolenia, machając wybornie wykonaną dyscypliną z jeleniej skóry. Na końcach rzemieni wisiały stalowe kuleczki.

–Podoba ci się? – zapytała niemal czule.

–Nie.

Jej ręka odchyliła się gwałtownie i smugi bólu wybuchły na moich pośladkach, w dolnej części pleców i na związanych rękach. Krzyknęłam i szarpnęłam się w pętach,

a sznur wpił się we mnie, aż odetchnęłam urywanie.

–Kłamiesz, prawda? – Nicola smagnęła zamasyście, raniąc moje piersi. Ból był tak dojmujący, że ujrzałam gwiazdy i czerwoną mgiełkę Kusziela. – Kłamiesz! – Uderzyła jeszcze raz. Mimowolnie przekręciłam głowę, żeby uniknąć rzemieni, a sznur wykpił moje starania, naprężając się na rękach. Super pomiędzy udami przesunął się, pocierając wrażliwe wybrzuszenie

ciała. Nicola roześmiała się i przeciągnęła biczem po mojej skórze. Szamotałam się jak wariatka, a więzy zaciskały się coraz mocniej. – Walcz zatem i sprawdź, czy zdołasz się uwolnić – podjudzała mnie, smagając dyscypliną. – Walcz!

Na wpił z posłuszeństwa, na wpił z przekory walczyłam, napinając sznury. Super przesunął się po Perle Naamy, śliski od wilgoci nabrzmiałego ciała. Rozkosz narastała tym bardziej, im zacieklej z nią walczyłam, aż w końcu poddałam się i krzyknęłam, gdy zalały mnie ogromne fale spełnienia.

Kiedy otworzyłam oczy – bo zamknęłam je mimo woli – ujrzałam zbity splot wełnianego dywanu, który drapał mnie w policzek. Do tej chwili nie wiedziałam, że upadłam i leżę na boku.

–Możesz walczyć, ale efekt zawsze będzie taki sam. – W płynącym z wysoka głosie Nicoli wibrowało rozbawienie. – Jestem pojętną uczennicą. Co dasz za uwolnienie, Fedro nó Delaunay?

–Co tylko zechcesz – szepnęłam, starając się trwać w bezruchu. Najmniejsze poruszenie wzbudzało nowe fale ekstazy, co dawało Nicoli większą władzę nade mną.

Przykucnęła z biczem w dłoni, pochylając śliczną, rozbawioną twarz.

–Chcę usłyszeć signale – powiedziała. – Wiem, że podałaś je tylko raz, Melisandzie Szachrizaj. A może zrobiłaś to tylko dlatego, że ją kochałaś?

Zanim słowa nie padły z jej ust, przysięgam, wcale nie myślałam o polityce, zdradzie, szpiegostwie i udziale Nicoli L'Envers y Aragon w tym wszystkim. Zwykle spycham te rzeczy do ukrytego przed klientami zakamarka umysłu, aby je później przemyśleć. Ale słowa Nicoli utworzyły związek i wówczas zrobiłam coś, czego nie zamierzałam. Nie mogłam się powstrzymać. Nie chciałam tego, ale parsknęłam śmiechem, bezdźwięcznym, starając się nie drżeć, żeby ruch nie zbudził podniecenia. Nicola patrzyła na mnie, zaskoczona i niezadowolona.

–Co w tym śmiesznego, Fedro nó Delaunay? – zapytała z irytacją, przysiadając na piętach i lekko trącając mnie biczem. – Czy śmiejesz się ze mnie?

–Nie. – Spowaźniałam, leżąc spokojnie w pętach i wywracając oczami, żeby patrzeć

na nią spod rzęs. – Pani, wprawnie zawiązałaś węzeł, a ja mimowolnie będę doznawać rozkoszy, pozostając spętana. Jeśli przyglądanie się temu sprawia ci przyjemność, nie rozwiążesz sznura. Ale wiedz, że nie podam signale. – Władza jest względna. Nicola postąpiła niemądrze, dając mi do zrozumienia, czego chce się dowiedzieć. – Powiedz mi – - poruszyłam nogami i skrzywiłam się, gdy węzeł się przesunął – kto kazał ci spytać: lord Marmion czy diuk?

Nicola L'Envers y Aragon prychnęła i rzuciła bicz na podłogę.

–Mówiłam mu, że nie mam z tobą szans! – zawołała. Podniosła się i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju.

Z najwyższą ostrożnością przyciągnęłam kolana do brzucha i przekręciłam się, żeby przysiąc na łydkach. Zesztywniałymi palcami skubałam węzły na kostkach.

–Diuk – powiedziałam takim tonem, jakbym była pewna, i niemal byłam.

Nicola przystanęła, żeby obrzucić mnie złym spojrzeniem.

–Mogłaś przynajmniej przez grzeczność udać zaskoczenie. I czy nie powiedziałaś, że wprawnie wiążę węzły? – dodała, widząc, jak zrzucam sznury, które krępowały moje nogi.

–W istocie. – Poruszyłam rękami i ostrożnie wzruszyłam ramionami. – Pozostałych sama nie rozwiążę. – Zapewne dałabym radę, lecz rozpraszałaby mnie rozkosz towarzysząca tym zabiegom, a w tej chwili nie mogłam sobie na to pozwolić. – Barquiel L'Envers zapłacił za spotkanie, żeby się dowiedzieć, czy kiedyś kochałam Melisandę Szachrizaj. Dlaczego?

–Kiedyś? – Nicola wzniosła brwi.

Uklęknęłam i popatrzyłam na nią uważnie.

–Pani, ona jest pośrednio odpowiedzialna za śmierć Anafiela Delaunaya, którego kochałam i podziwiałam. Poza tym zdradziła mnie i sprzedała do skaldyjskiej niewoli, a także dopuściła się zdrady stanu. Zapewniam cię, że wszystko, co czułam do niej jako do swojej klientki, błędnie w porównaniu z tymi przestępstwami.

Gdybyśmy były w Sali Gier, powiedziałabym, że Nicola zawahała się przed wyłożeniem kart. Mniejsza z tym; odgadłam, kto wciągnął ją do gry.

–Kiedyś darowała ci życie – powiedziała.

–Czyżby Jego Książęca Mość zastanawiał się, czy odwdzieczyłam się tym samym? – zapytałam, uważnie obserwując jej twarz. W głowie słyszałam głos Delaunaya: „Co

zdradza kogoś, kto tai informacje?”. Nicole zdradzało trzepotanie powiek, niespokojne ruchy rąk. Chcąc ukryć zdenerwowanie, podniosła karafkę i naląła likieru do kieliszka. – Nie zrobiłam tego. Ale jeśli mnie podejrzewa...

–On też tego nie zrobił – przerwała mi szorstko Nicola. Jednym haustem wypła likier i z trzaskiem odstawiła kieliszek. – Tak, zastanawia się, kto ponosi winę. Marmion Szachrizaj był jego pierwszym podejrzanym. Ty stałaś na drugim miejscu.

Mogłam się roześmiać, lecz tego nie zrobiłam.

–A ty dowiodłaś niewinności lorda Marmiona?

–Dowiodłam, że lord Marmion Szachrizaj żyje w strachu przed odwetem kuzynki. – Podniosła dyscyplinę i przyjrzała się splecionym rzemieniom. – Ty zaś, choć złożyłaś oświadczenie, które ją pogrzyżyło, nie wydajesz się szczególnie przejęta perspektywą zemsty. Wiesz, przekonywałam Barquiela, że zabawię się z tobą parę razy i dopiero wtedy spróbuję czegoś się dowiedzieć, ale nie, on jest zbyt niecierpliwy.

–Liczba spotkań nie miałyby znaczenia. – Pęta na moich nadgarstkach rzeczywiście były zmyślnie zawiązane.

–Zapewne. – Do głosu Nicoli wróciło rozbawienie. – Ale ja miałabym większą przyjemność. Szkoda, bo Barquiel zapewne nie zechce zapłacić za kolejne spotkanie, skoro pierwsze spelzło na niczym.

Zrezygnowałam z próby rozwiązania supłów.

–Pani, to moja wina, dlatego zrzekam się zapłaty. Mój śmiech był niestosowny i niewybaczalny, mogę więc tylko błagać cię o wybaczenie.

Przez długą chwilę Nicola patrzyła na mnie w milczeniu, z zadumą w oczach.

–Podejrzewałaś go, prawda? Kuzyna Barquiela.

–Tak. – Nie dodałam, że nie jestem zupełnie przekonana o jego niewinności. Jeśli na mojej liście był ktoś na tyle sprytny, żeby uwolnić się od podejrzeń poprzez rzucanie ich na innych, to na pewno Barquiel L'Envers.

–Dlaczego nie Marmiona?

–Jego też podejrzewałam, przez jakiś czas. Ale... – Pokręciłam głową, zapominając o sznurach, i gwałtownie zaczerpnęłam tchu, gdy potarły czułe miejsce. Masz rację – powiedziałam, kiedy odzyskałam panowanie nad sobą. – On naprawdę jest przerażony. – Zmieniłam pozycję, na próżno starając się zmniejszyć naprężenie sznura. – Nicola, przysięgam na Eluę, nie przyłożyłam ręki do ucieczki Melisandy

Szachrizaj.

Spojrzenie fiołkowych oczu ani na moment nie oderwało się od mojej twarzy.

–Wiesz, kto to zrobił?

–Nie. – Lekkomyślnie rzuciłam kości: – Jeszcze nie wiem.

Nie umiem powiedzieć, dlaczego zaryzykowałam, okazując jej tak wielkie zaufanie. Zapewne po części było to wynikiem stałego poczucia bezsilności i osamotnienia. Poza tym, z czego jestem dumna, nigdy się nie pomyliłam w ocenie klienta. Niezależnie od pobudek, Nicola rzeczywiście miała mnie w ręku, zanim wspomniała imię Melisandy. Patrzyłam, jak jej pełne usta układają się w uśmiech.

–Wiedziałam, Fedro nó Delaunay, że pojedynek z tobą będzie interesujący – powiedziała cicho, pieszczotliwie gładząc dyscyplinę. – Warto było przegrać, żeby to zobaczyć. – Nicola okrążyła mnie, nie wypuszczając bicia z ręki. Rzemienie sunące po mojej skórze przyprawiały mnie o dreszcze. – To widzą twoi klienci, prawda? – szepnęła. – To piękne, wiernopoddańcze ciało, dygoczące z upokorzenia. Zapominają... – zatrzymała się i palcami uniosła mój podbródek – że za tymi ciemnymi, lśniącymi od łez oczami kryje się wyrafinowany umysł. Mam rację, prawda?

–Tak – szepnęłam, nie panując nad drżeniem.

–Lubię patrzeć, jak płaczesz. – Położyła rękę na moim policzku, musnęła kciukiem powieki, a potem zlizwała z palca słonawą wilgoć. Na Eluę, mogłabym umrzeć! Naprawdę była dobra. Ród L'Envers wywodził się od Naamy, ale musiał mieć domieszkę krwi kuszelickiej. Zawsze mnie ciekawiło, dlaczego ich herby wyobrażają most nad rzeką Piekła. To dobrze, że wpływ Kusziela rozmył się we krwi Ysandry; Courcel w prostej linii pochodzą od Błogosławionego Elui. – Ale zawsze będę się zastanawiać – podjęła Nicola, przywołując mnie do rzeczywistości – o czym jeszcze myślisz, kiedy dogadzasz zachciankom klientów.

Szczerze mówiąc, wtedy niewiele myślałam; nie wtedy i jeszcze nie przez jakiś czas. Przypuszczam, że Nicola otrzymała równowartość oferowanej kwoty. Zadowolenie klienta jest nadzwyczaj trudne, kiedy najmniejszy ruch budzi wręcz nieznośną rozkosz – i trudniej jest zadowolić kobietę niż mężczyznę, który łatwiej osiąga spełnienie. Pod tym względem słudzy Naamy są zgodni i każdy w Dworze Nocy jest o połowę bardziej wyszkolony niż potrzeba do tego celu. Cóż, nigdy nie przyniosłam wstydu swojemu szkoleniu, z mężczyzną czy z kobietą, i to spotkanie nie odbiegało od innych. Ale parę razy musiałam przerwać, wijąc się w pętach, a śmiech Nicoli dzwonił mi w uszach. Karała mnie chłostą, co tylko pogarszało sprawę.

Tak to już jest z moimi klientami. Nic nie sprawia im większej przyjemności, jak

korzystanie z władzy, a ja za sprawą Strzały Kusziela jestem idealnym instrumentem, na którym grają ich żądze.

–Weź to. – Nicola ze śmiechem przesunęła sakiewkę po stole. – Zarobiłaś uczciwie. Nie mam żadnych zastrzeżeń, Fedro, a poza tym to pieniądze Barquiela.

–Wiem. – Uśmiechnęłam się, kręcąc głową. – Nie, pani. Jeśli naprawiłam swój błąd, to bardzo się cieszę, nie mogę jednak z czystym sumieniem przyjąć zapłaty.

Ściągnęła brwi, bawiąc się sznureczkami sakiewki.

–Wiesz, że umówiłam się z tobą pod fałszywym pozorem.

–Możliwe. – Wzruszyłam ramionami. – Ale jestem służącą Naamy i w jej służbie zbłądziłam. Naama nie dba o politykę i szpiegostwo. Nie mogę przyjąć zapłaty.

–Mówisz poważnie? – zdumiała się, a ja przytaknęłam. – Nie powiedziałabym, że zawiodłaś Naamę! – Nicola uśmiechnęła się, patrząc na mnie spod ciężkich powiek. – Niemniej jednak, jeśli ją zachowam, wciąż będę ci dłużna. Czy zgodzisz się na drugie spotkanie, jeśli zaproponuję?

Mimo woli zerknęłam na jedwabne sznury, leżące w nieszkodliwej płątanie na dywanie.

–Tak – odparłam głosem zachrypniętym z pożądania. – Wprawnie... wprawnie wiążesz supeł.

–Dobrze. – Nicola zabrała sakiewkę. Sprawa została załatwiona. – Ramiro lubi być krępowany. Mój mąż – dodała, podchwytyjąc moje zaintrygowane spojrzenie. – Ale stanowi mniej przyjemny widok. Ty zapewniasz większą zabawę i jesteś znacznie bardziej utalentowana. Poza tym nigdy nie interesowało mnie, co on myśli w trakcie. I, skoro o tym mowa, prawdopodobnie jest droższy od ciebie.

–Pani... nie wiązałaś lorda Marmiona, prawda? – Musiałam o to zapytać.

–Nie – zaprzeczyła ze śmiechem. – Jeśli trzeba, odgrywam Walerianę równie dobrze jak Mandragorę. Jestem gotowa na wszystko, byle tylko na jakiś czas wyrwać się z Aragonii. – Nikt, kto nie jest D'Angelinem, nie zrozumie, o co jej chodzi. Ja wiedziałam. W Dworze Nocy są dwa domy bólu: Waleriana go przyjmuje, a Mandragora zadaje. – Wolę to drugie, ale... – Wzruszyła ramionami. – Mam różnorakie zainteresowania. A Szachrizaj są... cóż, sama wiesz.

Wiedziałam.

–Po prostu byłam ciekawa.

–Tak. – Nicola, marszcząc brwi, spojrzała mi w oczy. – Jestem przekonana, że zabił swoją siostrę – rzekła cicho. – Dlaczego miałby to robić, jeśli jest niewinny?

Mogłam udawać. Myślałam o tym, gotowa okazać, że jestem wstrząśnięta. W końcu zmieniłam zdanie.

–Ona była winna – oświadczyłam wprost. – Sądzę, że odegrała pewną rolę w ucieczce Melisandy i że Marmion o tym wiedział. Jego błąd polegał na tym, że rzucił jej oskarżenie prosto w twarz. Nie wiedział dokładnie, kto jej pomagał. Zapewne mu zagroziła, a wówczas ją zabił, zamiast sprawdzić wiarygodność groźby. Teraz został sam. Boi się nie bez powodu, a ja mu się wcale nie dziwię. Ale jest idiotą, jeśli sądzi, że chodziło o mnie. Nie mam takiej władzy.

–Hmm. – Nicola miała zadumaną minę. – Tego nie wiem. Na twoje niczym nie poparte słowo Ysandra przygotowała kraj do obrony przed skaldyjskim najazdem i wojną domową. Jeśli Marmion sądzi, że dałaby wiarę twojemu świadectwu, może nie być w błędzie. Niemniej jednak... – Zaśmiała się. – Ty i kuzyn Barquiel, dążący do jednego celu i działający przeciwko sobie, podejrzewający się wzajemnie. Anafiel Delaunay się kłania! Pomyśleć tylko, że gdyby wcześniej zawarli pokój... Chcieli wszak tego samego: Ysandy de la Courcel na tronie.

–Możliwe – odparłam z namysłem. – Ale dzieliła ich przelana krew, zła krew. Edmee de Rocaille była przyjaciółką Delaunaya. I nawet diuk nie przeczy, że jego siostra Izabela była winna jej śmierci.

To dawna historia, stanowiąca część układanki, nad którą przez długie godziny mozoliłam się z Hiacyntem. Nie było mnie jeszcze na świecie, kiedy zmarła Edmee de Rocaille, narzeczona księcia Rolanda. Wypadek na polowaniu, powiadano – ale popręg siodła został przecięty, a Edmee miała zagorzałą rywalkę w osobie Izabeli L'Envers, która nie przepadała za poetą i kochankiem księcia, Anafielem Delaunayem. Edmee de Rocaille przyjaźniła się z nim od dzieciństwa. Mój pan napisał ciętą satyrę, w której oskarżył Izabelę L'Envers, za co zapłacił wypadnięciem z łask, dworu i niemalże utratą względów Rolanda. Od tej pory Delaunay i Barquiel, brat Izabeli, stali się zaprzysięgłymi wrogami. Byłam dzieckiem w kołysce, kiedy Roland poległ w Bitwie Trzech Książąt. Pamiętam za to śmierć Izabeli, którą w końcu poślubił. Izabela zmarła, gdy już mieszkałam w Domu Cereusa.

Te dawne dzieje znaczyły dla Nicoli równie niewiele jak dla mnie. Wzruszyła ramionami.

–I twój Delaunay w swoich wierszach nazwał Izabelę morderczynią – dokończyła. – Jakkolwiek by na to patrzeć, to nie ma nic wspólnego z tobą, Fedro, ani ze mną. Co powiesz, jeśli zaproponuję ci pomoc? Co mogłabym dla ciebie zrobić?

To była pokusa, na Eluę, wielka pokusa!

–Dlaczego?

–Ponieważ... – Nicola ściągnęła brwi – ponieważ jesteś nadzwyczaj dobra w tym, co robisz, tak dobra, że zapewne nikt inny w promieniu dwustu mil od Miasta nawet nie wie, że to robisz.

Kiedy będzie po wszystkim, Barquiel odeśle mnie do Aragonii niezależnie od mej woli. Moja jedyna nadzieja na zachowanie pozycji leży w intrydze... oraz w utrzymaniu się na tronie mojej kuzynki, Ysandry de la Courcel. Czy to wystarczający powód? – Uśmiechnęła się, patrząc na mnie spod ciężkich powiek. – Ponadto być może dzięki temu nadarzy się okazja na kolejne spotkanie. A to samo w sobie sprawiłoby mi wielką przyjemność. Powiedz mi więc, co mam zrobić?

Zastanawiałam się przez cały czas, gdy mówiła.

–Znasz markizę Solaine Belfours?

–Wysoka i wyniosła? Sekretarz Tajnej Pieczęci? – Nicola roześmiała się. – Znam ją. Dlaczego pytasz?

–Chciałabym wziąć ją na spytki bez wzbudzania podejrzeń. Gdybyś wydała przyjęcie i zaprosiła nas obie...

–Mogę to zrobić. – Nicola przekrzywiła głowę i zadzwoniła sakiewką z moją byłą zapłatą. – Za to. Powiesz mi, w jakim celu?

–Nie. – Pokręciłam głową.

–W takim razie... – zerknęła na białe sznury leżące na dywanie o bogatych odcieniach, chwilowo zapomniane i całkiem zwyczajne – jeśli nie chcesz mi zaufać, Fedro, nie zrobię nic za darmo. Tego uczą lekcje intrygi. Jeśli spełnię twoją prośbę, czy pozwolisz się wypytać? W sposób, jaki sama wybiorę?

Już wcześniej sprzedawałam się nie tylko za pieniądze, to nie był pierwszy raz. Oddałam się diukowi de Morhban w zamian za prawo przejazdu przez jego ziemie. Chciałabym powiedzieć, że przemyślałam dokładnie propozycję i zważyłam zyski, ale było inaczej. Powiodłam wzrokiem za jej spojrzeniem i znowu popatrzyłam na przekłete sznury.

–Możesz wypytywać o wszystko, czego dusza zapagnie, pani – wymruczałam.

–Doskonale! – zawołała radośnie Nicola. – Miałam nadzieję, że to powiesz.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Przyjęcie u Nicoli okazało się udane pod każdym względem.

Zapłata za moje usługi, choć mniejsza od tej, jaką uiścił Severio, wystarczyła na wydanie znakomitej fety. Tego wieczoru dowiedziałam się, że Nicola słynie w Aragonii jako niezrównana pani domu, co, przyznaję, trochę mnie zdziwiło.

Przyjęcie odbywało się w pałacowym skrzydle dla dyplomatów i miało aragoński charakter. Najpierw służący w narodowych strojach podali posiłek złożony z niezliczonych korzennych delikatesów i dużej ilości mocnego czerwonego wina. Później rozbrzmiała muzyka skrzypiec i bębenków, a kobiety w falbaniastych spódnicach rozpoczęły tańce. Przypuszczam, że spośród gości tylko Joscelin i ja rozpoznaliśmy silne wpływy cygańskie.

Punktem kulminacyjnym wieczoru był występ czterech aktorów, których Nicola wynajęła do odegrania pantomimy, d'Angelińskiej wersji aragońskiej walki byków. Zadrżałam, kiedy pojawił się „byk” odziany w pikowany czarny strój, w spodniach opinających kształtne nogi, z byczym łbem z papier-mache zbrojnym w długie, groźne rogi. Pikadorzy w przetykanych złotą nicią bolerach tańczyli wokół niego, poszturchując go i odskakując, kłując pikami w przemyślnie rozmieszczone watowane miejsca. Kroki byka stawały się coraz wolniejsze i jakby bardziej rozważne, a masywna głowa opuszczała się coraz niżej.

Na scenę wszedł zwiastun śmierci – matador z muletą i mieczem, kłaniający się i wymachujący kapeluszem. Ja i reszta gości westchnęliśmy, gdy błysnęło ostrze mierzące w kark byka. Lśniący skraj miecza odciął byczy łeb, który z hukiem spadł na podłogę. Wysypały się z niego słodycze i błyskotki, a z szerokiego karku kostiumu wyłoniła się głowa uśmiechniętego aktora. Wszyscy zaczęli bić brawo i żartobliwie spierać się o łupy. Nicola poleciała odszpunktować antałki słodkiej, orzechowej aragońskiej brandy, a my ze śmiechem wznosiliśmy toasty, dziękując jej za wyśmienitą rozrywkę, podczas gdy aktorzy kłaniali się, przyjmując dowody najwyższego uznania.

Potem nastąpiły tańce, a wówczas dałam głową znak Joscelinowi, który skinął w odpowiedzi i czekał na mnie, gdy poszłam przywitać się z Solaine Belfours.

Jej zachowanie nie zmieniło się ani trochę, odkąd poznałam ją na debiucie Alcuina. Była trochę starsza, ale nie mniej arogancka. Wygięła w łuki złote brwi i popatrzyła na mnie z góry, kiedy ją powitałam. – Fedra nó Delaunay... de Montreuve, nieprawdaż? Przebyłaś długą drogę od szorowania moich podłóg, mała hrabino – wycodziła chłodno. Wbrew sobie zarumieniłam się lekko; markiza de Belfours zawsze wiedziała, jak mi dopiec. Zaliczała się do tych dawnych klientów, za którymi nie

tęskniłam, i cieszyłam się, że nie złożyła mi propozycji.

–Pani, obie służymy Jej Wysokości Ysandrze de la Courcel – powiedziałam z całą szczerością, na jaką było mnie stać – a ta wzajemna uraza nie przystoi ani tobie, ani mnie.

Solaine Belfours parsknęła śmiechem.

–Uwierzyłabym, hrabino, gdybyś nie radziła Jej Królewskiej Mości, żeby znalazła kogoś innego na moje miejsce.

W tej chwili dołączył do nas Joscelin, potykając się po drodze o czyjąś nogę. Zachwiał się lekko i wylał brandy z kieliszka, zachowując niewinny wyraz twarzy. Przysięgam, gdybym nie wiedziała, jaki jest naprawdę, uwierzyłabym, że się upił. W pewnym momencie życia mój kasjelita minął się z powołaniem, bo mógł zostać aktorem o niemałej sławie. Hiacynt był bliższy prawdy, niż przypuszczał, kiedy ubrał Joscelina Verreuil w płaszcz bajdura.

–Wybacz mi, pani! – zawołał i ukłonił się zamasyście ze skrzyżowanymi rękami, wylewając brandy na jej pantofelek. – Och, po dwakroć przepraszam! Błagam o wybaczenie, pani!

Błogosławiony Eluo, był doskonały! Ucałowałabym go, gdyby mi pozwolił. Z uwagi na okoliczności tylko zagryzłam usta i po chwili dokonałam formalnej prezentacji.

–Och! – Joscelin szeroko otworzył swoje zachwycające, błękitne jak letnie niebo oczy i zatoczył się lekko. – Wiedz zatem, pani Tajnej Pieczęci... pani, piszę traktat o historii Bractwa Kasjelitów i rodu Courcel, to bardzo interesujące, bez dwóch zdań... – Chwiejąc się, niezdarnie pohjżył rękę na ramieniu markizy i spojrzał na nią badawczo. – Błagam, pani, pomożesz mi zebrać informacje?

Solaine Belfours strząsnęła z irytacją jego rękę.

–Na litość Elui, człowieku, zwróć się do królewskiego archiwariusza, jeśli chcesz grzebać w tych starych dziejach! Ja nie mam czasu na kasjelickie bzdury.

–Wybacz, pani. – Joscelin niezdarnie zrobił krok do tyłu, przez ułamek sekundy patrząc mi w oczy. Błysk rozbawienia zapłonął i zgasł tak szybko, że mógł niemalże być wytworem mojej wyobraźni. Gdybym mogła zatrzymać tę chwilę, chwyciłabym ją mocno i nigdy nie wypuściła. – Po tysiącokroć przepraszam!

Solaine patrzyła za nim, gdy wtapiał się w tłum, i kręciła głową.

–Nigdy nie przypuszczałam, Fedro – zaczęła niemiłym tonem – że gdy zostaniesz panią swojego losu, twój gust stanie się taki niewybredny. Szperaj w archiwach do

woli, ale dla własnego dobra trzymaj się z dala od polityki.

Nicola miała rację, moi klienci często nie dostrzegali tego, co ja widziałam. W tym przypadku zobaczyłam dość, żeby wiedzieć, że markiza nie udaje. Jej irytacja była szczerą. Nie ufałam jej, ale w królewskim archiwum ani w historii Bractwa Kasjelitów nie było nic, czego ujawnienia mogłaby się obawiać.

–Jak każesz, pani – mruknęłam i dygnęłam, bo przecież przewyższała mnie godnością. – Nie chciałam cię urazić.

–Czasami mogłabym przysiąc, że żyjesz, by obrażać. – Solaine Belfours popatrzyła na mnie z kwaśną miną. – Ale wybaczę ci twoją interwencję u Ysandry, jeśli obiecasz, że porzucisz tę sprawę. Jak mówisz, podzielamy sferę zainteresowań. Tak czy inaczej, lepiej uważaj, Fedro. –

Pogardliwie skrzywiła usta. – Jeśli myślisz, że wszystkie sekrety Lyonetty de Trevalion umarły wraz z nią, to jesteś dwa razy głupsza, niż sądziłam.

Była to czcza pogróżka, mająca mi dopiec; postawiłabym na to swoją reputację. Znałam Solaine Belfours i wiedziałam, że czuła się dotknięta do żywego tym, że Delaunay wystrychnął ją na dudka, podsuwając mnie jako przynętę na swoim haczyku. A jednak groźba zawsze pozostaje groźbą, dlatego zanotowałam ją w pamięci. Przypomniałam sobie o Gasparze Trevalionie, który poręczył za markizę.

Wyparł się wiedzy o spisku i uniknął odpowiedzialności, kiedy wyszedł na jaw pian Lyonetty de Trevalion, która zamierzała posadzić na tronie swojego syna Baudoina; wtedy mój pan Anafiel Delaunay za niego poręczył. Jeśli Solaine szantażem zmusiła Gaspara do pomocy, z pewnością szantaż musiał wiązać się z tamtą sprawą. Dodałam dwa do dwóch i pomyślałam: Gaspar wiedział. Wiedział o spisku i nie pisnął słowa, nawet Delaunayowi. Byłby rad, gdyby korona znalazła się na głowie jego krewniaka Baudoina, a nie obcej mu Ysandry. Lojalność Gaspara Trevaliona była płytsza, niż sądził mój pan, lord Delaunay.

Zadowolona ze swoich wniosków, złożyłam następny ukłon i odeszłam na poszukiwanie Joscelina. Wciąż dobrze udawał, chwając się z kolejnym kieliszkiem brandy w dłoni.

–Jutro będą plotkować o kasjelicie Fedry – wymamrotał. – A Solaine Belfours nic nie wie.

–Już samo to coś znaczy – odparłam. – I nie wiedziałam, że przejmujesz się plotkami.

Uśmiechnął się cierpko, zakręcił brandy w kieliszku i podniósł do ust. przypuszczam, że wypił tylko maleńki łyczek.

–Mówią o tobie, wiesz? – powiedział w głąb kieliszka. – Mówią, że lady Nicola L'Envers y Aragon zawróciła ci w głowie do tego stopnia, że nie przyjąłeś od niej zapłaty. Twój przyjaciel Apollonary de Fhirze jest bardzo zazdrosny. – Uniósł głowę i parsknął śmiechem. – Mnie też zazdrości. – Z goryczą wykrzywił usta. – Pewnie myśli, że jestem najszcześliwszym człowiekiem pod słońcem.

–Byłbyś – powiedziałam. – Gdybyś tylko miał takie same upodobania jak on.

–Albo jego siostra.

Skąd bierze się w nas to przewrotne okrucieństwo, które sprawia, że najdotkliwiej raniemy tych, których najbardziej kochamy? Może w błogosławionej Terre d'Ange, która leży w zaświatach, jest dość czasu na prowadzenie tych gier do samego końca, ale my, śmiertelnicy, mamy go tak mało! Ja spośród wszystkich ludzi byłam najmniej przygotowana, żeby rozwiązać tę zagadkę; ja, która nawet teraz w tajemnym zakamarku duszy rozkoszowałam się głębokim bólem wywołanym przez słowa, jakimi obrzucaliśmy się z Joscelinem, bólem skłóconych kochanków wzmocnionym przez rozmyślny akt wzajemnego ranienia. Kto wie, jak długo będziemy przykuci do koła życia przez takie postęпки, ile razy będziemy żyć w coraz to nowym śmiertelnym ciele, zanim nie wyzwolimy się, żeby przejść przez Bramę Elui? Nawet gdybyśmy wiedzieli, będziemy powtarzać stare błędy.

–Nie do wiary. – Głos Barquiela L'Envers, lekki i drwiący, wsunął się pomiędzy nas niczym ostrze. – Nieporozumienie między wybrańcami Towarzyszy? Niemożliwe!

Z wysiłkiem zapanowałam nad wyrazem twarzy i uśmiechnęłam się uprzejmie. Joscelin zapomniał się i złożył płynny kasjelicki ukłon, czujnie kładąc dłonie na rękojęściach sztyletów.

–Wasza Książęca Mość – powiedziałam z dygnięciem.

–Jeśli Ysandra nie wymaga od ciebie wielkich ceremonii, ja też się bez nich obejdę. – Pokazał zęby w uśmiechu. – A Nicola z pewnością nie ma nic przeciwko! Nie ona pierwsza byłaby mi dłużna, gdybym zatracił się w twoich wdziękach, prawda, anguisette Delaunaya?

Miał rację, w istocie. Wcześniej był Childric d'Essoms i niejaki Rogier Clavel. Delaunay wykorzystał mnie, żeby do nich dotrzeć, a ich użył po to, żeby zdobyć dojdzie do diuka L'Envers. Żadne z nas o tym nie zapomniało.

–Nie sądzę, żeby lady Nicola była zagubiona, panie – powiedziałam ostrożnie. – Uważa, że przyświeca nam wspólny cel, tobie i mnie.

L'Envers potarł bliznę na policzku, pamiątkę z Khebbel-im-Akad, jeśli plotka mówiła prawdę.

–A ty w to wątpisz.

Uniosłam brwi.

–Ty nie, panie?

Roześmiał się.

–Ach, Fedro! Zaczynam myśleć, że Anafiel Delaunay wyznaczył dziedzica godniejszego, niż ktokolwiek z nas mógł przypuszczać. Sądziłem, że Ysandrze odjęło rozum, kiedy wysłała cię do dzikiej Alby jako swojego emisariusza. Gdybym uważał, że ta wyprawa jest niczym więcej jak szukaniem wiatru w polu, postarałbym się jej zapobiec. Ale dopięłaś swego, prawda? Mimo to... – zmierzył mnie zadumany spojrzeniem – czy mogłabyś patrzeć na jej śmierć?

Nie pytając, wiedziałam, że ma na myśli Melisandę.

Nie musiałam odpowiadać szczerze, ale nie wierzyłam, by kłamstwo wypadło przekonująco. Śmiało odwzajemniłam jego spojrzenie.

–Nie. Nie, panie, jeśli już musisz wiedzieć. Nie mogłabym na to patrzeć. Dlatego spędziłam noc na murach Troyes-le-Mont. Jeśli nie wierzysz, zapytaj ludzi, którzy pełnili straż tamtej nocy.

Barquiel L'Envers zrobił kpiarską minę i przegarnął ręką krótkie jasne włosy.

–Próbowałem, naprawdę, a przynajmniej próbowali moi ludzie. Niestety, trudno znaleźć tych wartowników z Troyes-le-Mont.

Joscelin wytrzeszczył oczy, a ja spojrzałam na niego ostro. L'Envers to zauważył i teraz spoglądał to na mnie, to na niego.

–A więc wy także szukaliście. Znaleźliście ich? A może... a może ukryliście, co? – zapytał głosem uprzejmym, a zarazem złowieszczym.

–Wasza Książęca Mość. – Joscelin wszedł z gracją pomiędzy nas, z dłońmi wspartymi lekko na rękojeściach ostrzy. – Przysięgam na sztylet Kasjela, że moja pani Fedra nó Delaunay de Montreve nie miała nic wspólnego ze zniknięciem Melisandy Szachrizaj i nie wie nic o losie wartowników z Troyes-le-Mont – mówił spokojnym, ale groźnym głosem. – Jeśli chcesz być jej sojusznikiem, niech tak będzie. Jeśli nie, to nie podawaj w wątpliwość jej słów.

Miał nad diukiem przewagę paru cali wzrostu i szkolenia kasjelickiego kapłana-wojownika, rozpoczętego w wieku dziesięciu lat. Ale garquiel L'Envers był zaprawionym w boju d'Angelińskim dowódcą, którego męstwo wzbudziło podziw

kalifa Khebbel-im-Akad, a to mówiło samo za siebie. Akadyjczycy uchodzili za największych wojowników świata, odkąd Ahzimandias, Włócznia Szamasza, wyprowadził swój lud z pustyni Umaijsatu, żeby upomnieć się o prawa do tronu dawnej dynastii z Ur.

–Nie przysięgaj na swoje sztylety, kasjelito – wycedził zimno diuk – nie zamierzając ich użyć. A jeśli zamierzasz, uderz szybko, bo w przeciwnym wypadku stracisz głowę. Cóż, mamy impas, jak się zdaje; ni to sprzymierzeńcy, ni to wrogowie. Może w takim razie zawrzemy układ, Fedro nó Delaunay? Znam jedno miejsce, w którym nikt nie szukał wartowników z Troyes-le-Mont. Co proponujesz?

Lekko dotknęłam ramienia Joscelina, a on cofnął się z niechęcią.

–Co Jego Książęca Mość diuk de Somerville wie o swoich strażnikach? – zapytałam z zadumą. – Jesteście przyjaciółmi, panie. Nie pytałeś?

Barquiel zmierzył mnie wzrokiem.

–Tak, oczywiście. Czy masz mnie za idiotę? Przekazał ich pod rozkazy Ghislaina, który pozwolił im ścigać Skaldów, żeby odpokutowali za niedopełnienie obowiązków w twierdzy. Tyle jest jasne. Co do powrotu...

–Niewybaczeni... – zagryzłam dolną wargę, nie bacząc na rozbawione spojrzenie L'Enversa – którym Percy de Somerville nie ufa i wśród których nikt nie rozpytywał.

–Otóż to. – Rozłożył ręce. – Co otrzymam w zamian?

–Fedro – mruknął Joscelin ostrzegawczo.

Czasami trzeba zaryzykować.

–Spekulacje, panie. Zrobisz z nimi, co zechcesz. Tamtej nocy Persja Szachrizaj złożyła wizytę kuzynce, ale zamiast niej z pokoju wyszła Melisanda. Lord Marmion odgadł prawdę i oskarżył siostrę. Czym mu zagroziła...? – Wzruszyłam ramionami. – Nie umiem powiedzieć, ale domyślam się, że właśnie z tego powodu spotkała ją śmierć.

Barquiel zmrużył fiołkowe oczy.

–Być może go zapytam.

A ja być może zaciągnę się do Niewybaczonych – powiedziałam cierpko. – O ile nie wymyślę lepszego sposobu, żeby ich wypytać.

–Twoje zwykłe metody są chyba całkiem skuteczne. – Obrzucił mnie rozbawionym

spojrzeniem. – Dano mi do zrozumienia, Fedro nó Delaunay że zawarłaś układ również z Nicołą, obiecując jej coś w zamian za tę dzisiejszą rozrywkę. Być może sam upomniałbym się o należność, bo przecież pieniądze pochodzą z mojej kiesy, gdybyś nie przekonała mnie, że z tobą lepiej mieć się na baczności.

Z tymi słowy uklonił się i oddalił, a ja w pośpiechu zamknęłam usta, które otwierałam ze zdumienia. Joscelin mocno złapał mnie za rękę.

–Nie – powiedział z napięciem w głosie. – Nie on. Fedro, jeśli choć trochę mnie kochasz, obiecaj mi, że on nie!

Pomyślałam o Melisandzie, która przysłała mi płaszcz, i roześmiałam się rozpaczliwie.

–A jeśli to on jest zdrajcą? – zapytałam. – Och, Joscelinie! – Strząsnęłam łzy z rzes i chwyciłam za przód jego wamsu, zamykając w dłoni garść aksamitu i naszyjnik chai. – Co dasz mi w zamian? Jeśli kochasz mnie choć trochę, czy spełnisz moją prośbę?

–Nie, Fedro, nie prosź. – Joscelin niezbyt delikatnie otworzył moje palce, odwrócił się i odszedł.

Patrząc za nim i wiedząc, że nie usłyszy, szepnęłam:

–Obiecuję.

DWADZIEŚCIA DWA

Po fecie u Nicoli wzięłam Remy'ego na stangreta i wybrałam się do archiwum. Tego dnia Michelina de Parnasse leżała w łóżku, złożona przez febrę, rozmawiałam więc z jej pomocnikiem, paniczem z Siovale.

–Bernardzie... – uśmiechnęłam się do niego – powiedz mi prawdę: czy ktoś poza królową i sekretarzami Tajnej Pieczęci ma swobodny dostęp do archiwów?

Pochylając głowę, zarumienił się i wymamrotał coś niezrozumiale, wymagało to trochę zachodu, ale w końcu skłoniłam go do wyznania, że kiedy stalowe spojrzenie królewskiej archiwistki kierowało się w inną stronę, różni wielmoża nachodzili asystentów, prosząc o takie czy inne przysługi. Zapytałam go o nazwiska, a on wyrecytował długą listę.

Był na niej Barquiel L'Envers, podobnie jak Gaspar Trevalion i Percy de Somerville. Bernard dość dobrze ich pamiętał; żaden nie zbliżył się do księgi z nazwiskami członków Bractwa Kasjelitów, służących rodzinie Courcel. Co więcej, przysiągł na wszystkie świętości, że nikt – nikt! – nie sprofanował archiwów na jego dyżurze.

–Pamiętasz, co ich interesowało? – zapytałam.

Pokiwał głową i przełknął ślinę tak gwałtownie, że podskoczyła mu grdyka.

–Któryś prosił o akta z procesu Lyonetty i Baudoina de Trevalion.

Nie pozostało mi nic innego, jak mozolnie przejrzeć dokumenty, spisane zeznania i materiały uzupełniające. Były wśród nich listy – wszystkie, o ile się dobrze orientowałam – napisane przez Foclaidhę z Alby do Lyonetty de Trevalion, Lwicy z Azalii, knującej najazd, w wyniku którego Baudoin miał zasiąść na tronie.

Zadurzony Baudoin pokazał korespondencję Melisandzie i, co gorsza, dał jej kilka listów na dowód miłości, co było z jego strony idiotyczną przesadą. Melisanda wykorzystwała je, żeby go zniszczyć – wraz z pretensjami do tronu, jakie mógł rościć ród Trevalion.

Dała mu jednak prezent na pożegnanie.

Mnie.

Mniejsza z tym; ta sprawa należała do przeszłości i zostałaby zapomniana, gdyby nie ciągle wtrącanie się starych waśni, starych zdrad w terażniejszość. Jeśli w archiwach było coś, co mogło skompromitować jednego z tych trzech, już dawno zniknęło, pomimo rzekomo czujnego oka Bernarda z Siovale. Któryś z nich,

powiedział, a może byli też inni. Wiele osób prosiło o wgląd do tych teczek. Wiedziałam, czego obawiał się Gaspar. Co do diuka L'Envers i dowódcy wojsk królewskich mogłam tylko snuć domysły. Oczywiście Bernard wymienił osiem czy dziewięć innych osób, których nawet nie zaczęłam podejrzewać.

–Dziękuję – powiedziałam, szykując się do odejścia. W tym momencie wpadła mi do głowy jeszcze jedna myśl. – Bernardzie, pani de Parnasse wspomniała, że czasami królowa odwiedza archiwum. Czy towarzyszą jej wówczas kajselicy strażnicy?

–Oczywiście! – Szeroko otworzył oczy. – Co nie znaczy, że tutaj mogłaby spotkać ją krzywdą, ale... jest królową. Kasjelicy przysięgli potomkom Elui chronić i służyć, to ich obowiązek.

–Czy któryś przyszedł tu kiedyś sam?

Bernard wzruszył ramionami.

–Tak, raz czy dwa królowa przysłała ich w jakiejś sprawie. Królewska krew ma swoje prawa, pani, nawet sama archiwistka nie odprawiłaby kasjelitów, którzy przyszli z rozkazu Jej Wysokości.

Niestety, podany przez niego opis kasjelitów widzianych w archiwum był mało szczegółowy: w średnim wieku, posępni, odziani na szaro. Taka charakterystyka pasowała do wszystkich znanych mi braci, z wyjątkiem Joscelina.

–Więc nie poświęciłeś im szczególnej uwagi – mruknęłam, zawiedziona.

–Nie. – Zamrugał, zaintrygowany. – Czemu miałbym pilnować braci kasjelitów? Przecież są... są kasjelitami! Oni... oni... sama wiesz. Chronią i służą.

–Tak. – Westchnęłam. – Wiem.

Ponieważ w królewskim archiwum niczego więcej nie mogłam się dowiedzieć, zabrałam Remy ego z winiarni, w której na mnie czekał, i w melancholijnym nastroju kazałam się zawieźć do domu.

–Wróciłaś – powitał mnie Joscelin. – Martwiłem się.

–Gdybyś naprawdę się martwił, kasjelito – wtrącił Remy, mierząc go wzrokiem – pojechałbyś z nami i przestał się obnosić z tą miną zbitego psa.

Joscelin uśmiechnął się cierpko.

–Mam się nie martwić, gdy Fedra nó Delaunay powierza swoje bezpieczeństwo grającym w kości majtkom, którym nie wystarcza rozumu, żeby zachować trzeźwość,

kiedy mają nad nią pieczę?

Remy zaklął z żeglarską potocznością i zamachnął się pięścią. Joscelin zrobił błyskawiczny unik i pięść trafiła w ścianę korytarza. Klnąc i potrząsając obolałą ręką, kawaler próbował zadać cios łokciem, mierząc w żebra Joscelina i zmuszając go do cofnięcia się o krok. Odwrócił się i wysyczał:

–Ty skwaszony, chowany na occie klecho! – Ze złością wyprowadził cios. Z wprawą będącą wynikiem długiego treningu Joscelin uskoczył, chwycił rękę pomiędzy skrzyżowane nadgarstki, ścisnął, przekręcił i bez wysiłku przewrócił Remy ego na podłogę, jakby mimochodem wbijając mu kolano w brzuch. Patrzyłam na to z otwartymi ustami, nie wierząc własnym oczom. Rękoczynny pod moim dachem! Wreszcie pozbierałam myśli i krzyknęłam:

–Joscelinie!

Zamarł na chwilę i cofnął się, unosząc ręce w geście kapitulacji. Remy, klnąc siarczyście, wstał z podłogi i potrząsał głową jak tancerz-byk w aragońskiej maskaradzie, gotów do

ponownego ataku.

–Dość! – Byłam zła, naprawdę zła. – Remy, nadałam ci tytuł kawalera na prośbę lorda admirała. Jeśli chcesz go zatrzymać, zachowuj się jak na kawalera przystało. Joscelinie... – Patrząc na niego wściekle, postukałam w sztylety u jego pasa, potem trąciłam naszyjnik chai na piersi. – Żyj według jednego albo drugiego, skoro musisz dokonać wyboru, ale nie tak, żeby skończyło się tym, że zdradzisz jedno i drugie.

Wyprostował się, urażony, ja jednak jeszcze nie skończyłam.

–To mój dom – dodałam cicho. – Nie będę tolerować w nim przemocy, a najmniej z twojej strony. Jeśli ci się tu nie podoba, możesz odejść.

Joscelin coś mruknął – nie dosłyszałam co – i odszedł sztywnym krokiem. Remy chciał ruszyć za nim.

–Remy, nie – powiedziałam beznamiętnym tonem. – Czy kiedykolwiek wydałam ci rozkaz? Teraz rozkazuję: Zostaw go w spokoju.

Popatrzył na mnie i pokręcił głową, aż kasztanowy warkocz zatrzęsł się dziko.

–Rozum ci odjęło, pani. Wiem, że ci na nim zależy, ale on złamie twoje serce i zetrze je w proch tą przeklętą kasjelicką dumą.

–Możliwe – mruknęłam. – A może pierwsza pęknie jego duma. To sprawa pomiędzy

Kasjelem i Naamą, którzy nasze śmiertelne ciała uczynili swoim polem bitwy. Tak czy inaczej, daj mu spokój.

Remy uklonił się sztywno.

–Jak każesz, pani.

Porozmawiałabym z Joscelinem i powtórzyła głośno to, co poza zasięgiem jego słuchu wyszeptalam po rozmowie z Barquielem L'Envers, gdyby nie wynikała nowa sprawa. Dowiedzieliśmy się o niej rankiem, z ust gońca przysłanego przez Nicole L'Envers y Aragon. Kurier pędził tak szybko, że na progu mojego domu zgiął się wpół, z trudem chwytając oddech.

–Hrabino – wysapał, próbując się wyprostować. – Moja pani kazała... kazała ci powiedzieć, że Marmion Szachrizaj został oskarżony o morderstwo!

Poleciłam podać mu wodę. Zanim skończył opowiadać, Fortun kazał przygotować powóz. Wyglądało na to, że Barquiel nie marnował czasu, prowadząc swoje dochodzenie. Podczas gdy skłóceni Szachrizaj bali się wypaść z łask Ysandry, diuk L'Envers nie miał takich obaw. Wysłał zbrojnych na rącznych akadyjskich rumakach do posiadłości Marmiona, w celu przesłuchania służby i wszystkich ocalałych z pożaru. Zebrał dość dowodów, żeby oskarżyć Marmiona zaledwie w dwa tygodnie po naszej rozmowie. Kiedy zagrał kartą atutową – moim domysłem o roli Persji w ucieczce Melisandy – Marmion zbladł jak śmierć, a wówczas Barquiel rozkazał zamknąć go w areszcie.

Dowiedziałam się również innych rzeczy. Rozjuszony dochodzeniem L'Enversa Faragon, diuk de Szachrizaj, patriarcha rodu, po raz pierwszy od piętnastu lat opuścił swoje włości i z

wielką świtą ruszył do Miasta Elui. Jakby tego było mało, Quincel de Morhban, pan suwerennego księstwa w Kuszecie, zwałchał pismo nosem i postanowił przybyć na dwór z własną delegacją.

Wszystko zbiegło się naraz i Ysandra de la Courcel, królowa Terre d'Ange, wrzała z wściekłości.

–Coś ty sobie myślał? – zapytała ostro, gdy przemierzyła szereg komnat i zatrzymała się tuż przed Barquielem. Jej oczy błyszczały z gniewu. – Jeśli to sprawa wagi państwowej, a nic na to nie wskazuje, powinieneś mnie powiadomić, wuju! Jeśli nie, rozpatrywanie jej wykracza poza twoje kompetencje!

Trzeba przyznać, że Barquiel L'Envers nawet nie mrugnął okiem, a Ysandra z kolei okazała dużą powściągliwość, bo obrzucała go tylko słowami. Pośrodku pokoju, otoczony przez straż pałacową, stał wściekły, skuty Marmion. Po jego prawicy

skupili się przedstawiciele rodu Szachrizaj, z diukiem Faragonem na czele. Senior rodu miał baryłkowaną pierś, której nie mogły zamaskować fałdy płaszcza z czarno-złotego brokatu, ale jego oblicze przypominało piękną rzeźbę ze starej kości słoniowej. Włosy diuka, ujęte na karku w złotą spinkę, przywodziły na myśl fale srebra, a oczy spoglądające spod pomarszczonych powiek miały głęboką barwę szafiru. Pół tuzina urodziwych twarzy, męskich i kobiecych, wyróżniało się w stłoczonym za nim orszaku.

Nie mniej imponująco prezentował się Quincel de Morhban, chudy wilk o bystrych szarych oczach. Pomimo machinacji rodu Szachrizaj, zachował władzę w Kuszecie i nie był człowiekiem, którym można się bawić – a Barquiel L'Envers właśnie to zrobił, prowadząc za jego plecami dochodzenie. Ludzie de Morhbana stali w swobodnych pozach, ale czujni jak on.

Barquiel L'Envers uśmiechnął się leniwie.

–Przepraszam za nieprawidłowość metod, Ysandro. Ale to jest sprawa wagi państwowej, a twój lord Marmion Szachrizaj tkwi w niej po same uszy. Zataił informacje o ucieczce Melisandy oraz miejscu jej pobytu, co ty... – ukłonił się drwiąco – postanowiłaś zignorować. Nie mogłem dowieść, że przyczynił się do ucieczki, ale udowodniłem, że jest współwinny śmierci swojej siostry, którego to przestępstwa ani jego ród, ani jego suwerenny diuk nie uznali za godne ścigania.

Rozległy się pomruki, kilkoro Szachrizaj wystąpiło do przodu. Diuk Faragon uniósł rękę i zaraz się uciszyli. Quincel de Morhban zmrużył oczy Stałam za plecami Nicoli, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Nie wiem, skąd Ysandra dowiedziała się o mojej wizycie w pałacu – nigdy nie należy lekceważyć sieci informatorów władcy na jego własnym terenie – ale kiedy przybyłam do komnat Nicoli, już czekał krótki rozkaz, że obie mamy uczestniczyć w posłuchaniu.

–Niczego nie zrobiłem! – oświadczył Marmion ze złością i przestąpił z nogi na nogę, aż zadzwoniły łańcuchy. – Nie masz żadnego dowodu, bo nie było czego dowodzić!

Barquiel L'Envers uniósł brwi i chłodno skinął głową na jednego ze strażników pałacowych. Gwardzista otworzył drzwi prywatnej sali audiencyjnej Ysandy i wprowadził pierwszego z licznych świadków.

Musiał być ich z tuzin, w tym strażnicy rodziny Szachrizaj, których wypytywali moi kawalerowie, ale także służące i kucharze, lokaje i stajenni oraz, co najważniejsze, śmiały młody kłusownik. Ladaco ów wypatrzył dwie osoby, które wybiegły z płonącego dworu i pospieszyły na zachód na koniach czekających w lesie. Ruszył ich tropem i po dwóch dniach trafił do posiadłości lorda Marmiona. Gdyby chodziło o coś innego, nie o bratobójczą sprawę, zażądałby nagrody za informacje, w tym przypadku jednak bał się wchodzić pomiędzy skłóconych Szachrizaj, którzy równie

dobrze mogli go nagrodzić, co powiesić za kłusownictwo. Nie mam pojęcia, jak Barquiel go znalazł.

Ysandra słuchała zeznań, przyjąwszy formalną pozę, z nieodgadzionym wyrazem twarzy. Za jej plecami stali dwaj bracia kasjelici, wyprostowali i nieruchomi, z rękami na sztyletach, niemal identyczni w popielatoszarych opończach. Stanowili stałe, niemal niedostrzegalne wyposażenie wnętrza, jak złożone kinkiety czy wykwintne gobeliny. Nic dziwnego, pomyślałam, że Bernard nie potrafił dokładnie ich opisać. Sama miałabym kłopot, gdybym musiała to zrobić.

Miałam czas na rozmyślanie o takich drobiazgach, bo na długo przed zakończeniem przesłuchania stało się jasne, że Marmion Szachrizaj jest winny. Po zeznaniu kłusownika ramiona mu opadły, łańcuchy zwisły luźno z nadgarstków. Spojrzałam na diuka de Szachrizaj i wyczytałam na jego twarzy nieubłagany wyrok.

Kiedy świadkowie skończyli składać zeznania, Ysandra przemówiła głosem chłodnym i wyważonym. Jeśli kiedyś lubiła Marmiona, jej ton o tym nie świadczył.

–Co masz do powiedzenia, lordzie Marmionie?

–Nie chciałem tego – rzekł z trudem, patrząc na nią z udręką w oczach. – Wysłałem ludzi, ale tylko na przeszukanie dworu! Kiedy zarządca wezwał strażę, wpadli w popłoch i uciekli, rzucając pochodnie. – Marmion Szachrizaj rozłożył dłonie, a temu gestowi towarzyszył szczęk okowów. – Nie chciałem wzniecać pożaru – wyszeptał.

Jeden po drugim, począwszy od diuka Faragona, Szachrizaj odwracali się do niego plecami. Zrobiło mi się trochę szkoda przerażonego Marmiona.

Twarz Ysandry nie zmienił się ani na jotę.

–A dlaczego, panie, mamy ci wierzyć, skoro ciągle nas okłamujesz? Znacznie łatwiej jest uwierzyć, że świadomie podłożyłaś ogień we dworze siostry, żeby nie zdradziła twojego współdziałania w ucieczce Melisandy. Oczywiście Persja nie żyje, nie może więc zarzucić ci kłamstwa.

–Nie! – Rozglądając się po komnacie, Marmion wybuchnął dzikim śmiechem. – Kto to? Któryś z was? Ty, Wasza Księżęca Mość? – Wskazał Barquiela L'Envers, dzwoniąc łańcuchami. – Zniszczyłeś mnie, to pewne jak sama śmierć! A może ty, mój panie? – Zaśmiał się

rozpaczliwie, gdy Quincel de Morhban uniósł brew. – Ufałem ci! Wydałem własną kuzynkę w twoje ręce za obietnicę nagrody za lojalność. Czy oboje z Persją wybraliście mnie na kozła ofiarnego? Czy od początku był to spisek w spisku?

To nie de Morhban, pomyślałam. Wydał Melisandę, żeby dowieść swojej lojalności,

ale nie walczył na polu bitwy. Z tego powodu Ysandra nie ufała mu do końca, garnizon w Troyes-le-Mont też nie. Wartownik przy tylnej bramie zatrzymałby Quincela de Morhban, nie bacząc na jego godność.

W trakcie tych rozmyślań zdałam sobie sprawę, że Marmion wyłowił mnie spojrzeniem z tłumu.

–A może ty? – rzekł łagodnie. – Jak wysoko się wspięłaś, hrabino! Pomyśleć tylko, że niedawno byłaś tylko zbiegłą służką skazaną za zamordowanie swojego pana. Teraz gmin kłania ci się na ulicach, wielmoża ubiegają się o twoje względy, a ty prowadzisz jawne konszachty z potomkiem rodu Stregazza. Ja jednak nie zapomniałem, że byłaś marionetką w rękach Melisandy.

–Dość. – Ysandra nie uniosła głowy, ale ton rozkazu uciszył go jak uderzenie młotem. – Twierdzisz zatem, lordzie Marmionie, że twoja siostra Persja spiskowała z nieznanym współnikiem, żeby zorganizować ucieczkę Melisandy Szachrizaj z Troyes-le-Mont.

–Tak – odparł ponuro. – Tyle mi powiedziała, i że zapłacę głową, jeśli szepnę o tym słowo bliżej niż pięćdziesiąt mil od tronu.

–A ty chciałeś znaleźć dowód w jej domu?

Marmion oblizał usta.

–Ze wschodu przybył kurier. Miał liberię bez herbów, ale... ale chłopiec stajenny, który przyniósł mi informacje w zamian za srebro, widział insygnia Stregazza na sakwach. Pomyślałem, że jeśli zdołam się czegoś dowiedzieć... – Zaniósł się śmiechem, który śmiechem nie był, i lzy stanęły mu w oczach, gdy uniósł skute rękę. – Nie przypuszczałem, że skończy się w ten sposób, Ysandro!

Patrzyła na niego bez skrpułów, bez śladu współczucia.

–Powinieneś był nam powiedzieć, lordzie Marmionie. Zapewnilibyśmy ci ochronę.

–Doprawdy? – szepnął. – Przed kim?

Na to Ysandra nie miała odpowiedzi.

–Wasza Księżęca Mość – zwróciła się do Quincela de Morhban. – Jestem usatysfakcjonowana przyznaniem się lorda Marmiona do tajenia dowodów w sprawie wagi państwowej. Rozsądzanie podpalenia wiodącego do śmierci leży w gestii kuszelickiego wymiaru sprawiedliwości, przekazujemy więc winnego twojej jurysdykcji.

–Wasza Wysokość. – Quincel de Morhban złożył ukłon królowej i przemówił do diuka Faragona: – Wasza Księżęca Mość, przestępstwo popełniono w dobrach rodziny Szachrizaj. Jeśli sobie życzysz, oddam cię w areszt lorda Marmiona.

Srebrzystoszare włosy zafalowały, gdy Faragon de Szachrizaj potrząsnął głową, nie patrząc na krewniaka.

–Od dzisiejszego dnia on nie należy do mojego rodu – rzekł niskim głosem. – Wydadź wyrok, jaki uznasz za stosowny, kuzynie.

–Dobrze. – Ojuincel de Morhban zaczerpnął tchu i formalnym tonem orzekł: – Marmionie z Kuszetu, za zbrodnię podpalenia ze skutkiem śmiertelnym zostaniesz pozbawiony tytułu i włości. Twój majątek zostanie sprzedany, a zyski rozdzielone pośród tych, którzy uszli z życiem z pożogi, oraz rodzinom zmarłych. – Po chwili podjął odmiennym tonem: – Nie wiem, czy wysłałeś ludzi, żeby rozmyślnie podpalili dwór. Nie sądzę, żebyś mógł wezwać ich w celu złożenia zeznania na twoją korzyść.

Marmion pokręcił głową. W oczach miał pustkę.

–Odprawiłem ich z przykazaniem, że nie chcę ich więcej widzieć.

–Ja zatem zrobię to samo. – Quincel de Morhban wygłosił ostateczny wyrok: – Wygnanie.

Na znak Ysandry kapitan straży wyjął klucz i rozpiął kajdany Marmiona. Nikt się nie odezwał. Marmion stał samotnie pośrodku komnaty, pocierając otarte przeguby. Gwardziści utworzyli szpaler wiodący do drzwi, dając mu do zrozumienia, że powinien wyjść. Po chwili skazaniec parsknął cichym, rozpaczliwym śmiechem, a ja pomyślałam, że nigdy nie widziałam bardziej osamotnionego człowieka wśród tłumu. Odwrócił się do Ysandry i złożył ukłon. Ona lekko skinęła głową i Marmion odszedł, eskortowany przez dwóch strażników. Mieli dopilnować, żeby opuścił mury Miasta.

Poza bramą będzie zdany wyłącznie na siebie. Popatrzyłam na Barquiela L'Envers, niedbale wspartego o kolumnę, i na pełne nienawiści twarze Szachrizaj. Nie przypuszczałam, by Marmiona Szachrizaj czekało długie życie.

Ysandra zwróciła niewzruszone spojrzenie na diuka L'Envers.

–Wciąż jestem zła na ciebie – powiedziała, porzucając formę pluralis majestis. – I na ciebie. – Fioletowe oczy spojrzały w moją stronę. – Chcę z tobą pomówić, Fedro.

DWADZIEŚCIA TRZY

Długo czekałam na przyjęcie przez królową, przez cały czas wyobrażając sobie najokropniejsze rzeczy, przy czym najważniejszą pośród nich było to, że Ysandra wzięła do serca oskarżenia rzucone przez Marmiona Szachrizaj. Istotnie mogło tak być, skoro kazała mi czekać w antykamerze tylko z kamerdynerem do towarzystwa. Nerwowe czekanie rozwiązuje języki, tyle wiedziałam z nauk Delaunaya.

Wreszcie przyszedł jeden z jej kasjelitów i zabrał mnie nie do salonu, w którym zwykle przyjmowała, lecz do galerii zwanej Salą Portretową. Minęłam długi szereg podobizn antenatów królowej, a ją samą znalazłam przed niewielkim portretem wiszącym w bocznej niszy, w pobliżu konterfektów jej rodziców, księcia Rolanda i księżnej Izabeli.

–Była śliczna, prawda? – zapytała Ysandra z roztargnieniem, nie zwracając uwagi na mój ukłon.

–Tak, Wasza Królewska Mość. – Wciąż zaniepokojona, spojrzałam na portret młodej kobiety o miłych brązowych oczach i łagodnym uśmiechu. z bujnymi kasztanowymi włosami ujętymi na karku w siateczkę z perłami. – Kto to?

–Edmee de Rocaille. Miała poślubić mojego ojca. – Ysandra musnęła palcem mosiężną tabliczkę z nazwiskiem na dole ramy. – Wyobraź sobie – podjęła z zadumą – że wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby to zrobiła. Ja nie przyszedłabym na świat, a Anafiel Delaunay stałby po lewicy mojego ojca jako oficjalny kochanek. Nie prowadziłybyśmy tej rozmowy, Fedro.

–Twój ojciec poległby w Bitwie Trzech Książąt. A Skaldia wydałaby Waldemara Seliga i po raz pierwszy zjednoczyła się pod przewodem myślącego przywódcy.

–Możliwe. – Ysandra spojrzała mi w oczy. – Moja matka była winna jej śmierci, wiesz.

–Wiem. – Mimo woli przeniosłam spojrzenie na portret Izabeli L'Envers de la Courcel, jasnowłosej piękności o fiołkowych oczach córki i chytrych ustach swojego brata Barquiela. Nacięty popręg, wypadek na polowaniu. Ysandra była podobna do niej znacznie bardziej niż do ojca.

–A teraz pozwoliłam, żeby Marmion Szachrizaj został wysłany na śmierć – mruknęła Ysandra. – Nie postawiłabym figi na jego życie. A ty, prawie kuzynko? – Popatrzyła na mnie, ja zaś powoli pokręciłam głową. Westchnęła. – Jeśli umrze, a ja poznam sprawcę, będę musiała wymierzyć sprawiedliwość, co spowoduje kolejne krwawe porachunki. To nigdy się nie kończy. Jak na ironię, Marmion był lojalny na swój sposób. Strach zamknął mu usta.

–Zrobił, co zrobił – powiedziałam automatycznie. – Ani lojalność, ani strach nie mają nic do rzeczy.

–Wiem – weszła mi niecierpliwie w słowo Ysandra. – Eluo! Czy myślisz, że chciałam władać w taki sposób? Nikt nie ma wyboru, kiedy prawo jest jasne. Ale uważam, że Marmion

powiedział prawdę, Fedro. Nie jestem ani głupia, ani ślepa. Czy Persja Szachrizaj pomogła Melisandzie w ucieczce?

Pokiwałam głową.

–Dobrze. – Jej głos stwardniał. – Czy miała sprzymierzeńca?

Znów potwierdziłam w milczeniu.

–Wiesz, kto to był?

Pokręciłam głową.

–Nie – szepnęłam.

–Ja też nie. – Ysandra zaśmiała się i przycisnęła rękę do oczu. – Marmion zawsze podejrzewał ciebie, ale nie było go tutaj, kiedy mój dziadek leżał na łożu śmierci, a ty z na wpół szalonym kasjelita przybyłaś ze Skaldii, żeby przekazać mi wieści gorsze, niż mogłabym wyśnić w najmroczniejszym koszmarze. Postawiłam wszystko na twoje słowo, Fedro, i nagrodziłam cię, posyłając w jeszcze większe tarapaty. Chcę, bardzo chcę ci ufać, a jednak się boję.

Padłam na kolana i ze łzami w oczach zapewniłam ją o swojej wierności. Ledwo pamiętam, co powiedziałam; nie wszystko, ale znacznie więcej, niż zamierzałam. Ysandra słuchała i stopniowo spokój wygładzał jej rysy.

–Powinnaś była mi powiedzieć. – To samo rzekła do Marmiona. Zapewne miała rację w obu przypadkach. – Dlaczego powiedziałaś mojemu wujowi? Sądziłam, że Barquiel L'Envers i domownicy Anafiela Delaunaya nie darzą się zbytnią miłością.

–On już wiedział swoje – szepnęłam. – Nicola podejrzewała, że Marmion jest odpowiedzialny za śmierć siostry. Barquiel prowadzi ze mną jakąś grę i byłam ciekawa, co zrobi. Nie sądziłam, że akurat... to.

–Z tego, co mi wiadomo – zaczęła Ysandra z zadumą – rozkazał zamordować Dominika Stregazza w oparciu o podejrzenie, że zabił moją matkę. Nie jest człowiekiem powściągliwym. Jaka rola przypadła mojej kuzynce Nicoli?

–Niewielka. – Pokręciłam głową, przysiadając na piętach. – Diuk wykorzystuje ją tak, jak Delaunay wykorzystywał Alcuina i mnie, tylko że ona robi to dla zabawy, pieniędzy i mocnych wrażeń. Nie sądzę, żeby Marmion o tym wiedział.

–Ufasz jej?

Wzruszyłam ramionami.

–Ufam, że w tym przypadku nie chodzi o nic więcej.

–A mojemu wujowi? – Kiedy nie odpowiedziałam, Ysandra obrzuciła mnie twardym spojrzeniem. – Podejrzewasz go, prawda?

–Pani. – Rozłożyłam ręce. – Barquiel L'Envers twierdzi, że chroni twoje interesy, a ja zawdzięczam mu życie. Melisandzie jednak dopomógł ktoś, komu wszyscy ufaliśmy. – W pewnym oddaleniu, lecz nie poza zasięgiem słuchu, stali kasjelici w znajomych pozach, z rękami skrzyżowanymi nad rękojeściami sztyletów, z obojętnymi twarzami. Chciałam dodać coś więcej,

ale zmieniłam zamiar.

–Dlaczego? – zapytała Ysandra z frustracją w głosie, patrząc na portrety. Roland, Izabela, Ganelon, Benedykt, Lyonetta... Ród Courcel i jego burzliwe dzieje, a z boku Edmee de Rocaille, która została w nie uwikłań i zmarła z ich powodu. Podobnie jak mój pan Anafiel Delaunay, który na przekór wszystkiemu pozostał wierny danemu słowu. Ysandra miała rację. To nigdy się nie kończy. – Dlaczego ktoś, kto narażał życie, ratując królestwo, miałby zaryzykować wszystko, żeby je zdradzić?

Usłyszałam płynący z pamięci głos markizy Solaine Belfours: „Jeśli myślisz, że wszystkie sekrety Lyonetty de Trevalion umarły wraz z nią, to jesteś dwa razy głupsza niż sądziłam”.

Sprofanowana księga w królewskim archiwum, dokumenty przeglądane przez nieznaną oczy. Obciążające listy, napisane do Lyonetty de la Courcel de Trevalion. Listy dostarczone przez Melisandę Szachrizaj. Czy Melisanda kiedykolwiek zagrała wszystkimi kartami? Nigdy, pomyślałam. Melisanda coś zataiła, i cokolwiek to było, wystarczyło do szantażu.

Im więcej się dowiadywałam, tym mniej wiedziałam.

Na końcu galerii otworzyły się drzwi.

–Wasza Wysokość! – Kapitan straży ukłonił się w wejściu. – Wybacz, że przeszkadzam, ale uznałem, że chciałabyś wiedzieć. Przybyli jeźdźcy z Azalii. Na wodach Cieśniny widać okręt flagowy cruarchy Alby.

–Drustan! – szepnęła Ysandra z przejęciem. Od razu pojaśniała, a żar zapłonął w jej fiołkowych oczach. Przez chwilę wcale nie wyglądała jak królowa, tylko jak młoda, zakochana D'Angelina. – Dzięki niech będą Błogosławionemu Elui. – Zapomniawszy o intrydze, popatrzyła na mnie ze zdziwieniem. – Fedro, na litość Elui, dlaczego klęczysz?

Sama nie byłam pewna.

–Proszę o wybaczenie?

–Na litość Elui. – Popatrzyła na mnie uważnie. – Dobrze, Fedro. Pragnę szczerości, nie przeprosin. Zawieź mnie, a uznam, że źle ulokowałam zaufanie. Teraz wstań i pomóż mi zaplanować powitanie króla. W tym czasie możesz mi opowiedzieć – dodała surowym tonem – o konszachtach z tym młodym Stregazza.

–Tak, pani – mruknęłam, podnosząc się płynnym ruchem ćwiczonym przez wszystkich przyszłych adeptów Dworu Nocy. Zerknęłam z powątpiewaniem na kasjelickich strażników. – Jak sobie życzysz.

Później robiłam, co w mojej mocy, żeby uniknąć jej pytań. Nie było to trudne, bo rozpraszała ją wiadomość o rychłym przybyciu Drustana. Ysandra nie zapomniała – niewiele umykało jej uwagi, a jeszcze mniej pamięci – ale z chęcią odłożyła tę sprawę na jakiś czas. Nic dziwnego, bo przecież miała za sobą trudną drogę do tronu, a korona ciążyła na jej głowie. I każdemu, kto mógłby sądzić, że Ysandra nie dbała o swojego piktyjskiego pana, powiem tylko tyle, że pałac nigdy nie zaznał takiego pucowania, jak na jego przyjęcie.

W tych dniach byłam bardzo potrzebna jako tłumaczka, bo ku czci Drustana miały zostać wystawione liczne przedstawienia, po d'Angelińsku i w cruithne. Po długich zimowych miesiącach zmagania się z habiru z przyjemnością mówiłam w języku, który dobrze znałam.

Ysandra zaplanowała pochód, mający się zacząć całe pięć mil przed bramami Miasta, i przydzieliła mnie do grona odpowiedzialnego za przy. gotowania. Przejęty mistrz ceremonii osobiście kierował wznoszeniem sosnowych łuków nad traktem. Moje zadanie było łatwiejsze i miałam Nicole L'Envers do pomocy. Jechaliśmy w towarzystwie gwardzystów, którzy dźwigali wielką torbę monet. Nicola rozdawała srebrne centymy dzieciom i młodzieży, przykazując, że mają nazrywać kwiatów do rzucania Drustanowi pod nogi, ja zaś uczyłam ich wołać: „Długiego życia cruarsze Alby!” w języku cruithne. Przyznam, że miałyśmy zabawy co niemiara i dzień minął na śmiechu.

Mimo to spałam niespokojnie, nękana przez koszmary, które stały się bardziej natrętne po wypędzeniu Marmiona Szachrizaj. Aby oderwać myśli od takich spraw,

przystałam na spotkanie z Dianną i Apollonarym de Fhirze, bo tej parze nie umykało nic, co działo się na dworze i w mieście. Mówili głównie o przybyciu Drustana mab Necthana, w tych dniach ta sprawa była na językach wszystkich. Ale słyszeli też inne rzeczy.

–Wieść niesie, że Tabor Szachrizaj zaprzysiął krwawą zemstę na Marmionie za śmierć Persji – powiedział Apollonary leniwie, okręcając na palcu kosmyk moich włosów. – Podobno nasz Marmion opuścił w pośpiechu mury Miasta i rzucił się do ucieczki. Niektórzy mówią, że na południe – dodał, patrząc na mnie – w kierunku Aragonii. Oczywiście inni z równym przekonaniem twierdzą, że pociągnął prosto na wschód, w stronę Kamlachu i Niewybaczonych. Słyszałem, że myśliwskie oddziały Szachrizaj wyruszyły obydwoma trasami. Jak myślisz, słodka Fedro? Czy nasz piękny lord Marmion sprawił kuzynce Nicoli przyjemność wystarczająco dużą, żeby zaproponowała mu azyl w Aragonii?

–Nie mam pojęcia – wyznałam szczerze.

–Och, przypuszczam, że Fedra ma inne rzeczy na głowie – powiedziała Dianna wesoło i dla czystej zabawy strzeliła z batoga, żeby zobaczyć, jak się wzdrygam. – Przygotowania do powitania cruarchy i tak dalej. Nie wspominając o jezuitskich awanturach. Słyszałam, że widuje się z nimi twojego kasjelitę. – Przyjrzała się końcówce bykowca. – Wybuchła bójka na obrzeżach Progu Nocy, zginął jezuitski chłopiec nie więcej niż szesnastoletni. Zabił go baron de Brenois. Podobno, udał się do świątyni Kusziela, żeby to odpokutować. – Znowu strzeliła z bata, a ja niemal wyskoczyłam ze skóry. – Co robią uzbrojeni Jesuici w Progu Nocy? Niech idą na północ, jeśli tego chce ich prorocstwo! Dlaczego sprawiają kłopoty tutaj?

Nie odpowiedziałam, choć mogłam. Wypróbowywali swoją broń i odwagę, utwierdzając się w przekonaniu o d'Angelińskiej niegodziwości, podsycając determinację niezbędną do oderwania się od jezuitskiej wspólnoty. Podsycając determinację – i na siłę szukając powodu.

I ci ludzie zabiegali o Joscelina.

To martwiło mnie na tyle, że ośmieliłam się poruszyć temat z Nahumem ben Izaakiem, kiedy przysłał po mnie nazajutrz. Czytaliśmy ustępy Melacbim, Księgi Królów, a potem rabbi przytoczył mi opowieść o zaczarowanym pierścieniu, za pomocą którego król Szalomon zmusił demona Aszmedaja do zbudowania świątyni. Słowo, pierścień – rzeczy dość potężne, żeby naginać wolę. Gdzieś musi być klucz do uwolnienia Hiacynta, pomyślałam. Na razie mam tylko opowieść. Kiedy rabbi skończył, z szacunkiem przemówiłam w habiru:

–Słyszałam, mistrzu, że zginął chłopiec.

On westchnął ciężko.

–Jeszua płacze.

–Przykro mi.

Nahum ben Izaak pieczołowicie zwinął zwój, z którego czytaliśmy, i schował go w szafie.

–Należysz do dAngelińskiej arystokracji, prawda? Czy chcą dochodzić na nas sprawiedliwości?

–Nie. – Pokręciłam głową. – Tę była kłótnia, baron de Brenois został sprowokowany i zareagował bez namysłu. Jest winny, choć nie w oczach prawa. Chłopiec pierwszy wyciągnął broń. Odpokutował za to – dodałam, mając na myśli barona.

–Tym niedorostkom to nie wystarczy. – Rabbi opuścił głowę, wsparł szczękę na pięści. – Są pełni entuzjazmu i strachu. Umyślnie podsycają swój gniew, żeby wyzbyć się lęku i nabrać śmiałości do rozdarcia naszej nacji. Dzieci Yisraela przetrwały dwa tysiące lat jako jeden naród. – Jego głęboko osadzone oczy patrzyły w dal. – Boję się o duszę mojego ludu, sługo Naamy. Mamy krew na rękach, pradawną krew. Jeszua ben Josef kazał nam schować miecze, nadstawiać policzki i czekać na jego powrót. Teraz te dzieci, te popędliwe dzieciaki chcą wyciąć stałą miejsce, w którym będą na niego czekać. To nie jest dobre.

–Nie – mruknęłam. – Mistrzu, mówisz, że pokuta barona nie jest wystarczająca. Czy obwiniają nas za śmierć chłopca?

–Wasza d'Angelińska duma, wasza arogancja, wasze bezceństwa... – Nahum ben Izaak popatrzył na mnie z powagą. – Tak, sługo Naarny, winią was. A jednak ty... – Zaśmiał się niewesoło. – Mnie nie chcą słuchać, ty zaś przyszedłeś na moje wezwanie, by siąść u mych stóp, poznawać Tanach i marzyć o wyzwoleniu swojego przyjaciela. Wiem, co robisz z klientami, którym służysz... Wiem o tym. Słyszymy o takich rzeczach, nawet w jeszuickich domach. To dla mnie wstrętne, a jednak... – Położył sękatą rękę na moim policzku. – Jesteś dobrym dzieckiem, Fedro nó Delaunay, i dobrym uczniem. Jestem z ciebie dumny.

Nikt tak do mnie nie mówił od śmierci Delaunaya.

–Dziękuję, mistrzu – szepnęłam, przytulając się do jego ręki. – Nie chciałam cię zasmucić.

Rabbi schował dłonie w rękawy i ze smutkiem uśmiechnął się w gąszczu brody. Wydawał się taki stary, taki bliski śmierci.

–Ach, może nawet Adonai mówi to samo, kiedy myśli o swoim zbłąkanym potomku Elui. Nie wiem, sługo Naamy. Ale czuję strach w sercu, kiedy rozmyślam o losie mojego ludu. Jeśli twoja królowa zechce wysłuchać mądrego słowa, doradź jej powściągliwość. Oni są tylko dziećmi, które wyciągnęły miecze.

–Zrobię to. – Wstałam i ukloniłam się.

Wciąż siedząc, rabbi popatrzył na mnie.

–Twój... twój kasjelita, wyznawca Apostaty. – Odchrząknął. – Już nie przychodzi, żeby siadać u moich stóp i słuchać nauk Jezui. Kiedy tu zagląda, to słucha innych, dzieci oręża. – Jego oczy pociemniały z żalu. – To prawda, co mu mówią. Zostało przepowiedziane, że jeśli Kasjel się nawróci, Towarzysze Elui podążą w ślad za nim. Ale ani trochę nie wierzę, by miecze mogły przyspieszyć spełnienie proroctwa.

–Nie. – Z trudem przełknęłam ślinę i zmusiłam się do zapytania: – Rabbi... czy Joscelin brał udział we wczorajszym wieczornym zajiściu?

–Nie. – Popatrzył na mnie ze współczuciem. – Nie tym razem. Ale następnym... kto wie? Jeśli go kochasz, posłuchaj mojej rady i weź go za męża.

Mogłabym wtedy roześmiać się lub zapłakać, ale tylko mu podziękowałam i odeszłam.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Dzień był prześliczny, kiedy Drustan mab Necthana wjechał do Miasta Elui.

Ysandra czekała na niego przed bramą, a ja byłam w ogromnym komitecie powitalnym. Powiewały wszystkie sztandary Terre d'Ange, najwyżej złota lilia w wieńcu siedmiu gwiazd na zielonym polu, co symbolizowało Błogosławionego Eluę i jego Towarzyszy. Niżej łopotały obok siebie srebrny łabędź rodziny Courcel i czarny dzik Cullach Gorrym, plemienia Drustana, najstarszych dzieci Alby.

Zobaczyliśmy przybyszów z daleka i usłyszeliśmy wiwaty. Otaczała ich straż honorowa złożona z d'Angelińskich żołnierzy bez hełmów, z wieńcami z fiołków i irysów na głowach, a wyszkolone do parad wierzchowce tańczyły i wyginały szyje przyozdobione wplecionymi w grzywy fiołkami. W pochodzie nie brakowało albijskich rydwanów, pokrytych złożonymi ornamentami i lśniących w słońcu, powożonych przez mężczyzn i kobiety.

Na czele jechał Drustan na karym rumaku.

Miał wszystkie insygnia cruarchy Alby: szkarłatny płaszcz, który spływał na zad wierzchowca, oraz złoty naszyjnik i złotą opaskę na prostych, czarnych włosach. Misterne spirale z niebieskiego urzetu zdobiły jego twarz i oplatały nagie brązowe ramiona. Wszystko świadczyło o tym, że Drustan mab Necthana jest Cruithnem, których uczeni zwą Piktami i uważają za barbarzyńców.

Słyszałam nieprzyjazne pomruki wśród zgromadzonych wielmożów. Ale wzdłuż drogi D'Angelinowie rzucali wiosenne kwiaty i zdzierali sobie gardła, wyrażając uwielbienie, bo Drustan mab Necthana sprowadził armię Cruithnów na pomoc, podczas gdy cywilizowani mieszkańcy Caerdicca Unitas nie wysłali nawet poselstwa w nasze granice. I poślubił królową Ysandrę de la Courcel, która go kochała.

Czekaliśmy, podczas gdy albijski pochód zmierzał do bramy, a tłum milkł stopniowo. Ysandra, wysoka i smukła, stała w barwach rodu Courcel, otoczona przez gwardię pałacową. Drustan siedział bez ruchu na karym rumaku. Albijczycy pochylili sztandary, gdy król i królowa popatrzyli na siebie z uczuciem.

Otwierając ramiona, Ysandra pierwsza przerwała milczenie.

–Witaj, panie! – zawołała lekko rwącym się głosem. Ryk fanfar wzbił się w niebo, a Drustan mab Necthana roześmiał się jak chłopiec, zeskoczył z wierzchowca i wziął Ysandrę w ramiona. Krzyknęliśmy na wiwat, gdy się całowali, a zgromadzone tłumy podjęły okrzyk. Modliłam się, żeby łzy w moich oczach i ściskanie w gardle były wyrazem radości, nie zazdrości.

W następnych dniach odbywały się uczty i uroczystości mogące zadowolić nawet największego grymaśnika. W tym czasie służba Naamie nie wchodziła w rachubę, bo musiałam stawiać się w pałacu na każde skinienie Ysandry i miałam roboty za dwóch. Tłumaczy wprowadzie przybyło od czasu królewskich zaślubin, ale ponieważ Drustan sprowadził dwie setki

Cruithnów, zapotrzebowanie na moje usługi wcale nie zmalało.

Witając się z Drustanem, z zaskoczeniem stwierdziłam, że jego widok sprawia mi wielką radość. Spojrzeliśmy na siebie z dawnym zrozumieniem. Oczy w wytatuowanej twarzy miał ciemne i spokojne jak jego siostra i matka, które w snach widywały prawdziwe zdarzenia. Oboje uśmiechnęliśmy się lekko, potem on ujął moje ręce, a ja pocałowałam go na powitanie. Rozległy się szepty, ale spokój Ysandry szybko je uciszył. Kiedy Drustan przywitał Joscelina jak brata, po raz pierwszy od wielu dni ujrzałam uśmiech kasjelity.

Z powodu nawału zajęć miałam niewiele czasu, żeby porozmawiać z Drustanem mab Necthana, co denerwowało mnie i smuciło. Doszło do tego, że zatęskniłam za tymi strasznymi dniami, kiedy on był osamotnionym, zdetronizowanym władcą, a ja wystraszoną emisariuszką znękaną królowej, zupełnie nieodpowiednią do tej roli. Nie przypuszczałam, że będę miło wspominać ten okres – a jednak. Wówczas miałam wokół siebie przyjaciół i towarzyszy, nie meandry dworskiej polityki i złowieszczych intryg.

Miałam Hiacynta... i Joscelina. Jednego straciłam, drugi odchodził.

W nocy wciąż powracały koszmary. Budziłam się zrana zimnym potem i nic z nich nie pamiętałam.

W pałacu uczestniczyłam w przyjęciach i obserwowałam osoby, które podejrzewałam. Barquiel L'Envers, Gaspar Trevalion, Percy i Ghislain de Somerville nie odstępowali Drustana. Czasami rozmawiali z nim jak z towarzyszem broni, kiedy indziej jak z cruarchą Alby, próbując go wybadać w sprawach handlowych i rozpoznać hierarchię jego dworzan, aby znaleźć wśród nich sprzymierzeńców. Drustan radził sobie nadzwyczaj dobrze, skrywając chłodny intelekt za urzędowymi tatuażami i kulawym d'Angelińskim. Wielmożni panowie prowadzili swoją grę, nie bacząc na przysłuchującą się im Ysandrę, ani na jej niewzruszonych kasjelickich strażników. Obserwowałam ich wszystkich i na twarzach tych ostatnich ani razu nie dostrzegłam choćby cienia zainteresowania. To jednak nie uśmierzyło moich obaw.

Moje próby odkopania pogrzebanych tajemnic Lyonetty de Trevalion skończyły się fiaskiem.

Drustan zwrócił uwagę na mój stan, gdy usłyszał, jak zacynam się podczas prostego

tłumaczenia dla jednego z poruczników, wysoko urodzonego pana z plemienia Cullach Gorrym. Po kolacji odprowadził mnie na bok.

–Fedro, wyglądasz niezdrowo. – Jego głos zdradzał zatroskanie. – Może Ysandra wymaga od ciebie zbyt wiele?

Mówił po d'Angelińsku, choć mój cruithne był lepszy. Szczera życzliwość przywiodła lzy do moich oczu i zagryzłam usta, broniąc się przed płaczem.

–Nie, panie – odparłam, kiedy zyskałam pewność, że głos mi nie zdrzży. – Trapią mnie złe sny, to wszystko. Nie śpiam zbyt dobrze.

Drustan lekko zmarszczył czoło, przedzielone liniami niebieskich kropek.

–Breidaja chciała przybyć ze mną, ale kazałem jej zostać. Szkoda, bo ona umie tłumaczyć sny.

–Pamiętam – szepnęłam. Jego najstarsza siostra śniła o Hiacyncie na wyspie. Moireada, najmłodsza, nie żyła – została zabita w bitwie pod Bryn Gorrydum. Przez chwilę rozpamiętywałam to w milczeniu. Zadrzałam lekko. – To nie ma znaczenia, panie. Nie pamiętam, o czym śnię.

–W Terre d'Ange nie macie lekarzy snów?

–Nie – odparłam odruchowo i roześmiałam się. – Mamy, w istocie, ale nie przyszło mi na myśl, żeby u nich szukać pomocy.

–Twoje śpiące ja pragnie powiedzieć ci coś, czego nie usłyszą czuwające uszy. – Ton Drustana brzmiał poważnie. – Powinnaś pójść do nich.

–Pomyślę o tym.

Wcale jednak nie myślałam i zbyłam jego radę, a w nocy znów zbudziłam się z walącym sercem oraz pustką w głowie.

Wysłałam Ti-Filipa do pałacu, żeby powiadomił Ysandrę, że jestem chora, a sama udałam się do Domu Gencjany.

Chociaż wychowałam się w Dworze Nocy, ze wszystkich Trzynastu Domów Gencjanę znałam najmniej. Wśród jej adeptów przeważają mistycy i wizjonerzy, przy czym wielu z nich po zrobieniu marki zostaje kapłanami Elui. W istocie, kapłan, który nauczał mnie w dzieciństwie, był dawnym adeptem Gencjany. Aż do tej chwili nie wiedziałam, czego potrzebują klienci wchodzący w progi tego Domu.

Fortun popatrzył na mnie koso, gdy stanęliśmy na Mont Nuit przed bramą z

delikatnym mosiężnym reliefem, wyobrażającym kwiat gencjany na tle księżycy w pełni.

–Jesteś pewna, pani? – zapytał z powątpiewaniem. Nie miałam mu tego za złe. – To naprawdę bardzo dziwne, gdy jedna z największych kurtyzan królestwa szuka pociechy w Dworze Nocy.

–Tak. – Chłód obecny w wiosennym podmuchu sprawił, że z drżeniem objęłam się rękami. Koszmary nasiliły się od dnia wypędzenia Marmiona. Już nie pamiętałam, kiedy ostatni raz przespałam całą noc. – Drustan ma rację. Dłużej nie wytrzymam.

–Jak sobie życzysz. – Fortun ukłonił się i zapukał do drzwi.

Spotkałam się z duejnym, wysokim mężczyzną o siwiejących włosach i oczach zielonych jak liście. Miał nawyk spoglądania kątem oka, jakby w ten sposób dostrzegał więcej niż patrząc na wprost.

–Hrabina Fedra nó Delaunay de Montreve. – Wyrecytował moje pełne nazwisko i tytuł melodyjnym głosem, bez śladu zdziwienia. – Dom Gencjany jest zaszczycony wizytą poważanej sługi Naamy. Co mogę dla ciebie zrobić?

Opowiedziałam mu o koszmarach, podczas gdy on patrzył na wpadający przez okno skośny

snop słonecznego światła.

–Możesz mi pomóc? – zapytałam.

–Tak. – Spojrzał na mnie, zwracając twarz ku światłu. – Adepci Domu Gencjany umieją pomagać klientom, ubierając w słowa i tłumacząc ich nocne widzenia. Jaki adept najbardziej ci odpowiada? Wybiorę zgodnie z twoim życzeniem.

Zamrugalam, zaskoczona, bo tego nie przewidziałam.

–To nieistotne. Sługi Naamy nie mają upodobań – odparłam z nikłym uśmiechem.

–Každy klient ma upodobania. – Oderwał wzrok od słońca i popatrzył na mnie bez uśmiechu. – Kobieta czy mężczyzna, włosy jasne czy ciemne, osoba młoda czy bardziej dojrzała?

Pokręciłam głową.

–Panie, młoda brunetka nie sprawi mi większej przyjemności niż starszy blondyn. Znam wszystkie kombinacje. Przyszłam tu z powodu snów. Wybierz osobę, którą uważasz za najlepszą.

–Dobrze. – Duejn podszedł do drzwi i powiedział coś do ucznia. Chłopak niebawem powrócił z młodym mężczyzną.

Wszyscy adepci Dworu Nocy są piękni i Rafael Murain nó Gencjana nie stanowił wyjątku. Był mniej więcej w moim wieku, miał szare oczy ocienione długimi rzęsami i proste popielato-brązowe włosy spadające niemal do pasa. Uśmiechnął się do mnie ze słodyczą, która przywiodła mi na myśl Alcuina, i lzy zapiekły mnie pod powiekami. Z powodu niedostatku snu stałam się płaczliwa.

–Czy on cię zadowala? – zapytał duejn, patrząc na mnie z ukosa.

–Tak – mruknęłam.

Rafael Murrain uklonił się, a lśniące włosy przesunęły się mu po ramionach. Chwycił moje ręce i złożył na nich pocałunek. Na palcach poczułam jego oddech, ciepły wyraz zadowolenia z mojej akceptacji.

Szkolenie w Dworze Nocy jest bardzo skuteczne.

Duejn powiedział mu o moich koszmarach, o pragnieniu uwolnienia się od nich i zrozumienia ich znaczenia. Rafael wysłuchał z uwagą, po czym skierował spojrzenie na mnie.

–Jest konieczne, pani, abyś spędziła noc w Domu Gencjany – rzekł cicho. – Takie sny przychodzą nie na zawołanie, lecz zgodnie z własną naturą. Muszę spać obok ciebie i oddychać powietrzem twoich snów. Czy godzisz się na to?

–Powiadomisz mojego człowieka? – zapytałam duejna.

Pokiwał głową.

–Może czekać w kwaterach dla służby albo odejść i wrócić rano. Wybór należy do ciebie.

–Kaź mu wrócić rano. – Odetchnęłam głęboko i zwróciłam się do Rafaela Muraina: – Oddaję się w twoje ręce.

Rafael uklonił się, poważny jak kapłan.

Podpisałam kontrakt i poczyniłam przygotowania do zapłaty należności, a potem zaprowadzono mnie do łaźni. We Dworze Nocy nie przyspiesza się przyjemności. Rozkoszowałam się gorącą wodą i zabiegami zręcznego czeladnika, podczas gdy dwoje muzyków grało cicho na harfie i flecie. Po kąpieli odziano mnie w szatę z ciężkiego jedwabiu i podano lekki posiłek z winem. Usłyszałam szeptaną rozmowę za drzwiami, a zaraz potem dołączył do mnie Rafael Murain. Dwoje uczniów zatańczyło

dla naszej przyjemności, chłopiec i dziewczyna, mający nie więcej niż po piętnaście lat i odziani w zwiewną gazę.

–To część ich szkolenia – powiedział Rafael łagodnie, z błyskiem rozbawienia w szarych oczach. – Ale są zdenerwowani, jak myślę, występem dla Fedry nó Delaunay.

–A ty nie? – zapytałam trochę przekornie. Z uśmiechem pokręcił głową. Nie wiedzieć czemu polubiłam go bardziej.

Czułam się dziwnie jako klientka Dworu Nocy i na początku byłam bardzo skrępowana. Ja, która w jednej chwili naginałam swoją wolę do pragnień klienta, nie umiałam korzystać z oferowanych przyjemności. Rafael spojrzął na mnie, przekrzywiając głowę. Skinął na czeladnika i cichym, ale rozkazującym głosem wydał polecenie. Wziął mnie za rękę i zaprowadził do swojego pokoju. Światło lampy pełgało po aksamitnej kapie i załamywało się na jedwabnych kotarach, które miały stonowane barwy. W kącie siedział chłopiec grający na lirze, a przy łóżku klęczała w postawie abeyante młoda adeptka, zajęta rozgrzewaniem wonnych olejków nad koszem z węglami.

–Pani – szepnął Rafael, zwinnymi palcami rozwiązując szarfę mojej szaty. Zsunął ją z ramion, całując mnie delikatnie. Jedwab rozlał się niczym kałuża wokół moich stóp. Rafaelowi rozbłysły oczy, a adeptka głośno zaczerpnęła tchu. Potem rozpuścił moje włosy, zebrał oburącz bogactwo ciemnych loków. – Naama błogosławi swoje sługi. r – Muskając moją szyję miękkimi ustami, poprowadził mnie w stronę łóżka. – Do ciebie należy nie tylko dawanie, ale też przyjmowanie.

Położyłam się posłusznie i poczułam na plecach ręce młodej adeptki, nacierającej moją skórę ciepłym, aromatycznym olejkiem. Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo napięte było moje ciało. Nawet kąpiel niewiele pomogła. Umiejętny masaż sprawiał, że mięśnie rozkurczały się jeden po drugim. Leżałam na brzuchu, rozluźniona i rozleniwiona, obserwując Rafaela, który pełnym wdzięku krokiem spacerował po pokoju. W pewnej chwili podszedł do szafki nocnej, otworzył szkatułkę i wyjął grudkę żywicy. Gdy umieścił ją w mniejszym koszu z żarem, wstążeczka błękitnego dymu wzbiła się w powietrze i słodki zapach opium wypełnił pokój. Palce chłopca coraz wolniej wędrowały po strunach liry, melodia stała się senna. Czując coraz większą lekkość w głowie, z przyjemnością poddawałam się niespiesznemu masażowi. Kiedy Rafael nie patrzył, adeptka pochyliła się i jej ciepły oddech owionął moją skórę, gdy złożyła pocałunek u podstawy marki.

Bez protestu pozwoliłam ułożyć się na wznak. Leniwie patrzyłam, jak Rafael Murain zdejmuje ubranie, podczas gdy adeptka – nigdy nie poznałam jej imienia – mnie pobudzała. Jej śliskie od olejku ręce wędrowały po moim ciele. Przesunęły się po piersiach, gładząc skurczone, sterczące brodawki, po biodrach i po brzuchu; zwinne

palce zwiedziły dolinę pomiędzy udami, rozchylając mnie jak płatki kwiatu. Rafael uśmiechał się do mnie, odsłaniając gibkie, chłopięce ciało, z koniuszkiem fallusa muskającym brzuch. Kiedy się odwrócił, na jego plecach zobaczyłam ukończoną markę Domu Gencjany, zwieńczoną księżycem i kwiatem. Był równie młody jak ja i równie doświadczony. Languisement wykonał niespiesznie i z taką maestrią, że w końcu nie wiedziałam, gdzie kończy się moje ciało, a zaczynają jego usta.

Wreszcie ukląkł nade mną i krzyknęłam z rozkoszy, gdy wszedł we mnie, sunąc po śliskiej od olejku skórze. Niektórzy sądzą, że anguisette zaznaje rozkoszy tylko w bólu, ale jest inaczej. W przeciwieństwie do moich klientów, których podnieca stosowanie siły, Rafael Murain był adeptem Dworu Nocy. Wsparty na rękach, z uśmiechem zadawał powolne, leniwe pchnięcia, całując moje usta. Eluo, to było słodkie! Lśniące kurtyny jego włosów przysłaniały moją twarz, gdy odwzajemniałam pocałunki z kunsztem sługi Naamy, radując się wyrafinowanym tańcem języków. Jego twardy, szczupły tors muskał moje piersi. Słyszałam swój oddech, i oddech adeptki klęczącej przy łóżku. #

Każdy klient ulega, wcześniej tego nie rozumiałam. Tej nocy uległam Rafaelowi i Domowi Gencjany, aromatowi olejku i słodczy błękitnego dymu opium, a rozkosz wzbierała we mnie jak piętrząca się fala, gdy kołysaliśmy się na łonie morza. Fala napływała z bardzo daleka, a kiedy się załamała, przeżyłam nie znane mi dotąd długie, powolne spełnienie. Zamknęłam oczy, czując, jak rozkosz płynie z naszych zespolonych ciał po najdalsze krańce czasu, jak kolejne fale, dalekie i potężne, łamią się na najbardziej zewnętrznych płycznach mojej świadomości.

–Mogę? – zapytał szeptem Rafael Murain, kiedy otworzyłam oczy.

Wciąż poruszał się we mnie.

–Tak – odszepnęłam.

Wtedy zacisnął powieki, długie rzęsy tworzyły półkola jak łamiące się fale. Sapnęłam, gdy gwałtownie wciągnął oddech, wsysając samo tchnienie naszej dzielonej rozkoszy. Jego ciało zeszywniało, gdy osiągał szczyt, a ja poczułam w sobie słodkie, gorące pulsowanie.

Potem zasnęliśmy.

Odkąd Joscelin wyrzekł się mnie, ani razu nie spędziłam nocy z mężczyzną, i z żalem uświadomiłam sobie, jak bardzo mi tego brakowało. Po pełnym gracji wysiłku, rozluźniony po zaspokojeniu, Rafael zasnął jak dziecko. Pasma jego pięknych jedwabistych włosów spływały po mojej twarzy, jego ręka leżała na mnie bezwładnie. Lamy zostały przygaszone, opium wyparowało. Chłopiec z lirą i adeptka odeszli dyskretnie. Nie mając innego wyboru, z przyjemnością wsłuchiwałam się w miarowy

oddech Rafaela i w końcu zapadłam w sen.

Spałam i śniłam.

Śniłam, że jestem dzieckiem w domu Delaunaya. Razem z Alcuinem przebywaliśmy w naszym starym gabinecie. Siedzieliśmy po przeciwnych stronach stołu, on i ja, mozoląc się nad zwojami, próbując rozwikłać tajemnicę Pana Cieśniny. Byłam bliska odnalezienia klucza, kiedy adept Domu Cereusa w masce śnieżnego lisa wsunął głowę w drzwi. Z irytacją kazałam mu iść precz.

–Spóźnisz się – powiedział głosem stłumionym przez maskę. – Joie już zostało rozlane.

Z przerażeniem, jakie czuje się tylko w koszmarach, uświadomiłam sobie, że wcale nie jestem w domu Delaunaya, tylko w Domu Cereusa; nie jestem dzieckiem, tylko adeptką, spóźnioną na Zimowy Bal Maskowy. Nie miałam maski, mój kostium jeszcze nie został ukończony. Zrozpaczona, pobiegłam na poszukiwanie Favrieli nó Dzika Róża, żeby poprosić ją o pożyczenie maseczki.

W wielkiej sali Domu Cereusa, pełnej światła i radości, zgromadzili się wszyscy adepci Dworu Nocy w najpiękniejszych strojach. Przyszłam w porę, żeby zobaczyć Księcia Słońce. Roześmiałam się z myślą, że wszystko będzie dobrze. Dziwiłam się, co mnie opętało, skąd wzięło się przeświadczenie, że powinnam uczyć się z Alcuinem, kiedy moje życie było tutaj, wśród śmiechu i wiwatów. Królowa Zima zdjęła maskę i zobaczyłam piękną Surię, która zawsze była dla mnie dobra.

A potem zrozumiałam, że Księciem Słońce jest Waldemar Selig.

Nikt tego nie zauważył, gdy z uśmiechem zdjął maskę, o pól głowy wyższy od innych; nikt nie zauważył, gdy pozłacaną włócznią przeszył swoją towarzyszkę. Suria upadła na podium z otwartymi ustami i pustką w oczach, z rękami zaciśniętymi wokół drzewca, a na jej piersi rozkwitła ciemna plama krwi. Waldemar Selig zszedł po stopniach, w płaszczu z wilczej skóry na ramionach. D'Angelinowie kłaniali się ze śmiechem. robiąc dla niego przejście, a muzycy grali skoczego kuranta.

Krzyk uwiązał mi w gardle, nie mogłam zaczerpnąć tchu. Wokół mnie pomykali tancerze, weseli i wystrojeni, a wśród nich Delaunay – mój pan Delaunay. Chciałam go ostrzec, wykrzyknąć jego imię. Nagle odwrócił się i zobaczyłam, że trzyma w ramionach Melisandę Szachrizaj i uśmiecha się do niej. Melisanda nad jego ramieniem spojrzała mi w oczy, a jej uroda sprawiła, że ugięły się pode mną kolana.

Ja wiedziałam. Ona wiedziała. Spóźniłam się.

Głos, który mnie zbudził, głos recytujący szczegóły snu i rwący się z paniki, należał do mnie. Łapczywie wciągnęłam powietrze, niemal się nim dławiąc, i zrozumiałam, że

jestem w komnacie w Domu Gencjany. W mojej pamięci rozbrzmiewało echo szeptu wplecionego w sen, gdy Rafael Murain nakłaniał do mówienia moje niechętne usta. Usiadłam, pragnąc zwolnić bicie serca i czekając, aż pojaśnieje mi w oczach.

Rafael, spokojny i wyrozumiały, klęczał obok łóżka.

–Mam opowiedzieć ci sen? – zapytał łagodnie.

–Nie. – Z drżeniem przeciągnęłam rękami po twarzy. – Pamiętam.

–Często tak bywa, kiedy usidli się sen w trakcie powstawania. – Podniósł się z gracją i podkręcił przygaszone lampy, a gdy miękki blask zalał pokój, nalał coś do kieliszka. – Rozcieńczone wino. Wypij, dobrze ci zrobi.

Wypiłam chłodny napój, który ukoił moje gardło i nerwy. Rafael przysiadł na piętach i popatrzył na mnie.

–Sen łatwy do zinterpretowania – oznajmił cicho. – Odsuwasz trudną decyzję, Fedro nó Delaunay, a z tego nie wyjdzie nic dobrego. Jeśli chcesz, możemy razem przeanalizować sen i dowiedzieć się, jakiej decyzji się obawiasz.

–To nie będzie konieczne. – Zaśmiałam się, a zaraz potem przebiegło mnie drżenie. – Już wiem. – Zmierzenie się z tym faktem na jawie wcale nie było łatwiejsze. Wiedziałam, i czułam strach, gdy uśmiechałam się niepewnie do Rafaela Muraina nó Gencjana. – Widzisz, muszę jechać do La Serenissimy.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Nie sądziłam, że zasnę po tym koszmarze, lecz dzięki Rafaelowi stało się inaczej. Kazał mi zostać, kiedy chciałam odejść, i cichym głosem utkał czar, w który przywołał senność. Sen bez niepokojących widzeń przywrócił mi trochę spokoju, jaki wcześniej dała mi ta noc rozkoszy. Rankiem byłam rada, że posłuchałam Rafaela.

Przed wyjściem uklęknęłam przed nim, kładąc dwa palce na jego ustach.

–Sługo Nammy, w jej imieniu nakazuję ci zachowanie tajemnicy. Rozumiesz?

Pokiwał głową. Pod oczami miał sine smugi zmęczenia, ta noc bowiem dała mu się we znaki.

–To święte prawo Domu Gencjany. Nie musisz się obawiać. Złożyła przysięgę. – Jego twarz pojaśniała, kiedy się uśmiechnął. – Niezależnie od tego nikomu nie zdradziłbym twoich snów. – Po chwili dodał łagodnie: – To musi być trudne, żywić do klienta tak bardzo sprzeczne uczucia.

Nie musiałam pytać, kogo ma na myśli.

–Masz rację – przyznałam z drżeniem w głosie, niewymownie wdzięczna. Ogromną ulgę sprawiło mi wypowiedzenie tych słów w miejscu, w którym nie mogły ściągnąć na mnie niczych podejrzeń. – Tak. – Rafael Murain milczał, ale wiedziałam, że rozumie. – Dziękuję ci. – Pocałowałam go i podeszłam do nocnej szafki, żeby zostawić sakiewkę z monetami, dar klienta. W Dworze Nocy używają w tym celu tak zwanych Rąk Naamy, stylizowanych dłoni złożonych w miseczkę. Te tutaj były wyrzeźbione z bladego, przejrzystego nefrytu. Dobrze mu się powodzi w służbie Naamie, pomyślałam, kładąc sakiewkę. I tak być powinno.

–Pani! – Głos zadźwięczał jak rozstrojona lira. Odwróciłam się i zobaczyłam nieszczęśliwą minę Rafaela. – Nie mogę przyjąć daru klienta od ciebie!

–Dlaczego? Otworzyłeś przede mną moje sny niczym księgę.

Raphael Murain nó Gencjana podniósł się i przeganiał ręką lśniące włosy.

–Zapłaciłaś Domowi – powiedział z zakłopotaniem. – Twoim darem było to, że mogłem ci służyć. – Widząc moje wahanie, obdarzył mnie słodkim uśmiechem, który przypominał mi Alcuina. – Złożyłbym to Naamie w ofierze. Będzie lepiej, gdy ty to uczynisz i wypowiesz moje imię. Chciałbym, żeby usłyszała je z twoich ust.

–Dobrze, zrobię to – obiecałam.

Na dziedzińcu Domu Gencjany Fortun spojrział na mnie i powstrzymał się od pytań. Mój umysł, uwolniony od przytłaczającego ciężaru koszmarów, znów był bystry i wyostrzony. W domu poszłam prosto do gabinetu i skreśliłam list do Ysandry, błagając o prywatne spotkanie z nią i Drustanem. Zapieczętowałam pismo kroplą czerwonego wosku i odcisnęłam w niej sygnet Montreve. Wysłałam Remy'ego, udzieliwszy mu ścisłych instrukcji:

–Jeśli nie zdołasz dotrzeć do królowej, postaraj się spotkać z cruarchą. Straż Drustana potraktuje ulgowo weterana z Troyes-le-Mont. Pamiętaj, oddaj list tylko jej albo jemu! Nikomu

innemu, nawet kasjelitom.

–Rozumiem – zapewnił Remy z powagą i ukłonił się. Kiedy uniósł głowę, rozbłysły mu oczy. – Będą kłopoty, pani?

–Owszem, jeśli nie zrobisz dokładnie tego, co kazałam, i to bez rozgłosu – zagroziłam. Roześmiał się tylko, zgiął w kolejnym ukłonie i odszedł. Sama nie wiem, czemu przejmowałam się ewentualną niedyskrecją Rafaela Muraina, skoro miałam takich ludzi, jak Chłopcy Fedry.

Na przekór moim obawom Remy ściśle wykonał polecenia. Przypuszczam, że Ysandra była zaciekawiona, bo przychyliła się do mojej prośby, obiecując wygospodarować dla mnie trochę czasu. Przysłała nawet królewski powóz, żebym mogła szybciej stanąć przed władcami Terre d'Ange i Alby. Była to naprawdę prywatna audiencja, bez sług i strażników, a nawet kasjelitów.

–O co chodzi? – zapytała Ysandra, unosząc brwi.

Wzięłam głęboki oddech i opowiedziałam jej całą historię, poczynawszy od wizyty Gonzago de Escabaresa, który przywiózł mi płaszcz sangoire. Tym razem nie pominęłam szczegółów, które opuściłam w galerii. Opowiedziałam o wyzwaniu rzuconym mi przez Melisandę i o moich późniejszych poszukiwaniach, o wszystkich podejrzaniach i o krętej ścieżce, po której mnie wiodły.

Kiedy skończyłam mówić, oboje nie kryli troski i zadumy.

–Byłabym spokojniejsza, Fedro – zaczęła Ysandra powoli – gdybyś miała jakiś dowód na poparcie swoich podejrzeń. Nie wahałabym się wtedy przesłuchać Trevaliona, de Somerville'ów, nawet mojego wuja. Wezwałabym przed tron prefekta Bractwa Kasjelitów, lecz nie mam ku temu podstaw. Dajesz mi tylko przypuszczenia, nic więcej. Nie mogę działać wyłącznie w oparciu o domysły, nawet twoje.

Nie liczyłam, że cokolwiek zrobi. Miałam tylko nadzieję, że nie puści mimo ucha mojego ostrzeżenia.

–Jest płaszcz.

–Tak – przyznała cierpko. – Jest. Muszę ci powiedzieć, że dostałam list od stryjecznego dziadka, księcia Benedykta de la Courcel. Czy wiesz, że wysłałam do niego kurierów po przesłuchaniu Marmiona? – Popatrzyła na mnie pytająco, a ja pokręciłam głową. – Przeszukał La Serenissimę i nie trafił na ślad Melisandy. Prosi mnie o odbycie progressus regalis po ziemiach Caerdicci przed zimą, żeby miasto mogło przyjąć mnie jako królową Terre d'Ange.

–Dlaczego Benedykt nie przybył, żeby złożyć ci hołd? – zapytałam.

Ysandra wsparła podbródek na rękę i popatrzyła na mnie.

–Zwyczaj nakazuje, by d'Angeliński władca odbył progressus w celu odnowienia przymierzy z miastami-państwami Caerdicci. Mój dziadek zrobił to jako chłopiec, a od tamtej pory minęły dziesiątki lat. Progressus nie odbył się ani razu za naszego życia. Może gdyby było inaczej, Caerdicci pospieszyliby nam z pomocą przeciwko Skaldom. Benedykt ma rację, nie mogę sobie pozwolić na zerwanie tych więzi. Poza tym sam nie jest skłonny do długich podróży

–dodała cicho – bo jego młoda żona niedawno urodziła syna.

–Pani, może to wszystko jest prawdą, ale ze słów Severia wynika, że La Se:renissima jest wylęgarnią intryg. Nawet książę Benedykt nie wiedział, że jego rodzona córka i zięć kazali otruć twoją matkę.

Królowa uniosła brwi. – Czy Severio Stregazza powiedział ci także, że Melisanda Szachrizaj przebywa w La Serenissimie? – zapytała ze zwodniczą uprzejmością. Poczułam, jak krew tężeje mi w żyłach.

–Pani – szepnęłam – nie przemilczałabym tego. Nie. Nie zna jej i wierzę, że nie minął się z prawdą. Marmion go prześladował, a on nie wiedział dlaczego. Zapewniam cię, gdybym miała choć strzęp dowodu, przybyłabym prosto do ciebie.

Drustan milczał, obserwując nas obie.

Ysandra westchnęła.

–No tak. Podejrzewasz dowódcę wojsk królewskich, jego syna Ghislaina, Gaspara Trevaliona, któremu ufał nawet Delaunay, i mojego wuja diuka, który ocalił ci życie. Również braci kasjelitów, którzy od stuleci służą nam bez zarzutu. Jesteś przekonana, że Melisanda Szachrizaj przebywa w La Sernissimie, choć otrzymałaś tę infotmację z trzeciej ręki. Wierzysz, że stało się to zgodnie z jej zamysłem, mimo że żaden Serenissimczyk nie widział jej na oczy.

–Tak. – To brzmiało obłądnie nawet w moich uszach. – Pani – podjęłam z niechęcią – nie mogę żądać, żebyś mi uwierzyła. Ale znam Melisandę. Jeśli chce, bym myślała, że przebywa w La Serenissimie, to dlatego że właśnie tam jest. Utknęłam w ślepej uliczce. Muszę jechać do La Serenissimy.

Marszcząc czoło, Drustan wreszcie przemówił:

–Mnie też to się nie podoba, Fedro nó Delaunay. Ale uważam, że bałaś się wysłuchać głosu ze swoich snów.

Pokiwałam głową.

Ysandra popatrzyła na mnie posępnie.

–Ostatnim razem przybyłaś ze stosem cuchnących skór, skaldyjskim sztyletem i cygańskim wróżbitą. Tym razem masz aksamitny płaszcz i sen. Co będzie następne? Chusteczka i lekkie zaniepokojenie? – Ugryzłam się w język i nie odpowiedziałam. – Dobrze. Mam szczerą nadzieję, że tym razem się mylisz, ale nie jestem na tyle głupia, żeby cię zatrzymać. Czego chcesz od nas?

Przedstawiłam swój plan. Drustan miał rozbawioną minę, w przeciwieństwie do Ysandry. Mimo wszystko wyraziła zgodę.

Kiedy złożyłam ukłon i ruszyłam do wyjścia, zawołała za mną łagodniejszym tonem:

–Fedro! – Odwróciłam się i spojrzałam w jej fiołkowe oczy, pociemniałe z troski. – Anafiel Delaunay był moim sprzymierzeńcem, kiedy wokół nie miałam nikogo, kto nie chciałby mnie wykorzystać. Odwołałam się do jego przysięgi, a on zginął z tego powodu. Teraz w kraju panuje

pokój i nikt nie rości pretensji do tronu. Mam wojsko na rozkazy i wszystkie prowincje uznają moją władzę. Drustan mab Necthana jest moim prawowitym małżonkiem, reprezentującym suwerenną potęgę Alby. Plemiona skaldyjskie są podzielone tak, jak przed wzlotem Waldemara Seliga, Aragonia jest naszym sojusznikiem i żadne miasto-państwo Caerdicci nie ma dość siły, by rzucić nam wyzwanie. Kiedy posłałam cię do Alby, byłam zdesperowana, a obecnie Terre d'Ange jest bardzo silna. Tak, byłabym spokojniejsza, gdyby sprawa Melisandy Szachrizaj została zamknięta, lecz niezależnie od tego, gdzie ona przebywa, nie może stanowić zagrożenia na tyle poważnego, żebyś musiała ryzykować życie.

–Być może – odparłam. – Ale ten, kto jej pomógł, stoi blisko tronu.

–Lecz jeśli zrobił to pod przymusem, najpewniej codziennie wznosi modły do Elui, żebym się o tym nigdy nie dowiedziała – powiedziała ponuro. – Mówię ci, to sprawa niewarta ryzyka. Na progu domu Courcel przelano wystarczająco dużo krwi. Nie

chcę, żeby twoja została dodana do tego strumienia.

Z pewnością miała rację, ja jednak miałam swój sen i strach przejmujący mnie do szpiku. Gdybym tak mogła porozumieć się z Hiacyntem albo z jego matką, albo z jakimś Cyganem, który zna dromonde. W głębi serca wiedziałam, że się nie mylę.

–Będę ostrożna – obiecałam.

–Dobrze. – Ysandra wyprostowała się i dodała ostatni warunek: – Jeśli nie chcesz, żebym przydzieliła ci straż honorową, zabierz przynajmniej swoich zbrojnych i tego upartego kasjelitę.

Otworzyłam i zamknęłam usta, z trudem przełknęłam ślinę.

–Nie... nie jestem pewna, czy Joscelin pojedzie.

Drustan uniósł ze zdziwieniem głowę, a spojrzenie Ysandry stało się twarde jak kamień.

–Przysiągł mi swój miecz, kiedy wystąpił ze służby Kasjelowi. Pojedzie, bo inaczej złamię przyrzeczenie. A ja nie patrzę łaskawym okiem na ludzi, którzy nie dotrzymują słowa.

–Powtórzę mu – mruknęłam, zastanawiając się, jak to przyjmie.

Królewska para pozwoliła mi odejść.

Nie mówiąc niczego Joscelinowi ani kawalerom, zajęłam się przygotowaniami. Najpierw złożyłam wizytę mojemu faktorowi i powiadomiłam go o zamiarze wyjazdu do La Serenissimy. Jakaś czas później znalazł dla mnie intratny interes: przewóz ładunku albijskiego ołowiu z Marsillkos do La Serenissimy. Statek miał wypłynąć za dwa tygodnie, co bardzo mi odpowiadało, gdyż jedną część swojego planu zataiłam nawet przed Ysandra.

Thelesis de Mornay, która od samego początku знаła moje zamierzenia, spełniła prośbę Ysandry, a ja spotkałam się z nią, żeby przejrzeć listę Braci Kasjelitów pełniących służbę w pałacu.

–Etienne de Chardin, Brys nó Rinforte, Lisie Arnot, David nó Rinforte, Jean de Laurene... – Popatrzyłam na Thelesis. – Dlaczego tak wielu zostało adoptowanych przez lorda Rinforte?

–Pytałam. – Jako nadworna poetka, Thelesis mogła pytać prawie o wszystko i nikt nie miał zastrzeżeń, bo przecież mogła szukać informacji do jakiegoś dzieła. – Sieroty przygarnięte przez Bractwo Kasjelitów zawsze noszą nazwisko prefekta. Rinforte

pełni urząd od długiego czasu. – Odwróciła głowę, żeby kaszlnąć, i rzuciła mi przepraszające spojrzenie. – Jeden z braci powiedział mi, że prefekt chorował przez kilka miesięcy. Zapewne dlatego Joscelin ani Michelina de Parnasse nie otrzymali odpowiedzi.

–Aha. – Skończyłam czytać listę i odłożyłam ją na bok.

–Nic? – Ciemne oczy Thelesis wyrażały współczucie.

Pokręciłam głową.

–Nic. Albo ja nie potrafię niczego zobaczyć.

–Przykro mi. – Wstała, żeby mnie objąć. Jej kości sprawiały wrażenie lekkich i kruchych, co bardzo mnie zasmuciło. – Kusziel nie obchodzi się łagodnie ze swoimi wybrańcami – szepnęła Thelesis. – Uważaj, Fedro, i bezpiecznie wróć do domu. – Uśmiechnęła się do mnie życzliwie. – Niechaj Błogosławiony Elua ma cię w opiece.

–I ciebie – powiedziałam, ściskając jej rękę. – I ciebie.

Wieczorem, w który należało wprowadzić w życie pierwszą część planu, musiałam wtajemniczyć kawalerów w swoje zamierzenia. Joscelina nie było, wyszedł po południu i jeszcze nie wrócił. Po części ponosiłam za to winę, bo może niepotrzebnie rozgrywałam tę grę w zbyt wielkim sekrecie. Odprawiłam służbę, zaprzysięgłam Chłopców Fedry do zachowania tajemnicy i, nie mając innego wyboru, wyjawiałam im swoje zamysły.

Zgodnie z przewidywaniami byli niezmiernie radzi – nawet poważne oczy Fortuna skrzyły się z podniecenia. Ledwo skończyłam mówić, już planowali wyprawę, dzieląc się obowiązkami. Rozbawiona, pozwoliłam im to robić.

Kazałam Fortunowi towarzyszyć mi na przyjęciu urodzinowym duchessy de Chalasse, a pozostałych zostawiłam z dwoma przykazaniami.

–Cokolwiek o mnie usłyszycie – powiedziałam, patrząc na Ti-Filipa – nie zaprzeczajcie, rozumiano? A kiedy wróci Joscelin, nie mówcie mu nic poza tym, że porozmawiam z nim rano.

Obiecali, aczkolwiek niechętnie. Zagroziłam zwolnieniem każdemu, kto złamie słowo, i wyszłam w przekonaniu, że będą posłuszni.

O wypadkach tej nocy powiem tylko, że przebiegły zgodnie z planem. Vivianna de Chalasse miała wielką władzę w prowincji UAgance. Jej księstwo było suwerenne, dopóki Ysandra nie wyniosła Percy'ego de Somerville do godności diuka, tym samym zapewniając mu przewagę. Nikt nie kwestionował zasług de Somerville'a w obronie

przed skaldyjską nawałą, duchessa jednak poczuła się lekko urażona. Królowa i cruarcha uznali, że warto uczestniczyć w balu, aby wygładzić jej nastroszone piórka.

Nie mam talentów aktorskich, ale chyba poszło mi całkiem dobrze, a poza tym flirtowanie i tańczenie z Drustanem mab Necthana wcale nie było trudne. On grał swoją rolę z zaskakującym

wdziękiem, z uśmiechem odwzajemniając żarty w mieszanym d'Angelińskim i cruithne, i tańcząc z gracją, która zadawała kłam jego ułomności. Lekko utykał, lecz szybko się dostosowałam. Żył z chromą nogą od urodzenia; łatwo było zapomnieć, że kuleje. Pamiętałam słowa Delaunaya, wyrzeczone tak dawno lekkim i rozbawionym tonem: „A Ysandra de la Courcel, kwiat królestwa, będzie uczyć gawota kulawego barbarzyńskiego księcia”.

Co do Ysandry, zagrała bez przesady, ale gdy usłyszałam jej głos, lodowaty jak Najsroźsza Zima, to przysięgam, poczułam chłód na skórze i moje skrępowanie nie było wcale udawane. Zapytała, czy skończyłam kokietować jej męża i czy raczę zwrócić go żonie, królowej Terre d'Ange. Jeśli nagła powaga Drustana była udawana, to nikt się nie zorientował. D'Angelińscy wielmoże cofnęli się o kilka kroków, gdy zmusiłam się do udzielenia odpowiedzi z wystudiowaną czelnością, jak przystało na faworyzowaną młodą kurtyzanę.

–Fedro nó Delaunay – podjęła Ysandra lodowato, pomijając mój tytuł – twoja obecność już nie jest dla nas miła. Prosimy cię o opuszczenie balu.

Z tymi słowy odwróciła się do mnie plecami, a mnie zamarło serce, choć przecież wszystko to było zaplanowane. Bezcelność wobec patronów jest usprawiedliwiona, kiedy ma podsyć płomień ich chuci, ale mój instynkt posłuszeństwa ma głębokie korzenie, dlatego z trudem powstrzymałam się od rzucenia do stóp królowej i błagania o wybaczenie. Na szczęście Fortun podbiegł i złapał mnie za ramię. Gdy wychodziliśmy, w sali panowała cisza.

Dopiero przy drzwiach usłyszałam szepty.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

–Co takiego? – Joscelin z niedowierzaniem podniósł głos. – Fedro, coś ty sobie myślała?

–Co się stało, to się nie odstanie. – Popatrzyłam na niego uważnie. – Powiedziałabym ci wczoraj wieczorem, ale nie można było cię znaleźć. W tej chwili całe Miasto wie, że wypadłam z łask królowej. A jutro wyruszymy do La Serenissimy. Po wczorajszych wypadkach nikt nie uzna tego za dziwne. I nikt nie pomyśli, że jestem agentką Ysandry.

–Nie mogę uwierzyć, że Ysandra się na to zgodziła – mruknął.

Przeniosłam spojrzenie na talerz i bawiłam się ćwiartką gruszki.

–Nie była zachwycona – przyznałam – ale wyraziła zgodę. Joscelinie nie będą cię zmuszać. Pojedziesz czy nie?

Wstał bez słowa i podszedł do okna jadalni, żeby wyrzucić na maleńki dziedziniec za domem, gdzie Eugenia założyła zielnik. Patrzyłam na niego, wysokiego mężczyznę skąpanego w świetle słońca.

–A jeśli odmówię? – zapytał, nie patrząc w moją stronę. – Co wtedy?

–Nic. – Mój głos brzmiał tak, jakby należał do kogoś, czyje serce nie rozsypało się na kłujące okruchy. Nawet gdy się odwrócił, mocno zaciskając rękę na wisiorku chai, mój głos brzmiał spokojnie: – Zostaniesz i odegrasz swoją rolę, prowadząc Jeszuitów do nowej ojczyzny na dalekiej północy, jeśli tak nakazuje ci serce.

–Moje serce! – Zaśmiał się chrapliwie, rozdzierająco; nieledwie był to szloch. Szarpnął naszyjnik z taką siłą, jakby chciał zerwać łańcuszek. – Gdybym tylko mógł uczynić moje serce i duszę czymś innym niż pole bitwy!

Pragnęłam go gorąco, chciałam do niego podejść, lecz nie śmiałam tego uczynić. Zamknęłam oczy.

–Jeśli taka jest twoja decyzja, powiedz rabbiemu, że zrobiłam, co obiecałam. Królowa nie będzie ich prześladować, ale jeśli złamią prawo, zostaną ukarani. – Rozmawiałam o tym z Ysandra przed realizacją naszego planu. Zgodziła się wziąć moje słowa pod rozwagę.

Joscelin patrzył na mnie, kiedy otworzyłam oczy.

–Co jeszcze powiedziała?

Odniosłam wrażenie, że bardziej mu zależy na Jezuitach niż na mnie, i mój ból przerodził się w złość. Dlatego odpowiedziałam ostro:

–To, że przysiągłeś jej służyć i że rozkazuje ci jechać ze mną do La Serenissimy. I że nie patrzy łaskawym okiem na tych, którzy łamią słowo.

Bardzo możliwe, że było to najgorsze, co mogłam powiedzieć byłemu kasjelicie. Poderwał głowę tak, jakbym go spoliczkowała. Miał rozdęte nozdrza i białe linie po obu stronach ust.

–Wygląda więc na to, że muszę jechać – powiedział rwącym się głosem – chyba że zdradzę wszystkich naraz, Kasjela, ciebie i królową.

–Łaskawość Jezui jest niezmierna – zripostowałam. – Skoro jesteś gotów złamać jedną przysięgę, dlaczego nie trzy?

Wymowa jego jasnego spojrzenia była bliska nienawiści.

–Pani Fedro nó Delaunay de Montreve – wycedził z lodowatą uprzejmością – zawiozę cię do La Serenissimy i wypełnię rozkaz królowej. A potem polecę cię opiece Naamy i Kusziela, którym tak chętnie służysz. Niech mają z ciebie pociechę.

–Pięknie – odparłam ponuro, wstając od stołu i rzucając Inianą serwetkę. – Pomóż Remyemu w przygotowaniach do podróży. Powie ci wszystko co trzeba. Przypomniałeś mi, że muszę wypełnić jeszcze jedno zobowiązanie.

Po wczorajszym przedstawieniu nie byłam pewna, czy Nicola L'Envers y Aragon mnie przyjmie. Przed niefortunną rozmową z Joscelinem nie zamierzałam składać jej wizyty. Posłałam Ti-Filipa z zapytaniem, a on wrócił w pośpiechu i przekazał, że lady Nicola chce się ze mną zobaczyć. Udałam się ostatni raz do pałacu, bez większej przykrości. Byłam winna Nicoli spotkanie, a niewywiązanie się ze służby Naamie przed wyjazdem źle wróżyłoby całej wyprawie.

Zapomniałabym jednak o złożonej obietnicy, gdyby Joscelin chętnie przystał na wyjazd do La Serenissimy.

Strażnicy w pałacu powitali mnie bez komentarza, chłodno i zdawkowo. Nie mieli rozkazu odmówić mi wstępu, choć z pewnością zostałabym odprawiona, gdybym poprosiła o spotkanie z Ysandra. Ale Nicola była kuzynką królowej i wpuścili mnie na jej wyraźne polecenie.

Być może szukanie pociechy w świątyni Kusziela byłoby mądrzejsze, lecz spełnianie kaprysów klienta po tym wszystkim, co zaszło, przyniosło mi ulgę. Tym razem Nicola postarała się bardziej i nijak nie mogłam rozsuptać jej węzłów. Z ciekawością i okrucieństwem w oczach bezlitośnie wymachiwała biczem, aż moja skóra spłynęła

krwią i zaznałam gwałtownej rozkoszy, za co odwdzięczałam się żarliwie, dopóki się nie nasyciła.

Później kazała podać schłodzone wino i owoce. W końcu oznajmiłam, że muszę już odejść.

–Nie – odparła z zadumą. – Nie sędzę. Ty wyznaczyłaś dzień spłaty swojego długu, Fedro, dlatego należy ci się grzywna. Obiecałaś, że odpowiesz na moje pytania, ale jeszcze ich nie zadałam, prawda?

–Nie, pani. – Spojrzałam jej w oczy, charakterystyczne dla wszystkich L'Enversów, i stłumiłam dreszcz strachu. Nicola była przecież krewną Barquiela i przychodząc do niej, wzięłam na siebie ryzyko.

Nicola uśmiechnęła się z rozleniwieniem. Wiedziała, klienci zawsze wiedzą.

–Wszyscy w pałacu mówią, że wypadłaś z łask Ysandry – powiedziała cicho. – Ja jednak w to nie wierzę. Myśl o nas co chcesz, ale L'Enversowie nie odwracają się plecami do swoich sojuszników, chyba że ci dopuszczą się śmiertelnej zniewagi. Moja kuzynka królowa ma w

żyłach tyle samo krwi rodu L'Envers, co Courcel. Jaką grę teraz prowadzisz, Fedro nó Delaunay?

Zamiast udzielić odpowiedzi, rzekłam:

–Plotka mówi, że Marmion Szachrizaj pojechał prosto do aragońskiej granicy i słuch o nim zaginął. Czy zaoferowałaś mu schronienie?

Ściągnęła brwi, potem roześmiała się niewesoło i pokręciła głową.

–Powinnam być mądrzejsza już po pierwszym spotkaniu. Niech ci będzie. Tak. Zrobiłam to. – Obrzuciła mnie długim, spokojnym spojrzeniem. – Marmion dowiedział się o zamysłach Barquiela i przyszedł do mnie dzień wcześniej, po czym wyznał prawdę o pożarze. Uwierzyłam mu. Nie znaczy to, że nie zgadzam się z pobudkami diuka, ale jego metody... – Wzruszyła ramionami. – To przesłuchanie było dla Marmiona wyrokiem śmierci. Obiecałam mu, że w najgorszym wypadku dom Aragonów udzieli mu schronienia, jeśli tylko zdoła dotrzeć tam żywy. Podałam mu nazwisko Ramira i poręczyłam słowem. Nic więcej.

–Twój mąż go przyjmie? – Byłam tym trochę zdziwiona.

–Marmion lubi hulanki i hazard. Jest doskonałym dworakiem. Czemu Ramiro miałby odesłać go z kwitkiem? – Nicola wzruszyła ramionami. – Wie, w jaki sposób folguję swoim zachciankom. Poza tym moja propozycja nie stoi w sprzeczności z edyktem

de Morhbaną. Aragonia jest wygnaniem. Odpowiedz mi teraz?

Powoli pokręciłam głową.

–Błogosławiony Eluo! – Wysyczała te słowa jak przekleństwo i zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju. – Ty i Barquiel... Fedro, stoicie po tej samej stronie, ale oboje jesteście zbyt nieufni, żeby to zrozumieć. Nie potrafisz pojąć, że z jego środkami i twoimi sztuczkami razem działacie znacznie więcej niż osobno? – Popatrzyła na mnie z przygnębieniem. – Czemu miałabym kłamać? Moje wpływy w Aragonii są całkowicie zależne od tego, czy Ysandra utrzyma się na tronie Terre d'Ange.

–Niezupełnie – mruknęłam, zerkając na nią. – Twój kuzyn diuk zapewniłby ci to samo, jak myślę. A jeśli pragnie usunąć mnie z drogi, przy okazji byłby twoim dłużnikiem za udzielenie pomocy. Już pozbył się Marmiona... Eluo, dopomóż, dzięki mnie. Sądzisz, że zaufanie wyjdzie mi na dobre? – Pokręciłam głową. – Barquiel jest bardziej wrogiem niż sprzymierzeńcem, a na względy Ysandry już nie mogę liczyć. Nasz dług, pani, został uregulowany i w oczach Naamy niczego nie jestem ci winna, i nie jestem na tyle głupia, żeby siedzieć w Mieście Elui.

–Tak słyszałam. Podobno jeden z twoich kawalerów dziś rano w wielkim pośpiechu kupował na targu zapasy na drogę – powiedziała rzeczowo. Nie wątpiłam, że po wczorajszej nocy oczy Miasta będą skupione na moich domownikach. Spojrzenie Nicoli, zdecydowane, zatrzymało się na mojej twarzy. – Fedro, posłuchaj – podjęła głosem cichym i nagłym, stając przed krzesłem i chwytając moje ręce. – Nie wiem, co zamierzasz, i nie będę miała ci za złe, że mnie nie wtajemniczyłaś, kiedy osiągniesz swój cel. Ale wiem swoje. Kuzyn Barquiel nie jest zdrajcą. – Odetchnęła głęboko, trochę blada, i dodała: – Zawołanie rodu L'Envers brzmi „płonąca

rzeka”. Gdybyś potrzebowała pomocy – mojej, Barquielą, nawet Ysandry – honor zobowiązuje każdego L'Enversa do udzielenia jej bez pytania.

–Dlaczego mi to mówisz? – Głos mi zadrżał.

–Czy to ważne? – Puściła moje ręce i uśmiechnęła się cierpko. – Cokolwiek ci mówiłam, ty wysuwałaś kolejne powody, każdy kolejny bardziej złowieszczy od poprzedniego. Tak się składa, że kiedyś widziałam mój ród rozdarty przez podejrzliwość i wrogość, i nie pragnę oglądać tego znowu. Twój pan Delaunay i moja kuzynka Izabela wciągnęli Rolanda de la Courcel do swojej gry. Nie chcę, żebyście z Barquielem zrobili to samo Ysandrze. Twoje racje nie mają znaczenia. Po prostu pamiętaj.

Chciałam jej wierzyć, chciałam ją wypytać. W końcu nie wystarczyło mi odwagi ani na jedno, ani na drugie. Przy drzwiach pocałowała mnie na pożegnanie i zatrzymała na chwilę, kładąc rękę na moim ramieniu. Ten nieznoszący sprzeciwu gest obudził

moje żądze.

–Kuzyn Barquiel utnie mi język za to, co ci powiedziałam – wyznała cicho. – Ale mimo wszystko będzie posłuszny hasłu. Bądź tak dobra i nie wystawiaj hasła na próbę, chyba że naprawdę znajdziesz się w potrzebie.

–Jeśli ty z łaski swojej raczysz zachować swoje domysły dla siebie.

Nicola roześmiała się i ucałowała mnie jeszcze raz, tym razem jako klientka, nie arystokratka.

–Obiecuję, jeśli dotrzymasz umowy. – Puściła mnie i przekrzywiła głowę, a ja odzyskałam zimną krew. – Polubiłam cię, Fedro – powiedziała z żalem. – Szkoda, że wyjeżdżasz, niezależnie z jakiego powodu. Będę za tobą tęsknić.

–A ja za tobą – zapewniłam szczerze.

Tego dnia pożegnałam się z innymi, a nie było ich wielu; to zdumiewające, jak szybko ubywa przyjaciół, kiedy człowiek popada w niełaskę u królowej. Plan się powiódł, lecz nie było mi lekko na sercu, gdy drzwi, które niedawno otwierały się chętnie, teraz były przede mną zamknięte. Nawet Dianna i Apollonary de Fhirze nie chcieli mnie widzieć. To ugruntowało moje przeświadczenie, że Nicola nie oszukiwała. Albo była na tyle głupia, żeby narażać się na skutki niezadowolenia Ysandry – w co nie wierzyłam – albo była święcie przekonana, że poróżniłyśmy się na niby. Myśl o Barquielu L'Envers nie poprawiła mi samopoczucia, a świeże pręgi na skórze przypominały, jak nierozważne były moje decyzje. Miałam za nie zapłacić, wyruszając jutro w drogę.

Niemniej jednak zapamiętałam hasło: płonąca rzeka. Gdybym śmiała, – pytałabym Ysandrę o potwierdzenie, nie mogłam jednak ryzykować spotkania, bo to podważyłoby wiarygodność naszego zatargu. Wszyscy musieli wierzyć, że naprawdę poróżniłam się z królową, gdyż miało to mi zapewnić dostęp do jej wrogów. Tak czy inaczej, pomyślałam, nie mogę zawierzyć swojego losu hasłu L'Enversów, nawet gdybym bezbrzeżnie ufała Nicoli, a przecież jej nie ufałam.

Ostatnią wizytę złożyłam pierwszej osobie, którą odwiedziłam po przybyciu do Miasta: Cecylii Laveau-Perrin. Drzwi jej domu stanęły przede mną otworem, a ona uściskała mnie w progu, nie zważając na plotkarki, które mogły to widzieć.

–Och, Fedro – wyszeptała do mojego ucha. – Tak mi przykro!

Jej szczera lojalność wzruszyła mnie ogromnie i ze wszystkich sił starałam się powstrzymać łzy. Na szczęście uznała, że płaczę z powodu niezgody z królową, bo dla sługi Naamy nie ma gorszej rzeczy, jak wzbudzić niezadowolenie suwerena. Spędziłam u niej godzinę z okładem, znosząc jej dobroć z całym dręczącym

niepokojem nieczystego sumienia. W końcu uciekłam, żeby nie powiedzieć jej prawdy, bo słowa same cisnęły mi się na usta.

Kiedy wróciłam do domu, wszystko było gotowe do wyjazdu. Porozmawiałam z Eugenią, która potwierdziła, że będzie zajmować się domem pod moją nieobecność. Dałam jej sakiewkę z pieniędzmi i liścik do mojego faktora na wypadek, gdyby potrzebowała więcej gotówki. Obiecałam, że gdy tylko urządzimy się w La Serenissime, podam jej adres do przesyłania pilnej korespondencji. W pewnej chwili ku mojemu zaskoczeniu Eugenia zalała się łzami, przytulając mnie do piersi. Nie wiedziałam, że darzyła mnie takim uczuciem; w istocie matki ronią mniej łez, gdy żegnają się z dziećmi.

Przynajmniej moja mniej płakała.

Nie wiem z jakiej przyczyny – ze zmęczenia, z bólu, rozkoszy czy ze strachu – ale zasnęłam, gdy tylko przyłożyłam głowę do poduszki. Przespałam noc jak nieżywa, pogrążona w głębokim śnie bez marzeń, i zbudziłam się rześka o świcie. Po wypiciu mocnej herbaty i lekkim śniadaniu, gdy zebraliśmy się na dziedzińcu, Remy wciąż jeszcze ziewał i przecierał oczy. Zabieraliśmy pięć wierzchowców i trzy juczne konie, co miało wystarczyć dla mojego celu. Kawalerowie nosili czarno-zielone barwy Montreve z moim herbem na piersi: księżycem i szczytem górskim Montreve z dodanym liściem zboża i Strzałą Kusziela. Joscelin nosił strój bardzo podobny do kasjelickiego, gołębioszarą koszulę, spodnie i długą opończę w tym samym kolorze. Ogromnie przypominał dawnego kasjelitę, tylko że włosy miał splecione, a nie związane na karku. Jego zarękawia lśniły w porannym słońcu, sztylety wisiały u pasa, nad ramieniem sterczała rękojeść miecza. Popatrzyłam na niego w milczeniu. Odpowiedział mi takim samym niewzruszonym spojrzeniem.

–Ruszajmy – poleciłam.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Gdy mury Miasta Elui zostały za nami, poczułam się wolna, jak człowiek, który po przymusowej bezczynności wreszcie może przystąpić do działania. Od razu poprawił mi się nastrój. Mieliśmy cudowny d'Angeliński dzień, młode, jasne słońce sunęło powoli po błękitnej kopule nieba, ziemia pokrywała się kwieciami. Nasze konie, spalone i lśniące po długim zimowaniu w stajni, tryskały nagromadzoną energią. Remy śpiewał głośno, aż w końcu z żalem kazałam mu przestać. Do Miasta zmierzali podróżni, a przecież ja i moi ludzie mieliśmy być w niełasce.

Jechaliśmy w dobrym tempie i z trudem hamowaliśmy podniecenie. Po kilku godzinach nawet Joscelin poweselał, choć robił stoicką minę za każdym razem, kiedy na niego patrzyłam. Nie był dzieckiem Miasta, tylko Siovaleńczykiem z urodzenia i wychowania, dlatego rozkwitał na otwartej przestrzeni. Przypuszczam, że gdybyśmy jechali przez góry, mógłby się nawet uśmiechać.

Wreszcie dotarliśmy do rozstajów na Drodze Ejszet, pół dnia jazdy od Miasta Elui.

–Czujecie? – Ti-Filip stanął w strzemionach, wciągając powietrze przez nos. – Zapach soli – oznajmił, uśmiechając się do mnie. Dobrze wiedziałam, że z takiej odległości nie można poczuć morza. – Nos żeglarza nie kłamie! Dwa dni jazdy na południe i staniemy w Marsilikos, pani, i przez dziesięć dni będziemy wałkonić się w porcie.

–Tak byłoby – powiedziałam, zatrzymując wierzchowca i poruszając ramionami, żeby materiał sukni potarł skórę. Rany wybrańców Kusziela szybko się goją, ale czasami okropnie swędzą. – Gdybyśmy jechali prosto do Marsilikos.

Popatrzyli na mnie, wszyscy, bo o tym im nie mówiłam. Nie powiedziałam nikomu. Joscelin westchnął.

–Fedro – zaczął, zrezygnowany – co znowu wymyśliłaś?

Wsparałam ręce na łęku.

–Jeśli pojedziemy szybko, zdążymy odwiedzić położony najbardziej na południe garnizon Sprzymierzeńców z Kamlachu i zapytamy o zaginionych strażników.

Joscelin patrzył na mnie, z dziwnym wyrazem twarzy.

–Chcesz zapytać Niewybaczonych.

Pokiwałam głową.

–Na siedem piekieł i wieczne potępienie! – burknął Ti-Filip, bawiąc się sakiewką u pasa. – Kupiłem komplet nowych kości na podróż. Z poroża azalskiego jelenia, szczęście gwarantowane. Chcesz powiedzieć, że jedziemy do Marsilikos przez Kamlach?

–Pograsz sobie w drodze z Marsilikos do La Serenissimy, i jeśli się nie spluczesz, to naprawdę będziesz miał szczęście. A może nie chcesz jechać?

–Chcę, pani! – Szeroko otwierając oczy, chwycił wodze i obrócił wierzchowca ku północy. – Na siedem piekieł, cokolwiek zamierzasz, nie zostanę z tyłu. Do Kamlachu!

Fortun i Remy parsknęli śmiechem. Popatrzyłam na Joscelina i wreszcie odczytałam jego dziwną minę. Widziałam ją wcześniej; powstrzymywał się od uśmiechu.

Ni stąd, ni zowąd zrobiło mi się lekko na sercu i też się roześmiałam.

–Do Kamlachu!

Po drodze mogłam stwierdzić, że Ysandra w czasie pożegnania – tego prawdziwego, na prywatnej audiencji – powiedziała prawdę. W Terre d'Ange panował pokój i dobrobyt. Droga Ejszet, zbudowana przez tyberyjskich żołnierzy ponad tysiąc lat temu, była solidna i dobrze utrzymana. Kilka razy mijaliśmy grupy kamieniarzy usuwających zimowe zniszczenia. W Kamlachu nie ma dużych miast, ale trakt biegnie przez niezliczone wioski. W każdej widzieliśmy oznaki zadowolenia i dostatku – targowiska pełne pierwszych wiosennych owoców i tych suszonych z zimy, klatek z drobiem, baraniny i dziczyzny, tkanin, nici i innych drobiazgów. Raz natknęliśmy się na cygańską kompanię z objazdową kuźnią. W kolejce czekali wieśniacy z końmi do podkucia i garnkami do załatania. Pomyślałam o Hiacyncie i jego poświęceniu, i żal ścisnął mnie za gardło.

I kwiaty, wszędzie wokół były kwiaty.

–Widzisz to, pani? – zapytał Fortun, ruchem głowy wskazując stragan, przy którym młoda kobieta, mrużąc oczy wtulała z przyjemnością twarz w pachnący bukiet. – Kiedy prości ludzie mają pieniądze na kwiaty, to dobrze wróży krajowi. – Roześmiał się. – Choć w Caerdicca Unitas powiadają, że D'Angelin kupuje kwiaty przed jedzeniem.

Wieczorem dotarliśmy do wioski Aufoil z oberżą dość dużą, by pomieścić nas wszystkich. Gdybym podróżowała w innym celu, zabrałabym listy polecające do szlacheckich dworów, gdzie przyjęto by nas z otwartymi ramionami i zaproszono na wystawną biesiadę, ale ten sposób był lepszy. Nikt nie będzie szukać hrabiny de Montreve na drodze do Kamlachu, a jeśli nawet, pominie domy zajezdne, w których zatrzymują się zwyczajni podróżni.

W Aufoil przyjęto nas godnie. Oberżysta w mig przyniósł świeżą pościel i kazał odszpuntować beczułkę najlepszego wina. Staraliśmy się odplacić za gościnność nie tylko monetą, ale również życzliwością. Chłopcy Fedry zostali w głównej izbie do późnej nocy, żeby bawić się i popijać z wieśniakami.

Nie zmarnowali czasu, bo rankiem Fortun, trąc zaczerwienione oczy, naszkicował trasę do najbliższego, odległego o parę dni jazdy garnizonu Niewybaczonych. Jeszcze przez jeden dzień mieliśmy jechać Drogą Ejszet, a potem skręcić na mniej uczęszczane szlaki.

–Zastanawiałem się, dlaczego kazałaś zabrać sprzęt obozowy – mruknął Remy. – Pomyśleć, że po obozowaniu wśród Cruithnów spałaś tylko w jedwabnej pościeli.

Uśmiechnęłam się.

–Teraz już wiesz. – Szczerze mówiąc, wołałam jedwabną kołdrę i puchowy materac, ale zdobywanie wiedzy wymaga wyrzeczeń.

Zznałam w życiu znacznie gorszych trudów. Mimo woli wspomniałam, jak przemierzaliśmy z Joscelinem lasy Kamlachu, jak brnęliśmy przez Góry Kamaelińskie na wpół zamarznięci, spaleni wiatrem i wycieńczeni. Jak ludzie markiza de Bois-le-Garde znaleźli nasze skromne obozowisko i jak musieliśmy uciekać nocą, gnani strachem. Jazda za dnia, w złotym słońcu przesianym przez korony sosen, była przyjemna, ale wówczas w tych samych lasach śmierć zaglądała nam w oczy.

Czasy się zmieniły. Wtedy zdradzieccy Sprzymierzeńcy Izydora d'Aiglemort władali prowincją i nie było wiadomo, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Dziś ci sami ludzie strzegli granic, a po diuku d'Aiglemort zostały tylko wspomnienia. Zginął na polu bitewnym Troyes-le-Mont, płacąc życiem za uśmiercenie wroga, którego zaprosił na d'Angelińską ziemię – Skaldowie zwali go Kilberhaar, Srebrnowłosa. Widziałam to wszystko z murów fortecy. D'Aiglemort przebił się przez siły wroga, by rzucić wyzwanie Waldemarowi Seligowi. Odniósł siedemnaście ran. Policzyli je po śmierci, w czasie przygotowań do pogrzebu. Izydor został pochowany z honorami należnymi bohaterowi.

Byłam tam, nosiłam wodę rannym i umierającym, kiedy znalazłam go konającego. „Boję się zemsty twojego pana”, powiedział, leżąc w kałuży własnej krwi. Z początku pomyślałam, że chodzi mu o Delaunaya – a potem zrozumiałam. Bał się Kusziela; Kusziela, który wymierza karę.

Nie byłam zdziwiona. Sama boję się Kusziela, choć jestem jego wybranką. Ogólnie rzecz biorąc, służba Naamie jest znacznie bardziej przyjemna, ale nie sądzę, żeby to jej ręka tamtego dnia skierowała mnie na pobożowisko.

Czas szybko mi mijał na rozmyślaniu i rozpamiętywaniu.

Czwartego dnia natknęliśmy się na strumień, który Fortun zaznaczył na swojej mapie, a dalej na szeroki, bity trakt, wychodzący z lasu i biegnący ku podnóżom Kamaelinów. Pierwszy garnizon stacjonował na południe od najbardziej południowej z Wielkich Przełęczy. Był środek dnia i las rozbrzmiewał ptasim śpiewem.

–Nie podoba mi się to – powiedział Joscelin, zaniepokojony panującym wokół spokojem. – Dlaczego nie ma straży? Jeśli wskazówki Fortuna są prawidłowe, jesteśmy na terenach garnizonu.

–Może uznali, że mądrzej strzec się przed Skaldami – podsunął kpiąco Remy.

–Nie – odparłam z zadumą. – Joscelin ma rację, każdy kamaeliński garnizon stacjonujący tak blisko granicy powinien mieć konne czujki ze wszystkich stron. Dowódca nie ryzykowałby, że wróg zajdzie go od tyłu.

–Tędy jechała duża grupa – zauważył Fortun, wskazując liczne odciski kopyt w miękkiej glinie. – Niedawno, bo rano padało, a ślady są wyraźne. Może zwiadowcy?

Nagle z dali napłynął krzyk, a zaraz potem charakterystyczne odgłosy walki na miecze.

–Może nie – wycedził Joscelin ponuro i wstrzymał konia. – Niezależnie od rodzaju kłopotów, lepiej trzymajmy się od nich z daleka. – JUż chciał wbić pięty w boki wierzchowca, kiedy zobaczył, że siedzę w siodle bez ruchu i nasłuchuję z przekrzywioną głową. – Fedro, zabrałaś mnie, żebym dbał o twoje bezpieczeństwo! – warknął, podjechał i chwycił wodze mojego konia. – Bądź tak dobra i posłuchaj mojej rady!

Kawalerowie nie wiedzieli co począć. Spojrzałam w oczy Joscelina.

–Słuchaj.

Zrobił to, powstrzymując się od ciętej odpowiedzi, i także usłyszał. Ponad szcęk broni i wykrzykiwane rozkazy wznosiły się niewyraźne okrzyki, urywane i wyzywające:

–Je-szu-a! Je-szu-a!

Joscelin zadrżał niczym cięciwa, a na jego twarzy odmalowała się udręka. Ze stłumionym przekleństwem lub szlochem puścił wodze mojego konia, zawrócił swojego wierzchowca i pognął cwałem w kierunku garnizonu.

–Na co czekacie? – zapytałam kawalerów, ruszając za Joscelinem. – Jazda!

Musieliśmy stanowić dziwny widok, gdy wypadliśmy z lasu na wąską równinę:

d'Aneglińska arystokratka i trzech zbrojnych z jucznymi końmi, ścigający kogoś, kto ogromnie przypominał kasjelitę, pędzącego na złamanie karku w stronę garnizonu. Gdyby Niewybaczeni nie byli zajęci, mogliby ryknąć śmiechem – ale byli. Ponad trzydziestu żołnierzy okrążało grupę kilkudziesięciu Jezuitorów. W dwóch wozach dostrzegłam kobiety i dzieci; mężczyźni walczyli zawzięcie, wykrzykując imię Jeszui.

Żołnierze mieli przewagę liczebną i mimo swej zaciekłości Jeszuici przegrywali.

Dopóki Joscelin nie runął na Niewybaczonych.

Dwóch powalił siłą samego impetu, nacierając wierzchowcem. Żołnierze upadli, podobnie jak koń Joscelina. On sam wybił się z siodła i pewnie wylądował na nogach, krzyżując zarękawia, ze sztyletami w dłoniach.

Smagnęłam konia wodzami, dziękując Elui, że Joscelin nie dobył miecza. Bracia kasjelici wyciągają miecze tylko wtedy, gdy zamierzają zabić, a on wciąż czuł się kasjelita. Chciał tylko chronić Jezuitorów.

Oczywiście, jego zamiary nie miały znaczenia dla Niewybaczonych, którzy wiedzieli tylko, że zostali zaatakowani.

–Błogosławione łzy Magdaleny! – Usłyszałam przejęty głos Remy'ego, gdy jego koń na chwilę zrównał się z moim.

Zapomniałam, że żaden z Chłopców Fedry, niesfornych marynarzy admirała Rousse, nigdy nie widział walczącego Joscelina Verreuil. Nikt poza mną nie miał okazji oglądać strasznego i wspaniałego starcia w skaldyjskiej śnieżycy. W bitwie pod Bryn Gorrydum Joscelin został ze mną i rodziną Drustana; kiedy nas napadnięto, walczył niemal w pojedynkę z całym oddziałem Tarbh Cró Maelcona. W Troyes-le-Mont poszedł za mną przez obóz Skaldów i wyzwiał

Waldemara Seliga na holmgang.

Jesteśmy podobni, Joscelin i ja, pod jednym względem. Jesteśmy bardzo dobrzy w tym, co robimy.

Miałby szanse powodzenia, gdyby występował przeciwko innemu oddziałowi, ale to byli Niewybaczeni, potomkowie Kamaela, urodzeni wojownicy, którzy uszli z życiem z najstraszliwszej samobójczej szarży w d'Angelińskich dziejach. Nosili proste miecze, skórzane kaftany i czarne tarcze. Nim dotarłam do walczących, siedmiu czy ośmiu żołnierzy otoczyło Joscelina i czekało na sposobną chwilę, stalowe sztychy przenikały przez jego gardę i zadawały mu drobne rany. Kasjelickie szkolenie nie ma sobie równych, lecz nie jest przeznaczone do walki na otwartym polu. Jego celem jest obrona przed skrytobójczymi atakami.

Jeszuici i pozostali Niewybaczeni walczyli w grupach, przy czym umiejętności tych drugich powoli przeważały nad zaciekłością, pierwszych. Z jednego wozu płynął płacz dziecka, przeraźliwy i nieustający.

Trzej Jeszuici już nie żyli. Za chwilę miał dołączyć do nich Joscelin.

– Stać! – wrzasnęłam na całe gardło, żeby usłyszeli mnie w zgiełku. Wiedziałam, że to daremne, ale musiałam spróbować. – Przestańcie walczyć!

Co dziwne, na chwilę przestali. Joscelin zdwoił wysiłki i niemal wyrwał się z okrażenia. Na nieszczęście akurat wtedy zjawił się dowódca straży z dwoma tuzinami żołnierzy. Kapitan wydał rozkazy i jego ludzie podzielili się, jedna grupa otoczyła Jeszuitów i pod groźbą śmierci wezwała ich do złożenia broni, a druga ruszyła ku mnie i trzem zasapanym kawalerom, pędzącym co koń wyskoczy.

Żołnierze zatrzymali nas bez stosowania przemocy, ale zdecydowanie. Gdy próbowałam wyminąć młodego kaprała, który zasłonił mi widok i odciągał od walczących, wytresowany bojowy rumak napierał mocno na mojego wierzchowca. Podkomendni kaprała zajęli się moimi kawalerami.

– Nic nie rozumiecie! – wrzasnęłam dziko wyciągając szyję, żeby spojrzeć na pole walki. Joscelin się nie poddał. – Na miłość Elui, przestańcie! On jest kasjelita, chce tylko ich chronić... Przysięgam, jeśli go zabijecie, ty zapłacisz głową!

– Pani, próbujemy chronić ciebie – mruknął kaprał, rumieniąc się pod hełmem. – Proszę, zjedź z pola bitwy!

Usłyszałam ryk bólu rannego Kamaelity, a zaraz potem zagrzmiął głos kapitana:

– Na miłość Kamaela, zabić go!

Łzy strachu i bezsilności zaćmiły mi oczy. Po tym, co razem przeszliśmy, miała go spotkać taka śmierć? Odepchnęłam kaprała, zaczerpnęłam tchu i co sił w płucach wrzasnęłam:

– Joscelinie! Nie!

Kaprał chwycił mnie za ramię i obrócił w siodle, żeby spojrzeć mi w twarz. Szeroko otworzył oczy i opuścił rękę.

– Kapitanie, tutaj! Kompania, tutaj! Czarne Tarcze, stać! – krzyknął gorączkowo. – Stać, stać, jeśli wam honor drogi, stać!

Jego słowa nie miały dla mnie najmniejszego sensu i zupełnie straciłam głowę, kiedy zeskokczył z konia, przykląkł i pochylił czoło nad czarną tarczą. Ze zdumieniem

zobaczyłam, że najbliższy żołnierz głośno przełknął ślinę i zrobił to samo. W ciągu paru sekund wszyscy otaczający mnie Niewybaczeni wzięli z nich przykład. Usłyszałam szepty, a po chwili zapadła cisza. Siedziałam w siodle z otwartymi ustami, podczas gdy cały garnizon Niewybaczonych klęczał. Stał tylko Joscelin i Jeszuici.

Jeden z nich uniósł miecz nad karkiem żołnierza.

–Nie! – Wyciągnęłam rękę w jego stronę. Popatrzył na mnie i zamachnął się do ciosu. Mięśnie drżały na karku Niewybaczonego, a jednak nie uniósł głowy. Kątem oka dostrzegłam, jak Joscelin odwraca się z rozpaczą na twarzy, podnosząc sztylet do rzutu. Nie miałam cienia wątpliwości, że uśmierci Jeszuitę, jeśli będzie musiał, i bałam się, bardzo się bałam, że drugi sztylet wbije w swoją szyję...Błonka czerwieni przysłoniła mi oczy, krew zaszumiała w uszach, w głowie załopotały wielkie mosiężne skrzydła. Sama nie wiem, jak znalazłam głos, który wydał mi się daleki i dziwny, podszyty krwią i grzmotem.

–Rzucić miecze!

Jeszuita posłuchał, wszyscy posłuchali i broń upadła z brzękiem. Joscelin znieruchomiał w trakcie terminusu, ostatecznego kasjelickiego posunięcia, którego nie wykonał żaden brat kasjelita za ludzkiej pamięci. O ile to był terminus. Dziecko w wozie nie przestawało wrzeszczeć.

Ani jeden Niewybaczony nawet nie uniósł głowy.

–Fortunie, co się tutaj dzieje? – zapytałam, zdumiona.

DWADZIEŚCIA OSIEM

–Jesteś ręką Kusziela – wyjaśnił kapitan Tarren cTEltoine w strażnicy, częstując mnie wyśmienitym czerwonym winem z Namarry.

Wypiłam długi łyk i drżącą dłonią odstawiłam kieliszek.

–Wybacz, kapitanie, ale nie pojmuję.

Tarren d'Eltoine usiadł naprzeciwko mnie i przyjrzał mi się w skupieniu.

–Lady Fedro nó Delaunay de Montreve, nosisz znak Strzały Kusziela. Jesteś jego wybranką. A my, potomkowie Kamaela, którzy zwiemy się Niewybaczonymi, w naszej dumie i arogancji spiskowaliśmy nad otwarciem granic przed Skaldami, zawodząc święte zaufanie Elui i jego Towarzyszy. – Uśmiechnął się ponuro. – Wyrzekliśmy się honoru w oczach Kamaela. Za coś takiego nie ma wybaczenia, pozostaje tylko nadzieja na odkupienie grzechów. Ty przyniosłaś nam tę nadzieję. Czy teraz rozumiesz?

Spojrzałam w ogień, płonący wesoło w palenisku i odpędzający chłód, który wiosną panował w Kamlachu.

–Izydor d'Aiglemort – powiedziałam.

–Już wtedy. – Kapitan pokiwał głową. – Dałaś mu szansę na honorowe wyjście z sytuacji, a on z niej skorzystał. Poległ śmiercią bohatera. My, którzy przeżyliśmy, do końca nie zejdziemy z wytyczonej przez ciebie drogi. Dałaś nam szansę na poddanie się karze Kusziela i odprawienie pokuty za życia.

Popatrzyłam na niego z niechęcią.

–Panie... jestem ci wdzięczna za ludzi, których oszczędziłeś. Ale nie kazałam Izydorowi d'Aiglemort i Sprzymierzeńcom z Kamlachu walczyć dla dobra ich dusz. Poprosiłam o pomoc, bo byłam zdesperowana i nie znałam innego sposobu na pokonanie Skaldów.

–To nie ma znaczenia. – Zerknął na kieliszek i odstawił go, nie kosztując wina. – Ręka Kusziela nie musi znać zamysłów tego, kto nią kieruje, niemniej jednak wykonuje jego polecenia. Jesteśmy Niewybaczonymi. Zaciągnęliśmy dług, który będziemy spłacać do śmierci, słuchając twoich rozkazów. To wszystko, co musisz wiedzieć.

–Mogliście mnie uprzedzić – mruknęłam. D'Eltoine zamrugął; nie poznał się na żarcie. To prawda, że większość Kamaelitów myśli mieczami. Izydor d'Aiglemort

stanowił wyjątek, ale przecież wychował się wśród Szachrizaj. – Mniejsza z tym. – Kręciło mi się w głowie. Nie co dzień człowiek dowiaduje się, że bez jego wiedzy cały oddział przysiągł mu posłuszeństwo. – Panie – zaczęłam, zbierając myśli – dlaczego twoi ludzie zaatakowali Jezuitów?

–Chcieliśmy ich wypytać. – Wzruszył ramionami. – Liczna grupa próbująca przedostać się do Skaldii? Nie może być innej przyczyny jak tylko przeszpiegi. Kiedy ich zatrzymano, wyciągnęli broń. Tak mówią moi ludzie, a ja nie mam powodu, żeby im nie wierzyć. – Popatrzył

na mnie uważnie. – Choć jeśli sobie życzysz, wezwę ich na przesłuchanie.

–Nie. – Wydarzenia w Mieście potwierdzały jego słowa. – Chcą przemierzyć Skaldię i znaleźć schronienie na ziemiach leżących dalej na północy. Nie chcieli nikogo skrzywdzić, panie.

–Wiesz to na pewno? – Blask ognia pełgał po jego twarzy, gra światła i cienia podkreślała surowe kamaelińskie piękno rysów. Niektórzy z nas żyją bliżej tych, którym wszyscy służymy. Kapitan do nich należał. Nie wiem, czy on sam dopuścił się zdrady, ale widziałam wiszący nad nim jasny skraj miecza Kamaela.

–Tak – odparłam z przekonaniem. Odgadłam, o co pytał, o surowy wyrok wybranki Kusziela, o srogą sprawiedliwość. Uznałam, że nie powinnam mu mówić, że jestem nie tylko wybranką Kusziela, lecz także sługą Naamy, że ręka nieśmiertelnego, który naznaczył szkarłatem moje lewe oko, nie każe mi ferować wyroków na zbłąkanych potomków Elui i jego Towarzyszy, ale szukać przyjemności w bólu. Pomyślałam jednak o rabbim i głębi żalu w jego oczach, i nie wątpiłam w szczerą swoją odpowiedź. – Tak, panie, wiem, to prawda.

–To szaleństwo. – Pokręcił głową, potem spojrzał na mnie. – Przepuścimy ich, pani. Co jeszcze możemy dla ciebie zrobić?

Ach, Eluo, mieć taką władzę i nie wiedzieć, jak ją wykorzystać! Gdybym tak mogła podać mu nazwisko wroga, którego można pokonać zimną stalą, zrobiłabym to bez wahania. Starożytni Hellenowie twierdzili, że bogowie stroją sobie żarty ze swoich wybranych sług. Wcześniej nie pojmowałam do końca obosiecznego przekleństwa mojego daru. Melisanda, pomyślałam, byłaby zachwycona tą ironią losu.

Mieli jednak to, po co przybyłam.

–Panie – zaczęłam, pochylając się ku niemu – szukam garnizonu z Troyes-le-Mont, wartowników, którzy pełnili służbę w noc ucieczki Melisandy Szachrizaj. Dano mi do zrozumienia, że niektórzy z nich poprosili o przydzielenie do Niewybaczonych, którzy ścigali niedobitki wojsk Seliga. Co możesz mi powiedzieć?

–Chłopcy Ghislaina. – Zaskoczył mnie zawzięty, posępny uśmiech Tarrena d'Eltoine.
– Polujesz na zdrajców. Wiedziałem, pani, że sprowadziła cię sprawa Kusziela. Tak, mam dwóch pod swoją komendą, a kilku innych, trzech czy czterech, służy w innych garnizonach Kamlachu. Chcesz porozmawiać z tymi z Południowego Fortu?

–Tak, kapitanie, proszę. – Odetchnęłam z ulgą na myśl, że po tak długich poszukiwaniach wreszcie będę mogła wypytać przynajmniej dwóch wartowników. Barquielu L'Envers, pomyślałam, jestem twoją dłużniczką za podpowiedź. Módl się, żebym użyła jej lepiej, niż ty wykorzystasteś moją informację na temat Marmiona Szachrizaj.

–Daję ci słowo, że to lojalni chłopcy, do szpiku kości, ale może wskażą ci trop. Spotkają się z tobą jutro z samego rana. – Kapitan wstał i ukłonił się. – Coś jeszcze?

–Nie – odparłam odruchowo, po czym zmieniłam zdanie: – Tak. Czy obiecasz mi, że żaden z twoich ludzi nie będzie szukał zemsty na Joscelinie Verreuil?

–Żartujesz? – Oczy mu rozbłysły. A jednak miał poczucie humoru, choć był to specyficzny kamaeliński humor. – O ile się nie mylę, naprzykrzają mu się, prosząc, żeby pokazał, w jaki sposób zaszachował sześć Czarnych Tarcz.

–Siedem – powiedziałam, patrząc w jego rozbawione oczy. – Było ich siedmiu, co najmniej.

Tarren d'Eltoine wybuchnął śmiechem.

–Powinien urodzić się Kamaelitą.

Prawdziwa pochwała, w istocie. Zastanawiałam się, czy powtórzyć ją Joscelinowi.

Noc spędziłam w kwaterze kapitana, słuchając szumiącego w sosnach wiatru ze Skaldii. Przyprawiał mnie o wewnętrzne drżenie i żałowałam, że jestem sama pod futrzanymi okryciami. Czasami myślę, że nigdy nie pozbędę się chłodu Najsroźszej Zimy. Ślady bicza po ostatnim spotkaniu już spłówały, ale bolało mnie ramię, bo przypomniała o sobie stara rana Po nożu Waldemara Seliga, który w tym miejscu zaczął oddzielać skórę od ciała. Słyszałam nocne odgłosy garnizonu, hasła i odzewy wartowników, od czasu do czasu tętent kopyt. Widziałam światła w ciemności, gdy ludzie przebiegali z pochodniami. Wtedy nie wiedziałam, o co chodzi. Wokół obozu Jezuistów stały warty, trwało niepewne zawieszenie broni.

Wieczorem poszłam do nich z Joscelinem, żeby wyjaśnić charakter nieporozumienia. Odprawiali akurat obrzędy pogrzebowe i choć przemówiłam do nich w ich języku, nikt nawet nie spojrział w moją stronę.

Wreszcie jeden z mężczyzn podszedł do mnie, z trudem hamując złość.

–Tak, słyszymy, co mówisz, D'Angelino – rzekł z pogardą, nie zniżając się do mówienia ze mną w habiru. – Czy nie widzisz, że odprawiamy żałobę po zmarłych?

–Mogliście powiedzieć żołnierzom! – Słyszałam zawrodozenie kobiet i dzieci, i wezbrała we mnie zimna wściekłość. – Próbowaliście przekraść się przez granicę do kraju wroga, który niespełna dwa lata temu o mało nas nie podbił! Mieli prawo was wypytać. Czy Jezua każe wam stałą odpowiadać na pytania?

Ogień zapłonął w jego oczach i mężczyzna splunął mi pod nogi.

–Kiedy Masziach powróci, mieczem oddzieli kozy od owiec, D'Angelino! To najwierniejsi przygotowują drogę dla Niego! Czy jesteśmy więźniami? Czy mamy cierpieć za waszą dumę, za wasze wojny?

Niewybaczeni stojący na warcie poruszyli się niespokojnie, a Joscelin przestępował z nogi na nogę, rozdarty wewnątrz. Uniosłam rękę, powstrzymując ich wszystkich.

–Nie – mruknęłam. – A czy ty każesz swoim ludziom cierpieć za was samych?

Jezuita patrzył na mnie niepewnie. Pomyślałam z żalem o niepotrzebnej śmierci, jakiej byłam świadkiem, o życiu straconym na polu bitewnym. Co warte jest takiej ceny? Wtedy nie wiedziałam i teraz też nie wiem. Nie umiałam sobie wyobrazić celu, jaki im przyświecał. Dlaczego zawierzyli obietnicy nieżyjącego od dawna proroka? W końcu tylko westchnęłam.

–Macie zapewniony bezpieczny przejazd przez góry – powiedziałam. – Ludzie kapitana d'Eltoine odprowadzą was jutro na przełęcz i oddadzą wam broń. Będę się modlić za wasze racje i niechaj Jezua ma was w opiece.

Joscelin w milczeniu złożył kasjelicki ukłon, przypieczętowując moje słowa. Medalion chai błysnął w świecie ognia. Jezuita nawet nie podziękował mi za wsparcie, które uratowało od śmierci wielu jego towarzyszy. Odwróciłam się i ruszyłam w stronę garnizonu.

–Powiedz mi – zagadnęłam Joscelina, kiedy zbliżyliśmy się do silnie strzeżonej bramy strażnicy. Zatrzymałam się i spojrzałam mu prosto w oczy. – To był terminus i

Zawahał się i uciekł ze wzrokiem.

–Nie. Rzuciłbym, to wszystko. Chciał z zimną krwią zabić człowieka.

–Kiedyś sam to zrobiłeś – powiedziałam cicho.

–Tak. – Popatrzył na mnie twardo. – Pamiętam.

To był mój pomysł, mój plan. Ja też nie zapomniałam. I nie zapomnę do śmierci. Kto mógł ocenić słuszność takich czynów? Być może Terre d'Ange jest niepodległym państwem, a nie terytorium skaldyjskim, ponieważ Joscelin Verreuil udusił nic nie podejrzewającego woja. To było morderstwo. Czy Jeszuici grali o niższą stawkę? Nie umiem powiedzieć; wiem tylko, że my lepiej oszacowaliśmy potrzebę i zyski. Ale jaki koszt poniosła dusza Joscelina? Dźwigał ciężar winy za nasz czyn i za złamanie swoich przysiąg. Nie widziałam jego lewej ręki w dzisiejszej potyczce. Wiedziałam, że nigdy się nie dowiem, czy zamierzał wbić drugi sztylet we własne gardło.

Kiedyś był tego bliski.

I tyle, jeśli chodzi o mądrość wybranki Kusziela. Czasami żałuję, że bogowie nie dokonali lepszego wyboru albo nie wyrazili jaśniej swoich życzeń. Nic dziwnego, że spałam niespokojnie. A jednak spałam, sama w zimnym, cudzym łóżku, i po przebudzeniu stwierdziłam, że Niewybaczeni zaplanowali przegląd broni na moją cześć.

W Południowym Forcie nie było kobiet, tylko kamaelińscy chłopcy, chętni służyć ludziom naznaczonym przez palec nieuchronnego przeznaczenia, i kilku posiwiatych weteranów, którzy trzymali ich w karności. Tego ranka wszyscy stawali na głowie, przygotowując kąpiel. Nie dla mnie chodzenie do łaźni, o nie. Przytaszczyli do kwatery kapitana wielką wannę z brązu i napełnili ją kubłami parującej wody. Zarumieniony strażnik przeprosił za brak służebnych. Był niepokieszony, że muszę sama umyć się i uczesać.

Byłam w dobrym humorze, bo niespokojna noc dobiegła końca. Wyszkolił mnie Dom Cereusa, ale nie jestem nocnym kwiatkiem, który więdnie w jasnym świetle dnia. Ponieważ Niewybaczeni traktowali mnie z powagą, ubrałam się odpowiednio. Większą część garderoby wysłałam do Marsilikos, dwa kufry już czekały na mnie w porcie, ale miałam w podręcznym bagażu jedną z kreacji Favrieli, podróżną suknię z czarnego aksamitu, z dopasowanym stanikiem i wąskimi rękawami, z szeroką spódnicą do jazdy konno po męsku.

Na suknię zarzuciłam płaszcz sangoire.

Tak oto wjechaliśmy na plac musztry w Południowym Forcie. Kapitan Tarren d'Eltoine wyszczeniwał rozkazy, podczas gdy Niewybaczeni wykonywał kolejne ćwiczenia. Podniszczona broń była naoliwiona i wypolerowana, czarne tarcze świeżo pomalowane. Pikinierzy wysunęli się przed jazdę i przyklękli z nadstawioną bronią, a jakiś czas później rozstąpili się płynnie, żeby przepuścić jeźdźców nacierających z nisko opuszczonymi lancami. Potem jeźdźcy też się rozdzielili, a piechurzy przegrupowali się z dobytymi mieczami. Kiedy ruszyli tyralierą, kawaleria zawróciła i przypuściła szarżę pomiędzy nimi, błyskając obnażoną stalą.

Po zakończeniu popisów Tarren d'Eltoine uniósł rękę i Niewybaczeni jak jeden mąż uklękli w ten sam niezwykły sposób, z mieczami w pochwach, tarczami wspartymi o ziemię i pochylonymi głowami. Eluo, wybacz mi, ale poczułam się nieswojo. Gdy kapitan kazał się rozejść, zostało pięciu piechurów.

Przyjrzałam im się dobrze, kiedy podchodzili. Sądząc z wyglądu, wszyscy pochodzili z L'Agnace. Ich szerokie, pełne zapału twarze, przystojne na swój sposób, były spocone po trudach i pachniały ziemią. Joscelin zbliżył się z kawalerami. Fortun, który dokładnie przestudiował plany Troyes-le-Mont, miał z sobą jeden ze szkiców. Wyciągnął zwój ze skórzanej tuby i rozłożył go na zadzie swojego wierzchowca.

–Pięciu? – zapytałam Tarrena d'Eltoine. – Mówiłeś o dwóch.

Kapitan uśmiechnął się smętnie.

–Wieczorem wysłałem najszybszych jeźdźców do garnizonów Kamlachu. W górach są

przejścia, które tylko my znamy. Oprócz dwóch naszych masz przed sobą trzech innych ludzi

Ghislaina. Niestety, to wszyscy, bo Północny Fort leży za daleko.

Przypomniałam sobie tętent kopyt i pochodnie.

–Aha, rozumiem.

Mężczyźni zasalutowali i podali nazwiska. Octave, Vernay, Svanel, Fitz, Giles... Fortun natychmiast je zanotował. Miałam rację, wszyscy pochodzili z L'Agnace. Powiedzieli, gdzie pełnili wartę w noc ucieczki Melisandy, a Fortun starannie zaznaczył miejsca na planie.

–Opowiedzcie mi, kogo widzieliście tamtej nocy – poprosiłam, pochylając się w siodle.

Zrobili to z chęcią i ze szczerością w oczach, nie przejawiając oznak unikania odpowiedzi;

dosłownie jeden przez drugiego mówili, co widzieli. Zachowałam spokojną minę i tylko w duchu zgrzytałam zębami Vernay, z wysuniętego najdalej na północ garnizonu, do którego dotarli posłańcy, wypowiedział się również w imieniu swojego przyjaciela i towa rzysza broni, Luthaisa z Północnego Fortu, i wyraził szczerą ubolewanie z powodu jego nieobecności. Sam słał się na nogach, patrząc na mnie oczami nabiegłymi krwią ze zmęczenia. Wolałam nie pytać kapitana, jak długo jechał i jak szybko – ani ilu potrzebował koni i czy wszystkie przeżyły.

Oto nazwiska ludzi, których widzieli tamtej nocy w Troyes-le-Mont: chirurg Lelaha Valais, Barauiel L'Envers, Gaspar Trevalion, Tibault de Toluard, Ghislain i Percy de Somerville. Nie

dowiedziałam się niczego nowego, przy czym dwie spośród tych osób już wykluczyłam z grona podejrzanych. Zbierało mi się na płacz. Zapytałam o Persję Szachrizaj.

–Tak, pani – odparł Svarel z UAgnace, pełniący wartę przy schodach na piętro. – Jeden z kasjelitów Jej Królewskiej Mości zaprowadził ją do komnaty więźniarki i z powrotem.

Zamknęłam oczy.

–Przyjrzałeś się jej uważnie, gdy wyszła?

Usłyszałam szelest, gdy pokręcił głową.

–Kiedy królowa cię przepytowała, czy powiedziałeś jej, że lady Persji towarzyszył kasjelita? – zapytałam, otwierając oczy.

Wyglądał na zdziwionego.

–Pewnie tak, choć nie pamiętam, czy ktoś o to pytał. Ale przecież musiała wiedzieć, prawda? Bracia kasjelici jej służą.

–Tak. – Popatrzyłam na niego. – Jak wyglądał?

Svarel nie krył zakłopotania, przenosząc spojrzenie z Joscelina na mnie i z powrotem.

–No, jak... jak kasjelita. Nie wiem. Szary strój, sztylety i tak dalej. Oni wszyscy są bardzo podobni, wyjąwszy lorda Joscelina, prawda?

–Mniej więcej. – Popatrzyłam na Joscelina. Zrobił minę, jakby się miał za chwilę rozchorować. – Młody? Stary?

–W średnim wieku. – Svarel wzruszył ramionami. – Wysoki. Wszyscy tacy są, prawda? Nie blondyn, nie siwy. Miał czarne albo kasztanowe włosy. A może rudawe. – Zmarszczył czoło. – Przykro mi, pani. Zwróciłbym bacniejszą uwagę, ale kasjelici... no cóż. Prędzej zatrzymałbym kapłana Kamaela. Powinienem, wiem. Dlatego tu jestem, dlatego przysięgłem służyć u Niewybaczonych. Sobie nie wybaczyłem, możesz mi wierzyć.

–To nie ma znaczenia – powiedziałam łagodnie. – Zrobiłeś wszystko, czego wymagał

obowiązek, i spisałeś się bardzo dobrze, zapamiętując tyle ważnych szczegółów. A co z innymi? – Powiodłam po nich wzrokiem. – Co najmniej dziesięciu wartowników z Troyes-le-Mont nie przystało do Niewybaczonych.

–Były ich dwa tuziny – odparł kapitan zimnym, ostrym głosem – kiedy ścigaliśmy niedobitki wojsk Seliga przez Kamaeliny. Niektórzy postanowili zostać, ci których widzisz przed sobą. Pozostali wrócili do regularnej służby.

Przemyślałam tę informację.

–U kogo się zameldowali?

Tarren d'Eltoine wzruszył ramionami.

–U naczelnego dowódcy, jak sądzę, a może u kapitana gwardii pałacowej. Zajmuję się ludźmi pod moją komendą, nie tymi, którzy odeszli.

–Gwardia nic o nich nie wie – powiedział z przekonaniem Remy, a Ti-Filip energicznie pokiwał głową. – Wierz mi, pani, dość często bywaliśmy w koszarach. Gdyby kapitan Niceaux

wiedział cokolwiek o ich losie, wyznałby to w zamian za przyjemność ujrzenia naszych pleców.

Uśmiechnęłam się na przekór sobie.

–Dobrze więc. Percy de Somerville twierdzi, że nic o nich nie wie, ale usłyszałam to od Barquiela L'Envers, dlatego nie wiem, czy można mu wierzyć. Panie kapitanie, panowie żołnierze, czy ci wartownicy mogli zameldować się u Ghislaina de Somerville?

–Kto wie? – Tarren d'Eltoine otrzepał kurz z rękojeści miecza. – Słyszałem, że lord Percy... – skrzywił usta – chętnie widziałby swojego syna jako następcę dowódcy wojsk królewskich. Dlatego powierzył mu komendę nad garnizonem Troyes-le-Mont. Z drugiej strony, Ghislain ma pełne ręce roboty, gdyż strzeże północnych granic wraz z Markiem de Trevalion.

–Ja sam wolałbym stawić się u Ghislaina, nie u starego – powiedział beznamiętnie Fitz z UAgance. – To on pozwolił nam dołączyć do Niewybaczonych. Stary kazałby nam kopać rowy nawadniające w swoich sadach, gdyby uznał, że zasługujemy na karę.

–Kerney i Geoff wrócili, bo woleli kopać rowy niż groby – przypomniał mu Octave ze zmęczeniem w głosie. On także pokonał konno szmat drogi w ciągu dwunastu godzin. Potrząsnął głową. – Nie wiem, pani. Jesteśmy L'Agnatczykami, zaciągnęliśmy

się pod sztandar hrabiego... przepraszam, diuka de Somendlle. Jeśli jego lordowska mość nie zna odpowiedzi, powinien wiedzieć któryś z podległych mu dowódców.

Popatrzyłam na niego.

–A jeśli nikt nie wie? Może wrócili do domów, nikomu się nie opowiadając.

–Może – przyznał niechętnie. – Ale mieli do odebrania zaległy żołd. Nie sądzę, by któryś o tym zapomniał.

Fortun spojrział na plan Troyes-le-Mont.

–A co z Fanuelem Buonardem? – zapytał.

L'Agnatczycy wymienili spojrzenia.

–Nic – powiedział w końcu jeden. – Pamiętam go. To on znalazł biednego Daveta przy bramie. Jest Namareńczykiem. Zabrakło mu jaj, żeby zostać Czarną Tarczą. – Kaszlnął, zerkając na mnie. – Wybacz, pani.

–Nic nie szkodzi – zapewniłam, bezskutecznie szukając dalszych pytań. Spojrzałam na Fortuna, który pokręcił głową. Niech więc tak będzie. – Dziękuję, panie kapitanie, panowie żołnierze. Byliście ogromnie pomocni.

Tarren d'Eltoine odprawił żołnierzy. L'Agnatczycy przyklękli, pochylając głowy, potem pobiegli truchtem do fortu i nawet najbardziej zmęczony pośród nich dumnie przeżył ramiona.

–Dobrze służą, ci synowie rolników – mruknął d'Eltoine, patrząc za nimi. – Muszę przyznać, że to robi wrażenie.

–Potomkowie Anaela kochają ziemię – powiedziałam cicho – tak jak Kamaelici miecze. – Nie dodałam, że właśnie z tego powodu żaden Kamaelita od sześciuset lat nie został mianowany dowódcą wojsk królewskich. Tarren d'Eltoine musiał wiedzieć, że władcy Terre d'Ange od

wieków hołdują zasadzie: Walka w imię honoru może być piękna, gdy śpiewają o niej bardowie, ale nie zapewnia bezpieczeństwa ojczyźnie. Popatrzyłam w stronę gór i dostrzegłam w dali grupę Jezuistów. Zmierzali ku południowej przełęczy, słońce lśniło na stali eskortujących ich Niewybaczonych. – Kapitanie, jestem niewymownie wdzięczna za pomoc. Dałeś mi więcej, niż śmiałam prosić. Ale teraz, niestety, musimy ruszać w drogę. Niebawem z Marsilikos odpływa statek i na pewno nie będzie na nas czekać.

Uklonił się w siodle, potem zeskoczył na ziemię i przyklęknął, lekko skłaniając głowę.

–Twoja wola. Życzę udanych łowów. – Zwinnie skoczył na siodło, cerując wierzchowcem łydkami. – Pamiętaj – dodał, podnosząc tarczę. Jak wszystkie inne, była czarna, wyjąwszy ukośny pas złota, oznaczający rangę. – Jeśli będziesz potrzebować Niewybaczonych, przybędziemy. Poleć nas swojemu panu, Fedro nó Delaunay de Montreve!

Dowódca Południowego Fortu pogalopował za swoimi ludźmi. Patrzyliśmy za nim, ja, Joscelin i kawalerowie.

–No cóż – mruknęłam z zadumą. – Jedziemy do Marsilikos?

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Jechaliśmy co koń wyskoczy i rozmawialiśmy niewiele, nadrabiając stracony czas. Fortun popatrywał na mnie, jakby chciał porozmawiać o tym, czego dowiedzieliśmy się od UAgnatczyków, ale moja mina skłaniała go do milczenia. W czasie morskiej podróży będzie dość czasu na dyskusowanie. Miał swoje plany i niczego nie zapomni.

Wiele spraw zaprzętało moje myśli. To dziwne, gdy ni stąd, ni zowąd człowiek się dowiaduje, że nieświadomie stał się legendą, choć niewielkiego formatu. To ogromne brzemie. „Niechciany bękart dziwki”. Tak dawno temu nazwała mnie sędziwa duejna Domu Cereusa, takie było moje najwcześniejsze wspomnienie własnej tożsamości. Gorzkie, w istocie, ale także proste. Delaunay wszystko odmienił, nazywając po imieniu Strzałę Kusziela, czyniąc mnie kimś innym. Wtedy sprawiało mi to dużą przyjemność. Dzisiaj... pomyślałam o żołnierzu klęczącym pod mieczem Jesuity z pochyloną głową, z drżącymi mięśniami karku, gotowego umrzeć za dawną prośbę zdesperowanej anguisette.

Teraz brakowało mi wcześniejszej pewności. I był Joscelin.

Pogoda dopisywała, powietrze było balsamiczne, a wieczorem rozbiliśmy obóz na przyjemnej polanie otoczonej cedrami. W rozpadlinie wśród omszałych głazów biło źródółko, ciemne i zimne, o lekkim posmaku iltu. Remy, który zaczął służbę pod rozkazami admirała Kwintyliusza Rouse jako pomocnik kuka, przyrządził bardzo smaczną potrawkę z solonej wołowiny i suszonej marchwi, dodając czerwone wino i garść tymianku do smaku. Przed wyjazdem Niewybaczeni uzupełnili nasz prowiant.

Później, gdy zmierzch zakradł się pod baldachim gałęzi, Joscelin postanowił czuwać jako pierwszy, a moi kawalerowie owinęli się w koce, ułożyli na matach i zasnęli. Przez jakiś czas leżałam na puszystych wełnianych pledach, patrząc w gwiazdy, które zapalały się na ciemnym niebie widocznym pomiędzy drzewami. Wreszcie zarzuciłam koc na ramiona i usiadłam obok Joscelina przy ledwo tłącym się ogniu.

–Fedro. – Popatrzył na mnie, wsuwając długą gałąź pomiędzy węgle.

–Joscelinie. – W tej chwili wystarczyło wypowiedzenie jego imienia.

Siedziałam i patrzyłam, jak jęzorek płomienia liże spodnią stronę gałęzi. Joscelin ostrożnie podsyczał ogień, gałązka po gałązce, aż zapłonął wesolo i wysłał snop iskier w nocne powietrze. Tak robiliśmy w Skaldii – zgrabialiśmy palcami i z modlitwą na sinych ustach. Teraz było zupełnie inaczej. – Czy pamiętasz...

Joscelin przerwał mi spojrzeniem, więc milczałam, póki nie przemówił, bawiąc się hubką.

–Wiem. Nie chciałem w to uwierzyć – mruknął, rzucając drwa do ognia. – Myślisz, że to prawda. Zamieszany jest brat kasjelita.

–Nie wiem. – Opasałam kolana rękami. – Na liście sporządzonej przez Thelesis nie doszukałam się niczego podejrzanego, ale uważam, że to prawdopodobne, tak, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, co usłyszeliśmy dzisiaj. – Spojrzałam na jego profil. – Nawet jeśli tak, Joscelinie... pociągnięto zbyt wiele sznurków, a to mógł zrobić tylko ktoś wpływowy. Kasjelita nie spowodowałby zniknięcia tylu strażników. W grę musi wchodzić ktoś ważniejszy.

–Ale kasjelita mógł być zamieszany. – Zadarł głowę, patrząc w gwiazdy. Widziałam, jak poruszyła się grdyka, gdy przełknął ślinę. – Na przekór wszystkiemu, na przekór szkoleniu i przysięgom. Jesteśmy ludźmi, Fedro. Elua świadkiem. Ale wypierać się wszystkiego? – Joscelin zaczerpnął tchu, po czym z drzeniem wypuścił ustami powietrze. – Nawet nie pojechałem do domu. Obiecałem ojcu, w Troyes-le-Mont, pamiętasz? I Lukowi. Mieliśmy razem jechać do Verreuil.

–Pamiętam. – Narósł we mnie smutek, nieuchronny jak przyływ, i zmieszane z nim poczucie winy. Przeze mnie Joscelin nie odwiedził rodzinnego domu. Zamiast tego zabrałam go do Miasta, związanego przysięgą. Towarzysz Doskonały. – Mieliśmy jechać tam wiosną, oboje.

–Tak. – Z roztargnieniem przetarł oczy. – Prawie piętnaście lat – dodał szorstko. – Matka mnie zabije.

Wspomniałam jego ojca, siovaleńskiego pana o surowej urodzie, z kikutem ręki po tej strasznej bitwie. Wspomniałam jego starszego brata Luka, z oczami błękitnymi jak letnie niebo, szeroko otwartymi i wesołymi. Miał jeszcze matkę, siostry i młodszego brata. Jacy byli? Nie musiałam zgadywać, widząc u znanych mi mężczyzn rodzinne podobieństwo.

–Joscelinie. – Czekałam, dopóki na mnie nie spojrzał. – Na miłość Elui, jedź do domu! Zobacz się z matką, zajmij hodowlą owiec w Siovale albo przeprowadź Jezuitów przez Skaldię, sama nie wiem. To nieważne. Miałeś dziesięć lat, kiedy bractwo upomniało się o ciebie. Nie spłacasz im długu, służąc mnie! Sam prefekt zwolnił cię z danego słowa. To cię zabija – dodałam łagodnie. – A ja nie mogę na to patrzeć. Gdybym mogła się zmienić, zrobiłabym to. Ale nie mogę.

–Ja też nie – szepnął. – Złożyłem przysięgi Kasjelowi, nie prefektowi, i ta, której dotrzymałem, jako jedyna ma znaczenie w ostatecznym rozrachunku. Fedro, gdybym mógł być taki jak inni D'Angelini, to byłbym. Może trwanie u twojego boku mnie zabija, ale jak mógłbym cię opuścić? – Pokręcił głową. – Odłożyli miecze, wszyscy. Ty rozkazałaś, oni posłuchali. Wiem, co kierowało Niewybaczonymi. Ręka Kusziela. Oni muszą myśleć o swoim odkupieniu. Ale Jeszuici... gardzą tobą, a jednak

posłuchali.

Zapomniałam o tym; zapomniałam o dzwonieniu w głowie, o mosiężnym skraju miecza, który przydał dźwięku moim rozpaczliwym słowom. Przetarłam twarz rękami.

–Wiem – mruknęłam. – Pamiętam.

Dopóki nie wziął mnie w ramiona, nie zdawałam sobie sprawy, że drzę. Położył moją głowę na swojej piersi, a wówczas znaczna część długo kielznanego strachu i napięcia uszła ze mnie z

dygotem, roztapiając się w jego ciepłe. Joscelin przytulał mnie i nad moim ramieniem patrzył w niebo.

–Ja też się boję, Fedro – wyznał. – Ja też.

Zasnęłam w ramionach Joscelina, bezpieczna, słysząc jego miarowy oddech. Gdyby tak mogło być zawsze... Chyba nawet wtedy wiedziałam, że nie mogę liczyć na tak wiele.

Rankiem Fortun zbudził nas delikatnie i Joscelin wstał, ścierpnięty po długim bezruchu. Uklękałam na kocach i przegarnęłam palcami potargane włosy, patrząc, jak wykonuje swoje poranne ćwiczenia. Jego ruchy stawały się coraz bardziej płynne, gdy mięśnie rozluźniały się i krew ożywiała kończyny. Twarz miał spokojną i bez wyrazu.

Cokolwiek zaszło między nami, nic się nie zmieniło.

Spędziliśmy jeszcze cztery dni w drodze do Marsilikos. Poczułam się lepiej, gdy minęliśmy granicę Kamlachu i wjechaliśmy do prowincji Eisanda. Eluo wybac mi, ale zbyt wiele złych wspomnień kojarzyło mi się ze skaldyjską granicą, a hołd Niewybaczonych zupełnie mnie rozstroił. Kawalerowie obserwowali Joscelina i mnie tak czujnie, jak rolnik pogodę. Joscelin znowu zamknął się w sobie, serdeczny, ale daleki. Przypuszczam, że po zobaczeniu jego wyczynów w bitwie moi ludzie darzyli go większym szacunkiem. Kiedy dotarliśmy do Drogi Ejszet, zatrzymaliśmy się w domu zajezdnym, gdzie miałam dla siebie pokój i wielkie puste łóżko.

To dziwne – przez całe życie byłam kurtyzaną, a jednak dopóki nie zostałam niewolnicą w Skaldii, ani razu nie spędziłam całej nocy w towarzystwie drugiej osoby. Moi klienci, gdy już zaznają rozkoszy, nie lubią rozgrzanego łóżka.

Cóż, znosiłam niewygody gorsze od zimnego łóżka i nie zamierzałam naciskać. Niech Joscelin stoi sobie na rozdrożu tak długo, jak będzie trzeba, bo póki stoi, mam go przy sobie i pomimo wyrzutów sumienia cieszę się z tego. Pewnego dnia dokona wyboru, a ja nie miałam pewności, którą ścieżką podąży.

Ani dokąd moja ścieżka powiedzie mnie bez niego.

Jechaliśmy dalej i w pewnym momencie Ti-Filip powąchał powietrze, tym razem nie strojąc sobie żartów. Wszyscy poczuliśmy słony zapach morza.

Dotarliśmy do Marsilikos.

Jest ono jednym z najstarszych miast Terre d'Ange – było bogatym portem już w zamierzchłych czasach, kiedy Hellenowie zaczęli podbijać morze. Należało również do Tyberium, a po upadku potężnego cesarstwa przeszło w nasze ręce. Leżało nad głęboką, osłoniętą zatoką i zgodnie z tradycją królewska flota kotwiczyła wzdłuż północnego brzegu, chroniąc miasto przed piratami. Po buncie Lyonetty de Trevalion Ganelon de la Courcel rozkazał okrętom płynąć do Cieśniny, bo nie do końca wierzył w lojalność Azalii. Ysandra, która przywróciła spokojny prowincji, skierowała flotę do dawnej przystani. Nic dziwnego, że moi kawalerowie byli podekscytowani. Dla nich nasza podróż stanowiła swego rodzaju powrót do

domu.

Rzeczywiście dobrze znali miasto i po drodze pokazywali mi jego cuda, gdy jechaliśmy wzdłuż tłoczego nabrzeża, na którym odbywał się wielki targ rybny. Tam stoi Teatr Wielki, gdzie aktorzy i muzycy jak rok długi wystawiają sztuki ku czci Ejszet. Tam jest starożytna helleńska agora, gdzie oratorzy i bajdurowie występują ku uciesze gawiedzi. Tam, przy samym brzegu, leży maleńka, jałowa wysepka poświęcona Ejszet i rybakom. W porcie cumowały ładowane i rozładowywane galery i kogi, a powietrze wypełniały krzyki przemieszane z poskrzypywaniem kół wozów i trzaskiem biczów.

Ponad tym rozgardiaszem, na wysokim wzgórzu górującym nad zatoką, wznosiła się Kopała Pani.

Władza w Eisandzie przechodziła z rąk do rąk wedle kaprysów poetyki, ale jedno nigdy się nie zmieniło: Marsilikos. Nie miało znaczenia, gdy miastem rządził mężczyzna. Lud zwał jego żonę albo konkubinę Panią Marsilikos i oboje to uznawali, po równo dzieląc się władzą. Przypuszczam, że nie brakowało panów, którzy rzucali wyzwanie tradycji, żadnemu jednak nie udało się z nią zerwać. Sama Ejszet była pierwszą Panią Marsilikos, co ustanowiło precedens. Dopóki Terre d'Ange będzie niezawisłym państwem, dopóty będą trwać rządy Pani Marsilikos.

Tak się złożyło, że obecną znałam.

Duchessa Roxanna de Mereliot była jedną z nielicznych osób wysokiego rodu, którym Ysandra de la Courcel zaufała po wstąpieniu na tron w tych mrocznych, niepewnych miesiącach przed wybuchem wojny – i okazała się wiernym sprzymierzeńcem.

Jeśli wciąż nim była, miała mnie oczekiwać.

Wysłałam Remyego i Ti-Filipa na wzgórze, żeby zapowiedzieli nasze przybycie, podczas gdy Fortun targował się z parą sprytnych uliczników, żeby pomogli nam poprowadzić juczne konie. Szczerze mówiąc, nie byłam pewna przyjęcia, bo zbyt długo żyłam z własnymi podejrzeniami, i zbyt krótko należałam do arystokracji, żeby spodziewać się najlepszego. Siedziba Pani wzbudza podziw przemieszany z lękiem, strzeliste mury z białego marmuru pną się wysoko nad miastem, złota blacha lśni na kopule. Zaprojektowali ją architekci z Siovale, a legenda mówi o statku, który zszedł z kursu i cudem odnalazł drogę, gdy załoga z odległości pięciuset mil dostrzegła blask złota na horyzoncie.

W każdym razie niebawem miałam się wstydzić swoich wątpliwości.

Złota Kopuła, otoczona w dole przez białe minarety, odcinała się na de błękitnego nieba. To wspaniała budowla, łatwa do obrony, bo fortyfikacje okrążają wierzchołek wzgórza. Na szczytach minaretów i krenelażach wieży bramnej powiewały sztandary Pani Marsilikos, dwie złote ryby, tworzące krąg jedna za drugą na niebieskim jak morze polu. Tak wedle naszego mniemania wygląda starożytny znak Ejszet.

Tego dnia brama stała otworem, a strażnicy dęli w długie trąbki, oznajmiając nasze przybycie. Przejechaliśmy szpalerem utworzonym przez zbrojnych, ubranych w lekkie kolczugi

na niebieskich kaftanach.

Na dziedzińcu z orszakiem czeladzi czekała uśmiechnięta Roxanna de Mereliot, a z nią druga dobrze znana mi osoba. Był to rudowłosy mężczyzna, krzepki i rubaszny jak niedźwiedź, krzywiący w uśmiechu twarz przeciętą blizną.

–Lord admirał! – Mój radosny okrzyk poniósł się po dziedzińcu, gdy bez namysłu zeskoczyłam z konia i podbiegłam, żeby zarzucić mu ręce na szyję.

–Spokojnie, dziecko! – Choć mnie mitygował, sam ryknął śmiechem i zamknął mnie w potężnym uścisku, niemal łamiąc mi kości. – Na słodkie cycuszki Naamy, twój widok raduje moje stare oczy, Fedro nó Delaunay! – Kwintyliusz Rousse położył ręce na moich ramionach i uśmiechnął się, mrużąc jasnoniebieskie oczy w ogorzalej twarzy. – Pani powiedziała, że ty też się ucieszysz. Rad jestem, że się nie pomyliła.

–Wasza Książęca Mość! – Speszona, zwróciłam się do Roxanny de Mereliot i przykucnęłam w głębokim ukłonie z nisko opuszczoną głową.

–Hrabino de Montreve, witamy w Marsilikos – powiedziała z rozbawieniem duchessa. – I bez tych ceregieli, proszę.

Wyprostowałam się, nieśmiało patrząc jej w oczy. Pani Marsilikos nie była już młoda i szczupła, ale jej piękno dojrzewało z wiekiem. Choć nitki bieli przetykały czarne jak węgiel włosy, pełne usta wciąż były skore do uśmiechu, a życzliwa mądrość rozjaśniała ciemne oczy.

–Wasza Książęca Mość, proszę mi wybaczyć brak oglady.

–Brak oglady? – Uśmiechnęła się ciepło. – Sprawiałabyś mi przykrą niespodziankę, gdybyś postąpiła inaczej. Tęsknię za swoimi dziećmi, które studiują w Tyberium i w Siovale. Spontaniczność jest cechą młodości, więc, młoda Fedro, nie szczędź mi tego widoku.

Nad jej ramieniem ujrzałam Remy'ego i Ti-Filipa, którzy szczerzyli zęby jak idioci, podczas gdy Fortun i Joscelin witali się serdecznie z Kwintyliuszem Rousse. Ja też nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu.

–Jak sobie życzysz, pani.

Wieczorem Roxanna de Mereliot wydała dla nas ucztę w Kopule. Nie zaprosiła gości, żeby po Eisandzie nie rozeszły się plotki, że Pani Marsilikos przyjęła mnie z honorami zaraz po tym, jak popadłam w niełaski w pałacu, lecz przyjęcie było wystawne. Lubię owoce morza, a Marsilikos słynie z ich przyrządzania. Pochłanialiśmy danie po daniu, małże we własnym słonym sosie, pasztety z homarów, dorady z imbirem, filety z soli i łososia, ryby zapiekane w puszystym cieście. W końcu wszyscy pojękiwaliśmy z przejedzenia. Korzystaliśmy z okazji, bo w Terre d'Ange sztuka kulinarna zajmuje poczesne miejsce, a niebawem mieliśmy znaleźć się na łasce kuchni Caerdicci.

Wreszcie służący przynieśli miseczki ciepłej wody z kwiatem pomarańczy, a my umyliśmy ręce i wytarliśmy je w lniane ręczniki. Po podaniu słodkich ciast i wina deserowego z Beauviste, zostawiającego na języku posmak melonów i miodu, Roxanna de Mereliot odprawiła służbę.

–Ysandra napisała mi, Fedro, co zamierzasz – powiedziała bez wstępów. – A pośpiech kuriera sugerował, że zawitasz w Marsilikos już kilka dni temu.

–Wybacz, pani – odparłam. – Musiałam zająć się innymi sprawami. – Nie z braku zaufania nie wspomniałam jej i Kwintyliuszowi Rousse o wizycie u Niewybaczonych. W rzeczywistości nie dowiedziałam się od nich niczego istotnego, a ich szacunek krępował mnie do tego stopnia, że wolałam zachować milczenie. Co się chwali, żaden z Chłopców Fedry nawet nie mrugnął okiem.

–Mniejsza z tym. – Roxanna machnęła ręką. – Mielibyśmy więcej czasu, to wszystko. Ale pozwoliłam sobie potwierdzić twoje handlowe uzgodnienia i zagwarantować ich wykonanie za pośrednictwem admirała Rousse. „Dariela”

wyplywa jutro przed wieczorem, po załadowaniu. Ołów przybył bezpiecznie, twoje kufry także. Macie zarezerwowane pięć miejsc do La Serenissimy. – Pani Marsilikos ściągnęła brwi. – Gdybym tylko mogła zrobić dla ciebie coś więcej, Fedro.

–To tylko podróż morską, pani. – Wzruszyłam ramionami. – Tysiące ludzi odbyło ją przede mną i tysiące zrobią to po mnie.

–Brałem udział w jednej z twoich morskich podróży, dziecko – burknął Kwintyliusz Rouse – i cud, że mogę o tym opowiadać. Wiem swoje. Nie mam pojęcia, czego jeszcze nauczył cię Delaunay, ale pod jego kierunkiem stałaś się kompasem bezbłędnie wskazującym kłopoty. Dlatego postanowiłem przydzielić ci eskortę. Trzy okręty, nie więcej.

Joscelin, Remy, Ti-Filip i Fortun popatrzyli na mnie, a ja powoli pokręciłam głową.

–Nie, lordzie admirale. Z przykrością muszę odmówić. Skoro mam w La Serenissimie stworzyć iluzję, że nie jestem marionetką Ysandry, nie mogę przybyć z eskortą jej floty.

–Flota La Serenissimy nie może równać się z żadną inną na świecie, nawet z moją. Panuje na całym wybrzeżu Caerdicci, tak, i Ilirii, sięgając na helleńskie wody i, patrząc jeszcze dalej, ku Efezjum i Khebbel-im-Akad. Teraz panuje pokój, ale La Serenissima pragnie władzy, i tylko dzięki księciu Benedyktowi de la Courcel nie zwraca oczu na zachód. Nie boją się jej tylko głupie szczury lądowe.

Zarumieniłam się.

–Może i tak, panie. Ale czy obronisz mnie z trzema galerami?

–Nie – warknął. – Mogę im jednak przypomnieć, że jeszcze nie pa nują nad wodami świata, i że każdy serenissimski głupiec, który udzielił schronienia Melisandzie Szachrizaj, odpowie przed Terre d'Ange krwią, jeśli będzie trzeba!

–Admirale – przemówił Fortun cichym, spokojnym głosem – zrób to, a ostrzeżesz wszystkich wrogów ojczyzny, zanim postawimy stopę na suchym lądzie. Lady Fedra ma rację. Jeśli możemy się czegoś dowiedzieć, to tylko wtedy, gdy się nie zdradzimy.

–Kto by pomyślał, że kiedyś byłeś jednym z moich chłopców. – Kwintyliusz Rouse westchnął i zwrócił na mnie spojrzenie swych niebieskich oczu. – Dziecko, Anafiel Delaunay był

moim przyjacielem i nigdy nie miałem lepszego. Przez wzgląd na niego pozwól, że zapewnię ci jak najlepszą ochronę. Sam chciałby tego, gdyby wiedział, na jaką pchnął cię drogę.

Roxanna de Mereliot milczała, ale jej ciemne oczy wyrażały prośbę, oczy pani i matki. Powinnam się domyślić, że miała swój udział w pomysle admirała.

–Panie, to za wiele i nie dość. – Bezradnie rozłożyłam dłonie. – Fortun ma rację, twoja pomoc tylko związałaby nam ręce. A mój pan Delaunay, gdyby żył, z pewnością zgodziłby się z nami. – Z determinacją wytrzymałam jego przeszywające spojrzenie. – Czas płynie, lordzie admirale, już nie jestem dzieckiem, które robi, co mu każą. Jej Wysokość zaaprobowała plan, i niech tak zostanie.

–Ba! – Rousse pierwszy odwrócił wzrok, prosząc Joscelina i kawalerów o wsparcie. – Czy żaden z was nie spróbuje przemówić jej do rozumu?

Szczerze mówiąc, nie byłam pewna ich reakcji. Wszyscy pokręcili głowami, jeden po drugim, nawet mały Ti-Filip. Kwintyliusz Rousse westchnął głębiej niż poprzednim razem.

–Ale gdybyś potrzebowała pomocy, Fedro nó Delaunay, wiedz jedno. Przybędę, gdy tylko przyślesz słowo do Pani Marsilikos albo do mnie. Przybędę z okrętami i wedrę się siłą. Widziałem Oblicze z Wody i na morzu nie boję się niczego, co zrodziło się ze śmiertelnego ciała. Rozumiesz?

–Tak, panie – odparłam, kurcząc się pod siłą jego spojrzenia. – Rozumiem. – Coś przyszło mi na myśl i zagryzłam usta. – Panie... lordzie admirale, czy miałeś wieści od Pana Cieśniny?

Joscelin drgnął. Wiedział, że chodzi mi o Hiacynta.

–Nie – rzekł Rousse cicho, ze współczuciem w oczach. – Cieśnina jest Poskromiona i wszystkie statki pływają po niej do woli. Wierz mi, co trzy miesiące, w sztormie czy w ciszy, wysyłam okręt do Trzech Sióstr. Żaden nie podpłynął bliżej niż na pięć mil, bo morze się podnosi. Przykro mi – dodał z nietypową czułością. – Polubiłem tego cygańskiego młokosa. Ale niezależnie od tego, jaki los sobie wykuł, Pan Cieśniny nie pozwala mu go odmienić.

Pokiwałam głową.

–Dziękuję.

To miało być moje przeznaczenie. Pan Cieśniny zadał nam zagadkę. Ja pierwsza ją rozwiązałam. Pan Cieśniny czerpał moc z Zaginionej Księgi Razjela. Ale Hiacynt przebił moją odpowiedź. Użył dromonde, cygańskiego daru widzenia, spojrzał jeszcze dalej w przeszłość i wyjaśnił zagadkę do końca, podając warunki klątwy Rahaba. Pan Cieśniny przyjął jego odpowiedź. Gdyby nie to, mnie czekałaby wieczność na tej samotnej wysepce. To powinnam być ja.

–Nie zaprzestanę prób – podjął szorstko Kwintyliusz Rousse. Nad stołem ujął w dłonie moją twarz i pocałował mnie w czoło. – Niechaj Elua ma cię w opiece, Fedro nó Delaunay, i pamiętaj o mojej obietnicy, jeśli nie chcesz skorzystać z rady. Razem byliśmy na końcu świata, ty i ja.

–Tak, panie – szepnęłam, całując jego rękę. Podejrzewałam wielu, ale jemu ufałam. – To prawda, panie, razem ruszyliśmy na koniec świata i razem wróciliśmy.

Roxanna de Mereliot nerwowo potrząsnęła głową.

–Miałam nadzieję, Fedro, że posłuchasz głosu rozsądku. Ale zrobisz, co zechcesz, jak sądzę. Będę modlić się do Ejszet o twój bezpieczny powrót. Gdybyś potrzebowała pomocy, daj znać, a ja ci jej udzielę.

–Zrobię to – obiecałam.

TRZYDZIEŚCI

Nazajutrz pożegnaliśmy się z Panią Marsilikos i ruszyliśmy na nabrzeże, żeby wsiąść na pokład „Darieli”. Była to trzymasztowa galera, jeden z najnowszych i najlepszych d'Angelińskich statków kupieckich. Nawet moi kawalerowie nie mogli powiedzieć o nim złego słowa.

Ostatnią rzeczą, jaką zrobiliśmy przed zaokrętowaniem, była sprzedaż naszych wierzchowców i jucznych koni jednemu z wielu handlarzy, którzy zaopatrywali podróżnych w Marsilikos. Nie planowaliśmy zabierać zwierząt, tylko urządzić się od nowa w La Serenissimie, ale myśl, że zjawimy się w mieście bez zagwarantowanej kwatery i środków transportu, była trochę niepokojąca. Modliłam się, żeby ładunek ołowiu przyniósł przyzwoite zyski.

Kwintyliusz Rouse odprowadził nas na nabrzeże. Nie wiem, co powiedział kapitanowi, odciągawszy go na bok i mrużąc z przejęciem do jego ucha, ale zapewne wyjaśniało to szacunek, z jakim spotkałam się w czasie podróży.

Po rozmowie z kapitanem admirał wrócił do mnie z chytrym błyskiem w oku.

–Fedro nó Delaunay, ruszasz na poszukiwanie wiatru w polu. Ha, ty masz moje przyrzeczenie, a ja twoją obietnicę. Posłuchaj mnie, bo mam dla ciebie ostatnią radę. – Położył stwardniałe dłonie na moich ramionach i zacisnął je mocno, patrząc mi w twarz. – Twój pan Delaunay być może żyłby do dziś dnia, gdyby potraktował Melisandę Szachrizaj poważniej. Jeśli masz słuszość, dziewczyno, nie daj się wciągnąć w jej grę. Udaj się prosto do księcia Benedykta i wszystko mu opowiedz. Pochodzi z królewskiego rodu, ale był żołnierzem. Walczył ramię w ramię z Rolandem de la Courcel i Percym de Somerville, i z Delaunayem, zanim ty przysłaś na świat. Będzie wiedział co zrobić.

–Tak, panie – obiecałam. – Uczynię to.

–Dobrze. – Ostatni raz ścisnął moje ramiona i zamknął mnie w niedźwiedzim uścisku, a jego rude włosy łaskotały moje ucho. Potem odwrócił się do Joscelina. – Ty, chłopcze! – powiedział szorstko, potrząsając jego rękami. – Podróżujesz z najpiękniejszą kurtyzaną od trzech pokoleń sług Naamy! Nie rób takiej miny, jakby równało się to wyrokowi śmierci, dobrze? I dbaj o jej bezpieczeństwo, bo jeśli ten arcycnotliwy Kasjel nie przerobi twoich flaków na cięciwy, ja to zrobię, gdyby spotkało ją coś złego.

Joscelinowi należy się uznanie, bo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Będę o tym pamiętać, panie! – powiedział, składając zamaszysty kasjelicki ukłon; jego stalowe zarękawia błysnęły w słońcu.

Rousse tylko chrząknął i odwrócił się. Nie tolerował głupoty i wiedział, co mówi. Nie dowodziłby na morzu i nie stawiał czoła Panu Cieśniny bez umiejętności oceniania ludzi. Zasalutował po marynarsku Fortunowi, Remy'emu i Ti-Filipowi, a oni oddali mu honory, i odszedł szybkim, rozkołysanym krokiem wzdłuż nabrzeża.

Po południu, gdy zerwał się sprzyjający wiatr, wszystko było gotowe do drogi. Marynarze z „Darieli” przekrzykiwali się z tymi w dokach; rozwiązano węzły, rzucono na pokład cumy. Moi kawalerowie, podekscytowani, z ogniem w oczach stali przy relingu. Kiedyś tak wyglądało ich życie. Wioślarze pociągnęli za wiosła i galera ociężała wypłynęła na wąską zatokę, gdzie wiatr był bardziej rześki. Na rozkaz kapitana opuszczono grotzagiel. Usztywnione płótno powoli wydeło się na wietrze i statek ruszył ku ujściu zatoki, celując dziobem w stronę otwartego morza.

Byliśmy w drodze.

Długa podróż morska na szczęście minęła bez wypadków, nie będę więc jej opisywać. Obciążony statek zanurzał się głęboko w wodzie, ale wiatr nam sprzyjał i żeglowaliśmy w dobrym tempie.

W ciągu pierwszych dwóch dni Joscelyn Verreuil, mój Towarzysz Doskonały, przez większość czasu wisiał na relingu, wyrzucając w morze zawartość żołądka. Zdecydowanie nie był urodzonym żeglarzem.

Moi kawalerowie natomiast w jednej chwili poczuli się jak u siebie w domu i załoga „Darieli” przekonała się szybko, że ma na pokładzie doświadczonych żeglarzy. Zmieniali się przy takielunku albo przy wiosłach, kiedy okrążaliśmy półwysep Caerdicci i mieliśmy przeciwny wiatr. Przypuszczam, że gdybym chciała, mogłabym potargować się z kapitanem i dowieść, że pracą zapłacili za przewóz. Ponieważ nie chciałam go rozdrażniać, trzymałam język za zębami.

Zajmowałam kabinę w kasztelu, ciasną, ale własną. Spałam dobrze, bezpieczna w konopnej siatce hamaka.

Wiatr dał jednostajnie i pędziliśmy z nim w zawody, tnąc dziobem spienioną wodę, przez większą część podróży mając ląd w zasięgu wzroku. Kapitan, Louis Namot, wzywał mnie od czasu do czasu, pokazując godne uwagi widoki. Dowiedziałam się wówczas, że niektórzy żeglarze uważają obecność kobiety na pokładzie za złą wróżbę. Dzięki niech będą Elui, że ustrzegł D'Angelinów przed takimi idiotycznymi zabobonami.

Powierzenie morzu swego losu niesie pewien spokój, jak poddanie się woli klienta. W czasie tej długiej podróży często rozmyślałam o Hiacyncie, zastanawiając się, czy zyska władzę nad wzburzonymi wodami i jak można tego dokonać. Zastanawiałam się także, jak daleko sięgają jego morskie włości. Królestwo Rahaba leży w głębinach,

jeśli można wierzyć naukom Jezuitów, ale Pan Cieśniny urodził się z d'Angelińskiej kobiety, która pokochała śmiertelnego Albijczyka, i nigdy nie słyszałam, by jego władza wykraczała poza wody rozdzielające nasze kraje.

Miałam o czym myśleć, więc czas mijał szybko. Płynęliśmy pół dnia drogi od lądu i nad trzema masztami krążyły białoskrzydłe mewy. Uznałam, że są śliczne. Remy wyjaśnił, że podążają za nami nie bezinteresownie. Przyciągały je wyrzucane za burtę rybie wnętrzności i inne odpadki.

Dzień za dniem żeglowaliśmy na północ wzdłuż wybrzeża Caerdicci.

Mijaliśmy maleńkie wysepki, nagie skały sterczące z dna oceanu, odpowiednie tylko dla mew i najbiedniejszych rybaków. Louis Namot powiedział, że po drugiej stronie morza iliryjskie wybrzeże jest usiane licznymi żyznymi wyspami, będącymi istną wylęgarnią piratów. Jego ludzie czuwali, ostrząc miecze i nie odstępując od trebusza zamontowanego na forkasztelu, ale płynęliśmy bez przeszkód. Iliryjscy piraci są sławni, lecz ich kraj tkwi między młotem La Serenissimy i kowadłem Efezjum; z Terre d'Ange nie mają żadnych zatargów.

Dwudziestego trzeciego dnia rejsu marynarz w bocianim gnieździe na grotmaszcie krzyknął, że mijamy wyspę, za którą zaczynają się wody La Serenissimy. W przeciwieństwie do innych, nie była jałowym, szarym garbem. Urwiska stromo opadały do morza, bazaltowe ściany piętrzyły się wysoko nad łamiącymi się falami. Nie wiedziałam dlaczego marynarze zaczęli pogwizdywać fałszywie. Zapytałam kapitana.

–La Dolorosa – powiedział, jakby to wszystko wyjaśniało. Nawet on odwrócił wzrok od czarnej wyspy. – To serenissimski przesąd, pani. Powiadają, że kiedy Baal-Jupiter zabił Ezmuna, syna Aszery, zrozpaczona, szalejąca z wściekłości Łaskawa Pani Morza tupnęła nogą i dno morskie podniosło się w odpowiedzi, tworząc La Dolorosę na pamiątkę jej żalu.

Zawsze interesowały mnie takie rzeczy, dlatego przyglądałam się czarnej wyspie, gdy opływaliśmy ją szerokim łukiem. Wśród grani tkwiła forteca, dostrzegłam też cienkie jak pajęczyna liny konopnego mostu, wiszącego wysoko nad wodą pomiędzy wyspą i lądem.

–Ale dlaczego gwizdzą? – zapytałam, zaintrygowana.

–Naśladują zawodzący wiatr, żeby odwrócić uwagę Aszery z Morza, która wciąż jest rozgniewana z powodu śmierci syna. – Louis Namor zadrżał i ujął mnie pod ramię, pociągając na drugą burtę. – Pani, gdybyś zapytała mnie na suchym lądzie, powiedziałbym, że to echa starej waśni pomiędzy potomkami Fenicjan i tyberyjskimi zdobywcami, tłumaczące przy okazji zjawiska wulkaniczne. Jesteśmy jednak na

morzu i nie chcę, żeby Łaskawa Pani sobie pomyślała, że drwię z jej rozpaczy, beczelnie wytrzeszczając oczy. Błagam cię, odwróć się!

–Oczywiście, panie kapitanie – zgodziłam się uprzejmie.

Rozluźnił się w chwili, kiedy to zrobiłam, i potarł czoło.

–Wybacz mi, pani – podjął przeproszającym tonem. – Ale prądy wokół Wyspy są rwące i nieprzewidywalne, a nie jest mądry ten, kto drwi z przesądów związanych z takimi miejscami, zwłaszcza gdy jest marynarzem.

–Masz rację. – Wspomniałam, jak po wejściu do bezpiecznej zatoki w Albie Kwintyliusz Rousse rzucił złotą monetę Panu Głębiny. – Nie mogę zaprzeczyć.

–Słyszałem opowieść o bogatym kupcu – wtrącił jeden z marynarzy – który wyśmiewał gwizdzącą załogę, a zaraz potem zerwała się potężna wichura i statek mocno się przechylił. Kupiec wypadł za burtę i został wyrzucony na skałach La Dolorosy.

–Wcale nie – odezwał się inny. – Ja słyszałem, że ciała nigdy nie odnaleziono.

–Ja zaś słyszałem – zaczął ponuro Loius Namot – że fale wyrzuciły zwłoki na wyspę Kjarko,

pięćset mil na południe stąd, na iliryjskim wybrzeżu. I nie jest to, chłopcy, opowieść bajdura. Mój wuj służył na triremie pod rozkazami admirała Porcella. Osaczyli bandę iliryjskich piratów, którzy napadali na d'Angelińskie statki. Ich kapitan nosił sygnet kupca. Błagał o łaskę i powiedział, że znaleźli ciało. Mój wuj zwrócił sygnet wdowie po kupcu.

Obejrzałam się i popatrzyłam na malejącą za rufą czarną wyspę z fortecznymi wieżami, które rysowały się na tle nieba.

–Kto chciałby mieszkać w takim miejscu?

–Nikt. Nie z własnej woli – odparł kapitan. – To więzienie.

–Najgorsze pod słońcem – dodał marynarz i wyszczerzył zęby. – Gdyby kiedyś oskarżono mnie o coś w La Serenissimie, szukałbym azylu w świątyni Aszery! Założyłbym welon, jak Achilles w domu Likomedesa, i sprawił kapłankom miłą niespodziankę!

Jeden z jego kamratów uciszył go szybko, ukradkiem spoglądając w moją stronę. Zbagatelizowałam tę uwagę. Spędziłam na morzu trzy tygodnie i słyszałam gorsze rzeczy. Na statku marynarze robią to jeden z drugim, a ci, którzy wolą kobiety, po

wyłądowaniu słyną z trudnej do ugaszenia żądzy.

Rozmowa ta skłoniła mnie do zastanowienia, co wiem o La Serenissimie. Wiedziałam, że kobiety nie pełnią urzędów w większości miast-państw Caerdicci. Mężczyźni je zbudowali i mężczyźni nimi rządzą. Aszera z Morza sprawuje władzę najwyższą, ponieważ jest Łaskawą Panią Morza, a ludzie żyjący z morza są na tyle mądrzy, żeby okazywać jej należny szacunek. Ale La Serenissima nie umywa się do Marsilikos, gdzie w żyłach Pani płynie żywa krew Ejszet.

Niedługo później marynarz znowu zawołał z gniazda i tym razem zobaczyliśmy przed sobą długą, niską mierzeję, która ogradza wielką lagunę? La Serenissimy. Zwą ją Włócznią Bellonusa, co jest kolejną spuścizną po Tyberyjczykach. Ciągnie się ponad trzydzieści mil, niemal zamykając rozległą lagunę i tworząc naturalną barierę z wejściem dobrze strzeżonym przez serenissimską flotę.

Gdy podpłynęliśmy bliżej wąskiego przesmyku, ujrzeliśmy niezliczone statki wszelkich rodzajów i różnej wielkości, pod rozmaitymi banderami: kogi, galery i triremy, płaskodenne gondole i gondolini z zadartymi dziobami i rufami, wszechobecne w mieście, kierowane przez wprawnych wioślarzy i pomykające z niezwykłą prędkością. Były tam też statki, jakich dotąd nie widziałam, niewielkie, z masztami pochylonymi do przodu, z dziwnymi trójkątnymi żaglami – umaijackie, powiedział mi kapitan. Nie wyglądały na zbyt ładowne, ale pływały szybko i zwinnie, halsując na wietrze, podczas gdy inne, większe, musiały używać wiosł.

Tuż za przesmykiem otoczyła nas flotylla serenissimskich gondolini. Stanowiły nieznaczne zagrożenie, ale miały poparcie floty na lagunie i obsadzonych wież strażniczych po obu stronach wejścia. Dokumenty Namota nie wzbudziły zastrzeżeń, więc nas przepuszczono.

Tak oto wpłynęliśmy na lagunę.

Joscelin stał obok mnie na dziobie „Darieli”, a ja cieszyłam się z jego obecności, gdy oboje patrzyliśmy na La Serenissimę.

Serenissimczycy twierdzą, że ich miasto jest najpiękniejsze w świecie, i nie mogę temu zaprzeczyć. Miasto wyrastające z wody stanowi wspaniały widok. Przed podróżą przeczytałam o nim wszystko, co tylko mogłam znaleźć, i wiedziałam, że zbudowanie La Serenissimy wymagało nie lada wysiłku. Miasto powstało nie na suchym lądzie, lecz na wyspach łączonych mostami i na osuszanych bagnach. Często było zalewane, ale mieszkańcy zawsze odzyskiwali zagarnięte przez wodę tereny.

Chwalenie piękna miasta może wydawać się mało patriotyczne, mogę jednak dodać, że znaczną część prac, dzięki którym stało się wspaniałe, przeprowadzono w

ostatnich dekadach pod patronatem Benedykta de la Courcel. Książę sprowadził siovałeńskich architektów i inżynierów, kiedy los – i brat – kazał mu wżenić się w rodzinę Stregazza.

Słońce wisało nisko nad wodą, gdy po przebyciu laguny wpłynęliśmy do Wielkiego Kanału. Klnąc dobrodusznie, marynarze chwycili za wiosła. Galery i szybkie łodzie tłoczyły się na wielkiej drodze wodnej. Ti-Filip, który był tu kiedyś w czasie krótkiego terminowania na pokładzie statku kupieckiego, objaśniał nam widoki.

–Arsenał – powiedział z nabożeństwem, wskazując wielką, otoczoną murem stocznię przy lagunie. – Tutaj powstała jedna z najlepszych flot świata. Powiadają, że tutejsi szkutnicy budują statek szybciej, niż drwal ścina drzewo. – Gdy płynęliśmy wzdłuż długiego nabrzeża, dodał: – Campo Grandę. Tam stoi pałac doży. Na końcu jest świątynia Aszery z Morza.

Wielki Plac; w istocie jest wielki, wyłożony marmurem i otwarty od strony morza. Niemal nad samą wodą stoi wysoka kolumna, a na jej szycie bogini z rozpostartymi rękami, patrząca dobrotliwie na lagunę. Aszera z Morza w koronie z gwiazd, z falami i delfinami wyrzeźbionymi na cokole. Na lewo od niej wznosi się pałac doży, długi, wielopiętrowy gmach z białego marmuru z bogato zdobionym fryzem, imponujący w pełnym świetle dnia.

To centrum serenissimskiej polityki, nie tylko dom doży. W tych murach mieści się Sala Sądowa, izba Consiglio Maggiore, i sama Złota Księga z nazwiskami Stu Godnych Rodzin, których członkowie mogą sprawować urzędę w La Serenissimie.

Dalej, na końcu placu, jest świątynia Aszery z trzema szpiczastymi kopułami, świadczącymi o wpływach Efezjan, którzy przez jakiś czas władali La Serenissima i czcili boginię pod innym imieniem. Przed świątynią na placu odbywał się wielki targ, kramy stały na miejscach wytyczonych białą cegłą, a pomiędzy nimi kłębiły się tłumy. Przeważali Serenissimczycy i ich pobratymcy z innych miast-państw Caerdicci, ale dostrzegłam też cudzoziemskie twarze – Efezjan, dumnych Akadyjczyków, Umajjatów o jastrzębich rysach, ciemnookich, spokojnych Menechetańczyków, a nawet grupę czarnych niczym heban przybyszów z egzotycznego Dże-be-Barkal.

Tu i ówdzie wyróżniali się jasnowłosi, rośli Skaldowie, których widok przyprawiał mnie o drżenie.

Potem wpłynęliśmy do Wielkiego Kanału i Ti-Filip wskazał w lewo, gdzie na cyplu wyspy stała świątynia Baala-Jupitera w klasycznym stylu tyberyjskim. Przed nią czuwał wykuty w kamieniu bóg, z jedną stopą wysuniętą przed drugą, z piorunem w dłoni.

Wedle mitu on zabił syna Aszery.

Wiedziałam o co chodziło kapitanowi. Mit przekładał historię śmiertelników na boskie terminy. Wierzenia zwycięskich Tyberyjczyków przemieszały się z religią tutejszych mieszkańców. Mimo wszystko zadrżałam na myśl o czarnej wyspie La Dolorosie.

Po obu stronach kanału wznosiły się imponujące, bogato zdobione domy, z balkonami i krętymi schodami zbiegającymi do nabrzeża. Wzdłuż kanału cumowały łodzie podobne do gondoli, tylko większe i bardziej zbytkowne, wyposażone w baldachimy, pomalowane na jasne kolory, ciężkie od złocień i rzeźb. Ti-Filip nie musiał mi mówić, że mijamy siedziby Stu Godnych Rodzin.

Ti-Filip nie musiał mi wskazywać Małego Dworu.

Gmach dorównywał wielkością pałacowi doży, miał trzy kondygnacje z balkonami wspartymi na kolumnach i marmurową fasadę, która przeglądała się w wodzie. Z balkonów spływały proporce ze srebrnym łabędziem rodu Courcel.

Zasługuje na swoją nazwę, pomyślałam.

A potem przepłynęliśmy pod wdzięcznie wygiętym łukiem mostu Rive Alto, łączącego największe wyspy La Serenissimy i tak wysokiego, że mogą przepływać pod nim galery. Na prawo od nas stała wielka, elegancka budowla Fondaca D'Angelica, skład d'Angeliński. Kapitan już wołał do ludzi na nabrzeżu, a wioślarze pracowali tylko na bakburcie, gdy statek kołysał się w głębokiej zielonej wodzie. Marynarze rzucili cumy i wreszcie dobiliśmy do brzegu.

Dotarłam do La Serenissimy.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Po tak długim pobycie na morzu dziwnie było znów stanąć na suchym lądzie. Z trudem powstrzymywałam się od kołysania, bo miałam wrażenie, że nabrzeże porusza się pode mną. Wokół nas krzątali się marynarze cumujący „Darielę”, i dokerzy już zajęci rozładunkiem. Nagle poczułam się zmęczona, zeszywniała od soli. Potrzebowałam wypoczynku i kąpieli.

Dzięki niech będą Błogosławionemu Elui, bo moi kawalerowie okazali pełne zrozumienie i szybko przystąpili do działania. Z Joscelina nie było żadnego pożytku; przywykł wprawdzie do kołysania statku, lecz teraz dla odmiany mdliło go na lądzie. Zgodnie z umową, na nabrzeżu czekał serenissimski agent mojego faktora, a Remy i Ti-Filip obstąpili go w jednej chwili. Kiedy tylko przestał wychwalać jakość naszego ołowiu, przywitał mnie uprzejmie, niemalże mi nadskakując.

–Witaj, witaj, hrabino! – powiedział płynnie w caerdicci pomiędzy ukłonami. – Wszystkie twoje prośby zostały spełnione. Przygotowaliśmy eleganckie lokum na czas twojego pobytu w Pogodnej Republice, nadzwyczaj eleganckie!

Kątem oka widziałam, jak Fortun przegląda papiery, które potwierdzały przyjęcie ładunku.

–Dziękuję, mesire – odparłam w tym samym języku, zadowolona z załatwienia tej sprawy. – Czy mogłabym je zobaczyć?

–Oczywiście! – Stanął na skraju nabrzeża i skinął na sternika dużej, złoconej łodzi. – Dom należał do Enrika Praetano – wyjaśnił – który nie zwrócił pożyczki zaciągniętej w Banco Grendati. Bankierzy chętnie zgodzili się wynająć go na sezon.

–Aha. – O ile nie pozbawiam sierot dachu nad głową, mało mnie to obchodzi, pomyślałam. Kawalerowie uwinęli się, każąc wynieść rzeczy z ładowni „Darieli” i umieścić w łodzi zwanej bissoną, dłuższej i szerszej od zwyczajnej gondoli. Wioślarze jęknęli na widok tyłu kufrów, a potem spojrzeli na mnie, gdy Joscelin pomagał mi wsiąść na pokład.

Byłam zmęczona, nie umyta i zdecydowanie w nie najlepszej formie.

–Na Aszerę! – mruknął z podziwem jeden z wioślarzy. Wstał, żeby złożyć ukłon, i cmoknął czubki swoich palców. – Gwiazda spadła na ziemię! – Poruszając się ostrożnie, żeby nie rozkołysać bissony, inni pospiesznie ułożyli poduszki dla mojej wygody.

Joscelin nie miał rozbawionej miny, ale było mi to zupełnie obojętne. Z westchnieniem ulgi usadowiłam się na poduszkach pod baldachimem. Kawalerowie

wskoczyli na pokład, sternik odepchnął łódź od brzegu i ruszyliśmy w drogę, sunąc po zielonej wodzie.

Tak oto miałam zamieszkać w eleganckim domu nad Wielkim Kanałem, w sąsiedztwie Stu Godnych Rodzin. Reprezentant mojego faktora w La Serenissimie – niejaki Mateo Bardoni – mógł być przesadnie układny, ale znał się na interesach i nie dał mi powodu do narzekań. Jeśli go nie polubiłam, to nie z jego winy. Zbyttnio mi przypomina Vitalisa Bouvarre'a, który był

pierwszym i ostatnim klientem Alcuina. To Bouvarre wydał Dominika Stregazza, zabójcę Izabeli de la Courcel. On dziś też już nie żył, lecz przed śmiercią chciał na zawsze uciszyć Alcuina.

Gdy się wprowadziłam, do wieczora było jeszcze daleko, ale od razu kazałam przygotować kąpiel, a potem poszłam prosto do łóżka i przespałam dwanaście godzin. Moja sypialnia wychodziła na balkon i słoneczne błyski odbite od wody kanału tańczyły po ścianach komnaty. Po przebudzeniu przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem, co było dziwnie przyjemnym wrażeniem.

Szkoda, że budzę się sama, pomyślałam.

Moja służąca, nieśmiała dziewczyna o imieniu Leonora, była tak przejęta, że zrzuciła z tacy dzbanek z herbatą i ciasta, kiedy przyniosła mi śniadanie. Rumieniła się za każdym razem, gdy na nią spojrzałam, lecz mimo swojej wstydlivości okazała się nadzwyczaj pracowita i zręczna: już wypakowała z kufrów i starannie wyprasowała moje ubrania, nie miała też kłopotów z zapięciem sukni, którą włożyłam. By uczcić swój pierwszy dzień w La Serenissimie, wybrałam tę z morelowego jedwabiu, przybraną złotym brokatem naszywanym perełkami. Była to kolejna kreacja Favrieli nó Dzika Róża, charakteryzująca się prostym, eleganckim krojem niezmiernie trudnym do skopiowania.

–Powiedz signorowi Joscelinowi, że już nie śpię – poprosiłam ją w caerdicci, kiedy już ujęłam włosy w złotą siateczkę i zapięłam perłowe kolczyki. – Aha, i przynieś mi z łaski swojej papier i atrament.

Leonora poderwała ze zdziwieniem głowę i skierowała na mnie szeroko otwarte oczy.

–Czy moja pani życzy sobie usług sekretarza? – zapytała niepewnie.

–Nie. – Zmarszczyłam czoło. – Moja pani życzy sobie napisać list.

–Och! – Wybiegła z pokoju, znowu zarumieniona. Pokręciłam głową, czekając. Wreszcie wróciła, trzymając papier i kałamarz z taką ostrożnością, jakby jedno bądź drugie mogło ją ukąsić. Usiadłam przy stoliku blisko drzwi balkonowych i skreśliłam

list do Severia Stregazza. Zapieczętowałam go woskiem, na którym odcisnęłam herb Montreve.

Chciałam poprosić o dostarczenie listu któregoś z domowych służących, lecz po namyśle zesłałam do salonu, gdzie siedział Joscelin z kawalerami.

–Myślisz, że znajdziesz drogę, aby przekazać to Severiowi Stregazza? – zapytałam Ti-Filipa, który dosłownie skoczył na równe nogi.

–Tak jest, pani! – zapewnił z entuzjazmem.

Pozwoliłam mu pójść; pozwoliłam wszystkim Chłopcom Fedry rozejrzeć się po mieście. Wiedziałam, że Fortun dopilnuje sprzedaży naszego towaru i że cała trójka jest biegła w zdobywaniu informacji. W ten sposób zostałam sama z Joscelinem.

Po ich wyjściu obrzucił mnie długim, spokojnym spojrzeniem.

–Skoro już tu jesteśmy – zagadnął – co właściwie planujesz?

Było to szczerze pytanie, i dobre. Dziw, że wstrzymywał się z nim tak długo, a ja żałowałam, że nie mam odpowiedzi. Popatrzyłam mu w oczy i wzruszyłam ramionami.

–Czekać – odparłam. – I mieć oczy szeroko otwarte.

Joscelin westchnął.

W sprawie Severia Stregazza nie musiałam czekać zbyt długo. Odpowiedź, skreślona niecierpliwą ręką, nadeszła, zanim kawalerowie wrócili do domu. Uśmiechnęłam się na wspomnienie jego pierwszej propozycji. Ten list dla odmiany był rozwlekłą, pogmatwaną epistołą, w której zapewniał o swych dozgonnych uczuciach, wyrażał bezbrzeżną radość na wieść o moim przyjeździe i, jakby po namyśle, zapraszał na przyjęcie urodzinowe jego przyjaciela Benita Dandiego.

–Pójdiesz? – spytał Joscelin chłodno.

–Nie. – Pokręciłam głową i znów posłałam po materiały piśmienne, podczas gdy służący Severia czekał na odpowiedź. – Poprosiłam go, żeby przedstawił mnie swojemu dziadkowi doży i księciu Benedyktowi. Będę czekać na odpowiedź, zanim wejdę w serenissimskie towarzystwo... Zależy mi na zaproszeniu do pałacu doży. Poza tym nie zaszkodzi potrzymać go w niepewności.

Joscelin nie skomentował.

Moi kawalerowie wrócili przed zmrokiem, w doskonałych humorach i z pożytecznymi informacjami, które przekazali mi przy kolacji. Na wszelki wypadek

odpawiałam służących. Nie znając prawdziwego powodu, złożyli to na karb d'Angelińskiego ekscentryzmu.

–Najważniejsza pogłoska mówi – zaczął Ti-Filip z zapalem – że sam doża, Cesare Stregazza, ma zamiar z końcem roku ustąpić z urzędu. – Wzrokiem zapytał, czy ma kontynuować, a ja pokiwałam głową. – Wiadomo, że cierpi na drżączkę, a wieść niesie, że Wyrocznia Aszery przepowiedziała mu śmierć z tej przyczyny, jeśli nie zrzeknie się tronu.

–Kraży także plotka... – Fortun nie chciał być gorszy – o naciskach ze strony Consiglio Maggiore. Boją się, że choroba doży osłabi ich pozycję w negocjacjach.

–Abdykacja nie została formalnie ogłoszona? – zapytałam.

–Nie. – Ti-Filip energicznie pokręcił głową. – Ale wszyscy o tym mówią. Obeszliśmy połowę miasta, udając pijanych, gdy Fortun już się dowiedział, jaki zysk przyniesie ci ładunek ołowiu. – Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu. – Zawsze lubiłem Drustana mab Necthana, ale teraz, gdy wiem, jak tanio sprzedaje D'Angelinom albijskie bogactwa, lubię go jeszcze bardziej!

Fortun chrząknął i rzekł przepaszającym tonem:

–Pieniądze wpłaciłem na konto w Banco Tribuno. Messire Brenin powiedział, że tak będzie najlepiej.

–Doskonale – pochwaliłam. – A co La Serenissima mówi o rychłym ustąpieniu doży?

Remy roześmiał się i zaraz spoważniał, widząc moje zaciekawione spojrzenie.

–Wybacz, pani, ale to coś w rodzaju walki psów. W mieście jest sześć Sestieri i każda ma prawo wystawienia kandydata, choć musi on pochodzić z rodziny, której nazwisko jest wpisane do Złotej Księgi, a ich wybory mają charakter powszechny. Spośród tych kandydatów Consiglio Maggiore wyłania dożę. Obecnie panuje zamęt, dzielnice walczą między sobą i z każdym, kto popiera innego faworyta. Mówię tutaj o prawdziwej walce – dodał tytułem wyjaśnienia. – Gromady młodzieńców w pasiastych rajtuzach tłuką się po łbach.

–Widzieliśmy cudowną bijatykę – oznajmił Ti-Filip wesole. – Na moście, pałkami. Chciałem się włączyć, ale Fortun zagroził, że wrzuci mnie do kanału.

–Dziękuję – powiedziałam do Fortuna, który poważnie pokiwał głową. Ti-Filipowi wytłumaczyłam: – W La Serenissimie nie ma ścieków odprowadzających nieczystości. Wykorzystują kanały. – Widziałam, jak Leonora opróżniała nocnik.

–Może właśnie dlatego tego nie zrobiłem? – mruknął. – W każdym razie wygląda na

to, że w wyścigu do tronu biorą udział dwaj chłopcy starego Cesara. Marco, najstarszy ze Stregazza, jest ojcem twojego Severia, mężem córki księcia Benedykta. Ma głosy Sestieri Dożów, wszystkie kluby popierają go i bardzo kochają, ale jest skłócony z księciem Benedyktem, odkąd ten powtórnie się ożenił, więc jego ludzie się boją, że Consiglio wypowie się przeciwko niemu. Drugim kandydatem jest Ricciardo, jego młodszy brat, który chodzi do Sestieri Scholae, gdzie mieszczą się siedziby wszystkich cechów, i buntuje je z powodu jakiegoś podatku.

Mniej więcej to samo powiedział mi Severio, ale w owym czasie informacje te niewiele dla mnie znaczyły. Obecnie próbowałam zorientować się w sytuacji.

–Sześć Sestieri – powiedziałam. – Sześć dzielnic. Są więc czterej inni kandydaci?

–Jeszcze nie – odparł Fortun. – Słyszeliśmy, że niejaki Orso Latrigan trzyma w garści Sestieri d'Oro, a czego nie może zdobyć, to kupuje, Ale w trzech innych kandydaci wciąż rywalizują. – Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. – Mnie podoba się Lorenzo Pescaro z Sestieri Navis. Powiadają, że jeszcze nie wysechł atrament, jakim wpisano do Złotej Księgi nazwisko jego rodziny, ale słyszałem o nim dobre rzeczy. Zyskał sławę, ścigając iliryjskich piratów. Jest nie byle jakim dowódcą.

–Zapamiętam to sobie. – Na temat serenissimskich kandydatów do urzędu doży usłyszałam już więcej, niż uważałam za potrzebne, toteż przeszłam do kwestii, która naprawdę mnie interesowała. – A Melisanda?

Moi kawalerowie jeden po drugim pokręcili głowami.

–Pani, pytaliśmy – przyznał Fortun. – Udawaliśmy pijanych d'Angelińskich marynarzy wzdłuż całego Wielkiego Kanału i tyłu pobocznych, że trudno zliczyć, a niektórzy z nas... – łypnął na Ti-Filipa – niezupełnie udawali. Remy śpiewał tę piosenkę, wiesz, którą? „Oczy zmierzchu, włosy nocy”. – Znałam ją, została napisana specjalnie dla Melisandy, dioc teraz wyśpiewywano ją z innym imieniem. – W każdym razie – podjął Fortun – śpiewał ją przez połowę miasta, błagając każdego, kto się nawinął, o wieści o umiłowanej, która porzuciła go z

powodu jego niskiego urodzenia. – Popatrzył na mnie poważnie. – Słyszałaś, pani, czego się dowiedzieliśmy. Ale nikt, absolutnie nikt nie słyszał o d'Angelińskiej szlachciance odpowiadającej opisowi Melisandy Szachrizaj. I nie sądzę, żeby nie chcieli powiedzieć pijanym marynarzom. Na pewno nikt o niej nie słyszał. Nauczyłaś mnie rozpoznawać, gdy ktoś udaje i unika odpowiedzi. Rozmawialiśmy z wioślarzami, tragarzami i szlachtą. Nikt jej nie zna i nikt nie kłamał.

Przy stole zapadła cisza.

–Fedro – zaczął Joscelin, niezwykle łagodnie – myślisz, że Melisanda jest w La Serenissimie, ponieważ ona chce, żebyś tak myślała. Tym samym to zrozumiałe, że

jej tutaj nie ma.

Ysandra powiedziała mniej więcej to samo i oboje wierzyli w swoje racje. Nie mogłam wyjaśnić Joscelinowi, nie bardziej niż królowej, swojej irracjonalnej pewności, ponieważ – czy chciałam to przyznać, czy nie – wynikała ona wyłącznie z przekonania, że znam naturę Melisandy Szachrizaj lepiej niż ktokolwiek żywy czy martwy, nawet Delaunay.

A ona знаła moją.

Zaczerpnęłam głęboko tchu.

–Nawiązała kontakt z przyjacielem Gonzago de Escabaresa po jego wizycie w pałacu doży. Jeśli odpowiedź jest tutaj, to na pewno w obrębie tych murów, a jeśli Melisanda znalazła w nich schronienie, nikt poza nimi nie musi o tym wiedzieć. Zastanówcie się – dodałam, wodząc wzrokiem po ich twarzach. – Wiemy, że Stregazza są zdolni do zdrady i nawet teraz walczą pomiędzy sobą o tron, który jeszcze nie został zwolniony. Pozwólcie mi. przynajmniej zdobyć zgodę na wstęp do pałacu, zanim stwierdzimy, że odbyliśmy tę podróż na darmo.

–Nie na darmo – stwierdził Ti-Filip całkiem trzeźwo – skoro przyniosła zysk.

Temu nikt z nas nie mógł zaprzeczyć. Pieniądze zawsze są ważne.

Następnego dnia przed zachodem słońca przekonałam się, że są doskonałym smarem pomagającym otworzyć zamknięte drzwi. Leonora zbudziła mnie rankiem, szepcząc z przejęciem o posłańcu w liberii Stregazza. Kazałam mu poczekać, dopóki się nie umyję i nie ubiorę, a potem przeczytałam list. Severio napisał, że umówił mnie na popołudniową audiencję u doży i że bardzo mu zależy na mojej obecności, bo później chce ze mną porozmawiać.

Dodał, że wysłał list do księcia Benedykta, swojego dziadka ze strony matki, lecz do chwili obecnej nie doczekał się odpowiedzi, co wszakże go nie dziwi, zważywszy na napięte stosunki pomiędzy ich domami.

No cóż, pomyślałam, sama związałam sobie ręce, kiedy uparłam się na stworzenie pozorów, że jestem w złych stosunkach z królową. Gdybym poprosiła, Ysandra z radością zapewniłaby mi wstęp do Małego Dworu. Z drugiej strony, miałam mieć do czynienia ze Stregazza, a w tym przypadku nakaz wydany przez osobę z rodu Courcel nie wzbudziłby zaufania. W ostateczności mogłam powołać się na inne nazwiska – Kwintyliusza Rouse lub nawet Anafiela Delaunaya,

jeśli będzie trzeba. Dałam słowo admirałowi i zamierzałam go dotrzymać, najpierw jednak musiałam zdobyć jakieś wartościowe informacje. To z kolei miało być trudne bez rezygnacji z pozorów.

Napisałam odpowiedź, obiecując przybyć o wyznaczonej godzinie, i dałam list posłańcowi.

Ku mojemu zaskoczeniu Severio przysłał własną bissonę, wspaniałą łódź z granatowym baldachimem oraz herbem Stregazza na burtach, wyobrażającym znaną mi już z Arsenалу karakę i wieżę. Dziób zdobił złocony drewniany posążek Aszery, która w geście błogosławieństwa rozkładała ręce nad wodami kanału.

Po strojach wioślarzy poznałam, że są szlachetnie urodzeni. Mieli obcisłe spodnie w błękitne i szafranowe pasy oraz aksamitne kaftany rozcięte w taki sposób, że wyzierały spod nich adamaszkowe koszule. Jeden nosił krótką zieloną pelerynę spiętą złotą broszą. To on wstał i skłonił się szarmancko, gdy zesłam po schodach na nabrzeże.

–Hrabino Fedro nó Delaunay de Montreve! – zawołał. – Immortali witają cię w La Serenissimie!

–To jeden ze szlacheckich klubów. Koledzy Severia, gwarantuję – szepnął za moimi plecami Ti-Filip.

Na ten dzień wzięłam za towarzyszy jego i Joscelina; pierwszego z uwagi na dowcip i znajomość miasta, drugiego zaś z powodu poważnej postawy. Lekko skinęłam głową nieznanemu, a pozostałych wioślarzy obdarzyłam uprzejmym uśmiechem.

–Dziękuję, panie – powitałam Serenissimczyka, podając mu rękę, żeby pomógł mi wsiąść do bissony. – Znasz moje nazwisko, ja jednak jestem w gorszej sytuacji. – Benito Dandi. – Uśmiechnął się, składając kolejny ukłon. – Nie chciałaś przyjść na moje urodziny, pani, ale wyznam, że sam twój widok jest cennym darem pomimo opóźnienia! Nie chciałem wierzyć w przechwałki Severia, wygląda jednak na to, że mówił szczerą prawdę.

–Choć raz – zakpił jeden z jego towarzyszy i udał, że się śłania, gdy na niego spojrzałam. – Ach! To prawda! Ona rani mnie swoim krwią naznaczonym spojrzeniem!

Roześmiałam się wbrew własnej woli. Serenissimczycy nie czczą Elui i jego Towarzyszy, ale znają naszą religię dzięki długotrwałej obecności D'Angelinów w mieście. Najwyraźniej przechwałki Severia powiększyły tę wiedzę. Drugi Immortali rzucił wiosło i upadł na dno łodzi.

–Na dzwony i kominy! – jęknął, tarzając się i zakrywając uszy rękami. – D'Angelinowie zamierzają podbić nas pięknem i zniszczyć od środka. Baalu-Jupiterze, wybacz mi, bo wielbię brzmienie głosu mego wroga! Zrobili przedstawienie wystarczające, żeby skupić widownię: ludzie wychodzili na balkony okolicznych domów i przyglądali się nam z rozbawieniem. – Pani, masz audiencję u doży –

przypomniał Joscelin stanowczym tonem. – Aha. – Benito Dandi czujnie zmierzył go wzrokiem. – Przyzwoitka. Będziesz musiał zostawić broń u strażników przed wejściem do pałacu, piękny panie Ponuraku. Wybacz nam, hrabino, stanowimy niesforną gromadkę, ale w mieście nie ma szybszych od nas wioślarzy, a poza tym tylko Immortali są

przewoźnikami godnymi twojej osoby. Wezwij na pokład swoją śliczną, acz skrzeczącą siwą wronę i tego chłopca o twarzy dziewczicy, a dopłyniemy do domu Starego Trzęsionki, nim zdążysz mrugnąć okiem!

Uniosłam brwi, patrząc na Joscelina i Ti-Filipa z zaciekawieniem, czy wzdrygną się na te śmiałe słowa, lecz obaj spasowali – Joscelin ze sztywną godnością, a Ti-Filip”z błyskiem w oku, który powiedział mi, że w pełni wykorzysta ich błędną ocenę swojej osoby. Chłopiec o twarzy dziewczicy, pomyślałam, nabije swą kabzę złotem Immortali, gdy tylko zasiądą do gry w kości.

Wyruszyliśmy na spotkanie z dożą, którego potomkowie Stu Godnych Rodzin, jak właśnie się dowiedziałam, przezywali Starą Trzęsionką. Źle to świadczyło o jego autorytecie.

Po drodze ludzie w przepływających łodziach, na mostach i nabrzeżach pozdrawiali Immortali, którzy odkrzykiwali w odpowiedzi. Podziw, zazdrość, wyzwanie – to wszystko słyszałam w dźwięcznych zawołaniach. Z niemalą ciekawością spoglądano na mnie, toteż pilnowałam się, żeby zachować pogodny wyraz twarzy, nawet kiedy Benito podał moje nazwisko grupie kolegów z klubu na moście Rive Alto.

Dopiero za Campo Grandę moja nieproszona eskorta spoważniała, przywołana do porządku srogimi spojrzeniami straży pałacu doży. Benito Dandi pomógł mi wysiąść na brzeg, gdzie otrzepałam suknię z niebieskiego atlasu z aksamitnymi wstawkami; kolor ten zwano serenissimskim błękitem. Miałam też pas naszywany gagatowymi paciorkami i współgrającą z nim siateczkę na włosy. Strój był niemal ponury, lecz bardzo elegancki.

Odwróciłam spojrzenie, gdy straż konfiskowała broń Joscelina.

Immortali szli za nami, przekomarzając się ze śmiechem, gdy dwóch strażników prowadziło nas kolumnadą, przez naprzemienne pasy światła i cienia, a potem pod starym łukiem triumfalnym na wewnętrzny dziedziniec. Tam w niszach w fasadzie budynku stały posągi starożytnych tyberyjskich herosów i mężów stanu, a pośrodku ciemniała marmurowa studnia. Pokonaliśmy szerokie schody, na szczycie których, pomiędzy posągami Aszery z Morza i Baala-Jupitera, czekał Severio Stregazza. Jego głos zbudził echa na dziedzińcu.

–Fedro! – Ukłonił się z uśmiechem i przywitał mnie w moim języku: – Lady Fedro nó

Delaunay de Montreuve, witaj w La Serenissimie.

Dygnęłam i odparłam w caerdicci:

–Miło cię widzieć, książę Severio.

Immortali tręcali się łokciami i żartowali, strażnicy zdołali zachować kamienne miny, ale Severio promieniał z zadowolenia. Nie zapomniałam, że jego własni ludzie uznawali w nim pana szlachetnego, lecz nie królewskiego rodu, ja jednak byłam D'Angelina, a dla nas Severio był potomkiem rodu Courcel i księciem krwi.

W Terre d'Ange odstawał z powodu domieszki krwi caerdicci. Tutaj było inaczej. D'Angelińska krew przydawała mu wdzięku, jakiego brakowało jego towarzyszom. Ujął mnie pod ramię i szepnął do ucha:

–Nie masz pojęcia, jak bardzo za tobą tęskniłem. Obiecasz, że porozmawiamy później?

–Oczywiście, panie.

–To dobrze. – Wyprostował się i dodał: – Ojciec pragnie cię poznać. Chciałby pomówić o handlu lub czymś w tym rodzaju. Ja jednak wpadłem na pomysł, że wpięrw pokażę ci miasto.

–Z przyjemnością – odparłam uprzejmie, a brązowe oczy Seferia rozbłysły. Nie powinnam tego robić, lecz zerknęłam na Joscelina. Stał z obojętną miną, dziwnie bezbronny bez swoich sztyletów i miecza, odziany w gołębią szarość. Mimo wszystko wyglądał jak pełnokrwisty D'Angelin, potomek jednego z najstarszych rodów. Westchnęłam w duchu i uśmiechnęłam się do Severia Stregazza, kładąc czubki palców na jego aksamitnym rękawie. – Czy przedstawiś mnie doży, swojemu dziadkowi?

–Jakżeby inaczej, pani – odparł z galanterią, wykonując zamaszysty ukłon wolną ręką.

TRZYDZIEŚCI DWA

Zostałam przyjęta w Pokoju Tarczy, gdzie w wielkim kominku ryczał ogień, choć przecież mieliśmy środek lata. Na ścianie naprzeciwko paleniska wisiał herb panującego doży, znajoma wieża i karaka rodu Stregazza.

Pod herbami stał tron, skromny, drewniany. Na tronie zasiadał doża.

Plotka mówiła prawdę, Cesare Stregazza chorował na drżączkę. Skórę miał pomarszczoną i cienką jak pergamin, a jego ciałem wstrząsały drgawki. Na głowie, z wyglądu kruchej jak szklana bańka, nosił szpiczastą szkarłatną czapkę z jedwabnymi nausznikami, spod których wysuwały się kosmyki rzadkich włosów. Stanowiły dla mnie widok straszny i dziwny, bo włosy D'Angelinów nie rzednieją z wiekiem, jak bywa u innych ludów. Mogłam przekonać się na własne oczy, że w innych krajach nieuchronność śmierci objawia się bardziej dobitnie.

–Hrabina Fedra nó Delaunay de Montreve, dziadku – oznajmił Seyerio.

Dygnęłam i opadłam na kolana przed drewnianym tronem, patrząc spod spuszczonej powiek na pantofle doży. Na mojej głowie spoczęła ręka Cesara Stregazza, drżąca i delikatna, choć obciążona sygnetem.

–Słyszałem twoje nazwisko, dziecko – powiedział rwącym się głosem w swej ojczyściej mowie. Drgnęłam i popatrzyłam mu w oczy, ciemne i bystre, przysłonięte ciężkimi, pomarszczonymi powiekami. Choć głowa mu się trzęsła, spojrzenie miał bystre. – Zeszłej zimy Benedykt przysłał do mnie harfiarza z najnowszą d'Angelińską balladą. Opiewała bitwę ze Skaldami. Ty sprowadziłaś albijskie wojska.

–Tak, Wasza Wysokość.

–To dobrze. – Doża cofnął drżącą rękę, złożył dłonie na okrytych szkarłatną szatą kolanach. Błysnęła złota pieczęć, sygnet z Koroną Aszery. – Potrzebujemy młodych dzielnych ludzi, nawet dziewcząt, do walki nie tylko pomiędzy sobą – dodał słabym głosem, przenosząc spojrzenie na Severia. Dostrzegłam błysk w jego ciemnych oczach. – Serenissima, Pogodna Republika!

W jego tonie wyczytałam pogardę i poczucie niemocy. Severio zarumienił się, nim jednak zdążył się odezwać, wystąpił inny mężczyzna – w średnim wieku, przystojny jak na Serenissimczyka, z ciemnymi oczami doży.

–Hrabino, miło cię poznać. Jestem Marco Stregazza, ojciec Severia. – Chwycił moją rękę i podniósł mnie z klęczek, a następnie zgiął się w ukłonie. – A to... – dodał, odwracając się – Maria Celestyna de la Courcel Stregazza, moja żona.

–Pani – powiedziałam, kłaniając się.

–Och, nie trzeba! – zawołała impulsywnie dama, ujmując moje dłonie. – Fedro, tak się cieszę, że tu jesteś! Nie mogłam się doczekać, kiedy usłyszę najświeższe ploteczki i nowinki z Miasta, a odkąd skłóciłam się z ojcem, nieczęsto widuję d'Angelińskie twarze. Obiecuj, że o

wszystkim mi opowiesz!

–Oczywiście, pani – zapewniłam z rozbawieniem. Starsza córka Benedykta, a także siostrzenica i synowa doży, była na swój sposób atrakcyjna, pulchna, w kwiecie wieku. W jej ciemnoniebieskich oczach, we wdzięcznej krzywiźnie czoła doszukałam się spuścizny rodu Courcel. – Próbowałam wyjaśnić, na czym polega służba Naamie i czym jest dla D'Angelinów – wyznała konfidencjonalnym szeptem. – Ale rozumiesz, to prowincjusze.

–Co kraj, to obyczaj. La Serenissima nie jest Miastem Elui.

Severio mruknął coś pod nosem.

–Fedro, proszę – powiedział Marco wylewnie, otwierając ramiona – wypij z nami kieliszek wina. Severio, jestem pewien, że wraz ze swoimi zwariowanymi Immortali możesz przez jakiś czas zabawić ludzi hrabiny. Ojczy, czy chcesz jeszcze coś dodać?

Odruchowo spojrzałam na dożę. Ruch jego głowy mógł zostać wzięty za przytaknięcie lub przeczenie. Rodzina z pewnością uznała, że chodzi o to drugie. Ale mój pan Delaunay zawsze powtarzał, że trzeba patrzeć dwa razy. Zrozumiałam, że jest to tylko drzączka, i uklęknęłam przed dożą.

W głębi ciemnych oczu dostrzegłam błysk aprobaty.

–Odwagi i wizji. – Doża położył drżącą rękę na moim policzku, chłodząc go twardym sygnetem. – Pamiętasz, co powiedziałem. I przyjdź, dziewczyno, żeby dla mnie zaśpiewać. Benedykt nie przysyła śpiewaków od czasu tej idiotycznej kłótni. Czy śpiewasz?

–Tak, panie – przyznałam, trochę zdezorientowana.

–To dobrze. – Cesare Stregazza wyprostował się, zadowolony z mojej odpowiedzi. – D'Angelinowie zawsze mieli najlepszych poetów i dziwki. I śpiewaków. Chcę posłuchać d'Ange!ńskiego głosu, zanim przekłete proroctwo Aszery wpędzi mnie do grobu!

–Wuju! – syknęła zgorszona Maria Celestyna.

–Jestem stary – odparł zrzędliwie. – A wy walczyście o tron, choć jeszcze z niego nie zstąpiłem. Mam prawo prosić o co tylko zechcę, nieprawdaż?

Popatrz dwa razy, pomyślałam, wspominając błysk w tych zapadniętych oczach. Niezależnie od tego, jaką grę prowadził, wzięłam w niej udział. Podniosłam się płynnie, pochylając głowę.

–Panie, zostałam wyszkolona w Domu Cereusa, Pierwszym spośród Trzynastu Domów Dworu Nocy. Zaśpiewam dla ciebie, kiedy tylko zechcesz, i będzie to dla mnie zaszczytem.

–To dobrze. – Doża machnął suchą szponiastą ręką, błyskając złotym sygnetem. – Możecie odejść.

–Idziemy? – zapytał skwapliwie Marco Stregazza.

Zerknęłam na Ti-Filipa i Joscelina, moich milczących przybocznych. Na twarzy drugiego widniało coś w rodzaju buntu. Severio sprawiał wrażenie zniecierpliwionego, ale podporządkował się ojcu.

–Tak, panie – powiedziałam do Marka. – Jestem pewna, że moi ludzie z przyjemnością skorzystają z chwili wytchnienia.

Prywatne komnaty Marka i Marii Celestyny Stregazza były luksusowo urządzone. Elegancka mozaika na podłodze wyobrażała ich domniemanego przodka, Marcellusa Aureliusza Stregę, siedzącego na stołku z kości słoniowej z pękiem fasces w pozie podobnej do tej, jaką przy mnie przyjął jego młody potomek. Pokój łączył się z loggią, z której roztaczał się widok na ujście Grand Canal i lagunę. Piliśmy wino i spacerowaliśmy, podziwiając widoki.

–Widzisz? – zapytał retorycznie Marco Stregazza, wskazując kieliszkiem niezliczone statki wpływające do portu i z niego wypływające. – Handel! Życiodajna krew Republiki!

–Robi wrażenie, panie – odparłam szczerze.

–Tak. W istocie. – Skinął szorstko na służącego, każąc dolać wina do mojego kubka. – Severio opowiadał mi o tobie ciekawe rzeczy – rzekł oględnie.

Odstawiłam kubek, nie kosztując wina, i uniosłam brwi.

–Na przykład?

–Na przykład to, że wydał na ciebie dwadzieścia tysięcy moich dukatów... i że nigdy mądrzej nie zainwestował grosza – dodał z konsternacją.

Zarumieniłam się, ale mając na względzie honor Naamy – i własny – starałam się nie stracić panowania nad głosem, mówiąc:

–W d'Angelińskim towarzystwie to, co nabył twój syn, jest bezcenne. Zyskał sławę. Czy żałujesz wydanych pieniędzy, panie?

–Czy ty mnie słuchasz? – Szeroki uśmiech odmłodził twarz Marka. – Ani jednego miedzianego centyma! Nasze obyczaje naprawdę się różnią. Tutaj prędzej umrzemy ze wstydu, niż pozwolimy kurtyzanie nosić szlachecki tytuł, ale tam spotkanie z tobą zapewniło mu wpływy i wielbicieli. Jeden z nich donosi, że poróżniłaś się z królową z powodu cruarchy Alby. Ja jednak wiem, że przywiozłaś ładunek albijskiego ołowiu, na którym zresztą nieźle zarobiłaś. – Odstawił kubek i złączył dłonie czubkami palców. – Myślę sobie, hrabino, że Terre d'Ange obrośnie tłuszczem na pośredniczeniu między Albą a resztą świata. Ale tak być nie musi. Alba nie ma floty kupieckiej, w przeciwieństwie do La Serenissimy. Gdyby ktoś pozostający w dobrych stosunkach z cruarchą dobrze się postarał, handel bezpośredni przyniósłby ogromne profity.

Tego następstwa zainscenizowanej niełaski nie wzięłam pod uwagę choć dobrze wiedziałam, że podróżujący lądem kurierzy dostarczą wieści a wraz z nimi plotki, na długo przed moim przybyciem. Starannie dobrałam słowa, żeby zyskać pewność, czy na pewno o to mu chodzi:

–Chcesz, abym nakłoniła cruarchę do handlu z La Serenissima?

Marco wzruszył ramionami i napił się wina.

–Chcę, żebyś rozważyła taką możliwość, nic więcej. Przyznam, hrabino, jestem ambitny. Widziałaś mojego ojca. Jest trochę obłąkany, jak myślę, i jego szaleństwo powiększa się z każdym dniem. Książę Benedykt, rozkochany w swojej młodej żonce i pełnokrwistym

d'Angelińskim synu, już nie wspiera naszej rodziny. Boi się, że jesteśmy napiętnowani od czasu zdrady Dominika i Teresy. Być może to się zmieni, ale mniejsza z tym. Jestem Serenissimczykiem i będę zabiegał o względy swojego miasta w taki sposób, do jakiego przywykło. Tak, chcę handlować, lecz na uczciwych warunkach. Królowa jest ci niechętna. Niechęć może minąć, podobnie jak zaślepienie Benedykta, ale masz przed sobą całe życie i nie musisz tańczyć tak, jak zagrają d'Angelińscy władcy. Czy zastanowisz się nad moją propozycją?

–Panie, zastanowię się – odparłam powoli. – Ale sam zysk nie wystarczy, żebym odwróciła się plecami do swojej ojczyzny.

–Mój syn cię uwielbia – oznajmiła Maria Celestyna z serenissimską przebiegłością na d'Angelińskiej twarzy. – Fedro, moja droga, możesz mieć wpływy we własnym

kraju, ale w La Serenissimie kurtyzany nie wchodzią do Stu Godnych Rodzin. Za swobodny handel z Albą... cóż, zdarzają się wyjątki.

Musiałam niemal przygryźć wargi, żeby powstrzymać się od śmiechu, i pochyliłam głowę nad kubkiem, ukrywając rozweselenie. Lubiłam Severia, ale wychodzić za niego za mąż – Eluo uchowaj! Potrafiłam jednak docenić brutalną szczerość Stregazza, ich ambicję i wyłożenie kart na stół. Miałam też pewien pomysł.

–Pani, jest coś, co mnie interesuje – powiedziałam z lekkim ukłonem. – Szukam dawnej znajomej, Melisandy Szachrizaj. Słyszałam, że wiecie coś o niej.

–Och, moja droga! – Maria Celestyna zbladła. – Znam to nazwisko. Ojciec, księżę Benedykt, także jej szukał, niespełna dwa miesiące temu. Jest zdrajczynią narodu, prawda?

Jak wielką wagę przywiązujemy do własnych zmartwień! Wydawało mi się dziwne, że cały świat nie słyszał o zdiadzie Melisandy, ale przecież nie było w tym nic dziwnego. Zawsze wiedziałam, że Melisanda prowadzi głęboko zakonspirowaną grę. Została skazana doraźnie przez sąd w garnizonie Troyes-le-Mont i na palcach mogłam zliczyć świadków tego wydarzenia. A co do tych, którzy mieli dowód... cóż, byłam tylko ja. Widziałam skreślony jej ręką list do Waldemara Seliga ze Skaldii. Nie istniał żaden inny trop.

Ten brak rozgłosu mogłam teraz wykorzystać na własną korzyść i modliłam się, żeby Stregazza wiedzieli o mnie nic więcej ponad to, co powiedział im Severio.

–Podobno, pani – odparłam ostrożnie. Sztuką jest wyrażanie pewnych rzeczy w taki sposób, żeby słuchacze usłyszeli to, co chcą usłyszeć. – Oczywiście, pomogłoby mi to wrócić do łask królowej... – chrząknęłam lekko – niezależnie od tego, jak potoczą się losy handlu z Albą. Ale Melisanda jest moją dawną znajomą i chętnie spotkałaby się ze mną, jak sądzę.

–Nie. – Marco pokręcił głową. – Benedykt ją opisał i nikt, kogo znamy, nie pasuje do tego opisu. Wierz mi, młoda hrabino, handel to jedna sprawa, a dworska polityka druga. Gdybym wiedział cokolwiek o d'Angelińskiej zdrajczyni, nie wahałbym się kupić za tę informację wdzięczności mojego teścia – dodał ponuro.

Otworzyłam usta, chcąc odpowiedzieć, ale przerwało mi zamieszanie przy drzwiach komnaty. Odwróciłam się i zobaczyłam nieznanomego Serenissimczyka. Miał ciężkie powieki typowe dla Stregazza, schludną bródkę w szpic i kędzierzawe włosy nakryte miękkim beretem.

–Marco – zaczął bezceremonialnie – dlaczego na cech siodlarzy nałożono dziesięcioprocentowy podatek za handel w dni świąteczne? Mieliśmy umowę!

Marco Stregazza zatrzepotał powiekami.

–Ricciardo, mamy gościa.

–To miło. – Ricciardo Stregazza nonszalancko machnął ręką. Obrzucił mnie pobieżnym spojrzeniem, które szybko zbystrzało. – Na Aszerę! Cóż to za śliczną rybkę tym razem złapałeś na haczyk?

–Hrabina Fedra nó Delaunay de Montreve – przedstawiła mnie po d’Angelińsku Maria Celestyna. – Fedro, to brat mojego męża, Ricciardo Stregazza.

–Hrabino... – Ricciardo z ukłonem ujął moją rękę – jesteś zbyt piękna, żeby brać udział w drobnych intrygach mojej bratowej – powiedział cynicznie. – Wyświadczyć mi zaszczyt i przyjmij zaproszenie na kolację, abym mógł wraz z żoną pokazać ci, że serenissima gościnność nie zawsze wiąże się z interesami.

–Czuję się zaszczycona, panie – odparłam uprzejmie w caerdicci.

–Z żoną! – Maria Celestyna zaśmiała się niezbyt wytwornie. – Przedni żart, Ricciardo.

Jego twarz stężała.

–Tryskasz jadem, siostró, ale nie kieruj go na Allegrę. Marco... – odwrócił się do brata – obiecano Scholae, że po podpisaniu traktatu z Efezum podatki nie wzrosną. Ten przypadek omija naszą umowę.

–Jeśli nie chcą płacić podatków, nie muszą handlować w dni świąteczne – zauważył Marco rozsądnie.

–I mają tracić trzecią część zysków? – Ricciardo szarpnął z irytacją ciemne kędziory. – Równie dobrze możesz kazać im wyrzucić połowę towaru do rzeki! Marco, poręczyłem słowem.

–Zwróć się z tym do Consiglio Maggiore – odparł Marco ze zmęczeniem w głosie. – To ich zarządzenie, oni je wydali.

–Na czyje życzenie? – zapytał Ricciardo groźnie.

–Nie moje. – Marco wzruszył ramionami i rozłożył ręce. – Zapytaj, bracie, jeśli mi nie wierzysz. To ty umizgujesz się do Sestieri Scholae, nie ja. Jeśli chcą cię zlinczować za dawanie obietnic bez pokrycia, nie mogę temu zaradzić. To twój problem.

Przysłuchiwanie się rodzinnej sprzeczce nigdy nie jest miłe, szczególnie, gdy w grę wchodzi wątek polityczny. Mruczając pod nosem coś niezobowiązującego, odsunęłam

się od nich, żeby popatrzeć na lagunę. Ricciardo Stregazza próbował trzymać nerwy na wodzy.

–Porozmawiamy o tym później – uciał krótko, po czym zwrócił się do mnie: – Pani Fedro, pływasz po niebezpiecznych wodach, zadając się ze Stregazza, ale błagam, nie odrzucaj mojego

zaproszenia. Moja żona... – rzucił jadowite spojrzenie na Marię Celestynę – będzie zachwycona, mogąc porozmawiać z kimś takim jak ty.

Wyszedł, a Marco Stregazza westchnął lekko zirytowany, przeciągając rękami po twarzy.

–Wybacz, hrabino – przeprosił. – Mój brat jest trochę... niepowściągliwy. Stał się taki, gdy nasz ojciec oświadczył, że przynosi wstyd rodzinie. Z rozpaczki zabiega o względy Scholae i składa tym prostackim handlarzom nieprzemysłane obietnice, a potem, kiedy nie może ich spełnić, lęka się ich gniewu. – Ze smutkiem pokręcił głową. – Tworzą niedobraną partię pod każdym względem, ale Ricciardo jest zdecydowany walczyć o urząd ojca. Zrobiłbym, co w mojej mocy, by go chronić, lecz obawiam się, że odpłaciłby mi zdradą.

Maria Celestyna zatrzepotała wachlarzem i z kwaśną miną napiła się wina.

–Zrobiło się gorąco – poskarżyła się. – Marco, każ przynieść schłodzony dzbanek. – Kiedy mąż wyszedł, żeby wezwać sługę, pochyliła się ku mnie konfidencjonalnie. – Niestety, Ricciardo cierpi na d'Angelińską chorobę. Ojciec nie będzie zadowolony, kiedy wybuchnie skandal.

–D'Angelińską chorobę? – powtórzyłam, nie wiedząc, o co jej chodzi.

–No wiesz. – Znacząco uniosła brwi. – Lubi chłopców.

–Aha. – Nagle stał się dla mnie jasny jeden podtekst ich gorzkiej wymiany zdań. Obracałam w rękach kubek, patrząc na statki na lagunie. – W La Serenissime nazywacie to chorobą.

–Tak, mówiłam ci, oni wszyscy są prowincjuszami. – Zniżając głos, dodała: – Nie powiem tego Marcowi, bo mimo wszystko kocha brata, ale gdybym szukała osoby związanej z d'Angelińskim zdrajcą, zaczęłabym od Ricciarda. Za sprawą swoich... skłonności trafia w dziwne miejsca i nie darzy miłością Małego Dworu, choć nie traci nadziei na zawarcie pokoju. – Wrócił Marco, a Maria Celestyna po macierzyńsku poklepała mnie po ramieniu i zawołała innym tonem: – Wejdźmy do środka i usiądźmy, moja droga! Muszę wiedzieć, kto uszył ci suknię. Czy w tym sezonie są modne takie proste linie?

Pomyślałam o Favrieli nó Dzika Róża i zastanowiłam się, co powiedziałyby na widok stroju Marii Celestyny, będącego kwintesencją stylu serenissimskiego – długa rozcięta suknia bez rękawów, zdobiona aplikacjami i ażurowym haftem, przewiązana pod biustem złotą wstążką, noszona na jedwabnej tunice z obcisłymi rękawami. Stroju, według mnie okropnego, dopełniał turban z gazy i sandały na drewnianych, wysokich na cztery cale koturnach – nazywali je pattenkami.

–Niezupełnie, pani – odparłam dyplomatycznie. – Moja szwaczka jest jedyna w swoim rodzaju.

Maria Celestyna de la Courcel Stregazza uśmiechnęła się.

–Musisz mi teraz wszystko opowiedzieć.

TRZYDZIEŚCI TRZY

Było późne popołudnie i plac zalewało złote światło, kiedy Severio wrócił po mnie do pałacu doży. Zostawiłam Marię Celestynę z tyloma poradami na temat aktualnej d'Angelińskiej mody, że mogłaby rywalizować z Małym Dworem – co nie znaczy, że miała z tych rad skorzystać – a Marka z obietnicą rozważenia jego propozycji.

Immortali stawili się w tym samym składzie, a wraz z nimi Ti-Filip i Joscelin. Wolałabym porozmawiać na osobności z moimi przybocznymi, musiałam jednak poczekać na odpowiednią chwilę.

–Lady Fedro – zagadnął Severio, rycersko wyciągając rękę – pospacerujemy po placu? To najprzyjemniejsza pora na przechadzkę.

–Oczywiście. – Skrywając zniecierpliwienie, z uśmiechem ujęłam go pod ramię, ignorując milczącą dezaprobatę Joscelina. Odzyskał swoją kasjelicką broń, pomyślałam, i to powinno mu wystarczyć. Ti-Filip, w przeciwieństwie do niego, był w doskonałym humorze i przekomarzał się z Immortali.

Przypuszczam, że spacer sprawiłby mi przyjemność, gdyby nie pochmurna mina Joscelina. Przechadzaliśmy się z Severiem jak para kochanków wysokiego rodu, przyglądając się towarom wystawionym na sprzedaż oraz barwnemu tłumowi handlarzy i kupujących. Plac był wyłożony białym marmurem, w którym wycięto znaki cechowe różnych Scholae, wyznaczające miejsca dla straganów poszczególnych rzemiosł.

Gwarne targowisko w sąsiedztwie pałacu doży i świątyni Aszery było dla mnie czymś dziwnym i egzotycznym. W Terre d'Ange oddzielamy miejsca kultu i siedziby władców od pospolitego otoczenia. Ale Marco Stregaza powiedział prawdę: handel jest krwią Republiki, więc chyba słusznie, że jego serce bije w centrum La Serenissimy.

Pończosznicy, krawcy, rękawicznicy – wszyscy mieli swoje cechy i wszyscy wystawiali swoje wyroby, a był to dopiero początek. Mijaliśmy kramy szewców, bednarzy i stolarzy, jubilerów, mydlarzy, rolników i kupców korzennych, rybaków, rzeźników, golibrodów, kowali i rymarzy. Mieszczanie w szorstkich barchanach i przekupki w szalach targowali się ze szlachtą w jedwabiach i aksamitach. Tu i ówdzie widzieliśmy spacerujące pary. Młodym niezamężnym kobietom w skromnych jedwabnych chustkach na głowach towarzyszyły srogie matrony.

Cóż, pomyślałam, będę musiała uważać na swoje zachowanie.

Do awantury doszło prędzej, niż mogłam przypuszczać. Przystanęliśmy akurat przed straganem kupca z Dżebe-Barkal, sprzedającego ptaki o zdumiewająco

barwnym upierzeniu. Widziałam kobiety z wiklinowymi klatkami i domyślałam się, że ptaki są modnym prezentem dla ukochanych. Nie zabawiłabym tam długo, ale zaintrygował mnie dżebeński handlarz. Białka jego oczu i zęby błyskały śnieżną bielą na tle ciemnobrązowej skóry. Uśmiechał się, kiedy

próbowałam z nim porozmawiać – miał taki okropny akcent, że ledwo go rozumiałam, ja z kolei mówiłam klasycznym caerdicci, nie miękkim serenissimskim dialektem, do którego był przyzwyczajony. Mimo wszystko doszliśmy do porozumienia i dowiedziałam się, że ptaki pochodzą z jego ojczystego kraju:

Jakże wielki jest świat i jak niewiele widziałam, pomyślałam, kiedy głos Severia wyrwał mnie z zadumy. Jego ręka mocno zacisnęła się na moim nadgarstku.

–Fedro... – rzekł cicho, a gdy uniosłam wzrok, napotkałam jego palące spojrzenie – Fedro, kupię ci papugę, kupię ci rumaka, całą karawanę wielbłądów z Umajatu, jeśli tylko zechcesz. Dam ci złoconą bissonę, dom nad Wielkim Kanalem, willę na wsi! Powiedz, czego pragniesz, a ja spełnię twoje życzenie! Postaw warunki i spiszemy kontrakt. Tylko obiecaj, że odbędziemy spotkanie.

Choć raz byłabym rada z obecności mojego nadopiekuńczego kasjelity, bo jego zła mina zwykle studziła zapędy klientów. Pech chciał, że akurat w tej chwili odwodził Ti-Filipa od wtykania palca pomiędzy pręty wiklinowej klatki. Byłam zdana wyłącznie na siebie.

–Panie, pochlebiasz mi – odparłam grzecznie – ale służba Nammie w tym mieście jest niezbyt rozsądna. Sam mi powiedziałaś, kiedy się poznaliśmy: „W La Serenissimie trzymamy kurtyzany tam, gdzie ich miejsce”.

–Naprawdę? – Severio puścił moją rękę, zaczerwieniony po korzonki włosów. – Łaskawa Pani Morza, byłem ograniczonym zarozumiałcem – mruknął. – Ale rozumiesz, jak wygląda życie tutaj, w tej sieci wiecznych intryg, prawda? I jak w głębi duszy czułem się w Mieście Elui. – Popatrzył na mnie z żarem w oczach. – Fedro, nigdy nie doznałem większej rozkoszy, ale przysięgam ci, nie tylko o to chodzi. Odmieniłaś mnie, Fedro, i pogodziłem, się z tą stroną siebie, na którą dotąd pomstowałem. Przyjemność mogę znaleźć wszędzie, bo nie brakuje kobiet, które za pieniądze gotowe są na wszystko. Tylko ty robisz to ku swojej chwale.

–Tak, w Terre d'Ange – wyszeptałam. Nie spodziewałam się, że wysunie tak nieodparty argument. – Panie, w La Serenissimie okryłabym się hańbą.

–Czy Naama zhańbiła się, gdy legła z królem Persji? – zapytał przebiegle. Zapomniałam, że był w jednej ćwierci D'Angelinem i znał nasze legendy. – Czy przyniosła sobie wstyd, kiedy kładła się w gospodach Bhodystanu, żeby Elua mógł przeżyć?

–Nie – burknęłam. – Ale, Severio, ja nie jestem Naamą, tylko jej służą. Muszę pomyśleć.

–Zatem pomyśl. – Wziął mnie w ramiona i przytulił. Poczułam ciepło jego ciała i sztywny członek, prężący się pod aksamitnymi spodniami, naciskający na moje podbrzusze. Kolana ugięły się pode mną. – Jeśli nie chcesz mnie jako klienta – powiedział cicho, poruszając oddechem moje włosy – pozwól mi ubiegać się o swoją rękę. Są sposoby, żeby osiągnąć wszystko. Dzięki twojemu sprytowi, urodzie i tytułowi oraz pieniądzom i pozycji mojego ojca, pewnego dnia możemy razem rządzić La Serenissima.

Nigdy nie marzyłam o władzy wyrastającej poza tę, jaką ma pierwsza kurtyzana w Mieście Elui. Gdyby nie chłód w stosunkach z Joscelinem, nie poświęciłabym jednej myśli propozycji Severia Stregazza. Na d'Angelińskiej ziemi odrzuciłabym ją z wdziękiem. Przebywałam jednak w obcym mieście i samotnie angażowałam się w przedsięwzięcie, które nawet moi najbliżsi towarzysze uważali za chybione. Tak, przez kilka sekund bawiła mnie myśl o związaniu się z Severiem Stregazza.

I odgrywaniu roli suplikanta tyberyjskiego magistrata.

Nie, pomyślałam, jeśli Kusziel mnie naznaczył, to niechybnie dla większego celu.

–Panie – zaczęłam lekkim tonem, uwalniając się z jego ramion subtelnym, kokieteryjnym ruchem, jaki wszyscy adepci Domu Nocy ćwiczą do perfekcji – oszałamiasz mnie prędkością! Co do służby Naamie, podałam odpowiedź. Co do zalotów... – z uśmiechem musnęłam czubkami palców jego policzek – nie zdobędziesz ręki hrabiny de Montreve za pomocą tych samych środków, które zapewniły ci usługi Fedry nó Delaunay. Słyszałam, że serenissimscy mężczyźni zaliczają się do najbardziej romantycznych w świecie. Miałam nadzieję, że to oznacza coś więcej niż obłapianie na targu.

Severio jęknął głośno, a w tej samej chwili zadźwięczały dzwonki. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiałam, że jedno z drugim nie jest powiązane.

Wcześniej nie wiedziałam, że kapłanki Aszery codziennie składają libację, wylewając kilka kropel wina do wód laguny pod wielkim posągami bogini. Patrzyłam, jak wracają, sześć w dwóch rzędach, eskortowane przez czterech gładkoliczych mężczyzn ze srebrnymi włóczniami i dzwonkami. Później dowiedziałam się, że są oni eunuchami, którzy dobrowolnie pozbawili się męskości, aby służyć bogini.

Kapłanki nosiły szaty z niebieskiego jedwabiu, a na nich srebrną siatkę. W przeciwieństwie do innych serenissimskich kobiet nie używały wysokich pattenek, tylko chodziły boso, a nad ich kostkami pobrzękiwały maleńkie dzwonki, zawieszane na srebrnych łańcuszkach. Włosy miały rozpuszczone, ale twarze przysłonięte

woalami.

I to jakimi! Widziałam w życiu mnóstwo jedwabnego tiulu. Nosiłam go przebrana za Marę i często w służbie Naamie, gdy klient wcielał się w paszę, a ja w odaliskę z haremu. Woale kapłanek nie były tiulowe, lecz uplecione misternie ze srebrnych drucików, z nanizanymi na nie szklanymi paciorkami, które migotały w słońcu. Wyglądały naprawdę prześlicznie i nie wątpię, że już dawno weszłyby w modę w Terre d'Ange, gdyby ich noszenie nie zakrawało na bluźnierstwo.

Tak wyglądały kapłanki Aszery z Morza, którą czczą wszyscy Serenissimczycy. W Terre d'Ange nie otaczamy jej kultem, ale, ponieważ jest aspektem samej Matki Ziemi, w łonie której poczęty został Błogosławiony Elua, szanujemy związane z nią obyczaje. Gdy kapłanki nas mijaly, dotknęłam palcami czoła i serca, a potem pochyliłam głowę. Kątem oka zobaczyłam, że Joscelin i Ti-Filip wzięli ze mnie przykład. Podobnie postąpili wszyscy w zasięgu wzroku, nie

wyłączając dżebeńskiego kupca.

Moje pole widzenia nie obejmowało Jeszuitów. Na nieszczęście któryś z Immortali wypatrzył jednego.

–Hej, ty tam! – Jego głos podniósł się do krzyku jeszcze zanim tłum zamknął się za procesją Aszery. – Na co się gapisz? Spuść wzrok, przeklętniku!

Zobaczyłam, że kilku Immortali otacza nieszkodliwego z wyglądu mężczyznę w plebejskim stroju, z żółtą czapką na ciemnych włosach.

–Nie chciałem nikogo obrazić – powiedział z cieniem wyzwania w głosie. – Nie czczę Aszery z Morza. Nasze przykazania zabraniają nam spuszczać wzrok przed fałszywymi bożkami i prorokami.

Do tej pory nie wiedziałam, że jest Jeszuita. Nie miałam też pojęcia, że serenissimskie prawo nakazuje wszystkim wyznawcom Jeszui nosić żółte czapki, ale rozpoznałam akcent – i znałam ich święte przykazania. Rabbi tego dopilnował; mogłabym z pamięci wyrecytować treść Tablic Mojszego.

–A wedle naszych przykazań – wycedził Immortali złowieszczo – powinieneś spuścić wzrok! – Wyciągnął nóż i skinął głową na towarzyszy. – Łapać go!

Tłum się rozproszył, robiąc wolne miejsce wokół Jeszuity. Immortali przyskoczyli do niego i strącili mu czapkę z głowy. Usłyszałam jednoczesny szmer dwóch wyjmowanych sztyletów.

–Pani. – Ti-Filip zjawił się przy mnie i z irytacją powiedział po d'Angelińsku: – Powtarza się Południowy Fort. Nie mam zamiaru umierać za tego durnego bohatera,

ale zrobię to, jeśli każesz.

–Nie. – Westchnęłam, patrząc na Joscelina, który własnym ciałem osłaniał Jezuitę. Skrzyżowane sztylety, jasne i lśniące w słońcu, tworzyły śmiercionośną barierę przed Immortali. Oceeniłam wzrokiem towarzyszy Severia i uznałam, że chcieli tylko nastraszyć Jezuitę. – Panie! – zawołałam do Severia. – Jeśli chcesz ubiegać się o moje względy, błagam cię, nie pozwól, żeby twoi towarzysze przelali krew moich ludzi w mojej obecności.

Severio Stregazza nie był tchórzem. Wszedł pomiędzy Immortali, opuszczając ich podniesione ręce.

–Dość, dość! Napędziliście mu strachu, na długo zapamięta tę nauczkię. Zostawcie w spokoju strażnika mojej pani! Kim jesteście, szlachtą czy rzezimieszkami?

Po paru sekundach Immortali ustąpili, wspaniałomyślnie puszczając zatarg w niepamięć; dwaj pokleпали Joscelina po ramieniu, co ten zniósł ze sztywną godnością. Ti-Filip podniósł żółtą czapkę i przyniósł ją mnie. Podeszłam do Jezuity.

–Nic ci się nie stało? – zapytałam w caerdicci, podając mu nakrycie głowy.

–Nic, dziękuję – odparł z roztargnieniem, zakładając czapkę na głowę i pilnie wpatrując się w Joscelina. Nie nosił tradycyjnych pejsów i ze złością zaciskał pięści. Schizmatyk, pomyślałam, lecz mimo to uznałam, że jego zainteresowanie Joscelinem jest bardzo wyjątkowe. Zdumiałam się jeszcze bardziej, kiedy pod nosem wymruczał w habiru: – I on wytnie drogę przed tobą, a

ostrza niczym gwiazdy rozbłyszczą w jego rękach.

Joscelin odwrócił się i szeroko otworzył oczy, gdy usłyszał te słowa. Jezuita uklonił się i zniknął w tłumie. Napotkałam zdziwione spojrzenie mojego kasjelity i zastanowiłam się, co to wszystko oznacza.

–Ha, Immortali pozwalają bezkarnie znieważać Łaskawą Panią Morza – powiedział ktoś szyderczo za moimi plecami. Odwróciłam się i zobaczyłam członków innego szlacheckiego klubu w zielono-białych rajtuzach. Przywódca gwałtownie poderwał rękę, aż zafalowała chlamida, którą nosił na tunice. – Staliście się bojaźliwi, odkąd utraciliście poparcie d'Angelińskiego księcia. Perpetui z Sestieri Navis nie puściliby płazem takiego policzka wymierzonego Dea Coelestis!

–Piętro Contini, licz się ze słowami – wycedził Severio – bo mam ochotę dać komuś w zęby. Jeśli nie chcesz zbierać swoich z placu, lepiej zmykaj do Lorenza Pescaro!

–Miałbym zmarnować taką doskonałą okazję? – Przywódca Perpetui uśmiechnął się drapieżnie i wyciągnął krótką pałkę zza pasa. – Nie sądzę.

Zamachnął się, mierząc w głowę Severia, który z przekleństwem na ustach zrobił szybki unik i walnął go pięścią w brzuch. Przywódca Perpetui stęknął, pięści i pałki poszły w ruch, tłum rozproszył się na nowo. Pary kochanków przystanąły, jakaś kobieta radośnie klaskała w ręce, zadowolona z rozrywki. Gromada Perpetui rzuciła się na Severia, potomka największego wroga ich Sestieri, a on walczył z nimi, osłaniając głowę. Piętro Contini odzyskał oddech i ryczał, żądny krwi. Immortali włączyli się do bijatyki, a Ti-Filip wykrzykiwał moje imię jak pean, gdy moi kawalerowie ruszyli do boju.

–Fe-dra! Fe-dra!

Ciała zderzały się, było słychać łoskot drewna i pięści. Benito Dandi wyrwał pałkę jednemu z Perpetui i okładał go jak oszalały. Fortun wyrósł u boku Severia i prężąc szerokie ramiona odrzucał napastników z niemal znudzoną miną, podczas gdy Remy i jeden z Immortali bronili jego tyłów, bez litości okładając napastników. Młodzi ludzie bili się nie na żarty i krew zalewała marmurowe płyty Campo Grande.

Przyglądałam się, stojąc przy straganie dżebeńskiego handlarza, którego radość mąciła tylko troska o skrzydlatych podopiecznych. Nie musiał się martwić. Klnąc w wielce niekasjelicki sposób, Joscelin stał na straży przed kramem i walczył bez wyciągania sztyletów. Jeden zamaszysty kopniak w głowę daleko odrzucił pierwszego napastnika, a bezceremonialny cios zarękawiem rozłożył drugiego na bruku Wielkiego Placu. Później trzymali się z daleka.

–Pierwszorzędna bijatyka! – zawołał z entuzjazmem Ti-Filip, leżąc z odchyłoną głową w bissonie Immortali.

–Zamknij się i trzymaj – warknął Joscelin, przyciskając chusteczkę do rozkwaszonego nosa kawalera.

Wszyscy wynieśli z utarczki siniaki i guzy. W zasadzie nie byłam pewna, kto wygrał, ale moim serenissimskim towarzyszom dopisywał humor.

–Twoi ludzie wyglądają jak dziewczęta, hrabino – powiedział Benito Dandi – ale walczą jak tygrysy. Jak dziesięć tygrysów! Nic dziwnego, że wielmożny Marco nie próbował siłą załatwić sprawy z Małym Dworem.

–Benito, nie powinniśmy rozmawiać o polityce – mruknął Severio.

–Panie – zwróciłam się do niego – w czasie obchodów zimowego przesilenia wyraziłeś obawy, że twój ojciec straci poparcie księcia Benedykta, a wraz z nim nadzieje na urząd doży, jeśli szybko dojdzie do wyborów. Z tego, co słyszałam, to ostatnie jest dość prawdopodobne. Jak rozwinie się sytuacja?

Severio westchnął, ale odpowiedział szczerze. Nie miał sekretów przed Immortali, jak już się domyśliłam.

–Wiosną przyszedł na świat syn Benedykta i tej Tourais. Mój dziadek mianował go dziedzicem wszystkich swoich d'Angelińskich tytułów i włości. Moja matka... – przez chwilę szukał słów – poczuła się urażona i od tej pory nie rozmawiają ze sobą. Widzisz, mój ojciec liczył na przewagę, jaką dawały mu związki z Małym Dworem, żeby wpłynąć na Consiglio Maggiore. Bez obietnicy poparcia D'Angelinów... – Wzruszył ramionami. – Jest pewnym kandydatem Sestieri Dożów, ale Consiglio może uznać, że dla La Serenissimy lepszy będzie dowódca morski.

–Albo bankier – dodał jeden z Immortali, spluwając nad wiosłem do zielonej wody.

–Albo bankier – przyznał Severio ponuro. – Albo nawet mój przeklęty wuj Ricciardo, jeśli spełni swoją pogroźkę i nakłoni Scholae do strajku. Nie sądzę, żeby ktokolwiek zdawał sobie sprawę, jakie to przyniesie szkody, jeśli dołączą się warzelnicy.

La Serenissima kwitnie dzięki handlowi, ale głównie jako pośrednik. Największym bogactwem Republiki zawsze była sól. Wiedziałam o tym z lektury.

–Dlaczego nie zawrzeć pokoju z księciem Benedyktem? – zapytałam. – Wygląda na to, że twój ojciec ma niewiele do stracenia, a dużo może zyskać.

–Moja matka przełknęłaby obrazę, że rodzony ojciec chce ją wydziedziczyć i cały swój d'Angeliński majątek zostawić temu... temu małemu mazgajowi, temu Imrielowi de la Courcel, jak go nazwali. – Severio skrzywił się. – Mojemu przyrodniemu wujkowi, jeśli można tak rzec Matka nie rozmawia z dziadkiem od dnia, w którym ogłosił swoją decyzję. I ma prawo do gniewu – dodał niechętnie. – Wedle serenissimskiego prawa dziadek nie może wyznaczyć

kobiety na swojego sukcesora. Matka nie może odziedziczyć Małego Dworu.

–Co? – Pytanie, na szczęście dla mnie, padło z ust Ti-Filipa, który próbował usiąść z chustką przyciśniętą do nosa. Gdyby on nie spytał, ja zrobiłabym to z równym niedowierzaniem. – Co to znaczy?

–Takie jest serenissimskie prawo – powtórzył Severio cierpliwie. – Mógł scedować majątek na mojego ojca i mianować go powiernikiem, ale po zdradzie Dominika odstąpił od tego zamiaru. Nie ma jednak obawy. – Sapał mnie za rękę i z uśmiechem bawił się moimi palcami. – Dziadek w końcu otrzeźwieje. Sestieri Angelus nie ma poważnego kandydata. Musi kogoś poprzeć, inaczej straci wpływy w La Serenissimie. Jeśli ojciec nie zdoła przekonać matki, żeby schowała dumę do kieszeni i błagała o wybaczenie, może moje małżeństwo z D'Angeliną ułagodzi dziadka Benedykta.

A jeśli nie, pomyślałam, uśmiechając się de Severia, może złożenie handlu z Albą w ręce Marka Stregazza dokona tej sztuki. Cóż, mój młody panie, nie jesteś tak przebiegły jak twoi rodzice, ale sprawiasz się dobrze, odgrywając narzuconą rolę. To wszystko jest bardzo interesujące, mnie jednak zależy na odpowiedzi na jedno pytanie.

Gdzie, do siedmiu piekieł, podziewa się Melisanda Szachrizaj?

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Uważałam się za biegłą w dworskich intrygach, ale po dniu – jednym dniem! – w La Serenissimie miałam mętlik w głowie. Koncepcję republiki zawsze uważałam za szlachetną, sięgała bowiem dni chwały Hellady, o których wszyscy D'Angelinowie myślą z sentymentem jako o ostatniej Złotej Epoce przed nadejściem Elui. Teraz, mogąc zobaczyć, jak koncepcja sprawia się w praktyce, nie byłam taka pewna wcześniejszych przekonań.

Tego dnia położyłam się spać bardzo wcześnie. Z mojego doświadczenia wynikało, że sen jest doskonałym remedium, gdy głowa pęka od natłoku informacji. Potwierdziła to moja nie tak dawna wyprawa do Domu Gencjany. Rzeczywiście, zbudziłam się odświeżona i lepiej przygotowana do zmierzenia z intrygami La Serenissimy. Przy śniadaniu zaplanowaliśmy strategię.

–Fortunie, ciebie poproszę o wykonanie najtrudniejszego zadania – powiedziałam poważnie. – Szepnęłam parę słów Markowi i Marii Celestynie, i jestem ciekawa, czy z kłębka wysnuje się nić, która doprowadzi nas do Melisandy. Być może jest na to za późno, ale chciałabym, żebyś miał oko na pałac doży i śledził ludzi Stregazza.

–Rozkaz, pani – odparł Fortun cicho. Wybrałam go, ponieważ wiedziałam, że mogę polegać na jego posłuszeństwie i dyskrecji.

–Filipie. – Popatrzyłam z zadumą na drugiego kawalera. Jego nos przypominał rozgniecioną truskawkę, co zresztą wcale go nie trapiło. – Immortali chyba cię polubili. Dowiedz się, ile zdołasz, o klubach i wystawianych przez nie kandydatach. Warto wiedzieć, czy któryś żywi wrogość do księcia Benedykta i Małego Dworu. Księżę jako jedyny w mieście pragnie pognać Melisandę dla samej zasady, w przypadku wszystkich innych to kwestia korzyści. Każdy, kto chciałby obalić Mały Dwór, może być jej sprzymierzeńcem.

–A jaką zapłatę może zaoferować ścigana d'Angelińska zdrajczyni? – zapytał cicho Joscelin.

Wiedziałam, że przemawia przez niego głos rozsądku, ale skarciłam go wzrokiem.

–Joscelinie, w dzień naszego przyjazdu widziałam Skaldów na Wielkim Placu. Marco Stregazza jest gotów wydać syna za d'Angelińską kurtyzanę, byle tylko zyskać możliwość handlowania z Albą. Jakiej ceny zażądałbyś za Skaldię? Skoro Melisanda układała się z Waldemarem Seligiem, miała zapewne również innych skaldyjskich sprzymierzeńców. Nie byłabym zdziwiona, gdyby zawarła umowy handlowe z kilkoma południowymi plemionami.

–Możliwe – przyznał. – A może ścigają cię upiory przeszłości.

Z jego strony mogłam znieść wszystko oprócz współczucia. Już bez tego cichego potępienia miałam kłopot z przekonaniem siebie samej, że nie nękają mnie duchy. Zwróciłam się do Remyego:

–Ciebie wyślę do Małego Dworu, z prośbą o audiencję u księcia. Benedykta. Może cię nie przyjąć, jeśli dotarła do niego plotka – Stregazza już ją słyszeli – ale spróbuj dowiedzieć się jak najwięcej o Małym Dworze.

–Tak jest, pani! – Remy wyszczerzył zęby i zasalutował.

Mogłabym przyjąć to za dobrą monetę, ale zobaczyłam, jak wymienili spojrzenia, kiedy sądzili, że patrzę w inną stronę. Doskonale wiedziałam, że moi kawalerowie podzielali zdanie Joscelina. Byli tylko mniej skłonni. Żeby je wyrazić, i bardziej chętni do zaangażowania się w polowanie dla czystej rozrywki.

–Jeszcze jedno – zaczęłam ostrzej niż zamierzałam i zagrałam kartą atutową. – Nie chcę naciskać Stregazza ani odkrywać kart. Dowiedźcie się, kto jest astrologiem rodziny doży. On był łącznikiem. Odwiedził go przyjaciel Gonzago de Escabaresa, a na drugi dzień Melisanda złożyła mu wizytę – Wszyscy macie zdobyć jak najwięcej informacji. Kiedy znajdziemy astrologa, będziemy mieli trop.

Wskazanie konkretnej zwierzyny wywarło zamierzony skutek. Napisałam list – ponownie wywołując wstrząs u Leonory, która nie mogła pojąć moich dziwnych literackich skłonności – wręczyłam go Remy'emu i rozesłałam moich kawalerów.

Joscelin popatrzył na mnie.

–Wiesz już więc, jak sprawy stoją, a serenissimski panicz prosi cię o rękę. Jakże jeszcze cienie każesz mi ścigać, Fedro nó Delaunay, zanim go poślubisz?

–Nie mam zamiaru wychodzić za Severia Stregazza – odparłam z irytacją. – Nie mam zamiaru wychodzić za nikogo.

–A jednak pozwoliłaś mu ubiegać się o ciebie. – Joscelin wstał od stołu i podszedł do okna balkonowego. – Czy dlatego że on może dać ci to, czego pragniesz? – zapytał stłumionym głosem.

–Nie. – Patrzyłam na jego plecy, barczyste i zgrabne, przedzielone przez długie, złoty jak pszenica warkocz. Darem Kusziela jest okrucieństwo. Nigdy, przenigdy nie znałam mężczyzny tak pięknego jak Joscelin Verreuil i nigdy żaden mężczyzna nie sprawił mi większego bólu. Nie można, jak przypuszczam, władać piekłem bez dobrze wykształconego poczucia ironii. Nie istniały inne anguisette, z którymi mogłabym się porównać, ale z pewnością Kusziel był zadowolony z takiego układu. Nic nie mogło łamać mi serca w bardziej wyrafinowany sposób. – Joscelinie, Marco Stregazza i jego żona Maria Celestyna de la Courcel Stregazza zainicjowali grę, a ja nie widzę

innego wyjścia, jak markować w niej udział, jeśli chcę się czegoś dowiedzieć.

Zadrzał, wciąż odwrócony do mnie plecami, ale kiedy przemówił, jego głos miał twarde brzmienie:

–A jeśli nie ma czego?

–Jeśli nie ma, to nie ma – odparłam krótko. – Jest inna kwestia, która wiąże się z tą gadką o małżeństwie, i wiesz o niej równie dobrze jak ja. Gdybym oświadczyła, że jesteś moim

kochankiem, wedle d'Angelińskiego prawa deklaracja byłaby wiążąca. Tak bywało wcześniej, nawet królowa to potwierdziła. Stregazza pogodziłoby się z tym stanem rzeczy bez urazy, bo znają obyczaje Terre d'Ange. To ty zamknąłeś te drzwi, nie ja.

–Nie mogę! – Tym razem zadrzał silniej. Zaciskając pięści, odwrócił się i przeszył mnie dzikim wzrokiem. – Myśl, że padasz na kolana przed tym wyrośniętym młokosem, przyprawia mnie o mdłości! I nie mów mi, że tego nie robiłaś, bo znam cię dobrze i wiem. W całym Mieście huczało, że za dwadzieścia tysięcy dukatów Fedra nó Delaunay zrobiła mężczyznę z wnuka księcia Benedykta i doży La Serenissimy!

Trudno wyprowadzić mnie z równowagi, ale Joscelin Verreuil zawsze miał do tego smykałkę. Popatrzyłam na niego chłodno i odpowiedziałam jeszcze bardziej oziębłym, pogardliwym tonem:

–Szkoda, że nie mogłam zrobić tego samego dla ciebie.

To wystarczyło, żeby wybiegł z naszego wynajętego domu, a ja siedziałam tak spokojnie, jakby kawałki mojego pękniętego serca wcale nie ścierały się na jeszcze mniejsze okruchy. Wiedziałam, dokąd poszedł. Po dziesięciu stuleciach krew Jeszui ben Josefa upominała się o swoje. „On wytnie drogę przed tobą, a ostrza niczym gwiazdy rozbłysną w jego rękach”. Joscelin to słyszał, ja też. Czym były kaprysy sługi Naamy wobec woli całego ludu?

Niezależnie, za kogo go uważają, to musi być prawda, pomyślałam. Gdy obnażył i skrzyżował sztylety, naprawdę zaświeciły jak gwiazdy w jego dłoniach.

–Pani – odezwała się drżącym głosem Eleonora, która słyszała końcówkę naszej wymiany zdań. Choć rozmawialiśmy po d'Angelińsku, sens nie wymagał tłumaczenia. – Dostarczono następną wiadomość od pana Severia Stregazza.

Podła mi list na srebrnej tacy. Wzięłam go niecierpliwie i złamałam woskową pieczęć. Severio uznał, że wycieczka do świątyni Aszery może okazać się miłą rozrywką, i już umówił mnie na spotkanie z najwyższą kapłanką na pierwszą po południu.

Tak się składa, że ja uważałam pomysł nie za zabawny, lecz intrygujący. Zawsze ciekawiły mnie wierzenia innych ludów, a tutaj nadarzała się okazja poznania ich z pierwszej ręki; interesowała mnie również Wyrocznia. W każdym razie, odwiedziny w świątyni miały być lepsze niż rozczulanie się nad sobą w samotności. Leonora, która zaczynała poznawać moje zwyczaje, nieproszona przyniosła pióro i kałamarz. Kreśląc odpowiedź, zrobiłam kleksa, ale tylko wnikliwy obserwator odgadłby z pisma mój nastrój i prędkość, z jaką wodziłam piórem.

Kiedy zbliżała się umówiona godzina, samotnie zeszłam po schodach. Severio zwrócił na to uwagę, podnosząc się i kołysząc łodzią, tym razem prostą gondolą, nie złożoną bissoną. Towarzyszyło mu tylko kilku Immortali.

–Bez kasjelickiej przyzwoitki?! – zawołał, wyciągając ręce. – Pani, twoja ufność dodaje mi otuchy!

–Obyś okazał się jej godzien, panie – odparłam, wsiadając do łodzi. – Oddaję swój honor w pieczę Immortali i modłę się, żeby mnie nie zawiedli.

–Nie ma obawy – powiedział siedzący u steru Benito Dandi. Włączyliśmy się do ruchu na Wielkim Kanale. – Co więcej, pani, głosowaliśmy, żeby wynieść cię do rangi compagne za to, że nie podałaś tyłów w czasie bijatyki. Severio może nam przewodzić, ale trzeba dwóch doradców, sekretarza i notariusza, żeby wniosek przeszedł. Teraz podśmiewa się z ciebie na własny rachunek.

Na przekór wszystkiemu Severio wyglądał na zadowolonego i przez wzgląd na niego podziękowałam za zaszczyt. Joscelin będzie zirytowany, że popłynęłam bez d'Angelińskiej ochrony, ale przecież już kipiał ze złości. Poza tym nie sądziłam, że popełniłam błąd w ocenie charakteru Severia. Był nieokrzesany wedle naszej miary, ale także dość mądry, by wiedzieć, że to, czego chciał ode mnie, mógł dostać tylko za moim przyzwoleniem. Jeśli nie byłam bezpieczna z Severiem i jego Immortali, nie mogłam liczyć na bezpieczeństwo nigdzie w La Serenissimie.

Rankiem spadł lekki deszcz i plac błyszczał jak ogromne lustro. Poszłam z Severiem do świątyni Aszery, podczas gdy jego towarzysze zostali na zewnątrz, naśmiewając się z niewzruszonych eunuchów, którzy stali na straży przy drzwiach.

Muszę przyznać, że świątynia Aszery jest wspaniała. W La Serenissimie nie ma wielu malowideł, ale nie brakuje artystów wprawnych w sztuce układania mozaiki. Wielki przedsionek świątyni wypełniały misternie wykonane obrazy z wielobarwnych płytek. Zawołowane kapłanki, młode i szczupłe, w białych szatach akolitek, pomogły nam zdjąć obuwie i umyć ręce w rytualnej misie. Później chodziliśmy po przedsionku, a Severio pokazywał mi różne wyobrażenia Aszery. Najbardziej spodobał mi się wizerunek efezjański, który przedstawiał boginię wyprostowaną i pełną wdzięku, trzymającą w rękach liście palmy daktylowej, stojącą pomiędzy osłem i bykiem. W La

Serenissime czczą ją jako Aszerę z Morza i Dea Coelestis, tyberyjską królową Nieba, ale jest boginią starożytną i ma wiele postaci.

–Tu rozpacza po śmierci syna Ezmuna. – Severio wskazał Aszerę klęczącą nad mężczyzną, który leżał na łące szkarłatnych kwiatów. Z dwóch powodów ta mozaika nie spodobała mi się tak bardzo jak inne. Po pierwsze, liniom brakowało płynności, dlatego scena była mało wzruszająca, a po drugie, przypomniała mi o La Dolorosie, czarnej wyspie. – A tam zawiera pokój z Baalem-Jupiterem, ubлагana przez ludzi.

–Straszna historia. – Zadrżałam. – Mijaliśmy po drodze La Dolorosę.

–Miejsce bez nadziei. – W jego głosie zabrzmiały ostrzejsze tony. – Tak mówią ludzie z wybrzeża. Dziadek Benedykt chciał uwięzić tam moją ciotkę Teresę, kiedy wyszło na jaw, że jest współwinna otrucia Izabeli de la Courcel.

–Została osadzona?

–Nie. – Pokręcił głową. – Stregazza stanęli pod bronią, kiedy wieść się rozeszła. Prawdopodobnie wtedy zaczęła się ta cała kłótnia. Teresa została osadzona w Villa Conforti,

która jest swego rodzaju wyspiarskim więzieniem dla zhańbionej szlachty. – Uśmiechnął się szeroko. – Słyszałem, że żyje jej się tam dość przyjemnie, lecz nie wolno jej opuścić wyspy do śmierci.

Pomyślałam o Hiacyncie i nie mogłam zdobyć się na uśmiech. Severio spostrzegł, że ogarnęła mnie melancholia, i zmienił temat.

–Śliczna świątynia Ezmuna jest na wyspie Maestus. Wiosną robi się tam czerwono od kwitnących zawilców. Będziemy musieli odwiedzić tę wyspę, słynącą również z dobrych terenów myśliwskich. Patrz, Fedro, przyniosłem miodowe ciastka. Chcesz złożyć ofiarę?

Wzruszyła mnie jego życzliwość i teraz się uśmiechnęłam. Dziwne jest być obiektem zalotów! Przyzwyczaiałam się do szerokiego gestu moich klientów, ale te drobne uprzejmości chwytają za serce.

–Tak, chcę – odparłam.

Wystarczył mi jeden rzut oka na wysoki posąg Aszery, ustawiony pod szpiczastą centralną kopułą, by poznać, że jest bardzo stary. W przeciwieństwie do dobrotliwego wizerunku w porcie, tutaj bogini spoglądała groźnie. Zamiast gwiazd jej głowę wieńczył półksiężyc. Stała wyprostowana, rękami dotykając wody, która wzbijała się spod jej stóp.

Świece w uchwytach oświetlały wnętrze kopuły. Dwie kapłanki stały po bokach kamiennego ołtarza, asystując przy składaniu ofiar – akurat odbywało się ofiarowanie. Przed ołtarzem stał człowiek z gminu, z czapką w ręce, a na kamiennej płycie leżało spętane jagnię.

Musiałam westchnąć mimowolnie, bo Severio mnie uciszył.

–Będziemy musieli poczekać – szepnął. – Powinienem cię uprzedzić. Zapomniałem, że w Terre d'Ange nie składacie krwawych ofiar.

Z przerażeniem patrzyłam, jak starsza kapłanka podnosi nóż ofiarny, ostry i mały, z zakrzywionym ostrzem. Śliczny, migoczący welon zasłaniał jej twarz, ale ruchy wyrażały spokój. Musiałam odwrócić wzrok, gdy opuściła rękę. Usłyszałam zduszone meczenie.

Potem zapadła cisza.

Nie wiedziałam, że drzę, dopóki Severio uspokajającym gestem nie położył rąk na moich ramionach.

–Fedro – rzekł łagodnie – przepraszam, popełniłem błąd. Nie musisz zostawać. Wróć do przedsionka, niech akolitka wyprowadzi cię na zewnątrz. Przyjdę do ciebie za chwilę, obiecuję. Przyniosłem ofiarę i muszę ją złożyć, bo inaczej bogini poczuje się urażona.

–Nie wyjdę – oświadczyłam stanowczo, a on zamrugnął ze zdziwienia. Chyba nie zdawał sobie sprawy, jak silną miałam wolę. Zdołałam się opanować. – Ja też przyszedłam z ofiarą, a nikt nie odwraca się plecami do bogini. Wytrwam do końca.

–Jak sobie życzysz – powiedział ze zdziwieniem.

Eunuchowie zabrali zabite zwierzę – później Severio powiedział mi, że zostanie podane na kolację – ale ołtarz wciąż pokrywały szkarłatne bryzgi, a z bliska dostrzegłam starą krew w

szczelinach. Podniosłam w rękach miodowe ciastko, patrząc na twarz posągu.

Wiedziałam, że dawno temu Aszera z Morza nosiła inne imię i była małżonką Ela, władającego słońcem i niebem, podczas gdy ona zarządzała morzem i ziemią. Tak mówiły najstarsze mity Habiru, te do których rabbi nie chciał się przyznać. Ale boscy małżonkowie skłócili się i rozeszli, przybierając inne imiona i oblicza, jak to czyniły bóstwa na przestrzeni dziejów. El został Bogiem Jedynym, Adonai ludu Habiru, i spłodził syna o imieniu Jezua.

Gdy krew Jezui zmieszała się ze łzami jego śmiertelnej umiłowanej i spłynęła na

ziemię, wielka Bogini Matka przyjęła do swego łona tę na wpół boską iskrę i dała życie Błogosławionemu Elui. W La Serenissimie Przybrała oblicze Aszery z Morza, ale była tą samą boginią i nie mogłam się od niej odwrócić.

–Łaskawa Pani Morza – szepnęłam po cTAngelińsku, w języku mojej matki – błagam, przyjmij ten dar od swojej pokornej córki i udziel jej swojego błogosławieństwa. – Drżącymi rękami przełamalam na pół miodowe ciastko i położyłam je na zakrwawionym ołtarzu.

Wysoko nade mną twarz posągu pozostała niezmieniona, ale ujrzałam w niej teraz coś innego: straszne, obojętne miłosierdzie. Severio złożył swoją ofiarę, mrużąc modlitwę w caerdicci. Kapłanki poważnie pokiwały głowami i odwróciliśmy się do wyjścia.

–Zaczekaj. – Starsza kapłanka wyciągnęła rękę, żeby mnie zatrzymać. Przez welon zobaczyłam oczy, ciemne i zaciekawione, szukające moich. – Jakiś bóg położył rękę na tobie, dziecko. Czy nie pragniesz rady Wyroczni?

Spojrzałam na Severia, który nieznacznie wzruszył ramionami.

–Niemądrze jest odtrącać dary bogini – powiedział.

Tak oto milczący eunuch zaprowadził nas do pomieszczenia na lewo od ołtarza, pod jedną z dwóch mniejszych kopuł. Wnętrze było surowe, ciemne i zadymione. W półmroku dostrzegłam stół i stół, na którym leżał duży, groźnie wyglądający tasak rzeźniczy. Jego widok przepęłnił mnie lękiem. Podobnie jak ołtarz, stół też był poplamiony ciemną czerwienią, choć nie wyczułam zapachu krwi nawet z zamkniętymi oczami. Eunuchowie rozstawili zapalone kaganki i wyszli. W komnacie trochę pojaśniało. Weszła sędziwa kapłanka z wiklinowym koszykiem pełnym granatów.

–Czeka jakieś dziecko dotknięte przez boga, powiedzieli, i wezwali starą Biankę – wymamrotała zrzędliwie, odstawiając koszyk i unosząc szponiastą rękę do mojej twarzy. – Ha, czemu nie. Przepowiadałam tysiącom, z ołtarza i balkonu, i nie opuściłam jednego dnia z wyjątkiem tego, kiedy zmogła mnie gorączka. Traf chciał, że akurat wtedy Jego Wysokość potrzebował rady. Młoda Vesperia sprawiła się całkiem dobrze, powiadają, i czemu nie, przecież ją wyuczyłam. Ha, nie mitrężmy czasu, dziecko, niech no cię zobaczę!

Dopiero teraz spostrzegłam, że oczy za rozmigotany woalem są mleczone i ślepe, i usłużnie przysunęłam się do jej błędzącej ręki. Poplamione szkarłatem czubki palców, miękkie ze starości, przesunęły się po mojej twarzy. Sędziwa Bianka chrząknęła z satysfakcją.

–D'Angelina, hę? Nie, nie mów, ja to wiem. Skóra gładka jak pupka niemowlęcia, a

na niej echo setek palców, które dotykały cię wcześniej, palców mężczyzn i kobiet, miłych i okrutnych, twardych i miękkich. Niespotykane piękno, he? Naznaczone, i to tak wyraźnie, że nawet ślepy zobaczy. Mniejsza z tym. Nie należysz do Aszery, ona jednak interesuje się losami wszystkich swoich dzieci, czy im się to podoba, czy nie. Masz pytanie do Łaskawej Pani? Spytaj, a ja przekażę ci jej odpowiedź.

Zawahałam się, niepewna co zrobić. Severio stał zachmurzony, jakby zdjęty trwogą. Tego nie zaplanował. Miałam nadzieję, że rozwój wypadków wytrącił go z równowagi, bo ja bezsprzecznie czułam się nieswojo.

–Czy masz pytanie? – ponagliła mnie staruszka ze zniecierpliwieniem.

–Tak, pani – mruknęłam. – Chciałabym wiedzieć...

–Na Aszerę! Nie mów mi, dziecko. To skazi odpowiedź. – Bianca wskazała koszyk z granatami, a szerokie rękawy z niebieskiego jedwabiu zwisły z kościstej ręki. Zakrawało to niemal na kpinę, taki wspaniały materiał na tak zwiędłym ciele. – Wybierz, a ja ci powiem.

Rozejrzałam się i zatrzymałam spojrzenie na czubatym koszyku. Wybrałam duży, dojrzały owoc w głębokim rdzawoczerwonym kolorze. Położyłam go na stole. Sędziwa kapłanka namacała stółek, podniosła tasak i mocno chwyciła owoc.

Nie wstydzę się przyznać, że wstrzymałam oddech, kiedy Bianca z nadspodziewaną szybkością opuściła tasak i groźne ostrze przecięło granat o włos od jej palców. Nie byłam osamotniona w tej reakcji, bo Severio też wzdrygnął się mimo woli.

Staruszka stęknęła, rozdzielając połówki owocu i układając je obok siebie. Ciemnoczerwone nasiona połyskiwały żywo w sztywnym białym miąższu, jak cętka po Strzale Kusziela w moim lewym oku. Szkarłatny sok wysączył się na stół i poplamił jej dłonie, gdy wrażliwymi palcami odczytywała układ nasion.

–To, czego szukasz, znajdziesz w ostatnim miejscu, do którego zajrzysz – oznajmiła rzeczowym tonem.

Czekałam na coś więcej. Bianca tym razem ostrożnie opuściła tasak, dzieląc połówki granatu na ćwiartki. Rubinowe ziarenka zaśniły, gdy wzięła kawałek do ręki. Podniosła go do ust pod woalem i zjadła cierpki owoc.

–To wszystko – powiedziała, odwracając głowę, żeby wypluć pestki. – Możesz przed wyjściem złożyć ofiarę do skarbca świątyni, jeśli chcesz. Zwyczajowo daje się srebro.

Na zewnątrz, w jasnym serenissimskim słońcu odbijającym się od zmytego deszczem placu, spotkanie wydawało się nieledwie snem. Severio opowiedział o nim Immortali, którzy wcale się nie przejęli.

–Też mi przepowiednia – parsknął Benito Dandi, wzruszając ramionami. – Zdrowy rozsądek w magicznej otoczce. Człowiek zawsze znajduje to, czego szuka, w ostatnim miejscu do którego zajrzy, prawda? Potem po prostu przestaje szukać. Hej! – zawołał, rozproszony widokiem

Serenissimki zbliżającej się do świątyni. Odziana w strój szlachcianki i kołysząca się w wysokich drewnianych pattenkach, nosiła welon Aszery. Srebrna siateczka i lśniące paciorki skrywały jej rysy. – Założę się, że wiem, czego szuka ona! – zawołał i gwizdnął. – Pani, jeśli szukasz męskiego dziedzica, nie ma potrzeby chodzić do świątyni. Kiedy pole nie rodzi, zmień oracza, powiadam!

Uśmiechnęłam się lekko z tych niewybrednych słów, współczując biednej kobiecie. Po tym, co dziś widziałam, nie miałam zamiaru szydzić z mocy Aszery.

Zdrowy rozsądek, a jakże, lecz przecież nie wypowiedziałam przed kapłanką swojego pytania.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Ku mojemu zaskoczeniu wszyscy kawalerowie i Joscelin wrócili przed kolacją – i z wyjątkiem tego ostatniego, który był cichy i zamknięty w sobie, opowiedzieli o swoich poczynaniach. Niestety, przyniosły one niewiele pożytku. Remy został odprawiony spod bram Małego Dworu. Strażnicy wzięli mój list, lecz nie robili większych nadziei. Powiedzieli, że ostatnimi czasy d'Angeliński książę przyjmuje niewiele osób, a lista oczekujących na audiencję jest bardzo długa. Ponieważ poważnie traktowali swoje obowiązki i kwaterowali w murach Dworu, Remy nie mógł pociągnąć ich za język przy kielichu.

Fortun, który spędził dzień na bezowocnym śledzeniu kurierów w barwach Stregazza, z wielkim entuzjazmem opisał machinacje odbywające się w Arsenale, wielkiej stoczni. Wyglądało na to, że Sestieri Navis negocjuje z Sestieri Dożów. Tak, to mogło mieć wpływ na wynik wyborów, ale dla mnie znaczyło niewiele.

Ti-Filip hulał z tymi Immortali, którzy nie towarzyszyli Severiowi i mnie w wycieczce do świątyni. Roztrwonił trzos srebrnych denarów, ale wynikła z tego jakaś korzyść, przynajmniej dla mnie. Otóż matka jednego z Immortali służyła żonie doży – nawet nie wiedziałam, że ona jeszcze żyje, tak znikoma była rola kobiet w La Serenissimie – i regularnie korzystała z usług astrologa swojej pani, choć człowiek ów popadł w niełaski i już nie patrzył w gwiazdy dla Stregazza.

–Dobrze – pochwaliłam go. – Dowiedz się, jak mogę się z nim umówić. – Popatrzyłam na Joscelina. – A co ty masz do powiedzenia?

Niezgrabnie wzruszył ramionami.

–Znalazłem dzielnicę Jezuitorów. Tutaj jest mniej więcej tak samo jak u nas, kłócą się między sobą i mówią o wędrówce na północ. Ale powodzi się im znacznie gorzej. Mieszkają w wydzielonej dzielnicy i nie wolno im nabywać nieruchomości. Mężczyźni nie mogą spotykać się z serenissimskimi kobietami i muszą stale nosić te żółte nakrycia głowy.

Nie spytałam, co tam robił. Współczułam niedoli Jezuitorów, nie mogłam jednak pozwolić sobie na zastanawianie się, czy Joscelin Verreuil odegra jakąś rolę w spełnieniu ich wielkiego proroctwa. Zamiast tego zrelacjonowałam swoją przygodę.

Jak było do przewidzenia, Joscelin nie krył irytacji.

–Nie powinnaś opuszczać domu bez eskorty! W mieście jest pełno żołnierzy i marynarzy, żadna szanująca się kobieta nie wychodzi sama! Fedro, to głupota!

–Nie zrobiłabym tego, gdybyś nie wyszedł w złości – zripostowałam chłodno. – Ale

zrobiłam i nikomu nie stała się krzywda.

–To bez sensu. – Ti-Filip podrapał się po gojącym się nosie. – Mam na myśli twoją przepowiednię. Człowiek zawsze znajduje to, czego szuka, w ostatnim miejscu do którego zajrzy, prawda? Po co ma szukać dalej?

–Wiem – powiedziałam cierpliwie. – Rzecz w tym, że nie zadałam pytania na głos i dlatego wierzę, że odpowiedź jest warta zastanowienia. Moim zdaniem ma dużo sensu. Myślę, że znajdziemy Melisandę w miejscu, w którym najmniej się tego spodziewamy.

–Handlującą rybami na targu – zażartował Remy.

–Albo ścierającą kleik z brody doży – dodał Ti-Filip.

–Przewijającą synka księcia Benedykta – zasugerował Fortun z cieniem uśmiechu.

Nie mogłam ich powstrzymać, kiedy wymyślali niestworzone sytuacje – Melisanda poganiająca muły w salinie, wydmuchująca szkło na Isla Vitrari, garbująca skóry, ucząca łucznictwa. Każda nowa propozycja była coraz bardziej niedorzeczna, aż w końcu zaczęłam błagać ich ze śmiechem, żeby dali spokój.

Co dziwne, to Joscelin potraktował przepowiednię najbardziej poważnie, choć po zastanowieniu musiałam przyznać, że nie powinnam się dziwić. Ostatecznie sam kiedyś był kapłanem, i miał być nim nadal, aczkolwiek nie dla mnie.

–Znajdziesz to czego szukasz – mruknął, popatrując na mnie. – Błogosławiony Eluo, spraw, żeby tak się stało. Widząc twoją wielką determinację, nigdy nie sądziłem, że przestaniesz szukać, niezależnie od moich argumentów. – Wspierając brodę na rękach, wpatrywał się w lampę stojącą na stole. W migoczącym świetle jego twarz przypominała maskę. – Proroctwa są niebezpieczne. Ale na razie nie będę próbował odwozić cię od powziętego zamiaru.

–Dziękuję – odparłam krótko.

Na tym stanęło tego wieczoru. Jeśli stwierdzenie Joscelina nie wniosło niczego nowego, to przynajmniej podbudowało zasadność naszych poszukiwań. Byłam mu za to wdzięczna, chociaż nie wiedziałam, w jakim stopniu mogę liczyć na jego pomoc. Z braku innej możliwości ogłosiliśmy zawieszenie broni i cieszyłam się, że wrócił, ale wcześniejsze szorstkie słowa dzieliły nas niczym ostrze miecza i żadne z nas nie chciało puścić ich w niepamięć.

W następnych dniach zwiedzałam La Serenissimę i zostałam przyjęta do towarzystwa Severia. Zaczął się sezon rozejmu: młodzi członkowie wszystkich klubów Sestieri wydawali wystawne przyjęcia, przy czym obowiązywał zakaz kłótni na

terenie posiadłości gospodarza. W moich oczach okazyje te wyglądały dość dziwnie, bo młodzi mężczyźni dyskutowali o polityce, kobiety zaś plotkowały o romansach i modzie pod czujnym okiem pół tuzina przyzwoitek. Mężatki cieszyły się pewną swobodą, panny jednak miały jej niewiele. Często czułam się znudzona, tylko tańce i widowiska stanowiły miłą odmianę. Po zakończeniu przyjęcia goście rozchodzili się do domów w oświetlonych pochodniami procesjach – i wtedy kończyło się zawieszenie broni. Młodzieńcy eskortujący damy znajdowali się pod ochroną, ale pozostali napadali jeden na drugiego i toczyli radosne potyczki w rodzaju tej, jaką widziałam na placu.

Nie trzeba mówić, że na tych rozejmowych przyjęciach odbywały się swaty. Severio pokazywał mnie jak klejnot i jego duma niemal zaćmiewała niecierpliwe pożądanie. Synowie Stu Godnych Rodzin paradowali w barwach swoich klubów o dźwięcznych nazwach – Perpetui,

Ortolani, Fraternali, Semprevivi, Floridi. Wszyscy ciągnęli do mnie jak pszczoły do miodu, dlatego cieszyłam się z zapału, z jakim Immortali chronili moją osobę oraz reputację. Niezameżne kobiety spoglądały na mnie z podszytym zazdrością podziwem. Nie znalazłam wśród nich przyjaciółek, ale przynajmniej pilnowały się, żeby nie obmawiać mnie w zasięgu słuchu wnuka doży. Większość z nich, co mną wstrząsnęło, była analfaberkami. Tylko kapłanki i nieliczne damy wysokiego rodu umiały czytać i pisać.

Muszę jednak przyznać, że doskonale radziły sobie z liczeniem, bo zmysł handlowy uważa się za wielką zaletę u żony. Giulia Latrigan, której wuj, jeden z największych bogaczy w La Serenissimie był prawdopodobnym kandydatem Sestieri d'Oro, umiała dodawać i odejmować w pamięci długie kolumny cyfr. Bystra i zabawna, jako jedna z niewielu panien odnosiła się do mnie życzliwie. Myślę, że mogłybyśmy się zaprzyjaźnić, gdyby nie rywalizacja pomiędzy jej rodziną a Stregazza. Chodziły słuchy o jej zaręczynach z synem rodu Cornaldo, mającego wielkie wpływy w Consiglio Maggiore. Severio z goryczą wyznał mi w zaufaniu, że Tomaso Cornaldo zabierze mu sześć głosów, jeśli plotki dotyczące wielkości posagu Giulii nie są przesadzone.

W tym czasie Ti-Filip wytropił astrologa doży.

Wybrałam się do niego z Remym i Ti-Filipem, i dobrze zrobiłam, że zabrałam obu, bo popłynęliśmy do uboższej dzielnicy miasta. Tutaj było widać niszczący wpływ morza na budynki. Słonawa woda pluskała leniwie w wąskich kanałach, nad którymi tłoczyły się drewniane rudery, śmierdzące pleśnią i rybami, zbudowane na źle osuszonych bagnach. Kiedy zapłaciliśmy wynajętemu przewoźnikowi i wysiedliśmy z łodzi, szybko zrozumiałam pochodzenie pattenek, wysokich drewnianych koturnów noszonych przez wytworne damy. Wywodziły się stąd, z błotnistych, nie brukowanych chodników La Serenissimy.

Już przyciągaliśmy zaintrygowane spojrzenia, dlatego skarciłam swoich kawalerów, którzy ze śmiechem zaproponowali, że poniosą mnie na barana. Ubłociłam się po kostki, zanim przez ponury labirynt zaułków trafiliśmy na brudne podwórko, przecięte krzyżującymi się linkami z suszącym się praniem. Na zamkniętych drzwiach domu bez okien widniał byle jak wymalowany krąg zodiaku.

–Spora degradacja jak na astrologa doży – zauważyłam, podnosząc rąbek spódnicy i tupiąc, żeby pozbyć się choć części błota z eleganckich pantofelek na wysokim obcasie, już bliskich ruiny.

–Czytał w gwiazdach dla żony Jego Wysokości, kiedy była chora, i zalecił napój siarkowy, żeby ją wyleczyć – wyjaśnił Ti-Filip. – Dziw, że to jej nie zabiło. Mój przyjaciel Candido powiedział, że księżę Benedykt przysłał swojego eisandzkiego konsyliarza, który dał chorej na przeczyszczenie, co prawdopodobnie ocaliło jej życie, choć wciąż niedomaga. Ale jego matka, podejrzliwa niewiasta, jest święcie przekonana, że ktoś czegoś dosypał do dekoktów magistra Acco, i nadal żarliwie wierzy w jego zalecenia.

Dałam sobie spokój z błotem.

–Nasze szczęście, że nie szukamy go dla medycznej porady.

Remy ze śmiechem pociągnął sznur dzwonka przy wejściu. Drzwi uchyliły się i w szczelinie ukazała się ziemista twarz. Kiedy zmęczone oczy zlustrowały nasze stroje, zapaliły się w nich chytre światełka.

–Poszukiwacze przygód z Małego Dworu, mam rację? Czy piękna pani chce, abym z gwiazd odczytał jej przyszłość? – Magister Acco cofnął się i otworzył drzwi na oścież. – Proszę, proszę!

Weszliśmy do ciemnej, zatęchłej siedziby. Astrolog zakrzętnął się, zapalając dodatkowe lampy. Oceeniłam, że ma około pięćdziesięciu lat. Był chudy, z pasemkami siwizny w czarnych włosach, na których nosił wyświechtaną aksamitną czapkę. Charakterystyczna dla jego profesji atlasowa szata, ozdobiona symbolami ciał niebieskich – jak na mój gust niezbyt finezyjna – niegdyś musiała prezentować się wspaniale. Teraz była poplamiona jedzeniem i wytarta na rąbku. W pokojach walały się księgi i zwoje. Na jednym z nich, mocno podniszczonym, rozpoznałam pismo akadyjskie. Najwyraźniej astrolog miał spory zasób wiedzy. Powinnam się tego domyślić, bo przecież przyjaźnił się z maestro Gonzago.

–Siądź, pani, proszę. – Magister Acco z zakłopotaniem uprzątnął ze stołu nadgryzione udko kurczęcia. Chcąc ukryć zawstydzenie, zapytał w dość dobrym d'Angeliriskim: – Czy mam postawić horoskop w twoim ojczystym języku?

–Caerdicci wystarczy, mistrzu astrologu – odparłam grzecznie, siadając

naprzeciwko niego przy stole. Remy i Ti-Filip stanęły za moimi plecami. – Ale obawiam się...

–Ach tak, oczywiście. – Magister Acco złączył czubki palców i pokiwał głową. – Pani, nie obawiaj się, twoja moneta zapewni ci dyskrecję. Proszę tylko, gdy uznasz moją radę za mądrą – a uznasz, uznasz! – żebyś szepnęła życzliwe słowo do ucha księcia Benedykta. Nie uchodzi, żebym nie miał królewskiego patrona, zostałem wszakże wyszkolony do służenia królom.

Pochyliłam się i spojrzałam mu w oczy.

–Mistrzu astrologu, jeśli odpowiesz na moje pytanie, to wierz mi, że księżę Benedykt hojnie cię nagrodi. Szukam nie rady, lecz informacji. – Astrolog odsunął się od stołu z nagle czujną miną. Uśmiechnęłam się rozbrajająco i zmieniłam taktykę. – Wybacz mi, nie chciałam ci? strwożyć. Jesteś przyjacielem aragońskiego historyka Gonzago de Escabaresa, prawda?

Magister Acco trochę się odprężył.

–Tak, zgadza się. Czy on cię przysłał? Wiem, że zawsze miał upodobanie do Terre d'Ange i... – zachichotał – tamtejszej wyśmienitej kuchni. Proszę, przekaz staremu nicponiowi moje pozdrowienia.

–Obiecuję. – Po chwili podjęłam: – Magistrze, wiem, że maestro Gonzago odwiedził cię zeszłego roku, a niedługo później zjawił się rozpytujący o niego niejaki Lukrecjusz. Skierowałeś go do Varro, dokąd udał się maestro, i poleciłeś mu przyzwoitą gospodę w La Serenissimie.

–Tak. – Jego spojrzenie znów stało się baczne. – Przypominam sobie tego człowieka. Ale nie mam pojęcia, co się z nim stało, jeśli to chcesz wiedzieć.

–Nie. – Pokręciłam głową. – Szukam d'Angelińskiej arystokratki, która nazajutrz rano spotkała się z nim w tej gospodzie. – Z uśmiechem wzruszyłam ramionami i rozłożyłam ręce. – To moja dawna znajoma, panie. Dała Lukrecjuszowi prezent dla mnie, przekazany mi następnie przez maestro Gonzago. Niestety, nie zostawiła adresu, a chciałabym jej podziękować.

–Nie wiem o kim mówisz. – Głos astrologa zdradzał napięcie i nawet w mdłym świetle lampy dostrzegłam lśniący na jego czole pot.

–Z pewnością zapamiętałbyś lady Melisandę Szachrizaj – podsunął Remy, uśmiechając się łobuzersko. – Uroda, która doprowadza mężczyzn do szaleństwa, włosy czarne jak fale morza o północy, oczy podobne bliźniaczym szafirom i głos słowika. Widziałem ją z odległości pięćdziesięciu kroków, lecz nigdy jej nie zapomnę!

Magister Acco zadygotał.

–Nie – wychrypiał. – Nigdy nie widziałem takiej osoby. Jeśli trafiła do przyjaciela Gonzago, to na pewno poprzez jego sługę. Przykro mi, ja nic nie wiem.

Gwałtowne ruchy, pot, zmiana brzmienia głosu, powtarzanie się – nie dość, że kłamał, to jeszcze kłamał ze strachu. Przemówiłam do niego łagodnym tonem:

–Mistrzu astrologu, nie żartowałam. Książę Benedykt zapłaci za tę wiadomość. I niezależnie czego się obawiasz, obiecuję, że zapewni ci ochronę. – Nie miałam prawa składać takiej obietnicy, byłam jednak pewna, że Benedykt się zgodzi, a jeśli nie, mogłam przecież wezwać Kwintyliusza Rouse.

Ale moje argumenty trafiły w pustkę.

–Ja nic nie wiem – powtórzył magister Acco, a desperacja dodała mu śmiałości. – Słyszysz? Nic! Nawet gdybyś obiecała mi stanowisko nadwornego astrologa u samej d'Angelińskiej królowej! A teraz wyjdź i zostaw mnie w spokoju, i nigdy więcej nie wracaj! – Drżał ze strachu i gniewu. – Czy sądzicie, że nie mogę wyczytać w gwiazdach własnego przeznaczenia? Czy myślicie, że nie widzę nici, która przetnie moje życie, jeśli wejdę jej w drogę? Wyjdźcie stąd, mówię!

–Magistrze Acco...

–Precz! – wrzasnął zduszonym głosem, drżącą ręką wskazując drzwi. Żył pulsowały na jego skroniach i bałam się, że jeśli zostaniemy, razi go apopleksja. Skinęłam na kawalerów i wyszliśmy w milczeniu. Drzwi zatrzasnęły się za nami, a zaraz potem usłyszałam zgrzyt przesuwanego mebla i głuchy łomot.

Staliśmy w błocie na małym podwórku i patrzyliśmy na siebie.

–Cóż – mrukną! Remy z zadumą. – Nie ulega wątpliwości, że ten człowiek miał do czynienia z Melisanda. Tylko co nam to daje?

–Pójdziemy do księcia Benedykta. – Głos, cichy i rozsądny, zupełnie nie pasował do Ti-Filipa. Z niechęcią spojrział mi w oczy, pocierając nos, który już nie przypominał rozkwaszonego owocu. – Pani, pójdę z tobą na koniec świata choćby w pogoni za tęczą, ale musisz wiedzieć, że

jeśli strach tego człowieka nie jest bezpodstawny, to mamy do czynienia ze zbyt poważną sprawą, byśmy mogli zająć się nią sami. Mamy powody wierzyć, że astrolog wie o Melisandzie coś, co budzi w nim obłędne przerażenie. To sprawa wagi państwowej, a ty dałaś słowo admirałowi. Niech książę Benedykt się nią zajmie.

–Masz rację – powiedziałam i westchnęłam. – Wolalabym mieć dowód, solidny

dowód. Benedykt nie chce rozmawiać z własnej woli, a nie sądzę, żebyśmy mogli sobie pozwolić na dalsze działanie za jego plecami. Remy, jeśli zgodzisz się zostać na straży, my pójdziemy prosto do Małego Dworu i będziemy się modlić, żeby nazwisko admirała Rousse otworzyło nam drzwi.

–Tak jest, pani. – Remy zasalutował, zajmując stanowisko pod ścianą domu astrologa. – Oby za sprawą Elui dopisało wam szczęście.

Wtedy usłyszeliśmy drugie łupnięcie, inne niż łoskot przestawianego mebla.

Brzmiało jak odgłos upadającego ciała.

Ti-Filip zaklął i naparł ramieniem na drzwi. Remy też się przyłożył i wspólnymi siłami wyważyli je, choć zostały zabarykadowane przez wielki kufer. Gdy chciałam wejść, kazali mi zaczekać.

–Bezpiecznie, pani, ale nie ma po co chodzić do księcia Benedykta! – zawołał Remy z goryczą. – Na pewno chcesz to zobaczyć?

Astrolog leżał jak kupa łachmanów pośrodku swojego żalosnego mieszkania. Miał otwarte, wytrzeszczone oczy i trochę piany na ustach. Obok niego wałała się rozbita fiolka. Magister Acco nie żył. Ti-Filip pochylił się nad jego twarzą, potem dotknął kawałka szkła i powąchał palec.

–Możecie się naśmiewać z mojego nosa, jeśli taka wasza wola – powiedział, wycierając palec o spodnie – ale ta mikstura cuchnie jak trutka na szczury, którą rozkładał mój tata.

–Otruł się. – Przycisnęłam drżącą rękę do piersi. – Biedaczysko! My pchnęliśmy go do tego kroku. Przecież widziałam, że odchodził od zmysłów ze strachu.

–Pani. – Remy złapał mnie za ramię i odwrócił plecami do trupa. – Był chyba trochę obłąkany – powiedział cicho. – Pamiętasz, co bełkotał na końcu? Bredził o nici i urywaniu żywota. Myślę, że strach przed Melisanda pomieszał się w jego głowie z goryczą po wydaleniu z pałacu. Wpędził się w szaleństwo, zamiast stawić czoło przeciwnościom losu. Ten człowiek omal nie zabił żony doży. Z pewnością prześladowało go poczucie winy.

–Może. – Bolała mnie głowa. – Ale jeśli stał na skraju przepaści, Remy, to ja go w nią popchnęłam. Zastanawiam się, czy wiedział co zamierzamy.

–Skąd? – zapytał retorycznie Ti-Filip. – Na szczęście teraz nie musimy tego robić. Ściągnę straż księcia na oględziny trupa, choć z wielką niechęcią. Benedykt sam cię zaprosi. Powiesz mu wszystko, co wiesz, i niech on przeprowadzi śledztwo.

–Nie. – Potarłam skronie. – Astrolog zabił się własną ręką, a po jego śmierci nie ma tu czego szukać. Nie ma nikogo, kogo Benedykt mógłby przesłuchać. Podnoszenie larum tylko

ostrzegłoby Melisandę, jeśli w jakiś sposób była związana z denatem. Jeśli nie była, postawimy się w niezręcznej sytuacji i na domiar złego zdradzimy naszą grę. Pójdę do Benedykta, kiedy będę miała dowód.

Pobieżnie przeszukaliśmy mieszkanie magistra Acco, znajdując tylko narzędzia jego profesji oraz teksty i mapy. Przed drzwiami zebrało się kilku Serenissimczyków i Remy wyszedł do nich z ponurą twarzą. Poprosił, żeby powiadomili kogo trzeba i posłali po grabarza, po czym wyjaśnił, że astrolog wyprosił nas w gniewie, a potem miał atak.

Nie wyglądali na zaskoczonych i poważnie kiwali głowami, jakby właśnie tego się spodziewali. Magister Acco słynął z niezrównoważonego temperamentu i okazjonalnych napadów furii.

Cieszył się również reputacją bezbłędnego prognosty.

Myślałam o tym w czasie milczącej drogi do wynajętego domu. Gondola wypłynęła na Wielki Kanał i sunęła po wodzie zabarwionej na lawendowo przez zachodzące słońce, przewoźnik zanurzał długie wiosło w hipnotyzującym rytmie, nucąc pod nosem. Nie sądziłam, że astrolog był obłąkany, podobnie jak nie wierzyłam w to, że tynktura z siarki w małych dawkach może zabić. Gdyby żona doży zmarła, gdyby medyk Benedykta nie zainterweniował, magister Acco z pewnością zostałby stracony. Nie miałam pojęcia, czy Melisanda zatrula tynkturę. Nigdy nie brudziła własnych rąk, choć może teraz, będąc w desperacji, odstąpiła od tej zasady. Jeśli była w pałacu doży i kontaktowała się z astrologiem, ktoś musiał o tym wiedzieć – i ten ktoś okłamał księcia Benedykta.

Jedno wiedziałam na pewno. Magister Acco widział się z nią i jeśli nie majaczył, to rzeczywiście wyczytał w gwiazdach, że spotka go śmierć, gdy wejdzie jej w drogę. Przejął kontrolę nad swoim losem w jedyny dostępny mu sposób.

I to ja go do tego pchnęłam.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

Gdy wróciłam do domu, czekał na mnie list. Prawie zapomniałam o obietnicy danej Ricciardowi Stregazza, on jednak pamiętał. Zostałam zaproszona do jego wiejskiej willi, za dwa dni.

Odmówiłabym uprzejmie, gdyby mojej uwagi nie przyciągnęło samo zaproszenie, wystosowane nie przez Ricciarda, lecz przez jego żonę, Allegrę. Ujął mnie jej ciepły, szczerzy sentymentalizm oraz chęć wysłuchania mojej opinii o serenissimskim społeczeństwie.

–Przyjmiesz zaproszenie, pani? – zapytał cicho Fortun. Był jeszcze bardziej układowy niż zwykle, bo od Remy'ego i Ti-Filipa dowiedział się o dzisiejszych wydarzeniach.

–Tak – odparłam z westchnieniem. – Powinnam. Może czegoś się dowiem.

–Będę ci towarzyszyć, jeśli chcesz – zaproponował uprzejmie. Oboje wiedzieliśmy, że jest bardziej zrównoważony niż pozostali dwaj kawalerowie.

Zachowałabym się inaczej, gdybym nie była taka zmęczona i zniechęcona.

–Chcę Joscelina – odpowiedziałam jak nadąsane, rozżalone dziecko. Zobaczyłam ból na jego twarzy i gdybym tylko mogła, cofnęłabym te słowa. – Fortunie, przepraszam, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Chodzi wyłącznie o to, że będziemy w odizolowanym miejscu, wśród ludzi, którym nie śmiem ufać, a on jest najlepiej wyszkolony.

–Ale go nie ma. – Fortun zarumienił się, zawstydzony swoją obcesowością, i opadł na kolano przy mojej kanapie. – Pani, wiem, że ci go brakuje. Wiem, że się poróżniliście, wszyscy wiemy. Gdybym mógł przywlec go tutaj za kołnierz, przysięgam, że bym to zrobił.

Odłożyłam zaproszenie.

–Gdzie jest? U Jezuitów? – Wyczytałam odpowiedź z jego twarzy i parsknęłam śmiechem. – Wiesz, co tam robi, prawda?

–Tak. – Fortun odwrócił wzrok. – Pani, wybac mi – podjął szeptem – ale słyszałaś zeznania Niewybaczonych tak dobrze jak my. Tamtej nocy w Troyes-le-Mont brat kasjelita eskortował Persję Szachrizaj. Wiem, że za skarby świata nie rzuciłabyś podejrzeń na Joscelina, ale on stale znika, i rozmawialiśmy o tym we trójkę. Żle czyni, bo przecież przysiągł ci chronić i służyć. Ciągnęliśmy losy i ja wyciągnęłam krótszą słomkę. Poszedłem za nim, i to nie raz.

Przeciągnęłam rękami po twarzy.

–Joscelin Verreuil może być kiepską namiastką kasjelity, ale prędzej zatańczy nago dla kalifa Khebbel-im-Akad niż wda się w konszachty z Melisanda Szachrizaj. Co robi?

Fortun chrząknął.

–Uczy jeszuickich chłopców posługiwać się kasjelicką bronią.

–Co takiego? – zapytałam podniesionym tonem.

–Mówiłem, że uczy ich walczyć w kasjelickim stylu. – Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma służby. – Rozpytywałem w tawernach. Jeden gość okazał się skłonny do rozmowy. Wygląda na to, że próbowali ćwiczyć sami, ale w La Serenissimie Jeszuitom nie wolno nosić broni. Mają tu jedną świątynię i Joscelin szkoli ich w katakumbach.

–Co zamierzają? – zapytałam ze zmęczeniem w głosie. – Przypuścić szturm na pałac doży?

–Nie. – Pokręcił głową. – Iść na północ, jak nakazuje proroctwo. Krążą pogłoski o jakimś wodzu, Hralu czy może Vralu, który nawrócił się na jeszuicką wiarę i chce stworzyć jeden naród z plemion północnych pustkowi.

–Ha, życzę im powodzenia – mruknęłam. – Fortunie, zapomnij co powiedziałam. Twoje towarzystwo sprawi mi dużą przyjemność.

–Przyślę go do ciebie, kiedy tylko się zjawi – rzekł cicho i wyszedł.

Nie dowiedziałam się, co zaszło pomiędzy nimi, ale Joscelin towarzyszył mi w czasie wizyty w Villa Gaudio, gdzie mieszkał Ricciardo z Allegra. Łodzią wyruszyliśmy z leżącego na wysepkach miasta i popłynęliśmy w górę rzeki Brenno, nad którą leżą rozproszone folwarki z domami w tyberyjskim stylu. Nie znałam dobrze Ricciarda, ale zdziwiłam się, że postanowił zamieszkać na takim odludziu.

W drodze niewiele rozmawiałam z Joscelinem, z wyjątkiem omówienia okoliczności śmierci magistra Acco. Podobnie jak Remy, uznał, że astrolog był słaby na umyśle i że nie powinnam winić się za to, co się stało. Sam jednak robił sobie wyrzuty, że byłam tak blisko w tej tragicznej chwili, bez Towarzysza Doskonałego w zasięgu wzroku.

I słusznie, pomyślałam, przypominając sobie, jak przyszedł z ogrodu tamtego dnia, kiedy wyjawiałam mu swoje zamiary. „Chronię i służę”, powiedział. Nie więcej i nie mniej. Obojętnie, co kto mógł sobie wyobrażać, Joscelin złożył przysięgę Kasjelowi,

nie mnie, nawet nie Ysandrze. I moim zdaniem robił znacznie mniej, niż mógł.

Zachowałam te myśli dla siebie. Ostatecznie mnie nikt nie wmawiał, że jest mi pisane poprowadzenie ludu do chwały w dalekim kraju.

Ricciardo Stregazza wystawił czujki, które powitały nas na brzegu rzeki. Sam wraz z rodziną czekał w ogrodach pomiędzy przystanią i willą, skromną i elegancką, z marmurowymi kolumnami od frontu.

–Witaj, hrabino – powiedział po d'Angelińsku i pocałował mnie na powitanie, a ja odruchowo odwzajemniłam pocałunek. Tutaj zachowywał się swobodniej i wyglądał młodziej. – To moja żona Allegra... – odwrócił się do niej – a to... – wskazał nieśmiałą siedmioletnią dziewczynkę i wesołego pięciolatka o kędzierzawej czuprynie – nasze potomstwo, Sabrina i Lucio. Moi drodzy, poznajcie Fedrę i Delaunay, hrabinę de Montreve.

Wymieniliśmy słowa powitania, a potem przedstawiłam Joscelina, który złożył kasjelicki ukłon. Allegra Stregazza uściskała mnie serdecznie.

–Tak się cieszę, że przyszłaś – powiedziała w caerdicci; uśmiechnięta, z delikatnymi zmarszczkami w kącikach szarzielonych oczu. W przeciwieństwie do znanych mi kobiet z miasta, niczym nie nakrywała falistych kasztanowych włosów, a jej strój cechowała gustowna prostota. Oceniłam, że ma dwadzieścia siedem lub osiem lat, o dziesięć mniej niż mąż. – Nie miewamy tu wielu gości, gdyż bywanie na wsi nie jest modne, choć niewątpliwie pewnego dnia to się zmieni. Poza tym... cóż. Sprawiałaś nam przyjemność.

–Czuję się zaszczycona – odparłam uprzejmie, lekko zdezorientowana.

–Signor Verreuil... – Allegra odwróciła się do Joscelina i wstrzymała oddech, patrząc na sztylety i zarękawia. – Jesteś kasjelita!

W jej ustach zabrzmiało to egzotycznie. Joscelin zamrugał i zgiął się w kolejnym ukłonie.

–Kiedyś miałem ten honor, pani. Wybacz mi, że noszę broń w twojej obecności. – Wyjął sztylety, rzucił je do jej stóp i zaczął rozpinać pas z mieczem.

–Och, nie trzeba! Błagam, zatrzymaj broń! – Allegra klasnęła w ręce jak mała dziewczynka, potem wyjaśniła dzieciom, że w każdych okolicznościach królowi albo królowej Terre d'Ange zawsze towarzyszą dwaj członkowie Bractwa Kasjelitów. Chłopiec schylił się po sztylet, a jego siostra wierciła obcasem w trawie i spod grzywki popatrywała na Joscelina.

–Lucio, zostaw, to należy do signora kasjelity. – Ricciardo dobrotliwie zbeształ

roześmianego malca i posadził go na ramieniu. – Może wejdziemy do domu? Myślę, że kucharka przeszła samą siebie, przygotowując dzisiejszy posiłek.

Odbyliśmy przyjemny spacer przez ogrody, w których wśród cisów i cyprysów pyszniły się klomby róż.

–Przed kłótnią ksiązę Benedykt obiecał mi wypożyczyć nadwornego ogrodnika – powiedział Ricciardo ze smutkiem. – Jest uczciwym człowiekiem i mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia, jeśli moja droga bratowa nie będzie mu wsączać jadu w uszy. – Kiedy pochwaliłam ogrody, pokręcił głową. – Dziękuję, hrabino, ale ja wiem lepiej, choć trzeba przyznać, że Allegra dokonuje cudów z tymi różami.

–Ty je pielęgnujesz? – zapytałam. – Są przepiękne.

Zarumieniła się.

–Mam rękę do roślin po matce. Szkoda tylko, że brakuje mi czasu.

Gdy ruszyli przodem, za ich plecami wymieniłam spojrzenie z Joscelinem. Choć raz sprawiał wrażenie równie zbitego z tropu jak ja, co bardzo mnie ucieszyło.

Willa była przestronna, elegancko i wygodnie urządzona, a słońce wpadające przez okna równoważyło ciężar złożonych mebli z ciemnego drewna. Akadyjskie kobierczyki i wazony z różami stanowiły kolorowe akcenty w stonowanym wnętrzu. Obiad w istocie był wyśmienity. Dzieci posilały się z nami, w razie potrzeby obsługując Joscelina i mnie z uroczą, dobrze wytrenowaną powagą. Z podobnym przyjęciem spotkalibyśmy się w wiejskiej posiadłości d'Angelińskiej szlachty.

Nasi gospodarze prowadzili lekką konwersację, ani przez chwilę nie nudną. Ricciardo wykazał się zaskakująco dobrą znajomością poezji, omówiliśmy więc szczegółowo najnowsze wiersze z Cyklu Ysandryjskiego Thelesis de Mornay. Allegra z kolei była ogromnie zainteresowana rolą edukacji w naszym społeczeństwie i szybko zrozumiałam, że zalicza się do tych nielicznych Serenissimek, które umieją czytać i pisać. Zaproszenie zostało skreślone jej ręką. Wszystkich ciekawiło dziesięcioletnie szkolenie braci kasjelitów i Joscelin uprzejmie odpowiedział na liczne pytania. Po obiedzie dzieci odeszły pod opieką niani, żegnając nas pospiesznymi ukłonami i dygami, opromienione aprobatą rodziców.

Razem wzięwszy, Stregazza tworzyli kochającą się rodzinę, bez cienia sztuczności we wzajemnych relacjach. Ricciardo i Allegra odnosili się do siebie z niekłamaną sympatią i szacunkiem, a dzieci darzyli gorącą miłością. On jednak był synem doży, ja zaś nie byłam na tyle naiwna, by wierzyć, że ta przyjemna wizyta nie ma politycznych podtekstów.

Przy likierze podanym na deser usłyszałam potwierdzenie swoich domysłów.

Ricciardo wznosił toast za nasze zdrowie, odstawił kieliszek i bez ogródek oznajmił:

–Lady Fedro, proszę, nie miej mi za złe, kiedy powiem, że wiem, kim jesteś i czym się zajmujesz. Kiedy nas przedstawiono, nie rozpoznałem nazwiska, ale skojarzyłem je później, z Cyklu Ysandryjskiego. Mówię to nie po to, żeby wprawić cię w zakłopotanie, bo przecież wiem, że w swojej ojczyźnie uchodzisz za bohaterkę, i podziwiam postawę twojego narodu, podobnie zresztą jak wiele innych rzeczy związanych z Terre d'Ange. Mówię to, ponieważ znam mojego brata. Niezależnie od tego, że w swoim kraju pełnisz religijne posługi, Marco Stregazza nie pozwoli synowi poślubić kurtyzany.

Nie powiedziałam, że nie chcę za niego wychodzić, tylko stwierdziłam:

–Severio jest odmiennego zdania. – Joscelin na szczęścia powstrzymał się od komentarza.

–Severio! – Ricciardo skrzywił usta. – Severio dopiero umoczył palec w bezdennej studni intryg, do której ma prawo z racji urodzenia. Nie jest złym chłopcem, choć potrafi być wybuchowy i okrutny. Słyszałem, że od czasu poznania ciebie trochę się ustatkował, za co jestem ci wdzięczny. Jednakże nie zna dziesiątej części planów swego ojca.

Uniosłam brwi.

–Wydaje się, że zna dziesiątą część twoich. I naprawdę dobrze wie, jaki cios może zadać La Serenissime strajk warzelników.

–Naprawdę? – Ricciardo nie krył zaskoczenia. – Skoro wie tyle, chciałbym, żeby zobaczył, jak Consiglio łamie grzbiety robotników i handlarzy przekłętymi podatkami, ściągany na rozbudowę floty. – Kręcąc głową, dodał z goryczą: – Ale zapewne wierzy rodzicom, którzy wmawiają mu, że jego wuj buntuje Scholae w nadziei na polityczne zyski.

–To czysta głupota! – wtrąciła Allegra zapalczywie. – Przecież nawet półgłówek może zajrzeć do annałów, gdzie wyczyta, że Consiglio Maggiore nigdy nie wybrało doży z Sestieri Scholae. Gdyby Ricciardowi zależało wyłącznie na własnych korzyściach, zabiegałby o głosy

Sestieri Angelus. – Zarumieniła się, zawstydzona własną śmiałością, ale na jej twarzy wciąż malowało się oburzenie.

–Maria Celestyna wspomniała, że nie pałasz miłością do Małego Dworu – powiedziałam do Ricciarda.

–Moja bratowa nie ma o tym pojęcia! – Oczy mu rozbłysły. – Tak, z szacunku do

ojca stanąłem po stronie mojej rodziny. Moim zdaniem Benedykt niesłusznie rozciąga winę Dominika i Teresy na cały ród Stregazza. Źle też czyni, wynosząc potomka z drugiego małżeństwa nad starsze dzieci, zwłaszcza że wie, że w La Serenissimie Maria Celestyna nie może odziedziczyć po nim majątku. Z drugiej strony, gdyby nie była taka podejrzliwa, gdyby nie zachowała się jak sekutnica... – Westchnął, odzyskując panowanie nad sobą. – Hrabino, książę Benedykt przeżył dwadzieścia lat w związku bez miłości, sprzedany w więzy politycznego mariażu przez swojego brata Ganelona. Po śmierci Marii Stregazza odprawił stosowną żałobę. Ale teraz jest starcem rozkochanym w młodej żonie, uciekinierce, która opuściła umiłowaną ojczyznę i dała mu syna. Jestem przekonany, że mianował małego Imriela swoim jedynym sukcesorem w pierwszym odruchu serca, nie zastanawiając się nad tą decyzją. Niewątpliwie z czasem ją przemyśli i podzieli schedę pomiędzy wszystkie dzieci. Gdyby mój ojciec miał dość rozsądku, wysłałby do niego emisariusza, żeby załagodzić ten nedorzeczny konflikt.

–Na przykład ciebie? – zapytałam.

Ricciardo wzruszył ramionami.

–Wciąż mam przyjaciół w Małym Dworze. Myślę, że Benedykt zechciałby mnie wysłuchać, ale mój ojciec nie wyrazi zgody. – Spojrzał mi prosto w oczy. – Jestem pewien, że Marco i Maria Celestyna powiedzieli ci o skandalu.

–Tak. – Zerknęłam na Allegrę, która ze współczuciem patrzyła na męża.

–Tak. – Ricciardo skrzywił usta. – Nie ma sensu ukrywać tego przed tobą. Mój ojciec kazał mi zabawić syna d'Angelińskiego ambasadora z Małego Dworu. Zostałem przyłapany na zbyt dosłownym wykonywaniu tego polecenia i od tej pory ojciec mną gardzi, choć wciąż staram się zasłużyć na jego szacunek. – Na chwilę zamknął oczy i dodał: – Tak. Wiem, nad czym się zastanawiasz. Młodzieniec był pełnoletni i chętny. Aż takim głupcem nie jestem, ale to wystarczyło.

–Przykro mi, panie – bąknęłam, nie wiedząc co powiedzieć.

Ricciardo otworzył oczy, znów bystre i przebiegłe.

–Mówię ci o tym, żebyś wiedziała, do czego jest zdolna moja rodzina i jak bardzo nieustępliwa potrafi być w pewnych sprawach. Mój brat zarzuca Severia na przynętę, kiedy jednak spełnisz jego prośbę – znam go dobrze i wiem, że zawsze czegoś chce – zabierze syna i zostawi ci pusty haczyk.

–Spróbuje wykorzystać cię do własnych celów – dodała Allegra – nawet gdyby stało to w sprzeczności z interesami twojej ojczyzny. Tymczasem doża pozostaje głuchy na głos rozsądku,

rozdźwięk pomiędzy Stregazza i rodem Courcel stale się pogłębia, a książe Benedykt coraz bardziej boi się o przyszłość syna i żony, i zwiększa liczbę strażników w Małym Dworze.

Jej słowa uderzyły mnie jak obuch, przywołując wspomnienia. „Muszę przywitać się z Jego Wysokością diukiem de Somerville”, powiedział Severio w sali koncertowej. „Matka poleciła mi, abym w imieniu księcia Benedykta podziękował mu za kompanię d'Angelińskich gwardzistów, których przysłał do Małego Dworu”.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy poczułam satysfakcję, gdy kawałek układanki wpadł na swoje miejsce.

Brakujący wartownicy z Troyes-le-Mont.

–Lordzie Ricciardo, skończmy tę zabawę – powiedziałam, wrywając się z zadumy. – Twój brat poprosił mnie o nawiązanie kontaktu z cruarchą Alby w sprawie wyłączności handlu. Wie, kim jestem, dlatego zakłada, że Drustan mab Necthana mnie wysłucha. Ty z własnych powodów – i być może z troski o moje dobro – prosisz, bym tego nie robiła. Dobrze, zastanowię się, ale chcę czegoś w zamian. Mówisz, że masz przyjaciół w Małym Dworze. Chcę się tam dostać bez konieczności niepokojenia księcia Benedykta.

Ricciardo patrzył na mnie; wszyscy patrzyli, nawet Joscelin.

–Nie masz zamiaru wychodzić za mojego bratanka, prawda? – zapytał syn doży.

Był bystry, powinnam zachować większą ostrożność. Wzruszyłam ramionami i rozłożyłam ręce.

–Towarzystwo Severia sprawia mi przyjemność. W Terre d'Ange to wystarcza. Poza tym moje sprawy nie powinny nikogo interesować.

–Powinny, jeśli dotyczą La Serenissimy – rzekł stanowczym tonem.

Spojrzałam prosto w jego ciemne oczy.

–Nie dotyczą.

–Panie – odezwał się niespodziewanie Joscelin, pochylając się nad stołem – szukamy Melisandy Szachrizaj.

Nie ośmieliłabym się powiedzieć tego tak otwarcie. Mój towarzysz wziął ich z zaskoczenia. Ricciardo zamrugał, patrząc na Joscelina, który zniósł to z surowym kasjelickim spokojem.

–Zdrajczyni Benedykta – zaczął z zadumą. – Tak, on też jej szukał, niespełna dwa miesiące temu. Przypuszczam, że ojciec jest na niego zły i nie wyciągnie ręki na zgodę również dlatego, iż ksiązę Benedykt podejrzewał go o przygarnięcie zdrajców. Przykro mi. – Pokręcił głową. – Nie wiem nic więcej.

W jego zachowaniu nie doszukałam się oznak świadczących o kłamstwie lub robieniu uników, które w takiej obfitości widziałam u magistra Acco, ale był przecież Stregazza i miał przebiegłość we krwi. Mimo wszystko uznałam, że udzielił szczerzej odpowiedzi. Jeśli nawet ambicją dorównywał bratu, w tym przypadku nie mogłam mu niczego zarzucić.

–Wystarczy! – Allegra odsunęła krzesło od stołu i wstała. – Ricciardo, zaprosiliśmy hrabinę, żeby poznała naszą gościnność, nie intrygi – skarciła go, a potem zwróciła się do mnie: – Lady Fedro, czy wyświadczysz mi grzeczność i obejrzysz bibliotekę? Chciałabym, żeby moje dzieci... nasze dzieci odebrały wykształcenie odpowiednie do swojej pozycji. Będę wdzięczna, jeśli polecisz mi jakieś lektury.

–Oczywiście – odparłam.

Biblioteka była mała, ale nie uboga. Powiodłam wzrokiem po książkach i wypowiedziałam się pochlebnie o kilku d'Angelińskich autorach, zarekomendowałam także kilku największych helleńskich filozofów i tyberyjskich historyków. Allegra usiadła przy sekretarzyku i wdzięcznym charakterem pisma skreśliła notatki, po czym wzięła nowy arkusz pergaminu i napisała krótki list. Zapieczętowała go, odciskując w wosku herb Stregazza.

–Proszę. – Podała mi pismo. – To list polecający do madame Felicity d'Arbos, która była serdeczną przyjaciółką mojej matki, kiedy obie służyły w Małym Dworze jako dworki księżnej Marii Stregazza de la Courcel. Wspomina mnie życzliwie, jak myślę, i ucieszy się, gdy przekażesz jej moje pozdrowienia.

–Dziękuję, pani.

–Miło mi, że nas odwiedziłaś. – Allegra uśmiechnęła się smętnie. – Mój mąż jest dobrym człowiekiem, hrabino, i mam nadzieję, że z czasem to dostrzeżesz. Ja dostrzegłam. Jeśli jest podejrzliwy, to ma ku temu powody, zbyt wiele powodów. Ale bardzo się stara postępować należycie, i co spotyka go w nagrodę? Pogarda! – Westchnęła. – Gdyby doża nie chorował, mogłoby być inaczej, Kiedyś trzy razy w roku przyjmował cechmistrzów Scholae i wysłuchiwał ich skarg. Gdyby z nimi porozmawiał, zrozumiałby, że Ricciardo ma na celu dobro rzemieślników, a oni darzą go szacunkiem. Ludzie żyjący z pracy własnych rąk dbają przede wszystkim o chleb na stole, nie o drobne intrygi wysoko postawionych. Ale jego ojciec... – Pokręciła głową i popatrzyła mi prosto w oczy. – Myślisz, że w Terre d'Ange byłoby inaczej?

–Możliwe – odparłam ostrożnie. – U nas wiele rzeczy wygląda inaczej, pani, choć nie jest to regułą. Mój pan, Anafiel Delaunay, został wydziedziczony przez ojca, ponieważ poświęcił swoje życie naszemu księciu Rolandowi, zamiast ożenić się i założyć rodzinę. Skończyło się tragedią, a ja odziedziczyłam tytuł, którego jemu nie było dane nosić. U nas prawa miłości są inne, ale zawiłości rodzinne i zdrady bywają takie same.

Allegra pokiwała głową.

–Rozumiem. Dziękuję ci. – Podeszła do okna, które wychodziło na żyzne pola na tyłach posiadłości. – Ricciardo wypełnił obowiązek wobec rodziny. I byliśmy szczęśliwi, na swój własny sposób. Niech jego brat i bratowa szydzą sobie do woli. Mnie wystarcza to co mam.

Pomyślałam o ich fadości w ogrodzie, o Ricciardzie niosącym synka na ramionach. Jego uczucie, jej współczucie. Wspomniałam gorzką sprzeczkę z Joscelinem i raniące słowa, jeszcze nie odwołane. Nam obu, Allegrze Stregazza i mnie, przypadło w udziale niedoskonałe szczęście

w miłości, ale podczas gdy ja je roztrwaniałam, ona swoje pielęgnowała, osłaniając węgielki dłońmi i rozdmuchując płomień, żeby ogrzewał jej bliskich.

–Masz kochającą się rodzinę, pani – powiedziałam cicho. – Zazdroszczę ci.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Nie tracąc czasu, złożyłam wizytę madame Felicity d'Airbos.

Na tę wyprawę zabrałam trzech kawalerów. Nie przypuszczałam, że coś złego może mnie spotkać w dobrze strzeżonym Małym Dworze, a oni przewyższali Joscelina pod względem umiejętności zasięgania języka.

Kiedy przedstawiłam im swoją teorię, Fortun klepnął się w czoło, zły, że sam o tym nie pomyślał. Wyciągnął starannie wyrysowane plany Troyes-le-Mont i razem odświeżyliśmy zgromadzone dotąd informacje, łącznie z pozycjami i raportami wartowników, z którymi rozmawiałam u Niewybaczonych.

Tak przygotowani, poszliśmy.

Strażnicy przy kanałowej bramie Małego Dworu powitali mnie z szacunkiem, obejrawszy pieczęć na liście Allegry, i pozwolili nam wejść. Wezwali też służącego, który pobiegł do komnat madame d'Arbos, żeby zaanonsować moje przybycie.

Dziwnie było, po zaznajomieniu się z serenissimską społecznością, znów znaleźć się na d'Angelińskim terytorium, patrzeć na d'Angelińskie twarze, słuchać ojczystego języka. Służbę cechowała wyważona elegancja i ściszone tony w obecności osób wysokiego rodu. Sam marmur wydawał się jaśniejszy, sufity wyższe, ściany szersze i wszędzie dostrzegałam wykwintne szczegóły, jakich bardzo mi brakowało – z mijanych salonów płynęła muzyka, w niszach stały wazony z kwiatami, wdzięczne freski zdobiły wnętrza.

Chłopak wrócił z komnat madame d'Arbos i powiedział, że pani przyjdzie mnie z radością. Młody strażnik ruszył razem z nami, wygładzając błękitno-srebrną liberię domu Courcel i rumieniąc się za każdym razem, gdy spoglądał w moją stronę. Pod drzwiami powiedziałam mu, że nie wypada kłopotać madame obecnością kawalerów. Zapytałam, czy zechce się nimi zająć i zabrać ich na przykład do kwater straży, gdzie mogliby na mnie poczekać.

Zgodził się, z kolejnym rumieńcem.

Muszę powiedzieć, że choć wizyta nie spełniła nadziei, jakie z nią wiązałam, okazała się przyjemna. Madame Felicita d'Arbos, wdowa około pięćdziesiątki, była jedną z d'Angelińskich szlachcianek wysłanych z księciem Benedyktem, by służyć jego serenissimskiej żonie. Podobne zadanie przydzielono matce Allegry, rodowitej Serenissimce. Doszłam do wniosku, że to wyjaśniało wysoki poziom wykształcenia córki.

Służący wprowadził mnie do niedużego, ale gustownie urządzonego apartamentu.

Po śmierci Marii Stregazza Felicita postanowiła pozostać w Małym Dworze, a księżę Benedykt dopilnował, żeby dostawała przyzwoitą pensję. Przy herbacie opowiadała mi o swoim życiu, miło wspominając małą Allegrę i jej rodzinę.

–A księżna? – zapytałam. – Jaka była?

–Serenissimska żona. – Spojrzała na mnie przenikliwie znad krawędzi filiżanki. – Tak ją nazywają. Przez jakiś czas nie było tak źle. Och, brała udział w intrygach, działając na korzyść swojej rodziny, ale Benedykt umiał sobie z tym poradzić. Nie łączyła ich miłość, nikt jednak nie miał powodów do narzekań. Tylko... no cóż, nie powinien wydawać swoich córek za Stregazza. Ta rodzina jest zbyt ściśle związana. Król chciał scementować więzi, lecz te późniejsze małżeństwa tylko wzbudziły podejrzenia, jeśli chcesz wiedzieć. I pogardę.

–Tak słyszałam – przyznałam.

–To prawda. – Ostrożnie odstawiła filiżankę. – Nienawidzą nas, wiesz. Ty, młoda i urodziwa, jeszcze tego nie doświadczasz. Są tobą zauroczeni, ale z czasem zaczną się zgrzyty. Maria Stregazza znienawidziła swojego męża, gdy jej uroda zaczęła przemijać, a on pozostawał piękny. Znenawidziła otaczające ją d'Angelińskie twarze. To naprawdę trudne.

–Potrafię sobie wyobrazić – powiedziałam, myśląc o wrogości wielu młodych szlachcianek, które miałam okazję poznać. – Ale teraz musi być inaczej z... – Uśmiechnęłam się. – Czy ją też nazywają d'Angelińską żoną?

–Serenissimczyści tak. – Felicita d'Arbos uśmiechnęła się do mnie. – Z początku było dobrze. Przypodobała im się, przywdziewając Welon Aszery. To było dobrze przemyślane posunięcie. Obecnie panuje mała burza, ale mam nadzieję, że szybko przeminie. Czy chciałabyś ją poznać?

–Przyjmuje gości? – zapytałam ze zdziwieniem. – Jeszcze nie otrzymałam odpowiedzi na prośbę o posłuchanie u księcia Benedykta.

–Och, nie. – Roześmiała się. – Jest zajęty sprawami stanu, a ona dzieckiem. Ale szepnę słówko, żeby twoja prośba została spełniona. Widok młodej twarzy może wyjść na dobre biedactwu. O tej porze lubi spacerować z maleństwem po balkonie nad Ogrodem Królowej. Tak się składa, że mam ochotę na przechadzkę po ogrodzie, który pomagałam zakładać przed laty.

Ponieważ chciałam zapewnić moim kawalerom jak najwięcej czasu, poszłam z nią i spędziłam miłe chwile w Ogrodzie Królowej. Był otoczony murem z jedną furtką, do której Felicita d'Arbos miała klucz. Pośrodku szemrała maleńka fontanna, a wokół kwitły róże, tworząc feerię barw i nasycając powietrze słodkim zapachem. Felicita pokazała mi różne krzyżówki; to od niej matka Allegry nauczyła się pielęgnować

kwiaty.

–Aha, jest – szepnęła i skinęła głową. – Tam.

Ze świtą złożoną z dwóch paziów i jednego strażnika, po balkonie wychodzącym na ogród spacerowała wysoka i smukła kobieta, odziana w elegancką kremową suknię przybraną srebrnym brokatem, z twarzą przysłoniętą srebrną siateczką Welonu Aszery. W ramionach trzymała niemowlę, dostrzegłam pulchne piąstki i burzę ciemnych loczków. Madame d'Arbos i ja pochyliłyśmy się w głębokim ukłonie i nie zmieniłyśmy pozycji, dopóki młoda żona Benedykta nie wróciła do pałacu.

–Biedny chłopiec – powiedziała Felicita d'Arbos ze współczuciem w głosie, prostując się. – Jedyne ratunek w tym, że gdy podrośnie, oddadzą go na wychowanie na dwór w Mieście Elui. Modłę się, żeby Benedyktowi wystarczyło na to rozumu. Krewni Marii nie będą zachwyceni, ale prawda jest taka, że D'Angelin nie ma czego szukać w La Serenissimie.

Znając serenissimską politykę, musiałam przyznać jej rację. Co więcej, z drżeniem wspomniałam chwilowe zastanawianie się nad „propozycją Severia. La Serenissima jest piękna, a jakże, lecz nie może być domem dla nikogo z rodu Elui.

Po przechadzce pożegnałam się serdecznie z Felicita, obiecując przekazać pozdrowienia Allegrze Stregazza i nakłonić ją do wizyty wraz z dziećmi. Powinnam posłać paza po moich kawalerów, ale ponieważ od długiego czasu ciągle przebywałam w czyimś towarzystwie, postanowiłam odszukać ich sama. Zapewniłam madame d'Arbos, że spotkam się z nimi przy bramie, i ruszyłam korytarzami Małego Dworu.

Zgodnie z moimi przewidywaniami kwatery straży znajdowały się w sąsiedztwie kuchni. Z dużej izby dobiegały śmiechy i żarty gwardzistów. Wszyscy stanęli na baczność, gdy wartownik oznajmił moje przybycie.

Moi kawalerowie też tam byli, a po błysku w oczach Ti-Filipa poznałam, że czegoś się dowiedzieli. Gwardziści jeden przez drugiego proponowali mi miejsce na ławie, kubek wina, miskę gulaszu z kaszą jęczmienną, lecz grzecznie odmówiłam.

–Pani – zaczął Fortun, z powagą skłaniając głowę – wspominaliśmy dawne czasy, które dobrze pamiętasz. To jest Geoffrey z UAgnace, który służył w Troyes-le-Mont. I Ignacy, i Jan Wincenty, i Telfour, wszyscy weterani. Brakuje, niestety, Kerneya i Meillota, gdyż pełnią służbę, ale powiedziano nam, że są tu również inni. Meillot obiecał ich przysłać, jeśli to będzie możliwe.

Więcej niż sześciu brakujących wartowników? Z cichym okrzykiem zdumienia usiadłam przy stole. Ponieważ nie miałam pojęcia, co już zostało powiedziane, przemilczałam temat ucieczki Melisandy. Strażnicy prawie przez godzinę wspominali

pamiętną bitwę, z wyjątkową radością relacjonując, jak zakradłam się do skaldyjskiego obozu, żeby uprzedzić fortecę. Uśmiechałam się, jakby mi to schlebiało, i starałam się ignorować echa bólu w lewym ramieniu, gdzie Waldemar Selig zaczął oddzielać skórę od ciała. Ogólnie rzecz biorąc, nie lubiłam nawet myślami wracać do tamtej eskapady.

–Rajmond! – Gwardziści powitali wchodzącego kolegę, kolejnego wartownika z Troyes-le-Mont, jak się okazało.

–Dobrze cię widzieć, żołnierzu! – Remy ze śmiechem poklepał go po plecach. – Chodź do nas. Toczemy tutaj bitwę i próbujemy coś uzgodnić. Powiedz nam, co widziałeś w noc ucieczki Melisandy Szachrizaj?

–Ha. – Popatrując na mnie, przybysz złożył nerwowy ukłon. – Przykro mi, pani, mówić o tych niefortunnych wydarzeniach.

–Mów, proszę, swobodnie. – Uśmiechnęłam się i zaryzykowałam: – W Mont Nuit zrobiono

wiele wysokich zakładów. Być może wszyscy się wzbogacimy, gdy opowiesz, co widziałeś, stojąc na posterunku.

Rajmond przyjął pełny kubek wina i wypił połowę przed zajęciem miejsca.

–Nic nadzwyczajnego, niestety. Pełniłem służbę przy zbrojowni na piętrze, kiedy lord Ghislain zjawiał się o piątym dzwonie. Wcześniej widziałem tylko lorda Barquielą, wuja królowej. Odprowadzał lady Persję po wizycie u kuzynki.

Pozostali wartownicy zgodnym pomrukiem potwierdzili jego słowa.

Serce zakołatało mi w piersi, dostałam zawrotu głowy, nagle zabrakło mi tchu...

–Diuk Barquiel L'Envers... Jesteś pewien?

–A jakże. – Wypił resztę wina i popatrzył na mnie. – To ten z oczami królowej i szalikiem po akadyjsku okręconym dookoła głowy. Nie widziałem nikogo innego, dopóki nie wszczęto alarmu.

Powiodłam wzrokiem po twarzach moich kawalerów. Remy i Ti-Filip uśmiechali się triumfalnie, Fortun natomiast miał czujną, poważną minę. Lekko pokręcił głową, gdy pochwyciłam jego spojrzenie.

–Czynicie więc Jego Książęcą Mość pewnym faworytem – odezwałam się lekkim tonem do wartowników – choć ja niewiele na tym zyskam. A co się stało z tym nieborakiem, który znalazł trupa przy bramie? Z tym, który podniósł larum? –

Pstryknęłam palcami, zerkając na Fortuna. – Jak on się nazywał?

–Fanuel Buonard – podpowiedział kawaler skwapliwie. – Z Namarry.

Rajmond wzruszył ramionami. Wszyscy weterani z Troyes-le-Mont powtórzyli ten gest. Któryś z nich powiedział z zadumą:

–Czy to nie on zwolnił się ze służby? Tak, przypominam sobie. Chciał poślubić serenissimską dziewczkę.

–Zwolnił się, ale bez pozwolenia – dodał ze śmiechem drugi. – Kapitan Circot dałby mu do wiwatu, gdyby nie wżenił się w rodzinę z Isla Vitrari. Ci dmuchacze szkła umieją zadbać o swoich. Pewnie wciąż tam siedzi, dogląda ognia w piecach i patrzy, jak jego żonie rosną wąsy.

Wśród kolejnych żartów Fortun zapytał Rajmonda:

–Dlaczego zdecydowałeś się na przeniesienie do Małego Dworu?

–Chciałem zobaczyć świat za granicami Terre d'Ange – odparł gwardzista bez namysłu. – Poza tym służba się opłaca, a staremu zależało na ochotnikach.

Słuchałam półuchem, mając mętlik w głowie. Barquiel L'Envers z Persją Szachrizaj! Jeśli moje podejrzenia były uzasadnione, a Marmion nie kłamał, to Rajmond widział nie Persję, lecz Melisandę – przy czym sam diuk był zdrajcą. Wuj Ysandry. Starając się zachować spokojny wyraz twarzy, wezwałam kawalerów i pożegnałam gwardzistów. Miałam nadzieję, że nie słyszeli, jak moje serce bije głucho z przerażenia.

Powrót do domu minął jak z bicza trzasnął. Remy i Ti-Filip tryskali entuzjazmem i jeden przez drugiego zachodzili w głowę, jak by tu uzyskać posłuchanie u księcia Benedykta. Musiałam zwrócić im uwagę, że powinni powściągnąć języki w obecności przewoźnika.

Tylko Fortun siedział milczący, zatopiony w myślach.

Kiedy weszliśmy w bezpieczne mury domu i odprawiliśmy służbę poza zasięg słuchu, Remy i Ti-Filip wyrecytowali zeznania strażników. Przytoczyli słowa sześciu, podając nazwiska – i wyglądało na to, że wszyscy widzieli to samo: diuka Barquielia L'Envers eskortującego Persję Szachrizaj. Zastanawiałam się, jak przekonać Ysandrę, i znowu zakręciło mi się w głowie. Musiałam mocno przytrzymać się krawędzi stołu, żeby nie stracić równowagi. Mocno zacisnęłam powieki, bo pokój wirował mi przed oczami.

Kiedy je otworzyłam, moją uwagę przyciągnęła ponura twarz Fortuna.

–O co chodzi? – zapytałam.

Odwrócił wzrok i spojrzał na mnie dopiero po chwili.

–Pani, nauczyłaś mnie patrzeć i słuchać. Jednej rzeczy po prostu nie sposób nie zauważyć. – Odchrząknął i dokończył cicho: – Wszyscy opowiedzieli tę samą historię.

–Wszyscy widzieli to samo, człowieku! – zawołał Ti-Filip, waląc go po ramieniu. – A czegoś ty się spodziewał?

–Słuchajcie. – Fortun zignorował go, pochylając się nad planem Troyes-le-Mont, wciąż leżącym na stole. – Tutaj, tutaj i tutaj... – wskazał posterunki na parterze i na pierwszym piętrze – tutaj i tutaj pełnili wartę ludzie, z którymi rozmawialiśmy u Niewybaczonych. Wszyscy tamtej nocy widzieli kilka osób, w tym Persję Szachrizaj w towarzystwie brata kasjelity. Popatrz na trasy, pani. Jeśli powiedzieli prawdę, wartownicy z Małego Dworu musieli widzieć to samo.

–Może kłamali. Nie zawsze można to poznać.

Fortun ściągnął brwi.

–Królowa przesłuchiwała wszystkich, co do jednego. Skoro dwie trzecie wartowników widziało Barquiela z Persją Szachrizaj, dlaczego wtedy tego nie powiedzieli? To bardzo podejrzane. – Westchnął i palcami przegarnął czuprynę. – To jasne, że ktoś kłamie. Sądzę, że tutejsi, i to niezbyt dobrze. Kiepsko ich wyćwiczono. Spytałem, czemu przystali na służbę w La Serenissimie. Słyszałaś, pani, Rajmonda. Wszyscy udzielili podobnej odpowiedzi. I... – dodał cicho – wszyscy przybyli tutaj z rozkazu jednego człowieka.

Krew stężała mi w żyłach i czułam sztywność ust, kiedy zmusiłam się do zapytania:

–Co sugerujesz?

–Pani. – Fortun z poważną miną złożył ręce na stole. – Ghislain de Somerville pozwolił wartownikom z Troyes-le-Mont dołączyć do Niewybaczonych. Potem ci, którzy przeżyli, zameldowali się u jego ojca. Percy dopilnował, żeby trafili jeszcze dalej niż do Kamlachu, mianowicie do La Serenissimy. Dziwna rzecz, że diuk wysłał księciu Benedyktowi kontyngent złożony w całości z wartowników z Troyes-le-Mont. Co dziwniejsze, wszyscy zgłosili się na

ochotnika.

Pozostali dwaj kawalerowie milczeli. Wszyscy milczeliśmy. Chciałam, bardzo chciałam odrzucić domysły Fortuna. Strażnicy z Małego Dworu dali mi odpowiedź,

której szukałam tak długo. Nie lubiłam Barquiela L'Envers i nigdy, przenigdy bym mu nie zaufała – tak jak nie ufał mu mój pan, lord Delaunay, który mnie wyszkolił.

Wyszkolił mnie tak, jak ja Fortuna, najlepszego z moich kawalerów, którzy byli w Małym Dworze i słuchali gwardzistów krytycznym uchem. Skoro miałam zaufanie do własnego szkolenia, nie mogłam zbagatelizować zdania Fortuna.

–Fanuel Buonard – powiedziałam. – Wciąż tutaj jest, jeśli wartownicy nie minęli się z prawdą. Na wyspie dmuchaczy szkła. Musimy go wypytać. – Fortun nie musiał nic mówić. Pamiętałam, że to nie weterani z Troyes-le-Mont podali tę informację. Ci udawali głupich, co do jednego, w sprawie losów swojego towarzysza broni. Informacja pochodziła od długoterminowych strażników z Małego Dworu.

–Spróbuję się czegoś dowiedzieć – obiecał Fortun.

Spałam źle tej nocy i po raz pierwszy od czasu wizyty w Domu Gencjany miałam sen. Śniłam, jak poznałam Percy ego de Somerville, kiedy albijska delegacja zawitała na dwór Terre d'Ange. Delaunay uważał go za sprzymierzeńca, ale posłał Alcuina do jego łóżka, żeby przypieczętować przymierze. Nie był prawdziwym przyjacielem, pomyślałam, w przeciwnym wypadku mój pan nie miałby potrzeby tego robić. Alcuin poszedł bez słowa sprzeciwu, ani razu nie okazując, jak bardzo brzydził się służbą Naamie. Delaunay walczył u boku Percy'ego de Somerville w Bitwie Trzech Książąt, podobnie jak księżę Roland i Benedykt de la Courcel. W śnie wspominałam jego wyprostowaną sylwetkę, przystojną twarz starzejącego się ziemianina, białe zęby i zapach jabłek w powietrzu, ciężki i przesłodzony.

Zakrztusiłam się i zbudziłam, oddychając nocnym powietrzem La Serenissimy, wilgotnym, cuchnącym wodą z kanałów, i znowu zasnęłam.

Rankiem czekało na mnie wezwanie do doży.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

Prywatne apartamenty doży były przegrzane jak Pokój Tarczy, w którym udzielał formalnych audiencji. We wszystkich pokojach stały kosze z rozżarzonymi węglami, a na oknach wisiały grube aksamitne kotary, które nie wpuszczały słońca i powietrza.

Mimo tych środków zaradczych Cesare Stregazza kulił się w szatach swojego urzędu, wełnianej todze wykończonej złotymi frędzlami. Słudzy w barwach Stregazza wchodzili i wychodzili, przynosząc słodczyce, grzane wino z korzeniami, małą harfę, o którą poprosiłam, węgiel do koszy, nowe świece, dzban wody prosto ze studni, a ich twarze lśniły od potu w dusznych pomieszczeniach. Nawet nie starali się skrywać niezadowolenia i łomotali przedmiotami. D'Angelin umarłby ze wstydu, tak źle służąc swojemu panu.

Staralam się nie okazywać zakłopotania, gdy grałam na harfie i śpiewałam popularne wiejskie ballady. Nie mam wielkiego talentu, ale nie fałszuję; nikt nie opuszcza Dworu Nocnych Kwiatów bez opanowania sztuki gry i śpiewu. Doża słuchał, zaciskając ręce pod wełnianą szatą, i popatrywał na prostacką służbę z ironicznym błyskiem w starych oczach.

Pochwalił mnie i poprosił, żebym grała dalej. Zaśpiewałam wzruszającą albijską arię, której nauczyłam się od siostr Drustana mab Necthana. Jak najlepiej przeplatałam sopran i kontralt. Brakowało męskiego tenora, ale uznałam, że w La Serenissimie nikt tego nie zauważy. Ośmielona, dodałam humorystyczną d'Angelińską śpiewkę wykonywaną zwykle podczas gry kottabos, mówiącą o zakładzie kurtyzany i trzech konkurentów. Doża śmiał się głośno, gdy wcielałam się w poszczególne role, a drżenie jego ciała znacznie zmalało. Nawet słudzy przestali hałasować i słuchali z uśmiechem, choć nie rozumieli słów, kiedy zaś wrócili do obowiązków, sprawowali się znacznie lepiej.

Zrobiłam przerwę, żeby napić się wody.

Cesare Stregazza odchylił się na oparcie fotela, patrząc na mnie.

–Zostawcie nas – powiedział do służących. Po ich wyjściu poprosił: – Zaśpiewaj mi pieśń, która ułagodziła Pana Cieśniny, mała hrabino.

Podniosłam wzrok, zaskoczona. Doża wiedział o mnie więcej, niż sądziłam. Skłoniłam głowę na znak zgody i podniosłam harfę. Była to śpiewana przez kobiety skaldyjska pieśń, której nauczyłam się w czasie długiej, mroźnej zimy w niewoli w osadzie Guntera. Świat znał wojenne pieśni Skaldów, opiewające bitwę, chwałę, krew i żelazo. Ta, rzewna i bezpretensjonalna, mówiła o smutku kobiet czekających przy ogniu, gdy na dworze śnieg pada bez końca, a wilki wyją za drzewami, o śmierci

młodego wojownika, o żałobie i nienarodzonych dzieciach.

Nie śpiewałam jej od tamtego dnia na wodach Cieśniny, choć zapisałam słowa dla Thelesis de Mornay. Kiedy skończyłam, odłożyłam harfę na bok.

–Brawo – rzekł cicho Cesare Stregazza. – Bardzo ładnie, pani. – Napił się grzanego wina i jego ręka prawie nie drżała, kiedy trzymał kubek. – Pięć pieśni w trzech językach. Znasz już trzy kraje, a Caerdicca Unitas jest czwartym. Ysandra de la Courcel ledwo zdążyła zagrzać miejsce na chwiejnie stojącym tronie, kiedy postanowiła wysłać cię do Alby. Teraz szpiedzy Marka donoszą, że wypędziła cię z czystej złośliwości, bo jest zazdrosna o męża. Nie chce mi się w to wierzyć.

–Panie, Jej Wysokość wcale mnie nie wypędziła – sprostowałam z szacunkiem. – To drobne nieporozumienie, nic więcej.

Skrzywił pomarszczone usta w cierpkim uśmiechu.

–Naprawdę? Mój syn jest bystrym człowiekiem, ale nigdy nie zasiadał na tronie. Jesteś niezrównaną bronią, Fedro nó Delaunay, bo wyglądasz jak urzekająca ozdoba. Żaden monarcha, który ma choć odrobinę rozsądku, nie zostawiłby cię samej sobie, bo wróg mógłby wyciągnąć po ciebie rękę. Mam wrażenie, że czego jak czego, ale pomyślunku twojej pani nie brakuje.

Uniosłam brwi.

–Mój pan ocenia mnie zbyt wysoko.

–A ty mnie zbyt nisko – warknął. – Gdybym był idiotą, nie zasiadłbym na tym tronie, lecz nie utrzymam się na nim długo, jeśli nie zdołam wykorzystać narzędzi, które mam pod ręką. – Jakby w odpowiedzi, kubek, który wciąż trzymał, zadrżał gwałtownie i trochę gorącego wina wylało się przez krawędź. Wstałam spieszenie, żeby postawić naczynie na Marmurowym blacie stolika. – Widzisz, nawet ciało mnie zdradza, uchybiając mojej godności – powiedział Cesare z przekąsem, splatając sękaty dłonie. – Ale w końcu będę miał okazję zweryfikować trafność swojej oceny Ysandy de la Courcel. Dziś dowiedziałem się, że jesienią królowa odbędzie progressus regalis. Jeśli wszystko pójdzie po myśli moich wrogów, zjawi się w La Serenissimie w czasie wyborów nowego doży.

Słowa te zawierały wiele informacji. Siedziałam na podnóżku i trochę za długo zastanawiałam się jak zareagować.

–W istocie – mruknął, patrząc na mnie – co tu powiedzieć? Musimy ryzykować, oboje. Nie mając większego wyboru, postanowiłem wierzyć, że Ysandra de la Courcel nie bierze udziału w spisku przeciwko mnie, a więc tym samym jest moim jedynym sprzymierzeńcem. – Doża wzruszył przygarbionymi ramionami. – I że ty jesteś jej

wierną poddaną. Jeśli się mylę, mała hrabino, w imię swojego Błogosławionego Elui wyjdź za drzwi i powiedz moim wrogom, że ich przejrzałem, i na tym zakończymy rozmowę.

–A czy nie masz wciąż lojalnych szpiegów, którzy pójdą za mną i podadzą ci nazwiska konspiratorów? – zapytałam, a on uśmiechnął się złośliwie. – Panie, jeśli wcześniej obdarzyłeś mnie zaufaniem, to teraz go skąpisz. – Pokręciłam głową. – Skąd wiesz, że istnieje spisek?

–Dziecko, zawsze jest jakiś spisek – odparł z irytacją, obracając duży złoty sygnet na palcu prawej ręki. – Widzisz to? – Widziałam go wcześniej, czułam na swoim policzku. Korona

Aszery. Popatrzyłam jeszcze raz i pokiwałam głową. – Doża władający La Serenissima zwany jest Umiłowanym Aszery z Morza. To, to, wszystko to... – wskazał szkarłatną czapkę, szaty i inne insygnia władzy w komnacie – jest symbolem urzędu. Ale to... – uniósł drżący palec, na którym lśnił pasek złota – symbolizuje zaślubiny. Tylko oblubieniec wie, co znaczy nosić ten sygnet.

Przeniosłam pytające spojrzenie z pierścienia na jego twarz.

–I co, mała D'Angelino z niebiańską krwią w żyłach i boskim znakiem w oku? – zapytał drwiąco. – Nie wiesz? Święte małżeństwo jest konsumowane w chwili śmierci. Nieśmiertelna oblubienica nie pozwoli, żeby jej śmiertelny umiłowany zniedołężniał, nie będzie czekać na niego jeszcze kilka lat. A jednak jej kapłanka powiedziała mi coś zupełnie innego. Albo całe życie żyłem w kłamstwie, albo ktoś przekupił Wyrocznię.

Tym razem źle zrozumiał moje milczenie, bo nie zastanawiałam się nad odpowiedzią, tylko wspominałam. To wina Delaunaya, który wyszkolił mnie zbyt dobrze. Moje życie byłoby prostsze, gdyby nie nauczył mnie takich rzeczy. Natychmiast przypomniałam sobie ciemny pokój w świątyni, zrzędlawy głos starej Bianki, zapach wosku pszczelego i gra natów. „Czemu nie. Przepowiadałam tysiącom i nie opuściłam jednego dnia z wyjątkiem tego, kiedy zmogła mnie gorączka. Traf chciał, że akurat wtedy Jego Wysokość potrzebował rady”

–Panie – zaczęłam z powagą, patrząc mu w oczy. – Wierzę, że masz rację.

–To chyba jasne! – 'Doża znów był opryskliwy, ale nie przywiązałam do tego wagi. – Mam rację we wszystkim, prawda?

–Możliwe. – Ostrożnie dobierałam słowa. – Znam Jej Wysokość na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie bierze udziału w spisku przeciwko żadnemu panującemu monarsze. Nie popełnisz błędu, ufając jej słowu. Czy zechce być twoim sprzymierzeńcem...? – Wzruszyłam ramionami. – Panie, dlaczego nie zawrzesz pokoju z księciem Benedyktem? Jeśli tego nie uczynisz, postawisz moją królową w niezręcznej sytuacji.

On jest jej stryjecznym dziadkiem, pierwszym w kolejce do tronu, o ile Ysandra de la Courcel nie doczeka się dziedzica. Twój syn Ricciardo uważa, że księżę Benedykt posłuchałby głosu rozsądku, gdybyś tylko wyciągnął do niego rękę.

–Ricciardo. – Cesare Stregazza zrobił gniewną minę. – Ricciardo zamyśla ustawić się przy uchu Benedykta, żeby zdobyć jego poparcie dla siebie. Mając za sobą Sestieri Scholae i Angelus, ten wąż może dopiąć swego. Ale nie waży się nachodzić Benedykta bez mojego błogosławieństwa, bo urwałbym mu głowę. Gdyby przekonał żonę, żeby pogodziła się z ojcem... Ha, może jeszcze to zrobić, i na dodatek sięgnąć po mój tron. Nie. – Pokręcił głową. – Nie ma nikogo, komu śmiałym zaufać, mała hrabino, żeby zapewnił mi poparcie księcia Benedykta. Posłałem po niego, lecz zignorował wezwanie. Jeśli sam do niego pójdę, to umniejszą mój prestiż. Jeśli zagrozę mu siłą, wystąpię przeciwko domowi Courcel i zaryzykuję zerwanie więzi z Terre d'Ange. Z pomocą Alby i Aragonii Terre d'Ange mogłaby zamknąć zachód przed

serenissimskim handlem. Nie. Ale twoja królowa umie wykuwać pokój. Jeśli ona i księżę Benedykt staną po mojej stronie, będę mógł unieważnić wybory, a także ujawnić zdradę w świątyni Aszery. Bez tego... – wzruszył ramionami – albo ustąpię z tronu, albo umrę.

–I myślisz, że ja mogę nakłonić królową, żeby cię poparła.

–Tak. – Doża złożył ręce na kolanach i uśmiechnął się chytrze. – Myślę, że możesz to zrobić. I że musisz, ponieważ w grę wchodzi świętokradztwo, prawda? Aszera z Morza w swojej mądrości i miłosierdziu uznała, że ty, wybranka boga, powinnaś o tym wiedzieć. Obiecałaś zaśpiewać dla mnie, Fedro nó Delaunay de Montreve. Podałem ci melodię. Zaśpiewasz?

–Mogę – odparłam spokojnie. – Co dasz mi w zamian, panie?

Uśmiechnął się szerzej.

–Czego potrzebuje każdy dobry śpiewak? Ciszy. Będę milczał. Daję ci wolną rękę w pracy na rzecz swojej królowej. Dopóki nie zyskam całkowitej pewności, kto spiskuje przeciwko mnie, pozostanę zramolałym starym głupcem, z nieczęstymi chwilami jasności umysłu. Niech moje dzieci i wnuki widzą w tobie urzekającą ozdobę. Nie ujawnię, że jesteś bronią

Popatrzyłam na niego z zadumą.

–Ktoś w twoim pałacu udzielił schronienia lady Melisandzie Szachrizaj, panie. Ktoś mający dostęp do astrologa twojej małżonki. Nawiasem mówiąc, magister Acco wolał odebrać sobie życie niż wyjawić prawdę. Jeśli wiesz, kto pomógł zdrajczyni, możemy zawrzeć umowę.

–Gdybym miał taką wiedzę, wykorzystałbym ją. – Doża patrzył na mnie z równą powagą. – Benedykt de la Courcel poprosił obcesowo, ale jako przedstawiciel królowej, dlatego udzieliłem wszelkiej pomocy w demaskowaniu d'Angelińskich zdrajców. Nie moja wina, że zawiódł. Ja zaś proszę tylko o to, żeby twoja królowa poparła moje wysiłki, mające na celu znalezienie spiskowców wśród mojego ludu, na mojej ziemi. Czy mam twoje słowo?

–Tak, panie. – Nie dał mi wyboru. – Powiem uczciwie mojej królowej, co jest mi wiadomo, i uczciwie przedstawię twoją prośbę. Więcej nie mogę zrobić.

–O więcej nie proszę – odparł ze spokojem. Kiwając głową, zaczął manipulować zapinką szerokiego naszyjnika z pereł, który okalał dekolt jego szkarłatnej szaty. Drżące palce odmówiły mu posłuszeństwa i chciał zadzwonić po służbę, lecz po chwili namysłu zmienił zdanie.

–Dziecko, pomóż mi.

Podeszłam do niego posłusznie, i bez wysiłku rozpięłam zapinkę, bo sługi Naamy umieją z wdziękiem zdejmować ubranie i biżuterię. Nanizane na złoty drucik perły zwisały z mojej ręki w szerokim, wijącym się paśmie. Podałam je doży.

–Nie. – Pokręcił głową, kosmyki włosów zafalowały pod szkarłatną czapkę. – To dla ciebie, mała hrabino. Dar klienta, prawda? Widzisz, wiem co nieco o waszych zwyczajach. Powiedz, że zachwycony twoim śpiewem, oddałem cześć Naamie. Może spojrzy łaskawym okiem na Umiłowanego Aszery z Morza. – Podniósł drżącą rękę, by pieszczotliwie pogłaskać mnie po twarzy. – Uczciłbym ją inaczej, gdybym był młodszy. Z drugiej strony, może tak jest lepiej.

Aszera jest zazdrosną boginią, a ty możesz stać się niebezpieczną obsesją dla każdego śmiertelnika.

–Jesteś zbyt uprzejmy, panie – powiedziałam cierpko, bo chyba ukłuła mnie prawda zawarta w jego słowach. – Dziękuję.

Tak oto wyszłam z pałacu doży z majątkiem w postaci pereł na szyi, po raz pierwszy słysząc za sobą pomruk spekulacji, który nie skończył się na jednym komentarzu. W Terre d'Ange nigdy nie czułam się tak nieprzyjemnie jak tutaj, w La Serenissimie.

Dlatego, zamiast udać się prosto do wynajętego mieszkania, zrobiłam coś – nie wiem, mądrze czy niemądrze – co nie miało żadnego związku z naszymi poszukiwaniami. Wyjawiłam swój zamiar Fortunowi, który towarzyszył mi tego dnia, a on kazał przewoźnikowi zabrać nas do dzielnicy kurtyzan. Mężczyzna spojrzał pytająco na mojego towarzysza, a potem na mnie, jakby nie był pewny, czy dobrze zrozumiał słowa wypowiedziane w caerdicci z silnym d'Angelińskim akcentem. Joscelin nie pozwoliłby mi na taką wycieczkę, a Remy czy Ti-Filip nie szczędziliby

sprośnych żartów. Fortun po prostu powtórzył polecenie, za co byłam mu wdzięczna.

Kręcąc głową, wioślarz skierował łódź w głąb Wielkiego Kanału, potem skręcił w węższe drogi wodne. Domy stawały się coraz mniejsze i biedniejsze, już nie murowane, tylko drewniane. Jeśli nie zawodził mnie zmysł orientacji, byliśmy niedaleko domu magistra Acco. Pod rozklekotanym drewnianym mostkiem wpłynęliśmy do dzielnicy, w której stały domy z drzwiami pomalowanymi na jasnoczerwony kolor, a wzdłuż kanału cumowały liczne gondole i nawet złożone bissony.

Kobiety w tanich sukniach wychylały się leniwie z balkonów i wołały do Fortuna, obiecując takie rozkosze, jakich wysoko urodzona dama – czyli ja – nigdy mu nie zapewni. Niektóre, widząc jego d'Angelińskie rysy, oferowały usługi za darmo, a jedna szła chwiejnie w wysokich pattenkach po błotnistym chodniku, łypała na niego lubieżnie i wysoko zadzierała spódnicę, bezwstydnie pokazując swoje wdzięki. Z wąskich domów dobiegały śmiechy, krzyki i pijackie śpiewy. Zebrało mi się na płacz, gdy pomyślałam o elegancji i dumie Trzynastu Domów Dworu Nocy.

–Wystarczy, pani? – zapytał mnie Fortun z taką miną, jakby zrobiło im się niedobrze. Doża trafnie odgadł, że zaniepokoi mnie wieść o przekupieniu Wyroczeni Aszery. Nie mógł wiedzieć, o ile bardziej bluźniercze wyda mi się to, co zobaczyłam w dzielnicy rozpusty. Nic dziwnego, że ksiązę Benedykt odizolował się w Małym Dworze.

–Wystarczy – odparłam stanowczo. Wywracając oczami, przewoźnik zanurzył wiosło w wodzie i zawrócił gondolę. Jak królewscy potomkowie Elui, uciekłam do znajomego otoczenia.

W domu zastałam szeroko uśmiechniętych kawalerów. Spędzili dzień na szukaniu informacji o zbłąkanym Fanuelu Buonardzie, prostym żołnierzu z Namarry, który, jak się wydawało, stał się centralną postacią całej konspiracji. Pomiędzy wizytą u doży a odwiedzinami w dzielnicy kurtyzan marzyłam o długiej kąpieli, ale ciekawość skłoniła mnie do wysłuchania wiadomości.

–Znaleźliśmy go – oznajmił Ti-Filip z satysfakcją. – Przez cały dzień łowiliśmy ryby na lagunie i raczyliśmy tanią brandy rybaków, nakłaniając ich do rozmowy. W końcu wytropiliśmy skurczybyka... wybacz nieparlamentarne słowo! Wzenił się w rodzinę Pidari, dmuchaczy szkła...

–Którzy – Remy przejął pałeczkę – mają kuzyna bez smykałki do tego rzemiosła. Uznali, że lepiej, by rzucał sieci, niż miał tłuc butelki. Kiedy powiedzieliśmy mu, że służymy wielkiej pani, która może zamówić całe okno z ołowiowymi szybkami dla samej królowej Terre d'Ange, jeśli Pidari zechcą pokazać swoje warsztaty, niemal

wylał ze skóry.

Ich entuzjazm był zaraźliwy i nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

– Jej Wysokość będzie zaskoczona, kiedy się dowie, do czego została zobowiązana
– powiedziałam, kiedy wreszcie się uspokoiłam. – Może zabrać nas jutro?

Remy pokręcił głową.

– Musi uzyskać zgodę rodziny. Ci dmuchacze szkła zazdrośnie strzegą sekretów
swojego fachu. Postara się zabrać nas pojutrze z samego rana.

Akurat w tej chwili wrócił Joscelin, nieobecny od półtora dnia. Stał w progu
salonu, mrugając w skośnych promieniach słońca, patrząc na naszą czwórkę i plany
rozłożone na stole.

– Co się dzieje? – zapytał ze ściągniętymi brwiami. – Dowiedzieliście się czegoś?

– Można tak powiedzieć – odparłam.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Omówienie wypadków dwóch minionych dni zabrało trochę czasu, choć Joscelin szybko pojął ich znaczenie, z zadumą patrząc na plany z zaznaczonymi posterunkami.

Kiedy skończyłam mówić, nasze oczy spotkały się w dawnym milczą cym porozumieniu.

–Percy de Somerville – powiedział cicho.

–Wysłał ich wszystkich do La Serenissimy. – Skręcałam w palcach kosmyk włosów, wciąż wilgotny po kąpieli. Chcąc dokuczyć Joscelinowi, przykazałam moim kawalerom, żeby nic mu nie mówili, dopóki nie wyjdę z łaźni. – Ale dlaczego?

–Może L'Envers nim manipulował. Jest na to dość sprytny.

–Ściągając podejrzenia na siebie? – Pokręciłam głową. – To zbyt daleko sięgająca hipoteza.

–Wiem. – Joscelin palcem prześledził bieg korytarza na planie, nie patrząc mi w oczy. – A Ghislain? Powierzyliśmy mu swoje życie. Powierzyliśmy życie Drustana.

–Wiem. – Westchnęłam. – Wiem, wiem! Ysandra złożyła w ręce Percy'ego de Somerville los całego królestwa, a on jej nie zawiódł. A jednak... sama nie wiem, Joscelinie. Gdybym mogła coś z tego zrozumieć, łatwiej byłoby uwierzyć. Czegóż tu brakuje. Elementy układanki nie pasują.

–Tak, w dalszym ciągu. – Popatrzył na mnie ponuro. – Musimy iść do księcia Benedykta, Fedro. Zrobiłaś wystarczająco dużo. Trzeba go powiadomić. Ysandrę też. Kimkolwiek są zdrajcy i obojętne, dlaczego zdradzili... Królowa planuje progressus, więc wyjedzie z kraju. Zostawi Barquiela L'Envers jako regenta i Percy'ego de Somerville na czele wojsk królewskich. Tak czy inaczej...

–Wiem. – Wsparłam podbródek na złożonych rękach. – Porozmawiajmy najpierw z tym Fanuelem Buonardem. On jest ostatnim ogniwem. Jeśli zdołamy rzucić trochę więcej światła... To poważna sprawa, Joscelinie. Nie ośmielę się pójść do księcia Benedykta, dopóki nie zyskam pewności. Nie mogę przedstawić mu samych domysłów.

Po chwili niechętnie pokiwał głową.

–Buonard, a potem prosto do Małego Dworu. Niezależnie, co nam powie, nawet jeśli nic. Umowa stoi?

–Stoi. – Chlupot i śmiech na kanale przyciągnął moją uwagę. Spojrzałam w stronę okna. Joscelin podniósł się szybko i wyszedł na balkon, gdzie powitały go drwiące okrzyki.

Cofnął się z twarzą bez wyrazu i przytrzymał kotary.

–Wołają cię, pani.

Przekładając włosy przez ramię, wyszłam na balkon i spojrzałam w dół. od domem kołysała się bissona Immortali ze złożoną figurką Aszery na dziobie. Bogini kiwała się na boki, jakby chciała zamoczyć w kanale rozpostarte ręce. W falującej wodzie migotały chwiejne odbicia

pochodni. W łodzi balansował pijany Severio, a jego koledzy wspierali się na wiosłach i podjudzali go okrzykami.

–Fedro, Fedro, Fedro! – wołał. – Obiecałaś, a od czterech dni zachowujesz się tak, jakbym nie istniał! Zaraz pęknie mi serce! Powiedz, że przyjdiesz jutro na Wojnę Kwiatów, bo jak nie, to przysięgam, że w tej chwili rzucę się do kanału i taki będzie koniec!

Jego głos niósł się nad wodą, odbijając się od fasad eleganckich domów. W oknach zapalały się lampy.

–Panie, zbudzisz całą Sestieri! – zawołałam. – Jeśli się zgodzę, Czy wrócisz spokojnie do domu?

–Za całusa! – Severio zrobił krok przed siebie i bissona przechyliła się mocno. Wpadłby do wody, gdyby koledzy nie pociągnęli go do tyłu, rycząc ze śmiechu. – Fedro, człowiek serca i lędźwi mógłby umrzeć z głodu na okruszkach, jakie mi rzucasz, podczas gdy w Terre d'Ange wyprawiłaś iście królewską ucztę! Błagam, jeden pocałunek, a zniknę do jutra, przysięgam!

Zasłony poruszyły się za moimi plecami. Joscelin wychylił się z cieni drzwi balkonowych.

–Mam się ich pozbyć?

–Nie – mruknęłam. Severio i jego kompani zaczęli śpiewać, głośno i fałszywie. Ktoś na innym balkonie kazał im się uciszyć, usłyszałam też charakterystyczny chlupot opróżnianego nocnika, a zaraz potem pogrożki i protesty Immortali. Choć światło było nikłe, dostrzegłam pogardę w oczach Joscelina. – On zapewnia mi najlepszy kamuflaż, Joscelinie, i jest wnukiem doży. Nie wszczynaj awantury. Potrzebuję tylko jednego dnia. – Bez słowa wrócił do pokoju, a ja odwróciłam się w stronę kanału.

–Fedro, Fedro, zejdź na dół! – wołał Severio, machając rękami. Tym razem cały chór okolicznych mieszkańców poprosił go o ciszę.

Wychyliłam się przez balustradę.

–Panie, masz moje słowo. Idź do domu, żebym go nie cofnęła. – Weszłam do pokoju, zamknęłam drzwi balkonowe i zaciągnęłam zasłony. Krzyki trwały jeszcze przez chwilę, potem zapadła cisza. Joscelin zniknął.

Nie było powodu, żeby łamać słowo, a przed spotkaniem z rodziną Fanuela Buonarda nie miałam co robić, dlatego wzięłam udział w Wojnie Kwiatów. To jeden z bardziej urokliwych serenissimskich zwyczajów. W małym ufortyfikowanym pałacyku na niewielkiej wysepce naprzeciwko świątyni Baala-Jupitera odbywa się bitwa na niby, w której udział biorą synowie i córki Stu Godnych Rodzin.

Zostałam zamknięta w forteczce wraz z innymi pannami, a dzięki wesołej atmosferze ich towarzystwo choć raz nie było nudne. Na miejscu zastałyśmy kosze kwiatów – róż, geranium, gladiolusów, czarnuszek, orchidei i fiołków – oraz wydmuszki pełne kolorowego konfetti i zabarwionej mąki. To było nasze uzbrojenie.

Młodzi mężczyźni, pobłogosławieni przez kapłana w świątyni Baala-Jupitera, ruszyli w wielkiej armadzie gondoli, żeby przypuścić szturm na fortecę. Jak na rozejmowych przyjęciach, wszelkie animozje popadły w zapomnienie; ten rytuał zalotów był jedną z głównych atrakcji w lecie. Patrzyłyśmy z okien wieży, jak nadciągają, wiosła błyszcząły w słońcu, dzioby rozcinały wodę.

Kiedy przybyli, śmiejąc się i pokrzykując z radości, gondole otoczyły wieżę jak ławica ciemnych ryb, a dublety i pasiaste rajtuzy tworzyły feerię kolorów. Bombardowałyśmy kawalerów kwiatami, aż burza płatków zawirowała w powietrzu. Odpowiadali na nasze salwy, rzucając bukiety i słodczyce, saszetki z wonnościami i błyskotki, błagając przez cały czas, żebyśmy otworzyły bramę lub spuściły linę. Był wśród nich Severio, który prosił znacznie bardziej ujmująco niż ubiegłej nocy. Córka członka Consiglio Maggiore złapała saszetkę i pierwsza uległa, spuszczając drabinkę ozdobioną kolorowymi wstążkami.

Teraz młodzieńcy w gondolach zaczęli rywalizować o miejsce, z którego mogliby śmiałym skokiem dosięgnąć drabinki. Wielu wpadło do wody i koledzy musieli ich wyciągać, a każdy, kto chwycił szczeble, stawał się celem naszych wydmuszek z mąką i garści konfetti. Immortali zabrali ze sobą Remy'ego i Ti-Filipa, i dzięki ich wysiłkom gondola Benita Dandiego podpłynęła blisko celu. Zwinni marynarze radośnie szczyrzyli zęby, przytrzymując dla niego drabinkę. Na przekór naszym staraniom – Giulia Latrigan rzuciła wydmuszkę, która rozbiła się na jego głowie, obsypując go niebieską mąką – Benito wspiął się do wieży i oznajmił, że zażąda całusa od pierwszej złapanej kobiety. Dopilnowałam, żebym to nie była ja.

W dole synowie Stu Godnych Rodzin – i moi dwaj kawalerowie – krzyknęli na wiwat, gdy Benito z okna ogłosił zwycięstwo, a potem zszedł na dół, by otworzyć bramę.

Dołączyli do nas słudzy z przyzwoitkami i na dziedzińcu fortecy odbyła się wielka uczta suto zakrapiana winem. Kiedy zaczęły się tańce, miałam oko na Remy'ego i Ti-Filipa, bo pełne podziwu panny zabiegały o ich Względy. Bałam się, że któryś z nich może uznać za przedni żart zdobycie d'Angelińskim urokiem tego, co każda niezamężna Serenissimka zobowiązana była zachować do ślubu – Sto Godnych Rodzin przywiązują absurdalną wagę do dziewictwa. Na szczęście przyzwoitkom musiały chodzić po głowie podobne myśli, bo trzymały moich kawalerów w ryzach.

–Dzisiaj dojdzie do wielu zaręczyn – powiedział Severio, stając przy mnie. – Fedro, jeśli przeproszę za swoje wczorajsze zachowanie, czy przyjmiesz moje oświadczyzny?

Uniosłam brwi.

–Jak mam cokolwiek zrobić, skoro nie usłyszałam przeprosin?

Uśmiechnął się i opadł na kolano.

–Lady Fedro nó Delaunay de Montreve, przepraszam za swoje karygodne, grubiańskie zachowanie. Chodź – dodał, biorąc mnie za rękę – coś ci pokażę.

Przez boczną furtkę wyszliśmy do małego ogrodu, w którym wznosił się pagórek porośnięty kwitnącym głogiem. Ze szczytu nad murem fortecy zobaczyłam świątynię Baala-Jupitera i wielki posąg. Skośne promienie zachodzącego słońca zapalały złoto na piorunie w ręku boga.

–Piękny widok – powiedziałam, choć poczułam chłód na myśl o świętokradztwie w sercu La Serenissimy.

–Ty jesteś dwakroć piękniejsza. – Severio trochę za mocno chwycił mnie za ramiona. Słońce wisiało za nim i jego twarz była ocieniona. – Fedro, doprowadzasz mnie do szaleństwa. Wyjdiesz za mnie czy nie?

Mogłabym zwodzić go dłużej, gdyby nie rozproszyły mnie wypadki ostatnich paru dni. Marnie się postarałam i sama dałam mu sposobność.

–Książę Severio – zaczęłam łagodnym tonem, szukając jego oczu – prawie mnie przekonałeś.

–Prawie – burknął. – Prawie. – Zacisnął ręce, wbijając palce w moje ramiona. – Jestem miękkim głupcem, skoro powstrzymuje mnie „prawie”, i z czułością zabiegam o to, co jest do zdobycia siłą! – Głos miał ochryply z pożądania, gdy przyciągnął mnie do siebie, ustami szukając moich ust.

–Panie! – Odsunęłam głowę i popatrzyłam na niego gniewnie. Dar Kusziela, klątwa Kusziela; czułam, jak moje ciało pragnie mu ulec. On także to czuł. Minął długi czas od ostatniego razu, a ja nie byłam kasjelita, żeby żyć w celibacie. Severio wcześniej przerwał mój okres posuchy, dlaczego nie miałby powtórzyć tego teraz? Ale wspomniałam dzielnicę kurtyzan i pomyślałam, że w La Serenissimie robienie takich rzeczy nie przysparza honoru. Naama odwróciła twarz od tego miejsca, Kusziel nim nie rządził, Elua mu nie współczuł. Kiedy przemówiłam, mój głos zabrzmiał pewniej, niż się spodziewałam: – Panie, nie.

Severio Stregazza był w jednej czwartej D'Angelinem. Po chwili opuścił ręce i popatrzył na mnie zimno.

–Jak sobie życzysz. Moi ludzie odwiozą cię do domu.

Zostawił mnie w ogrodzie i szybkim krokiem wrócił na dziedziniec. Jedna, z dwudziestu panien z radością przyjmie oświadczyzny wnuka doży, nie mając pojęcia, jaki rodzaj rozkoszy czeka ją w małżeńskim łóżu. Ja, która wiedziałam aż za dobrze, stałam sama i rozżalona, płonąca z pożądania, którego nie mogłam ugasić w pruderyjnej La Serenissimie.

Gdyby, gdyby, gdyby. Gdybym lepiej pokierowała Severiem – a powinnam – sprawy nie stanęłyby na ostrzu noża. Gdyby nie stanęły, nie zrobiłabym tego, co zrobiłam później. Wróciłam na dziedziniec, gdzie córki Stu Godnych Rodzin cieszyły się z rozstania Severia Stregazza z d'Angelińską bogdanką. Natychmiast stałam się celem zabiegów kawalerów Stu Godnych Rodzin. Poznałam błysk w oczach Immortali, którzy wiedzieli, kim jestem, i z uwagi na Severia dotąd trzymali tę wiedzę w sekrecie. Trochę za szybko wypić dwa kieliszki wina i przestałam sobie dowierzać. Odszukałam Remy'ego i złapałam go za rękę.

–Do domu – mruknęłam. – I nie odstępуй mnie, dopóki nie staniemy w progu.

Spełnił moją prośbę.

Zapadał zmierzch, barwiąc miasto fioletem i błękitem, kiedy dotarliśmy do domu. Bolało mnie serce, gdy myślałam o utraconym pięknie dnia i goryczy Severia, o okruchach mojego życia, wyslizgujących mi się z palców. Strach zmroził moją duszę na myśl o czekających mnie ponurych dniach. Podziękowałam kawalerom i życzyłam im dobrej nocy. Udałam się do sypialni, zostawiłam zapaloną lampę i wyszłam na balkon. Patrzyłam w noc, dopóki nie rozległo się ciche pukanie do drzwi.

Joscelin stał w progu z pytającym wyrazem twarzy.

–Fedro? Dobrze się czujesz? Remy martwi się o ciebie.

Na pewno, pomyślałam, skoro cię tu przysłał.

–Nic mi nie jest. Wejdz. – Zamknęłam za nim drzwi, drżąc i obejmując się rękami. – To nic takiego. Może nerwy. To był długi dzień.

–Severio? – Joscelin uniósł brwi.

–Skończone. – Zaśmiałam się. – Wiem, co o nim myślisz, ale nie jest zły, naprawdę. Ma swoje zalety. I wiesz, Joscelinie, czasami bywa miło, gdy ktoś emabluję mnie dla mnie samej, nie tylko dla spotkania, gdy chce spędzić ze mną życie dlatego że jestem jaka jestem. Pal licha, co w końcu powiedziałby jego ojciec – dodałam szeptem.

Joscelin milczał, usłyszawszy tylko pierwszą część mojej wypowiedzi.

–To nieuczciwe – powiedział cicho. – Jesteśmy tacy podobni. Ten problem zawsze nas dzielił. Fedro... – Zrobił krok ku mnie i dotknął moich włosów. Odwróciłam się, uniosłam głowę.

Gdyby, gdyby, gdyby. Gdyby Remy go nie przysłał...

Joscelin był młodym mężczyzną, a nawet kasjelici nie są z kamienia. Jego ręka przesunęła się po moich włosach i poczułam drżenie, które go przebiegło, gdy musnął palcami mój kark.

–Fedro, nie – wyszeptał, gdy go pocałowałam, ale to przecież on opuścił głowę, Sługa Kasjela. Powinnam dać mu spokój, ja jednak byłam sługą Naamy, dlatego zarzuciłam mu ręce na szyję, całując go. Odepchnąłby mnie, gdyby ręce chciały go słuchać. Mocno objął mnie w talii. – Nie rób tego – szepnął w moje włosy.

Zrobiłam.

Po raz pierwszy – i jedyny – kochaliśmy się bez delikatności. Rozdarty przez rozpacz i pożądanie, Joscelin był bardziej szorstki niż kiedyś. A ja nie mogłam ukryć zadowolenia i krzyczałam w zgięcie jego muskularnej ręki. Zbyt wcześnie było po wszystkim – i zbyt późno, żeby cokolwiek naprawić. W miłości jest szaleństwo. Patrzyłam, jak podnosi ubranie, odwracając oczy, żeby nie ujawnić nienawiści do samego siebie. Nagi w świetle księżyca, był piękny, mięśnie grały pod gładką skórą, jasne włosy lśniły. Musiałam zamknąć oczy. Słyszałam tylko szelest ubrania.

–Odchodzisz – powiedziałam bez ogródek, znów patrząc na niego.

–Tak. – On też nie robił uników. Nigdy nie mieliśmy tego w zwyczaju.

–Wrócisz?

–Nie wiem. Fedro, nie potrzebujesz mnie. Nie jesteś w Skaldii. Tutaj każdy z twoich

kawalerów może ci służyć lepiej ode mnie, i służy. Chronią cię dobrze. Myliłem się co do nich. Może nie znalazłaś tego, czego szukałaś, ale dowiedziałaś się dostatecznie dużo. Jutro sprawa przejdzie w ręce księcia Benedykta, i tym lepiej. Możesz wracać do domu, gdzie znowu będziesz na ustach całego Miasta.

–A twoje śluby? – zmusiłam się, by zadać to pytanie.

–Złamałem dla ciebie wszystkie prócz jednego, pani – odparł cicho. – Powiedzmy, że ty sama zerwałaś ten ostatni.

Niekiedy rozpacz bywa tak wielka, że nie sposób wyrazić jej łzami. Wtedy tak było... prawie. Z suchymi oczyma patrzyłam, jak wychodzi, usłyszałam szczerk zamykanych drzwi, potem głośniejszy trzask drzwi frontowych i senne mamrotanie służącego, który wstał, żeby zamknąć dom po jego wyjściu. Dopiero wtedy brak Joscelina uderzył mnie jak cios. Tyle razy, jak przyływ, odchodził i powracał. Tym razem czułam tylko straszliwą pustkę i ssącą rozpacz. Wylałam dość łez, by wystarczyło na wypełnienie tej pustki, i choć nie sądziłam, że będzie to możliwe, w końcu zasnęłam z wyczerpania na mokrej, słonej poduszce.

CZTERDZIEŚCI

–Gdzie jest Joscelin? – zapytał Ti-Filip, najbardziej niefrasobliwy z trójki kawalerów. Fortun zobaczył moje zaczerwienione oczy i zachował rozsądne milczenie, a Remy, który przysłał do mnie Joscelina, unikał mojego spojrzenia.

–Odszedł – odparłam krótko. – I możliwe, że już nie wróci. – Odłożyłam posmarowaną dżemem przylepkę, którą tylko obracałam w palcach, bo nie miałam apetytu. – Masz plany? – spytałam Fortuna.

–Tak, pani. – Wskazał skórzaną tubę. – Jesteśmy gotowi – dodał cicho – i łódź już czeka. Możemy ruszać w każdej chwili.

–Idziemy. – Szybko wstałam od stołu i pierwsza podeszłam do drzwi. Służąca Leonora patrzyła za nami, kręcąc głową i bez wątpienia zastanawiając się nad osobliwością d'Angelińskich obyczajów. Cóż, jeśli moje zachowanie wydało jej się dziwne, złoży je na karb rozstania z Severiem. Jeśli jeszcze nie słyszała o zerwaniu, niebawem wszystkiego się dowie.

Rybak z rodziny Pidari, Fiorello, czekał na nas niecierpliwie w niewielkiej łodzi z parą wiosł i prowizorycznym żaglem. Rozłożył dla mnie jutowy worek na ławce i zabrał się za wiosłowanie natychmiast, gdy tylko wsiedliśmy. Chłopcy Fedry wpadli jeden na drugiego. Innego dnia mogłabym się roześmiać, innego dnia mogłabym się ucieszyć, gdy wypłynęliśmy z kanału i wciągnęliśmy skromny żagiel, by pożeglować przez lagunę.

Mniejsza z tym, pomyślałam, patrząc na zielone fale. Tego dnia zależało mi wyłącznie na uzyskaniu audiencji u księcia krwi i wyłożeniu mu podejrzeń dotyczących największych panów królestwa. Może to dobrze, że mój nastrój pasował do zamierzeń.

Wyspa Vitrari, bardzo ładna, jest jedną z największych na rozległej lagunie. Ma głęboki port, do którego statki kupieckie zawijają po szklane wyroby. Fiorello Pidari rzucił cumę dwóm chłopcom na brzegu, żartując z nimi. Znali go tutaj dobrze. Kapitan portu pomachał do niego ręką, gdy wysiadaliśmy.

Poszliśmy za naszym przewodnikiem udeptaną ścieżką, mijając warsztaty, w których dymiły piece do wytapiania szkła, zazdrośnie strzeżone przez młodych czeladników. Severio powiedział mi kiedyś, że za radą księcia Benedykta jakieś piętnaście lat temu przeniesiono produkcję na wyspę. Wcześniej wyrabiano szkło w samej La Serenissimie, czego skutkiem było wiele pożarów. Nic dziwnego, pomyślałam, zaglądając przez drzwi otwarte dla ochłody. Zobaczyłam czerwony żar w piecu i krzepkiego rzemieślnika przy pracy. Przepasany skórzanym fartuchem trzymał w ustach długą rurkę i nadymał policzki jak miechy. Nie wiedziałam, nad

jakim naczyniem pracuje.

Gdy zbliżyliśmy się do warsztatu Pidarich, nasz przewodnik okazał niepokój.

–Nie ma dymu – mruknął, gdy zbliżyliśmy się do niskiego budynku. – Dlaczego piec nie pracuje? Powinien pracować.

Niebawem poznaliśmy przyczynę.

Wysoki, łysy jak jajo mężczyzna wyszedł z warsztatu i z roztargnieniem wytarł ręce w kaftan, przyzwyczajony do noszenia fartucha.

–Fiorello! – zawołał ze smutkiem, wyciągając ręce do naszego przewodnika. – Ach, Fiorello! – Zobaczył nas i wyraz jego twarzy uległ zmianie. – Hej, wy! Wasi ludzie zrobili dość złego – powiedział ponuro i wskazał w dół ścieżki. – Odejdźcie stąd! Nie chcemy was tutaj!

Stanęłam jak wryta, natychmiast zapominając o swoich smutkach. Fiorello patrzył nie rozumiejącym wzrokiem, a moi kawalerowie wymieniali zdumione spojrzenia. Wysunęłam się przed nich.

–Mistrzu wydmuchiwaczu szkła, jestem Fedra nó Delaunay de Montreve z Terre d'Ange. Prosiłam o spotkanie, żeby omówić sprawę zamówienia dla mojej królowej. Przepraszam, jeśli zjawiłam się nie w porę.

–Aha, tak – burknął. – Wybacz, pani, mamy śmierć w rodzinie. Najpewniej Ruffianowie albo ci przekłęci Vicenti zamyślili zerwać najśłabsze ogniwo, żeby skłonić nas do zdradzenia formuły naszej zieleni! Gdyby nie głupota mojej córki, kamraci jej chłopca mogliby wziąć na nich odwet.

Najśłabsze ogniwo, głupota córki, kamraci jej chłopca. Serce mi zamarło.

–Twój zięć? – zapytałam, wiedząc już, że to prawda.

–Zaatakowany w drodze z tawerny do domu. – Spojrzenie mistrza Pidari stało się podejrzliwe. – Mówiłem jej, że oszalała, wychodząc za kogoś takiego. Co o nim wiecie?

–Znałem go, signor – odezwał się Ti-Filip, szeroko otwierając oczy. – Choć ja byłem marynarzem we flocie Jej Królewskiej Mości, a on jej gwardzistą. walczyliśmy na tym samym polu bitwy, a później spełniliśmy toast za ziemię i morze. Czy możemy złożyć wdowie wyrazy współczucia?

–Chyba tak – burknął Pidari i odwrócił się w stronę warsztatu. – Serena.

Wdowa po Fanuelu Buonardzie, nosząca imię swojego rodzinnego miasta, wcale nie była pogodna. Miała białą twarz i drżące usta – moje smutki były niczym w porównaniu z jej rozpaczą. Z rozpaczą, pomyślałam z grozą, której byłam prawdopodobną sprawczynią.

–Czego chcecie? – Serenie drżał głos. – Jesteście gwardzistami? Czego chcecie?

–Nie jesteśmy gwardzistami – odparł Fortun łagodnym tonem, kłaniając się przybyłej. – Niegdyś byliśmy marynarzami, obecnie służymy pani Fedrze nó Delaunay de Montreve. Przyszliśmy w sprawach handlowych, ale podzielamy twoją rozpacz. Kawaler Filip znał twojego męża i dobrze go wspomina.

Jej usta poruszyły się bezdźwięcznie, a wzrok przesunął po naszych twarzach, najdłużej zatrzymując się na mojej. Dostrzegła znak Strzały Kusziela.

–To ty – szepnęła z podziwem. – Fanuel mówił o tobie. Ty sprowadziłaś Piktów, Malowanych Ludzi, kiedy walczyliście ze Skaldami. Żołnierze nieśli twój sztandar. Ułożyli o tobie piosenkę.

–Tak – przytaknęłam cicho. – To właśnie oni. Signora, proszę, przyjmij wyrazy najgłębszego współczucia.

–Dlaczego to zrobili? – Jej ciemne, zbolące oczy błagały o odpowiedź. – Jego bracia strażnicy! Dlaczego? Bał się, nie chciał mi powiedzieć czego.

Za jej plecami mistrz Pidari potrząsnął ze smutkiem łysą głową i wszedł do warsztatu.

–Signora, jeśli winni są D'Angelinowie, dopilnuję, żeby wymierzono im sprawiedliwość. Ale dlaczego tak uważasz? Twój ojciec jest innego zdania.

Jej rozpaczliwy śmiech zakończył się szlochem.

–Moj ojciec! Ponieważ Fanuel miał śliczną twarz, ojciec myśli, że był słaby jak dziewczyna. Ale był żołnierzem, pani. Ruffianowie nie pokonaliby go tak łatwo, ani te zbiry Vicenti. Zabili go żołnierze. – Serena Buonard wskazała na serce. – Tutaj trafiło ostrze. – Jej oczy błysnęły. – Popytam w porcie i dowiem się, czy ktoś przekupiony nie wpuścił na brzeg D'Angelinów!

Odwróciłam się do Remy'ego, który pokiwał głową, zanim się odezwałam.

–Remy, zabierz Fiorella i idźcie. Jeśli zażądadają pieniędzy za informacje, zapłać. Zwrócę koszty.

–Dziękuję, pani, dziękuję! – Serena z wdzięcznością uścisnęła mi rękę. Czułam się

wyjątkowo podle. – Ojciec myśli, że zwariowałam, ale tak nie jest. Dlaczego?
Dlaczego to zrobili?

–Signora, dlaczego twój mąż przyjął stanowisko w La Serenissimie? – zapytałam, walcząc z narastającymi mdłościami.

–Powiedział, że dowódca zaproponował mu pieniądze, dużo pieniędzy – wyszeptała, puszczając moje ręce. – Pieniądze za wyjazd z ojczyzny. Ale wyгнаło go coś, o czym chciał zapomnieć. Na miejscu stwierdził, że Mały Dwór leży zbyt blisko. Dlatego uciekł do mnie. – Wyzywająco uniosła podbródek. Była śliczna, na serenissimski sposób. – Myślał, że wyspa Vitrari jest dość daleko – dodała ze smutkiem. – Ale nie była.

–Signora, twój mąż pierwszy odkrył coś strasznego w fortecy Troyes-le-Mont, gdzie stoczono ostatnią bitwę ze Skaldami. Być może uciekał przed tym wspomnieniem. Czy mówił o tym z tobą?

Pokiwała głową, patrząc w dal.

–Tak – szepnęła słabym głosem. – Kiedyś mi powiedział. Z początku pomyślał, że ten człowiek zasnął na warcie i żartował z niego, jak to między strażnikami. Potem zobaczył krew na kaftanie, oczy otwarte i nieruchome. – Serena Buonard pokręciła głową. – Nic więcej. Świt szarzał na wschodzie, a wiatr niósł zapach dojrzewających jabłek.

–Jabłek... – szepnęłam, a moje serce przemieniło się w lód. Podgórska forteca Troyes-le-

Mont leżała na równinie spustoszonej przez Skaldów.

W Troyes-le-Mont nie było jabłek, ani tego lata, ani nigdy.

Zgroza i poczucie winy zasnuły w mojej pamięci późniejsze wydarzenia. Obiecałam Serenie, że dopilnuję, by zabójców Fanuela Buonadra spotkała zasłużona kara. Fortun i Ti-Filip, bladzi i wstrząśnięci, poparli mnie gorąco. Odpięłam sakiewkę od pasa i włożyłam ją w ręce Sereny. Była ciężka od złotych solidów i młoda kobieta, choć porażona rozpaczą, szeroko otworzyła oczy. Zapewniłam, że wrócę w lepszym czasie w sprawie zamówienia królowej.

Potem odeszliśmy, rezygnując z dostojęstwa na rzecz pośpiechu, gdy tylko znaleźliśmy się poza zasięgiem wzroku. W porcie czekał na nas ponury Remy. Serena Buonard miała rację. D'Angelińscy strażnicy przyłączyli zeszłej nocy, przekupiwszy drugiego pomocnika kapitana portu.

–Powinni lepiej zacierać ślady – powiedziałam cicho. – Fiorello, zabierz nas do

miasta.

Też miał chorobliwy wyraz twarzy, gdy szybko płynęliśmy przez lagunę. Aby mu zapłacić, musiałam pożyczyć monetę od Fortuna, bo wszystkie swoje pieniądze dałam Serenie. Wstąpiliśmy do domu, żeby przebrać się w stosowne stroje, a także dlatego że miałam nadzieję zastać Joscelina, choć nie wspomniałam o tym kawalerom.

Joscelin nie wrócił.

–Pani, to doręczono, kiedy cię nie było – powiedziała Leonora z szacunkiem, podnosząc tackę z listem.

Może to przeprosiny od Severia, pomyślałam. Rzuciłam okiem na pieczęć. Łabędź domu Courcel. Złamałam wosk i rozwinęłam gruby welin.

Coraz lepiej. Madame d'Arbos dotrzymała słowa. Otrzymałam zaproszenie na audiencję u księcia Benedykta i jego żony, na dzisiejsze popołudnie. Szepnęłam dziękczynną modlitwę do Błogosławionego Elui za wybawienie mnie z kłopotu.

Najtrudniejsza była dla mnie prośba, z jaką zwróciłam się do kawalerów.

–Księżę Benedykt przyjmie mnie – powiedziałam, unosząc list. – Nasza praca jest na wpół ukończona. Chciałabym mieć was przy sobie, bo zasłużyliście, ale... – zawahałam się – gdyby któryś w was był skłonny zostać, będę mu wdzięczna. Gdy... gdyby Joscelin wrócił, powinien wiedzieć, gdzie jesteśmy.

Popatrzyli jeden na drugiego. Poznałam, że Fortun, stateczny jak zawsze, chce wziąć na siebie to brzemie. Remy, nękany wyrzutami sumienia z powodu wysłania do mnie Joscelina, już otwierał usta. Ale to Ti-Filip wystąpił pierwszy.

–Ja zostanę, pani – powiedział stanowczo, patrząc mi w oczy. – Nie jestem dobry w tych sprawach. Łatwiej mi łącać i grać w kości niż mówić gorzkie prawdy, łatwiej pić i wszczynać burdy niż umizgiwać się do osoby z królewskiego rodu. Zostanę, i jeśli kasjelita wróci, wygarbuję mu skórę za to, że cię opuścił.

–Dziękuję – szepnęłam, biorąc jego twarz w dłonie i całując go. – Dziękuję, Filipie!

–Drobnostka – mruknął, zarumieniony. – Ale wiedz, pani, że nie zostanę, kiedy ruszymy w pogoń za strażnikami, którzy zabili biednego Fanuela!

–Nie będziesz musiał – obiecałam. Wygładziłam suknię, sprawdzając czy dobrze się układa. Wybrałam tę z morelowego jedwabiu ze złotym brokatem, którą miałam pierwszego dnia w La Serenissime, i założyła do niej perłowy naszyjnik od dozy. – Idziemy?

–Za tobą, pani. – Fortun ukłonił się z ceremonialną powagą.

Odetchnęłam głęboko i wyruszyliśmy do Małego Dworu, żeby zade nuncjować pana wysokiego rodu.

Niewiele rzeczy, jakich dokonałam w życiu – czołganie się po belkach w osadzie Waldemara Seliga i podsłuchanie jego planów wojennych, stawienie czoła Panu Ciešniny, przekradnięcie się w nocy przez skaldyjski obóz – przepełniało mnie takim lękiem. Gdy płynęliśmy Wielkim Kanalem, rozmyślałam o zropanzonej Serenie Buonard, o swojej wierze w dokonaną przez Fortuna analizę zeznań strażników, o śnie, w którym widziałam uśmiechniętą twarz Percy'ego de Somendlle i czułam duszący zapach jabłek. Jeśli się mylę, pomyślałam, Błogosławiony Elua mi wybaczy, ale jeśli zachowam milczenie, mogą zginąć ludzie.

Przy bramie Małego Dworu pokazałam list, starając się przyjąć pogodny wyraz twarzy. Już raz zaalarmowałam strażników; nie chciałam tego powtórzyć. Benedykt się nimi zajmie, kiedy pozna prawdę. Zostaliśmy przyjęci i wprowadzeni do antykamery – i tam czekaliśmy. Fortun muskał palcami skózaną tubę z mapami, którą zabrał na wypadek, gdyby trzeba było przedstawić dowód naszego śledztwa. Remy uśmiechał się nerwowo. Ja powtarzałam w pamięci słowa mojego wystąpienia i starałam się nie myśleć o Joscelinie, którego rozpaczliwie mi brakowało.

Gdyby, gdyby, gdyby.

–Hrabina Fedra nó Delaunay de Montreve – zaanonsował lokaj, otwierając drzwi do sali tronowej.

Weszłam, a Remy i Fortun za mną, do elegancko, niezbyt ostentacyjnie urządzonego pokoju z akcentami d'Angelińskiej finezji. Pośrodku stały dwa trony, jeden obok drugiego, większy i mniejszy. Stanowiły pamiątkę po pierwszym małżeństwie, gdy d'Angeliński możnowładca wzenił się w serenissimską śmietankę. Książę Benedykt zasiadał na większym tronie, a jego wyprostowane plecy zdradzały, że kiedyś był żołnierzem. Miał oblicze członków rodu Courcel, pomarszczone, lecz wciąż szlachetne, i włosy szare jak żelazo. Widziałam jego brata, króla Ganelona; Benedyktowi dałabym mniej niż sześćdziesiąt lat.

–Fedro nó Delaunay de Montreve – powiedział głosem o bogatych tonach – miło cię poznać.

Jego d'Angelińska żona, zwrócona plecami do nas, podawała niemowlę piastunce. Czarująca scenka, pomyślałam. Gdy się odwróciła, żeby zająć miejsce na mniejszym tronie, błysnęła srebrna siatka Welonu Aszery i światło załamało się w przejrzystych szklanych paciorkach.

–Wasze Książęce Moście. – Zastygłam w głębokim ukłonie. Usłyszałam, jak

kawalerowie przyklękają za moimi plecami. Nie prostując się, patrząc spod rzęs, przemówiłam: – Wasza Książęca Mość, książę Benedykcie, mam złe wieści. Zdrada w samym sercu Terre d'Ange zrodziła nasienie zła nawet wśród twojej straży.

–Tak – rzekł Benedykt poważnie, patrząc na mnie. – Wiem.

Otworzyłam usta, chcąc mówić dalej, ale zabrakło mi słów, bo nie spodziewałam się takiej odpowiedzi. Małżonka księcia jednym wdzięcznym ruchem podniosła woal, odsłaniając uśmiechniętą twarz.

„To, czego szukasz, znajdziesz w ostatnim miejscu, do którego zajrzysz”.

–Witaj, Fedro – powiedziała Melisanda.

CZTERDZIEŚCI JEDEN

Stałam odrętwiała i oszołomiona, jakby ziemia rozstąpiła się pod moimi stopami.

I rozumiałam. Niestety, zbyt późno.

Manipulowano mną od samego początku.

Książę Benedykt poruszył się na tronie, kiwając głową. Dopiero wtedy usłyszałam szcęk ryglowanych drzwi, kroki strażników i szmer dobywanej broni; dopiero wtedy usłyszałam ciche, pełne zaskoczenia westchnienie moich kawalerów.

A na pięknej twarzy Melisandy dostrzegłam cień współczucia.

Wyrwałam się z odrętwienia. Odwróciłam się do Remy'ego i Fortuna, wykrzykując jedno słowo:

–Uciekajcie!

Gdyby, gdyby, gdyby. Gdyby Joscelin był z nami, mogliby tego dokonać, mogliby wyrwać się na wolność. Strażników było tylko trzech, przekupionych L'Agnatczyków, żołnierzy garnizonu Troyes-le-Mont. On był kasjelita, wyszkolonym do walki wręcz i zaprawionym w wielu bitwach. Mogliby tego dokonać.

Albo Joscelin zginąłby wraz z nimi. Nigdy się nie dowiem.

Moi kawalerowie walczyli dobrze. Nie umiem powiedzieć, co by się stało, gdyby dotarli do drzwi. Być może uszliby z życiem z Małego Dworu. Chcę tak myśleć. Mieli po swojej stronie przewagę zaskoczenia, byli szybcy i zwinni. Ale podpisałam na nich wyrok śmierci, kiedy zabrałam ich na spotkanie z młodą żoną księcia Benedykta, i widziałam to na jej twarzy, w jego skinieniu.

Zmusiłam się, żeby patrzeć. Ja byłam za to odpowiedzialna.

Stateczny Fortun, który aż za dobrze opanował moje lekcje, parł prosto do drzwi, siłą szerokich ramion torując sobie drogę, i odniósł trzy rany, zanim zbliżył się do celu. Remy wyrwał miecz jednemu ze strażników i powstrzymywał ich przez chwilę, klnąc jak na marynarza przystało. Remy, który pierwszy podniósł sztandar Chłopców Fedry, przebity strzałą krąg szkarłatu, na drodze do Dobrii.

Patrzyłam, jak umiera, pokonany przez napastników. Śpiewał marszową pieśń na drodze, śpiewał ją na kanałach La Serenissimy w mojej służbie. Zdradliwa stal strażników księcia Benedykta uciszyła go na zawsze.

Fortuna zaszli od tyłu, uderzając sztyletem w nerki. Jego wyciągnięta ręka zostawiła

długą smugę krwi na złoconych drzwiach sali tronowej. Wciąż miał plany Troyes-le-Mont w skórzanej tubie na plecach, fałszywej pochwie bez miecza. Otworzył z bólu usta, powoli osuwając się na kolana, a oni dźgnęli go drugi raz, w serce. Twarz mojego wiernego towarzysza się rozpogodziła i światło zgasło w oczach, gdy upadł na marmurową posadzkę.

Fortun, który postanowił mi służyć na długo przed innymi, w podziękę za noszenie wody dla rannych i konających na polu bitewnym pod Bryn Gorrydum, za oszłomienie na mojej twarzy, kiedy wzięłam miecz Kwintyliusza Rouse i mianowałam go kawalerem.

Miał wyraz szczęścia na twarzy.

Poznałam pustkę bezbrzeżnej rozpacz.

Dźwięki walki ucichły, zastąpione przez zwyczajne odgłosy, towarzyszące oglądaniu przez strażników ran i układaniu zwłok, żeby następnie się ich pozbyć. Umawiali się po cichu, jaką opowiedzą historyjkę. W głosach mężczyzn nie było radości; przynajmniej ta część zadania ich nie cieszyła. Jeden wyprostował się, patrząc na mnie. Trącił łokciem kamrata i sięgnął po kajdany wiszące u pasa. Odwróciłam się do księcia krwi i jego niebezpiecznej małżonki, siedzących obok siebie jak para menechetanskich kukiełek.

Jemu nie poświęciłam uwagi.

–Dlaczego po prostu mnie nie zabijesz? – zapytałam Melisandę.

Powoli pokręciła głową, z łagodnym smutkiem na nieskazitelnie pięknej twarzy.

–Nie mogę – odparła niemal życzliwie. – Chodzi nie tylko o zniszczenie czegoś jedyne w swoim rodzaju, moja droga. Jak powiadają w Kuszecie, karą za spowodowanie śmierci wybranki Kusziela jest tysiąc lat męczarni. – Przerwała z zadumą. – Taką karę ponoszą potomkowie jego Towarzyszy. Osoba z linii Kusziela cierpi dziesięć tysięcy lat.

Mruczając coś przepaszającym tonem, strażnik z kajdanami zbliżył się do mnie. Nieproszona wyciągnęłam rękę i zimna stal zamknęła się wokół moich nadgarstków.

–A za zdradę?

–Elua nie dba o politykę śmiertelnych, Kusziel też nie. – Melisanda pokręciła głową. Burza jej granatowoczarnych włosów była skromnie ujęta w srebrną siateczkę. – Prowadziłyśmy grę, Fedro – powiedziała cicho. – Przegrałaś.

–Manipulowałaś mną – wyszeptałam. – Od samego początku.

–Niezupełnie. – Uśmiechnęła się. – Dotarłaś zbyt blisko. Gdybyś nie grała tak dobrze... – ruchem głowy wskazała ciała moich kawalerów, szczelnie owinięte w płaszcze – żyliby dalej.

Miałam łzy w oczach. Zamrugałam z roztargnieniem, jakbym nie pamiętała, co jest ich przyczyną, i zwróciłam się do księcia Benedykta. Łańcuch pomiędzy moimi skutymi rękami zwisał na tle morelowego jedwabiu sukni.

–Panie, dlaczego?

–Rodowodem Elui nie można kupczyć dla politycznych zysków – odparł Benedykt chłodno. – A już na pewno nie z La Serenissima, gdzie wygnał mnie mój brat Ganelon. I nie z Albą, której sprzedała się jego wnuczka Ysandra. Nie. – Popatrzył na mnie surowo. – Terre d'Ange potrzebuje dziedzica czystej d'Angelińskiej krwi. Zrobiłem tylko to, co było konieczne.

Roześmiałabym się, gdybym tylko mogła przestać płakać.

–Z kobietą, która chciała wydać nas Skaldom? – zapytałam, szlochając. – Panie, czy nie mogłeś dokonać mądrzejszego wyboru?

–Z kobietą, która może oddać mi królewskie wojska – odparł krótko. Podniósł się, odwracając wzrok od ciał kawalerów, i skinął głową na Melisandę. – Stało się tak, jak sobie życzyłaś. Zostawiam ją tobie.

Tylnymi drzwiami wyszedł z sali tronowej, zabierając dwóch strażników. Popatrzyłam na Melisandę.

–Przekabaciłaś Percyego de Somerville. Jak? – zapytałam.

–No cóż. – Miała nieodgadniony wyraz twarzy. – Lord Percy podziela te same odczucia. Pragnął udzielić wsparcia zbrojnego Baudoinowi de Trevalion, który przymierzał się do tronu. Na swoje nieszczęście pochopnie zwierzył się w liście do Lyonetty de Trevalion, Lwicy z Azalii. Wydaje się, że bardzo ją lubił.

–A ty masz ten list. – Pokiwałam głową; teraz to miało sens. Nie wszystkie sekrety Lyonetty de Trevalion umarły wraz z nią czy też zostały pogrzebane w królewskich archiwach. Wielu dostojników interesowało się dokumentami z procesu zdrajczyni, ale to Melisanda zdobyła rzecz najważniejszą.

–Tak – powiedziała z zadumą. – Uznałam, że może się przydać.

Tyle innych spraw wymagało wyjaśnienia. Podniosłam skute rękę.

–A o co ja jestem oskarżona? – zapytałam. – Oficjalnie?

–Oficjalnie? – Melisanda z wdziękiem uniosła brwi. – Nie będzie oficjalnego dochodzenia, jak sądzę. Zerwałeś z Severiem Stregazza, na co wiele osób zwróciło uwagę. Twoje zniknięcie z La Serenissimy nikogo nie zdziwi. Ale trzeba będzie skomentować czynione przez ciebie zabiegi, mające na celu podkopanie uprzywilejowanej pozycji Terre d'Ange w handlu z Albą. Poza tym otrułaś byłego astrologa doży, Fedro. Niejakiego magistra Acco, jak mi się wydaje. Istnieją świadkowie, tak że jest kogo pociągnąć za język. Szkoda, że twoi ludzie sprzeciwili się przesłuchaniu. Pozostali niewątpliwie postąpią podobnie, kiedy ich znajdziemy. Nawet twój kasjelita. – Opuściła welon i klasnęła w ręce, wzywając strażnika. – Skończyłyśmy. Zabierzcie ją do La Dolorosy.

Zostałam wyprowadzona.

Wyszłam posłusznie, odrętwiała, potykając się po drodze. Założyli mi na głowę kaptur z szorstkiego płótna i zapakowali na statek. To była długa podróż. Przepłynęliśmy przez całą lagunę. Gdy wyszliśmy na suchy ląd, zdjęli mi kaptur. Było mi wszystko jedno, nie miałam nic przeciwko ciemności, która niosła zapomnienie.

Tutaj nikt nie uprawiał jałowej ziemi i okolica była bezludna. W pobliżu czekali słudzy z końmi. Strażnicy Benedykta pomogli mi wspiąć się na siodło, unikając mego wzroku. Jeden z nich poprowadził mojego wałacha wąską, zarośniętą ścieżką wzdłuż krętej linii brzegowej.

Melisanda, pomyślałam, wciąż i wciąż Melisanda.

Małżonka księcia Benedykta.

Pomiędzy drzewami migiała czarna wyspa. Piętrzyła się w zmierzchu, urwista i wyzywająca, oddzielona od brzegu przez wzburzoną wodę. Długi most wiszący, zrobiony ze sznurów i z byle jak obciosanych desek, łączył La Dolorosę z lądem.

Na lądzie stała wieża strażnicza, skąpo obsadzona. Wartownicy zatrzymali i wypyтали moich strażników; padło hasło i odzew. Z najwyższego okna wieży nadano za pomocą pochodni i lustra sygnał na wyspę. Z fortecy czerniejącej na szczycie urwiska błysnęła odpowiedź, światło zamrugało w gęstniejącym mroku.

Zsiedliśmy z koni. Dwaj strażnicy chwycili mnie za ramiona i wprowadzili na most. Szłam bez sprzeciwu.

Z pewnością byłabym przerażona, gdybym już wcześniej nie przekroczyła granic strachu. Strażnicy trzymali mnie pewnie, ale lekko, wolnymi rękami przytrzymując się konopnych poręczy. Szłam pomiędzy nimi, skuta i nietykalna, nad pustką ziejącą pod kołyszącymi się deskami. Daleko w dole pienilo się rozżłoszczone morze. Niech mnie pochłonie, pomyślałam, co mnie to obchodzi? Zawiodłam. Mój pan Delaunay kazał nam uczyć się akrobacji – parę razy w życiu przydały mi się te umiejętności. Nie

chciałam przynieść mu wstydu. Pewnie i z wdziękiem szłam po tym strasznym moście, zmierzając na spotkanie z przeznaczeniem, tak jakby było moim ostatnim klientem.

Gdy zostało może piętnaście kroków do końca mostu, dwóch wartowników zagrodziło nam drogę, toporami mierząc w liny, które mocowały most do słupów. Zrozumiałam wtedy, dlaczego La Dolorosa nie potrzebuje licznego garnizonu. Dwa uderzenia toporem, a most wraz z nami runie we wzburzoną wodę i na ostre skały. Znow padło hasło, tym razem inne. Moja eskorta podała odzew zadyszczanymi głosami, a wówczas wartownicy odsunęli się na bok.

Było już ciemno, gdy zeszliśmy z mostu. Jeden z wartowników przyniósł pochodnię z wartowni, po czym stromą, skalistą ścieżką poprowadził nas do fortecy. Fale huczały, bijąc w skały u podstawy wyspy, a następnie cofały się z przeciągłym jękiem. Miałam wrażenie, że kamienie drżą pod moimi stopami.

Forteca, wzniesiona z masywnych bloków granitu, miała okna tylko w wieżach. W środku ryk złego morza był stłumiony. Stałam w surowym pomieszczeniu pomiędzy strażnikami, czekając na naczelnika, i pustym wzrokiem wodziłam po ścianach. Zastanawiałam się, z jakiego kamieniołomu pochodzi skała i jak dostarczono ją na wyspę. Rozpacz wyczynia z umysłem naprawdę dziwne rzeczy.

Naczelnik zjawił się z dwoma dozorcami, wycierając usta; oderwali go od kolacji. Był Serenissimczykiem, pod pięćdziesiątkę, z ponurą twarzą. Drgnął lekko na mój widok, ale szybko odzyskał zimną krew.

–To ona?

–Tak – potwierdził jeden z moich strażników. Zdjął z szyi sznurek z kluczem i rozpiął kajdany na moich rękach, starannie unikając mego spojrzenia.

–Ubranie – rzucił naczelnik. Szczuplejszy z dwóch dozorców uśmiechnął się głupawo, wciskając mi w ramiona tobolek szarej wełny. Był zezowaty, jego oczy śmigały we wszystkie strony. Zastanowiłam się, czy jest przy zdrowych zmysłach. – Włóż to – powiedział do mnie naczelnik. – Wszystko inne musisz zostawić.

Stałam przez chwilę, zaskoczona. Naczelnik czekał niewzruszenie.

Miałam się przebrać przy nich.

Cóż, pomyślałam, jestem D'Angelina i sługą Naamy. Zrobią ze mną co zechcą, ale nie dam im satysfakcji, kuląc się ze wstydu. Rozpięłam perłową kolię, wielkopańskim gestem podałam ją naczelnikowi, potem stanęłam twarzą do ściany i zaczęłam rozpinać suknię. Zzułam pantofelki i zsunęłam z ramion suknię. Opadła na podłogę, układając się wokół moich stóp niczym kałuża morelowego jedwabiu usztywnionego

złotym brokatem.

–Na Eluę! – mruknął jeden ze strażników Benedykta, hałaśliwie przetykając ślinę.

Nie zwracając na niego uwagi, rozwinęłam szarą wełnianą suknię i włożyłam ją przez głowę. Dopiero wtedy odwróciłam się do nich. Z wielką pieczołowitością zdjęłam złote filigranowe kolczyki i złotą siateczkę z włosów.

–Proszę. – Włożyłam drobiazgi w rękę naczelnika. – To wszystko.

–Dobrze. – Skinął głową na dozorców. – Zabierzcie ją do celi.

CZTERDZIEŚCI DWA

Cela, kamienna komora, miała tylko po siedem kroków wzdłuż i wszerz.

Był tam siennik, niski drewniany stół i dwa kubły, jeden z wodą i drugi, pusty, służący za nocnik. W płytkiej wnęce znajdowały się dębowe, okute brązem drzwi, a naprzeciwko nich, wysoko na ścianie, zakratowane wąskie okienko.

Z początku uznałam je za dobrodziejstwo.

Lochy La Dolotosy, liczące tuzin cel, znajdują się dokładnie pod fortecą. Gdy szliśmy długim korytarzem, czułam przygniatający mnie ogromny ciężar budowli, osaczający i zapierający dech w piersi. Z niektórych dębowych drzwi płynęły ciche odgłosy, chrobotanie i szlochy, a z jednej celi monotonne, nieustające zawodzenie. Próbowałam się nie zastanawiać, co jest jego przyczyną. Wszystkie cele były usytuowane wzdłuż muru od strony urwiska, w związku z tym wąskie okienka, osadzone parę cali nad poziomem gruntu, wychodziły na rozpaczające morze.

Teraz wiem, że okna były we wszystkich celach. Wpuszcza powietrze i światło, pomyślałam o swoim, kiedy dozorca wprowadził mnie do celi. Po chwili zabrali lampę, zamknęli ciężkie drzwi na klucz i odeszli, zostawiając mnie w zupełnych ciemnościach.

Wtedy to usłyszałam.

Ten sam dźwięk, który towarzyszył mi w drodze do fortecy, nieustający huk morza i syczący jęk cofających się fal. I wiatr zawodzący żałobnie. Na zewnątrz było strasznie.

Wewnątrz było nie do wytrzymania. Wtedy zrozumiałam, dlaczego w fortecy nie ma okien prócz tych niezbędnych do obrony. La Dolorosa, wyspa boleści, pamiątka rozpaczy Aszery po utraconym synu. Zrozumiałam, dlaczego marynarze gwizdali, mijając tę samotną skałę. Zrozumiałam, dlaczego więźniowie płakali i wyli, słysząc to bezustannie, we dnie i w nocy.

Śmiertelnicy nie powinni słuchać lamentu bóstw.

Oślepiąca i ogłuszająca przez morze, uklęknęłam na kamiennych płytach. Po omacku przesuwając się ku posłaniu, wlokąc za sobą długą wełnianą suknię. Na sienniku zwinęłam się w kłębek, przyciskając ręce do uszu.

Leżałam, drżąc i nie mogąc usnąć, aż po szary świt wsączający się przez wąskie okienko.

Tak oto rozpoczęło się moje życie w La Dolorosie. W dzień było łatwiej wytrzymać hałasy. Stawałam na palcach na drewnianym stołku, przytrzymując się krat, i spoglądałam na morze. Przysłuchiwałam się wyjącemu, pojękującemu wiatrowi. W nocy przybierał tony odwiecznej żałoby, które sprawiały wrażenie, że mogłyby wprawić w drżenie skały, i przenikały mnie do szpiku kości, aż zakrywałam uszy i szlochałam do białego świtu.

Dwa razy dziennie dozorca przynosił jedzenie, różniące się pod względem ilości i jakości. Czasami był to zimny krupnik albo papka z soczewicy, czasami chleb z twardą kielbasą, a kiedy

indziej zupa rybna lub plaster baraniny. Raz dostałam miskę duszonych jarzyn. Z początku nie chciałam jeść, bo doszłam do wniosku, że lepiej umrzeć, zanim oszaleję. Nie mogłam zrobić nic innego, postanowiłam więc złożyć moją śmierć u stóp Melisandy.

Z ponurą satysfakcją obserwowałam, jak staję się coraz słabsza. Kusziel dokonał kiepskiego wyboru, ale w końcu jego strzała trafiła w cel. Być może Melisanda zasiądzie na d'Angelińskim tronie, jednakże do końca swoich dni będzie żyć w wielkim strachu. Nie wstąpi do Terre d'Ange w zaświatach, do ziemi Elui i jego Towarzyszy, bo jeśli wierzyć przekazom kuszelickiej tradycji, czeka ją dziesięć tysięcy lat męki.

Takie miałam plany, dopóki nie odwiedził mnie naczelnik.

Przyprowadził najroślejszego z więziennych strażników, krzepkiego Serenissimczyka, ograniczonego umysłowo i posłusznego – nazywali go Tito. Weszli, zamykając za sobą drzwi. Tito trzymał parującą miskę i choć z rzadko opróżnianego kubła bił wstrętny odór, poczułam zapach zupy rybnej.

–Tito, przytrzymaj ją i złap za nos – polecił naczelnik.

Gdy olbrzym postawił miskę i ukląkł przy sienniku, być może na szerokiej, nieładnej twarzy odmalowało się współczucie. Byłam zbyt słaba, żeby się podnieść. Naczelnik przyciągnął stołek i usiadł. Tito położył wielką rękę na mojej klatce piersiowej, przygniatając mnie do siennika, a drugą zacisnął mi nos.

Nietrudno przewidzieć, jaki był wynik, choć przypuszczam, że walczyłam zacieklej, niż się spodziewali. W końcu ciało mnie zdradziło, żądając dopływu powietrza, podczas gdy umysł pragnął śmierci. Naczelnik wcisnął cynową łyżkę pomiędzy moje zęby i wlał wywar do ust. Krztusząc się, trochę płynu przełknęłam, trochę wessałam do płuc. Tito pomógł mi usiąść, gdy kaszlałam i parskałam. Czerwona mgiełka zasnuła mi oczy, a szum krwi w uszach, miarowy jak łopot mosiężnych skrzydeł, zagłuszył zawodzenie morza Aszery.

Nie mam wyboru, pomyślałam bezradnie. Wygląda na to, że muszę żyć

–Dostałem rozkaz utrzymać cię przy życiu. – Spojrzenie szarych oczu naczelnika było twarde jak mury fortecy. Odpowiedni człowiek na odpowiednim stanowisku, pomyślałam. – Powtórzmy to tyle razy, ile będzie trzeba, dzień w dzień. Będiesz jeść sama?

–Tak – odparłam słabym głosem.

Naczelnik podał miskę i łyżkę Titowi, po czym wyszedł. Trzymając miskę w jednej ręce, wielkolud przesunął mnie ostrożnie. Usiadłam, oparta plecami o ścianę, i zakaszlałam, bo płuca wciąż mnie paliły. Czekał cierpliwie, aż dojdę do siebie, potem oburącz podniósł miskę.

Była to jak dotąd jedyna uprzejmość, jaka spotkała mnie w tych murach.

–Dziękuję – powiedziałam cicho, biorąc od niego miskę. Powoli, krzywiąc się z bólu, wypiliśmy resztkę wywaru i oddałam mu puste naczynie.

Byłam młodą wybranką Kusziela, więc szybko odzyskałam siły. Gdy śmierć znalazła się poza moim zasięgiem, gdy zmalął szok wywołany przez grozę i zdradę, mój umysł wznowił

pracę. Mogłam zacząć oceniać swoje położenie.

Spośród wszystkich dozorców, którzy na zmianę przynosili mi jedzenie, najlepszy był Tito, pomimo groźnej powierzchowności. Do najgorszych zaliczyłam Malvia i Fabrona. Malvio, ten zezowaty, którego widziałam w dzień przybycia do więzienia, odzywał się nieczęsto, ale za to wciąż szczyrzył zęby. Czekając, aż opróżnię miskę, wodził po mnie obleśnym spojrzeniem. Z początku tylko patrzył. W czasie trzeciej wizyty wsunął rękę w spodnie i zaczął się obmacywać. Przy następnej rozwiązał sznurki portek, wyciągnął sztywny członek, ciemny i obrzmiały od krwi. Spuściłam wzrok, gdy się zaspokajał; wiedziałam, że się uśmiecha. Kiedy skończył, podciągnął spodnie i spokojnie czekał, aż zjem i podam mu pustą miskę.

Zjadałam wszystko ze strachu, że jeśli znów przyjdzie dozorca, to może przyprowadzić ze sobą Malvia.

Fabron natomiast podchodził tak blisko, że czułam jego oddech, gdy nie szczędząc obscenicznych szczegółów opowiadał, co, gdzie i jak chciałby ze mną zrobić. Nie grzeszył wyobraźnią, ale był niestrudzony w opisywaniu scen, w jakich mnie widział.

–Ile to jest dla ciebie warte? – zapytałam kiedyś, patrząc na niego z przekrzywioną głową. – Moją wolność? Za wolność zrobię wszystko, co tylko zechcesz, a nawet więcej.

Poczerwieniiał, zbladł i uciekł, zabierając niedojedzoną kolację.

Bez wątpienia wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym była heroiną romantycznego eposu; omamiłabym go flirtem i znęciła zawoalowanymi obietnicami, nakłaniając do pomocy w ucieczce. Niestety, w rzeczywistości nawet tępi strażnicy więzienni nie są na tyle głupi, żeby ryzykować życie za obietnicę wyuzdanej rozkoszy. Poza tym wyglądałam mało ponętnie. Był środek lata, w celi panowała duchota, w gorącym powietrzu wisiał trudny do wytrzymania smród z kubła. Szorstka wełniana suknia drażniła mi skórę i cuchnęła od potu, a rąbek i szerokie rękawy strzępiły się i brudziły. Zdejmowałam ją, kiedy tylko mogłam, i wkładałam pospiesznie, słysząc szcęk przekręcanego klucza.

Suknia śmierdziała, ja śmierdziałam, moja cela śmierdziała. Noce, ciemne choć oko wykol, redukowały mój świat do ryku i jęków straszliwej rozpaczry Aszery. Dni przynosiły nudę i mękę, w obliczu których szaleństwo wydawało się niemal upragnione.

Tak wyglądała moja egzystencja.

Po kilku tygodniach Tito wszedł do celi z naręczem różnych rzeczy. Patrzyłam z ciekawością, jak stawia na podłodze kubel pełen czystej wody i kładzie na sienniku tobolek z ubraniami. Z kieszeni wyjął dwa jaja ugotowane na twardo i jabłko, prawdziwe rarytasy.

–Jedz – powiedział, podając mi je, a potem wyciągnął coś z drugiej kieszeni. – Umyj się.

Była to niewielka kuleczka mydła, ostro pachnąca ługiem. Chyba nigdy nie przyjąłam daru klienta z rewerencją większą od tej, z jaką chwyciłam chropowaty kawałek mydła. Tito odwrócił głowę i wyniósł kubel z nieczystościami, trzymając go jak najdalej od siebie.

Nie zwracając uwagi na jedzenie, zrzuciłam obmierzłą suknię i uklęknęłam na podłodze przed wiaderem z wodą. Zapiaszczone mydło słabo się pieniało i drażniło skórę, gdy szorowałam się wytrwale. Czułam się cudownie. Umyłam nawet włosy, pochylając się nad kubelkiem, żeby zanurzyć całą głowę. Woda już nie była zbyt czysta, ale tym się nie przejmowałam; była czystsza ode mnie. Kiedy skończyłam, rozwinęłam tobolek i stwierdziłam, że dostałam czystą suknię, choć z tej samej grubej, szorstkiej wełny.

Tito wrócił z wyszorowanym kubłem i mniejszym wiaderkiem ze świeżą wodą do picia. Siedziałam skulona na sienniku i kończyłam jeść jabłko, po raz pierwszy od tygodni ciesząc się luksusem czystości.

–Dziękuję – powiedziałam, gdy zabrał starą suknię, kawałeczek mydła i skorupki jaj. – Za wszystko. – Ku mojemu zdziwieniu spojrział na mnie niewesołym wzrokiem i

wyszedł, kręcąc wielką głową.

Po niedługim czasie zrozumiałam przyczynę.

Ubrana w czystą suknię stałam na stołku przy oknie i wysuwałam rękę za żelazne kraty, rzucając okruszki z zaoszczędzonej piętki chleba mewom, które z piskiem latały wokół wyspy. Wystarczyło, że jedna wypatrzyła poczęstunek, a opadało całe stado, wrzeszcząc i walcząc na ziem' przed oknem, i dziobiąc się nawzajem. Oglądane z poziomu okna widowisko było trochę niepokojące, ale zmniejszało monotonię mojego uwięzienia, a wrzaski ptaków głużyły szum morza.

Zagłużyły również skrzypnięcie otwieranych drzwi.

–Fedro, co ty robisz, u licha?

Był to głos Melisandy, aksamitny i rozbawiony, brzmiący tak, jakbyśmy się spotkały w Mieście albo na dworze, a nie w zapomnianym przez bogów i ludzi lochu, gdzie mnie wtrąciła. Czując przyspieszone bicie serca, odwróciłam się do niej.

Skrzyła się niczym klejnot w przyćmionym, szarym świetle celi. Welon nie przysłaniał twarzy Melisandy, mogłam więc napawać się widokiem jej nieskazitelnej cery o barwie kości słoniowej, pełnych ust i oczu koloru szafirów. Rozpuszczone jak dawniej włosy spływały na ramiona w granatowoczarnych falach. Jej piękno oszałamiało.

–Karmię mewy – odparłam niemądrze.

Melisanda uśmiechnęła się.

–Oswajasz jedną upatrzoną, by zaniosiła twój list do Ysandry i uratowała kraj?

Stałam na stołku, zwrócona plecami do okna. Być może wyglądało to niedorzecznie, ale zapewniało mi przewagę, bo patrzyłam na Melisandę z góry i stałam jak najdalej od niej.

–Wygrałaś, pani – powiedziałam spokojnym tonem. – Wyświadczyć mi uprzejmość i przestań ze mnie szydzić. Czego chcesz?

–Przyszłam cię zobaczyć – odparła chłodno. – Zaproponować ci wybór. Wiesz, jak sądzę, co przyniesie ci przyszłość: nędzę, nudę i szaleństwo, co najmniej. Dopóki przebywam w La

Serenissimie, jesteś pod ochroną, Fedro. Naczelnik ma rozkaz dopilnować, żeby nie wyrządzono ci krzywdy, dlatego dozorczy cię nie napastują. Kiedy wyjadę... – wzruszyła ramionami – będzie gorzej.

Pomyślałam o śmigających oczach Malviai zrobiło mi się niedobrze.

–Kiedy wyjedziesz – powtórzyłam, walcząc z mdłościami. – A kiedy to nastąpi? Może jesienią, gdy Ysandra zostawi królewskie wojska pod wodzą Percyego de Somerville i ruszy na progressus, żeby wpaść w serenissirnską pułapkę? – Melisanda nie odpowiedziała, a ja zaśmiałam się głucho. – Zostałaś skazana za zdradę, pani. Czy myślisz, że D'Angelinowie tak łatwo zapomną?

–Ludzie wierzą w to, co słyszą. – Jej twarz pozostała pogodna. – To twoje słowo mnie pogrążyło. Ysandra już się ciebie wyrzekła, pomimo twojego sprytu. Jeśli zostaniesz uznana za zdrajczynic i konspiratorkę spiskującą przeciwko handlowym interesom Terre d'Ange, niewiele osób będzie miało wątpliwości, kiedy rozejdzie się wieść, że kłamałaś.

–Nie spiskowałam przeciwko Terre d'Ange.

–Nie? – Melisanda uniosła brwi. – Marco Stregazza przysięgnie, że spiskowałaś.

–Aha. – Spojrzałam przez okno na wzburzone szare morze za krawędzią urwiska. – Czy jest winny także przekupienia Wyroczni Aszery? Od wielu dni słucham rozpaczki bogini. Nie chciałabym stawić czoła jej gniewowi.

–Nie. – W jej tonie brzmiało zadowolenie. – Nie poważyłby się tego zrobić, to był pomysł Marii Celestyny. Ja też nie jestem głupia, żeby drwić z Aszery z Morza. Jej świątynia udzieliła mi schronienia i jestem za to wdzięczna. Jeśli środki Marii Celestyny odpowiadają moim celom, to tym lepiej, ale nie zaryzykuję świętokradztwa. Nie śmiałyby tego uczynić ani żaden D'Angelin, ani Serenissimczyk z krwi i kości. Maria Celestyna żyje w dwóch światach naraz i nie boi się bogów żadnego z nich – dodała. – Nie wyglądasz na zaskoczoną.

–Miałam trochę czasu na rozmyślanie, pani – odparłam oschle, patrząc znowu na nią. – Jaki wybór mi proponujesz?

–Na razie więzienie. To... – Melisanda wskazała ręką kamienne ściany, siennik i kubelki – albo moje. – Słowa zawisły w powietrzu, a ona uśmiechnęła się lekko. – Byłabyś dobrą zdrajczynią, Fedro. Ale dla mnie odegrasz rolę skruszonej pokutnicy.

Stałam na stołku, czując zawroty głowy.

–Jak zamierzasz tego dokonać, pani? – zapytałam. Mój głos brzmiał dziwnie obco, niefrasobliwie, zupełnie jak jej ton, gdy mówiła o mewach. – Ujeździsz mnie niczym narowistego żrebaka?

Melisanda uśmiechnęła się łagodnie.

–Tak.

Przełknęłam ślinę i odwróciłam się.

Moja cela była zbyt ciasna i zbyt mała, żeby pomieścić nas obie. Szeroki świat był za mały. To słabość, Strzała Kusziela. Szkarłatna plamka, która znaczyła moje oko, była tylko widomą oznaką prawdziwej wewnętrznej skazy, głębokiej rany, sięgającej do jądra mojej duszy. Na Eluę, propozycja Melisandy kusila mnie ogromnie! Nie musiałabym walczyć ze swoją naturą, tylko ulec jej całym sercem i ofiarować się komuś, kto znał moje prawdziwe jestestwo.

Melisanda znała je tak dobrze, jak ja znałam ją.

Melisanda chciała czegoś ode mnie.

Serce mi kołatało, umysł pracował na przyspieszonych obrotach, gdy stałam przed nią cała roztrzęsiona. Bezwiednie uniosłam rękę do szyi, gdzie tak długo wisiał jej diament – smycz, którą mi założyła, żeby móc się przekonać, jak daleko zdołam uciec.

–Joscelin – szepnęłam. – Nie możesz go znaleźć.

Powieki jej zadrżały, aczkolwiek leciutko.

Roześmiałam się głośno, nie mając nic do stracenia.

–Ti-Filipa też nie? Nie mów! Na jakiej podstawie uznałaś, pani, że wiem, gdzie ich szukać? Joscelin Verreuil opuścił mnie, karząc za popełnienie okropnego przestępstwa, jakim było uwiedzenie go. Jeśli Ti-Filip nie wpadł w ręce twoich straży... Skąd mogę wiedzieć, gdzie się podziewa? Ludzie Marka sprawią się lepiej niż ja, jeśli Benedykt nie może go znaleźć.

–Skoczył do kanału. – Głos Melisandy brzmiał zaskakująco spokojnie. – Z balkonu. Wygląda na to, że marynarze admirała Rouse pływają jak ryby. Marco jest zdania, że twój kawaler dogorywa na drzączkę, o ile jeszcze żyje. Kanały są wylęgarnią chorób. La Serenissima została otoczona koidonem, nikt nie opuści miasta lądem czy morzem ani nie wyśle wieści. A gdyby nawet, to twoi ludzie wiedzą za mało, żeby zaszkodzić naszym planom, choć w tym przypadku za mało oznacza za dużo. O tym jednak porozmawiamy później. – Podeszła bliżej, zbyt blisko, i z uśmiechem położyła rękę na moim policzku. – Pomyśl o mojej propozycji.

Jej dotyk był chłodny, a jednak palił jak ogień. Zamknęłam oczy, drżąc niczym liść w czasie burzy. Czułam jej zapach, lekko piżmowy z korzenną nutką. Chciałam paść na kolana, chciałam ucałować jej palce.

Nie zrobiłam tego.

–Pomyśl – powtórzyła Melisanda, opuszczając rękę. – Wróćę.

CZTERDZIEŚCI TRZY

Propozycja.

Niebezpieczna propozycja.

Po wyjściu Melisandy skuliłam się na sienniku, rękami obejmując kolana, i rozmyślałam. Wcześniej było inaczej. Rozpacz przynosi pewien spokój. Teraz nawet ten luksus został mi wydarty.

Musiałam się zastanowić.

Joscelin i Ti-Filip żyją! Znaleźli schronienie w dzielnicy jezuickiej, byłam tego pewna. To jedyne miejsce, w którym nie będą ich szukać – ani Benedykt, ani Stregazza. Do Jezuitów udał się Joscelin, a Ti-Filip o tym wiedział. Jeśli zdołał uciec, to właśnie tam go znajdzie. Podziękowałam Elui, że moi kawalerowie byli dość podejrzliwi, żeby śledzić Joscelina.

Obaj wiedzieli dostatecznie dużo, żeby wysunąć oskarżenie przeciwko Percy'emu de Somerville, choć nie mieli dowodów. Ale mogli ich zabić to, czego nie wiedzieli. Książę Benedykt... Benedykt i Melisanda. Na szczęście Ti-Filipowi wystarczyło rozumu, żeby uciec, kiedy zobaczył strażę księcia Benedykta.

Strażników Percyego de Somerville, których, jak myśleliśmy, Benedykt bez złej woli przyjął do swojej służby.

Ti-Filip wiedział, że poszłam z Remym i Fortunem do Małego Dworu, a potem słuch o nas zaginął.

Jednakże nie wiedział, co się stało, a przecież w drodze z domu do pałacu mogło nas spotkać wiele „wypadków”. Roztrząsałam problem i nieuchronnie dochodziłam do tego samego wniosku. Możliwości były po prostu zbyt liczne, zbyt trudne do ogarnięcia. Ani Ti-Filip, ani Joscelin nie odgadną, że Benedykt jest zdrajcą.

„To, czego szukasz, znajdziesz w ostatnim miejscu, do jakiego zajrzysz...”.

Ja na to nie wpadłam, oni też nie wpadną. Mogłam tylko mieć nadzieję, że moje zniknięcie i obecność zdradzieckich strażników uczuli ich na tyle, że nie pójdą do Małego Dworu, lecz udadzą się prosto do Ysandry.

Jeśli żyją. Jeśli Ti-Filip nie leży gdzieś na pryczy, umierając na jakąś straszną zarazę, która wylęgła się w kanale. Jeśli Joscelin nie jest w połowie drogi na północne pustkowia, gnany przez tajemne jezuickie proroctwo.

I jeśli zdołają dotrzeć do królowej, co Melisanda, która miała niewiele złudzeń, uważała za niemożliwe.

Jeśli, jeśli, jeśli.

To straszne żywić nadzieję na przekór wszelkim nadziejom.

Nie wątpiłam w prawdziwość słów Melisandy. To truizm, ale historię piszą zwycięzcy. Dzięki solidnemu poparciu diuka Percy'ego de Somerville i księcia Benedykta de la Courcel Melisanda odzyska dobre, wręcz nieskazitelne imię. Protesty nielicznych szybko zostaną uciszone. Kilku może się buntować, ale nie będzie ich wielu. Nie zapomniałam niechętnych pomruków arystokracji, kiedy Drustan mab Necthana wjeżdżał do Miasta Elui.

Wielu, zbyt wielu ucieszy się, gdy z naszego kraju zniknie piktyjski książę małżonek, który mógł zbrukać czystą krew rodu Courcel. To nie odnosiło się do Benedykta, stryjecznego dziadka i następcy Ysandry. Jego urodzone w Serenissimie dzieci miały pozostać tutaj. Dla Terre d'Ange przeznaczony był dziedzic czystej krwi, poczęty z d'Angelińską żoną.

Syn Melisandy.

A co z Ysandra de la Courcel? Zostanie tragicznym przypisem w historii D'Angelinów, niewątpliwie jako ofiara jakiejś serenissimskiej intrygi, jsfie wiedziałam, co zaplanowała Melisanda, ale mogłam się domyślać, że żaden trop nie doprowadzi do niej ani do Benedykta.

Kto wystąpi przeciwko niej, gdy powróci triumfalnie z Benedyktem u boku?

Może Kwintyliusz Rousse... Nie potrafiłam go rozgryźć. Da wiarę tej historyjce czy nie? Nigdy nie uwierzy w moją zdradę, pomyślałam, ani w niewinność Melisandy. Z drugiej strony, znał Benedykta i Percy'ego de Somerville od dawna. Co zrobi admirał floty królewskiej, gdy wojsko opanuje kraj? Być może niewiele, zwłaszcza gdy Benedykt będzie miał poparcie floty serenissimskiej – a nie wątpiłam, że będzie miał, jeśli Marco Stregazza zostanie dożą. Kwintyliusz Rousse był sprytny i umiał jak kot spadać na cztery łapy. Może poprzeć Benedykta, jeśli uzna, że nie ma innego wyjścia.

A Barquiel L'Envers?

On jest najważniejszy, pomyślałam z żalem. Diuk L'Envers, którego uważałam za wroga. Z jego powodu Benedykt nie ośmielił się przystąpić do działania bez wsparcia wojsk królewskich. Jako wuj Ysandry był drugim po Benedykcie pretendentem do tronu, skoligaconym z Aragonią, Albą, Khebbel-im-Akad. Wszystkie te państwa mogą go poprzeć, jeśli zrodzi się choć cień podejrzenia w związku ze śmiercią Ysandry.

Drustan nie odwróci się plecami, tego byłam pewna; pamiętałam też dobrze kompanię aragońskich włóczników, którzy walczyli z nami przeciwko Skaldom, i morderczą akadyjską konnicę.

Benedykt, Melisanda i de Somerville będą musieli działać bardzo szybko, żeby zająć tron i pozbyć się Barquiela L'Envers.

Jestem głupia, pomyślałam, skoro tak łatwo uwierzyłam w przegraną. Pocięczałam się, że dopóki toczy się gra, nie wszystko jest stracone. Melisanda rozdała mi złe karty, ale partia jeszcze nie została rozegrana.

Rozmyślałam i łamałam sobie głowę do zmierzchu. Gdy światło zaczęło przygasać w mojej dusznej celi, dozorca przyniósł wieczorny posiłek. Miał na imię Konstantyn, był milczący i siwy. Nawet go trochę lubiłam, bo w porównaniu z innymi dozorcami nie dokuczał mi zbytnio.

–Konstantynie – zagadnęłam, oddając pustą tacę – przekażesz wiadomość naczelnikowi?

Przełożył tacę z ręki do ręki i popatrzył na mnie poważnie.

–Przekażę. Nie obiecuję, że wysłucha.

–Rozumiem. Powiedz mu, proszę, że chciałabym z nim pomówić.

–Dobrze.

Musiałam się zadowolić tą krótką odpowiedzią. Zapadająca noc wygnała z celi resztki światła. Siedziałam na sienniku i patrzyłam, jak niebo ciemnieje za wąskim oknem, jak błękitny zmierzch przechodzi w szarość, a potem w czerni usianą gwiazdami. Gdy oczy przestały widzieć, uszy wypełnił bezustanny lament zropaczonej Aszery. Słuchałam, wychwytyjąc wśród huku fal głosy współwięźniów. W te długie noce powymyślałam im wszystkim przezwiska. Zawodzenie Wyjca wznosiło się i opadało bez chwili przerwy. Z celi Drapacza dobiegały takie dźwięki, jakie towarzyszą drapiącemu pazurami zwierzątka, próbującemu wydrążyć tunel w litej skale. Warczkowi zostało dość rozumu, żeby przeklinać swoje przeznaczenie. Łoskot... wolałam nie myśleć, czego skutkiem było stłumione łomotanie, które słyszałam w wyjące noce. Było ich siedmiu lub ośmiu – nie umiałam rozstrzygnąć, choć mam wyćwiczone ucho. Nie byłam pewna, czy Błagacz i Wrzeszcz nie są jedną osobą, bo ani razu nie słyszałam ich jednocześnie. Nie wiedziałam, czy jeden więzień na przemian popada w beznadziejną rozpacz i dziką wściekłość, czy też szaleństwo dwóch podlega wspólnemu rytmowi.

„Kiedy wyjadę... będzie gorzej”.

Będzie gorzej. Będzie znacznie gorzej. Jeszcze nie krzyczałam po nocach, ale budziłam się często, szlochając. Moje sny były pełne obleśnych spojrzeń Malvia, lubieżnych szeptów Fabrona... ach, Eluo!

Miało być znacznie, znacznie gorzej.

Jeśli Joscelin i Ti-Filip żyją, jeśli zdołam powiększyć ich szanse, ryzyko się opłaci.

Ale nie sądziłam, że zdołam zbyt długo opierać się Melisandzie.

Jeśli.

Wreszcie zasnęłam, wyczerpana psychiczną udręką. Wstał ranek, ale minął długi czas, nim zjawił się dozorca z jedzeniem. To był Tito; na jego szerokiej, brzydkiej twarzy malowało się współczucie. Zapytałam go, czy naczelnik przyjdzie do mnie dzisiaj, a on tylko wzruszył ramionami i pokręcił głową. Nie wiedział. Podziękowałam mu mimo wszystko i zjadłam posiłek, miskę zimnej, ale pokropionej miodem owsianki. Tito patrzył, zaciekawiony, czy mi smakuje.

–Od ciebie? – zapytałam.

Pokiwał głową i uśmiechnął się jak dziecko.

–Dostaliśmy daninę od pszczelarzy. Miałem taki duży kawał. – Rozsunął wielkie dłonie, pokazując rozmiar plastra. – Zostawiłem trochę dla ciebie.

Uśmiechnęłam się na przekór wszystkiemu.

–Dziękuję ci, Tito. Bardzo smaczne.

Ludzka dusza jest twarda i nie ma takiej skały, o którą mogłaby się rozbić, ale nie brak w niej kielków dobroci. Nie raz przekonałam się, że to prawda. Czy odwdzięczanie się za okazaną życzliwość jest moją słabością? Nie mam pojęcia, wiem tylko, że odpowiadanie dobrem na dobro pomaga wzrastać wątlm z początku kielkom. Podziękowałabym znowu, chociaż prostoduszna sympatia Tita przyniosła mi tyle dobrego, co złego. Wiem o tym dzisiaj; wtedy tylko patrzyłam, jak ostrożnie wyciska resztki miodu z plastra i oblizuje palce. Byłam wdzięczna i zarazem zasmucona tym, do czego sprowadziła się życzliwość w moim życiu.

Naczelnik nie przyszedł ani tego dnia, ani następnego. Krążyłam po dusznej celi, spocona i rozdrażniona. Za każdym razem, gdy słyszałam szczełk klucza w zamku, moje serce przyspieszało z obawy, że Melisanda przyszła po odpowiedź. Strach i groza splotły się we mnie w straszny węzeł pożądania; zasychało mi w ustach, a w żyłach w przyspieszonym tempie krążyła krew.

Naczelnik zjawił się trzeciego dnia.

Klucz zazgrzytał o tak wczesnej porze, że nie mógł to być dozorca z jedzeniem. Szybko, drżącymi palcami zawiązałam włosy na karku w luźny węzeł, w Dworze Nocy zwany „pośpiechem kochanka”, trzymający się bez szpilek czy siateczki. Wygładziłam szarą suknię i stanęłam w godnej pozie, żeby przyjąć gościa.

Kiedy wszedł w towarzystwie Fabrona, skłoniłam głowę, witając go jak równego sobie. Nie odwzajemnił ukłonu, tylko rzekł bezbarwnym tonem:

–Chciałaś ze mną pomówić.

–Tak, panie naczelniku. – Zaczepnęłam tchu; nie spodziewałam się, że moja uprzejmość go rozbroi. – Panie, błagam cię o drobną przysługę. Chciałabym wysłać list, nic więcej. – Urwałam, a on milczał. – Nie będę cię obrażać, panie, zapewniając o swojej niewinności – podjęłam. – Zapewne słyszałeś to dość często z ust innych więźniów, a osądzanie nie jest twoją sprawą. Proszę tylko o jedno: pozwól mi powiadomić królową o moim losie. Jako moja władczyni ma prawo wiedzieć. W Terre d'Ange zrobilibyśmy tyle dla każdego cudzoziemca. I możesz mi wierzyć, Ysandra de la Courcel zapłaci szczerze za tę informację. – Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie. Zrobiłam krok do przodu. – Dostaniesz wszystko, co zechcesz – zapewniłam. – Zawrę ten warunek w liście i powołam się na święte słowa rodu L'Envers, linii jej matki, którym nawet królowa nie może odmówić.

Mogłam to zrobić, bo teraz wiedziałam, że Nicola L'Envers y Aragon nie oszukała mnie, lecz dała mi do ręki potężną broń. Miała rację – mnie i Barquiela L'Envers zaślepiły bezpodstawne podejrzenia, a królowa miała za to zapłacić. Jak dzieci spierające się w stodole, nie baczyliśmy na otwarte wrota, przez które mógł zakraść się wilk.

„Nie ma znaczenia, w co wierzysz. Po prostu zapamiętaj”.

Zapamiętałam.

Naczelnik drgnął. Za jego lewym ramieniem Fabron bezgłośnie powiedział coś sprośnego i lubieżnie zatrzepotał językiem. Zignorowałam go, skupiając uwagę na naczelniku.

A on powiedział stanowczo:

–Nie.

Patrzyłam nie rozumiejącym wzrokiem i czekałam, podczas gdy moje serce przemieniało się w kamień. Kiedy nie dodał nic więcej, zdusiłam absurdalną chęć parsknięcia śmiechem i powiedziałam:

–Panie, mogę spytać, dlaczego?

Jego słowa były odmierzone jak krople wody spadające w jaskini.

–Jesteśmy w La Dolorosie, a ja jestem tutaj naczelnikiem. Nie więcej ani nie mniej. Aszera cię przysłała, będę więc cię pilnował, dopóki nie zmieni zdania.

–Aszera! – wybuchłam. – Panie, spiskowcy, którzy mnie tu wtręcili, sprofanowali świątynię bogini! Zapytaj, jeśli mi nie wierzysz, zapytaj w wielkiej świątyni na placu, a przekonasz się, że przekupna osoba na jeden dzień zajęła miejsce Wyroczni! Zapytaj samego dożę, Umiłowanego Aszery, jak postąpiły z nim jej kapłanki! Powiem ci, że od tego listu zależą losy tronów i świętość, w którą wierzysz!

Bredziłam i wiedziałam, że bredzę. Co gorsza, nie mogłam zahamować tego potoku słów. Naczelnik skinął na Fabrona, a ten złapał moje ręce i pociągnął w tył. Przycisnął mnie do siebie, oblizując usta.

Nie było to łatwe, ale w końcu odzyskałam panowanie nad sobą i wyrwałam się dozorczy. Melisanda nie skłamała, mówiąc, że jestem pod ochroną, bo ostentacyjnie uniósł ręce i zostawił mnie w spokoju.

–Elua sprawi, że pożałujesz swojej decyzji, panie – powiedziałam cicho do naczelnika.

–Możesz się o to modlić, jeśli chcesz. – Otworzył drzwi celi, skinął na Fabrona i wyszedł. Drzwi zamknęły się za nimi i znów zostałam sama.

Jedna nadzieja prysła jak bańka mydlana.

Został mi tylko Joscelin i Ti-Filip... i Melisanda.

Moje szanse w jednym i drugim przypadku nie były zbyt wielkie.

CZTERDZIEŚCI CZTERY

Melisanda nie przyszła bez uprzedzenia.

Tym razem wiedziałam, czego się spodziewać, gdy dozorca przyniósł wiadro z wodą i mydło. I tym razem myłam się nie z przyjemnością, lecz ze swego rodzaju gorzkim rozbawieniem. No bo czy księżna małżonka Benedykta de la Courcel mogła spotkać się z brudną, rozczochraną więźniarką w brudnej, cuchnącej celi? Ależ skąd! Melisanda zarządziła ablucje, traktując mnie niczym zwycięski wódz wybranego jeńca.

Umyłam się, choć kusilo mnie, żeby tego nie robić. Ale już byłam karmiona na siłę i wolałam nie sprawdzać, czy nie powtórzą tego z szorowaniem. Coś w wyrazie twarzy dozorca – był nowy i nie znałam jego imienia – sugerowało, że to prawdopodobne.' Po myciu włożyłam czystą suknię i usiadłam ze skrzyżowanymi nogami na sienniku.

Nie czekałam długo.

Tym razem nawet nie drgnęłam i nie kuliłam się. Siedziałam, podczas gdy aura Melisandy wypełniała celę jak pieśń albo blask świecy. Byłam dumna z tego drobnego pokazu swojej woli. Nisko upadłam, to prawda, ale tutaj przebywałam na swoim terenie. Niech się pochyli, niech zniży do mojego poziomu, jeśli będzie chciała mnie dotknąć.

Tak myślałam, ale oczywiście Melisanda nie zrobiła tego, tylko patrzyła na mnie, oceniając przyczynę mojego wyrafinowanego zachowania. Nikły uśmiech wykrzywił kąciki jej ust. Nie miałam w zapasie sztuczek, których by nie znała. Uczył nas jeden mistrz, mój pan Anafiel Delaunay: najpierw ją, a potem mnie. Ona w zamian nauczyła go, jak wykorzystywać ludzi.

Tak jak wykorzystał mnie.

–Podjęłaś decyzję? – zapytała.

Oparłam głowę o kamienną ścianę celi.

–Co ze mną zrobisz?

Ktoś inny mógłby mnie źle zrozumieć, ale nie ona.

–W Małym Dworze jest loch. Zamieszkaż w nim, dopóki... dopóki sprawy w La Serenissimie nie zostaną zakończone. A może dłużej. To będzie zależało od ciebie. – Rozejrzała się po celi. – Jest znacznie przyjemniejszy niż ten tutaj, został bowiem zbudowany dla przyjemności kuszelickich gości. Będziesz miała światło i wygody,

przyzwoite ubranie, jedzenie, kąpiel. Książki, jeśli sobie zażyczysz; biblioteka jest dobrze zaopatrzona. Zastanawiasz się, czy loch jest gorzej strzeżony? Nie. – Pokręciła głową. – Niewiele.

–Trochę.

–Tak – powiedziała z zadumą. – Trochę.

–Nie można wykluczyć możliwości, że będę udawać i zdobędę twoje zaufanie.

–Tak. – Rozbawienie błysnęło w jej prześlicznych oczach. – Istnieje taka możliwość, choć przypuszczam, że gdybyś uważała ją za prawdopodobną, nie wyraziłabyś jej na głos.

Tak było, dlatego zamiast skomentować, zapytałam:

–Dlaczego chcesz ryzykować? Masz w swoim zasięgu wszystko, na czym ci zależało. Czy warto podejmować ryzyko, nawet znikome, tylko po to, żeby się ze mną bawić? Nie wierzę ci, pani, i nie mam zaufania do twojej oferty.

–Naprawdę? – Melisanda podeszła do zakratowanego okna i spojrzała ku dalekiemu horyzontowi, a światło dnia użyczyło pogody jej pięknej twarzy. – Gra w trony jest grą na śmierć i życie, moja droga. Nawet gdyby ten gambit nie wyszedł – a wyjdzie, możesz być pewna – zadbałam o wynik gry. Mój syn, niczemu niewinny, niesplamiony zdradą, jest trzeci w kolejce do tronu. Żaden inny Szachrizaj nie osiągnął tak wiele. Co zaś się tyczy ciebie, Fedro... – Odwróciła się z uśmiechem. – Kusziel cię wybrał i naznaczył na swoją. Gra z tobą przypomina grę z samym bogiem.

Zadrżałam.

–Jesteś szalona – powiedziałam słabym głosem.

–Nie. – Melisanda znowu pokręciła głową. – Tylko ambitna. Zapytam jeszcze raz: Podjęłaś decyzję?

W celi zapadła cisza, którą zakłócał jedynie głuchy ryk morza. Z czasem rozpacz Aszery doprowadzi mnie do obłądu; byłam na dobrej drodze ku temu. Zrozumiałam to w dniu, kiedy bredziłam po odmowie naczelnika. Ale przynajmniej szaleństwo ogarnie tylko mnie, i pozostanę wierna sobie do samego końca. Propozycja Melisandy... to była inna sprawa. Jeśli podejmę grę i przegram, stracę znacznie więcej.

Rozdzierana przez strach i pragnienie, zaśmiałam się rozpaczliwie.

–Pani, tak czy inaczej jestem zgubiona, a ty każesz mi wybierać?

–Zgubiona? – Uniosła brwi. – Jesteś wobec mnie niesprawiedliwa.

–Nie. Jest Ti-Filip. I Joscelin.

–Ty naprawdę go kochasz – powiedziała. Odwróciłam wzrok, słysząc jej śmiech. – Sługę Kasjela. Odpowiednia tortura dla wybranki Kusziela i Naamy... Naprawdę uciekł przed twoimi wdziękami?

–Tak – szepnęłam.

–Ale może się domyślasz, dokąd, Fedro. – Ton Melisandy zmusił mnie do odwrócenia głowy. W jej spojrzeniu litość mieszała się z nieubłaganym okrucieństwem. – Tak czy inaczej, odszedł. Ile jest warta ta twoja ślepa, bezmyślna lojalność? – zapytała łagodnie. – Lojalność wobec kasjelity, który cię zostawił, wobec Ysandry de la Courcel, która wykorzystwała cię, gdy byłaś jej potrzebna. Elua i jego Towarzysze nie dbają, kto zasiada na tronie Terre d'Ange. Powiedz mi, czy uważasz, że będę kiepską władczynią?

–Nie – odparłam zgodnie z prawdą, co zaskoczyło nas obie. – Wszystko, co robisz, pani, robisz bardzo dobrze. Nie wątpię, że kiedy zasiądziesz na tronie, twoje rządy będą silne i mądre. Ale nie popieram drogi, jaką zmierzasz do celu.

–Fedro. – Wystarczyło, że wyrzekła moje imię, a poczułam się tak, jakby położyła palec na mojej duszy, łagodnie i rozkazująco. – Chodź tutaj. – Stała przede mną i wyciągnęła rękę, a ja chwyciłam ją odruchowo i wstałam, posłuszna instynktowi, od czwartego roku życia wszczepianemu w każdą cząstkę mego ciała. Siłą woli i zabójczym czarem sprawiła, że drżałam niczym jeniec, gdy ujęła w dłonie moją twarz. – Dlaczego walczysz z własnym pragnieniem? Wszak sam Błogosławiony Elua kazał nam kochać jak nasza wola.

Uciekłabym, gdybym miała dokąd. Walczyłabym z nią, gdybym mogła. Nie mogłam uciec, nie mogłam walczyć. Nie mogłam nawet odpowiedzieć. Jej zapach sprawiał, że kręciło mi się w głowie.

Stałam posłusznie, nieruchoma jak kamień, a moje serce biło jak szalone.

Tak blisko, taka piękna.

Taka niebezpieczna.

Melisanda pochyliła głowę i pocałowała mnie.

Szok wstrząsnął mną jak cios włócznią, chyba jęknęłam. Skaza, słabość... Strzała Kusziela przeszła mnie do szpiku. A po szoku nastąpiło pożądanie – wielka, zatapiająca fala żądzzy uniosła moją wolę jak powódź gałązkę. Pożądanie, ach, Eluo!

Narastało pomiędzy nami przez długi czas i było słodkie, znacznie słodsze niż to, które pamiętałam. Uwięziona w rękach Melisandy, słańiałam się, tajałam niczym lód w żarze jej ust i języka, pragnęłam więcej i więcej. Moje kości przemieniły się w płynny ogień, ciało ulegało jej woli. Piersi i uda bolały mnie z pożądania, moja krew wzbierała, ciało pragnęło stopić się z jej ciałem. Dałam jej wszystko, czego sobie życzyła. Pod wpływem pocałunku stałam się w pełni tym, kim byłam, kim zawsze miałam być.

To było jak powrót do domu.

Melisanda wiedziała. Jakżeby mogła nie wiedzieć? Walcząc o oddech, przywierałam do niej, zaciskałam dłonie na jej ramionach. Nie wiedziałam kiedy uniosłam ręce. Lekki, triumfalny uśmiech wykrzywił jej usta, gdy mnie puściła.

Odetchnęłam głęboko i z drzeniem cofnęłam się... jeden krok, drugi, w jej uśmiechu odmalowało się lekkie zdziwienie... i z całej siły odrzuciłam głowę do tyłu, uderzając mocno w kamienną ścianę celi.

Gorący, rozdzierający ból oznajmił, że popełniłam błąd – trafiłam nie w płaską ścianę, ale w narożnik przy drzwiach. Czerwona mgiełka cierpienia zasnuła moje oczy, ból łopotał w czaszce jak mosiężne skrzydła Kusziela, każąc mi zapomnieć o powabie Melisandy.

Bezsilnie osunęłam się na podłogę i wybuchnęłam śmiechem, gdy zobaczyłam jej wstrząśniętą minę.

–Fedro!

Usłyszałam zdziwienie w jej melodyjnym głosie. Poczułam na szyi ciepłą wilgoć, szkarłatny strumyczek spływał do dołeczka pomiędzy obojczykami. Naprawdę rozciąłam sobie skórę głowy.

–Na siedem piekieł, coś ty sobie myślała? – zapytała Melisanda z przejęciem. Jej oczy wyrażały przestrah, gdy uklękła i przycisnęła chusteczkę do mojej potylicy. Oszołomiona i obolała, uniosłam głowę, żeby na nią spojrzeć. – Przysięgam, Fedro, twoja śmierć oznacza dla mnie dziesięć tysięcy lat męki!

Jej twarz i cała cęła wirowały mi przed oczami, rozmyte przez cierpienie. Zależało jej, naprawdę zależało jej na mnie i dlatego nie mogłam powstrzymać się od śmiechu – doszukałam się bezsensownego triumfu w porażającym szaleństwie bólu. Czerwona mgła Kusziela zasnuwała mi oczy, głowa pękała, ale moje myśli pozostały czyste. Równowaga sił uległa zmianie i choć raz byliśmy sobie równe. Melisanda w skupieniu zmarszczyła nieskazitelnie gładkie czoło, próbując zatamować krew.

–Trzymaj – powiedziała krótko, przyciskając moje oporne palce do chusteczki. Gdy

posłuchałam, podeszła do drzwi i zapukała głośno, wzywając dozorcę. – Sprowadź medyka – poleciła w caerdicci. – Albo kogoś, kto tutaj pełni taką funkcję.

Odszedł szybko; słyszałam, jak kroki cichną w korytarzu. Melisanda, patrząc na mnie z zadumą, nabrała chochlą wody z wiaderka i starannie zmyła krew z rąk. Siedziałam oparta plecami o ścianę, przyciskając chusteczkę do głowy. Krew już zlepiała włosy.

–Będziesz musiała się spieszyć – powiedziałam takim tonem, jakbym wcale nie siedziała zalana krwią na kamiennej podłodze celi. – Barquiel L'Envers nie jest głupcem i żywi podejrzenia. Zasiądzie jako regent na tronie w chwili, gdy usłyszy wieści, i przed ustąpieniem zażąda dochodzenia.

–Czterech kurierów wyruszy z La Serenissimy w chwili, gdy dzwon na Wielkim Placu ogłosi śmierć Ysandy – powiedziała Melisanda chłodno. – Rozstawne konie będą czekać na drodze do Miasta Elui. Nim diuk Barquiel usłyszy nowiny, Percy de Somerville zajmie stolicę.

–I wskaże spiskowca, jak miemam. – Zmieniłam pozycję, a ruch wzbudził nową falę bólu. – Jak umrze Ysandra?

–Wiesz już dość. – W zamku zazgrzytał klucz. Melisanda cofnęła się, robiąc miejsce dla naczelnika i dozorczy. Naczelnik popatrzył na nią z kamiennym wyrazem twarzy i podszedł do mnie. Nachylił moją głowę i rozgarnął zlepione krwią włosy. Czułam, jak obmacuje palcami ranę.

–Przecięte do kości – oznajmił, wycierając dłonie ręcznikiem. – Ale nic poważnego. Rany głowy zwykle broczą obficie. Skaleczenie nie jest na tyle duże, żeby je szyć. Krew już zaczyna krzepnąć. – Popatrzył obojętnie na dozorcę. – Przez jeden dzień dajcie jej spokój. Principessa... – skinął głową Melisandzie – czego jeszcze sobie życzysz?

–Niczego. – Jej ton był nieodgadniony. – Zostanę tu jeszcze chwilę.

Pokiwał głową.

–Zapukaj, kiedy skończysz.

Melisanda spojrzała na zamykające się za nimi drzwi.

–Wedle tradycji mężczyźni z jego rodu służą w La Dolorosie od dnia, w którym Aszera z Morza zaczęła rozpaczać – powiedziała. – Oni pierwsi strzegli zwłok Ezmuna, którego zabił Baal-Jupiter. Tak powiadają. Mówią też, że są nieprzekupni, zostali bowiem mianowani przez bogów. – Popatrzyła na mnie. – Ale tego już się dowiedziałas.

Wzruszyłam ramionami.

–Czyżbyś sądziła, że nie spróbuję?

–Raczej nie. – Rozejrzała się po celi. – Nędzna nagroda za poświęcenie przodków. Łaska bogów bywa wątpliwym zaszczytem.

–Tak, pani – przyznałam cierpko. – Dostrzegam ironię. Ale to nie Aszera z Morza zbudowała więzienie. Jest ono skutkiem okrucieństwa ludzi, a zawodna ludzka pamięć wypaczyła z biegiem lat rolę, jaką pełnili praojcowie naczelnika.

–Możliwe. Różnią się od nas, bo my nie umiemy zapomnieć. – Melisanda machnęła z wdziękiem ręką. – Dwa lata temu... – skinęła w stronę ściany – nie zrobiłabyś tego.

Czego się spodziewała, ona, która sprzedała mnie do skaldyjskiej niewoli? Twardo walczyłam o życie i w nagrodę za cierpienia otrzymałam jeszcze gorsze trudy. Tak, Ysandra wykorzystła mnie, wysyłając na spotkanie z niebezpieczeństwami równymi tym, jakie już miałam za sobą. Ale wtedy poszłam z własnej woli. Nie raz śmierć zaglądała mi w oczy. Czekala na mnie z otwartymi ramionami na polu bitwy pod Troyes-le-Mont, a ja poszłam, wiedząc, na co się decyduję. Straciłam towarzyszy i ukochane osoby, poznałam głębię rozpacz. Zmieniłam się od czasu, gdy Melisanda miała mnie w swoich rękach. Myślałam o tym wszystkim, siedząc na kamiennej posadzce i patrząc na jej piękną twarz.

–Wtedy byłam dzieckiem, pani – rzekłam cicho. – Teraz moja cena jest wyższa.

Po raz pierwszy nie bałam się jej; byłam bezpieczna w strasznym cieniu Kusziela, chroniona przez ból pulsujący w czaszce. Melisanda tylko pokiwała głową, przyjmując do wiadomości moją odpowiedź.

–Dam ci jeden dzień do namysłu – oznajmiła. – Pojutrze rano dwaj strażnicy Benedykta przyjdą po odpowiedź. Rozmówią się z tobą osobiście. Jeśli odpowiesz „tak”, odejdiesz z nimi. Jeśli nie... – wzruszyła ramionami – zostaniesz. Na zawsze. Drugi raz nie zapytam.

–Rozumiem.

–To dobrze. – Melisanda podeszła do drzwi, ale obejrzała się i jeszcze raz spojrzała na mnie. – Postąpiłaś niemądrze, Fedro, tak szybko rozgrywając to rozdanie. W przyszłości będę bardziej ostrożna.

–Zagrałam kartami, jakie mi dałaś, pani.

–Naprawdę? – Popatrzyła na mnie, zaciekawiona. – Czasami mam wątpliwości.

Nie umiałam na to odpowiedzieć. Melisanda patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę, a potem zapukała w ciężkie drzwi. Klucz zagrzechotał w zamku i zaskrzypiały zawiasy. Patrzyłam, jak wychodzi, zabierając ze sobą wszystkie kolory i piękno.

Pozostał tylko jej zapach.

Otworzyłam rękę, w której trzymałam zmiętą, przesiąkniętą krwią chusteczkę, wygładziłam sztywniejące zagniecenia. Delikatny batyst obrzeżony koronką, z wyhaftowanym w rogu łabędziem rodu Courcel. Odpowiedni dar kochanki.

Jeden dzień.

Potem będę musiała dokonać wyboru.

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

Tego dnia często myślałam o Hiacyncie.

To ironia, w sytuacji pełnej gorzkich ironii. Wybrałam ten sam los, gdy rozwiązałam zagadkę Pana Cieśniny; wybrałam nie tylko życie, lecz całą wieczność na samotnej wyspie. Nie musiałabym wprawdzie mierzyć się z szaleństwem rozpaczki Aszery, ale przypuszczam, że stulecia monotonii wywarłyby podobny skutek.

Hiacynt użył dromonde, żeby odczytać przeszłość, i skradł moje przeznaczenie.

Zastanawiałam się, jak je znosił. Jak sobie radził? Pan Cieśniny uprzedził, że terminowanie będzie trwało długo. Dziesięć lat? Pięćdziesiąt? Sto? Przysięgłam zrobić wszystko, żeby go wyzwolić. Zamiast tego sama byłam uwięziona, a moje postępowanie sprawiło, że Joscelin zbliżył się do Jeszuitów i odszedł ode mnie. Patrząc przez wąskie okno na szalejące morze, zastanawiałam się, czy Hiacynt mógłby mnie uwolnić. Na pokładzie statku z Marsilikos dumiałam, dla zabicia czasu, nad rozległością domeny Pana Cieśniny.

Chciałabym dojść do innego wniosku. Niestety, jego władza nie sięgała dalej niż kilkanaście mil poza Cieśninę, a ja przebywałam w znacznie większej odległości.

I byłam bardzo, bardzo samotna.

Wsparałam bolącą głowę na parapecie okna.

Melisanda miała rację, postąpiłam głupio; niepotrzebnie pokazałam, do czego jestem zdolna, żeby stawić jej opór. Zyskałam tylko ból głowy i przelotną satysfakcję na widok jej zaskoczenia. Była to idiotyczna sztuczka i nie uciekłabym się do niej powtórnie. A jednak... Musiałam się przekonać, dla własnego dobra. Teraz wiedziałam, że mogę się oprzeć Melisandzie, jeśli wezwę wolę.

Chociaż musiałam rozbić sobie czaszkę, żeby wyzwolić się spod czaru jednego pocałunku.

A Melisanda potrafiła zrobić znacznie więcej.

Wiedziała, pamiętała. Pamiętała aż za dobrze. Anguissette jest rzadkim instrumentem; większości moich klientów brakuje talentu, żeby zagrać na wszystkich strunach mojego ciała. Ból i rozkosz, tak, oczywiście, ale są też inne metody. Okrucieństwo, upokorzenie, dominacja... oraz współczucie i życzliwość. Trzeba tego wszystkiego, żeby zagrać naprawdę wyborną muzykę. Tylko nieliczni to rozumieli.

Uczucie.

To była moja zmora, potencjalny klucz do mej zguby. Niezależnie od ogromu nienawiści do Melisandy, jakaś część mnie wciąż ją kochała i miała kochać zawsze. Waldemar Selig był potężnym wrogiem, a ja zostałam jego własnością, lecz obojętne ile razy i na ile sposobów mnie posiadał, nie istniało ryzyko, że się w nim zatracę. Nie kochałam go, ani trochę.

Teraz jednak wiedziałam, że ten miecz ciął w obie strony. Melisanda lubiła mnie na tyle, bym mogła ją osłabić, przynajmniej trochę. Nawet Kusziel darzył uczuciem podległych mu potępieńców, kiedy jeszcze był Karzącą Ręką Boga; kochał ich, dzięki czemu ból stał się dla nich kojącym balsamem i nie chcieli od niego odchodzić. Kusziel też stał się ofiarą, bo zawiódł Boga Jedyneho, a ten za karę stracił go na Ziemię. I wtedy Kusziel dołączył do Błogosławionego Elui, który przykazał: Kochaj jak wola twoja. Ciekawe, czy potężny Kusziel bał się tego tak jasno płonącego boskiego potomka. Elua i jego Towarzysze nie kłócili się między sobą; obca im była zawiść typowa dla innych bogów. Wszyscy jednak wybrali sobie prowincje Terre d'Ange i zostali jedynowładcami – wszyscy z wyjątkiem Błogosławionego Elui, który panował bez rządu, wędrował i kochał. I z wyjątkiem Kasjela, który trwał u jego boku i któremu tylko na nim zależało.

Czy inni – Kusziel, Aza, Szamchazaj, Naama, Ejszet i Kamael – byli zazdrośni o swe nieśmiertelne trony w Terre d'Ange, która leży w zaświatach? Całkiem możliwe. Wśród innych bogów, w innych częściach świata zawiść była na porządku dziennym. Przebywając w samym sercu rozpaczy Aszery, wiedziałam, że to prawda. Śmiertelnicy podbijają i zabijają; bogowie wznoszą się na wyżyny i upadają. Gra prowadzona przez ludzi na ziemskiej szachownicy ma swoje odbicie w niebie.

Melisanda o tym wiedziała.

Ja nosiłam znak Strzały Kusziela.

Miałam zamęt w głowie. Próbowałam się pomodlić, do Kusziela i do Naamy, moich nieśmiertelnych patronów, i do Błogosławionego Elui, który jest panem nas wszystkich. Ale głośmy lament Aszery wdzierał się w moje myśli, odbierał pociechę, jaką niesie modlitwa.

Gdybym z jakiegoś powodu nie została wybrana, już byłabym martwa, jak Remy i Fortun. Ale jaki jest cel mojego istnienia? Czy mam powiedzieć „nie” i popsuć szyki Meiisandzie, pozbawiając ją okazji do złamania Strzały Kusziela? A może wyrazić zgodę i zmierzyć się z nią, żeby sięgnąć po jakąś wyższą stawkę?

Melisanda będzie ostrożna, i to bardzo. Szanse na udaremnienie jej planów staną się niemal równe zeru.

Niemal.

I czy przypadkiem nie prowadzi gry na głębszym poziomie? Tego nie wiedziałam. Po całym dniu rozważań nie byłam ani trochę mądrzejsza. Patrzyłam w okno, pogrążona w myślach, podczas gdy promienie zachodzącego słońca czerwieniły wodę. Chciałabym mieć przy sobie Hiacynta, który użyłby swego daru dromonde. Nie znaczy to, że chciałby to zrobić; nigdy nie chciał, nie dla mnie, przede wszystkim ze strachu. Jego matka przepowiedziała, że pożałuję dnia, w którym poznam tajemnicę Delaunaya. Miała rację, bo gdy nadszedł ten dzień, mój pan stracił życie. Później Hiacynt powiedział, że nie widzi mojej przyszłości, bo ścieżka mego życia zbyt mocno się rozgałęzia. Tak, w istocie, stałam właśnie na jednym z tych rozdroży. A jednak żałowałam, że go tu nie ma. Mój jedyny prawdziwy przyjaciel, tak go nazywałam. Nawet Joscelin, choć związany przysięgą, okazał się mniej wierny.

Hiacynta i mnie wiązała tylko miłość.

I on też będzie zgubiony, jeśli odmówię Meiisandzie. Nadzieja na przełamanie jego geis, jakkolwiek nikła, miała umrzeć wraz ze mną w La Dolorosie. Jeśli się zgodzę, Melisanda da mi obiecane książki. Będę mogła kontynuować poszukiwania. Poza tym Melisanda nie mogła nic, absolutnie nic zrobić Hiacyntowi, co sprawiało mi drobną, ponurą satysfakcję.

Ale był Ti-Filip... i Joscelin.

Kasjelita, który mnie porzucił. Nienawidziłam go za to, nienawidziłam i rozpaczałam, bo być może tylko to ocaliło mu życie. A ja zostałam sama. Z nim byłam silniejsza, z moim Towarzystwem Doskonałym. Użyczył mi odwagi i siły do przebycia skałdyjskich pustkowi, a kiedy Ysandra wyprawiła mnie do Alby, wyrzekł się Bractwa Kasjelitów i ruszył w drogę wraz ze mną.

A potem mnie zostawił.

Morze przybrało liliową barwę i Tito przyniósł wieczorny posiłek. Z zafascynowaniem patrząc na moją twarz, na zakrwawioną suknię, długo nakłaniał mnie do jedzenia. W końcu posłuchałam, nie chcąc przysparzać mu zmartwień. Jeśli odrzucę propozycję Melisandy, jeśli tu zostanę, jego szorstka życzliwość stanie się jedyną iskierką w moim życiu. Zastanowiłam się, jak długo będę mogła liczyć na jego dobroć. Jeśli Melisanda cofnie zakaz, a naczelnik da mnie do zabawy swoim ludziom, czy Tito będzie wśród nich? Choć ograniczony i miły, był mężczyzną, odizolowanym na tej skale od wszelkich uciech. Wyobraziłam sobie, jak obleśnie uśmiechnięty Malvio pokazuje mu, co robić, i zadrżałam.

Najgorsze z tego wszystkiego... nie lubiłam o tym myśleć.

Podziękowałam Titowi, gdy zabierał tacę. Ściemniło się już tak bardzo, że niewiele widziałam. Po omacku podeszłam do wiadra i napiłam się trochę, oszczędzając wodę

do umycia twarzy. Strup z tyłu głowy zeszywniał, ale miałam za mało wody, żeby splukać zaschniętą krew. Zwilżyłam włosy, po czym rozdzieliłam je palcami, ostrożnie obmacując ranę. Zasklepiła się czysto i chyba już zaczęła się goić. Dzięki wątpliwemu dobrodziejstwu Kusziela szybko wracałam do zdrowia, żeby móc znosić nowe tortury.

Z nadejściem nocy zerwał się wiatr i gnał chmury przysłaniające gwiazdy. Stałam na stołku, trzymając się krat, patrząc w ciemność i czując ciepłe poddmuchy na skórze. Rozpacz Aszery brzmiała w jęku wichru i w szumie morza. Wsłuchując się w hałasy czynione przez współwięźniów, wykryłam nowy głos, a może tylko nową fazę obłędu. Niski tenor wznosił się do pewnej wysokości i łamał w gardłowym charkocie; tego więźnia nazwałam Buczek. Wśród innych nie doliczyłam się Wrzeszcza, Błagacz natomiast odmawiał niekończącą się litanię.

Cóż, pomyślałam, może jednak Wrzeszcz i Błagacz to dwie osoby, a Wrzeszcz przemienił się w Buczka. A może Buczek jest nowym więźniem? Po chwili nasłuchiwania uznałam, że nie,

bo wydawane przez niego dźwięki zbyt mocno odbiegały od ludzkich. A zatem stary więzień z nowym głosem. Nowa faza szaleństwa.

Po omacku wróciłam na siennik, myśląc o tym, co ja będę mówić, kiedy się całkowicie załamie. Może zacznę przeklinać? Lubiłam myśleć, że zachowam ludzką mowę przynajmniej przez jakiś czas, zapewne dłużej niż inni. Trzeba czasu, żeby Wybranka Kusziela zapomniała o swoim człowieczeństwie. „Różnią się od nas, bo my nie umiemy zapomnieć”.

Może nigdy nie zapomnę, do śmierci.

Nie można mnie określić mianem tchórze, choć moja odwaga ma specyficzny charakter. Nie jestem wojownikiem, dlatego nie walczę z wrogiem na polu bitwy, ale Elua świadkiem, bywałam w gorszych opałach. Bałam się, modliłam i błagałam o odmianę losu, niemniej jednak robiłam swoje. W skaldyjską zimę, w szczękach Cieśniny, w rękach Waldemara Seliga. Nie jestem tchórzem.

Temu losowi jednak nie mogłam stawić czoła.

Niech więc tak będzie, pomyślałam, siedząc samotnie w ciemności. Nie mogę tego zrobić. Błogosławiony Eluo, ulituj się nade mną, ale wolę zostać zabawką Melisandy niż wariatką w więziennej celi. Ten wybór da mi szansę, niewielką i ryzykowną, ale zawsze szansę. Tutaj, w La Dolorosie, nie miałam żadnej.

Podjęłam decyzję.

Od razu poczułam się spokojniejsza i wreszcie mogłam się pomodlić. Modliłam się

do Elui i wszystkich jego Towarzyszy. Modliłam się o opiekę i wskazanie drogi, a nade wszystko o siłę, żeby nie zdradzić swoich towarzyszy. Jeśli Ti-Filip i Joscelin żyją, istniał cień szansy, że wystąpią przeciwko Meiisandzie i Benedyktowi. Melisanda nie zaprzestanie poszukiwań, bo ich zniknięcie bardzo ją niepokoi. Skoro tak, spróbuję ją rozproszyć, jakimkolwiek kosztem, niezależnie od tego, co będzie ze mną robić. Bólem zapłacę za śmierć, jaką spowodowałam.

Ból pozwoli mi zachować milczenie. Ból będzie moją pokutą.

Tak, ból jest lepszy od obłędu.

Kiedy dokonałam wyboru, po raz pierwszy od rozmowy z Melisanda odczułam spokój. Pomimo szaleńczego zawrota głowy Aszery, pomimo ryku nocnego wiatru, pomimo wrzasków i wycia współwięźniów, zasnęłam.

Zbudził mnie krzyk.

Oprzytomniałam w jednej chwili i z walącym w piersi sercem usiadłam na sienniku. Nie był to wiatr ani morze, ani szaleństwo więźniów. Dźwięk tłukł się echem w mojej pamięci, przywołując podobne odgłosy. Nawoływania, meldunki i rozkazy – ostatnio słyszałam to w Południowym Forcie wśród Niewybaczonych, gdy kapitan Tarren d'Eltoine wysyłał jeźdźców po wartowników z Troyes-le-Mont. Były to odgłosy garnizonu w stanie gotowości. Pochodnia przecięła ciemność za wąskim oknem i ktoś zawołał w języku caerdicci.

A z korytarza napływał tupot szybkich kroków, brzęk kluczy, skrzypienie otwieranych i zamykanych drzwi.

Sprawdzali więźniów.

Ktoś przypuścił atak na La Dolorosę.

Ledwie zdążyłam to pomyśleć, kiedy drzwi celi stanęły otworem i poraził mnie nagły blask lampy. Oslaniając ręką oczy, rozpoznałam sylwetkę dozorca, który już zamykał drzwi.

–Fabronie, proszę! – Mój błagalny głos prześcignął myśli. Dozorca zawahał się, a ja wstałam z siennika jednym wdzięcznym ruchem, wkładając w niego cały kunszt Dworu Nocy. – Proszę, powiedz mi, co się dzieje? – poprosiłam, załamując ręce. – Słyszałam krzyki, które mnie wystraszyły!

–Tak, D'Angelino, jesteś za dobra, żeby zaszczycić mnie spojrzeniem, dopóki się nie boisz, co? – rzucił drwiąco. – Myślisz, że cię ochronię, chociaż nie wolno nawet cię dotknąć?

–Proszę. – Nie musiałam udawać drżenia w głosie. – Jeśli mi powiesz... pozwolę ci, przysięgam. I nie powiem słowa.

Długo się namyślał, przyuczony do posłuszeństwa. Wreszcie zrobił dwa szybkie kroki, zamknął drzwi i odstawił latarnię. Cienie pełgały po jego oświetlonej od dołu twarzy.

–Pokaż mi – wychrypiał. – Byle szybko.

Patrząc mu w oczy, zsunęłam luźną suknię z lewego ramienia. Opadła nisko, odsłaniając pierś. Fabron zacharczał i z wyciągniętą ręką postąpił krok w moją stronę.

Przemoc nie leży w mojej naturze. Raz w samoobronie zabiłam człowieka, błagając, żeby nie zmuszał mnie do tego. Nazywał się Harald Bezbrody, był wojem z osady Guntera. Okazał mi życzliwość i dał swój płaszcz. Ale ścigał mnie, broniąc honoru swojej osady. Chciał zabić Joscelina, a mnie zawlec z powrotem do Seliga.

Każdy robi to, co musi.

Zrobiłam to z Fabronem.

Nawet siedmioletnie dziecko w Dworze Nocy wie z plotek adeptów, co zrobić. Taki postępek pociągał za sobą surową karę, ale i tak wszyscy wiedzieliśmy. Gdy Fabron dotknął palcami mojej skóry, szybko poderwałam kolano, mierząc prosto między jego nogi. Pomogły mi lata tańca i ćwiczeń akrobacji; uderzenie było bardzo mocne. Fabron zacharczał przeraźliwie i zgiął się wpół, łapiąc się za krocze. Nie mogłam sobie pozwolić na żal czy litość. Obróciłam się na pięcie, wciąż jeszcze nie myśląc, i chwyciłam drewniany stołek, a potem z rozmachem uderzyłam w pochyloną głowę.

Stołek trafił z głuchym łoskotem w skroń. Fabron upadł i legł bez ruchu na podłodze celi. Oddychając z trudem, rzuciłam stołek i podciągnęłam suknię, a potem zastygłam, nasłuchując.

Z dali wciąż dobiegały krzyki. Podeszłam do drzwi, przycisnęłam ucho do ciężkiego drewna. W korytarzu panowała cisza.

Wróciłam do nieruchomego Fabrona i znalazłam przypięte do pasa klucze. Na skroni już wykwitł siniak, ale dozorca oddychał miarowo. Zabrałam latarnię i klucze. Nie od razu znalazłam właściwy, w końcu jednak trafiłam i otworzyłam drzwi.

Wyszłam na ciemny korytarz, starannie zamykając Fabrona w celi.

Korytarz był pusty, tylko cienie tańczyły dziko na kamiennych ścianach, gdy latarnia trzęsła się w mojej niepewnej dłoni.

Dwanaścioro drzwi z dębu okutego brązem, wszystkie zamknięte.

Nie mogłam zostawić więźniów.

Moje drzwi były trzecie od końca. Podeszłam do pierwszych, rozpaczliwie wypróbując klucz po kluczu, aż wreszcie otworzyłam... Cella była pusta. Podbiegłam do następnych, tracąc cenne sekundy, i znów to samo, pusta cela, osiem kroków na osiem, nawet bez siennika. Minęłam drzwi swojej celi – cisza, Fabron wciąż był nieprzytomny – i zajrzałam do czwartej.

Pusta.

Klnąc pod nosem, zmagalam się z żelaznym kółkiem, szukając klucza do piątych drzwi. Wreszcie znalazłam; pasował i drzwi się otworzyły.

Po smrodzie poznałam, że ta cela jest zamieszкана.

Nie lubię wspominać, co zobaczyłam. Mężczyzna kucał przy ścianie Pod oknem, drapiąc kamienie długimi, zakrzywionymi paznokciami. Ze skowytem odwrócił się w stronę światła i poderwał rękę, żeby osłonić oczy, wykrzywając twarz i obnażając zęby. Włosy miał siwiejące, splątane i pozlepiane w strąki. Odsunęłam się od drzwi, podnosząc latarnię, żeby mógł zobaczyć, że nie jestem dozorcą.

–Jesteś wolny – powiedziałam cicho w ceardicci. – Choć nie wiem, na jak długo. Ktoś zaatakował fortecę. Możesz wyjść, jeśli chcesz zaryzykować. Masz wolną wolę.

Opuścił rękę i popatrzył na mnie, mrugając. Poruszył ustami, ale nie wydobyło się z nich żadne słowo.

–Nie wiem – odparłam, nie mając pojęcia, o co chce spytać. – Daję ci szansę. Skorzystaj z niej albo nie, i niech błogosławiony Elua ma cię w opiece.

Biegłam, otwierając po kolei cele, a strach i żółć dławiły mnie w gardle. Uwolniłam tej nocy wszystkich więźniów, przymusowych żałobników Aszery. Sytuacja prawie we wszystkich celach była równie zła jak w pierwszej. Niektórych rozpoznałam. Łoskot stał przed oknem, waląc posiniaczonym czołem w kraty – to ten dźwięk słyszałam przez niekończące się noce. Błagacz był tu poza mną najkrócej. Stał wyprostowany, mrugając w świetle lampy. Młody, niespełna trzydziestoletni, z włosami sięgającymi tylko do ramion.

–Panie? – zapytał z wahaniem. – Przysięgam, to nie był mój sztylet, przysięgam, panie! Tylko mnie wypuść, a przywiodę człowieka, który to uczynił. Proszę, panie. Proszę.

–Masz wolną wolę – powtórzyłam swoją litanię po raz kolejny. Drzwi cel w korytarzu

były otwarte albo uchylone, ciemne, rozdziawione usta rzygające smrodem odchodów i plugastwa

oraz rytmicznym hukiem zrozpaczonego morza, akcentowanym przez dalekie krzyki. Skądś wyżej dobiegał tupot biegnących ludzi.

Ale korytarz był pusty i cichy. Głosy więźniów umilkły.

Nie mogłam zmusić ich do wyjścia, nie mogłam nakłonić do podjęcia decyzji, bo sama nie wiedziałam, co się stało. Zrobiłam dla nich, co mogłam. Postawiłam latarnię w korytarzu, żeby oświecała puste ściany. Niech mają przynajmniej tyle, pomyślałam.

Dla mnie bezpieczniejsze było poruszanie się po ciemku, nawet jeśli nie wiedziałam, dokąd idę. Minął długi czas, odkąd ostatni raz korzystałam z wpojonych mi przez Delaunaya umiejętności bezszelestnego poruszania się, ale niczego nie zapomniałam. Człowiek w ciemności ma większe szanse się ukryć. Obserwatorzy ze światłem są oślepieni, dlatego zawsze należy trzymać się cieni.

Owinęłam klucze Fabrona w fałdę sukni, żeby nie dzwoniły, i ruszyłam do prowadzących z lochu schodów.

CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

Przez kilka długich minut kucałam przy schodach i nasłuchiwałam. Zza drzwi płynęły przyciszone głosy. Próbowałam przypomnieć sobie rozkład fortecy. Wypadłabym żalostnie, gdyby Delaunay mnie wypytywał; odrętwiała z szoku i owładnięta pragnieniem śmierci, w dzień przybycia na wyspę poświęciłam tym murom niewielką uwagę. Mimo wszystko pamiętałam, że przed tymi drzwiami nie stał wartownik.

Musiałam zaryzykować. Nacisnęłam klamkę. Drzwi były zamknięte.

Nieważne, na kółku Fabrona musiał być klucz. Rozwinęłam cały pęk i badałam je dotykiem w nikłym świetle latarni w korytarzu. Trzy wydawały się większe od innych, a jeden był mniejszy. Wypróbowałam większy, potem drugi, i ten pasował do zamka. Znów owinęłam klucze i uchyliłam drzwi, zaglądając przez szczelinę.

Niewiele było do zobaczenia w spowijającym pomieszczeniu półmroku. Pusta wartownia z ławą pod ścianą i zimny kosz na węgle. Przypuszczam, że zimą w celach panowała wilgoć i ziąb; to pomieszczenie musiało służyć dozorcóm do ogrzewania rąk pomiędzy wyprawami na dół. Głosy, jakie słyszałam, dochodziły spoza wartowni.

Nie mam innego wyjścia, pomyślałam, i ostrożnie wsunęłam się do wartowni, zostawiając drzwi uchylone na cal. Dziwnie było wreszcie usłyszeć przytłumiony ryk morza.

Za wartownią znajdowało się pomieszczenie, które w każdej innej fortecy tej wielkości określa się mianem wielkiej sali. Oświetlało je tylko kilka pochodni. Wyrzałam ostrożnie ze sklepionego łukiem wejścia. Z jednej strony zobaczyłam zimny i pusty kominek, a przed nim długi stół z kilkoma krzesłami. Naprzeciwko otwierały się dwa korytarze. Z tego po prawej stronie płynęło światło i głosy.

Z drugiego wejścia, ciemnego, dobiegał tupot nóg. Cofnęłam się w cień, gdy wbiegł strażnik; obcasy jego butów budziły echa w sali. Światło zaśniło na stalowym hełmie, pancerzu i ostrzu krótkiej włóczni.

Brak wiedzy jest zabójczy. Wyszłam z wartowni i podążyłam za strażnikiem, trzymając się cieni. Poruszałam się bezszelestnie.

Korytarz rozwidlał się – szersza odnoga prowadziła w lewo, a węższa na wprost. Światło padało z pomieszczenia po prawej stronie węższego korytarza, i stamtąd płynęły głosy. Wiedząc, że znajduję się na widoku, podkrađłam się bliżej, żeby posłuchać.

–Nie ma odpowiedzi z wieży strażniczej, panie naczelniku! – meldował z napięciem w głosie wartownik, za którym tu przyszłam. – Daliśmy sygnał trzy razy, wedle rozkazu!

Po chwili rozbrzmiał głos naczelnika, płaski i niewzruszony:

–A na wyspie?

Usłyszałam westchnienie.

–Nic nie widać, panie. Jest za ciemno, żeby odróżnić ziemię od morza.

Naczelnik odezwał się po dłuższej chwili:

–Kontynuować przeczesywanie wyspy. Podwoić liczbę pochodni, zajrzeć wszędzie, gdzie mógł się ukryć intruz. Gitto, zostaw czterech ludzi na straży przy moście z naszej strony i zabierz ze sobą czterech, żeby obsadzić strażnicę. Daj znać, kiedy będziesz na miejscu. Balbo, ty idź na stanowisko do wieży i powiadom mnie, gdy tylko zobaczysz sygnał. – Po chwili dodał podniesionym tonem: – Na co czekacie? Wykonać!

Nie czekałam na ten rozkaz; zanim padł, wróciłam ukradkiem do zakrętu. Skoczyłam w szerszy korytarz, podkasałam brudną suknię i pobiegłam, a strach dodawał mi skrzydeł.

I zobaczyłam przed sobą cień osoby wychodzącej z bocznego korytarza.

W pobliżu była niewielka nisza z posągami Eshmuna, uśmiechniętego młodzieńca w wieńcu z kłosów zboża. Nie miałam innego wyboru. Szeptem błagając bożka o wybaczenie, wśliznęłam się do niszy i skuliłam w cieniu marmurowego cokołu.

W sali rozległ się odgłos szybkich kroków, zagrzecotały laski. Nie śmiałam wyjrzeć, trzymając opuszczoną głowę, żeby światło nie odbiło się od mojej twarzy. Włócznie, pomyślałam, albo pochodnie; coś z magazynu. Strażnik, skupiony na swoim zadaniu, minął mnie i jego kroki ucichły w głębi korytarza.

Nie mogłam się cofnąć. Co znajdowało się przede mną? Magazyny i co jeszcze? Pragnąc uspokoić kołaczące serce, wyteżyłam słuch. Ależ byłam niemądra! Niemal zapomniałam o własnej radzie i zignorowałam inne zmysły, skupiona na nasłuchiowaniu. Zakląłam w duchu, gdy poczułam charakterystyczny zapach świeżo posiekanej cebuli.

Cebula. Kuchnia. Od Tita wiedziałam, że dozorczy na zmianę szykowali posiłki, lepsze bądź gorsze. Garnizon był zaopatrywany w żywność przez mieszkańców lądu; więźniowie zjadali resztki.

Jeśli tej nocy na wyspie było jakieś bezludne miejsce, to tylko w kuchni.

Znów zaczęłam nasłuchiwać. W korytarzu panowała cisza. W duchu dziękując

Eszmunowi za ochronę, wysunęłam się z za posąg. Szybkim krokiem ruszyłam w głąb korytarza, kierując się ostrym zapachem cebuli.

Kuchnia leżała niedaleko, po lewej stronie na końcu korytarza. Była duża i ciemna, oświetlona tylko przez żar bijący przez uchylone drzwiczki paleniska. Obok pieca ujrzałam stosik drewna na rozpałkę i stertę polan. Na stole piętrzył się kopiec białej jak posiekanej cebuli i sznur kiełbas; za mało, żeby wystarczyło dla dozorców i więźniów. Domyśliłam się, że to posiłek dla strażników schodzących z pierwszej nocnej warty przy moście.

Tylko że ktoś przebył most, bo inaczej nie przeszukiwaliby wyspy.

Nie myślałam wtedy, nie ośmielałam się żywić nadziei. Cokolwiek, ktokolwiek, jakkolwiek... Ja szłam po tym moście do La Dolorosy, kołysząc się nad groźnym morzem, podczas gdy na końcu czekali wartownicy z toporami, gotowi przeciąć konopne liny. Nie

umiałam sobie wyobrazić, jak ktoś mógłby przejść po nim niepostrzeżenie. Mógł dotrzeć do połowy drogi, może trochę dalej, ale przecież nie do końca mostu. Dlatego nie miałam nadziei ani planu, tylko jak zwierzę w pułapce szukałam drogi ucieczki.

W nikłym blasku węgla zbadałam kuchnię. Były tam kociołki i rondle, i stos tac używanych do noszenia jedzenia dla więźniów. Nic więcej. Za niskim łukiem mieściła się spiżarnia. Tutaj nie docierało światło i musiałam badać wewnątrz po omacku. Z powały zwisały półce wędzonego boczku, łatwe do rozpoznania po zapachu. Pod ścianą stały worki ze zbożem, soczewicą i grubo mieloną mąką. Znalazłam kosze bakłażanów, gładkich i twardych w dotyku, i dojrzałych tykw. Żołnierze z garnizonu w La Dolorosie jadaliby całkiem dobrze, choć sądząc po resztkach, jakie dostawałam, nikt tu nie grzeszył talentem kulinarnym.

Dobrze, otaczała mnie żywność. Co z tego? Byłam bezpieczna... i uwięziona jak wcześniej. Ponieważ nie miałam innego wyjścia, niż tylko cofnąć się na spotkanie ze strażnikami, ruszyłam do drzwi, omijając stosy Prowiantu i czując chłód kamiennej ściany pod dłońmi.

Macałam ścianę odruchowo, wcale nie licząc, że znajdę coś przydatnego. Dlatego, gdy moje ręce napotkały nie kamień, lecz szorstkie drewno, zamarłam, nie mogąc w to uwierzyć.

Przysięgam, że stałam pełną minutę, zanim się ruszyłam, wodząc czubkami palców po ciężkich drewnianych okiennicach, okutych brązem, zamkniętych żelazną antabą z kłódką. Okno dostawcze, pomyślałam, wychodzące na zewnątrz. Tędy dostarczano zapasy do spiżarni.

Było wystarczająco duże, by zmieścić worek ziarna. Mogłam się przez nie precisnąć.

Palce mi drżały, gdy rozwinęłam fałdę sukni i wyjęłam klucze Fabrona, szukając najmniejszego. To musiał być ten! Usta mi drżały w odmawianej bezgłośnie modlitwie, gdy wsunęłam klucz do kłódki. Udało się dopiero za trzecią próbą, tak bardzo trzęsły mi się ręce.

Klucz pasował.

Kłódka szczęknęła cicho i się otworzyła. Zdjęłam ją ostrożnie i położyłam na podłodze. Z dręczącą powolnością odciągnęłam rygiel, a potem przyłożyłam ucho do drewnianej okiennicy.

Słyszałam huk morza, nic więcej. Musiałam sprawdzić, nie miałam wyboru. Jak bardzo pogorszy się moja sytuacja, jeśli mnie złapią?

Ogromnie. To już wiedziałam. Ale i tak by się pogorszyła. Dławiąc strach, otworzyłam okiennice.

Wpadło nocne powietrze, rozpacz Aszery zahuczała mi w uszach. W ciemności za oknem zobaczyłam jasne pochodnie przesuwane się parami po wyspie. Nie zobaczają mnie, są za daleko, pomyślałam. Pochodnia rzuca plamę światła o średnicy jakichś piętnastu stóp, nie więcej. Poza tym kręgiem panują nieprzeniknione ciemności. Nocne niebo było zachmurzone, księżyc i gwiazdy nie mogły mnie zdradzić. Nawet gdyby patrzyli w stronę fortecy – a nie patrzyli, bo szukali intruza – nie zobaczyliby mnie.

Wiedziałam to wszystko, a jednak wyjście przez okno okazało się trudnym sprawdzianem. Wreszcie wzięłam się w garść i zeskoczyłam na kamienistą ścieżkę. Przez chwilę tylko kuciałam

pod ścianą, oddychając ciężko.

Nie mogłam tu zostać. Nade mną było otwarte okno, wyłom czekający na ujawnienie. Zebrałam myśli, spróbowałam określić swoją pozycję. Stałam pod ścianą od strony lądu, najdalej od urwisk. Po lewej miałam tył fortecy, po prawej front, i tamtędy biegła stroma, kamienista ścieżka na most.

Tam właśnie skupiało się najwięcej pochodni, a przez szum morza od czasu do czasu przebijały się okrzyki. Szczęku broni nie było słychać. Cóż, pomyślałam, nie mogę iść w tę stronę, pójdę zatem w drugą, modląc się, żeby była wolna. Cokolwiek się działo, nie znaleźli intruza. Ktoś opanował strażnicę na głównym lądzie, tyle wiedziałam. Czy została odbita przez strażę? Jeśli nie... istniała szansa.

Musiałam dotrzeć do mostu.

Kiedy Alcuin i ja byliśmy dziećmi, Delaunay wymyślał nam różne zadania. Z zawiązanymi oczami pokonywaliśmy labirynty, aż nauczyliśmy się poruszać bezgłośnie i szybko w ciemności. Fantazjowałam potem o badaniu komnat jakiegoś zamożnego klienta w czasie snu wszystkich domowników, szukając – Elua tylko wie jakich – strasznych sekretów. Umiejętności te przydały mi się teraz, gdy okrążałam fortecę.

Nie wiem, jak długo to trwało. Zdawało mi się, że całą wieczność, choć w rzeczywistości zapewne nie dłużej niż zagrzanie wody na kąpiel. Dwóch strażników przeszło bardzo blisko, zmuszając mnie do bezszelestnej ucieczki od podwójnego kręgu światła rzucanego przez pochodnie. Ostre, poszarpane krawędzie wulkanicznych skał boleśnie wbijały się w podeszwy moich stóp, ale tylko zagryzałam usta, pozwalając bólowi wyostrzyć zmysły.

Czasami bycie anguissette ma swoje zalety.

Strażnicy byli nerwowi, słyszałam ich ściszone głosy.

–Dziadek to widział i już nigdy potem nie powiedział słowa – szeptał jeden. – Jeśli chcesz znać moje zdanie, człowiek nie mógł niepostrzeżenie pokonać tego sakramenckiego mostu.

–Pascal to widział – rzekł drugi krótko. – Uciekał, ale go dopadło. Żył jeszcze, kiedy Giotto go znalazł. Umarł, próbując powiedzieć, co widział. To nie przeszło po moście, tylko przepełzło pod spodem.

–Tak jak wielki sakramencki pajak! – burknął pierwszy. – Mówię ci, nie szukamy człowieka. Człowiek nie mógłby tego dokonać.

Kuliłam się w ciemności, ledwo oddychając, podczas gdy oni wychodzili z zasięgu słuchu, i próbowałam wyobrazić sobie to coś – pełzające pod tym sakramenckim mostem, czepiające się spodniej strony, z palcami rąk i nóg wciśniętymi pomiędzy powiązane deski, pokonujące po jednej na raz, zawieszone głową w dół w wyjąłym wicherze, nad wrzącym kotłem morza i skał... Kto by choć pomyślał o dokonaniu takiej sztuki?

Znałam tylko jedną taką osobę.

Joscelin.

Nie rób sobie nadziei, powtarzałam w duchu, patrząc na oddalające się pochodnie; nawet o tym nie myśl! To niemożliwe. Skąd miałby wiedzieć, gdzie mnie szukać? Zamęt nie wybuchł z mojego powodu. Może nastąpił jakiś polityczny przewrót, może

wrogowie Marka Stregazza przypuścili atak na jedną z jego warowni. Kto wie, w jakie intrygi byli wplątani inni więźniowie La Dolorosy? Na pewno nie chodziło o mnie. Nie śmiałam wierzyć, że może być inaczej.

A jednak nie mogłam się powstrzymać. Iskierka nadziei, nikła i drżąca, zatliła się w moim sercu. Umocniła moje zdecydowanie i natchnęła mnie odwagą, gdy ścieżką wokół fortecy szłam w kierunku urwiska. Widziałam już zwrócone ku morzu, umieszczone na poziomie gruntu wąskie zakratowane okienka więziennych cel. Sączyło się z nich nikłe światło, ale nie dobiegał żaden dźwięk. Uklęłam przy pierwszym i zajrzałam do środka.

Cela była pusta. Wszystkie były puste, nawet moja, którą poznałam po ptasich odchodach przed oknem. Światło padało z korytarza za pootwieranymi drzwiami, gdzie zostawiłam latarnię. Podniosłam się i odeszłam w głębsze cienie pod murem fortecy.

Tutaj wiatr Aszery dał mocniej, zawodził mi w uszach. Tutaj nikt nie szukał intruza, bo pomiędzy fortecą a urwiskiem nie było żadnej kryjówki. Czułam, jak skała drży pod moimi bosymi stopami, uderzana przez potężne fale.

Ktoś uwolnił Fabrona i teraz już wszyscy wiedzieli o mojej ucieczce.

Gdzie są inni więźniowie?

Stanęłam bez ruchu, wyęzając słuch w ryczącym wietrze. Tam. Tak. Od frontu płynęły rwane przez wiatr krzyki i szczęk broni. Przemknęłam szybko obok niskich okien i ruszyłam dalej.

Nie uszłam daleko, a bitwa przyszła do mnie.

Kiedy więźniowie La Dolorosy wyszli z fortecy, w garnizonie już panował chaos. Ludzie, którzy służą w takim nawiedzonym miejscu, muszą się bać upiorów. Nagłe pojawienie się ośmiu wynędzniałych, rozczochranych zjaw, nie znających w swoim szaleństwie strachu, musiało porządnie wstrząsnąć całym garnizonem.

Zza węgła wypadła bezładna gromada walczących, spanikowanych ludzi. Przynajmniej połowa więźniów była uzbrojona w krótkie włócznie odebrane napotkanym strażnikom. Przypuszczam, że cały garnizon liczył nie więcej niż trzydziestu, co najwyżej czterdziestu ludzi, i tylko kilku zostało na straży w fortecy.

Inni zostali wysłani na przeczesywanie wyspy i teraz nadciągali z pochodniami, oświetlając niesamowitą scenę. Więźniowie obłąkańczo szczyrzyli zęby, walcząc zdobytą bronią albo gołymi rękami, napędzani furią. Strażnicy, choć dysponowali przewagą liczebną i bronią, nie mieli łatwego zadania, bo pochodnie krępowwały im ruchy, a noc sprzyjała więźniom, których oczy przywykły do mroku.

Mimo wszystko nietrudno było przewidzieć efekt tego starcia. Strażnicy nadbiegali ze wszystkich stron, a więźniowie stopniowo się wycofywali. Ogromny Tito dołączył do potyczki.

Nie miał włóczni, tylko wielką jak belka pochodnię. Zataczał nią potężne łuki, aż siała iskrami, i ryczał tak głośno, że słyszałam go mimo wichury. Wiedziałam, że powinnam pobiec, wrócić po własnych śladach dokoła fortecy i sprawdzić, czy most jest strzeżony.

Tak, jeden z więźniów dzierżył topór, być może odebrany wartownikom. To był Błagacz, rozpoznałam go po długich do ramion włosach. Teraz nie błagał, lecz z dzikim grymasem bronił się przed dwoma strażnikami, którzy spychali go, krok po kroku, w kierunku urwiska.

Nie mogłam uciec. Ja ich uwolniłam, ja wykułam im taki los. Jak w przypadku Remy ego i Fortuna, nie mogłam odwrócić wzroku. Przez łzy patrzyłam, jak zadyszany Błagacz wymachuje toporem, nie mogąc uciec spoza zasięgu włóczni strażników.

Nagle w chwiejnym świetle pochodni ujrzałam rękę wsuwającą się na skraj urwiska.

Choć trudno było rozpoznać odzianego w czerń, zakapturzonego człowieka, który podciągnął się, przeturlał i zastygł w bojowym przysiadzie, ja nie miałam z tym kłopotu. Wiedziałam. Zanim błysnęły przed nim bliźniacze stalowe ostrza, zanim się odwrócił, z morderczą gracją wykluczając z walki jednego strażnika, zanim drugi zamierzył się i rozdarł kaptur, uwalniając pszeniczne włosy lśniące w blasku ognia. Wiedziałam.

Coś pękło w moim sercu; ściana rozpacz i samotności – wzniesiona dawno temu, w deszczową noc w Montreve, kiedy wrócił z ogrodu – runęła nagle. W jej miejsce napłynęła radość, ulga i – Eluo! – miłość.

Ni to śmiejąc się, ni płacząc, wyszłam z cieni fortecy w światło pochodni, które omywało skaliste podłoże. Joscelin pozbył się drugiego strażnika i teraz popychał zdumionego Błagacza ku stromej ścieżce prowadzącej na most. Strażnicy już się odwracali, świadomi, że przybyło nowe zagrożenie.

Gdy złożył kasjelicki ukłon, wykrzyknęłam jego imię co sił w płucach, żeby przekrzyczeć szum wiatru i morza.

–Joscelin!

Nie wiem, czy mnie usłyszał, ale zobaczył, gdy się wyprostowałam. Nasze spojrzenia spotkały się nad głowami dwudziestu strażników i więźniów.

W tej samej chwili grot włóczni ukłuł mnie w kręgosłup.

CZTERDZIEŚCI SIEDEM

–Nie ruszaj się, pani – wyszeptał ktoś w caerdicci do mojego ucha.

Nie znałam tego głosu.

Stanęłam jak wryta. Mężczyzna chwycił mnie za ramię i odwrócił. To był Malvio, który nigdy dotąd się nie odzywał. Uśmiechnął się do mnie z obłędem w zezowatych oczach. Przełożył włócznię w dłoniach i okrążył mnie, odcinając drogę ucieczki. Stałam zwrócona twarzą do niego. Słyszałam odgłosy bitwy, teraz jednak wydawały się bardzo odległe.

Świat skurczył się do nas dwojga.

–Ruszaj – powiedział niemal przyjaznym tonem. Wysunął włócznię w moją stronę, a ja cofnęłam się o krok. Nie przestawał szczerzyć zębów. – Ruszaj.

Zrobiłam następny krok.

Za mną rozciągało się dwadzieścia jardów płaskiej skały. Wiedziałam, patrzyłam na nią przez wiele dni. Za krawędzią urwiska ziała pustka. Ten najdalszy cypel był przewieszony nad rozgniewanym morzem.

–Idź. – Malvio z widoczną radością dźgnął mnie włócznią. Stałam bez ruchu, gdy znowu to uczynił, przebijając szorstką wełnę sukni i kłując skórę. – Idź!

Zrobiłam kolejny krok po chropowatej skale. Nad ramieniem Malvia widziałam, jak walka nabiera rozmachu, jak Joscelin, odcięty przez gąszcz włóczy, robi uniki i obroty. Gdyby miał miecz, zmniejszyłby różnicę zasięgu. Ale wcześniej musiał się przekraść pod wiszącym mostem. Ciężar miecza byłby zbyt duży.

Przyszedł mi na ratunek uzbrojony tylko w sztylety. I uratowałby mnie, gdyby miał czas i pomoc.

Chaos wzniecony przez więźniów działał na jego korzyść. Ja musiałam upewnić mu czas.

Zrobię wszystko, co tylko zechcesz – powiedziałam do Malvia.

Przystanął. Potem pokręcił głową, szczerząc zęby, i dźgnął mnie jeszcze raz. Zrobiłam następny krok.

–Nie – odparł. – Za późno. Teraz należysz do Aszery.

Huk morza był coraz głośniejszy i czułam zmianę w drzeniu pod nogami –

mocniejsze wstrząsy i głuchą wibrację. Byliśmy już na nawisie. Jak daleko jest do krawędzi? Dwadzieścia stóp? Dziesięć? Wiatr uderzał we mnie, płacząc zmierzwiłone włosy i przyciskając suknię do nóg.

Im bardziej oddalaliśmy się od pochodni, tym robiło się ciemniej. Ledwo widziałem jego twarz.

–Malvio, nie rób tego. Przysięgam, nie taka jest wola Aszery. Jej wyznawcy zdradzili ją. To byli ci, którzy mnie tutaj uwięzili.

–I tutaj masz umrzeć – przyznał zgodnym tonem, potrząsając włócznią.

–Nie. – Zrobiłam krok do tyłu i skoczyłam w bok, próbując go wyminąć. Ale był szybki jak na Caerdicci, i miał włócznię. Bez trudu zagroził mi drogę. Blask dalekich pochodni pełgał po jego wyszczerzonych zębach, oświetlał zezowate oczy.

–Idź – polecił, ponownie mnie dźgając.

Poszłam, ale najwolniej jak mogłam. Widziałam, że strażników ubyło, ale byli lepiej zorganizowani. Wokół walczących krążył mężczyzna w zbroi i z podłużną tarczą, wykrzykując rozkazy.

Naczelnik, pomyślałam. Ustawił strażników w dwa szeregi, plecami do siebie; jeden szereg trzymał w szachu więźniów, a drugi Joscelina. Dwaj ludzie stali z boku, wysoko unosząc pochodnie – jednym był zwalisty Tito. Naczelnik dał znak strażnikom na wieży i dostrzegłam ruch w zaciemnionym oknie. To był uzbrojony w kuszę strzelec.

Twierdza La Dolorosa byłaby łatwiejsza do obrony, gdyby miała właściwe szańce i strzelnice, muertieres jak w Troyes-le-Mont. Ale strażnicy, narażeni na wielogodzinne słuchanie zawodzenia wiatru, prędzej czy później wpadliby w obłęd, jak więźniowie i Malvio. Już ci pełniący warty przy moście dostawali w kość. Zrobiłam następny krok w tył, obserwując kusznika.

Było za ciemno i za daleko; nie widziałam, kiedy zaczął strzelać, robiąc krótkie przerwy na załadowanie broni. Jeden z więźniów zachwiał się, Potrząsając kudłatą głową, dwaj inni rzucili się do ucieczki. Szereg strażników zaczął się łamać, gdy więźniowie wycofywali się poza zasięg bełtów.

–Idź – powtórzył Malvio chyba po raz setny.

Zrobiłam krok i się zatrzymałam. Wiatr tarł moimi włosami i suknią, morze huczało u mych stóp. Stałam prawie na krawędzi nawisu nad głęboko wygryzioną ścianą urwiska. Widziałam tę stronę czarnej wyspy z pokładu „Darieli” w czasie brzemiennej w skutki podróży, gdy marynarze gwizdali przesądnie. Wiedziałam, że

tutaj nie znajdę półki, na której mogłabym przycupnąć jak Joscelin.

Na dole nie było skał, tylko morze. Niewielka pociecha.

Nie byłam gotowa na śmierć.

Malvio dźgnął włócznią. Stałam bez ruchu w ciemności. Dźgnął znowu, i tym razem chwyciłam drzewce oburącz, poniżej grotu, szarpnęłam mocno w górę i w bok. Nie spodziewał się tego. Siłowaliśmy się na szczycie wysokiego urwiska, mocno trzymając włócznię.

Ręce ślizgały mi się po wygładzonym drewnie. Malvio, dziko szczerząc zęby, przekręcił drzewce, używając przewagi wzrostu i siły. Wiedziałam, że za parę sekund wyrwie mi włócznię. Świadoma przegranej, krzyknęłam z rozpaczą do walczących:

–Joscelinie! To Benedykt, Benedykt i Melisanda! Benedykt jest zdrajcą!

Byliśmy za blisko brzegu, za blisko huczącego morza. Nawet ja słyszałam, jak zawodzący wiatr głuszy i rwie moje słowa. Malvio mocniej przekręcił drzewce i szarpnął. Podjęłam ostatnią,

desperacką próbę, wbiłam paznokcie w rzemienie, ale wyrwał mi włócznię, zakreślił nią łuk i tępym końcem uderzył mnie w podbródek.

Moje szczęki zatrzasnęły się głośno, a w głowie eksplodował ból. Nie wiedziałam, że upadłam, dopóki nie poczułam ostrych skał pod dłońmi i kolanami. Mrugałam, broniąc się przed bólem, przemieniając go w czerwoną mgłę Kusziela. Jasna, była taka jasna! Podobne do płomieni smugi zasnuły moje oczy i przez pasemka wilgotnych włosów zobaczyłam, jak Malvio, wciąż uśmiechnięty, robi krok w moją stronę. Unosił włócznię grotem w dół, ustawiając się nade mną.

–Nie! – zagrzmiął w caerdicci niski, przesycony wściekłością głos.

Kolejna ognista smuga przecięła noc i drewno załomotało o ciało. Mal vio zatoczył się w deszczu czerwonych iskier. Włócznia upadła bokiem na moje plecy i po chwili zagrzechotała na kamieniach.

To był dozorca Tito.

Poderwałam się na nogi i zdążyłam zobaczyć, jak mój wybawca zadaje uciekającemu Malwiowi drugi cios. Wielka pochodnia trafiła w bok gio” wy z kolejnym snopem iskier i charakterystycznym chrzęstem. Malvio runął jak kłoda i już się nie poruszył. W przeciwieństwie do Fabrona, którego ogłuszyłam, był martwy.

Tito odwrócił się. Na jego brzydkiej twarzy malował się głęboki smutek. Postąpił

krok w moją stronę.

–Tito – szepnęłam, patrząc z grozą na nadciągający pościg. – Nie!

Dzicy, szaleni więźniowie rzucili się za nim, przenosząc walkę na urwisko. Do dziś dnia nie wiem, czym się kierowali – czy chęcią zemsty na znieprawionym dozorczy, czy też jakąś obłąkańczą wdzięcznością, bo uznali, że Tito zagraża ich wyzwolicielce. Osaczyli go, uzbrojeni we włócznie i topór, a on stał niczym kolos, z rykiem kreśląc półkola płonąca pochodnią.

–Przestańcie! – krzyknęłam rozpaczliwie, uwięziona za nim. – Zostawcie go w spokoju!

Na próżno. Po chwili na więźniów rzuciła się gromada strażników. Naczelnik biegł z boku, klnąc i wydając rozkazy, których nikt nie słuchał. Zaraz za nimi nadciągnął na wpół zapomniany Joscelin ze zdobyczną włócznią, którą trzymał jak drąg do walki wręcz. Drzewce rozmywało się w oczach, gdy torował sobie drogę.

Blisko, tak blisko.

Jeden więzień upadł, dźgnięty od tyłu. Inny z wrzaskiem rzucił się na ziemię, z łachmanami w płomieniach, i turlał się, bijąc rękami. Joscelin ogłuszył strażnika ciosem w hełm, przełożył włócznię w dłoniach i przeciął grotem odsłonięte gardło, nie zatrzymując się ani na chwilę.

To wszystko przypominało sen.

A potem zobaczyłam, jak spokojny, niewzruszony naczelnik odciąga na bok jednego ze strażników i wskazuje mu mnie, wciąż stojącą za plecami ogromnego dozorczy.

Widziałam, jak strażnik z twarzą skrytą w cieniu hełmu unosi krótką włócznię i składa się do rzutu, celując w moje serce. Wiedziałam, że nie mam dokąd uciec. Za mną była tylko krusząca

się krawędź urwiska, wokół mnie tylko zawodzący wiatr. Ujrzałam twarz Joscelina, który zbyt późno spostrzegł zagrożenie, usłyszałam jego krzyk rozpacz. Pomiędzy nami Tito, wielki niczym góra, odwracał się powoli.

Strażnik był gotów do rzutu, naczelnik wypowiedział ostatnie słowo.

Włócznia mierzyła w moje serce.

Rzucił.

To bardzo dziwne, że takie chwile nie zacierają się w pamięci. Nawet dziś, gdy,

słyszając szum oceanu, zamknę na chwilę oczy, widzę tę scenę rozgrywającą się z dręczącą powolnością. Joscelin przedziera się w moją stronę, za późno, za wolno. Strażnicy osuwają się w zwolnionym tempie na ziemię, powaleni morderczymi ciosami kasjelity. Skupiony włócznieź przenosi ciężar ciała na wysuniętą stopę, jego ręka kreśli wdzięczny łuk, już pusta, z rozpostartymi palcami. Włócznieź rysuje twardą, płaską linię, zmierzając ku mojemu sercu.

I Tito. Tito ustawia się na linii rzutu, machając pochodnią jak maczugą.

Krzyknęłam, chciałam chwycić za potężną rękę, odciągnąć go na bok. Włócznieź uderzyła z pełną siłą, trafiła w nie osłoniętą przez pancerz pachę. Tito sapnął potężnie, wciąż trzymając pochodnię w wiotczej dłoni. Siła uderzenia zachwiała nim, rzuciła go na mnie i zepchnęła oboje na krawędź urwiska.

Jego martwy ciężar pociągnął mnie w przepaść.

Spadłam.

Szybowałam bez końca, mknąc przez wyjąca ciemność ku kipiącemu morzu, a nad sobą widziałam pochodnię, pędzącą za mną niczym spadająca gwiazda.

A potem już nic nie widziałam.

CZTERDZIEŚCI OSIEM

Świadomość, że żyję, była dla mnie szokiem.

Zderzenie z morzem wycisnęło mi powietrze z płuc. Nie czułam rąk i nóg, nie wiedziałam, gdzie jest góra, gdzie dół; zewsząd otaczała mnie czerń i tylko chłód powietrza na twarzy mówił mi, że wypłynęłam na powierzchnię.

Żywa.

Na próżno wyęczałam płuca, próbując zaczerpnąć tchu. Wokół mnie kotłowały się fale; jedna załamała się nad moją głową i pociągnęła mnie w dół. Woda zalewała mi usta i wiedziałam, że powinnam zaprzestać prób oddychania, a jednak nie mogłam. Czułam wielkie ciśnienie i ostry ból. Oczy miałam zamknięte czy otwarte? Nie wiedziałam.

Powietrza, powietrza! Pragnęłam zmusić płuca do pracy, niepewna, czy posłuchają, niepewna, czy płynę w górę, czy w dół. Byłam zdezorientowana, morze ryczało mi w uszach.

Myślałam, że tonę, ale znów poczułam na twarzy chłód powietrza i pieczenie słonych kropel wody. Gdy ucisk w piersi zelżał, zaczerpnęłam tchu – powietrze paliło, ale było słodkie. Machałam rękami, czując opór wody, i przez sekundę wierzyłam, że przeżyję.

A potem morze wydrwiło moją głupotę, zalewając mi głowę. Huczące grzywacze u stóp La Dolorosy zassały mnie w dół, ciągnąc coraz głębiej. Fale łamiące się na poszarpanych skałach czarnej wyspy tworzyły kipieli. Lepiej byłoby uznać się za martwą, lecz przecież żyłam i pomimo świadomości rychłej śmierci desperacko walczyłam ze wzburzoną wodą. Obszerna więzienna suknia, ciężka od wody, okręciła moje ręce i nogi jak całun, ciągnęła mnie na dno niczym kotwica.

Tak grzebią martwych, w głębinie.

Oddech, jeden oddech. Płuca rozpaczliwie pragnęły wyrzucić resztkę powietrza, żeby wciągnąć następny haust. Broniłam się przed tym, zaciskając zęby, czując napór morza. Byłam pod wodą. Oddychanie jest takie naturalne. Człowiek robi wdechy i wydechy tysiąc razy na godzinę, wcale o tym nie myśląc. Oddychanie oznacza życie, nie śmierć.

Ale nie pod wodą.

Moja klatka piersiowa zaczęła dygotać z wysiłku koniecznego do zatrzymania powietrza. Rozpostarłam ręce, szukając oparcia i go nie znajdując, na próżno

przebierałam nogami. Kotłująca się woda targała mną bezlitośnie, szarpała we wszystkie strony, ściągała coraz głębiej. Tutaj, w samym sercu rozpaczki Aszery, ryk morza był nie do zniesienia. Już z daleka doprowadzał do szaleństwa, a teraz miał zabić.

Starożytni Hellenowie wierzyli, że oglądanie pewnych rzeczy sprowadza śmierć.

To była jedna z nich.

Tonęłam, owinięta wełnianym całunem. Pod wściekłymi falami, pod wyjąłym gniewem znalazłam spokojne, milczące jądro żalu. Tutaj, w najczarniejszej głębinie, wszystko było niczym. Czułam tylko nieznośne ciśnienie i spokój nieuchronnej śmierci. Nie mogąc dłużej wytrzymać bólu w płucach, wypuściłam bezcenny zapas powietrza i słuchałam, jak ucieka w sznurze bąbelków. Padł ostatni szaniec wzniesiony przez śmiertelne ciało w obronie przed świętą głębią grobowca Eszmuna, zamordowanego bóstwa, umiłowanego syna.

Słabnące bicie serca odmierzało moje ostatnie krótkie chwile. Nigdy w życiu niczego bardziej nie pragnęłam niż wtedy powietrza – ani aprobaty Delaunaya, ani towarzystwa Hiacynta, ani względów Ysandry, ani miłości Joscelina, ani nawet pocałunku Melisandy. Moje ciało płonęło, pękały płuca, mięśnie dygotały. Za sekundę, może za dziesięć poddam się. Otworzę usta i odetchnę głęboko, wciągając do płuc nie powietrze, lecz wodę. To będzie koniec, pójdę na dno jak kamień i już nigdy się nie podniosę.

„Eluo” – modliłam się w tych ostatnich sekundach – „Błogosławiony Eluo, wybacz mi, zawiodłam bowiem ciebie i wszystkich, których miłujesz! Naamo, ulituj się nade mną, służyłam bowiem dobrze i szczerze. Ach, Kuszielu, najsroższy z panów, miej łaskę dla swojej wybranki. Zrobiłam wszystko, co chciałeś; wybacz, że to nie wystarczyło”.

Modlitwy pozostały bez odpowiedzi. W moich uszach nie zabrzmiał nawet okrutny łopot mosiężnych skrzydeł Kusziela, słyszałam tylko coraz cichsze kołatanie zamierającego serca i pożegnalny szmer krwi. Byłam daleko, zbyt daleko od ojczystej ziemi, żeby bogowie Terre d'Ange mogli mnie usłyszeć.

Wtedy poznałam prawdziwą grozę i słone łzy popłynęły z moich otwartych oczu do oceanu rozpaczki. Umrę na obczyźnie, sama i opuszczona! Dla D'Angelina nie ma gorszego losu. Odwaga mnie opuściła i jak dziecko sięgnęłam po jedyną pociechę, składając moje życie w inne ręce.

„Aszero” – modliłam się w duchu, poruszając ustami pomimo napierającej wody – „Aszero z Morza, wybacz mi. Współczuję ci z powodu śmierci syna, Eszmuna; słyszałam twoją rozpacz i podzielałam ją. Ocal mi życie, a przysięgam, wystąpię w

obronie twojego honoru. Przysięgam na imię Błogosławionego Elui, twojego syna, że wrócę do La Serenissimy i oczyszczę twoją świątynię z tych, którzy wykorzystali wiarę w ciebie dla własnych niecznych celów.

Ja, Fedra nó Delaunay, przysięgam.

Przysięgam”.

Czy otrzymałam odpowiedź? Nie jestem pewna, nie zostałam bowiem wychowana w kulcie Aszery z Morza. Byłam słaba i majaczyłam, oszołomiona upadkiem i brakiem powietrza, ale wiem jedno – gdy zrywały się ostatnie nici woli, gdy moje usta otwierały się i zamykały bezradnie, już nie blokując napływu morskiej wody do płuc, coś usłyszałam. W wodzie niosło się głębokie, rytmiczne dudnienie, szum silnego prądu zakręcającego wokół skał La Dolorosy.

Prąd, rwący prąd.

„Prądy wokół La Dolorosy są silne i nieprzewidywalne...”.

Tak powiedział kapitan „Darieli”, i tak było. Głęboko pod powierzchnią był potężny prąd, który pochwycił mnie niczym para krzepkich ramion, odciągając od wyspy.

Coraz dalej i w górę. Przebiłam głową powierzchnię i ze świstem wciągnęłam haust powietrza. Krztusiłam się, szaleńczo młóćąc wodę rękami, jeszcze nie zdając sobie sprawy, że tutaj morze jest spokojne, wyjąwszy gładki, stały ruch prądu. Kasłałam morską wodą i czułam, jak mi spływa, słona i ciepła, po brodzie. Płuca stały w ogniu, żołądek płonął, a w okolicy żeber zagnieździł się ostry ból. Poruszałam nogami, starając się utrzymać na powierzchni, i zrozumiałam, że naprawdę żyję, żyję i oddycham.

Coś twardego uderzyło mnie w ramię. Wystraszyłam się i zamachałam rękami. Palce napotkały drewno, ciężkie od morskiej wody i śliskie w dotyku, ale duże i unoszące się na powierzchni, długie jak belka, z jednym końcem lepkiem od smoły.

Pochodnia Tita, porwana przez ten sam prąd.

–Dziękuję – szepnęłam chrapliwie, z bólem w gardle. Objęłam pochodnię rękami niczym zdesperowany rozbitek, który kurczowo czepia się złamanego masztu. Pochodnia zanurzyła się, lecz nie utonęła, pozwalając mi utrzymać głowę na powierzchni morza. – Dziękuję.

Dopiero wtedy przyszło mi na myśl, żeby się rozejrzeć. Powiodłam wzrokiem nad otaczającą mnie wodą i wstrzymałam oddech.

Prąd Aszery to nie przelewki. Z dala od stawiających opór skał na brzegu, rwał

przez otwarte morze niczym srebrna rzeka, szybko i jednostajnie. La Dolorosa została daleko za mną, czarna, poszarpana sylwetka upstrzona punkcikami płomieni.

Jeden poruszał się szybciej od innych, zsuwając się po urwisku.

Joscelin, pomyślałam w udręce, gdy prąd wynosił mnie coraz dalej na morze. Och, Joscelinie!

Krzyczałam nad falami, aż w końcu straciłam głos, a ból w płucach urósł do tego stopnia, że z trudem oddychałam. Nikt nie mógł mnie usłyszeć z takiej odległości, i to w huku fal rozbijających się o skały La Dolorosy. Nic nie mogłam zrobić. Oparłam policzek na ramieniu i zapłakałam z wyczerpania, niesiona nieustającym prądem.

Jakoś przeżyłam tę noc i dzięki niech będą Błogosławionemu Elui, że nie było mi dane zmierzyć się z drugą. O innej porze roku z pewnością zmarłabym z wyziębienia, ale pod koniec lata morze było ciepłe. W ostatniej godzinie przed świtem powietrze się ochłodziło i zaczęłam dygotać. Bolała mnie głowa i szczęka, ostry ból przeszywał brzuch; nawet nie spróbuję opisać bólu w ramionach, zaciśniętych na pochodni Tita. Z niemal nadludzkim wysiłkiem podciągnęłam suknię do pasa i okręciłam ją wokół pochodni.

W wodzie pływały jakieś stworzenia. Słyszałam je i czułam – dwa razy coś dużego musnęło moje gołe nogi, przyprawiając mnie o dreszcz strachu i obrzydzenia. „Aszero z Morza” – modliłam się – „oszczędziłaś mnie – niech twoi podopieczni traktują mnie łagodnie!”.

Czy to z łaski Aszery, czy za sprawą czuwającej nade mną jakiejś innej siły, mieszkańcy morza nie wyrządzili mi krzywdy. I choć myślałam, że słońce już nigdy nie wzejdzie, koszmarna noc wreszcie się skończyła. Dopóki niebo nie zaczęło szarzeć na wschodzie, nie wiedziałam, w jakim kierunku unosi mnie prąd. W mroku pochmurnej nocy krzepiłam się nadzieją, że płynę wzdłuż brzegu. W nieśmiałym pomarańczowym blasku na horyzoncie zobaczyłam, że prąd wynosi mnie na pełne morze.

Gdy przypomniałam sobie opowieść kapitana o kupcu, który zatonął przy La Dolorosie i został wyrzucony przez fale na iliryskim brzegu, owładnął mną nowy strach. Słońce powoli wychynęło zza horyzontu, ledwo prześwitując przez chmury. Mgła zalegała nad morzem, bo powietrze wciąż było chłodniejsze od wody. Jednakże wiedziałam, że niebawem słońce wypali mgłę, niezależnie od tego, czy niebo się przeczyści, czy nie.

A wtedy zrobi się gorąco.

Oblizawałam suche, słone usta. Sparaliżowana przez strach przed utonięciem albo pożarciem przez jakiegoś potwora z głębin, nękana przez ból obrażeń, nie

pamiętałam o pragnieniu.

Kiedy jednak pomyślałam...

Język wydawał się spuchnięty, gardło i płuca paliły od słonej wody. Bałam się niewidzialnych koszmarów nocy, ale zanosilo się na to, że zabije mnie jasny dzień. Człowiek może przez długi czas obejść się bez jedzenia – przekonałam się o tym na własnej skórze – nie przeżyje jednak bez wody. A ja wody nie miałam.

Nie uciekłam w modlitwę, kiedy zrozumiałam tę straszną, gorzką ironię. Oszukiwano mnie, zdradzano i więziono, nie raz wymykałam się śmierci, zostawiałam za sobą szlak licznych – zbyt licznych – ofiar. Myślenie, jak to się skończy, było dla mnie zbyt wielkim wysiłkiem.

Roześmiałam się albo raczej wydałam odgłos, który miał być śmiechem – chrapliwy dźwięk przypominający krakanie wrony. Nie wiedziałam, że się śmieję, dopóki nie wyteżyłam słuchu, żeby wyłowić jakiś inny dźwięk, słaby i niosący się z daleka nad wodą. Rozzłościło mnie to natrętne krakanie i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że to przecież ja jestem jego sprawczynią.

W ciszy usłyszałam słaby, ale coraz bliższy hałas: monotony chlupot fal o drewniany kadłub, szelest i trzask żagli na wietrze.

Statek, widziany z wysokości co najwyżej stopy nad powierzchnią wody, wyłonił się z mgły niczym wielki ptak, nisko szybujący nad morzem. Za nim pojawił się drugi i trzeci... Było ich sześć, skośne żagle sunęły nad wodą niczym białe skrzydła, podniesione wiosła leżały na burtach.

Dźwigając się jak najwyżej nad wodę, szarpiąc suknię, która wiązała mnie z pochodnią, poderwałam zeszywniała rękę i pomachałam energicznie.

–Tutaj! Tutaj! – wołałam. – Na Eluę, ratunku!

Mój głos brzmiał nieludzko, spuchnięte gardło pękało z wysiłku. Dwa statki rozplynęły się we mgle. Nadaremnie miotałam się w wodzie. Nie usłyszeli mnie, nie zobaczyli, a jeśli już, to uznali za zjawę. Oczy zapiekły mnie od łez i pomyślałam głupio, że niepotrzebnie się odwadniam, że umrę znacznie szybciej, gdy będę płakała.

Nagle ktoś wykrzyknął rozkaz w nie znanym mi języku i jeden ze statków obrócił się w mgnieniu oka. Trójkątny żagiel zwisał luźno, tracąc wiatr, a potem lina naprężyła się z trzaskiem i dziób skierował się w moją stronę. Na kolejną komendę, ostrą i nie znoszącą sprzeciwu, wiosła wysunęły się za burtę.

Trzymając się pochodni Tita i poruszając nogami, patrzyłam na podpływający

statek. Wioślarze wsparli się na wiosłach i ujrzałam nad burtą zdumione twarze.

–Sa eshta?! – zawołał jeden, kreśląc ręką zabobonny znak. – Ne Vila!

Ktoś stanął za plecami wioślarzy, pochylił się i popatrzył na mnie. Muszę przyznać, że nieczęsto widywałam bardziej drapieżne postacie. Mężczyzna miał długie, czarne włosy związane na czubku głowy i równie długie, obwisłe wąsy, które okalały szeroki, biały uśmiech. Brakowało mu jednego zęba, u góry po lewej stronie.

–Djo – powiedział stanowczo. – Eshta D'Angelina.

To rzekłszy, rzucił mi linę.

CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

W czasie kilku uderzeń serca niespodziewani wybawcy wyciągnęli mnie z morza. Osłabiona i zdrętwiała, uklęknęłam na pokładzie, zalewając deski słoną wodą.

Marynarze szwargotali w obcym języku, podczas gdy wąsaty kapitan – domyśliłam się, że jest kapitanem – wykrzykiwał rozkazy, nie zwracając na mnie uwagi. Załoga w pośpiechu przystąpiła do działania. Żagiel znowu zwiśł luźno i statek wykonał zwrot. Nagły ruch przyprawił mnie o mdłości. Wioślarze z tuzin razy naprężyli grzbiety, a gdy żagiel chwycił wiatr i liny się napięły, podnieśli i unieruchomili wiosła.

Na dziobie młodzieniec bez koszuli wychylił się i pomachał szkarłatnym proporcem, dając znaki pozostałym pięciu statkom, które czekały w pobliżu. Jeden po drugim, z godną podziwu koordynacją, wszystkie wzięły z nas przykład.

Ruszyliśmy przez mgłę wschodnim kursem.

Z trudem uniosłam głowę, żeby ocenić swoje położenie. Na pokładzie przebywało około piętnastu ludzi, od machającego flagą czternastoletniego podrostka po siwobrodego, ale dziarskiego staruszka. Wszyscy mieli ciemne włosy, jak kapitan, choć niektórzy z rdzawym odcieniem.

Wszyscy, łącznie z chłopakiem, nosili krótkie miecze u pasa, a pod dulkami wisiały puklerze, choć statek był za mały na okręt wojenny. W otwartej ładowni zauważyłam równo ustawione skrzynie i kufry, umocowane płóciennymi pasami. Może to niewielki, silnie obsadzony statek handlowy, pomyślałam. Wciąż klęcząc, popatrzyłam na czubek grotmasztu, zataczający łagodne łuki na tle jaśniejszego nieba. Tam, gdzie powinna powiewać flaga statku handlowego, był tylko żagiel i lina.

Co najpewniej znaczyło, że moi wybawcy są piratami.

Gdy flotylla bezpiecznie ruszyła w drogę, kapitan podszedł do mnie i przykucnął, a sześciu marynarzy stłoczyło się za jego plecami. Nie mogłam opanować dreszczy, ale mimo to przyjął formalną pozycję abeyante.

–Kur te vend? – zapytał, marszcząc czoło i pocierając kciukiem wąską bródkę, która zdobiła jego szczękę. – Sa te atje?

–Przykro mi, nie rozumiem – odparłam z pokorą. – Powiedziałeś... powiedziałeś: D'Angelina, panie. Tak, jestem D'Angelina. Czy znasz mój język?

–D'Angelina. – Odwrócił głowę i splunął pogardliwie za burtę. Dwaj marynarze zamruczeli, krzyżując palce i pukając się w czoła, co uznałam za dziwne. – D'Angelina, djo – powiedział i dodał od niechcienia: – Caerdicci.

Miałam taki mętlik w głowie, że dopiero po chwili zrozumiałam, o co mu chodzi, a potem nie bez wysiłku znalazłam odpowiednie słowa w języku, który wszak dobrze znałam.

–Caerdicci – powtórzyłam z nadzieją, że mój domysł jest trafny. – Mówisz caerdicci?

–Tak, oczywiście. – Podniósł się, skrzyżował ręce na piersi i obrzucił mnie dumnym spojrzeniem. – Myślisz, że jestem niepiśmiennym chłopem, co? Jestem szlachcicem z Epidauro!

Przysiadłam na piętach, składając kawałki tej nowej układanki.

–Jesteś Ilirem.

–Tak, Ilirem. – Niespodziewanie uśmiechnął się i uklonił. – Z Epidauro.

Spośród wszystkich krajów Europy o Ilirii wiedziałam tylko tyle, że jej losy zawsze były niepewne, kraj bowiem rozdzielali zdobywcy z Hellady i Tyberium, La Serenissimy i Efezjum, a także najeżdżały bezkarnie ludy z wielkiego lądu leżącego na północnym wschodzie. Jak Terre d'Ange przed nastaniem Elui, Ilirią targał wiatr historii, gdy walczyła o przetrwanie. Jedynie warowne miasto Epidauro cieszyło się pewną niezależnością.

Wiedziałam tylko tyle. Dziś wydaje się to dziwne.

–Miło cię poznać, panie, i dziękuję ci – powiedziałam uprzejmie, choć chrapliwie, i pochyliłam głowę. – Wierz mi, zaskarbiłeś sobie wdzięczność królowej Ysandry de la Courcel. Jestem Fedra nó Delaunay de Montreve z Terre d'Ange.

–Tak, wielką... wdzięczność. – Z uśmiechem pokiwał głową i podjął w kulawym caerdicci: – Nazywam się Kazan Atrabiades. Mam zaszczyt gościć cię jako... – Odwrócił głowę i zawołał po iliryjsku do jednego z siwobrodych. Mężczyzna z szacunkiem podpowiedział mu słowo w caerdicci. Na podstawie klasycznego akcentu domyśliłam się, że odebrał staranne wykształcenie. Jak później się okazało, miałam rację, choć w owym czasie o tym nie myślałam. Krew stężała mi w żyłach, gdy usłyszałam podpowiedziane słowo. – Jako zakładniczkę – dokończył z zadowoleniem Kazan Atrabiades.

W tym momencie zemdlałam.

Przypuszczam, że to się stało nie z powodu szoku wywołanego słowami kapitana, lecz skutek dotychczasowych przejść. Niezależnie od przyczyny, straciłam przytomność, a muszę dodać, że nie mdleję z byle powodu; jak dotąd tylko kilku klientów zdołało doprowadzić mnie do tego stanu. Napięte liny i białe żagle zawirowały mi przed oczami, a potem zobaczyłam, jak deski pokładu pędzą mi na

spotkanie.

Kiedy otworzyłam oczy, leżałam pod płóciennym daszkiem, który chronił mnie przed promieniami wznoszącego się słońca. Pod głową miałam zgrabny worek z łatkami do reperowania żagli. Ułożono mnie pod forkasztelem, żebym nie przeszkadzała załodze.

–Ocknęłaś się, to dobrze. Masz.

Był to głos siwobrodego, który podpowiadał Atrabiadesowi. Krzepka ręka, pomarszczona i ogorzała, podsunęła mi bukłak pod nos.

Przyjęłam go z wdzięcznością. Zachlupotało, gdy podniosłam dziobek do ust i oburącz ścisnęłam skórę. Trysnęła woda, ciepła i nieświeża. Smakowała lepiej niż z najgłębszej studni, z najzimniejszego źródła. Przez chwilę trzymałam ją w ustach, przepłukując zęby i czując, jak

wilgoć wraca do wysuszonych tkanek. Potem przełknęłam ostrożnie, małymi łydkami.

–Trochę więcej – powiedział. – Nie za dużo.

Podporządkowałam się niechętnie. Miałam wrażenie, że mogłabym wypić całe galony, a nie ugasiłabym pragnienia, lecz dobrze wiedziałam, że skończyłoby się to chorobą. Mężczyzna pomógł mi opuścić bukłak.

–Dziękuję – wyszeptalam, próbując usiąść i przekręcić głowę, żeby lepiej go widzieć. – Uratowałeś mi życie. Czy mogę poznać twe imię, panie?

–Jestem Glaukos. – Uśmiech zmarszczył smagłą skórę w kącikach jego szarych oczu. – I nigdy nikt nie nazywał mnie panem. Niewolnikiem tak, i morskim rozbójnikiem, ale nie panem. Tutaj rządzi Kazan Atrabiades, lecz on także nie ma i nigdy nie będzie miał żadnego tytułu. Ale ty, jak sądzę, jesteś wysokiego rodu, czyż nie?

–Jestem hrabina de Montreve – odparłam, po trosze grając na zwłokę. Atrabiades naradzał się z marynarzem przy sterze, nie patrząc w moją stronę. – To tytuł odziedziczony, a prawo do używania go nadała mi Jej Wysokość Ysandra de la Courcel, królowa Terre d'Ange. Glaukosie, muszę jak najszybciej skontaktować się z Jej Królewską Mością. Jak pan Atrabiades postępuje z zakładnikami?

–Nie masz powodu do obaw. – Usadowił się na pokładzie. – Dotąd nikogo nie wyłowił z morza, a ty jesteś nadzwyczaj urodziwa, lecz uszanuje konwencje. Czy masz kogoś, kto zapłaci okup?

–Tak, oczywiście. – Już chciałam dodać, że Ysandra szeroko otworzy Skarbiec

Królewski w zamian za wieści, ale na szczęście ugryzłam się w język. – Napiszę list poręczający, niech kapitan przekaże go mojemu faktorowi w La Serenissimie.

Glaukos zaśmiał się.

–Co zrobiliby z jego głową, gdyby postawił stopę na lądzie? Nie, pani, nawet o tym nie myśl. Kazan Atrabiades nie popłynie do La Serenissimy. Daj mu srebro do ręki, a będziesz wolna jak ptak.

–To bardzo pilna sprawa – powtórzyłam grzecznie.

–Bez wątpienia. – Życzliwie podsunął mi bukłak. – Następny łyk. Twój głos przypomina trzask łamanej trzciny. Nic dziwnego, że ludzie wzięli cię za jedną z Vili.

Wypiłam jeszcze trochę, czując, jak z każdym łykiem życie wraca do moich kończyn.

–Co to są Vili?

–Duchy – odparł Glaukos przyjaźnie. – Duchy zmarłych, które ukazują się w postaci pięknych panien. Jeśli mężczyzna zobaczy Vila, jego serce choruje z miłości. Nieszczęśnik nie je ani nie pije i w końcu umiera. Sam niemal uwierzyłem w te bajdy, gdy zobaczyłem cię w morzu. Widywałem już D'Angelinów, ale ta czerwona plamka w twoim oku... Czy to skutek jakiegoś obrażenia? Jest bardzo... niepokojąca.

–Nie. – Opuściłam bukłak i skrzywiłam się, czując ból w brzuchu. – Niezupełnie. Skąd pochodzisz, Glaukosie? Nie z Ilirii, jak sądzę.

–Ach, to długa historia. – Wziął bukłak i strzyknął wodą do ust. – Urodziłem się w Tyberium jako niewolnik. Moja matka była Hellenką, niewolnicą i nałożnicą potężnego człowieka. Odebrałem staranne wykształcenie, a potem majętny członek Comitii wziął mnie na nauczyciela swoich dzieci... Powiedz mi, boli, kiedy oddychasz?

–Tak – przyznałam z roztargnieniem, rozmyślając. Ile czasu spędziłam w La Dolorosie? Tygodnie, na pewno, ale czy nie miesiące? Straciłam rachubę w trakcie tych pierwszych, długich dni. Lato zbliżało się do końca. O ile Ysandra jeszcze nie wyruszyła na progressus, zrobi to, zanim posłaniec dotrze do Miasta Elui. Nie, pomyślałam, Marsilikos rokuje większe nadzieje. Roxanna de Mereliot na pewno zapłaci okup, jakiego zażąda Atrabiades – i będzie tam również Kwintyliusz Rousse. Pomoc admirała bardzo się przyda. Niezależnie od charakteru planu Melisandy, nawet Marco Stregazza zastanowi się dwa razy, gdy d'Angelińska flota zawita u wybrzeży Caerdicca Unitas. – Glaukosie, muszę pomówić z panem Atrabiadesem.

–Masz złamane żebro, może dwa. – Z zaskakującą delikatnością obmacał moją klatkę piersiową. – Nie martw się, nie zrobię ci krzywdy. Moja matka była córką lekarza. Została sprzedana w niewolę, bo nastaly ciężkie czasy, rozumiesz, padł

niekorzystny wyrok w procesie sądowym. Nigdy nie występuj przeciwko tyberyjskiemu magistratowi, powiadam ci... Ale mniejsza z tym. Kazan na pewno cię wysłucha, kiedy bezpiecznie zawiniemy do portu – Na razie umykamy przed pościgiem. „Opiekuj się dziewczyną, Glaukosie, póki nie dobijemy do brzegu”, przykazał. „Znasz jej mowę, umiesz opatrywać ludzi”. Nie ma obawy, dotrzymam słowa.

–Och! – Wzdrygnęłam się pod dotykiem jego palców. – Glaukosie, dziękuję, ale moje żebra mogą zaczekać, w przeciwieństwie do okupu. Zawołasz pana Atrabiadesa?

Wyprostował się i popatrzył na mnie chłodno.

–Nie podziękuj ci za nazywanie go panem ani nie zmieni kursu na prośbę wyłowionej z morza d'Angelińskiej panny, żeby była nie wiem jak urodziwa. I jeśli chcesz wiedzieć, odmówi niegrzecznie, piekląc się, krzycząc i pokazując ci grzbiet ręki, aby ludzie wiedzieli, że nie jesteś Vila, która złamie mu serce i uczyni słabym. Dlatego nie wezwę go do ciebie.

–Mniejsza z tym – powiedziałam, wstając. – Sama z nim porozmawiam.

Glaukos wciągnął powietrze przez zęby i pokręcił głową, patrząc za mną. Niepewnym krokiem ruszyłam na rufę, po drodze czepiając się takielunku, bo statek kładł się na burty. Żeglarze schodzili mi z drogi, łypiąc na mnie koso. Kazan Atrabiades stał z nogą wspartą na zrębncy luku ładowni, z ręką na kolanie, i obserwował mnie spod przymrużonych powiek.

Dopiero później zrozumiałam, że mój widok musiał budzić grozę, gdy szłam potargana, w obszarpanej workowatej sukni, z żywymi czerwono-czarnymi liniami marki na karku. Nic dziwnego, że przesądni żeglarze powątpiewali, czy jestem człowiekiem. Ale Kazan – widziałam to – był od nich mądrzejszy.

–Czego chcesz? – zapytał obcesowo, kiedy się zbliżyłam. – Kazałem Glaukosowi zaopiekować się tobą, czy to ci nie wystarcza?

–Panie... – ukloniłam się chwiejnie – chcesz za mnie okup, jak rozumiem. Wystarczy, że ustawisz żagiel na kurs do Marsilikos, a duchessa Roxanna de Mereliot, która jest Panią Marsilikos, zapłaci ci szczerym złotem. Przysięgam.

–Nie – odparł leniwie, odwracając wzrok. – Wracaj do Glaukosa.

–Panie Atrabiadesie – podjęłam błagalnym tonem, kładąc mu rękę na ramieniu. – Proszę, muszę dostarczyć wiadomość do mojej królowej, a czas nagli. Obiecuję ci, na imię Błogosławionego Elui, że Ysandra de la Courcel nagrodzi twoją łaskawość.

–Słuchaj, D'Angelino! – Jego ręka błyskawicznie opadła na moją, czarne oczy rozbłysły z gniewu. – Nie wiem, skąd się wzięłaś na środku morza, ale ocaliłem ci życie. Twój kraj stał z boku i tylko patrzył, kiedy Serenissima czyniła Ilirię swoim wasalem. Prosił was o pomoc, wy jednak odwróciliście się plecami, żeniąc się i pertraktując z Serenissima. – Atrabiades splunął z wystudiowaną pogardą. – A teraz ty szydzisz ze mnie swoją piękną mową, stoisz przede mną w łachmanach, chwalisz się szlacheckim tytułem i prosisz o pośpiech, żeby pomóc twemu krajowi? Miałbym ruszyć w drogę bez zapasów, kiedy na morzu grasują serenissimskie okręty? – Puścił moją rękę tak nagle, że się zachwiałam. – Upomnę się o okup w swoim czasie i na moich warunkach. Wracaj do Glaukosa! – ryknął.

–Tak, panie – szepnęłam i odeszłam.

Moż wspaniały plan rozsypał się jak domek z kart.

–Uprzedzałem – powiedział Glaukos po moim powrocie. – Gdy wkładasz głowę w paszczę lwa, nie zdziw się, jeśli ją stracisz. Moja pani, weźmiesz głęboki oddech i pozwolisz mi osłuchać klatkę piersiową? Niepokoją mnie te złamane żebra.

–Dobrze – mruknęłam. Żeglarze spoglądali zazdrośnie, gdy Glaukos przyciskał siwiejącą głowę do mojej piersi. Robił to z szacunkiem, co było niemałym wyczynem na statku pełnym piratów. Swoim zachowaniem uwiarygodnił opowieść o życiu w tyberyjskiej niewoli.

–Płuca wydają się czyste – oznajmił z zadowoleniem. – Nie kłuje cię, gdy wciągasz powietrze?

–Nie. Glaukosie, czy to prawda, że odmówiliśmy pomocy Ilirii? – zapytałam. – Mam na myśli Terre d'Ange.

–Mniej więcej. Unieś ręce. Owiążę ci żebra. To trochę uśmierzy ból i zapobiegnie dalszym uszkodzom, gdy kość będzie się zrastać. Moja uczennica założy ci porządny opatrunek, gdy dobijemy do lądu. – W skupieniu obandażował mi klatkę piersiową pasem czystej, grubej bawełny; nie musiałam zdejmować mokrej sukni. – Było to jakieś czterdzieści lat temu, o ile dobrze pamiętam. Ban Ilirii prosił króla Ganelona z Terre d'Ange o sojusz, ale król uznał, że Serenissimczycy są potężniejsi, i sprzymierzył się z nimi, wydając swojego brata za kobietę z rodziny doży. Jak teraz?

Na próbę wciągnęłam powietrze.

–Lepiej, dziękuję. Nigdy o tym nie słyszałam. Pan... Kazan sprawia wrażenie rozgoryczonego.

–A, tak. Wątpię, czy poza królem i jego doradcami D'Angelinowie wiedzieli o tych rokowaniach. Z Iliriami rzecz miała się inaczej. Nikt nie zapomina o tych, którzy

odmówili pomocy w potrzebie. Może nie uważają D'Angelinów za wrogów, nie mogą jednak zwać ich przyjaciółmi. A Kazan... ha, to długa historia. – Zwinął niepotrzebny bandaż i zapakował go do torby. – Zapewne wiesz, pani, że wiele narodów zazdrości Terre d'Ange. Jeden lud obsypany tyloma darami budzi w innych zawiść i złość.

–Walczyliśmy o to, co mamy – powiedziałam. Aż za dobrze pamiętałam Waldemara Seliga, który pragnął zawłaszczyć mój kraj. – Glaukosie, jak to się stało, że tyberyjski niewolnik przemienił się w iliryjskiego pirata?

–Zostałem sprzedany – odparł, sypiąc szczyptę ziół do skórzanego kubka. – Kiedy dzieci dorosły, mój pan już nie potrzebował nauczyciela i sprzedał mnie drugiemu bogatemu obywatelowi, który chciał mieć wykształconego sekretarza. Wraz ze swoimi domownikami płynął statkiem kupieckim do La Serenissimy, kiedy napadli na nas piraci.

–I zostałeś jeńcem Kazana Atrabiadesa? – domyśliłam się.

Glaukos wybuchnął śmiechem, nalewając wody do kubka.

–Nie, pani. Dał mi wybór: albo będę walczyć w obronie swojego pana i zginę, albo dołączę do niego jako wolny człowiek. Całe życie spędziłem w niewoli, prawda? Pomyślałem, że ostatnie lata przeżyję jako wolny zbójca. Kazan jest ze mnie zadowolony, a ja nigdy nie żałowałem swojej decyzji. Masz, wypij – zakończył, podając mi kubek.

–Co to jest? – Wzięłam kubek i powąchałam zawartość, patrząc pytająco na Glaukosa.

–To tylko waleriana, uśmierzy ból i pomoże ci zasnąć – odparł łagodnie. – Twoje ciało potrzebuje odpoczynku, musi się uzdrowić. Nie widzisz, jak drży ci ręka? – Mówił prawdę. Ze zdumieniem stwierdziłam, że kubek w mojej dłoni dygocze tak bardzo, że woda wylewa się na pokład. – Szczerze mówiąc, trzymasz się lepiej niż niejeden żołnierz, ale w nocy przeżyłaś koszmar. Opowieść o tym musi poczekać. Wypij, zaopiekuję się tobą. – Uśmiechnął się do mnie przyjaźnie. – Nie spotka cię krzywda, obiecuję.

Być może ryzykowałam, ale nie miałam wyboru. Uwierzyłam mu i wypiłam. Niedługo później pokonało mnie zmęczenie i zasnęłam głęboko.

PIĘĆDZIESIĄT

Trapiły mnie złe, wyraziste sny, pełne zatrważających obrazów, widziałam przeciętą płomieniem ciemność, słyszałam trzask uderzającego o siebie metalu. Nie mogłam się ruszyć, leżałam związana, podczas gdy miodopłynny głos Melisandy sączył się do mojego ucha, każąc mi podać signale. W tle inni błagali w udręce, żebym to zrobiła, żebym podała signale i ich uwolniła. Słyszałam Fortuna i Remy ego, a także Joscelina, i widziałam jego twarz, błękitne oczy szeroko otwarte z cierpienia.

To sen, myślałam w tym narkotycznym, niepokojącym koszmarze, Tylko sen, dzięki ci, Błogosławiony Eluo!

Nic dziwnego, że zbudziłam się, nie wiedząc, gdzie jestem i czy dalej nie śnię. Kołysanie statku działało usypiająco, a iliryjskie słowa brzmiały równie niezrozumiale jak te słyszane we śnie. Słońce przebierało zza chmur, rozpalając pożar nad horyzontem.

A na tle płonącego nieba dostrzegłam jakiś cień. Coś okręciło się wokół bezanmasztu.

Leżałam pod forkasztelem, osłonięta płóciennym daszkiem. Gra światła... nie. Wężowy cień poruszył się, rozpostarł pożyłkowane skrzydła, uniósł trójkątną głowę z śniącymi oczami koloru starej krwi. Pysk otworzył się w milczącym syku, zatrzepotał trójzębny język...

Nie wstydzę się przyznać, że krzyknęłam z przerażenia.

Wywołałam poruszenie na statku, marynarze skoczyli na równe nogi w przekonaniu, że dopędza nas serenissima flota. Glaukos podbiegł do mnie, poblady ze strachu.

–Pani! Pani! – zawołał bez tchu. – Co się stało?

Tylko Kazan Atrabiades się nie poruszył i stał w szerokim rozkroku, patrząc na mnie z drugiej strony pokładu.

Spojrzałam na maszt i zobaczyłam tylko kiwający się wierzchołek, wydęty żagiel skąpany w czerwonym blasku zachodzącego słońca, linę luźno zwisającą z rejki.

–Przepraszam – mruknęłam do Glaukosa, przeciągając rękami po twarzy. – Zbudziłam się i pomyślałam, że... coś widzę.

Glaukos zwrócił się do najbliższego marynarza, uspokajającym tonem mówiąc coś po iliryjsku. Mężczyzna odetchnął z ulgą i podzielił się wiadomością z kamratem. Słyszałam słowa Glaukosa przekazywane z ust do ust, nawet na najbliższy okręt.

Opowieść o historii d'Angelińskiej zakładniczki krążyła ponad falami.

Zauważyłam, że Kazan uśmiechnął się ponuro.

–Dałem ci zbyt silną dawkę – powiedział Glaukos przepraszająco. – Wybacz, pani, jestem przyzwyczajony do obchodzenia się z dorosłymi mężczyznami. Na szczęście obudziłaś się. Niedługo zawiniemy do portu, po wschodzie księżyca... Zjesz coś? To ci dobrze zrobi. Mamy jeszcze jedzenie, o ile się nie zepsuło. Jagnięcinę z ryżem w winogronowych liściach.

–Tak, dziękuję – powiedziałam, patrząc na Atrabiadesa. – To miło z twojej strony. I poproszę o wodę.

Glaukos przyniósł jedzenie i kiedy się posiłałam, spoglądał na mnie jak troskliwa niania. Łuna słonecznego pożaru przygasiała i tylko rdzawe smugi jaśniały na horyzoncie. W nocy prędkość statków ani trochę nie zmalała; Ilirowie kierowali się gwiazdami, gdy zaś nie było ich widać – dotykiem, a może nawet węchem. Na dziobie każdego statku przykucnął majtek z latarnią rzucającą snop jasnego światła, za pomocą którego się porozumiewali.

Później dowiedziałam się, że żaden pirat nie budził większego lęku w sercach serenissimskich żeglarzy niż Uir Kazan Atrabiades, znający od podszewki żeglarskie rzemiosło, dowodzący niezwykle szybkimi, zwrotnymi statkami. Walczył zaciekle i bezlitośnie, a karność i sprawność jego ludzi mogłaby wzbudzić zazdrość kamaelińskiego dowódcy. Kazan uderzał jak piorun i uciekał jeszcze szybciej. Ani razu nie został złapany, bo żeglował jak wcielony diabeł i gubił pościg wśród niezliczonych wysp u wybrzeży Ilirii, gdzie miał kilka sekretnych portów. W ciągu ośmiu lat uprawiania pirackiego procederu stracił tylko trzy statki.

W czasie tej pierwszej podróży tylko podziwiałam sennie umiejętności Ilirow. Kuliłam się pod forkasztelem, okryta kocem z zapasów Glaukosa. Wciąż byłam zmęczona po dramatycznych przejściach i lekko otumaniona przez lekarstwo, a w mojej pustej jak bęben głowie kołatały się echa niedawnych strasznych wydarzeń. Jutro, powtarzałam sobie. Jutro, w świetle dnia zacznę myśleć od początku i znajdę wyjście z tych nowych opałów.

Zbudziły mnie kroki, stanowcze, różniące się od cichego stąpania Glaukosa. Otworzyłam oczy, gdy Kazan Atrabiades przysiadł na piętach, oparłszy się plecami o forkasztelem. Księżyc wzeszedł i widziałam postać mężczyzny w nikłej poświacie. Blask łagodził jego srogie rysy, pełgał po perłowym kolczyku w lewym uchu, srebrzył węzeł włosów, szorstkich i grubych jak grzywa górskiego kuca.

Panowała cisza, tylko fale chlupotały wzdłuż kadłuba. Czterech czy pięciu ludzi pełniło wachtę, podczas gdy inni spali na pokładzie. Wiał lekki wietrzyk i

posuwaliśmy się powoli, ale bez chwili przerwy. Siedziałam w milczeniu, czekając, aż Atrabiades przemówi.

–Krzyczałaś – zaczął, nie patrząc na mnie. Jego cichy głos stapał się z szumem wody. – Kiedy ocknęłaś się o zachodzie słońca, co zobaczyłaś?

Po chwili wahania wyznałam prawdę:

–Stworzenie, panie, przynajmniej tak mi się zdawało. Podobne do węża, ale skrzydlate, zwinięte na bezanmaszcie. Uniosło głowę i syknęło na mnie.

–Tak. – Atrabiades gwałtownie zaczerpnął tchu. – Z językiem jak... – Ściągnął brwi, na próżno szukając słowa w caerdicci. W końcu wyciągnął trzy palce, rozcapierzone jak trójzęb. – W ten sposób?

–Tak! – Usiadłam prosto, zdumiona i rozbudzona. – Tak, właśnie!

Pokiwał głową, krzywiąc okolone wąsami usta.

–Nie musisz się go obawiać, D'Angelino. To przyszedłem ci powiedzieć. Kriawbog czatuje na mnie. Noszę klątwę krwi, ja, Kazan Atrabiades. Tobie nie zrobi krzywdy.

Przetarłam oczy, jakbym chciała wymazać zapamiętany widok.

–Ale widziałam to, panie.

–Tak. – Atrabiades spojrzał na mnie, oczy błysnęły w księżycowej poświacie. W prawym uchu też miał perłową łezkę, czarną, z lekkim opalizującym połyskiem. – Nosisz... znaki. – Dotknął moich okrytych kocem ramion. – Widziałem, dzisiaj. Wiem, co oznaczają. – Patrzyłam na niego w milczeniu. Uśmiechnął się jak wilk. – Uważasz mnie za barbarzyńcę, który się nie wyznaje na waszych obyczajach? Ja zawsze byłem wojownikiem, ale mój brat Daroslav studiował w Tyberium. Poznał tam D'Angelinów i oni mu powiedzieli. – Wciągnął powietrze przez zęby i klasnął językiem. – Mężczyźni i kobiety, zaprzysiężeni bogini dziwek, naznaczeni dla sprawiania rozkoszy. Brat obiecał sobie, że pewnego dnia będzie miał kogoś takiego dla siebie. Wiem, kim jesteś. Kriawbog ukazał ci się jako ostrzeżenie dla twojej bogini, nic więcej.

–Naamy – powiedziała odruchowo. – Jestem sługą Naamy, panie, i możesz mi wierzyć, że nie obchodzi jej twoja klątwa.

–Może nie. – Wzruszył ramionami. – Może tak. Znalazłem cię w morzu i wiesz, co sobie myślę? Kriawbog ostrzega: Nie mieszaj się w los Kazana Atrabiadesa, bo twoja Naama od rozkoszy łoża będzie zasmucona.

Zaśmiałam się głucho, przegarniając sztywne od soli włosy.

–Panie Atrabiadesie, jestem sługą Naamy i wybranką Kusziela, co czasami uważam za klątwę, przy której twoja wydaje się błaha. Winna jestem hołd Aszerze z Morza, mojej wybawicielce, i przysięgłam oczyścić jej imię splugawione w La Serenissimie. Noszę pechowe imię, a tych, którzy mi pomagają, częściej spotyka śmierć niż nagroda. Dlatego radzę tobie i twojemu krfawbogowi, czymkolwiek jest, trzymać się z dala ode mnie. Ty możesz to zrobić, panie, płynąc do Marsilikos po okup.

–Nie nazywaj mnie panem. – Resztę wypowiedzi zignorował. – Jestem Kazan Atrabiades. I nie będę żeglować na twoje skinienie.

Gdy otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, marynarz na dziobie zawołał cicho i wskazał światło mrugające na horyzoncie. W czystym nocnym powietrzu dostrzegłam niski pas ładu. Atrabiades podniósł się niespiesznie i wydał rozkazy, budząc statek do życia.

Nim odszedł, przystanął, patrząc na mnie z góry.

–Upomnę się o okup, D'Angelino, nie ma obawy. Ale wiedz jedno: gdyby mój uczony brat Daroslav żył, dałbym mu ciebie. Uczony braciszek nie spełnił swojej obietnicy.

Nie wiem, czy to miało być ostrzeżenie, ale ja właśnie w ten sposób go zrozumiałam. Patrząc na ocienioną twarz, spytałam:

–Co się z nim stało?

–Zabiłem go – odparł krótko Kazan Atrabiades.

I odszedł na rufę, a ja zostałam, rozważając jego słowa.

Myliłam się, myśląc, że dobiecie do brzegu będzie oznaczało koniec podróży. W świetle księżyca, gwiazd i latarni na cyplu sześć widmowych okrętów wpłynęło do portu niewielkiego miasteczka, którego nazwy nie poznałam, na wyspie Gavrilos słynącej z gajów oliwnych. Gdy rzuciliśmy kotwicę, delegacja mieszczan wyszła powitać piratów. Wszyscy byli zaspani, ale w dobrych humorach.

Zdaje się, że dokonano wymiany handlowej. Stałam na pokładzie, podczas gdy żeglarze Kazana wynosili z ładowni towary, pokazywane następnie mieszczanom. Mieszczanie okrzykami radości powitali sól i korzenne przyprawy. Bele jedwabiu i delikatnego płótna nie wzbudziły zainteresowania, choć ten i ów macał tkaniny z przyjemnością podszytą poczuciem winy.

Ku mojemu zdziwieniu do Kazana odnosili się z szacunkiem i Podziwem. Wtedy nie wiedziałam o ograniczeniach handlowych na iliryskim wybrzeżu ani o wysokich

podatkach nakładanych na sprowadzane towary. Te pochodziły z kradzieży, ale Kazan Atrabiades sprzedawał je i wymieniał za uczciwą cenę. Jeśli zarabiał na handlu, to kosztem LA Serenissimy, i Ilirowie wielbili go za to.

W owym czasie mogłam wyciągać wnioski tylko na podstawie zachowania i cieszyłam się, że Delaunay nauczył mnie tej sztuki. Ludzie prowadzili ściszone rozmowy i przerzucali się żartami. Nie rozumiałam ani słowa, co doprowadzało mnie do szału.

Wielu popatrywało na mnie i widziałam, jak wykonują gesty mające obronić ich przed złym urokiem. Nic dziwnego, wyglądałam jak nie z tego świata, wychudzona d'Angelińska zjawa w szarych łachmanach, z piersią owiniętą bandażem. Zajęty handlem Kazan Atrabiades nie zwracał na mnie uwagi.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy zakończono wymianę i zjawił się Glaukos, cmokając z zadowolona. Kazał mi się położyć i siedział przy mnie, gdy ludzie Kazana znosili do ładowni wielkie dzbany z oliwą.

–Powinnaś spać, pani – powiedział. – O brzasku ruszymy w drogę i po trzech godzinach żeglugi zawiniemy do portu.

–Żeby znowu handlować? – zapytałam ze znużeniem. Byłam wyczerpana, miałam dość morza, a skóra swędziała mnie od soli.

–Nie, to będzie koniec podróży. Cieszę się, że zobaczę dom. Ty też poczujesz się lepiej w prawdziwym łóżku, zobaczysz. – Glaukos spojrzał mi w twarz, ujął palcami i uniósł podbródek. – Choć przyznam, że szybko dochodzisz do zdrowia. O ile nie zwodzi mnie światło księżyca, ten brzydki siniak na szczęce już blednie. Byłaś źle traktowana?

–Tak – odparłam z roztargnieniem. – Ale, jak mówisz, to długa historia. Glaukosie, dlaczego Kazan Atrabiades zabił swojego brata?

Uciszył mnie, rozglądając się czujnie, choć w zasięgu słuchu byli tylko żeglarze nie znający caerdicci. Kazan został na brzegu, gdzie spełniał toasty i przekomarzał się z mieszczanami.

–Nie powinniśmy mówić o tym głośno. Kto ci powiedział?

–On sam, a któżby inny? Ten stwór, którego widziałam na maszcie, nie był senną zjawą. Jakoś go nazwał, chyba kriawbog. Powiedział, że ma to związek z klątwą krwi.

–Tak. – Glaukos westchnął. – Ilirowie są przesądni, bez dwóch zdań. Czego sami nie wymyślili jeszcze w zamierzchłych czasach, to przejęli od Chowatów, którzy najechali ich ziemie, mieszając z nimi krew i obyczaje. Minęło pięćset lat, a wciąż

słyszą śpiew Vili na wietrze i maredonoi w szumie fal. Każde ognisko domowe ma swojego Uszkowa, a każdy dom Domuwika, którego trzeba, zjednywać i przekupywać. Na polach chowają jaja dla polvu. W lasach wkładają ubranie tyłem do przodu, żeby Leskii ich nie znalazły. Kazan jest mądrzejszy. Boi się tylko kriawboga i kpi z całej reszty.

–Ma prawo się bać – mruknęłam – jeśli to, co widziałam, było prawdziwe.

–Kto wie? – Glaukos uniósł ręce i wzruszył ramionami. – Matka go przeklęła za krew, którą przelał. Kazan wierzy, że jeśli wróci do Epidauro, kriawbog go zabierze, bo takie były słowa matczynej klątwy. Poza tym uważa, że jest niezniszczalny. Ponieważ on w to wierzy, jego ludzie też wierzą i są gotowi skoczyć za nim w ogień.

–A ty? – Przyjrzałam się jego ledwie widocznej twarzy. – Czy ty w to wierzysz?

Uśmiechnął się.

–Jestem stary, pani, zbyt dobrze wykształcony i przywykły do racjonalizmu Tyberium, mojego rodzinnego miasta. Wierzę w to, co widzę. Ale za dużo już powiedziałem. Jeśli chcesz wiedzieć więcej, zapytaj samego Kazana, tylko nie miej do mnie żalu, gdy cię zwymyśla. Chociaż, jeśli masz dość rozumu, posłuchasz mojej rady i położysz się spać.

Zbudziłam się dopiero po wyjściu w morze. Wiosła zanurzały się w długich, szybkich pociągnięciach, aż odpłynęliśmy na tyle, że grotżagiel złapał pełny wiatr.

Wstawał piękny ranek, fiołkowa barwa nieba ustępowała pomarańczowej. Ilirowie śpiewem wyrażali radość z powrotu do domu. Byli już bezpieczni, bo mieszkańcy wybrzeża im sprzyjali, i mieli pełne ładownie towarów. Glaukos nie skłamał: jeszcze przed południem ujrzeliśmy w dali niewielki archipelag. Naliczyłam sześć lub osiem wysp, przy czym nie wszystkie wyglądały na zamieszkane.

Flotylla żaglowców podpłynęła do jednej z mniejszych wysepek, stromej, z sosnowym lasem na szczycie urwiska. Oddech wiązał mi w gardle, gdy płynęliśmy wzdłuż brzegu nieprzyjemnie podobnego do klifów La Dolorosy. Jak dotąd nie dostrzegłam śladu obecności człowieka, portu ani zatoki, i zastanawiałam się, dokąd zmierza Atrabiades. Moim zdaniem wyspa była niedostępna.

Tak myślałam, dopóki nie okrążyliśmy przylądka. Kazan Atrabiades wykrzyknął rozkaz. Żagiel zwiśł luźno, rejka zakołysała się gwałtownie, gdy obróciliśmy się z przyprawiającą o mdłości szybkością. Wtedy zobaczyłam wąski przesmyk skryty w cieniach przewieszonych urwisk. Ilirowie strymowali żagle i usiedli do wiosł, przekomarzając się do siebie, i nasz

statek jako pierwszy wsunął się w chłodny cień.

Po obu stronach wznosiły się wysokie, szare ściany, tworząc głęboki korytarz. Woda chlupotała cicho o burty, niemal czarna w przyćmionym świetle. Plusk wiosła budził dziwne echa. Płynęliśmy przez kilka długich minut, słysząc szmer podążających za nami statków.

Nagle urwiska się skończyły i przed dziobem żaglowca otworzyła się naturalna zatoka, piaszczysta, osłonięta ze wszystkich stron. Słońce świeciło jasno na bezchmurnym niebie, a na wodzie o barwie akwamaryny unosiły się rybackie łodzie. Na brzegu leżała urokliwa wioska, a w zbocze wzgórza za nią wcinał się niski taras, niewidoczny z morza, obsadzony winoroślą. Jeszcze dalej, poniżej sosnowych lasów, dostrzegłam białe cętki: owce pasące się na stoku.

–To wyspa Dobrek – powiedział Glaukos, stając przy mnie. – Dom.

–Jest... – słyszałam zdumienie we własnym głosie – jest śliczna!

Zaśmiał się.

–Czy nie mówiłem ci, że nie żałuję?

PIĘĆDZIESIĄT JEDEN

Na zatoce zerwał się wiatr, nasze statki niczym morskie ptaki frunęły na skrzydłach radosnej bryzy. Dostrzeżono je i wyglądało na to, że wszyscy mieszkańcy wioski wylegli nam na spotkanie.

Dwadzieścia jardów od brzegu marynarze opuścili żagle, szybko i zwinnie przywiązując je do rejek. Inni chwycili wiosła, żeby zmniejszyć prędkość statków i ustawić je burtą do przystani. Obciążone, płaskodenne statki kolebały się z boku na bok, ale miały niewielkie zanurzenie i dobiły do brzegu bez szorowania po piaszczystym dnie.

Kazan Atrabiades stał w rozkroku na dziobie pierwszego żaglowca, unosząc ręce na znak zwycięstwa. Ludzie czekający na brzegu wzniesli gromkie wiwaty.

Był to powrót bohatera, bez dwóch zdań. Gdy tylko rzucono cumy, Kazan wyskoczył na brzeg, witany serdecznymi uściskami przez mężczyzn i czułymi uśmiechami albo piskami podziwu kobiet. Wszędzie wokół przyjaciele i rodzina witali pozostałych żeglarzy. Nawet Glaukos przebiegł dziarsko po trapie, żeby głośno wycalować krzepką kobietę o połowę młodszą od niego, rumieniącą się ślicznie i ściskającą mu rękę.

Ja stałam samotnie na pokładzie, zapomniana.

Nie trwało to długo. Zobaczyłam pierwsze spojrzenia i głosy zaczęły przycichać. Cisza rozprzestrzeniała się jak kręgi na wodzie, a za nią podnosiły się szepty.

–Eshta ne Vila! – usłyszałam kilkakrotnie. Wiedząc teraz, co to znaczy mimo woli rzuciłam okiem na bezanmaszt. Jeśli był tam kriawbog, to się nie pokazał.

–Djo djo – powiedział uspokajająco Kazan Atrabiades, uniesioną ręką nakazując spokój. Kiedy się uciszyli, wskazał na mnie i długo przemawiał po iliryjsku.

Napięcie ustępowało z twarzy, zrozumiałam więc, że wyjaśnił, iż nie jestem Vila, tylko śmiertelną zakładniczką. A jednak niemożność zrozumienia jego słów budziła we mnie lęk i frustrację. Rzuciłam błagalne spojrzenie Glaukosowi, który podbiegł do burty.

–Nie lękaj się, pani! – zawołał. – Kazan mówi im, że jesteś D'Angelina i że mają traktować cię jak honorowego gościa. Czy nie obiecałem, że dotrzyma słowa?

–Obiecałeś – odparłam, czerpiąc z tego niewielką pociechę. Zbyt dobrze pamiętałam słowa Kazana. „Gdyby żył, oddałbym cię bratu”. Nie miałam zbyt wielkiego zaufania do bratobójcy, niezależnie od podziwu, jakim darzyli go ludzie. Lepiej być

zakładnikiem niż niewolnikiem, ale w gruncie rzeczy wszystko sprowadza się do jednego. Po raz kolejny w czasie mojego krótkiego życia uważano mnie po prostu za cenny towar.

Ludzie zaakceptowali wyjaśnienia Kazana i odłożyli ciekawość na później, aczkolwiek niechętnie. Zajęli się rozładunkiem statków i podziałem dóbr wedle skomplikowanego systemu. Glaukos podprowadził mnie do Kazana, który kierował tą operacją.

–Panie – zaczęłam, biorąc głęboki oddech i znowu zapominając, że nie powinnam zwracać się do niego w ten sposób – jeśli pozwolisz...

–Sa tedjambo! – warknął na mnie. Nie potrzebowałam tłumacza, żeby zrozumieć, iż w mało uprzejmy sposób kazał mi być cicho. Zamknęłam usta, a Kazan Atrabiades zagadał po iliryjsku do Glaukosa. Glaukos odpowiedział w tym samym języku, tłumacząc coś z przejęciem i wskazując na moją owiazaną klatkę piersiową. Rozmowa trwała jakiś czas i stawała się coraz bardziej zapalczą. W końcu Kazan wzruszył ramionami i odprawił nas oboje.

–Pójdiesz ze mną, pani – powiadomił mnie Glaukos. Jego ogorzałą twarz przyciemniał rumieniec. – Chodź, moja mała Zilje zmieni opatrunki i przygotuje ci kąpiel. – Mówił o swojej młodej żonie, jak się później dowiedziałam, która podeszła i dygnęła lekko, zarumieniona po korzonki jasnorudych włosów.

–Dziękuję – powiedziałam z taką serdecznością, na jaką mogłam się zdobyć. – Glaukosie, jak po iliryjsku mówi się „dziękuję”? – Uśmiechając się do jego żony, powtórzyłam podpowiedź Glaukosa. – Falemir dit, Zilje.

Glaukos podał mi rękę i z pomocą obojga przeszłam po gorącym piasku do domu.

Spędziłam tam trzy dni, wracając do zdrowia.

Byłam młoda i silna, ale dotychczasowe przejścia dały mi się we znaki. Wstawałam przed południem, a niedługo po południu słałam się z wyczerpania, z głuchym bólem tętniącym w żebrach. Zilje besztła mnie po iliryjsku, jakbym była krnąbrnym, egzotycznym zwierzakiem przywiezionym przez męża z zamorskiej podróży. Jej młodsza siostra Krista przyglądała mi się z ogromnym zdumieniem.

W ciągu tych trzech dni przez dom lekarza przewinęły się chyba wszystkie mieszkanki Dobreku. Przypuszczam, że dotąd nie było we wsi takiej plagi bólu zębów. Glaukos nie zwracał uwagi na kobiety, tylko uśmiechał się i kiwał głową. Zilje podawała im goździki na uśmierzenie bólu i chętnie z nimi plotkowała.

To doprowadzało mnie do szaleństwa, bo nic nie rozumiałam. W Skaldii byłam niewolnicą, ale zawsze wiedziałam, co mówiono w mojej obecności. Tutaj wyglądało

to inaczej. Mam wrodzony talent do języków, a dzięki uporowi Delaunaya opanowałam sztukę szybkiego uczenia się. Władałam płynnie caerdicci, w miarę dobrze znałam skaldyjski i cruithne, radziłam sobie w habiru i po helleńsku, a nawet porozumiewałam się z Cyganami.

Wyglądało na to, że iliryjski nie jest spokrewniony z żadnym z tych języków.

Skoro poza dochodzeniem do zdrowia nie miałam nic innego do roboty, z ponurą determinacją postanowiłam nauczyć się tutejszej mowy. Zadanie utrudniał fakt, że Glaukos często bywał nieobecny albo zajęty, a Zilje i ja nie miałyśmy wspólnego języka. Mimo wszystko przyswoiłam sobie pewien zasób słów i pod koniec pobytu w domu Glaukosa znałam słowa „proszę” i „dziękuję” oraz kilka innych grzecznościowych zwrotów. Na ich podstawie udało mi się rozgryźć podstawy składni. Tak wyglądał początek.

Dowiedziałam się, że Glaukos jest nie tylko lekarzem, ale również buchalterem Kazana Atrabiadesa. Obecnie zajmował się katalogowaniem inwentarza i dystrybucją najnowszych łupów, zostawiwszy Zilje opiekę nad mieszkańcami wioski. Byłego niewolnika i jego młodą żonę łączyło szczere uczucie. Przyznaję, z początku myślałam, że dostał ją w nagrodę za dobrą służbę, ale nie miałam racji. On kochał ją, a ona jego, i tak być powinno, miał bowiem lepsze serce niż wielu z tych, którzy służyli Kazanowi. Jej siostra Krista odnosiła się do niego jak do pobłażliwego wujaszka, co chyba odpowiadało całej trójce.

Drugiego dnia Kazan przysłał belę pięknego płótna – jedwabnego adamaszku w ciemnoróżowym kolorze we wzorek koniczynek. Pogładziłam materiał palcami i popatrzyłam pytająco na Glaukosa.

–Powinnaś nosić stroje stosowne do swojej pozycji, prawda? – powiedział, unikając spojrzenia mi w oczy. – Przecież mówiłem, że potraktuje cię należycie. Dziś po południu przyjdzie stara Nomi. Obiecał jej sześć najlepszych igieł za uszycie sukni.

Chciałam dać materiał Zilje i jej siostrze, ale na próżno. Słowo Kazana było rozkazem. Nomi, zgarbiona starucha, mamrotała, poszturchiwała mnie i mierzyła kawałkiem sznurka, a na drugi dzień wróciła z gotowym strojem. Byłam zaskoczona elegancką prostotą sukni zebranej powyżej stanu, opadającej w prostych fałdach do ziemi. Projekt pochodził ze starożytnego iliryjskiego poematu o tragicznej heroinie. Chciałabym mieć tłumaczenie, żeby podarować je Favrieli nó Dzika Róża, która z pewnością byłaby zainteresowana. Resztę materiału dałam Zilje i Kriście, z czego bardzo się ucieszyły.

Nie dowiedziałam się, co zrobiły z prezentem, bo pod koniec trzeciego dnia rekonwalescencji wydobrałam na tyle, żeby zacząć się niecierpliwic. Glaukos musiał z niechęcią przyznać, że rzeczywiście w zaskakującym tempie wróciłam do zdrowia.

Spełnił moją prośbę i powiadomił Kazana Atrabiadesa.

Kapitan piratów kazał mi przyjść w sukni w stylu dawnej epickiej heroiny.

W odróżnieniu od sosnowych chat wieśniaków, dom Kazana był zbudowany z kamienia, z bloków kremowego marmuru, które wycięto na pobliskiej wyspie i wodą przewieziono do Dobreku. Stał niedaleko od wioski na skalistej skarpie nad zatoką, zwrócony ku morzu. Z drugiej strony rosła kępa cyprysów, stanowiąca uroczy parawan, a po marmurowych ścianach pięły się nie znane mi, późno kwitnące pnącza. Sam dom, długi i nieproporcjonalny, mógłby uchodzić za siedzibę szlachcica. Mieszkał w nim nie tylko Kazan, ale również kilkoro służących i trzech czy czterech jego ludzi. Przy domu stała stajnia z dwoma końmi, jedynymi na wyspie. Wieśniacy mieli tylko osły do pracy i jazdy wierzchem.

Gdy eskortowana przez dwóch ludzi przyszedłam z Glaukosem z wioski, Kazan czekał na tarasie z widokiem na morze. Jego czarne, związane na czubku głowy włosy lśniły świeżo uczesane. Był ubrany w szerokie spodnie wpuszczone w cholewy butów, koszulę i dopasowaną kamizelkę z iliryjskim hartem. Wąską bródkę miał świeżo przyciętą, końce wąsów nawoskowane

i ostre jak igły.

–Pani Fedro – powiedział z ukłonem, tylko trochę zniekształcając moje imię. – Witam w moim domu. Jesteś honorowym gościem Dobreku.

Jego ludzie też się uklonili, gapiąc się na mnie i trącając jeden drugiego łokciami. Nie wiedziałam, co zrobić, więc tylko dygnęłam.

–Mire daj, Kazanie Atrabiadesie. Falemir dit, dziękuję ci za gościnę.

Drgnął, słysząc iliryjskie powitanie, i nieelegancko rozdziawił usta. Brak jednego trzonowego zęba trochę niekorzystnie wpływał na jego prezencję. Chyba zdał sobie z tego sprawę, bo zamknął usta.

–Nie mówiłaś, że znasz iliryjski – powiedział.

–Nie znam, pa... Kazanie. – Niełatwo zerwać z zakorzenionym nawykiem. – Tylko te parę słów, których się nauczyłam, żeby moja prośba łatwiej trafiła do twojego ucha.

Ściągnął brwi.

–Jesteś jak pies, który ani na chwilę nie zostawia kości! Porozmawiamy o okupie wtedy, kiedy ja będę tego chciał. Teraz jesteś moim gościem, a Glaukos mówi, że jeszcze musisz odpoczywać. Idź więc i odpoczywaj. – Odwrócił się i podniósł głos: – Marjopi!

Z cieni niewielkiej arkady wyszła w jasne słońce rośła kobieta, z potężnymi rękami splecionymi na wydatnym biuście. Była w średnim wieku, choć w jej czarnych, upiętych w kok włosach nie dostrzegłam śladu siwizny. Miała ziemistą twarz i czarne oczy o twardym wyrazie, które spojrzały na mnie nieprzychylnie.

–Marjopi jest ze mną, odkąd byłem oseskiem. Ona się tobą zajmie. Marjopi! Te lesh gezuan! – zawołał do niej.

Marjopi odpowiedziała stekiem iliryjskich przekleństw, a on nie pozostał jej dłużny. Porucznicy Kazana jawnie szczyrzyli zęby, a Glaukos niespokojnie przestępował z nogi na nogę.

–O co chodzi? – zapytałam go.

–Ona uważa, że przynosisz pecha – mruknął. – Mówiłem ci, Ilirowie są przesądni. Nie ona pierwsza uważa d'Angelińską urodę za sprzeczną z naturą, a plamka w twoim oku... Właśnie... Wygląda na to, że kriawbog jest bestią o czerwonych ślepiach. Zapewne o to chodzi.

–Może ma rację – odparłam ponuro. Stworzenie, które widziałam – albo które sobie wyobraziłam – miało szkarłatne spojrzenie. Nie wątpiłam, że niebawem poczuję ukłucie Strzały Kusziela.

Niezależnie od przyczyny kłótni, przeważyła wola Kazana, więc Marjopi z prychnięciem pogodziła się z porażką. Skinęła na mnie i gwałtownym ruchem głowy wskazała mi wejście do domu. Mając niewielki wybór, podziękowałam Glaukosowi i poszłam za nią.

W środku panował chłód, bo cyprysy nie wpuszczały gorącego powietrza. Ujrzałam całkiem ładne, choć niedopasowane meble – drewno było ciemne i popielate, otaczały mnie intarsje, rzeźbienia, akadyjskie kobierce i helleńskie wazy. Poszłam za Marjopi do przeznaczonego dla

mnie pokoju, niedużego, wyposażonego tylko w małą szafę i wąskie łóżko z narzutą lamowaną futrem kuny. Otworzono okiennice, żeby przewietrzyć pokój, i z okna roztaczał się widok na wzgórza.

Po wyjściu Marjopi przysiadłam na wąskim łóżku.

Minęło tyle czasu, ile trzeba na obranie i zjedzenie jabłka, a już poczułam się znudzona. Są ludzie z wdziękiem znoszący beczynność, spędzający czas na medytacjach. Należał do nich Joscelin, mogący przez kilka godzin odprawiać kasjelickie czuwanie. Wyjąwszy kaprys patrona albo konieczność wynikającą ze sztuki przespiegów, ja tego nie umiałam. W La Dolorosie ścierpiałam brak zajęcia, bo po prostu nie miałam wyboru. Tutaj było inaczej.

Wyjrzałam za okno, gdzie słońce o barwie miodu grzało dalekie sosny, odwzajemniające się żywicznym zapachem. Spojrzałam na stopy obute w brzydkie sandały, które Glaukos dostał od tutejszego szewca. Wstałam i otworzyłam szafkę, ale był w niej tylko płaszcz z czesanej granatowej wełny, z lamówką w biały wzorek.

Gdyby Kazan Atrabiades nie chciał, żebym wychodziła, pomyślałam, przydzieliliby mi strażnika albo zamknął drzwi na klucz. Ponieważ były otwarte, doszłam do wniosku, że mam nieograniczoną swobodę ruchów. Zresztą, gdybym chciała uciec, to dokąd? Dobrek był wyspą. Woda więziła mnie równie skutecznie jak mury.

W domu panowała cisza i spokój. W tych stronach ludzie pracują od samego rana, bo nieznośny żar południa zmusza ich do przerywania zajęć, i wtedy odpoczywają do wczesnego wieczora. Niestety, w domu nie było biblioteki; szczerze mówiąc, nie spodziewałam się znaleźć tutaj księgozbioru. Kazan Atrabiades różnił się od Waldemara Seliga, który łapczywie chłonał myśli zapisywane przez całe pokolenia, aby użyć ich jako narzędzi do kształtowania swojego przeznaczenia. Nie, uczonym był zabity brat Kazana. Najwyraźniej mój pan pirat nie chciał, żeby książki przypominały mu o tym zdarzeniu.

W czasie wędrówki po domu natknęłam się na uchylone drzwi, zza których płynęły jakieś odgłosy. Przystanęłam, zaskoczona, i zajrzałam dyskretnie. W pomieszczeniu stało staroświeckie pionowe krosno, a przy nim, plecami do wejścia, siedziała zajęta tkaniem Marjopi. Nuciała w trakcie pracy, przesuwając czółenka z prędkością i zręcznością, która zadawała kłam jej tuszy.

Ponieważ nie chciałam zwracać na siebie uwagi ani psuć jej dobrego nastroju, po cichu przemknęłam obok drzwi, by kontynuować zwiedzanie. Bez trudu rozpoznałam pokój Kazana. Stało w nim wielkie łóżo ze złożonym zagłówkiem, zdobionym płaskorzeźbą przedstawiającą psy myśliwskie. Na łóżku leżały ubrania, a na podłodze walały się podniszczone buty z cholewami. W przeciwieństwie do tych porozrzucanych rzeczy, broń wisiała schludnie na stojaku w kącie. Krótki miecz w pochwie z tłoczonej skóry znalazłam z widzenia; pancerz i hełm ze szkarłatnym pióropuszem były mi obce, podobnie jak duża tarcza, na której pysznił się malowany drapieżny ptak z liściastą gałęzią w szponach, czarny na czerwonym tle.

Nie był to oręż prostego żołnierza, a dbałość Kazana o właściwe go przechowywanie świadczyła, że nie pochodzi z grabieży, jak prawie wszystko inne w tym domu. Atrabiades powiedział, że jest szlachetnego rodu; może to była prawda. Rozejrzałam się po pokoju, szukając czegoś, co powiedziałoby mi więcej o moim zbawcy i porywaczu.

Na stole przy łóżku leżało srebrne filigranowe puzderko, niewątpliwie d'Angelińska robota. Przypominało kiść winogron, zaokrąglone grona oddano w wypukłym reliefie. Miało przemyślnie zamknięcie i zawierało grudkę kamfory, pachnącej jak rozgrzane

przez słońce sosny. A więc Kazan Atrabiades lubi piękne, zbytłowne drobiazgi, pomyslałam. To dobrze dla mnie; i złe, choć nie gorzej, niż się spodziewałam. Jeśli dba o piękno, tym lepiej.

Jedynym innym godnym uwagi przedmiotem w pokoju była dość podniszczona szafa z ciemnego cyprysu, wykładana kością słoniową w księżyce i półksiężyce. Kość słoniowa zżółkła i popękała ze starości, a na drewnie widniały długie rysy. Mebel, który kiedyś musiał być piękny, chyba nie pochodził z pirackiej grabieży. Otworzyłam drzwiczki, za którymi kryły się półki z ubraniami. Wyżej były dwie małe szuflady.

Jedna zawierała zapisane po iliryjsku pergaminy i złoty sygnet. Przechylając go w stronę okna, zobaczyłam trzy pszczoły i niewyraźny napis. Odłożyłam sygnet na miejsce i wysunęłam drugą szufladę.

Nie wiem, co spodziewałam się znaleźć, ale z pewnością nie dziecięcą zabawkę. Drewniany żołnierzyk z konikiem zmieścił się w mojej dłoni. Figurka miała ruchome ręce i nogi, mogła więc siedzieć na wierzchovcu albo maszerować, podnosząc miecz i tarczę. Na drewnie zachowały się ślady czerwonej i czarnej farby.

Trzymałam zabawkę w dłoniach i patrzyłam na nią z namysłem, gdy usłyszałam kroki.

Nie miałam dokąd uciec, nie mogłam zrobić nic poza dobrą miną do złej gry, gdy Kazan wszedł do pokoju. Że też dałam się przyłapać, zbeształam sama siebie; Delaunay powiedziałby mi do słuchu.

Kazan Atrabiades rzucił na mnie okiem i zeszywniał z wściekłości.

–Odlóż to.

PIĘĆDZIESIĄT DWA

Każdy z nas ma drogie sercu przedmioty, osobiste rzeczy, których nie wolno dotykać nikomu innemu. Nie trzeba było mi mówić, że dla Kazana właśnie czymś takim jest ta zabawka. Poznałam to po jego twarzy i zimnym głósie, gorszym od krzyku. Delikatnie odłożyłam figurkę i zamknęłam szufladę.

–Przepraszam – powiedziałam, patrząc mu w oczy. – Nie chciałam zrobić nic złego.

Głęboko zaczerpnął tchu i z wyraźną złością powiedział:

–Co tutaj robisz? Kazałem Marjopi, żeby się tobą zajęła! Masz być jej posłuszna.

W przypadku klientów wiadomo, dokąd i dlaczego prowadzi ich ścieżka gniewu. Kiedy Kazan krzyknął, zrozumiałam, że nie ja jestem prawdziwym źródłem jego złości. Mój postępek tylko rozniecił gwałtowne uczucia.

–Pokazała mi pokój i odeszła. Wybacz, nie lubię siedzieć z założonymi rękami – odparłam pokornie. – Chciałam się tylko dowiedzieć, kim jesteś, panie.

–Sam ci powiem to, co musisz wiedzieć. Nie wolno ci wchodzić do tego pokoju bez mojego pozwolenia, rozumiano? Zobaczyłaś zbyt wiele. – Zgrzytając zębami, złapał mnie za ramię i wyciągnął za próg. – Jeśli się nudzisz, pogadaj z Marjopi, ona przydzieli ci jakieś kobiece zajęcie, tkanie, przędzenie albo haftowanie! – Wepchnął mnie do salonu, gdzie wśród helleńskich tapczanów stały twarde wysokie krzesła z Caerdicci. Marjopi odeszła od krosien i krążyła w korytarzu. Kazan wciąż trzymał mnie za ramię i piorunował wzrokiem. Czułam puls bijący pod mocno zaciśniętą ręką i żar jego ciała, zmieszany z dziwnym, gryzącym zapachem.

Ach, Kuszielu, pomyślałam, ulituj się nad swoją wybranką! Czy to, co dotąd przeszłam, nie wystarczy? Czy muszę znosić dodatkowe poniżenie? Nie wiem, jakie uczucia odbiły się na mojej twarzy, ale Kazan z konsternacją w oczach rozluźnił palce.

–Nie umiem tego robić – oznajmiłam głośno. – Nauczono mnie innych rzeczy.

–Uprawiania nierządu – rzucił pogardliwie, choć bez przekonania.

–Służby Naamie – poprawiłam. – Ale królowa zatrudniała mnie jako tłumaczkę. Studiowałam języki i politykę, nie tkanie i przędzenie. Panie, jeśli zakażesz mi wychodzić z pokojów dla kobiet, twoja wola, sam jednak powiedziałeś, że jestem gościem, nie więźniem w twoim domu.

Spuścił głowę i, rozmyślając, gładził wąsy palcami.

–W Ilirii... traktujemy... zakładników... z szacunkiem – powiedział powoli. – Zgodnie z ich rangą, chyba że ci, którzy płacą okup, dopuszczają się zdrady. Nie jesteś więźniem. Dziś zjesz ze mną kolację, a ja cię wysłucham. Ale masz nie chodzić tam, gdzie ci nie wolno, zrozumiano?

–Tak, panie. Gdzie zatem nie wolno mi chodzić?

Skrzywił się z niesmakiem.

–I tak już zobaczyłaś to czego nie powinnaś. Możesz chodzić, gdzie tylko zechcesz. Dam ci przewodnika. – To rzekłszy, wyszedł z pokoju, mrużąc coś pod nosem. Rozpoznałam imię Glaukosa i słowo „odpoczynek”, które słyszałam tyle razy, że nie mogłam się mylić. Czekałam pod czujnym okiem Marjopi, dopóki Kazan nie wrócił z młodym mężczyzną.

–Lukin wszystko ci pokaże – rzekł krótko i odszedł. Marjopi rozłożyła ręce i wróciła do krosien.

Tak oto dostałam eskortę, dobrodusznego młodzieńca nie więcej niż szesnastoletniego. Miał czarne włosy związane na czubku głowy, jak Kazan, i uśmiech od ucha do ucha. Zdecydował, że nie jestem Vila, która chce skraść mu serce – albo przynajmniej uznał, że gra jest warta świeczki. Język nas dzielił, ale łączyła młodość, a Lukin był otwarty i wesoły, chętny do porozumienia, w przeciwieństwie do Zilje i jej siostry, które okazywały powściągliwość albo zawstydzenie. Kazałam mu nazywać po iliryjsku wszystko, co pokazałam. Po dziś dzień niektóre rośliny, a także ryby i ptaki, umiem nazwać tylko w tym języku.

To Lukin zaprowadził mnie do stajni i z dumą pokazał dwa konie Kazana. Oczy błyszczały mu z radości, gdy pokryty bitewnymi bliznami stary wałach skubał smakołyki z jego dłoni. Mój młody przewodnik bardzo przypominał mi Hiacynta. Nie dzielnego i samotnego, jakim go zostawiłam, lecz takiego, jaki był w jego wieku, wesoły, potrafiący sobie radzić z końmi.

Za stajnią grupa rozebranych do pasa, spoconych mężczyzn skupiała się wokół kamiennego pieca. Wyciągnęłam rękę i spojrzałam pytająco, a Lukin podprowadził mnie bliżej. Jedni dokładali do ognia, inni dęli w miechy, a dwaj mężczyźni w skórzanych fartuchach pracowali przy tyglu. Kazan kierował gorączkową krzątaniną. Wcześniejsza gryząca woń, którą od niego poczułam, była zapachem płynnego metalu.

–Co oni robią? – zapytałam. Lukin podszedł do skrzyni, wyjął srebrną monetę i palcem wskazał formę, w której stygły sztabki srebra. Patrzyłam z konsternacją, gdy odwracał monetę, żebym mogła zobaczyć obie strony, i tłumaczył coś po iliryjsku. Choć prymitywna moneta była podniszczona, z jednej strony zobaczyłam czyjś profil,

a z drugiej herb z tarczy Kazana, drapieżnego ptaka z gałęzią w szponach.

Wreszcie wzruszyłam ramionami, a Lukin odłożył monetę na miejsce.

–Chcesz wiedzieć, dlaczego topimy dobre monety, co? – Kazan Atrabiades podszedł i spojrzał na mnie gniewnie. Miał nagi tors jak pozostali pracownicy. – Serenissimczycy... – odwrócił głowę i splunął odruchowo – wydali prawo, zakazujące używania iliryjskich monet, starych czy nowych, z wizerunkiem i herbem dawnego lub obecnego bana. Obracanie tym pieniądzem jest bezpieczne tylko w Epidauro, a i tam pewnie niedługo. Serenissimczycy odbierają właścicielom iliryjskie monety i nie wynagradzają straty. Zamykają poszkodowanych w więzieniu, jeśli się skarżą – Dlatego ludzie są przerażeni i biedni, chociaż mają pieniądze. My bierzemy je za dostarczane im towary i przetapiamy.

Jakże prosty środek na uciemnienie wasalnego państwa! Pomyślałam też o broni wiszącej

dumnie w pokoju Kazana i o zdobiącym ją herbie.

–Służyłeś w straży bana Ilirii – powiedziałam.

Spochmurniał jeszcze bardziej.

–To nie twoja sprawa – burknął i zwrócił się do Lukina, wydając rozkaz po iliryjsku. Chłopak pokiwał głową i dał mi znak, że powinniśmy odejść. Nie miałam nic przeciwko, bo zaczęły boleć mnie zębra. Słońce wisiało wysoko na niebie, a jego żar, połączony z ciepłem bijącym od pieca, przyprawił mnie o zawroty głowy. Kiedy patrzyłam na Kazana Atrabiadesa, widziałam wokół niego dziwne, splatające się cienie. To tylko udar słoneczny, powtarzałam w duchu, ale przypomniawszy sobie kriawboga, poczułam niepokój.

Gdy wróciłam do domu, Marjopi rzuciła na mnie okiem i z niesmakiem pokręciła głową. Podała Lukinowi cebrzyk i powiedziała coś ostrym tonem. Chłopak uśmiechnął się szeroko i odszedł lekkim krokiem, ona zaś pchnęła mnie w kierunku przydzielonego mi pokoju. Położyłam się na łóżku, a niedługo później Marjopi weszła z miską chłodnej wody i lnianym ręcznikiem. Zanurzyła ręcznik w wodzie, wyżęła i położyła na moim czole, znowu kręcąc głową.

Spałam do kolacji. Zbudziła mnie służąca, której wcześniej nie widziałam. Wskazała na drzwi, mówiąc:

–Kazan. – To wystarczyło. Wstałam i wygładziłam pomiętą suknię, umyłam się w resztkę letniej wody i poszłam na spotkanie.

Kolację podano na tarasie. Stół stał w altanie, z której zwieszały się kiście winogron,

jeszcze zielonych, ale bardzo dużych. Wokół na stojakach paliły się lampy, a morze szumiało łagodnie. Kazan wstał, gdy szłam do stołu, i pożerał mnie wzrokiem.

–Usiądź, Fedro – poprosił, zapominając o wcześniejszym gniewie. Zajął miejsce naprzeciwko niego, a on z uśmiechem nalał mi wina z glinianego dzbana. – Co myślisz? – zapytał, ruchem ręki omiatając taras. – Czy w twoim kraju znają takie piękno?

–Nie takie. – Wzięłam głęboki oddech. – Panie Kazanie, powiedziałaś, że mnie wysłuchasz. Czy mogę mówić?

–Nie. – Grymas niezadowolenia przyciemnił jego rysy. – Najpierw zjemy. Tę rozmowę zostawimy na później. Tak robimy w cywilizowanych krajach – dokończył z naciskiem.

–Ja... – Urwałam. – Tak, oczywiście. Wybacz mi grubiaństwo.

Jedliśmy świeżo złowione ryby gotowane w winnym sosie, jarzyny i fenkuł z chlebem maczanym w oliwie. Muszę przyznać, że apetyt dopisywał mi bardziej niż się spodziewałam. Kiedy skończyliśmy, Kazan ruchem ręki kazał służącej zabrać talerze. Dopełnił kielichy jasnym winem z lekkim posmakiem żywicy, którego nabrało od sosnowych beczek w czasie leżakowania, i popatrzył na mnie.

–Teraz możesz mówić o swoich sprawach.

Pokiwałam głową.

–Dziękuję, Kazanie. Wcześniej, na statku, powiedziałam ci prawdę. Muszę jak najszybciej wrócić do swojej ojczyzny, to sprawa najwyższej wagi. Wiem, że moje pragnienia niewiele dla ciebie znaczą. Ale musisz wiedzieć, że moi przyjaciele i krewni sownie ci zapłacą, a także zaskarbisz sobie wdzięczność królowej Terre d'Ange.

Kazan bawił się kubkiem wina, patrząc na mnie przenikliwie.

–Dlaczego? Znalazłem cię w łachmanach na środku morza. Dlaczego miałbym ci wierzyć? Glaukos mówi, że naprawdę jesteś tym, za kogo się podajesz. Wiem, że ma rację, bo nie myli się w takich sprawach. Kim, już wiadomo, ale dlaczego? To następne pytanie.

Myślałam o tym wcześniej i wiedziałam, że je zada. Na jego miejscu też bym to zrobiła.

–Królowa ma wrogów – odparłam krótko. – Wiem, kim są i gdzie przebywają. Jeśli ich nie ubiegnę, królowa znajdzie się w poważnym niebezpieczeństwie.

–Wrogowie, ha! – Potarł szczękę. – W Serenissimie, co? Kiedy oznajmiłem, że tam nie popłynę, wspomniałaś o Marsilikos, które leży znacznie dalej. Dlaczego nie chcesz szukać pomocy u d'Angelińskiego księcia?

–Jeśli pożeglujesz do La Serenissimy – powiedziałam bez zająknięcia – sprawa zakończy się możliwie najszybciej. Jestem sługą królowej, książę Benedykt mnie nie zna, więc nie zapłaci okupu, ale mam pieniądze zdeponowane u tamtejszego faktora. Sprzedałam ołów z dobrym zyskiem. Podaj cenę, a ci ją wypłacę.

–Ach, nie. – Pokręcił głową. – Glaukos powiedział ci prawdę. Nie pożegluję do Serenissimy ani nie wyślę tam nikogo innego. Może zastawiłaś pułapkę? Nagroda za głowę Kazana Atrabiadesa jest znacznie wyższa niż jakikolwiek okup.

–Rozumiem. – Położyłam ręce na stole. – W takim razie popłyn do Marsilikos. Jej Książęca Mość Roxanna de Mereliot jest mą serdecznż przyjaciółką i spełni moją prośbę. Przysięgnę na co tylko zechcesz, że ani tobie, ani twoim ludziom nie stanie się krzywda. Wprost przeciwnie, możecie dużo zyskać.

Kazan patrzył na mnie, a jego czarne oczy lśniły w miękkim świetle lamp.

–Tak powiadamy w Ilirii: Jeśli kłamię, niech kriawbog połknie moją duszę. Widziałaś go. Czy przysięgniesz?

Pomyślałam o stworze zwiniętym i syczącym na maszcie. Pomyślałam o cieniach otaczających Kazana Atrabiadesa i zadrżałam.

–Tak – powiedziałam ochrypłym głosem. – Przysięgamy. Dostaniesz okup i ani ciebie, ani twoich ludzi nie spotka nic złego. Niech kriawbog połknie moją duszę, jeśli kłamię.

–Dobrze. – Wypił wino i napełnił kubek. – Jak to się stało, że wpadłaś do morza?

A już myślałam, że skończyliśmy. Ze zmęczeniem zamknęłam oczy.

–To był wypadek, panie... Kazanie. W czasie zamieszek, gdy uciekło kilku więźniów.

–Sądzę, że wokół ciebie dochodzi do wielu... zamieszek – powiedział cierpko. – Mówisz, że jesteś tłumaczką królowej, ale moim zdaniem jest inne słowo na określenie tego, co robisz.

Szpiegostwo.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego bacznie.

–Poślesz statek do Marsilikos czy nie?

–Pośle. – Z zadumą potarł szczękę. – Sama podróż, czas i przeprawa będzie kosztować mnie sto srebrnych denarów. Ile jesteś warta, hę? Więcej?

Zawrzała we mnie furia, gniew na Kazana, na dociekanie i zniewagi, na wszystkie okropności, jakie zgotował mi los.

–Severio Stregazza, wnuk doży La Serenissimy, zapłacił kiedyś dwadzieścia tysięcy złotych dukatów za jedną noc ze mną – wyznałam z pełną goryczy szczerością. – Tak, mój panie piracie, jestem warta trochę więcej niż sto denarów.

–Glaukos ma rację, naprawdę jesteś tym, za kogo się podajesz – odparł Kazan z szerokim uśmiechem, pokazując lukę w uzębieniu. – W przeciwnym wypadku nie rozżłościłabyś się tak bardzo, hę? Zażądam trzydziestu tysięcy w złocie. Jesteś bogata, ale ja nie jestem chciwy. Żądanie wyższego okupu byłoby wodzeniem bogów na pokuszenie, hę? Jeśli zapłacą, wtedy uwierzę w każde twoje słowo.

–Zapłacą – mruknęłam. – Możesz być pewien.

–Zobaczymy – parsknął. – Chcesz, żebym wysłał ludzi jak najszybciej? Dla mnie to bez znaczenia, teraz czy na wiosnę. Tobie zależy na czasie. Jak bardzo?

Nie miałam złudzeń co do podtekstu tego pytania.

–Czy to ma znaczenie? – Spojrzałam mu w oczy. – Możesz wziąć wszystko, co mam, niezależnie od mojej zgody. Powiedziałeś, że oddałbyś mnie swojemu bratu, gdyby żył. Dlaczego teraz uspokajasz sumienie, panie, prosząc o zgodę na coś, co bez zgody nazywane jest gwałtem?

Jego rysy stwardniały.

–Nie mów o moim bracie – powiedział krótko i odszedł od stołu, żeby popatrzeć na ciemną zatokę. – Oddałbym twoje życie, i życie twojej królowej, byle tylko wrócić życie Daroslavowi. Tyle jesteś dla mnie warta. Nie więcej. – Odwrócił się z twarzą bez wyrazu. – Traktowałem cię jak gościa. Ktoś inny nawet by nie zapytał. Ja pytam i proponuję uczciwą wymianę.

Pomyślałam o tygodniach, o miesiącach spędzonych na poszukiwaniach, i o wszystkich tych, którzy mi je odradzali. Pomyślałam o Fortunie i Remym, którzy zginęli z powodu mojego zaślepienia, i o Ti-Filipie, żywym lub martwym. Pomyślałam o niesprawiedliwie osądzanym Joscelinie, który w pojedynkę walczył z całym garnizonem La Dolorosy, żeby mnie uwolnić. Czy uszedł z życiem? Miałam nadzieję; niemal zwyciężył, a poza tym był zbyt uparty, żeby umrzeć. Widziałam pochodnię na urwisku, a tylko on miał dość śmiałości, żeby się po nim zsuwać.

Pomyślałam o Ysandrze de la Courcel, która kiedyś z ufnością złożyła w moje ręce

los tronu, która potem odwołała mnie od wyjazdu do La Serenissimy. Pomyślałam o Kwintyliuszu Rousse, błagającym mnie, żebym zgodziła się na eskortę okrętów.

I pomyślałam o triumfalnym uśmiechu Melisandy.

Wiedziałam, że zrobię wszystko, co będzie konieczne.

–Uczciwa wymiana – powiedziałam spokojnie. – Niech tak będzie. Jutro wyślesz najszybszy statek, a ja z własnej woli przyjdę do twojego łóżka, mój panie piracie.

Kazan Atrabiades pochylił głowę.

–W takim razie umowa stoi, hę? Rano Glaukos przyniesie ci papier i inkaust, żebyś mogła napisać list. – Po chwili dodał szorstko: – Nie musisz przychodzić jutro. Glaukos mówi, że wciąż jesteś obolała, że potrzebujesz czasu na wypoczynek i powrót do zdrowia. Nie jestem barbarzyńcą.

Zyskałam przynajmniej to.

PIĘĆDZIESIĄT TRZY

Niezależnie od mojego zdania o jego honorze Kazan Atrabiades dotrzymał słowa. Wstał wcześniej i poczynił przygotowania do wypłynięcia w morze, zanim zjadłam śniadanie.

Piratom dopisywały humory przed czekającą ich przygodą. Na dowódcę wyprawy Kazan wyznaczył niejakiego Nikanora, który od dawna był jego zastępcą. Szybki, porywczy Nikanor umiał podejmować trafne decyzje w czasie bitwy, a na suchym lądzie swędziały go nogi. Miał jedenastoosobową załogę. Kazan polecił zejść ze statku jednemu marynarzowi. Zwolnione miejsce zajął starszy mężczyzna o imieniu Gorian. Obecnie Gorian naprawiał sieci, ale w młodości podróżował po świecie i nauczył się helleńskiego. W razie konieczności mógł służyć jako tłumacz, choć w dużym porcie Marsilikos zawsze można znaleźć kogoś, kto mówi po helleńsku. Nie wątpił, że również Pani Marsilikos zna ten język.

Ucieszyłam się, że Glaukos zostaje, choć ta decyzja nie miała nic wspólnego z moją osobą; Kazan go potrzebował. Przyszedł do mnie z kilkoma arkuszami białego papieru, świeżym piórem i butelką atramentu.

Ponieważ nie miałam sekretarzyka, uklęknęłam przy stole, myśląc nad słowami i zapisując je szybko – w caerdicci, nie po d'Angelińsku, żeby Glaukos i Kazan mogli sprawdzić, czy list nie skrywa jakiegoś podstępu.

„Do Roxanny, duchessy de Mereliot i Pani Marsilikos” – napisałam – „pозdrowienia od Fedry nó Delaunay, hrabiny de Montreve. Błogostawiony Eluo spraw, żeby list ten zastał Cię, Pani, w jak najlepszym zdrowiu. Piszę z twierdzy Ilira Kazana Atrabiadesa, któremu winna jestem dług w postaci okupu. Mam się dobrze i jestem zdrowa, i pochwalam go za względy, jakie mi okazuje. List ten przesyła na moją prośbę, a ja w zamian za tę przysługę obiecałam nietykalność jemu i jego ludziom. Proszę, potraktuj ich dobrze, jeśli bowiem tego nie uczynisz, złamię przysięgę i moja nieśmiertelna dusza zostanie ukarana. Wasza Książęca Mość, na przyjaźń, jaką mnie darzysz, i na naszą służbę Jej Wysokości, królowej Ysandrze de la Courcel, błagam Cię o wypłacenie okupu w wysokości trzydziestu tysięcy złotych dukatów dla Kazana Atrabiadesa: połowę przekaz doręczycielowi niniejszego listu, niejakiemu kapitanowi Nikanorowi, i połowę Kazanowi Atrabiadesowi, gdy bezpiecznie dostarczy mnie do miejsca wymiany, które wskaże kapitan Nikanor. O poręczenie pożyczki zwróć się do mojego wuja Kwintyliusza, którego znasz, i przypomnij mu o danym słowie: przed moim wyjazdem do La Serenissimy obiecał mi pomoc. Dzięki Elui, w tym mieście nie potrzebowałam obiecannej sumy, lecz teraz o nią proszę. Przekaż mu moje słowa i zapewnij go, że pomoc się opłaci. Jestem Ci dozgonnie wdzięczna, Pani, i niechaj błogostawieństwo Elui spłynie na Ciebie i Twój dom”.

Złożyłam podpis i posypałam kartkę piaskiem, żeby osuszyć atrament. Kazan wziął list, odsunął go daleko od oczu i patrzył ze ściągniętymi brwiami. W końcu Glaukos wybawił go z

kłopotu i na głos przeczytał, co napisałam. Kazan umiał czytać w caerdicci, ale był dalekowidzem i miał kłopoty z odcyfrowaniem mojego charakteru pisma.

–Ten twój wuj jest bogaty, hę? – zapytał, kiedy Glaukos skończył.

–Ma okręty – odparłam. – Wystarczy na zastaw pod pożyczkę. I potwierdzi autentyczność listu, bo tylko on wie o propozycji przysłania pomocy.

–To dobrze. – Energicznie pokiwał głową. – Dobra myśl, hę? – Powiedział coś po iliryjsku do Nikanora, potem uśmiechnął się szeroko i poklepał mnie po ramieniu. – Trzy tygodnie, nie więcej! Zobaczysz, jak pływają prawdziwi żeglarze!

Mężczyźni roześmieli się, nie skąpiąc niezrozumiałych dla mnie komentarzy, lecz w tej chwili nic nie mogłoby mniej mnie obchodzić. Żaden się nie zorientował, że mój „wuj” jest admirałem floty Terre d'Ange. D'Angelin połapałby się od razu, bo imię Kwintyliusz jest niepospolite w mojej ojczyźnie. Ale w Caerdicca Unitas występuje często i nie budzi zdziwienia wśród Uirów.

Zrozumie, pomyślałam, pieczętując list woskiem. Przypomni sobie, musi! Obiecał mi: „Gdybyś potrzebowała pomocy, Fedro nó Delaunay, daj znać, a ja ci jej udzielę”. Miałam nadzieję, że z moich słów wywnioskuje, że chcę, by napadł na La Serenissimę, nie na Ilirię. Cóż, w tych okolicznościach nie mogłam jaśniej przedstawić sprawy. Wosk zastygł, wsunęłam list do torebki z nasączonej olejem skóry i podałam ją Nikanorowi, który z wielką ceremonią przytroczył ją do pasa.

Statek wypłynął jeszcze przed południem. Widziałam, musiałam zobaczyć to na własne oczy. Wyjście statku w morze było w wiosce Dobrek wielkim wydarzeniem. Stary kapłan pokuśtykał do portu, gdzie odmówił modlitwy, złożył libację z wina i – ku mojemu obrzydzeniu – ofiarę z koguta. Ilirowie modlili się do Bindhusa, Pana Mórz, i Jarowita, który jest ich Świętym Wojownikiem; dotąd nie wiedziałam, że mają w swoim panteonie coś poza duchami natury i przeklętymi stworami.

Kazan Atrabiades dał z brzegu rozkaz podniesienia kotwicy, a Nikanor powtórzył jego słowa na pokładzie, po czym wyciągnął miecz i wznosił go ku słońcu. Żeglarze usiedli do wiosel i statek powoli wypłynął z portu. Na środku zatoki załoga podniosła żagiel. Płótno załopotало, chwyciło wiatr i wydeło się mocno, niosąc statek ku sekretnemu przesmykowi.

Stojąc na rozgrzanym przez słońce piasku i patrząc, jak statek maleje w dali, pomyślałam: Tam, w rękach bandy niepiśmiennych iliryjskich piratów, którym tylko łupy w głowie, spoczywa nadzieja całego narodu.

Ale już się stało i nic więcej nie mogłam zrobić. Po wielu dniach – tygodniach, a może miesiącach – z moich ramion spadło straszne brzemie pośpiechu, a ja osłabłam z ulgi. Teraz, kiedy nikt mi nie zagrażał, zadrżałam. Łzy zaćmiły mi oczy i z trudem powstrzymywałam się od mrugania, gdy patrzyłam na malejące żagle statku Nikanora.

–Nie bój się, pani – powiedział Glaukos życzliwie, widząc moje cierpienie. – To porządne chłopaki, co do jednego, i wrócą zanim się spostrzeżesz. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. – Niezdarnie poklepał mnie po rękę, a ja z twarzą mokrą od łez pokręciłam w milczeniu głową. – Już dobrze, dobrze, nie płacz, dziecko... Zabrać cię do domu Kazana?

–Tak, proszę – szepnęłam, nie ufając swojemu głosowi.

Dzięki niech będą Elui, że to zrobił, bo gdy ruszyliśmy, łzy popłynęły strumieniem. Nie zapłakałam ani razu w La Dolorosie. Gdy Benedykt skazał na śmierć Remy'ego i Fortuna, rozpacz przemieniła moje serce w kamień. Kamień pękł dopiero wtedy, gdy zobaczyłam Joscelina, ale nadzieja zgasła zbyt szybko. Jej miejsce na powrót zajęła rozpacz, mój dobrze znany towarzysz.

Rozbiła mnie ta nowa, nikła nadzieja i wielka fala długo odpieranego smutku. Szłam jak lunatyczka, nieświadomie stawiając jedną nogę przed drugą. Glaukos jakoś doprowadził mnie do domu Kazana. Mówił coś cicho do Marjopi, gdy leżałam na łóżku, zwinięta w kłębek i wstrząsana bezgłośnymi, gwałtownymi szlochami.

Wystarczy powiedzieć, że tego dnia na nowo przeżyłam tę nieskończenie długą chwilę, gdy w sali Benedykta patrzyłam na śmierć moich kawalerów, brutalnie mordowanych na mych oczach. Remy, klnąc, bronił się Przez kilka sekund, po czym runął niczym upolowany jeleń. Fortun był o krok od ucieczki, jego wyciągnięta ręka zostawiła krwawą smugę na drzwiach. Przeżyłam to wszystko i więcej, każdą minutę każdego dnia spędzonego w lochach La Dolorosy; wspomniałam biednych, strasznych szaleńców i, na Eluę, przygłupiego, miłego Tito, który przyniósł mi miód i zginał w mojej obronie.

I grozę na twarzy Joscelina...

Naprawdę, nosiłam imię przynoszące pecha.

Płacz leczy, powiadają w Ejszecie; nie wylane łzy jątrzą w duszy jak wrzód. Nie wiem, prawda to czy nieprawda. Płakałam, aż zabrakło mi łez, i wreszcie zapadłam w długi, głęboki sen, jak tamtej pierwszej nocy w domu Glaukosa.

Potem rozpoczęły się długie dni czekania, które nauczyły mnie współczucia dla kobiet wypatrujących całymi dniami żagli na horyzoncie i modlących się o szczęśliwy powrót ukochanych. Glaukos codziennie przychodził do domu Kazana i razem

siadaliśmy w cieniu cyprysów, pojadając solone melony. Glaukos uczył mnie iliryjskiego. Jemu nauka zabrała prawie trzy lata, ale przecież w przeciwieństwie do mnie nie miał fachowego przygotowania. Poprosiłam go, żeby postępował wedle moich zasad, zaczynając od podstaw gramatyki i posuwając się dalej.

Czasami dołączał do nas Lukin, a także inni młodzi ludzie. Wylegiwali się w cieniu i przysłuchiwali, wtrącając żarty przyprawiające Glaukosa o rumieniec. Przy okazji podchwycili parę słów w caerdicci, choć przychodzili głównie po to, żeby patrzeć na mnie. W ten sposób poznałam romantyka Epafrasa, który wzdychał i wywracał oczami jak szczenię; nieśmiałego Oltukha, który pływał jak ryba i przynosił mi naszyjniki z muszelek nanizanych na rzemyki;

Stajeo i Tormosa, którzy byli braćmi i rywalizowali ze sobą bez końca; Volosa, o którym wszyscy mówili, że umie rozmawiać z ptakami; Uszaka, który miał uszy sterczące niczym ucha dzbana.

Żaden z nich nie śmiał mnie tknąć, bo niezależnie od statusu zakładników w Dobreku, należałam do Kazana – a jego szanowali. Kazan Atrabiades okazywał większą pobłażliwość, niż się spodziewałam. Kpiącym okiem patrzył na swoich chłopaków i tylko czasami przysyłał któregoś ze starszych, poważniejszych mężczyzn, żeby zapędzili ich do pracy. Mieli do wykonania wiele różnych zadań, które, jak się zdaje, wypełniają życie korsarza: łatanie żagli, naprawa takielunku, wyrabianie paku ze smoły, uszczelnianie kadłubów i tak dalej, i tak dalej.

Organizowano wyprawy handlowe na wyspy archipelagu. Kazan raz popłynął w tę samą stronę, co Nikanor, i wrócił na drugi dzień, zadowolony z korzystnej sprzedaży łupów. Przed tą podróżą dotrzymywał obietnicy, nie przynaglając mnie do wywiązania się z umowy. Po powrocie zrozumiałam, że cały czas o tym myślał, bo wodził za mną złąknionym spojrzeniem.

Rankiem nadzorował rozdawanie ziarna, które dostał w zamian za swoje towary. Mieszkańcy wyspy nie używali pieniędzy, tylko wymieniali się usługami, a także winem, wełną i innymi produktami. Później miałam lekcję z Glaukosem, a kiedy przeminął największy skwar, przyszedł Kazan.

–Chodź ze mną – powiedział. – Chcę ci coś pokazać. Umiesz jeździć konno? Podobno w twoim kraju uczą się tego wszystkie szlachetnie urodzone damy.

–Dama czy nie, umiem jeździć.

Już przygotowali konie. Młody Epafras trzymał uzdę i obrzucał mnie pełnymi uwielbienia spojrzeniami, gdy dosiadałam spokojnej kobyłki. Kazan zwinnie skoczył na siodło starego wałacha. Po reakcji wierzchowca poznałam, że jeździł na nim od dawna i dobrze, zapewne używając go do walki. Wcześniej nadmieniłam, że wałach

przypominał starego kawaleryjskiego konia, z licznymi szramami na piersi i bokach.

–Jedziemy – powiedział krótko Kazan.

Pojechaliśmy do podnóża wzgórz, gdzie zaczynały się sosnowe lasy, i skręciliśmy na szlak biegnący w głębokim, zielonym cieniu. Tutaj grunt był wydeptany przez ośle kopyta i poślubiony wleczonymi do wioski pniami. Oddychałam głęboko, nieco chłodniejszym, aromatycznym powietrzem. Gdy się wspinaliśmy, otaczały nas coraz większe drzewa starego boru, w którym, jak mówią Ilirowie, mieszkają Leskii. Są to zielonookie strażniczki lasu, porośnięte czarnym futrem, z kopytkami zamiast stóp. Każdego, kto ścina i zabiera drzewo bez pytania o pozwolenie, Leskii skazują na błąkanie się po lesie do śmierci, po której ciało nieszczęśnika użyźnia ziemię.

Sama niemal w to uwierzyłam, gdy szlak się urwał i ruszyliśmy węższą ścieżką oznakowaną nacięciami na drzewach. Była stroma, nie mogliśmy więc jechać obok siebie. Rozglądałam się po lesie, na wpół przekonana, że zobaczę parę zerkających zielonych oczu. Kazan nie okazywał strachu. Glaukos powiedział prawdę – nie bał się niczego poza swoim osobistym demonem.

Po godzinie dotarliśmy na szczyt, ani razu nie napotykając Leski. Drzewa ustąpiły nagiej skale, z której roztaczał się malowniczy widok na archipelag. Przyznaję, wstrzymałam oddech z podziwu, kiedy ujrzałam wyspy otaczające nas ze wszystkich stron. W przedwieczornym słońcu odległe morze lśniło niczym bite złoto, a na horyzoncie ciemniały zamglone wyspy. W dole leżała zatoka, rozcapierzona jak szczypce kraba.

Na wierzchołku stała chata obserwatora, a obok w kręgu oczyszczonej ziemi piętrzył się wielki stos drewna. Dwóch ludzi wyszło nam na spotkanie, z uśmiechem oddając honory Kazanowi. On przywitał ich w swojej mowie, którą rozumiałam już całkiem dobrze. Poklepując ciemny od potu kark kobyłki, zastanawiałam się, po co mnie tu przyprowadził. Wtedy wyciągnął rękę w kierunku zachodu i powiedział:

–Tam.

Dostrzegłam niewyraźny zarys wyspy – nazywała się Halijar – leżącej najbardziej na lewo. Za nią rozciągało się puste morze, przecięte szerokim, lśniącym pasem odbitych promieni słońca.

–Panie? – zapytałam grzecznie.

–Gdzieś tam jest Marsilikos, hę? – powiedział, patrząc na mnie z ukosa. – Uznałem, że chciałabyś to zobaczyć. Kiedy Nikanor wróci, powiadomi nas posłaniec i stąd ujrzemy żagle. Będiesz wiedziała, kiedy przybędzie statek.

Wzruszyła mnie ta niespodziewana uprzejmość, do oczu napłynęły łzy i widok się

rozmył.

–Dziękuję – powiedziałam szczerze.

–Tak. Nie ma za co. – Kazan swobodnie siedział w siodle, z rękami skrzyżowanymi na łęku, i patrzył na mnie. – Pomyślałem także, że już wydobrzałaś. Mamy umowę.

Odetchnęłam głęboko, czując tylko lekki ból w okolicy żeber, i powoli odetchnęłam.

–Tak, panie. Dotrzymam jej.

Kazan skłonił głowę.

–Dziś wieczorem, dobrze? – powiedział i dodał z uśmiechem: – Albo wcześniej, jeśli pojedziemy szybko!

Roześmiałam się wbrew sobie.

PIĘĆDZIESIĄT CZTERY

A jednak Kazan nie naglił; utrzymał swój zapał w ryzach i jechał w umiarkowanym tempie. Zapadał zmierzch, gdy dotarliśmy do domu i oddaliśmy konie Lukinowi i Oltukhowi. Zobaczyłam, że taras jest przygotowany do kolacji.

Stara się, pomyślałam. Chce zrobić to przyzwoicie.

–Jeśli nie masz nic przeciwko, panie – powiedziałam, skubiąc spódnicę – chciałabym się wykąpać i przebrać w coś, co nie pachnie koniem. Tak robimy w Terre d'Ange.

–Domyśliłem się tego – odparł z rozbawieniem. – Wy, D 'Angelinowie, stale się kąpicie, hę? Idź.

W pokoju czekała suknia z różowego adamaszku, wyprasowana gorącymi żelazkami. W łaźni znalazłam czyste lniane ręczniki i flaszeczkę wonnego olejku. Rozweseliła mnie myśl o tych przygotowaniach i pomyślałam o Kazanie z większą sympatią.

Niemniej jednak wymusił na mnie ten układ i tego mu nie wybaczyłam. Wyraziłam na niego zgodę, a ponieważ służyłam Naamie, decyzja była wiążąca. Rozmyślałam o tym w spowitej parą łaźni, wcierając w skórę pachnący olejek. Nawet Naama oddawała się za mniejsze korzyści.

Może ten sam cel osiągnęłaby innym sposobem, ale taki był jej dar i taki sama ofiarowywała. Cóż, pomyślałam, czesząc włosy w sypialni, ja, jej sługa, jestem w podobnej sytuacji. Niech zatem się stanie, wywiążę się z tego. Naamo, błagam, dopilnuj, żeby Kazan Atrabiades wypełnił swoją część umowy. Oddaję się w twoje ręce i polecam twojemu miłosierdziu.

W łamanym iliryjskim zapytałam Marjopi, czy mogłaby pożyczyć mi lusterko. Popatrzyła na mnie koso i zrobiła znak chroniący przed złym urokiem, niezadowolona z tych wieczornych przygotowań. Dobrze wiedziałam, że llirowie nie boją się luster, bo widziałam u Zilje zwierciadełko z brązową rączką. Ja nie miałam lustra, kosmetyków, ozdób ani spinek do włosów, ale zrobiłam, co mogłam. Zapięłam długi naszyjnik z błyszczących muszelek, podarowany mi przez Oltukha, i związałam włosy w luźny węzeł na karku.

To musiało wystarczyć.

I wystarczyło, jak sądzę, bo gdy wyszłam na taras, Kazan nawet nie drgnął, tylko patrzył na mnie z otwartymi ustami. Każdy, kto służy Naamie, z czasem poznaje to uczucie: kiedy człowiek oddaje się Naamie, jej łaska spowija go jak płaszcz. Tak

mówiła moja nauczycielka Cecylia Laveau-Perrin, która przez długie lata była chlubą Domu Cereusa. Stwierdziłam, że miała rację.

–Ty... – zaczął Kazan chrapliwie, podnosząc się z ukłonem – ty możesz wzbudzić zazdrość bogów.

Oddanie się w ręce Naamy przynosi coś więcej – pożądanie. Ogarnęłoby mnie prędzej czy później, ale wsparte przez Strzałę Kusziela zbudziło się szybciej. Patrzyłam na Kazana Atrabiadesa i czułam, jak krew przyspiesza w moich żyłach.

Kazan nie był odpychający, jak stwierdziłam z niechęcią. Jego dzika uroda sprawiała, że wszystkie młode kobiety Dobreku wodziły za nim wzrokiem. I w pewien sposób był próżny; nie podobała mi się iliryjska moda na szpiczaste wąsy i brody, musiałam jednak przyznać, że on dbał o zarost. Co więcej, złożył wizytę w łaźni i jego czarne włosy lśniły po wyszczotkowaniu.

Razem wzięwszy, prezentował się dość elegancko.

Noc była piękna, powietrze balsamiczne, jasne gwiazdy mrugały na czarnym baldachimie nieba. Morze szeptało i wzdychało, gdy jedliśmy pieczone w rozmarynie i faszerowane kozim serem kurczę oraz sałatkę z soczewicy i natki pietruszki – popijając to winem, dużą ilością wina. Było czerwone, młode i trochę cierpkie, ale nie odmawiałam i za jego sprawą lampy zapłonęły jaśniej. Kazan wypijał po dwa kubki na każdy mój jeden, nie odrywając ode mnie spojrzenia. W pewnej chwili zaczął mówić trochę niewyraźnie, wiedziałam jednak, że nie wino, lecz żądza plątała mu język.

Sznur można napiąć mocno, ale w końcu pęknie, i tak było z nim. Służąca jeszcze nie zdążyła zabrać nakryć, kiedy odepchnął krzesło i wstał, wyciągając rękę.

–Chodź tutaj – wyszeptał chrapliwie.

Ja, sługa Naamy, poszłam.

Objął mnie w talii i rozchylił językiem moje usta, całując je z zapalem, z jakim głodny zabiera się do jedzenia. Niecierpliwość wstrząsnęła mną niczym uderzenie gromu. Zarzuciłam mu ręce na szyję, czując, jak jego długie włosy muskają moją nagą skórę, gdy oddawałam pocałunek. Kazan jęknął głośno, nie przerywając pocałunku. Opuścił ręce na moje pośladki, ugniatając je i naciskając. Gliniane naczynia spadły na ziemię, gdy przechylił mnie przez krawędź stołu, mocno napierając biodrami. Odchyliłam głowę, gdy pieścił moje piersi, aż brodawki zesztyniały pod materiałem sukni. Przesunął usta na moją szyję, jakby chciał zjeść mnie w całości, i jednym szarpnięciem zerwał naszyjnik z muszelek.

Mniejsza z tym, pomyślałam niemądrze, Oltukh zrobi mi drugi. Sądziłam, że Kazan weźmie mnie tu i teraz; Elua świadkiem, byłam bardziej niż chętna. To on się

pohamował, unosząc głowę i dysząc ciężko.

–Nie tutaj, to nie przystoi – wychrypiał. – W środku!

W środku czy tutaj, dla mnie to bez znaczenia. Kazan chwycił moją rękę tak mocno, że poczułam ból, i pociągnął do domu. Ujrzałam w przelocie twarz Marjopi, zbyt zdumioną, by okazać dezaprobatę. Szybki jak wiatr Kazan zawlókł mnie do sypialni i zatrzasnął drzwi.

–Tutaj – powiedział, wyciągając rękę.

–Zaczekaj – szepnęłam. Trochę ochłonęłam i podprowadziłam go do łóżka. Pokój był oświetlony tylko przez jeden gliniany kaganek. Kazan patrzył na mnie namiętnie. Stałam przed nim, rozwiązałam tasiemki sukni i zsunęłam ją z ramion. Uklękłam, żeby zdjąć mu skórzane buty.

Rozbieranie siebie i klienta jest pierwszą sztuką alkowy, której uczy się każdy adept Dworu Nocy – pierwszą i zarazem najtrudniejszą, gdyż w przeciwieństwie do aktu miłosnego sama w sobie jest pozbawiona wdzięku. Jako anguissette nie praktykowałam jej często, wiedziałam jednak, co i jak należy zrobić. Kiedy zdjęłam buty, podniosłam się z klęczek, żeby rozebrać go z koszuli. Jest w tym pewna sztuczka, wkładanie rąk pod rąbek i przesuwanie ich po ciele w trakcie ściągania koszuli. Czułam, jak pierś Kazana wznosi się i opada w szybkim oddechu.

Kiedy rozpinałam spodnie, czubkami palców muskając uwięziony fallus, z jego gardła popłynął nieartykułowany dźwięk. A jednak wstał posłusznie, a ja powoli opuściłam spodnie. Lekko przeciągnęłam paznokciami po skórze ud i łydek, osuwając się na kolana.

I na tym skończyły się d'Angelińskie subtelności. Kazan Atrabiades, który dygotał niczym koń ucięty przez gza, rzucił mnie na wielkie łożo ze złożonym zagłówkiem. Jego twarz wisiała nad moją, czerwona z triumfu i podniecenia, gdy zakładał moje nogi na swoje ramiona. Z potężnym jękiem ulgi wtargnął we mnie aż do końca.

Trwało to długo, bardzo długo według mojej znajomości rzeczy.

Spodziewałam się, że skończy szybciej, ale Kazan, choć niecierpliwy, znał wartość samokontroli i nie był niewyżytym młodzieńcem, który szuka upustu w krótkim, gwałtownym wybuchu. Trudnił się rabunkiem i zasady walki z wrogiem stosował wobec kobiet. Zadawał mi długie, miarowe pchnięcia, stopniowo zwiększając tempo, a gdy już balansowałam na progu spełnienia, zwalniał i zaczynał od nowa. Szlochałam z frustracji i wbijałam mu paznokcie w plecy, błagając po d'Angelińsku. Dopiero gdy obrabował mnie doszczętnie, sam oddał się rozkoszy i jego twarz straciła wyraz w kulminacyjnej chwili.

Później zasnął, jak człowiek, który osiągnął cel po długiej, ciężkiej pracy. Ponieważ nie kazał mi wyjść, zostałam i leżałam obok niego, rozmyślając długo po tym, jak lampka zaskwierczała i zgasła. Wspominałam kriawboga i zastanawiałam się nad tajemnicą Kazana. W końcu powieki zaczęły mi ciążyć i ja też zapadłam w sen.

Kiedy się zbudziłam, słońce wisiało wysoko nad horyzontem, a Kazana nie było.

Marjopi podała mi śniadanie złożone z daktyli i miodu do maczania chleba. Rzuciła na mnie złym okiem i mamrotała coś pod nosem. Posiliłam się w jasnej, zalanej słońcem kuchni, mając do towarzystwa koty, które ocierały się o stołowe nogi. Staralam się puszczać marudzenie Marjopi mimo ucha, ale w końcu nie wytrzymałam.

–Trochę rozumiem, co mówisz – powiedziałam po iliryjsku. – I powiem ci, że nie chcę skrzywdzić Kazana. Kiedy Nikanor wróci, odejdę.

Obrzuciła mnie takim samym spojrzeniem jak wówczas, gdy poprosiłam o lustro – jakbym była kotem, który znienacka przemówił ludzkim głosem.

–Sama w sobie nie jesteś zła, wiem – wyznała niechętnie. – Ale będzie lepiej, gdy odejdziesz prędzej niż później, zanim skradniesz mu serce. – Wskazała na moje lewe oko, naznaczone przez Strzałę Kusziela. – To świadczy o pechu, a kiedy klątwa krwi skrzyżuje się z

klątwą krwi, ktoś umrze.

Znaczenia pewnych słów mogłam się tylko domyślać, lecz zrozumiałam sens jej wypowiedzi.

–Nie wypuści mnie, dopóki nie dostanie pieniędzy. Marjopi, dlaczego Kazan został obrzucony... – potknęłam się na słowie – klątwą krwi? Czy dlatego, że zabił brata? Dlaczego?

Nie chciała odpowiedzieć. Odwróciła się, mamrocząc coś niezrozumiale.

Tak oto ustalił się wzór dni i nocy wypełnionych czekaniem. Brak mi słów na opisanie mojego związku z Kazanem Atrabiadesem, bo pod wieloma względami odbiegał od dotąd mi znanych. W dzień traktował mnie jak gościa i czasami odgrywał tę rolę tak dobrze, że sam się zapominał, ja jednak pamiętałam. W nocy było na odwrót: niekiedy ja zapominałam, że trafiłam do jego łóżka, ponieważ jestem zakładniczką, a nie służą Naamy.

I, co najdziwniejsze, czasami myślałam o nim niemal jak o przyjacielu.

Gdy czuł lekkość w sercu, lubił przeciągać pogawędki i miłosne igraszki do późnej nocy. A potem, w ciągu dnia, ludzie bez końca wymyślali przyczyny jego

niewyspania.

–Zeszłej nocy Kazan miał pchły w łóżku i nie wyspał się, bo wszystko go swędziało – mawiali z jak najbardziej poważnymi minami. Nazajutrz ktoś inny komentował: – Pohukiwanie sowy nie dawało mu zasnąć. Uważajcie, jest zły jak osa!

A Glaukos czerwieniał, bo wiedział, że to rozumiem.

Nieraz Kazan był zadumany i zamknięty w sobie, i wtedy cienie czające się w kątach pokoju budziły mój niepokój. Pewnej nocy zbudziłam się i zobaczyłam, że stoi w prostokącie księżycowej poświaty, trzymając w ręce drewnianego żołnierzyka.

–Kazanie – zagadnęłam cicho, siadając na łóżku. – O co chodzi?

Po długiej chwili milczenia odparł szorstko:

–Nieważne. Coś mi się przyśniło. To nic takiego. Śpij.

Patrzyłam, jak pieczołowicie odkłada zabawkę i zamyka szufladę; nie zbliżyłam się do niej od dnia, kiedy mnie na tym przyłapał.

–Czasami w snach zawarta jest prawda. Miałam sen, który wysłał mnie do La Serenissimy. Opowiedz mi o swoim, panie, może zdołam ci pomóc...

–Śnił mi się brat, jako mały chłopiec – przerwał mi Kazan ponurym głosem. – Przychodzi do mnie cały we krwi i pyta, czemu go zabiłem!

Wstrzymałam oddech, a on patrzył na mnie gniewnie z drugiej strony pokoju. Odczekałam trzy uderzenia serca i zapytałam cicho:

–Dlaczego to zrobiłeś?

Przez krótką wieczność tylko patrzył, a potem gniew uszedł z niego w drżącym westchnieniu i Kazan usiadł na brzegu łóżka, chowając twarz w dłoniach. Ledwo słyszałam stłumione słowa.

–To był wypadek.

Sztuki Naamy, wbrew opinii ignorantów, służą nie tylko zaspokajaniu potrzeb cielesnych. Tej nocy wyciągnęłam historię z Kazana jak cierń, kawałek po kawałku. Ród Atrabiadesów był stary i szlachecki. Jego ojciec służył jako kapitan gwardii bana i mieszkał w Epidauro. Miał szlachetnie urodzoną żonę i dwóch synów. Kazan był wojownikiem, budzącym ojcowską dumę, a Daroslav uczonym, oczkiem w głowie matki. Kiedy ojciec poległ w potyczce, Kazan zrezygnował ze służby w marynarce, żeby pójść w jego ślady, i wstąpił do gwardii.

Zdarzyło się to jakieś dziesięć lat temu, gdy miał dwadzieścia dwa lub trzy lata. Był bystry i szybko awansował, aż został dowódcą oddziału. W tym czasie Cesare Stregazza, doża La Serenissimy, postanowił podporządkować sobie całą Ilirię i osadzić w Epidauro swojego regenta.

I w tym czasie Daroslav, brat Kazana, wrócił do domu z Tyberium, wbrew życzeniu matki przerywając studia.

–Błagał bez końca – powiedział mi Kazan, przywołując wspomnienia. – Studiował wielkie bitwy, dzieje wielkich generałów. Zawsze chciał być taki jak ja, wiesz? Chciał nosić miecz, chciał być żołnierzem i walczyć za Ilirię jak nasz ojciec. Marzył o tym od dzieciństwa, pragnął zostać bohaterem z historycznych opowieści. A nasza matka była taka dumna, że ma syna uczonego. Wymarzyła sobie dla niego życie wielkiego męża stanu, a nie śmierć na końcu włóczni, jaka spotkała ojca... i jaka według niej mnie jest pisana.

Nalałam wody z dzbana, który stał na nocnej szafce, i podałam mu kubek. Wypił jednym haustem i opowiedział resztę. Gwardziści bana starli się u podnóża gór z serenissimskim oddziałem i dowiedzieli się od jeńców, że wróg za dwa dni planuje napaść na arsenał w Epidauro. Gwardziści postanowili, że ukryją się w zbrojowni, urządzając zasadzkę na napastników. Kazan uległ prośbom Daroslava i wyjawiał mu plan, żeby mógł przyglądać się akcji z bezpiecznej odległości.

To nie wystarczyło Daroslawowi Atrabiadesowi, który od wielkich generałów z przeszłości nauczył się taktyki. Obmyślił atak na straż tylną. Uzbrojony w drugi miecz swojego brata, zebrał garść młodych ludzi, którzy też chcieli służyć w gwardii bana. Kiedy pułapka się zatrzasnęła, napadli na tyły Serenissimczyków.

Daroslav walczył bardzo dobrze. Pierwszemu zabitemu wrogowi zabrał hełm i wysoką tarczę. Tak uzbrojony, przedarł się przez szereg Serenissimczyków i triumfalnie wbiegł do arsenału, żeby zająć miejsce u boku sławnego brata.

–Otworzył ramiona – powiedział Kazan. – Odstłonił się i wykrzyknął moje imię. A ja widziałem tylko hełm i tarczę, rynsztunek Serenissimy. Trafiłem go sztychem w serce.

Myślałam... nie wiem, co myślałam. Coś innego – kłótnia, kobieta, sama nie wiem. Znając porywczosć Kazana, łatwo było uwierzyć, że jest łotrem spod ciemnej gwiazdy. Mogłam spodziewać się wszystkiego, lecz nie tej strasznej, tragicznej ironii losu.

–Przykro mi – szepnęłam w końcu. – Wierz mi, panie, naprawdę.

Poruszył się, a ja pomyślałam, że prawie zapomniał o mnie w trakcie opowieści.

–To nie ma znaczenia – powiedział twardszym głosem. – Co się stało, to się nie odstanie. Została mi tylko klątwa krwi, rzucona przez zrozpaczoną matkę. Wyrzekła gorzkie słowa, gdy przynieśliśmy Daroslava do domu, kiedy szedłem za marami z krwią brata na rękach. Już nie mam domu, nie mogę wrócić do Epidauro, bo kriaubog połknie moją duszę. Czeka i wypatruje, ale tak szybko mnie nie dostanie! – Wbił dzikie spojrzenie w mrok w kątach pokoju, jakby zachęcał stwora do rzucenia wyzwania.

Taka oto była historia Kazana Atrabiadesa, który zabił ukochanego brata. Udało mi się sprawić, że zasnął, i duch Daroslava nie nękał go ani tej, ani w czasie następnych nocy.

PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ

Padął drobny deszcz, gdy wrócił statek Nikanora.

Siedziałam z Glaukosem na ławce w arkadzie, ciesząc się chłodnym powietrzem i szlifując iliryjski, kiedy ze szczytu przybył zadyszany, bosy goniec. Ktoś pobiegł po wodę dla niego, ktoś inny pospieszył powiadomić Kazana.

Wszyscy wylegli na plażę. Wiatr osłabł i zdawało się, że minęły wieki, zanim żaglowiec pokonał spokojną zatokę. Co chwila przecierałam zalewane deszczem oczy, starając się panować nad zniecierpliwieniem.

Z bliska zobaczyłam, że coś się zmieniło: załoga Nikanora była uszczuplona. Wyruszyło dwunastu piratów, a na pokładzie naliczyłam nie więcej niż sześciu. Kazan też to spostrzegł. Z zadumaną miną wyciągnął miecz i pozdrowił przybyłych. Mieszkańcy zgromadzeni na brzegu nie kryli niepokoju. Umieili liczyć, a na statku wypłynęli ich synowie, bracia i mężowie.

Nikanor wydał okrzyk powitalny i uniósł miecz w salucie, gdy wiosłarze dobijali do kei. Kilku ludzi Kazana zwinnie wskoczyło na pokład, by pomóc zwinąć żagle, podczas gdy wiosłarze odpoczywali wsparci na wiosłach.

–Zaczekaj tutaj – powiedział do mnie Kazan, kierując się ku przystani.

Czekałam w udręce, gdy rozmawiał z Nikanorem. Z ich gestów i min próbowałam odczytać, co się wydarzyło. Kazan był pochmurny, ale nie wściekły; Nikanor coś mu wyjaśniał. W tym czasie ludzie zeszli do ładowni, skąd wydobyli ciężkie kufry, przeniesione następnie na plażę. Wszyscy stłoczyli się dokoła, wytężając wzrok i słuch, a ja z nerwów dosłownie wychodziłam z siebie.

Kazan zszedł z Nikanorem na ląd i przemówił do mieszkańców wioski, rzucając okiem w moją stronę.

–D'Angelinowie spełnią nasze warunki – oznajmił po iliryjsku (w tym czasie bardzo dobrze rozumiałam ten język, choć miałam jeszcze kłopoty z mówieniem) – ale zatrzymali sześciu ludzi jako porękę do czasu dopełnienia umowy. Na dowód dobrej woli przystali to. – Rozkazał otworzyć kufry.

W posępnym świetle błysnęły złote monety, świeżo wybite d'Angelińskie dukaty z eleganckim profilem Ysandry po jednej stronie i z lilią z siedmioma gwiazdami Elui i jego Towarzyszy po drugiej. Dokładnie połowa okupu za moją osobę – piętnaście tysięcy w złocie.

Wieśniacy westchnęli cicho. Przypuszczam, że żaden z nich dotąd nie widział takiej

ilości złota zebranej w jednym miejscu. Kazan uśmiechnął się jak wilk. Podbił ich serca i dobrze o tym wiedział.

–Nasi chłopcy bezpiecznie powrócą do domu, gdy tylko pani Fedra wróci do swojego ludu! – zawołał. Odpowiedziały mu wiwaty. Niektórzy stojący najbliżej ściskali mi ręce na znak

podziękowania, jakbym z własnej woli dawała im okup.

Kazan polecił przenieść kufry do skarbca i tłum zaczął się rozpraszać. Złapałam Nikanora za ramię, gdy mnie mijał.

–Proszę, panie kapitanie – zagadnęłam w kulawym iliryjskim – czy Pani Marsilikos przysłała mi wiadomość?

Nikanor zatrzepotał powiekami i wyprostował ramiona.

–Mówi... tak, przesyła. Nie napisała listu, z obawy że zostaniemy schwytani. Kazała ci powiedzieć, że twój wuj otrzymał wiadomość i spieszy z obiecaną pomocą. I że uwolni naszych ludzi, jeśli postąpimy uczciwie. – Złożył lekki ukłon, a ja zobaczyłam na jego twarzy głębokie bruzdy goryczy i znużenia. – Tyle wystarczy, mam nadzieję.

–Tak. – Puściłam jego rękę. – Dziękuję, panie kapitanie. Wystarczy.

Wystarczyło, musiało wystarczyć. Na to właśnie liczyłam, a jednak... mogło być więcej.

Kazan, Nikanor i jego ludzie odszpuntowali beczułkę piwa i odbyli wieczorem prywatną naradę, która przeciągnęła się do późnych godzin nocnych. Położyłam się na wąskim łóżku gościnnym po raz pierwszy, odkąd Kazan zabrał mnie na szczyt wzgórza. Słuchałam głosów niesionych przez nocną bryzę. W końcu mężczyźni zaczęli wydzierać się pijacko i śpiewać iliryjskie pieśni wojenne. Poznałam już trochę Kazana Atrabiadesa i wiedziałam, że zależy mu na powrocie ludzi, całych i zdrowych. Nie mogłam winić Roxanny de Mereliot, ale decyzja zatrzymania zakładników do czasu mojego powrotu była ryzykowna. Myślałam, że uwierzy wysłannikom na słowo.

Z drugiej strony, bez nich nie miała żadnej gwarancji; piętnaście tysięcy dukatów to ogromna suma, a Kazan mógłby przecież zadowolić się połową okupu i zabić mnie na poczekaniu. Podjęła mądrą decyzję. Powtarzałam to sobie i modliłam się, żeby tak wyglądała prawda, aż usnęłam, ukołysana cichym brzmieniem pieśni wojennych.

Rankiem Kazan był szorstki i zamyślony. Unikał mnie i zamknął się z kapitanami, żeby omówić strategię. Znalazłam Lukina, który sprawdzał oszczepy w zbrojowni, i spróbowałam zasięgnąć języka; nauka iliryjskiego posuwała się na tyle dobrze, że mogłam to zrobić.

–Jest wściekły, pani – powiedział Lukin, wruszając ramionami. – Choć sam pewnie zrobiłby to samo. A jednak narażać ludzi, a potem płynąć na statku z połową załogi... Ale to nie twoja wina i Kazan wie o tym, jak myślę.

–Gdzie... odbędzie się... wymiana?

–Przy południowym wybrzeżu Caerdicci, niedaleko Baro, znajduje się mała wyspa. Niewielkie statki kupieckie czasami zawijają tam po słodką wodę, ale poza tym na wyspie nie ma nic wartościowego. Serenissimczycy nie mają powodu, żeby tam stacjonować, a Baro nie posiada floty wojennej. D'Angeliński statek powinien już być w drodze, bo przecież to powolna krypa. – Uśmiechnął się szeroko; Ilirowie nie mają szacunku dla innych żeglarzy.

–Wymiana odbędzie się na lądzie?

Lukin pokręcił głową.

–Nie, rzucimy kotwicę na morzu, staniemy burta w burtę. My jesteśmy zwrotni, pani, bardziej zwinni niż galery wojenne czy statki kupieckie. Kazan nie lubi rezygnować z tego atutu. I nie wyda cię, dopóki jego ludzie nie będą bezpieczni.

W drugim końcu zbrojowni dwaj mężczyźni rachowali beczułki smoły i robili strzały zapalające, okręcając drzewca szmatami. Kazan Atrabiades podejmuje wszelkie środki ostrożności, pomyślałam.

–Ale mnie wyda?

–Oczywiście! – Lukin poderwał głowę, jakbym uchybiła jego honorowi. – Jeśli twoi ludzie nie zdradzą – dodał ponuro.

–Nie zdradzą – powiedziałam cicho, wychodząc ze zbrojowni.

Przez cztery dni szykowaliśmy się do podróży. Miałam rację, Kazan przygotowywał się na najgorsze. Przez trzy dni z rzędu bez litości musztrował swoich ludzi. Ćwiczyli walkę wręcz na miecze, a także rzucali oszczepami i strzelali z łuków do wypchanych słomą kukieł. Strugi potu lały się z nich w palącym słońcu i przeklinali go w żywy kamień. Mogłam uwierzyć, że dowodził oddziałem gwardii bana. Nie znam się na żołnierskim rzemiośle, ale nie jestem zupełnym dyletantem. Jego ludzie byli dobrze wyćwiczeni; lepiej, niż można by się spodziewać po wyjętych spod prawa zbójcach.

W tym czasie Kazan nie poświęcał mi uwagi i choć cieszyłam się z chwili wytchnienia, nie opuszczał mnie niepokój. Wtedy już dobrze znałam jego umysł i charakter; nie podobała mi się ta ponura obojętność.

W moim odczuciu czas płynął powoli, ale jednak płynął i w końcu Kazan polecił mi

się spakować i przygotować do podróży. Myślałam, że już mnie nie chce, lecz ostatniej nocy zostałam wezwana do wielkiego łoża ze złożonym wezglowiem. Poszłam, modląc się do Naamy, żeby przychylnym okiem spojrzała na swoją sługę, która tak dobrze wypełniła warunki umowy. Tej nocy nie był delikatny – wiedział, jak reaguję na brutalną siłę, choć chyba nie pojmował dlaczego. Jego twarz, gdy trudził się nade mną, była zamknięta i obca. Nie wiem, co widział, pustym wzrokiem spoglądając w przestrzeń – może swojego brata albo zakładników.

Zrobiłam, co chciał, nic na to nie poradzę.

Nazajutrz ruszyliśmy w drogę.

Znowu zebraliśmy się na plaży, gdzie pobłogosławił nas sędziwy kapłan. Wypływaliśmy o chłodnym brzasku, więc drżałam lekko w adamszkowej sukni i wełnianym płaszczu. W wyprawie uczestniczyło sześć żaglowców. Marjopi rzuciła się z płaczem na szyję Kazanowi, który znosił to lepiej, niż mogłam przypuszczać, dopóki nie zaczęła gromić kapłana. Potem stoicko skinęła głową w moją stronę i chyba się cieszyła, że widzi mnie po raz ostatni.

Glaukos, który miał płynąć na naszym statku, już był na pokładzie. Radośnie, cały w uśmiechach, żegnał się z młodą żoną i szwagierką. Obie podeszły do mnie, dziękując mi za

skromny podarek i nie kryjąc podziwu, że władam ich mową. Poznałam ich rodziców, owczarza z żoną, którzy byli małomówni i gapili się, mamrocząc o Vili, przekonani, że ich nie rozumiem.

Wreszcie pożegnania dobiegły końca i Volos, chłopak umiejący rozmawiać z ptakami, pomógł mi wsiąść na statek. Wciągnęłam głęboko w nozdrza zapach wygrzanych na słońcu sosnowych desek. Kazan rozkazał podnieść kotwicę, wiosła się zanurzyły, woda bryznęła w porannym słońcu i dziób statku obrócił się w stronę wyjścia z zatoki.

Zielona woda chlupotała o burty, a rześka bryza wydymała żagle. Kazan wydał rozkaz i jego ludzie wspięli się na maszty, żeby je rozwinać. Jeden, trzy, sześć statków pod żaglami... Mknęliśmy przez rozświetloną zatokę ku wąskiemu przesmykowi, a urokliwa wioska Dobrek małała za rufą.

Ta podróż różniła się od pierwszej, którą odbyłam jako zakładniczka. Spodziewałam się podobnego traktowania, sądziłam, że Kazan wskaże mi miejsce na pokładzie i będę musiała schodzić wszystkim z drogi, ale on przydzielił mi małą kajutę w forkasztelu. Tam często zostawiał mnie samą; przypuszczałam, że na mnie skrupia się jego złość na D'Angelinów, a w szczególności na Panią Marsilikos. Jego ludzie wyświadczali mi drobne grzeczności, kiedy tego nie widział, ale to nie poprawiało mi

samopoczucia. W przeciwieństwie do lekkości i triumfu tamtego pierwszego rejsu, ten cechowała jakaś ponura determinacja.

Przez trzy dni lawirowaliśmy wzdłuż wybrzeża Ilirii. Pogoda dopisywała. Długie, słoneczne lato powoli ustępowało jesieni, ale w tej części świata chłody przychodzą późno. Oceniałam czas po długości dni i zastanawiałam się, gdzie jest teraz Ysandra. Uznałam, że niedaleko; zapewne popłynęła do Ditus na południu Caerdicca Unitas, stamtąd przejechała lądem w górę zachodniego wybrzeża, a potem skręciła na wschód, wizytując północne miasta-państwa nad skałdyjską granicą. Kwintyliusz Rousse będzie miał dość czasu na interwencję. Liczyłam na mądrość Kwintyliusza i to, że powiadomi o wszystkim Ysandrę. Gdy d'Angelińska flota będzie gotowa wystąpić przeciwko La Serenissimie, miasta-państwa Caerdicca Unitas zmobilizują się na lądzie. Ysandra przybędzie do La Serenissimy, mając poparcie armii sprzymierzeńców.

Jedynym zagrożeniem stanowił Percy de Somerville. Nie miałam pojęcia, jak ostrzec przed nim lorda admirała. Było mało prawdopodobne, że Rousse spróbuje zwerbować dowódcę wojsk królewskich do tego przedsięwzięcia. Nie, pomyślałam, prześle wieści do de Somerville'a, ale tylko po to, żeby go uprzedzić. Nie zaryzykuje pozostawienia kraju bez ochrony. Percy de Somerville zaś... Percy de Somerville też nie jest głupi. Obróci się jak chorągiewka na wietrze, byle uratować własną skórę. A jeśli jest z nim Ghislain... Jego oddziały stacjonują w Azalii, gdzie ma swoje włości, po sąsiedzku z Albą; nie ośmieli się wystąpić przeciwko królowej, bo wzbudziłby gniew Drustana mab Necthana. Poza tym Barquiel L'Envers włada jako regent w imieniu Ysandry i dowodzi własnymi siłami.

Będzie dobrze, myślałam, mamy przewagę zaskoczenia, choć straciłam wiele tygodni jako zakładniczka Kazana. Wrócę bezpiecznie i rozgłoszę zdradę de Somerville'a, zanim zdąży zrobić

coś złego. Sieć ludzi wiernych Ysandrze wytrzyma do tego czasu.

Spędzałam czas na takich oto rozmyślaniach, podczas gdy ozłoczone słońcem wyspy przesuwają się wzdłuż wybrzeża. Pewnego dnia Glaukos przywołał mnie i wskazał na wschód, gdzie w dali biegła grobla, łącząca ląd z silnie ufortyfikowanym miastem na wyspie.

–Epidauro – szepnął, jakby się bał, że usłyszy go Kazan. W zatoce tłoczyły się liczne statki, jasne żagle odznaczały się na tle granitowych murów. Ominęliśmy miasto z daleka, lecz mimo to ludzie mrucze pod nosem i czynili znaki chroniące przed złem. Kazan patrzył prosto przed siebie, z zębami zaciśniętymi z gniewu.

Następnego dnia skręciliśmy na zachód na otwarte morze.

Wiatr jednostajnie dał w żagle i statki mknęły niczym skrzydlate stworzenia, rozbijając ciemnoniebieskie fale. Mocno kołysało i dziękowałam Błogosławionemu Elui, że mój żołądek to znosi. Joscelin zrobiłby się zielony i wymiotował; tylko wtedy cieszyłam się, że nie ma go ze mną, i tylko wtedy rozmyślanie o nim skłaniało mnie do uśmiechu. Trochę się bałam, ale żeglowanie z wiatrem w zawody wprawiło mnie w radosny nastrój. Nawet Kazanowi poprawił się humor, choć ciągle starał się na mnie nie patrzeć.

Trzeciego dnia tego etapu podróży znowu spochmurniał. Wydawał krótkie rozkazy, które za pomocą flag sygnalizacyjnych przekazywano ze statku na statek. Z ładowni wyniesiono broń, dla ochrony przed wilgocią owiniętą w nasączone olejem skóry. Piraci naostrzyli miecze, nawoskowali i napięli cięciwy łuków, sprawdzili wyważenie puklerzy i drzewca oszczepów, zmierzili długość lin z hakami do abordażu.

W południe zobaczyliśmy wyspę – wyrastający z morza szary garb z łąką zielonych zarośli nad zatoką i źródłem słodkiej wody. Kilka mil dalej na horyzoncie majaczyło zamglone wybrzeże Caerdicci.

Przed wyspą stała na kotwicy samotna galera. Żagle miała opuszczone, ale na szczycie głównego masztu powiewał znajomy proporzec – srebrny łabędź rodu Courcel. Łzy zapiekły mnie w oczy, a w sercu wezbrała radość.

W pewnej odległości zrzuciliśmy żagle i na rozkaz Kazana wszystkie statki ustawiły się w półksiężyc przed większą galerą. Sześciu żeglarzy na każdym statku usiadło do wiosła, żeby zachować pozycję na rozkołysanym morzu. Po dwóch wdrapało się na forkasztele, skąd mierzyli z łuków w d'Angelińską galerę. Widzieliśmy na jej pokładzie ludzi w lśniących zbrojach, lecz nikt nie dał nam żadnego znaku.

Kiedy Kazan uznał, że wszyscy zajmują wyznaczone pozycje, przeszedł na dziób, złożył dłonie wokół ust i zawołał w caerdicci:

–Nie będzie wymiany, póki moi ludzie nie wrócą! Najpierw muszę wiedzieć, że są bezpieczni! Przyślijcie ich do nas w szalupie!

Ludzie na pokładzie galery odbyli naradę, potem rzecznik stanął przy relingu. Jego słowa niesły się cicho nad wodą, wypowiedane w caerdicci z d'Angelińskim akcentem.

–Pokażcie nam hrabinę!

Glaukos ujął mnie pod ramię i podprowadził do Kazana. Nie wiem, co zobaczyli z tak daleka, ale chyba byli usatysfakcjonowani, bo spuścili na wodę małą szalupę, do której po sznurowej drabince zeszło ośmiu ludzi. Kazan dał znak innym statkom. Czekaliśmy przez długie, dręczące chwile, gdy łódź płynęła w naszą stronę. Trzy iliryjskie żaglowce wzięły na pokład po dwóch ludzi. Sygnaliści powiadomili, że

wszystko jest w porządku. Dwaj wioślarze opuścili wiosła, czekając na rozkaz z galery.

–Teraz przyślijcie złoto! – zawołał Kazan. – A ja pošę dziewczynę!

Na galerze znowu odbyła się narada i rzecznik zawołał:

–Oddaliśmy nasz zastaw, piracie! Przyślij hrabinę i wtedy damy ci złoto.

Wystarczył mi jeden rzut oka na twarz Kazana, by poznać, że odmówi. Błagalnym gestem położyłam mu rękę na ramieniu.

–Panie, proszę! Dałam ci słowo, przysięgam na swoją duszę. Ludzie Jej Wysokości nie oszukają cię, obiecuję!

–Milcz! – Rumieniec przyciemnił mu policzki, gdy spojrział na mnie gniewnie. – Nie wiesz, o czym mówisz! Z piratami nikt nie postępuje uczciwie. Nie będzie wymiany bez złota. – Składając ręce przy ustach, krzyknął do galery: – Nie ma wymiany bez złota!

Mewy zataczały kręgi nad statkiem i ich krzyki wypełniały przedłużającą się ciszę. Czekałam z sercem w gardle, aż w końcu rzecznik odkrzyknął:

–Skoro nie chcesz jej przysłać, sam przyplyń po złoto! To nasza propozycja. Lepszej nie dostaniesz.

Kazan ponuro pokiwał głową. Nie spodziewał się innej odpowiedzi.

–Gotowi? – zapytał drugiego oficera o imieniu Pekhlo.

Pekhlo wydał rozkaz sygnaliście, który pomachał kolorowymi chorągiewkami, przekazując wiadomość na pozostałe statki.

–Wszyscy gotowi, Kazanie.

–W takim razie do roboty. – Kazan podniósł głos: – Naprzód!

Szybkość manewru wprawiła mnie w zdumienie; później nigdy nie wątpiałam w prawdziwość opowieści o pirackich dokonaniach Kazana Atrabiadesa. Przypuszczam, że kapitanowie niezliczonych statków kupieckich bywali równie zdziwieni. Wiosła biły wodę na pianę i żaglowiec błyskawicznie pokonał odległość dzielącą go od galery. Zatrzymał się, rozkołysany, przy wysokiej burcie, drugi podszedł z drugiej strony, a pozostałe podpłynęły w zasięg strzału z łuku. Haki wzbiły się w powietrze i zadudniły na drewnianych relingach galery. Kilkunastu piratów skoczyło do zwisającej drabinki i w czasie krótszym niż trzeba na

wypowiedzenie tych słów stanęli na pokładzie galery.

W cieniu wysokich burt nic nie widziałam, słyszałam tylko tupot nóg, przekleństwa i krótki szczeł broni. Potem zapadła cisza. Spojrzałam na Kazana, który odpowiedział mi ponurym

spojrzeniem.

–Bardzo dobrze, piracie – odezwał się z wyraźnym niepokojem d'Angeliński rzecznik. – Przyślij hrabinę i zabierz swoje przekłete przez Eluę złoto! Nie daliśmy ci powodu do podejrzeń, że złamiemy słowo, a twoi ludzie mają nad nami przewagę.

Sznurowy trap zwisał w pobliżu, a wioślarze pilnowali, żeby podskakujący statek się nie przesunął. Kazan dobył miecza i wskazał nim na mnie.

–Idź – powiedział cicho. – Pójdę za tobą.

Bezmyślnie patrzyłam na sztych broni.

–Panie?

–Idź! – ryknął.

Poszłam, a on o krok za mną, z puklerzem na plecach.

D'Angeliński rzecznik pomógł mi przejść nad relingiem. Nie przywitał się, tylko cofnął szybko, jakbym go miała sparzyć. Kazan stanął za mną i mocno zacisnął wolną rękę na moim łokciu. Wtedy zobaczyłam dlaczego.

Na pokładzie galery tuzin Ilirów, wspieranych przez piratów z pozostałych statków, trzymał w szachu czterdziestu uzbrojonych żołnierzy.

Tylko rzecznik, proporzec de la Courcel i ja mieliśmy jakiś związek z Terre d'Ange.

To była serenissima galera.

PIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ

Odwrociłam się błyskawicznie, wrywając z ręki Kazana.

–Zdradziłeś mnie! – wysyczałam.

Miał twarz bez wyrazu.

–Nie. Wokół cypla Caerdicci urządzono blokadę. Nikanor nie zdołał się przedrzeć. Schwytali go i znaleźli list. – Jakieś przelotne uczucie ożywiło jego rysy. – Przykro mi, tak. Ale pojмали moich ludzi, Fedro. Co miałem zrobić, hę? – Jego głos znowu stwardniał. Obrócił mnie i popchnął do przodu. – To ona – powiedział krótko. – Zabierzcie ją.

Potknęłam się i upadłam na kolana przed krępyim Serenissimczykiem w kapitańskim hełmie, ze znajomą wieżą i karaką Stregazza na piersi.

–To ona? – zapytał głośno, zerkając na Kazana. Nie czekając na odpowiedź, złapał mnie palcami za brodę i spojrzał mi w oczy. – Szkarłatna plamka, na Włócznie! A znaki? – Oburącz rozgarnął mi włosy i spojrzał na kark, gdzie widniało zwieńczenie marki. – Jest. Szkoda takiego piękna. – Puścił mnie i skinął niedbale na dwóch swoich ludzi. – Zabić ją.

Krew w moich żyłach przemieniła się w lód. Stojący kilka kroków dalej Kazan otworzył usta. Piraci, którzy nie znali caerdicci, niespokojnie przestępowali z nogi na nogę i patrzyli na niego, czekając na wskazówki.

–Kapitanie! – Głos d'Angelińskiego rzecznika wyrażał takie samo za skoczenie, jakie malowało się na twarzy Kazana. – Mam rozkaz zawieźć ją do księcia Benedykta!

–Tak – przyznał kapitan uprzejmie. – A ja mam rozkaz dopilnować, żebyś tego nie zrobił. Ta kobieta jest szpiegiem i zbiegłą przestępczynią. Może twój stetryczyły księciunio boi się, że za przelanie jej krwi spadnie na niego jakaś idiotyczna d'Angelińska klątwa, lecz mój pan, Marco Stregazza, nie ma takich obaw. Ona umrze tutaj, strażniku, a twój książę niech idzie na skargę do wielmożnego Marka. Dla dobra Pogodnej Republiki, wykonam rozkazy.

–Kazanie – szepnęłam i zaczęłam się trząść. Patrzył na mnie, wciąż oniemiały. – Pozwolisz im to zrobić?

Nie odpowiedział.

–Aha, tak – mruknął kapitan z zadumą. – Twoje złoto, piracie. – Wyciągnął miecz, wskazując dwie skrzynie stojące na pokładzie. – Weź je i odejdz z naszym

podziękowaniem. Chociaż na twoim miejscu... – Spojrzał znacząco w kierunku dalekiej wyspy, zza której wypłynęły dwie galery wojenne, jednomasztowe biremy napędzane podwójnymi rzędami wiosł. – Oddaliłbym się w pośpiechu, ponieważ nasz układ wygasa z chwilą, kiedy weźmiesz złoto. Dla Pogodnej Republiki życie tej dziewczyny warte jest więcej niż twoje... ale nie aż tak bardzo.

–Kazanie! – krzyknęłam.

Odwrócił pochyloną głowę.

–Rachlav, Zaiko... bierzcie złoto.

Patrzyłam z niedowierzaniem, jak Ilirowie wypełniają rozkaz. Pod czujnym okiem Serenissimczyków czterech ludzi podniosło kufry. Inni osłaniali ich, ustawieni w szeregu na drugiej burcie galery, gdy podawali kufry na iliryjskie statki.

–Dobrze. – Kapitan nie krył zadowolenia. – Jeśli się pospieszysz, wilku morski, może nawet zdołasz uciec, choć na Aszerę, nie życzę ci powodzenia. Ty... – pstryknął palcami na swoich ludzi – i ty. Zróbcie to teraz. Szybko, jak przykazał wielmożny Marco.

Ruszyli żwawo, wybrani niewątpliwie z uwagi na dyscyplinę i lojalność. Walczyłam krótko i nadaremnie. Zmusili mnie do ukłęknięcia na pokładzie. Usłyszałam krzyk protestu, szybko zduszony. To Lukin, pomyślałam. A potem czyjaś ręka mocno chwyciła mnie za włosy i pociągnęła głowę do tyłu, żeby odsłonić szyję. Wszystko stało się tak szybko, że nie miałam czasu na strach, dopóki serenissimski żołnierz nie stanął przede mną, składając się do cięcia.

Zrozumiałem wtedy, że zaraz umrę.

Ta chwila na zawsze została mi w pamięci. Pamiętam słońce lśniąca na skraju główki, obojętną twarz kapitana za plecami mojego kata, nawet rozgrzane deski pokładu pod kolanami. I ryk Kazana, pełen gniewu i furii, narastający, aż w końcu zdawało się, że pęknie od niego niebo.

Nie widziałam, jak została ścięta głowa mego niedoszłego kata. Zobaczyłam ciało upadające na pokład, krew tryskającą z kikuta szyi. Zrobiło mi się niedobrze. Walcząc z mdłościami, wyrwałam się żołnierzowi. Zanim wstałam, na pokładzie wybuchł chaos – a w środku szalał Kazan Atrabiades, wymachujący mieczem jak opętany.

Mniej liczni Ilirowie wycinali sobie drogę ucieczki, wspomagani przez oszczepy i strzały ze statków. Owinięte wokół drzewców nasączone smołą szmaty wzniciły kilkanaście ognisk, wzmagając zamieszanie. Kazan i serenissimski kapitan wykrzykiwali rozkazy, ledwo słyszane przez walczących żołnierzy i piratów. A potem już nic nie widziałam, bo ktoś chwycił mnie w talii, przerzucił nad relingiem prosto w

wyciągnięte ramiona Glaukosa, który z lękiem w oczach czekał na pokładzie statku.

Nie umiem powiedzieć, jak długo to trwało – zdawało się, że godziny, choć zapewne nie dłużej niż kilka uderzeń serca. W końcu wszyscy, którzy mogli, opuścili galerę i sam Kazan przeskoczył nad relingiem. Nasz statek zakołysał się pod ich ciężarem. Łucznicy na forkasztelu z determinacją szyli w galerę, osłaniając nasz odwrót.

–Naprzód! – krzyknął do wiosłarzy czerwony z wściekłości Kazan. – Uciekamy!

Popłynęliśmy, a wiosła młóciły wodę w oszalamiającym tempie. Piraci rzucili broń i skoczyli do żagli. Sygnalista na dziobie gorączkowo machał flagami, przynagłając pozostałe statki.

Galera nie ścigała nas, bo piraci Kazana zdziesiątkowali załogę. Nawet w jasnym świetle dnia widziałam płomienie liżące grotżagiel. Ludzie biegali po pokładzie i ustawiali się z wiadrami, żeby gasić pożar.

Ale inne okręty, wcześniej ukryte za wyspą, nadpływały szybko. Wiatr, który sprzyjał nam przez całą drogę z Ilirii, teraz działał na naszą niekorzyść. Nie była to elegancka, zgrana ucieczka; sześć statków rozproszyło się, walcząc z silnym wiatrem od dziobu. Na pokładzie leżało trzech rannych. Porachowałam ludzi i wyszło mi, że dwóch nie wróciło. Glaukos już zajmował się rannymi, opatrując najgorsze obrażenia. Podeszłam, żeby mu pomóc, a on spojrzał na mnie.

–Nie wiedziałem, pani. Przysięgam.

–Wierzę ci. – To była prawda, a ja nie miałam nic innego do powiedzenia; zresztą i tak nie było czasu na rozmowy. Pracowaliśmy szybko, robiąc dla rannych wszystko, co w naszej mocy. Dziękowałam Błogosławionemu Elui, że po strasznej bitwie pod Troyes-le-Mont nauczyłam się opatrywać rany.

Serenissimskie galery wojenne niestrudzenie pędziły za nami. Dopadły marudera płynącego zaledwie trzysta jardów od nas. Niosący się nad falami donośny, głuchy odgłos świadczył, że na galerach są zamontowane balisty. Wystrzelony pocisk strzaskał maszt pirackiego żaglowca. Nie mogliśmy mu pomóc i tylko patrzyliśmy, jak bezradnie kołysze się na falach. Serenissimczycy tłumnie wdarli się na pokład. Z pewnością chodziło im również o przewożone złoto, dlatego błyskawicznie dokonali rzezi.

Na tym statku był Lukin, słyszałam jego głos. Żaglowiec podpłynął do drugiej burty galery; był wolniejszy na skutek obciążenia. Zapłakałabym wtedy, ale już zabrakło mi łez.

Tak zaczęła się ucieczka, która nawet we wspomnieniach ciągnie się w nieskończoność. Jak zające ścigane przez psy, dzień i noc umykaliśmy przed

serenissimskimi galerami po bezkresnym, rozkołysanym morzu, bez ustanku halsując. Mimo swojej prędkości i zwrotności iliryjskie żaglowce nie mogły zgubić wielkich galer wojennych, które nie dbały o wiatr i miały wielu wioślarzy. Później dowiedziałam się, że liczba ludzi, których Marco Stregazza wysłał na tę wyprawę, szła w setki. Czasami galery podchodziły bliżej, a wówczas dudniły balisty i pociski świszczwały w powietrzu, wzbijając wielkie gejzery wody. Jeden przebił grotżagiel i Kazan wykrzyknął komendy, rozkazując zastąpić go sztormowym. Nie wiem, jak tego dokonali na wzburzonym morzu.

Staralam się służyć pomocą, nosząc potrzebującym jedzenie i wodę. Drugiego dnia wszyscy mieliśmy oczy podkrążone ze zmęczenia i braku snu – a galery wciąż nas ściagały. Straciliśmy drugi statek, który zrobił zbyt ostry zwrot. Niemal się wywrócił i nabrał wody, zbyt dużo wody. Wyprostował się powoli i kołysał ociężale, zanurzony niemal po nadburcia. Znów mogliśmy tylko patrzeć, jak czeka na nieuchronną śmierć.

Cztery pozostałe statki uciekały w popłochu.

Kiedy zapadła noc, drugi oficer zaczął się kłócić z Kazanem.

–Będą nas ściagać do grobowej deski, Kazanie! Co chcesz zrobić, zaprowadzić ich prosto do Dobreku i wydać nas wszystkich? Mówię ci, to jedyne wyjście.

–Nie. Zgubimy ich w nocy – odparł Kazan z ponurą miną.

Pekhlo zaklął z żeglarską potocznością.

–To samo mówiłeś wczoraj, a oni wciąż gnają naszym tropem niczym myśliwska sfora! Chcesz zgubić nas wszystkich z powodu rozpachy swojej matki, Kazanie? Mówię ci, wlecemy śmierć na sznurku i tylko Epidauro ma siłę zdolną ją powstrzymać! Ilu umrze, jeśli pozwolimy zagonić się gdzie indziej?

–A poprosisz bana, żeby dla naszego dobra wystąpił przeciwko synowi doży? – przypomniał mu Kazan. – Nie zrobi tego, byłby głupcem... Jesteśmy piratami, Pekhlo! Stregazza ma prawo nas ściagać!

–Nie w tym przypadku – upierał się drugi oficer. – Postawił warunki, a my ich dotrzyaliśmy. To Stregazza złamał umowę. Jestem gotów umrzeć za ciebie, Kazanie, ale nie oddam życia za twą przeklętą klątwę!

–Panie. – W nikłym świetle sztormowej latarni dotarłam na forkasztel, gdzie się spierali. – Panie, jeśli ban Ilirii obieca mi ochronę, może liczyć na pomoc Terre d'Ange. Obiecuję...

Kazan popatrzył na mnie. Wyglądał jak człowiek nawiedzony.

–Tak mówisz, pani? – zapytał w swoim języku. – Ha, lekceważyłem cię zbyt często, kiedy próbowałaś mi to powiedzieć. Wygląda na to, że Serenissimczycy gotowi są zabijać i ginać, byle dostać ciebie, chociaż uważałem, że to ja jestem ich największym wrogiem. – Westchnął. – Niech tak będzie. Jeśli zaczną nas doganiać, ruszymy do Epidauro.

Padł rozkaz, przekazany za pomocą latarni ze statku na statek. Usłyszałam urywane okrzyki radości, niosące się słabo nad wodą. Pekhlo poszedł naradzić się ze sternikiem. Kazan Atrabiades zamknął oczy.

–Panie, zawdzięczam ci życie – powiedziałam po iliryjsku.

–Tak. – Nie otworzył oczu. – Nie sądziłem, że chcą cię zabić, Fedro nó Delaunay. Powiedzieli Nikanorowi, że d'Angeliński książę zapłaci okup, jeśli cię dostarczymy. Myślałem, że wszystko będzie dobrze. Mówiłaś, że nie szukasz pomocy u niego tylko dlatego, że cię nie zna.

Głośno przełknęłam ślinę.

–Skłamałam, panie. Książę Benedykt jest zdrajcą sprzymierzonym z Markiem Stregazza. Wiedziałam o tym. Powiedziałam ci coś innego. I bardzo tego żałuję. Gdybym była z tobą szczerą... nie straciłbyś ludzi.

–Nie. – Kazan otworzył oczy. – Serenissima zastawiła na nas pułapkę, zamyślając pojmać nas oboje, choć bardziej zależało im na tobie. Finał byłby jednaki. – Uśmiechnął się ze znużeniem. – Powiedziłaś mi, że wpadłaś do morza przez przypadek.

–Tak było.

–Uciekający więźniowie, blisko morze. – Popatrzył w nocne niebo, zasnucone przez pomykające chmury. – Nie przypuszczałem, że sama byłaś więziona. Przyszły mi na myśl

portowe zamieszki, które porywają przypadkowych przechodniów. Ale byłaś więźniarką, prawda? Na morzu jest tylko jedno znane mi serenissimskie więzienie, wokół którego płyną dziwne, śmiercionośne prądy. Znają je wszyscy żeglarze i omijają z daleka. – Popatrzył na mnie. – Nikt nigdy nie uciekł z czarnej wyspy. Kim jesteś, skoro tego dokonałaś?

–Nie bez pomocy, panie. – Zaprzeczanie nie miałoby sensu.

Kazan drgnął.

–Masz zatem w Serenissimie wiernych ci sprzymierzeńców?

–Nie. – Pokręciłam głową. – To był mój towarzysz, Joscelin.

Przez chwilę spoglądał na mnie bez słowa.

–Jeden człowiek? – zapytał w końcu. – Jeden człowiek napadł na czarną wyspę, żeby cię ratować? – Gdy skinęłam głową, Kazan parsknął śmiechem. – W takim razie albo jest szalony, albo bardzo w tobie zakochany.

–Nie. – Przetarłam oczy, piekące ze zmęczenia. – Nie wiem. Może jedno i drugie po trosze.

–Zmieniasz się na twarzy, kiedy o nim mówisz.

Milczałam. Miałam zbyt wiele i zbyt mało do powiedzenia, a rozmyślanie o Joscelinie było czymś ponad moje siły. Milczeliśmy oboje, słuchając szumu fal, poskrzypywania takielunku i miarowego bicia w bębny.

Gdzieś za nami na ciemnym morzu serenissimskie galery nie zaprzestały pościgu, tropiąc nasze słabe, mrugające światła. Kazan popatrzył w ciemność.

–Zatem do Epidauro – rzekł cicho. – Wiesz... – przeszedł na caerdicci – naprawdę nie przypuszczałem, że będą chcieli cię zabić. Wspominaj mnie życzliwie. – Dotknął moich włosów i uśmiechnął się słabo. – Marjopi miała rację, hę? Prześladuje nas pech. Ale będę myślał o tobie w chwili śmierci. Daroslav ucieszy się, że poznałem kogoś takiego jak ty.

Znowu nie wiedziałam co powiedzieć. Patrzyłam, jak odchodzi do swoich ludzi. Zamienił z nimi parę słów, podnosząc ich na duchu.

Niebo na wschodzie pojaśniało, pomarańczowe smugi przecięły granatowe chmury i fale wokół statku załśniły niczym kute z brązu. Podmuchy kapryśnego wiatru z północy spychały żaglowce w bok i pienily fale. Galery wciąż nas ściagały.

Płynęły półtora mili za nami, nie więcej. Gdyby wiatr nam sprzyjał, moglibyśmy uciec. Statki Kazana rozproszyłyby się wśród wysp archipelagu i zniknęły w ciągu paru minut. Tak zawsze gubili pościg i strategia sprawdzała się doskonale, ale nigdy dotąd pogoń nie była tak dobrze zorganizowana i prowadzona z takim uporem. W przeszłości Kazan Atrabiades chwycił w lot okazje. Tym razem Marco Stregazza dostał swoją szansę i korzystał z niej w pełni.

Żeglowaliśmy do Epidauro.

Kazan przemówił krótko do załogi:

–Wiecie, co jest za nami i co przed nami. Niech dopadnie mnie klątwa mojej matki, i

**tak długo czekała. Jeśli ban ma odnieść z tego korzyść, to warto oddać życie.
Pekhlo, powiedz**

**Nikanorowi, że po mojej śmierci ma przejąć dowodzenie. Proszę tylko, żeby zostawił Marjopi mój dom i zdobył dla niej porządne krosno, jakich używają D'Angelinowie. –
Podnosząc głos, zawołał: – Kurs na Epidauro!**

**Nie krzyknąwszy na wiwat, bez słowa wypełnili rozkaz. Poszłam do Glaukosa, żeby
sprawdzić, czy nie potrzebuje pomocy. Pracował w ciemnej ładowni, gdzie leżeli
ranni. Jego zwykle pogodna twarz była zacięta i pobrużdżona.**

**–Bogom niech będą dzięki – mruknął – za to, że choć na jakiś czas odrzucił ten
przeklęty zabobon, ratując nam skórę. Ty go namówiłaś, pani?**

**–Trochę. – Przytrzymałam torbę z lekami, żeby nie przewróciła się w trakcie
głębokiego przechyłu. – On myśli, że umrze, Glaukosie.**

**–Wiem. – Oparł się o burtę, a potem pochylił nad opatrunkiem i zaczerpnął tchu,
sprawdzając, czy rana nie ropyje. Na wpeł przytomny marynarz mamrotał z bólu.**

–Wierzysz w to?

**–Hmm... – Glaukos popatrzył na mnie. – Nie wiem, pani. Gdybyś zapytała mnie, czy
kriawbog go porwie, to odpowiem, że nie wierzę. To iliryjski przesąd, nic więcej,
bajka do straszenia dzieci. Ale sam widziałem, że kiedy człowiek gotuje się na śmierć,
jego duch może zgasnąć niczym zdmuchnięta świeca. W Kazanie jest więcej życia niż
w dziesięciu innych, lecz mimo to... nie wiem.**

**Ostre przechyły statku uniemożliwiły dalszą rozmowę. Pomogłam Glaukosowi, a
potem wróciłam na pokład. Poranne chmury zgęstniały i gdzieś płachty
deszczu sunęły nad powierzchnią morza. Serenissimskie galery były coraz bliżej.**

A przed nami leżało Epidauro.

PIĘĆDZIESIĄT SIEDEM

Miasto Epidauro istniało według Ilirów od zawsze, choć to Tyberyjczycy zbudowali pierwsze fortyfikacje. Znajdowało się na wyspie połączonej groblą z głównym lądem, z trzech stron chronione przez wodę, otoczone mocnymi murami.

Statki płynęły chaotycznie, jak miotane wiatrem liście. Ludzie Kazana biegali z burty na burtę, gdy na przemian szliśmy lewym i prawym halsem. Przez cały czas słyszeliśmy bicie w bębny, a podwójne rzędy wiosel serenissimskich galer tłukły wściekle wodę.

Dostrzeżono nas z portowych wież obserwacyjnych i szybko przystąpiono do działania. Zobaczyliśmy wychodzące z portu okręty iliryjskiej floty, z czarnym herbem bana na szkarłatnych, kwadratowych żaglach. Z tej odległości wyglądały jak zabawki.

Niech nas aresztują, pomyślałam; to nie ma znaczenia, byleśmy tylko nie wpadli w ręce Serenissimczyków. Jeśli ban Ilirii ma choć trochę oleju w głowie, wysłucha mnie i przyjmie obietnicę przychylności Ysandry. W imieniu Terre d'Ange wybłagam łaskę dla Kazana i jego ludzi. Niezależnie od tego, co robili w przeszłości, w tej sprawie Serenissimczycy nie mieli nic do powiedzenia. Niech zablokują drogę wokół Caerdicci – Są inne szlaki, choć dłuższe. Nie upilnują całego wybrzeża. Znajdę drogę, żeby się przedostać, a gdy dotrę do Marsilikos, powstrzymam progressus Ysandry.

Tak sobie powtarzałam i podsycalam ledwo tłący się płomyk nadziei, podczas gdy wokół nas zanosilo się na burzę, a przed nami rosły mury Epidauro.

Ludzie nabrali otuchy na widok silnej iliryjskiej floty i teraz wykrzykiwali podziękowania i słowa pochwały, choć głosy rwały się ze zmęczenia. Jeden ze statków dostał dobry wiatr, ostro ustawił trójkątny żagiel i wyrwał się do przodu; statek Nikanora, pomyślałam, a ktoś krzyknął radośnie. Galery zwolniły, dowódcy zastanawiali się, czy mądrze jest gnać za ofiarą w ramiona niepokonanej stolicy wasalnego państwa.

A na dziobie stał Kazan Atrabiades, upiornie blady.

Złe przeczucie zjeżyło mi włoski na karku.

Do tej pory udawało mi się bagatelizować tę wizję na jawie, jakiej doświadczyłam na pokładzie statku, przypisywać ją strachowi, uznawać za wytwór na wpół śniącego umysłu. Zabójstwo brata jest rzeczą straszną, mogącą wywoływać koszmary. Złe sny przestały nękać Kazana, gdy wyciągnęłam z niego tę historię. To, co sama widziałam, musiało być majakami osoby wyłowionej z morza po przejściach, które niejednego wojownika doprowadziłyby do oblędu.

„Błogosławiony Eluo” – modliłam się, gdy słone kropelki wody szczypały mnie w oczy – „oszczędź go! Błagam, doprowadź nas do bezpiecznego portu. Naamo, zatroszcz się o sługę, która służyła ci dobrze i wiernie! Jeśli uznasz go za klienta, to wiedz, że nie poskąpił ofiary, bo

stracił ludzi, żeby uratować mi życie. Panie mój, Kuszielu! Położyłeś na mnie rękę i uczyniłeś tym, kim jestem; jeśli nie chcesz, żebym zginęła, otocz mnie ochroną”. Pomodliłam się także do Aszery z Morza, której winna byłam dług honorowy. „Pani, jeśli chcesz, żebym dotrzymała danego słowa, unieś ten statek na swoim łonie i nie pozwól mu zatonać”.

Choć chmury zebrały się i pluły na nas deszczem, choć błyskawice migotały na ciemnym podbrzuszu nieba, czułam, że moje modły zostały wysłuchane. Tak może być, przemówił głos w moim sercu. On jednak nie należy do nas.

Marynarze klęli w płachtach deszczu, zmagając się ze śliskimi, szarpanymi przez wiatr linami. Błyskawica rozjaśniła niebo i zobaczyłam, że trzy pozostałe statki wysuwają się przed nas, docierają do wejścia do portu. Ich żagle bieleły na tle ołowianej szarości. W mroku, który zapadł po błysku, usłyszałam chrapliwy krzyk.

Poznałam przyczynę dopiero wtedy, gdy znów mignęła błyskawica. W jej blasku ujrzałam Kazana w węzowych splotach kriawboga. Ogon okręcał go od kostek po pierś, długa szyja wznosiła się nad jego głową, żyłkowane skrzydła biły w burzowym powietrzu. Oczy w trójkątnym łbie lśniły niczym rubiny, a z syczącej paszczy wysuwał się rozwidlony język, sięgając do twarzy ofiary. Kazan miał wolną rękę i walczył, lecz miecz nieszkodliwie odbijał się od łusek nadnaturalnej istoty.

Nie wiem, co widzieli inni, nie było to bowiem coś, o czym chętnie by opowiadali. Ja wiem, co widziałam. To wystarczyło.

Północny wiatr, który nękał nas przez cały dzień, uderzył teraz ze zdwojoną siłą i tłukł pięścią deszczu w burtę statku. Marynarze krzyczeli z bezsilnej wściekłości, walcząc z falami, wiatrem i linami.

A Kazan Atrabiades walczył z kriawbogiem.

Stwór był zbyt wielki, zbyt silny i rósł z każdym calem drogi, gdy zbliżaliśmy się do Epidauro. Dopiero gdy usłyszałam szloch, zdałam sobie sprawę, że płaczę. Głowa stwora uniosła się wysoko, rozmazana w deszczu, rozwarte szczęki opuszczały się i wydłużały.

„Jeśli kłamię, niech kriawbog połknie moją duszę...”.

Na wpół oślepiąca przez łzy i zacinający deszcz, ruszyłam po tańczącym dziko pokładzie na rufę. Wiosło wyskoczyło z dulek i mało brakowało, a wypchnęłoby mnie

za burtę, zanim tam dotarłam. Przywarłam do masztu, wiatr przylepiał mi do policzka mokre włosy. Ledwo słyszałam własny głos, gdy krzyknęłam w panującym harmiderze:

–Zawracaj, na Eluę, zawracaj! Nie widzisz, że to go zabija? – W nagłym rozbłysku pioruna zobaczyłam, że sternik patrzy na mnie z otwartymi ustami i wytrzeszcza oczy. Uświadomiłam sobie, że mówię po d'Angelińsku. Szukając iliryjskich słów, zaczerpnęłam powietrza i wykrzyknęłam co sił w płucach:

–Zawracaj!

Ostry, podwójny grzmot zaakcentował moje słowa. Z grozą wypisaną na twarzy sternik ostro szarpnął rumpel. Dziób obrócił się na południe, rejka ochoczo przeskoczyła na drugą burtę. Ludzie krzyczeli, tracąc równowagę i szukając oparcia. Dwóch wpadło do morza w czasie ostrego zwrotu. Zdążyłam zmówić krótką modlitwę o ich bezpieczną drogę wpław do portu, a potem porwał nas północny wiatr i żagle napięły się z trzaskiem. Popędziliśmy z wiatrem w zawody.

Osunęłam się na kolana u stóp masztu i zapłakałam.

Czy dotarlibyśmy tego dnia do Epidauru, gdybym się nie odezwała? Nie wiem. Podjęłam decyzję w mgnieniu oka, a co się stało, to się nie odstanie. Wiem jednak, że gdybym znów miała wybierać, postąpiłabym tak samo, choć tron Terre d'Ange był zagrożony. Zginęło zbyt wielu ludzi, którzy mi pomagali. Nie mogłam z rozmysłem skazać Kazana Atrabiadesa na śmierć. Do tej pory nie rozumiałam, dlaczego Joscelin postanowił zostać ze mną w Skaldii, chociaż miał szansę uciec i ostrzec naród przed nawałą Seliga. Teraz rozumiem lepiej.

Tak oto rozpoczęliśmy długą, koszmarłą ucieczkę przed sztormem. Nie sądziłam, że siła natury może być gorsza od gniewu Pana Cieśniny. Myliłam się. Nasze przetrwanie jest świadectwem kunsztu iliryjskich marynarzy. Już nigdy się nie uśmiechnę ironicznie, słysząc, jak Ilir chełpi się swoją sztuką żeglarską. W dzień i w nocy wiatr z wyciem dał od rufy, gnając nas na południe. Nie raz myślałam, że statek przełamie się na dwoje, gdy wpadał w dolinę pomiędzy falami; nie raz myślałam, że wywróci się do góry dnem, gdy niebosiężna zielona góra z hukiem grzmotu łamała się nad nami i woda zalewała pokład. Morska sól zniszczyła połowę naszych zapasów, a jedna bezcenna baryłka słodkiej wody pękła i przeciekała. Glaukos nie mógł nic zrobić dla rannych, poza modleniem się o ich zdrowie.

Co do Kazana, chodził jak człowiek, który śni na jawie, z otwartymi oczami i nieświadomy otaczającego świata. Zatrzymywałam go w forkasztelu, żeby nie przeszkadzał ludziom, którzy walczyli o nasze życie. Gdy do niego mówiłam, patrzył na mnie bez śladu zrozumienia.

Już nie zobaczyliśmy ścigających nas galer. Gdyby nawet Serenissimczycy chcieli nas tropić, nie byłiby w stanie tego dokonać; tej burzy nie prześcignęliby najszybsi wiosłarze. Przemoczona do suchej nitki, zmęczona do szpiku kości, mogłam tylko się modlić. Miałam nadzieję, że galery zawróciły, zamiast ryzykować spotkanie z całą epidaurską flotą.

Pekhlo, nasz drugi oficer, wypadł za burtę w czasie zwrotu. Ponieważ z Kazana nie było żadnego pożytku, komendę objął Tormos. Tego brzemennego w skutki dnia znalazł stal w swojej duszy i ani razu się nie zawahał. To on postanowił żeglować na skrzydłach burzy, choć przypuszczam, że gdyby wiedział, jak długa i daleka czeka nas podróż, chciałby dopłynąć do portu. Kiedy już raz zawróciliśmy, wiatr wyniósł nas na szalejące morze. Trzy razy Tormos próbował podejść bliżej brzegu, trzy razy sztorm krzyżował mu szyki.

Jak długo to trwało? Sześć dni, może siedem. Straciłam rachubę. Nie miałam pojęcia, gdzie się znajdujemy. Nie jestem nawigatorem, nie umiem oceniać pozycji na podstawie gwiazd, a

gdybym nawet umiała, w czasie tej strasznej podróży nie było gwiazd na niebie. Przez długi czas widzieliśmy tylko fale i groźne, rozgniewane niebo, ale w końcu burza wyczerpała swą furię i ścichła. Oszołomieni i wycieńczeni, odetchnęliśmy na skołatanym statku, który kołysał się na łonie spokojnego morza.

Stało się to rankiem, gdy słońce srebrzyło wodę. Odzwyczajona od łagodnego, jednostajnego kołysania, z przesadną ostrożnością podeszłam do Tormosa. Zwrócił na mnie przekrwione, zmęczone oczy.

–Tormosie – wychrypiałam; straciłam głos, gdy przekrzykiwałam huczące bałwany. Odchrząknęłam i zapytałam po iliryjsku: – Czy wiesz, gdzie jesteśmy?

Popatrzył na mnie z przygnębieniem i tylko pokręcił głową.

Wokół nas ciemnoniebieskie, głębokie morze skrzyło się w słońcu. Żeglarze poruszali się powoli, prostując ręce i nogi, zmęczone po długiej walce z burzą. W luku ładowni ukazała się głowa Glaukosa, wynoszącego na pokład ostatnią baryłkę słodkiej wody. Było jej żałośnie mało. Miałam zawroty głowy i nie pamiętałam, kiedy ostatni raz jadłam.

–Patrzcie! – krzyknął Oltukh, wyciągając rękę; Oltukh, który zrobił dla mnie naszymi muszelek. Wszyscy spojrzeliśmy we wskazaną stronę i zobaczyliśmy stado baraszkujących delfinów, smukłych i szarych, krzywiących pyski w wiecznych uśmiechach. Jeden skoczył niedaleko burty, wydmuchując w powietrze pióropusz kropelek.

Aszera z Morza kochała delfiny, pomyślałam.

–Tam. – Glaukos pochylił się nad relingiem, patrząc poza dokazujące delfiny. – Tam, tam! Nie widzicie? Ziemia! – Uniósł drżącą rękę. Dopiero Wtedy zwróciłam uwagę, że mówił po helleńsku, wróciwszy do języka, którego nauczyła go matka. – Ziemia! – krzyczał, wyciągając rękę. – Ziemia!

Tormos zmarszczył brwi, odepchnął ludzi z drogi. Wszyscy przepychaliśmy się przy relingu, spoglądając w dal, podczas gdy podarte żagle łopotały na spokojnej bryzie.

Na horyzoncie majaczyła ciemna smuga. Ziemia.

Krzyknęliśmy z radości i ustawiliśmy żagle. Rumpel pękł, a sam ster rozpadł się na dwoje pod wpływem strasznej siły żywiołów, lecz mimo to płynęliśmy ku wyspie, która rosła w oczach. To nie był Dobrek, o nie; ta wyspa była znacznie większa, tylko z daleka wydawała się mała. Wzgórza przemieniały się w góry, otulone lasem i ozłoczone jasnym słońcem.

Patrzyłam na Glaukosa w chwili, kiedy rozpoznał co to za wyspa. Gwałtownie zaczerpnął tchu i na jego twarzy odmalował się zachwyty. Był Tyberyjczykiem z wychowania i Iliem z wyboru, ale płynęła w nim helleńska krew matki, jego pierwszej nauczycielki.

–To Kriti – wyszeptał z nabożeństwem. – Przybyliśmy na Kriti.

Biorąc pod uwagę długość i kierunek naszej żeglugi, to było całkiem możliwe. Burza gnała nas prosto na południe, w dół wybrzeża Ilirii i Hellady. Czy naprawdę przygnała nas aż na wyspę rodu Minosa? Wspomniałam gabinet Delaunaya, mapy rozpostarte na stole w popołudniowym

słońcu. W istocie, to mogła być Kriti.

Na rozkaz Tormosa popłynęliśmy za delfinami i nikt nawet nie wspomniał o zabobonach. Kazan wyszedł z forkasztelu i rozglądał się z dziecięcą ciekawością, z niepokojąco pustym wyrazem twarzy. Złapałam go za ramię i zaprowadziłam w bezpieczne miejsce przy relingu; posłuchał bez słowa sprzeciwu.

Wyraźnie widzieliśmy wyspę, mającą prawie sto mil od cypla do cypla. Nad nami krążyły pokrzykujące ochryple mewy. Młody Volos, dając upust rozpierającej go radości życia, zadarł głowę i przedrzeźniał wrzeszczące ptaki. Mewy odleciały ku maleńkiej zatoce, półksiężycowi białego piasku ujętego w skaliste rogi. Ni to ze śmiechem, ni z płaczem Tormos kazał płynąć w ślad za mewami.

Ciemnoniebieska woda ustąpiła szafirowej, a wiatr zupełnie przycichł. Tormos rozkazał chwycić za wiosła. Ilirowie wiosłowali nierówno, choć tupał, nadając rytm. Podarte żagle zwisały bez życia, gdy sunęliśmy po wodzie, która na płyciźnie przybrała barwę akwamaryny.

Wpłynęliśmy pomiędzy rogi zatoczki.

Kręciło mi się w głowie, dlatego dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że słyszę dźwięk głośniejszy od chlupotu wody. Tego odgłosu nie sposób pomylić, gdy się go raz usłyszy. Ma rytm serca śmiertelnika i jest odmierzane w brązie, jednym z najstarszych metali, jakie służą człowiekowi. Gdy wpłynęliśmy do zatoki, ujrzeliśmy jaskinie.

Zrozumiałam, że to z nich płynie dźwięk gongów. Czułam ciarki na karku, gdy sunęliśmy wzdłuż skał usłanych otworami stanowiącymi wejścia do jaskiń. To nie był zwyczajny port. Przekroczyliśmy próg świętego miejsca.

Wpłynęliśmy do przystani Temenos.

PIĘĆDZIESIĄT OSIEM

Zaskoczył mnie widok bawiących się na plaży dzieci.

Powitały nas okrzykami, drepzcząc jak mewy po grubym białym piasku, gdy stępka naszego statku zazgrzytała o dno. Rozbawiony Tormos rzucił cumę, którą pochwyciło kilkanaście chętnych rąk. Dzieci naprężyły mięśnie i przyciągnęły nas bliżej. Na szczęście iliryjskie statki mają niewielkie zanurzenie, mogliśmy więc wysiąść i dobrnąć przez wodę do brzegu. Kazan poradził sobie bez pomocy i miałam wrażenie, że jego twarz ożywiła się po raz pierwszy od ucieczki spod Epidauro.

Ucichł łoskot brązowych gongów. Zapadła głucha cisza.

Z solą na ubraniu i we włosach, cała obolała i ledwo trzymająca się na nogach, czekałam wraz z innymi na plaży. Patrzyliśmy na opadające ku morzu stopnie wycięte w litej skale.

Oddział strażników wyjdzie nam na spotkanie, pomyślałam; każdy spodziewa się czegoś takiego, gdy bez zaproszenia wchodzi do cudzoziemskiego portu. A jednak zjawił się tylko jeden człowiek, nieuzbrojony, w orszaku siedmiu młodzieńców i siedmiu dziewcząt. Był w średnim wieku, ciemnowłosy i brodaty, z diademem ze wstążek na kręconych włosach, ubrany w szatę z szerokim na dwie dłonie haftem. Jeden z młodzieńców trzymał nad jego głową parasol, z którego zwisały kity przybrane połyskującymi perłami.

–Witajcie, nieznajomi – powiedział przybysz dźwięcznym głosem. – Jestem Ojneus Asterius, hierofant Temenos. Minęliście szerokie zatoki i towarzystwo ludzi, żeby zawinąć tutaj. Matka Dia wita was. Kto spośród was przybywa po oczyszczenie?

Przypuszczam, że gapiliśmy się na niego głupawo. Glaukos i ja rozumieliśmy helleńską mowę, lecz żadne z nas nie pojęło znaczenia słów kapłana.

Dlatego byłam podwójnie zaskoczona, gdy Kazan z błyskiem w oku pewnie wystąpił do przodu.

–Jestem Kazan Atrabiades z Epidauro – oznajmił po iliryjsku – winny śmierci brata.

Hierofant popatrzył na niego przenikliwie i pokiwał głową, a następnie zwrócił się do jednej z dziewcząt:

–Ajolo, przyprowadź Mezencjusza. On zna iliryjską mowę.

Spojrzałam na oniemiałego z wrażenia Glaukosa, który tylko otwierał i zamykał usta.

–Hierofancie – zaczęłam po helleńsku, odgarniając z twarzy mokre, sztywne od soli włosy. Przez chwilę szukałam słów. – Ja mówię twoim językiem, podobnie jak ten człowiek, Glaukos z Tyberium. A mój pan Atrabiades zna caerdicci. Mamy za sobą niebezpieczną podróż, panie. Opowieść o niej zajęłaby długi czas. Jeśli udzielisz nam gościny, odwzajemnimy się w złocie.

Nie skłamałam, bo choć wyglądaliśmy jak obszarpańcy, mieliśmy w ładowni pozostałą część okupu, siedem i pół tysiąca złotych d'Angelińskich dukatów. Hierofant patrzył na mnie długo i

bez zmrużenia oka, jak jastrzęb albo wilk, potem zwrócił się w caerdicci do Kazana.

–Wiesz zatem, dokąd przybyliście? – Trochę się zacinał, ale mówił dźwięcznie.

–Tak, synu Minosa. – Kazan skłonił głowę. – Wiem.

Glaukos doszedł do siebie i tłumaczył dla załogi. Ja patrzyłam na Kazana i coś zbudziło się w mojej pamięci. Usłyszałam głos Thelesis de Mornay: „Hellenowie twierdzą, że potomkowie rodu Minosa mają dar zdejmowania z człowieka klątwy krwi. To dar Zagreusa”.

–Kazanie – rzekłam cicho – jesteś pewien?

Aż za dobrze pamiętałam, co powiedziała potem: „Słyszałam także, że niewielu ludzi znosi ten proces bez utraty zmysłów”.

–Tak, Fedro – odparł spokojnie, z dawnym, normalnym wyrazem twarzy. – Jestem pewien.

–Fedra. – Hierofant przeciągle powtórzył moje imię, jakby smakował je na języku. – Aha. Nosisz...

–...pechowe imię – dokończyłam ze znużeniem. – Tak, panie, znam historię twojego rodu i pochodzenie mojego imienia. Mniejsza z tym, to Kazan Atrabiades przybył po pokutę. Wszyscy jesteśmy spragnieni, głodni i zmęczeni do szpiku kości, i mamy rannych na statku. Udzielisz nam gościny czy nie?

Błysk rozbawienia zapłonął w jego ciemnych oczach.

–Jesteś niecierpliwa, maleńka. Chodźcie, zaprowadzę was do pałacu Temenos, gdzie posilicie się i odpoczniecie. Sądzę, że Kora będzie chciała spotkać się również z tobą, nie tylko z tym suplikantem. Dzieci Elui nieczęsto bywają na tej wyspie, a ty nosisz imię o pewnym znaczeniu. Może poznasz głębszą prawdę, jaka skrywa się za opowieścią o twojej dawnej imienniczce. I może jest w tobie coś więcej, niż spostrzega oko, choć teraz trudno powiedzieć, bo jesteś w oplakanym stanie.

Rumieniec zapiekł mnie w policzki i musiałam przygryźć język, powstrzymując się od ciętej odpowiedzi. Marynarze odbyli pospieszną naradę, a hierofant wyprawił Ajolę z poleceniem sprowadzenia Mezencjusza i gromady rybaków, żeby pomogli wynieść rannych i wciągnąć zniszczony statek na brzeg. Zostawiłam Tormosa i Glaukosa z zapewnieniem, że zostaną przyjęci w kwaterach nowicjuszy. Kazan, choć odzyskał przytomność umysłu, nie okazał zainteresowania losem załogi i swojego żaglowca.

Do pałacu nie było daleko. Hierofant prowadził nas w statecznym tempie, otoczony przez nowicjuszy. Nagie i prawie nagie dzieci skakały wokół nas, doskonale się bawiąc, i nikt nie miał im tego za złe. Walcząc z wyczerpaniem i nogami przywykłymi do stąpania po chybottliwym pokładzie, szłam u boku hierofanta. Młodzieniec z parasolem uśmiechał się do mnie. Podobnie jak inni, nosił prostą szatę z białego lnu, tak cienkiego, że była prawie przezroczysta.

–Hierofancie – zagadnęłam – jeśli wolno, nazywam się Fedra nó Delaunay, hrabina de Montreve, i wypełniam pilną misję dla Jej Wysokości Ysandy de la Courcel, królowej Terre d'Ange. Obawiam się, że burza, która przygnała nas tutaj, zniosła mnie daleko z właściwego

szlaku. Dlatego poza udzieleniem gościny muszę prosić cię o pomoc, a jeśli nie ciebie, to kogoś, kogo uznasz za odpowiednią osobę. Czy wysłuchasz mnie albo dasz mi list polecający? Obiecuję, Jej Wysokość nie poskąpi nagrody za udzielenie mi pomocy.

Popatrzył na mnie uprzejmie, spowity miękkim cieniem parasola.

–Przybyłaś do Temenos, maleńka. Ominęłaś szerokie porty i towarzystwo ludzi.

–Tak, ale...

–Fedro – przerwał mi Kazan – przybyliśmy tutaj, bo taka jest potrzeba, hę? To, co ma być dane, zostanie pokazane.

Poddałam się z rezygnacją. Młodzieniec z parasolem zerkał na mnie z ukosa, wciąż uśmiechnięty.

Tak oto przyszliśmy do pałacu Temenos, niskiego, uświetnionego przez morze i góry. To jeden z najstarszych pałaców na wyspie – i jeden z najmniejszych, pomimo swojego barwnego splendoru. U jego stóp gnieździ się wioska, maleńkie bielone budynki lśnią w słońcu i tam właśnie pobiegły roześmiane, pokrzykujące dzieci.

Pałac nie był strzeżony, co uznałam za dziwne. Przez szeroką bramę zwieńczoną półksiężycem z rogów weszliśmy do właściwego pałacu. W środku był inny świat, pełen krętych arkad z uwielbianymi przez Kriteńczyków przysadzistymi kolumnami,

czerwono-niebieskimi, ze złoconymi głowicami.

Hierofant zatrzymał się w arkadzie, uniósł rękę i z wielką powagą przemówił do Kazana w caerdicci:

–Rozumiesz, że musisz zostać odosobniony przed poddaniem się thetalos, i że nie wolno ci przyjmować strawy i napojów?

Kazan pokiwał głową.

–Tak, rozumiem.

–To dobrze. Proklus zajmie się tobą do czasu poświęcenia. – Hierofant zaczekał, aż nowicjusz wyprowadzi Kazana, i wtedy zwrócił się do mnie: – Ty, maleńka, nie podlegasz takim zakazom. Euralika pokaże ci komnatę, w której będziesz mogła odpocząć, i przyniesie ci jedzenie. Kąpiel też dobrze ci zrobi, prawda?

Zirytowała mnie nutka rozbawienia w jego głosie. Pomyślałam o wszystkim, co zniosłam, żeby dotrzeć do tego miejsca. Choć byłam osłabiona z głodu i zmęczenia, dumnie się wyprostowałam.

–Tak, panie – odparłam chłodno. – Kąpiel dobrze mi zrobi. A kiedy skończę, jeśli ty nie zechcesz mnie wysłuchać, znajdę kogoś innego.

–Nie chciałem cię urazić, mała Fedro. Jeśli szukasz politycznego azylu, powinnaś udać się do portu Kommos, a nie Temenos. Ale przybyłaś tutaj. Twojego towarzysza przywiodła potrzeba, ty zaś... – Hierofant uśmiechnął się. – Porozmawiam o tobie z Korą i wtedy zobaczymy.

Na razie musiałam zadowolić się tą obietnicą, a poza tym zmęczenie nie pozwoliło mi na dalsze protesty. Uśmiechnięta Euralika zaprowadziła mnie do miłej komnaty z freskami wyobrażającymi ptaki. Obok mieścił się pokój kąpielowy z fajansową wanną. Służący napełnili ją gorącą wodą z dzbanów. W czasie, gdy zażywałam kąpeli, przynieśli świeże ubranie, suknię z białego lnu i niebieski płaszcz, prosty, ale elegancki. Po kąpeli długo czesałam włosy, ciesząc się przyjemnym dotykiem czystej tkaniny na skórze. Jedzenie już czekało: świeży chleb, ostry kozi ser, jagnięcina o lekkim cynamonowym posmaku. Zjadłam wszystko, a świat stał się bardziej realny, gdy popijałam zimną wodę i dobre czerwone wino.

Miałam zamiar starać się o posłuchanie zaraz po posiłku, ale przygniotła mnie wielka fala zmęczenia. W czasie sztormu nie spaliśmy przez kilka dni, wyjąwszy krótkie drzemki pomiędzy wzmożonymi atakami burzy. Zamknę oczy tylko na chwilę, powiedziałam sobie, wyciągając się na łóżku; tylko na chwilę, a potem poszukam tej Kory, kimkolwiek ona jest.

Myślałam o tym, spadając w głęboką, ciemną studnię snu.

Zbudziły mnie wydłużające się cienie, pełzające po freskach na ścianach. Ocknęłam się rozczochrana i zdezorientowana, niepewna, gdzie jestem. Przespałam większą część dnia. Wstałam i przeciągnęłam zeszywniałe od snu członki, wygładziłam pomięte ubranie. Ledwo zdążyłam doprowadzić się do porządku, w drzwiach komnaty stanął hierofant w towarzystwie dwóch nowicjuszy.

–Kora przyjmie cię teraz.

Starając się nie ziewać, poszłam z nim korytarzami; skośne promienie wpadające przez okna tonowały ich żywe kolory. Wyraz twarzy hierofanta nie zmienił się, ale nowicjusze obrzucali mnie ukradkowymi spojrzeniami. Nie sądzę, żeby widzieli wcześniej D'Angelinę.

Weszliśmy do dużej sali z freskami, przedstawiającymi procesję młodzieńców i dziewcząt z naczyniami libacyjnymi. Pod ścianą stał tron, na którym siedziała kobieta. Zadrżałam na jej widok.

Nie jest łatwo opisać Korę z Temenos ani moją reakcję, gdy ją zobaczyłam. Miała jasną karnację i włosy w odcieniu brązu, oczy ciemne jak hierofant, świetliste, spoglądające spod ciężkich powiek. Była ubrana w niebieską szatę zdobioną złotymi gwiazdami i w szafranowy płaszcz. Na jej szyi wisiał ciężki naszyjnik z płytek kości słoniowej oprawionych w złoto. Choć miała gładką skórę i jędrne, sterczące piersi, musiała zbliżyć się do pięćdziesiątki. Przebiegło mnie drżenie, gdy na nią patrzyłam, miałam mętlik w głowie i ledwo umiałam nazwać swoje emocje. Podziw i strach – i pożądanie, nagłe i nieproszone. Wspomniałam posąg Aszery w świątyni w La Serenissimie i niewidomą kapłankę Biankę, wyciągającą do mnie szponiastą rękę. Pomyślałam o wielkiej świątyni Naamy i zobaczyłam przed sobą jej twarz, uduchowioną i wyrozumiałą.

Pomyślałam także o Meiisandzie.

I o czymś, czego nie wspominałam od lat. Ujrzałam twarz mojej matki, widzianą po raz ostatni na dziedzińcu Domu Cereusa, kiedy sprzedała mnie do terminu.

Wszystkie te obrazy przemknęły przez moją głowę. Kora wreszcie przemówiła, a jej czysty głos uciszył panujący we mnie zamęt.

–Fedro nó Delaunay – wypowiedziała moje imię z właściwym d'Angelińskim akcentem – witaj.

Osunęłam się na kolana w pozie abeyante, czując pod kolanami chłód marmurowej posadzki.

–Pani.

–Wstań, nie trzeba. Podejdz, niech ci się przyjrzę, dziecko Elui. – Pochyliła się i unosząc palcami moją brodę, przyjrzała się mej twarzy. Spostrzegła szkarłatną plamkę w oku, a może coś więcej, bo uniosła brwi. – Och, Ojneusie! Powinieneś przyprowadzić ją wcześniej. Jesteś naznaczona, dziecko. Czy wiesz, że bóg położył na tobie rękę?

–Tak, pani. – Patrzyłam na nią z przyjemnością. – Naznaczyła mnie Strzała Kusziela, który kiedyś był karzącą ręką Boga Jedyneego, jesuskiego Adonai. Ale służę też Naamie, która jest Panią Rozkoszy. I jako D'Angelina oddaję cześć Błogosławionemu Elui, obrońcy nas wszystkich.

–Naznaczona po trzykroć, a nawet więcej – mruknęła, puszczając mój podbródek. – Tak, jest coś ponad to.

–Tak, dostojna Koro. – Przysiadłam na pośladkach, całkiem zadowolona z lekkiego bólu, jaki był skutkiem klęczenia na twardym marmurze. Minął długi czas, odkąd z niczym nieskażoną przyjemnością składałam komuś hołdy; wiodłam dziwne życie, jak na anguissette. – Złożyłam również obietnicę Aszerze z Morza.

–Aha. – Uśmiechnęła się i delikatne zmarszczki zarysowały się w kącikach jej oczu. – A jednak przybyłaś do Temenos i prosisz tylko o pomoc polityczną, jak powiedział mi Ojneus. Przedstaw mi zatem twoją sprawę.

Wzięłam głęboki oddech i opowiedziałam jej swoją historię, szczegółowo, zaczawszy od powodów przybycia do La Serenissimy, a skończywszy na walce Kazana z kriawbogiem i strasznej ucieczce na Kriti. Kora słuchała, nie przerywając, podczas gdy cienie kładły się w kątach komnaty, a odziani w biel nowicjusze chodzili cicho, zapalając ścienne lampy Hierofant Ojneus Asterius stał obok Kory. Nie przyszło mi na myśl, żeby skłamać albo przemilczeć prawdę. Rozumiałam, że przybyłam do świętego miejsca, a moi słuchacze byli kapłanami, choć Kora przyćmiewała hierofanta tak, jak słońce gasi blask księżyca.

Gdy skończyłam, zapadła cisza i oboje wymienili spojrzenia. Zobaczyłam wtedy, że łączy ich krew, choć mają inną karnację i włosy. Cóż, wszyscy oni są Hellenami, ale od czasów mojej imienniczki w rodzie Minosa płynie krew lądowych Achajów. Zadrżałam i zmusiłam się do zapytania:

–Czy pomożesz mi, córko Minosa?

Jej spojrzenie powróciło do mnie i odmalowało się w nim współczucie.

–Moja władza polega na czymś innym, Fedro nó Delaunay. Nie mogę udzielić ci takiej pomocy. Po odpokutowaniu wielkiej zdrady ród Minosa przyjął od Zagreusa

pevien dar i otdąd wyspa Kriti służy światu, ale nie w twoim rozumieniu polityki.

Myślę, że Matka Dia skierowała cię tutaj w celu uzdrowienia twojego towarzysza, on bowiem został wyznaczony tobie do pomocy, a jego kraj potrzebuje przyjaźni Terre d'Ange. Jeśli przeżyje thetalos, pomoże ci. Ale... – uniosła palec, gdy otworzyłam usta, by się sprzeciwić – udzielimy wam pomocy przy naprawie statku. Opatrzmy waszych rannych. Postaram się o audiencję u archonta Fajstos, które leży na równinie za Temenos. Kriti nie pożegluje na wojnę dla twojego dobra, na to nie licz, ale może da ci kurierski statek.

Skłoniłam głowę. To miało wystarczyć. Musiało.

–Jesteś niezwykle łaskawa, dostojna Koro.

–Możesz nazywać mnie Pazyfae – powiedziała, obdarzając mnie kolejnym uśmiechem.

PIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Wyglądało na to, że archont Fajstos przyjmie mnie dopiero, gdy Kazan przejdzie oczyszczającą ceremonię thetalos. Szczerze mówiąc, nie rozpaczałam z powodu zwłoki, gdyż byłam w rozterce, o co poprosić władcę.

Wiele zależało od życia Kazana, a nikt nie chciał udzielić mi jasnych odpowiedzi na pytania o charakter czekającego go rytuału. Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo polubiłam tego pirata, i niejasność jego losu bardzo mnie martwiła.

–Byłaś jego jeńcem – zagadnęła Pazyfae z zaciekawieniem. Nie zdradziła mi szczegółów tutejszych tajemnic, ale wiedziałam, że darzy mnie zaufaniem. Chyba uważała moją obecność w Temenos za swoistą tajemnicę. – Wydał cię w ręce wrogów. Dlaczego zatem troszczysz się o niego?

Ściągnęłam brwi, niepewna, jak ująć odpowiedź.

–Pani, to prawda. Ale nie miał żadnego wpływu na tragiczną klątwę krwi, która uczyniła go piratem, ani na politykę, która każe mu gardzić moim krajem. W miarę swoich możliwości traktował mnie dobrze i nie chciał mnie zdradzić. Poza tym narażał życie, żeby mnie ratować. – Bezradnie wzruszyłam ramionami. – Tak, pani, jeśli chcesz wiedzieć, zależy mi na nim. Poza tym jestem D'Angelina, zobowiązana do przestrzegania przykazania Błogosławionego Elui. Nie wybaczyłam mu tego, co zrobił, ale wypieranie się własnych uczuć... To byłoby nadużyciem świętego zaufania, jakim darzy nas Elua.

–Elua. – Pokręciła głową, patrząc na malowany kyliks. Nowicjusz podszedł szybko z dzbanem wina i dopełnił czarkę. Siedziałyśmy na pałacowym tarasie, z którego roztaczał się widok na morze. – Jest wielu bogów, albowiem Matka Dia ma wielu synów, a oni występują w tylu wcieleniach, ile ona ma twarzy. Nigdy jednak nie było drugiego takiego, jak Elua, który oddał się całemu ludowi i zerwał łańcuchy odrodzenia. Co najstarsze dzieci ziemi mają uczynić z najmłodszym, Fedro? Nie umiem powiedzieć, dokąd prowadzi twoja ścieżka.

Nie odpowiedziałam, bo nie miałam odpowiedzi. W milczeniu patrzyłam na bodące niebo rogi konsekracji na szczycie pałacu. Cullach Gorrym, lud Czarnego Dzika, także uważał się za najstarsze dzieci Ziemi. Kto wie? Może byli jednym i tym samym, gdy się nad tym zastanowić. Są różne prawdy.

–Pani, zawsze słyszałam, że noszę imię przynoszące pecha, ale hierofant Ojneus Asterius napomknął, że nie znam prawdziwej opowieści. Ty sama też masz pechowe imię, bo o ile wiem, Pazyfae była matką Minotaura. Czy mam rację?

–Tak i nie. – Po chwili zadumy Kora rozwinęła tę krótką odpowiedź. – Zawsze istniał konflikt pomiędzy ziemią i niebem, pomiędzy starym i nowym. Matka Dia znosi to cierpliwie, ale jej synowie, ha! Oni wciąż pragną przeciąć sznur, który ich z nią wiąże, a jednocześnie boją

się płodzić własnych sukcesorów. To Ariadna Najświętsza zdradziła Minotaura, syna swojej matki, i wydała go na miecz Tezeusza Achają. Gdy moja imienniczka Pazyfae modliła się o radę, jak odpokutować tę tragedię i utratę dziecka, odpowiedział jej Zagreus, przez Achajów zwany Ajakosem, ofiarodawca szaleństwa i wglądu w ludzką duszę. Upomniał się o Ariadnę, której los jest ci znany, a twoja imienniczka Fedra zemściła się na uzurpatorze, Tezeuszu z Achai. Poświęciła siebie, żeby Tezeusz rzucił na rodzonego syna klątwę, która go zabiła. W ten sposób krąg zamknął się na łonie Matki Dii. Dlatego czcimy jej pamięć, i dlatego Zagreus powierzył nam ten dar, żebyśmy mogli naprawić wyrządzone przez nas zło. Achajowie inaczej opowiadają te dzieje, i to ich poetów słucha świat, ale tutaj, w samym sercu świata, my pamiętamy starożytne prawdy. – Przekrzywiła głowę, patrząc na mnie. – Czy teraz rozumiesz?

–Nie – odparłam cicho. – Wiem więcej, ale nie rozumiem tej zazdrości bogów, zabijających się wzajemnie i lękających własnego potomstwa. W przypadku Błogosławionego Elui i jego Towarzyszy jest inaczej.

–Tak? – Pazyfae uśmiechnęła się pobłażliwie. – A jednak z twoich słów wynika, że Kusziel Karzący spłodził dziecko, którego się boi.

Z drżeniem wspomniałam słowa Melisandy. „Kusziel cię wybrał i naznaczył na swoją. Gra z tobą przypomina gra z samym bogiem”.

–Możliwe – mruknęłam. – Ale ja jestem zwyczajną śmiertelniczką, pani, i próbuję uratować tron mojej królowej, której przysięgłam wierność. Chciałabym również ocalić mojego przyjaciela, którego ludzie oddali za mnie życie. Niech bogowie upominają się, o co tylko zechcą. Ja jestem oddana tym, których znam i kocham. I gdy zaprzeczysz, powiem: Błogosławiony Elua głosił to samo.

–Dlatego jest taki interesujący. – Pazyfae stanęła na skraju tarasu, gdzie mogli zobaczyć ją pracujący na dole rybacy, i wyciągnęła ręce w geście błogosławieństwa. Udzieliła go z własnej woli, a słońce skąpało ją w swym blasku. Otrząsnęłam się z szoku, jakiego doznałam w chwili poznania Kory, ale jej obecność wciąż napawała mnie pełną czci trwogą. Kriti to inny świat. Zachodzące słońce zapaliło ognistą ścieżkę na wodzie. W jaskiniach nad zatoką dostrzegłam migotanie białych szat, świadczące o obecności nowicjuszy. To oni uderzyli w gongi w chwili naszego przybycia.

Jaskinie są bardzo stare, sprzed czasów rodu Minosa. Były zamieszkane, gdy

pierwszy człowiek uderzył dwoma krzemieniami i krzyknął z grozy na widok niebieskiej iskiej. Ale te sprawy są święte, więc lepiej o nich nie mówić.

Dół tarczy słonecznej zniknął za horyzontem i Pazyfae opuściła ręce, odwracając się w moją stronę.

–Twój Elua zrobi, co zechce – powiedziała cicho. – Ale tutaj jest moje miejsce i dar Zagreusa należy do mnie. Jutro Kazan Atrabiades przejdzie thetalos i jeśli Matka Dia pozwoli, przeżyje. Pozwolę ci uczestniczyć w ceremonii, jeśli tego pragniesz. Zdecydujesz się?

Zadrżałam i z całą powagą rozpatrzyłam jej pytanie.

–Tak, Pazyfae. Będę uczestniczyć.

Nazajutrz nie zobaczyłam ani jej, ani Kazana, który zresztą nie pokazał się od początku odosobnienia. Poszłam do przystani Temenos, żeby porozmawiać z Tormosem i Glaukosem, którzy nadzorowali naprawę uszkodzonego statku. Przynajmniej tutaj wszystko szło dobrze. Kriteńczycy są doskonałymi skutnikami, a na wyspie nie brakowało dębów i cyprysów. Z radością zobaczyłam, że wszyscy marynarze są wypoczęci i w dość dobrych nastrojach – i że zabezpieczyli naszą skrzynię złota. Przyznam, że uradowało mnie towarzystwo Ilirów i z przyjemnością słuchałam ich niewyszukanych żartów.

Wszyscy wierzyli, że Kazan sprosta wyzwaniu thetabs i wróci do nich taki, jaki był wcześniej: nieustraszony, przebiegły dowódca, zadający wrogom wielkie straty i uciekający bez szwanku. Zaczęli nawet tworzyć własne mity na podstawie wydarzeń, które nas spotkały, i bez końca wyliczali sposoby zemsty Kazana na zdradzieckich Serenissimczykach.

Żartowałam razem z nimi, uśmiechałam się i modliłam, żeby mieli rację, dla dobra Kazana i mojego własnego. Nie zależało mi na zemście, ale gdzieś w Caerdicca Unitas trwał progressus Ysandry. Królowa nieświadomie zbliżała się do zabójczej pułapki, podczas gdy w Terre d'Ange Percy de Somerville wyglądał sygnał, żeby zająć Miasto Elui. To długie czekanie było dla mnie torturą.

O zachodzie słońca wróciłam do pałacu, gdzie rozpoczęto przygotowania do rytuału. Dla jasności powiem, że miałam w nim uczestniczyć wyłącznie jako widz, i to tylko dzięki łaskawości Kory, dostojnej Pazyfae. Ponieważ przysięga nie zapieczętowała moich ust, mogę opowiedzieć, co widziałam w czasie ceremonii – i co zobaczyłam później, choć to zupełnie inna sprawa.

Wszystko zaczęło się na zewnątrz pałacu, u stóp góry, gdzie ustawieni w trzy rzędy nowicjusze grali na instrumentach, śpiewali i tańczyli. Pochodnie oświetlały tancerzy, którzy wirowali w kręgach w jedną i w drugą stronę, śpiewając w czasie tańca. Zdjęli

długie szaty i byli ubrani tylko w tuniki z białego płótna, przewiązane skórzanymi pasami. Ich ciemna skóra, świeżo natarta oliwą, lśniła w świetle płomieni. Pośrodku koła stał Kazan Atrabiades, kołysząc się z nieobecny wyrazem twarzy. Nie jadł ani nie pił od czasu zawinięcia do portu, całe dwa dni. Był wychudzony i z pewnością odwodniony.

To jego decyzja, powiedziałam sobie, wspominając kriawboga. Skoro ma okazję uwolnić się od tej zmyry, ja nie mam prawa mu przeszkadzać. A jednak bałam się o niego.

Potem zagrzmiały czynne z brązu i zapłonęły dwie pochodnie, wielkie, nasączone smołą kłody. Mimo woli wróciłam myślą do La Dolorosy i upadku z urwiska, gdy nade mną w ciemności koziółkowała ogromna pochodnia Tita. Tutaj pomiędzy pochodniami stała Kora, a jej obecność pozwoliła mi zapomnieć o wszystkich innych sprawach.

Jej tytuł znaczy „dziewica” i chyba był niczym więcej, jak tylko tytułem, bo po obwodzie talii poznałam, że Pazyfae rodziła dzieci. Nieważne, naprawdę była służebnicą Matki Dia. Na czas rytuału włożyła pradawne regalia, falbaniastą spódnicę naszywaną płytkami z kości słoniowej i stanik, który wcale nie skrywał piersi z brodawkami przyciemnionymi henną. Na głowie miała złoty diadem, a karbowane gorącymi żelazkami włosy spadały jej na ramiona.

Choć wśród nowicjuszy byli mężczyźni i kobiety, Korze służyły tylko kapłanki. Na Kriti, jak w wielu innych miejscach, rządy są domeną mężczyzn, ale gdy chodzi o kwintesencję życia, to kobiety sprawują władzę. Acheront zarządzał Temenos i wprowadzał nowicjuszy w tajemnice, lecz to Kora ich uświęcała.

Pisnęły flety i zapadła cisza, tancerze się zatrzymali. Wtedy przemówiła Kora, a wskutek jakiejś akustycznej sztuczki jej czysty głos rezonował.

–Czego pragniesz, suplikancie?

Kazan słaniał się lekko, ale był wyprostowany. Poruszył w ustach spuchniętym z pragnienia językiem i wybełkotał wyuczoną na pamięć odpowiedź w helleńskim języku.

–Pragnę oczyszczenia z winy za przelanie krwi i śmierć brata.

–Co złożysz w ofierze? – Słowa były odmierzone jak perły na sznurku.

–Swoje imię i swoją pamięć. – Kazan zachwiał się, ale zaraz wziął w garść i podjął pewniejszym głosem: – Oddam wszystko, co chcecie.

Po chwili ciszy Kora oznajmiła:

-To wystarczy.

Ach, Eluo! – pomyślałam, gdy kapłanki przyniosły garstkę zboża i odrobinę wody, żeby mógł zwilżyć usta i przełknąć ziarenka. To strasznie niesprawiedliwe. Dlaczego człowiek ponosi karę za niezawiniony wypadek? Kazan Atrabiades nie chciał zabić swojego brata. Jednakże sama widziałam, jak klątwa go dopadła, słusznie czy niesłusznie. Miał prawo szukać odkupienia, a ja nie mogłam mu w tym przeszkadzać. Poza tym kim byłam, żeby osądzać takie rzeczy? Czasami sama potrzebowałam pokuty z rąk kapłanów Kusziela; co więcej, Niewybaczeni z Kamlachu uważali mnie za narzędzie zadośćuczynienia.

Wiem, że ból oczyszcza wspomnienia, lecz składanie samych wspomnień na ołtarzu pokuty jest czymś zupełnie innym. Może nie czułabym lęku, gdybym nie miała za sobą pobytu w La Dolorosie. Widziałam tam szaleństwo i z czasem zaczęłam uważać je za dobrotliwego towarzysza. Na myśl o tym, że ktoś z własnej woli kładzie na szali swoje zdrowe zmysły groza zmroziła mi serce.

Kora dała znak, a wówczas zagrzmiały bębny, flety i czynele. Hierofant wystąpił i pierwszy ruszył w góry. Nowicjusze z pochodniami podążyli za nim i dwójkami przystawali wzdłuż ścieżki, aby oświetlać drogę ciągnącej z tyłu procesji. Szliśmy pod górę stromą, wąską ścieżką, a za nami gasły światła pałacu.

Kazan szedł sam, pośród poprzedzających go i postępującym za nim kapłanek. Często się potykał, lecz nikt nie pospieszył mu z pomocą. Ja kroczyłam na samym końcu. Z całego serca pragnęłam pomóc Kazanowi, ale dobrze wiedziałam, że to zabronione. Nie byłam pewna, czy da radę, bo ścieżka była zdradliwa; on jednak wspinał się niestrudzenie.

Zakończyliśmy wspinaczkę niedaleko od szczytu, przed ciemną, rozległą jaskinią, większą od tych znad zatoki. Kora zatrzymała się na płaskim gruncie przed wejściem. Kałuże światła pochodni zalewały próg groty, ale wewnątrz spowijały nieprzeniknione ciemności.

Kazan zdjął drżącymi palcami ubranie i stanął nagi jak bóg go stworzył. Kora oczyściła go wodą i namaściła mu czoło olejem. Gdy ukląkł, ostrym nożem ścięła pukiel włosów, który następnie związała czerwoną nitką i położyła na tacy, wznosząc modły o bezpieczeństwo suplikanta. Założyła mu na szyję rzemyk z muszelką kauri, poświęcając go Matce Dii.

Po jakimś czasie zaczęłam mrugać ze zmęczenia, na wpół zahipnotyzowana przez migotliwe płomienie i szept muzyki, która zdawała się płynąć z wnętrza samej góry, bo nowicjusze rozproszyli się po skałach. Wreszcie Kora złożyła ostatnią libację z wina i cofnęła się o krok od pieczary.

–Rozpoczęło się – oznajmiła cicho, a jej słowa zbudziły echo w jaskini. – Idź, Kazanie Atrabiadesie, i szukaj wyzwolenia.

Kazan zawahał się, lecz zaraz potem wyprężył ramiona.

Wszedł do jaskini i zniknął mi z oczu.

SZEŚĆDZIESIĄT

W trakcie thetalos Kriteńczycy odprawiają czuwanie.

Przez długi czas stałam wraz z nimi, czekając i patrząc, ale byłam zmęczona po wspinaczce i wciąż obolała po sztormie. Wreszcie poddałam się i usiadłam na głazie, jeszcze ciepłym po słonecznym dniu. Kiedy człowiek jest zmęczony, byle co przynosi mu pociechę. Kriteńczycy stali pewnie, Kora i kapłanki z jednej strony wejścia do jaskini, a hierofant z drugiej. Zwinni nowicjusze przycupnęli na turniach jak kozice.

Muzyka przycichła do tętniącego pomruku. Pochodnie przygasaly, skwiercząc cicho i siejąc iskrami. Od czasu do czasu rozlegał się szmer, gdy ktoś ścierpł i zmienił pozycję – byli wszak ludźmi – ale poza rym wokół panowała cisza, a jedynym ruchem była wędrówka gwiazd po niebie.

Robiłam co w mojej mocy, żeby nie zasnąć. Nie przypuszczałam, że mogę mieć kłopot ze sprostaniem takiemu błahemu wyzwaniu. Martwiłam się o Kazana i dręczyły mnie tysiące innych trosk. Powtarzałam w myślach mowę do archonta Fajstos, szukając odpowiednich słów do wyrażenia prośby. Prowadziłam te retoryczne ćwiczenia w języku caerdicci, nie w helleńskim, i chciałam wypolerować orację przed wejściem do szerokiego portu i w towarzystwo ludzi, jak ujął to hierofant. Hellenowie, a nade wszystko Kriteńczycy, mają wielowiekowe doświadczenie w sztuce krasomówczej.

Zasnęłam w trakcie nadawania przemowie wysokiego połysku.

Nie wiem, jak długo spałam. Po przebudzeniu usłyszałam pulsującą muzykę i dalekie granie cykad. Przypomniało mi się dzieciństwo w domu Delaunaya; nie raz słuchałam szmeru rozmów dobiegających z dziedzińca, gdy przyjęcia przeciągały się do późnej nocy. Czerpiąc otuchę z tych wspomnień, otuliłam się płaszczem dla obrony przed nocnym chłodem i znowu zapadłam w sen.

Zbudził mnie szum własnej krwi, bliski i cichy, lecz z uporem pulsujący w uszach.

Znałam ten dźwięk.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam zbocze góry spowite czerwoną mgiełką, nieruchomych Kriteńczyków i pochodnie. Czekałam, zdjęta strachem, lecz to nie Kusziel przemówił.

Z jaskini popłynął straszny, nieartykułowany krzyk przerażenia. Drżenie przebiegło przez szeregi Kriteńczyków, a gdzieś powyżej mnie nowicjusz głośno zaczerpnął tchu. Kora uniosła rękę w rozkazującym geście i wszyscy się uspokoili. Krzyk znowu rozbrzmiał, rwący się ze strachu, a potem znowu i znowu.

Błogosławiony Eluo, pomyślałam, niech to się wreszcie skończy! Łzy piekły mnie w oczy i zagryzałam usta, żeby zachować milczenie. Słyszałam już podobne wrzaski, w niekończące się noce na La Dolorosie, gdzie żałobny ryk morza kawałek po kawałku odbierał zmysły więźniom. I widziałam skutki tych tortur – widziałam żalosne, już tylko na wpół ludzkie wraki, które

uwolniłam z więzienia.

Wiedziałam, że drugi raz tego nie przeżyję.

Po cichu otuliłam się płaszczem i zarzuciłam róg na głowę, żeby ocienić twarz. Wcześniej było mi przykro, że idę na końcu procesji, ale teraz się ucieszyłam, bo dzięki temu stałam za plecami innych. Mogłam wśliznąć się w mrok i niepostrzeżenie okrążyć uczestników ceremonii.

Nie było to łatwe, ponieważ musiałam się skradać bezgłośnie w czarnym jak smoła mroku, po zdradliwym, nie znanym mi terenie. Z ponurą determinacją dostosowałam kroki do chrapliwych krzyków Kazana, zmierzając do jaskini. Przez cały czas biłam się z sumieniem, bo nie miałam pewności, czy na pewno dobrze robię. Wierzyłam Pazyfae i wiedziałam, że w tym miejscu drzemie moc, z której ona korzysta jako Kora. Ale przecież w La Dolorosie też była moc, straszliwa moc nieutulonej w żalu Aszery. Ludzie popełnili błąd, budując tam więzienie.

Kriteńska opowieść o końcu mojej imienniczki różni się od mitu helleńskiego. Kto może wiedzieć, jak wyglądała prawda?

Do czego popychał mnie Kusziel, jeśli nie do złożenia siebie w ofierze?

Nie znałam odpowiedzi, wyjąwszy tę, jakiej wcześniej udzieliłam Pazyfae: byłam D'Angeliną i mogłam pozostać wierna swojemu śmiertelnemu sercu. Kazan trafił tutaj wskutek moich poczynań. Nie mogłam siedzieć beczynn timer i słuchać jego wrzasków, podczas gdy pobyt w grocie odbierał mu rozum.

Na lewo od jaskini dostrzegłam wąską lukę. Hierofant stał jakieś pięć kroków od wejścia. Przysiadłam na piętach w ciemności poza nierównym kręgiem światła i rozważyłam swoje szanse. Prześliznę się bez trudu za plecami hierofanta, ale pomiędzy nami stało dwóch nowicjuszy. Ominięcie ich było wykluczone.

Kuszielu, modliłam się bezgłośnie, poszłam tam, gdzie mi kazałeś, i nigdy nie odwróciłam się od ciebie. Jeśli naprawdę z twojej woli robię to, co robię, nie szczędź mi pomocy.

Odpowiedziała mi cisza, którą przerwał przepelniony śmiertelnym strachem wrzask Kazana. Nagle wiatr dmuchnął znad morza i zgasił pochodnię najbliższego nowicjusza. Drugi ostrożnie zbliżył się do niego. Obaj stanęli tyłem do mnie, kuląc się

przed wiatrem i próbując zapalić pochodnię.

Dobrze, pomyślałam, to wystarczy.

Przemknęłam jak cień za plecami nowicjuszy, za nieruchomym hierofantem, i weszłam do jaskini, gdzie nie sięgało światło.

W środku panowały ciemności, nieprzeniknione ciemności. Zdałam sobie sprawę, że grotta jest większa, niż się spodziewałam. Kazan kolejny raz wrzasnął. Dźwięk płynął z głębi i z dołu, bo podłoże lekko się nachylało. Wyciągnęłam ręce przed siebie i po omacku ruszyłam w kierunku źródła krzyku. Słyszałam już oddech Kazana, chrapliwy i urywany, budzący echa w ciemności.

Czy przybyłam za późno? Możliwe, pomyślałam z rozpaczą. Ilu innych zginęło przeze mnie? To przez pechowe imię, powtarzałam sobie, oszukując się jak dziecko, które gryzą wyrzuty sumienia. Nieprawda. Z własnej woli wkroczyłam na tę ścieżkę w dniu, w którym dostałam przesyłkę od Melisandy; podjęłam jej grę ze świadomością, że postępuję niemądrze. Odwodziły mnie od tego głowy cięższe od mojej, od Thelesis de Mornay i Ysandy de la Courcel poczynając, a na Kwintyliuszu Rousse kończąc. Tak, Joscelin również był przeciwny.

Nie posłuchałam rady, pozostałam głucha na głosy rozsądku. Pociągnęłam ku zgubie Joscelina i moich biednych, drogich kawalerów. Nicola L'Envers y Aragon próbowała mi wykazać, że mój arogancki brak zaufania jest głupotą, a ja w swojej dumie nie chciałam jej słuchać. Byłam taka zadowolona ze swojego sprytu, taka pewna, że to ja kieruję grą.

A jak przemyślnie postąpiłam na Dobreku, gdy zataiłam prawdę o mojej sytuacji, żeby skryć jej słabość. Och, Fedro, jakaś ty sprytna! Przez ten spryt Kazan nieświadomie wydał mnie w ręce wrogów. Jaki był potem koszt ocalenia mojego życia? Załoga jednego statku? Dwóch? Ilu ludzi zginęło na pokładzie serenissimskiej galery? Co więcej, dzięki mojej przebiegłości udręczony Kazan popadał w obłąd gdzieś w głębi jaskini.

Kurczowo czepiając się myśli o Kazanie, zmusiłam się do zrobienia następnego kroku w jego stronę, i jeszcze jednego. Mgliście zdawałam sobie sprawę, że w tej paraliżującej mnie powodzi wyrzutów sumienia jest coś nienaturalnego.

Ale to była prawda, wszystko było prawdą.

Kazan zajmował ostatnie miejsce na długiej liście. Ile razy, lekkomyślnie i nie bacząc na nic, naraziłam na niebezpieczeństwo ukochane osoby? Remy i Fortun zginęli, zabici z zimną krwią za głupi grzech lojalności wobec kogoś takiego jak ja. Ti-Filip być może także nie żył, a Joscelin, och, Eluo, Joscelin! Ile razy osądziłam go krzywdząco, ile razy się nad nim znęcałam, do granic możliwości naciągając jego

wierność ostatniej przysiędze i patrząc, czy nie pęknie.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że dręczenie Joscelina sprawiało mi przyjemność. Smagałam go okrutnymi słowami i czerpałam rozkosz anguiette z bólu, jaki sprawiały moje zabiegi; ból zranionego serca był głębszy, wyborniejszy niż wszelkie cierpienia ciała.

Jeśli kiedyś myślałam, że znam ból, to wcześniejsze doświadczenia były niczym w porównaniu z tym, co przeżywałam teraz.

Widziałam swoje wady i szaleństwa w całej ich ohydnej pustocie, widziałam straszliwą cenę, płaconą za nie życiem i bólem innych. Widziałam moją udręczoną duszę rozpiętą na kole tortur skleconym z moich złych uczynków. Wspominałam imiona i twarze, niezliczone, nie tylko z tej wyprawy, ale ze wszystkich ryzykownych przedsięwzięć, jakie podejmowałam jeszcze jako anguiette Delaunaya. Guy, jego strażnik, podstępnie zamordowany – mogłabym temu zapobiec, gdybym nie przemilczała planów Alcuina. Alcuin, Alcuin i mój pan Delaunay... Załkałam, wspominając ich leżących w kałużach krwi. Dlaczego nie ujawniłam słów, które zdradziły ogrom wiedzy Melisandy? Gdyby nie moje tchórzostwo, Delaunay zyskałby

misternego spisku. Mogłam ich uratować, jego i Alcuina.

Litania grzechów trwała dalej, bez końca... Walczyłam z tą powodzią zła, podczas gdy wrzaski Kazana dźwięczały mi w uszach. Rozumiałam teraz, dlaczego krzyczał. Przez morze bólu brnęłam w głąb jaskini, aż wreszcie usłyszałam jego wytężony oddech i padłam na kolana, macając na oślep.

Był tam, leżał na skalnym podłożu. Skórę miał chłodną w dotyku, ale żył.

–Kazanie – szepnęłam, potrząsając jego ramieniem. – Kazanie, to niewarte szaleństwa. Kazanie, chodź ze mną!

Poruszył się, po omacku znalazł moją dłoń i chwycił ją mocno, a potem ból niezatartych w pamięci win znowu zaatakował. Kazan ścisnął mi rękę tak mocno, że zachrzęściły kości, i znów wspominałam, wspominałam...

...jak zmusiłam Joscelina do zamordowania, do uduszenia woja Trygvego, żeby odzyskać wolność, jak pozwoliłam, żeby cień tego czynu padł na duszę mojego towarzysza. Jak własną ręką zadźgałam Haralda Bezbrodęgo, jak zginęli inni, tak wielu innych! Ja to zrobiłam, ja ponosiłam winę za wszystko. Daremnie błagałam o wybaczenie, rozpamiętując przeszłość. Dalriadowie, których powiodłam na wojnę; Eamonn mac Conor, jasne włosy rozrzucone na przesiąkniętym krwią pobojuwisku... Hiacynt, na Eluę, Hiacynt! Żył, ale czy nie spotkał go los gorszy od śmierci? Zapłakałam w ciemności. Magister Acco, który przeze mnie odebrał sobie życie, i

biedny Tito z La Dolorosa, którego życzliwość pielęgnowałam dla własnych celów.

To moja wina, całkowicie moja wina.

Znałam ból – Elua świadkiem, że znałam. Znoszenie go jest moim darem i sztuką. Poznałam nawet ból nie do wytrzymania, zadany przez nóż Waldemara Seliga na polu bitwy pod Troyes-le-Mont.

Ten jednak był gorszy.

Po jakimś czasie poszczególne krwawe incydenty i wyrzuty sumienia zlały się w ogromne, bezpostaciowe cierpienie. Udręka targała mną we wszystkie strony, przenikała do szpiku kości. Wrzask rodził się w moim gardle i zacisnęłam zęby, myśląc: Nie będę krzyczeć, nie będę krzyczeć. W końcu nie wiedziałam już, czy myślę to, czy też mówię, krzyczę czy nie krzyczę. Widziałam czerwień w ciemności jaskini i oblicze Kusziela, srogie i mosiężne, i usta wypowiadające słowa, których nie rozumiałam. Pomyślałam, że jeśli tylko zdołam je zrozumieć, wszystkie moje winy zostaną odkupione, ale nie mogłam się skupić w tej lawinie grzechów. Potem przyszło mi na myśl, że jeśli podam signale, to wszystko wreszcie się skończy, i usłyszałam głos Melisandy, nakłaniający mnie do tego, głos słodki jak miód, płynący z jakiegoś miejsca poza bólem...

...i pomyślałam w ostatnim przeblysku świadomości: Nie!

SZEŚĆDZIESIĄT JEDEN

Słyszałam głosy.

Miałam wrażenie, że wróciłam z bardzo daleka, żeby móc je usłyszeć, odróżnić słowa i zdania od bezsensownych dźwięków atakujących moje uszy. Nie potrafiłam pojąć, dlaczego to takie trudne, ale naprawdę było, bo nawet kiedy rozpoznałam mowę, niczego nie rozumiałam, choć głosy rozbrzmiewały tuż przy mnie. Aha, pomyślałam, zadowolona z odkrycia, to dlatego że mówią po helleńsku. Miałam wrażenie, że powinnam znać ten język. Uznałam, że jeśli otworzę oczy, myślenie będzie łatwiejsze. Chciałam to zrobić, ale rzęsy miałam sklezione czymś lepkiem.

–Przenieść ją czy opatrzyć tutaj?

Tak, pomyślałam, znam ten głos. Słyszę hierofanta z Temenos i jestem na wyspie Kriti w miejscu zwanym Temenos. Sprofanowałam tutejszą tajemnicę.

–Sza. Budzi się.

Ten głos też znałam. Należał do Pazyfae Asterius, córki z rodu Minosa zwanej Korą.

–Tutaj. – Usłyszałam cichy plusk wody i poczułam, jak ktoś wilgotnym gałgankiem delikatnie omywa moje oczy. Gdy je otworzyłam, ujrzałam klęczącą, ponurą Korę, wciąż ubraną w rytualne szaty. – Możesz mówić, Fedro?

Nie byłam pewna. Otworzyłam usta i spróbowałam:

–Tak, pani.

Gdzieś za nią rozległ się okrzyk wojenny, dość głośny, żeby rozerwać strop jaskini i rozłupać moją czaszkę. Potem ktoś podniósł mnie z ziemi i znalazłam się w potężnych, łamiących kości ramionach uśmiechniętego Kazana Atrabiadesa.

–Kazan! Postaw ją!

Zrobił to. Nie znał helleńskiego, ale wiedział, o co chodzi Korze. Stałam chwiejnie, trzymając się jego rękawa. Wciąż radośnie szczyrzył zęby, ucieszony jak chłopiec. Lekko poruszyłam głową, rękami i nogami, sprawdzając, czy są mi posłuszne. Sprawily się nieźle. Kora i hierofant stali wraz z garstką wtajemniczonych w oświetlonej przez słońce jaskini, patrząc na mnie bez cienia zrozumienia w ciemnych oczach.

–Nic ci się nie stało? – zapytała ostrożnie Pazyfae.

Obróciłam język w ustach i przełknęłam ślinę. Język też się sprawiał.

–Jestem... żywa, pani.

Potomkowie Minosa wymienili spojrzenia, a hierofant rozłożył ręce, rezygnując z wydawania sądu. Pazyfae pokręciła głową, wciąż marszcząc brwi.

–Nikt nie poświęcony nigdy nie przeżył thetalos. Nie mogę poddać cię rytuałom rozgrzeszenia, Fedro, ale Matka Dia oszczędziła cię. A gdy ona okazuje miłosierdzie, my

możemy tylko brać z niej przykład. Jeśli możesz chodzić, wrócimy do pałacu i porozmawiamy o tym później.

–Rozumiem.

Odbyłam podróż samodzielnie, bez niczyjej pomocy, choć zatrzymywaliśmy się wiele razy, żebym mogła odpocząć. O brzasku Kriteńczycy – nawet Pazyfae – wyglądali na zmęczonych długim rytuałem; nowicjusze nieśli bębny i flety, ale żaden nie próbował zagrać. Spoglądali na ronie często, z niepewnością w oczach. Tylko Kazan tryskał energią i był w doskonałym nastroju. Cokolwiek zaszło w jaskini, wyszedł z niej odmieniony.

W pałacu zaprowadzono mnie do komnaty, gdzie dostałam zupę rybną i grzane wino z korzeniami. Jedna ze starszych nowicjuszek została ze mną. Kazan kręcił się po pokoju, aż w końcu kazała mu wyjść.

–Ona chce, żebyś wyszedł, Kazanie – powiedziałam. Pod warstwami zmęczenia czułam narastające rozbawienie. – Mam odpoczywać. Idź, porozmawiaj z Tormosem i innymi, wszyscy czekają na wieści.

–Teraz ja jestem twoim dłużnikiem. – Przysiadł na brzegu łóżka i z poważną miną przemówił po iliryjsku: – Nie przeżyłbym tego bez ciebie, Fedro. Kiedy nie chciałem odejść, złapałaś mnie za rękę i mówiłaś do mnie, mówiłaś, że mnie nie zostawisz, że zostaniesz ze mną, że musimy znieść to razem i przeżyć, aby powitać nowy dzień.

–Naprawdę? – Patrzyłam na niego ze znużeniem. Nie pamiętałam tego.

–Naprawdę. – Niespodziewanie znowu się uśmiechnął, pokazując lukę w uzębieniu. – I szedłem za nicią twojego głosu, jak Tezeusz w labiryncie! Tylko... – Spoważniał. – Tylko że Kora otworzyła dla mnie drzwi na końcu, a ty zostałaś w ciemności. Nie wiem dlaczego.

–Ja wiem – odparłam cicho. – Kazanie, ja byłam tam intruzem.

–Może. – Zadrżał. – A jednak bez ciebie bym umarł.

–Nie umarłeś. Ja też nie. Teraz idź i pogadaj ze swoimi ludźmi. – Zamknęłam oczy i położyłam głowę na poduszce. Zza kurtyny zbliżającego się snu słyszałam, jak Kazan grozi nowicjuszcze okropnymi konsekwencjami, jeśli spotka mnie jakaś krzywda, a potem jej naleganie, żeby wyszedł z pokoju. Nie rozumieli się wzajemnie, co skłoniłoby mnie do uśmiechu, gdyby nie to, że już zasypiałam. Później zapadła cisza.

Przespałam cały dzień i noc. Zbudziłam się o świcie. Świat wydawał się jasny, odświeżony i czysty, wszystkie kolory bardziej żywe niż te, które pamiętałam. Choć wciąż byłam słaba jak jednodniowe kocię, przepelniał mnie spokój. Niedługo po śniadaniu przyszła druga nowicjuszka – w czasie snu miałam stałą opiekę – z wezwaniem do Kory.

Czekało na mnie nowe ubranie, piękniejsze od poprzedniego, szafranowa suknia i szkarłatny płaszcz. Ubrałam się, starannie ułożyłam płaszcz na ramionach i poszłam do Pazyfae.

Przyjęła mnie w sali tronowej, a kiedy chciałam uklęknąć, wskazała mi stołeczek.

–Usiądź. – Przez chwilę patrzyła na mnie, milcząc. – Nie wiem co z tobą zrobić, Fedro nó Delaunay. Zajrzałam do annałów i nie znalazłam wzmianki o podobnym przypadku. Nikt, kto sprofanował tajemnicę thetalos, nie wyszedł z jaskini bez szwanku. Wróżbici milczą, domowe węże piją mleko i z zadowoleniem wygrzewają się na słońcu, Matka Dia nie okazuje gniewu, a Zagreus milczy. Ja jednak myślę, że coś się w tobie zmieniło.

–Nie, chyba nie.

–Powiedz mi, co zaszło.

Zrobiłam to dość chętnie, mówiąc z głębi serca. Kiedy skończyłam, poważnie skinęła głową.

–Tak. Taka jest natura thetalos, stawienie czoła odsłoniętej, najgorszej części duszy. Smuci mnie, że nie mogę cię rozgrzeszyć, a jednak... – Pokręciła głową. – Bogowie zachowują milczenie. Może rozgrzeszenie nie jest konieczne. Zabierzesz ze sobą to co widziałaś.

–Wiem – odparłam cicho. – Rozumiem, pani, naprawdę.

Pazyfae popatrzyła na mnie ze współczuciem.

–Zrozum zatem jeszcze jedno. W jaskini thetalos odsłania się najmroczniejsza prawda, którą pragniemy ukryć przed samymi sobą. Ale to nie znaczy, że odsłania się w całości, Fedro.

–Nie. – Zastanowiłam się nad odpowiedzią. – To też wiem. Pani, widziałam w tej jaskini wydarzenia, których bieg odwróciłabym, gdybym mogła. Widziałam akty dumy i samolubstwa, na samą myśl o nich przebiega mnie drżenie. Ale inne... kto może to wiedzieć? Wielu zginęło przeze mnie, wielu dzięki mnie przeżyło. Bogini spogląda z przeszłości i rachuje martwych, ale nie liczy żywych.

–Och... – Pazyfae wykrzywiła usta w nikłym uśmiechu. – Liczy, możesz być pewna. Ale tego zapisu nie jest nam dane poznać. Mimo wszystko uważam, że kieruje tobą ręka jakiegoś boga, a ja nie zamierzam się wtrącać ani przeczyć temu, co się dzieje. Kiedy będziesz zdolna do podróży, udzielę ci obiecaney pomocy, dam list do archonta Fajstos i zapewnię przewóz do miasta. To tylko godzina jazdy.

–Do szerokiej zatoki i towarzystwa ludzi – mruknęłam. – Dziękuję, dostojna Koro.

–Nie ma za co. – Spoczęło na mnie jej zadumane spojrzenie. – Kazan Atrabiades złożył ofiarę w złocie, jak wypadało, a Ojneus dopilnował, żeby jego statek był zdalny do żeglugi. Co do ciebie... Przyniosłaś mi tajemnicę do rozważenia, a to jest dla mnie cenniejsze od złota. Jestem ci wdzięczna, Fedro nó Delaunay. Coś takiego nieczęsto zdarza się w życiu tych, które służą jako Kora w Temenos. Mam nadzieję, że znalazłaś tutaj to, czego szukałaś.

Poprawiłam się na stołeczku.

–Pani, jeśli uda mi się stąd wyjechać i nie dopuścić do zabójstwa królowej, to powiem, że znalazłam. Czy możemy jutro wyruszyć do Fajstos?

Zaskoczyłam ją tak bardzo, że z głębi oczu kapłanki spojrzała na mnie zwyczajna śmiertelniczka.

–Jutro? Chcesz jechać tak wcześnie po tym, co przecierpiałaś?

–Czas jest luksusem, którego mi brakuje. – Poruszyłam ramionami; moje ciało wciąż było sztywne i obolałe, ale powinno spełnić oczekiwania. – Na dobre czy złe, pani, jestem wybranką Kusziela.

–Srogi bóg – mruknęła – i dziwny. Ale skoro tak, spełnię twoje życzenie. Porozmawiam z Ojneusem, a on zajmie się przygotowaniem. Demetrios Asterius jest archontem miasta, należy do Krewnych i ma smykałkę do handlu. Polubisz go, jak myślę – dodała z uśmiechem. – Jest bardzo żywiołowy, ale nie daj się zwieść pozorom, bo nie brakuje mu przebiegłości. Polecę mu ciebie.

–Jestem twoją dłużniczką.

–Nie. – Pazyfae pokręciła głową. – Skoro zostałaś tu przysłana, robię co do mnie należy. Jesteśmy posłuszne poleceniom bogów, Fedro. Nie mogę ci udzielić

rozgrzeszenia, ale pobłogosławię cię, jeśli chcesz.

–Z radością przyjmę twoje błogosławieństwo, pani – odparłam szczerze. Uklękałam przed nią, a ona położyła rękę na mojej głowie i czystym głosem wygłosiła formułę. Poczułam, jak moc wibruje w moich kościach, i wiedziałam, że musnęłam samo serce tajemnicy tego miejsca.

Kora dotrzymała słowa i rankiem mieliśmy środek transportu. Razem wzięwszy, było nas dziesięcioro, bo pod jej opieką ranni wrócili do zdrowia. Sześciu pod komendą Tormosa miało pozełgować statkiem do portu Kommos, żeby tam czekać na rozkazy Kazana. Glaukos płynął z nimi jako tłumacz. Kazan, ja i dwóch żeglarzy – Spiridon i Gavril – pojechaliśmy do miasta Fajstos furą zaprzężoną w woły.

Nie była to chłopska furmanka, ale wspaniały wóz z misternie zdobionymi burtami, z wyrzeźbionym herbem, który wyobrażał snopki pszenicy i splecioną winorośl, symbol związku Matki Dii z Zagreusem, jej małżonkiem-synem. Nawet woły z szerokimi łbami i łagodnymi oczyma, z rogami przystrojonymi w pozłacane czapeczki, wyróżniały się szlachetnością. Na Kriti znali się na bydle. Nasz woźnica, szczupły i ciemnowłosy, był skory do uśmiechu, choć odzywał się rzadko.

Wyjechaliśmy.

Jeśli Temenos sprawiało wrażenie, jakby było oddzielnym światem, znajdującym się niemal poza czasem, reszta wyspy wyglądała zupełnie inaczej. Wąska droga wiła się wśród niskich gór, ale niebawem wjechaliśmy do żyznej doliny Messary, gdzie uprawiano wszelkiego rodzaju zboża, warzywa i owoce. Droga była teraz szersza i spotykaliśmy licznych podróżnych, zmierzających do Fajstos piechotą, konno i na osłach, bo w mieście wypadał chyba dzień targowy. Nasz woźnica pogwizdywał przez zęby i od czasu do czasu kiwał głową na powitanie. Podróżni w odpowiedzi dotykali czoła, więc się domyśliłam, że wiedzieli, iż służy Korze.

Kazan rozglądał się jak chłopiec, szeroko otwierając oczy ze zdumienia, a ja ze wstydem przyznaję, że trochę mu zazdrościłam. Na jego duszy nie kładł się cień bólu, bo rozgrzeszenie go oczyściło. Ale ja byłam anguisette, i wspomnienie bólu było moim starym towarzyszem, nie

zawsze niemile widzianym. Byłam kim byłam. Musiałam się z tym pogodzić.

I miałam własne troski.

Bałam się poruszać ten temat, ale kiedy zbliżyliśmy się do Temenos, zapytałam cicho:

–Kazanie, co teraz zrobisz, wolny od klątwy krwi? Poskrzypywanie wozu zagłuszało mój głos i mówiłam w języku caerdicci, którego nie znał żaden z naszych towarzyszy.

Nie chciałam stawiać Kazana w niezręcznej sytuacji. – Wrócisz do domu, do Epidauro?

–Co? – Popatrzył na mnie ze zdziwieniem. – Czy Kora nie rozmawiała z tobą, Fedro? Jeśli ten archont zapewni ci pomoc Kriti, to dobrze, choć Kora sądzi, że nie wyśle okrętów wojennych. Zobaczmy co zrobi. Tak, a ja uczynię, co każesz, bo mam u ciebie dług. – Jego twarz spoważniała. – Chodzi nie tylko o to, że zawdzięczam ci życie, choć taka jest prawda. Gdybym spełnił twoją prośbę, gdybym pożeglował do Marsilikos, a nie do Dobreku, nie stałoby się to, co się stało. I gdybym powiedział prawdę po powrocie Nikanora. Mogłem wysłać cię do Epidauro, tak, choć sam nie mogłem się tam udać. Ban zawiązałby potężne przymierze z twoim krajem. Takie rzeczy widziałem – dodał cicho – w jaskini.

Mogłam roześmiać się albo zapłakać; jego wizje były równie prawdziwe jak moje.

–A zatem, jeśli archont nam nie pomoże...

–Popłyniemy do Epidauro – dokończył, znowu uśmiechnięty. – Zobaczę się z Nikanorem i innymi, i poproszę bana, żeby ci pomógł. Kiedyś cieszyłem się jego względami i tylko przez klątwę matki popadłem w niełaskę. A jeśli on nie pomoże, sam zabiorę cię tam, gdzie tylko będziesz chciała.

Łzy zapiekły mnie w oczy

–Dziękuję – szepnęłam. – Dziękuję.

–Drobiazg. – Wzruszył ramionami i dodał po iliryjsku: – Mamy rachunki do wyrównania z Serenissimczykami!

Spiridon i Gavril usłyszeli jego słowa i krzyknęli na wiwat, składając przysięgi krwawej zemsty. A więc nic się nie zmieniło, pomyślałam ze smutkiem, choć byłam rada z ich wsparcia. Nawet po thetalos Kazan łaknie krwi. Choć wszystko pamięta, został oczyszczony, i teraz zaczyna na nowo.

Może jednak noszenie bólu w pamięci nie było takie złe?

Zadumałam się i droga do Fajstos minęła bardzo szybko. Pod murami miasta rozciągało się targowisko, chłopci handlowali między sobą, a także z rzemieślnikami i kupcami, którzy dla przybyszów ze wsi wystawiali tandetne wyroby po niższej cenie. Kluczyliśmy między straganami, powoli przybliżając się do bram miasta.

Fajstos leży na niewysokim wzgórzu; na szczycie znajduje się pałac, a miasto schodzi do zatoki Kommos. Jest otoczone niskim murem, ale wysoka ceremonialna brama jest pilnowana przez strażników archonta. Tego ciepłego wczesnojesiennego dnia byli ubrani w lekkie zbroje, stalowe kirysy na lnianych tunikach, hełmy z

czerwonymi pióropuszcami, nagolenice i skórzane

sandały. Mieli krótkie włócznie i tarcze z wołowej skóry, choć połowa z nich oparła je o mury, zajęta rozmową i przekomarzaniem.

Dowódca obrzucił wóz pobieżnym spojrzeniem i machnął ręką, wpuszczając nas do miasta. Kilku strażników dotknęło z uśmiechem czoła, pozdrawiając woźnicę, a inni tręcali się łokciami i patrzyli za nami. Słyszałam ich zaciekawione pomruki, gdy wjeżdżaliśmy przez bramę, ale szybko zagłuszył je hałas targowiska.

Dotarliśmy do Fajstos, miasta nad szeroką zatoką.

SZEŚĆDZIESIĄT DWA

Fajstos rzeczywiście jest światowym miastem, tętniącym życiem i wyraźnie różniącym się od spokojnego Temenos. Nie dorównuje wielkością innym znanym mi portom, jak Marsilikos czy La Serenissima, ale leży na skrzyżowaniu morskich szlaków i wśród Kriteńczyków można dostrzec przedstawicieli wielu różnych nacji. Tego dnia w porcie stał statek z Efezjum, a na targach zauważyłam kilku Umajjatów i Hellenów z lądu, a także wielu Caerdicci z któregoś z południowych miast-państw. Na próżno jednak wyęźlałam wzrok i słuch, szukając d'Angelińskich twarzy lub głosów.

Ulice Fajsto w większości są wąskie i przeznaczone wyłącznie do ruchu pieszego, ale kilka szerokich alei wiedzie na rynek, do portu i do pałacu. Powoli jechaliśmy jedną z nich na pałacowe wzgórze. Woły prężyły uprzęże i kiwały głowami, chyląc przystrojone rogi, jak gdyby w odpowiedzi na pozdrowienia tych Kriteńczyków, którzy dotykali czoła.

Urodziłam się i wychowałam w mieście, więc z przyjemnością oddychałam znajomą atmosferą. Zwróciłam uwagę na przemieszanie warstw społecznych, plebejusze ocierali się łokciami o panów i damy. Powietrze przesyciła bogata gama zapachów: słony zapach morza, wonne oleje, kebaby z jagnięciny skwierczące na koszach z węglami, świeże ryby, ostre przyprawy korzenne, ludzki pot, napływający z dali atomat kadzidła.

Ponieważ Spiridon i Gavril wytrzeszczali ze zdumienia oczy, przyszło mi na myśl, że nigdy dotąd nie widzieli prawdziwego miasta.

–Iliryjscy kupcy tutaj też bywali – powiedział Kazan cicho. – Dwadzieścia lat temu. Serenissimczycy przejęli nasze prawa handlowe i ci, którzy chcą handlować bez ich pośrednictwa, muszą płacić wysokie podatki. Ale to mnie nazywają piratem! Zajęliby Kriti, gdyby śmieli, i całą Helladę, ale Kriti nigdy nie padnie.

To prawda; już Tyberium w czasie złotych lat cesarstwa próbowało podbić wyspę. Zajęło całą lądową Helladę, ale Kriti zachowała niepodległość. Kriteńczycy wycofali się w góry, gdzie walczyli zaciekle i przebiegle, wabiąc tyberyjskich żołnierzy w zasadzki. Wyspa nigdy nie została podbita i po rozpadzie cesarstwa tyberyjskiego Kriteńczycy powrócili na wybrzeża.

Wreszcie dojechaliśmy do bramy pałacu. Tutaj strażnicy archonta z całą powagą pełnili swoje obowiązki. Woźnica porozmawiał z dowódcą, a ja pokazałam list od Pazyfae. Dowódca obejrzał pieczęć i uprzejmie skinął głową; słońce przejrzało się w jego hełmie.

–Jesteście mile widziani, skoro przybywacie od Kory z Temenos. Wsiądźcie z wozu, proszę, a ja powiadomię archonta.

Czekaliśmy posłusznie przed bramą. Nasz woźnica dotknął czoła na pożegnanie, zawrócił wóz i odjechał powoli. Czas oczekiwania skracałam sobie oglądaniem pałacu Fajstos, znacznie świetniejszego od tego w Teminos. Budowla wspinała się tarasami na wzgórze, portyki z

czerwonymi kolumnami górowały nad miastem, które schodziło ku morzu. Wreszcie zjawił się dworzanin, dystyngowany Kriteńczyk w średnim wieku, z urzędowym łańcuchem na szyi, ubrany w białą tunikę z bogatym hartem na rąbku. Ukłonił się i przemówił po helleńsku:

–Fedro nó Delaunay z Terre d'Ange, Kazanie Atrabiadesie z Epidai ro, powiodę was i waszych ludzi przed oblicze archonta.

Przetłumaczyłam jego słowa Ilirom i razem weszliśmy za dworzaninem na dziedziniec, a stamtąd pod wielkim alabastrowym łukiem na szerokie schody.

Pałac Fajstos tętnił życiem. Mijaliśmy kriteńskich wielmożów obu płci, poruszających się na własnych nogach i noszonych przez sługi w lektykach, wyruszających na rynek i powracających do pałacu. Gawędzący, śmiejący się, gestykujący panowie i panie nosili stroje odpowiednie do panującego upału, jakże różne od skromnego iliryjskiego przyodziewku. Spiridon i Gavril wybałuszali oczy na widok kobiet w sukniach tak cienkich, że widać było przez nie kontury sylwetek. Uśmiechnęłam się widząc miny piratów.

Dworzanin zaprowadził nas do górnego wschodniego skrzydła pałacu i przystanął przed drzwiami. Słyszałam płynące zza nich dziwne dźwięki stękanie i łoskot. Kazan spojrział na mnie pytająco, a ja wzruszyłam ramionami. Dworzanin chrząknął, zapukał trzy razy i otworzył drzwi.

Wiodły nie do pokoju, lecz na mały, wysypany piaskiem dziedziniec. Po drugiej stronie, wokół studni stały ławki i gliniane donice z palmami daktylowymi. Na ławkach siedzieli kriteńscy wielmoża, otoczeni służbą z parasolami, zajęci jedzeniem, piciem, rozmowami i obserwowaniem zapasów. Kilku zapaśników też się im przyglądało, robiąc zakłady.

Dyskretnie stanęliśmy z boku i czekaliśmy. Patrzyłam na widzów, próbując odgadnąć, który z nich jest archontem. Zawodnicy walczyli nago, ciała mieli natarte oliwą, a włosy związane w kitki. Jeden był wyższy i miał dłuższe ręce, ale niższy zwinnie wyslizgiwał się z jego ramion. „Ochy” i „achy” widowni akcentowały każdy atak i ucieczkę. Kazan ściągał brwi z konsternacji, a jego ludzie byli wyraźnie skrępowani. Ilirowie rozbierają się do naga, żeby pływać, lecz nie robią tego w obecności kobiet.

W pewnej chwili zapaśnicy zwarli się, zapierając nogami i zaciskając ręce na

ramionach przeciwnika. Szurali stopami, szukając oparcia w grząskim piasku, gdy jeden drugiego próbował przewrócić. Nagle mniejszy zawodnik zamarkował atak na kostkę przeciwnika, ale ten nie dał się zwieść i rzucił go przez biodro. Niższy mężczyzna upadł z głuchym łoskotem. Widzowie westchnęli, a zwycięzca cofnął się i uklonił. Kiedy pokonany, uśmiechając się szeroko, wstał na nogi, wszyscy nagrodzili go oklaskami, i wówczas zrozumiałam, że to on jest archontem.

Podszedł do nas nagi, jak Bóg go stworzył, z Pieczęcią Minosa na szyi, lśniący od oliwy, wyjąwszy parę zapiaszczonych łat na skórze.

–Jestem Demetrios Asterius – powiedział wesoło – archont Fajstos. Słyszałem, że przysłała cię Pazyfae. Czy nikt ci nie powiedział, że twoje włosy lśnią niczym gwiazdy pochwycone w sieć nocnego nieba?

Zarumieniłam się, klękając na rozgrzanym przez słońce piasku.

–Dostojny archoncie, przyjmij moje pozdrowienia. Jestem Fedra nó Delaunay, hrabina de Montreve z Terre d'Ange.

–Matko Dia, mogłem zgadnąć] Na rwój widok bogini miłości pobiegłaby szukać lustra. – Opierając ręce na biodrach, przyjrzał się Kazanowi, który uklonił się, odwracając wzrok. – A ty musisz być Epidaurczykiem. Stanowicie nieprawdopodobną parę!

–Jestem Kazan Atrabiades – przestawił się Kazan sztywno w caerdicci.

Archont uniósł brwi i bez wysiłku przeszedł na ten język.

–Jeśli tak, wyrobiłeś sobie opinię pirata, Ilirze!

Kazan uśmiechnął się jak wilk, zapewne rad, że reputacja go wyprzedziła.

–Możliwe. Ale przeszedłem thetalos.

–Tak słyszałem.

Chytry wyraz przemknął po twarzy Demetriososa Asteriusa, Dobrze pamiętałam, co powiedziała o nim Pazyfae. Był szczupły i smagły, ale w oczach – w głęboko osadzonych oczach potomków Minosa, którzy zwali się Krewnymi – doszukałam się cech Kory.

–Masz list, jak mniemam?

Podaliśmy mu go, wciąż klęcząc. Smukłe palce zamknęły się mocno na moim nadgarstku i archont ze śmiechem podniósł mnie na nogi.

–Nie musisz klękać przede mną, pani Fedro, choć wygląda to czarująco. Zobaczmy, co napisała Pazyfae. – Wyjął list z mojej ręki i gwizdnął, odwracając się do zgromadzonych zapaśników. Jeden uniósł głowę, uśmiechnął się w odpowiedzi i podszedł do nas. Wysoki i dobrze zbudowany, miał włosy koloru przyciemnionego brązu i szare oczy, które wyrażały spokojne rozbawienie. – To Tymantes – powiedział archont i z roztargnieniem zarzucił rękę na ramiona towarzysza, zajęty czytaniem listu Pazyfae. – Pokonuje mnie dwa na trzy razy, ale nigdy się tym nie chełpi. Zobacz, Tymantesie, i powiedz, co z tego rozumiesz.

Tymantes przeczytał list i, gdy skończył, ich oczy się spotkały.

–Musisz wysłuchać jej na audiencji, Demetriosie. Tutaj trudno osądzić.

–Tak myślałem. – Archont klasnął w ręce, zwracając się ku siedzącym na ławkach, poszeptującym i popatrującym na nas Kriteńczykom. – Dziękuję wam za przybycie! – zawołał do nich. – Mam nadzieję, że dobrze się bawiliście! – Odpowiedzieli grzecznym aplauzem, po czym oddalili się szybko, zabierając ze sobą służących. Inni zapaśnicy polewali się wiadrami wody, którą czerpali ze studni. Demetrios Asterius dotknął palcami ust, z zadumą ściągając brwi. – Masz statek w porcie, prawda? – zapytał Kazana w caerdicci. – Nie bardzo wiem, piracie, jaka jest twoja rola w tej sprawie. Prawo Temenos chroni cię jako suplikanta, ale ochrona nie rozciąga się na sprawy państwowe. Jeśli przybywasz tu jako zbójca morski...

Kazan popatrzył na niego z góry; był wyższy o całą głowę.

–Dostałem już to, po co przyszedłem, synu Minosa. Przybyłem tutaj, żeby zobaczyć, co zrobisz albo czego nie zrobisz. Rozumiesz?

–Tak, chyba tak. – Archont energicznie pokiwał głową. – W takim razie, pani Fedro, wysłucham ciebie i twojego... narzeczonego?

–Nie – zaprzeczyłam cicho. – Wielmożnego Kazana Atrabiadesa i mnie wiążą... wzajemne zobowiązania, jak można by rzec. Nic więcej.

–Nie? – Uniósł brwi i uśmiechnął się szeroko. – To dobrze. Tymantesie, czy jej włosy nie lśnią niczym gwiazdy pochwycone w sieć nieba? – Wymienili jeszcze jedno spojrzenie i Tymantes z uśmiechem pokręcił głową. – Twoja siostra wpadłaby w złość, słysząc takie słowa – skonkludował archont, ani trochę tym nie przejęty. – Ale co mam robić, kiedy sama Kora przysyła ją pod mój dach? Nie mam innego wyjścia. Drogi panie piracie – zwrócił się do Kazana – proponuję, żebyś znalazł w mieście kwatery dla swoich ludzi. Słyszałem, że nie brakuje tam porządnych gospód, jeśli ma się pieniądze na zapłatę. Co do ciebie, uszanujemy prawa suplikanta, który przeszedł thetalos. Możesz tu zostać. A ty, pani... – Ukłonił się i Pieczęć Minosa uderzyła o nagi tors, gdy się wyprostował. – Będziemy zaszczyceni, goszcząc cię pod naszym

dachem. Tymantesie, zajmiesz się tym?

–Tak, Demetriosie. – Tymantes uśmiechnął się do mnie. – Dopilnuję tego.

Nie sędzę, żeby Kazanowi spodobało się takie rozwiązanie – nie sędzę, żeby sam archont przypadł mu do gustu – ale tak postanowiono i Tymantes zaprowadził mnie do przyjemnych komnat w zachodnim skrzydle pałacu.

–Archont przyjmie cię za godzinę – powiadomił mnie poważnie. – Nie każe czekać osobie przysłanej przez Korę.

–Dziękuję, Tymantesie. – Spojrzałam na niego uważnie. – Bardzo go lubisz, prawda?

Kącik jego ust uniósł się w uśmiechu.

–Tak, pani.

Zgadywałam, że byli kochankami, i chyba miałam rację.

–Czytałeś list Kory. Czy archont potraktuje mnie uprzejmie?

Tymantes wbił wzrok w powagę.

–Przyjmie cię, pani, jak każdego suplikanta, a dzieci Minosa słuchają rad, zwłaszcza gdy pochodzą z Temenos. Czy udzieli ci pomocy? – Popatrzył na mnie poważnie. – Nie wiem. Jeśli dobrze zrozumiałem list Kory, wzbudziłaś wrogość potężnego narodu, a La Serenissima leży bliżej Kriti niż Terre d'Ange. Starannie rozważ swoją prośbę i wyraż ją mądrze.

–Zrobię to, dziękuję.

Po wyjściu Tymantesa odświeżyłam się, myjąc ręce i twarz w przygotowanej misie, a potem usiadłam i czekałam, zastanawiając się co mam powiedzieć. Piękna mowa, którą kiedyś wyczelowałam, wyleciała mi z głowy w jaskini w Temenos, podarta na strzępy i utracona na zawsze w wyniku tego, co tam przeszłam. Jednakże ułożyłam ją dla zupełnie innego odbiorcy;

nie widziałam, co sądzić o archoncie, który nie miał nic przeciwko przyjmowaniu petentów na arenie dla zapaśników. Jego spojrzenie sugerowało inteligencję, której przeczyło zachowanie.

W końcu postanowiłam powiedzieć prawdę. Jeśli w jaskini czegoś się nauczyłam, to tego, że moje sprytne zabiegi prowadziły do marnego końca. Kiedy wreszcie przysłano po mnie i zostałam przyjęta w sali tronowej przez Demetriosą Asteriusa, opowiedziałam mu wszystko rzetelnie – w caerdicci przez wzgląd na Kazana, który

stał z gniewną miną obok mnie.

Archont słuchał z zadumą, od czasu do czasu prosząc o wyjaśnienie szczegółów. Ubrany w szaty swojego urzędu, białe z purpurowo-złotą lamówką, już bardziej przypominał władcę. Jego głowę zdobił misternie wykuty złoty diadem, ale włosy miał jeszcze mokre po kąpieli. Obok tronu stał Tymantes i po jego stroju rozpoznałam, że też jest szlachetnego rodu.

Kiedy skończyłam, archont poważnie pokiwał głową.

–Twój kłopot jest jasny, Fedro, podobnie jak twoja opowieść. Kora nie poleciałaby cię, gdybyś nie mówiła prawdy. O co prosisz?

Zaczerpnęłam tchu.

–Dostojny archoncie, mam podwójną prośbę. Obawiam się, że jest za późno na spotkanie z królową w czasie progressus. Aby zapobiec jej śmierci, mogę tylko pospieszyć do La Serenissimy i modlić się, żebym dotarła tam przed nią. To moja jedyna nadzieja. W tej sprawie proszę tylko o prawo przepłynięcia przez twoje wody i użyczenie mi eskorty, żebym mogła bezpiecznie dotrzeć do miasta.

–A w drugiej?

–Szybki statek i kuriera, dostojny archoncie, do przewiezienia listu do Pani Marsilikos. – Spojrzałam mu w oczy. – Zdrada czyha w mojej ojczyźnie i poza jej granicami, panie. Jeśli nie zdołam zapobiec śmierci królowej, może uda mi się chociaż zapobiec przejściu tronu.

Demetrios Asterius złączył czubki palców, zerkając na Kazana.

–A co ty masz do powiedzenia, piracie? Czy zrobisz to, czego ja nie zrobię?

–Tak powiedziałem – odparł Kazan krótko.

–Tak, w bardzo zwięzły sposób. – Nie zwracając uwagi na stłumione warknięcie Kazana, archont spojrzał na mnie, unosząc brwi. – Wybacz mi obcesowość, moja droga, ale muszę spytać. Wielu Krewnych Minosa ma dar przenikliwości i umie rozpoznawać wolę bogów. Ja do nich nie należę, muszę więc polegać na drobnych umiejętnościach. Dlatego pytam: Jaką korzyść odniesie z tego Kriti?

Byłam przygotowana na takie pytanie.

–Jeśli powiesz mi się choć częściowo, panie, zyskasz wdzięczność Terre d'Ange i będziesz mógł upomnieć się o nagrodę. Pieniądze, jeśli sobie życzysz, prawa handlu z Terre d'Ange i Albą, usługi d'Angelińskich inżynierów, może nawet przymierze

poprzez małżeństwo, choć tego nie mogę obiecać.

–A jeśli poniesiesz porażkę? – zapytał uprzejmym tonem.

Pokręciłam głową.

–Nie mogę dać żadnych gwarancji, panie. A jednak masz wiele do tkania, niewiele do stracenia.

–Uczciwie powiedziane, moja droga, ale decyzja nie jest taka prosta, jak może się wydawać. – Archont znowu złączył dłonie, dotykając palcami ust i patrząc w dal. – Uwierz mi, kiedy powiem, że rozumiem konieczność pośpiechu – powiedział. – Ale nie jest to prośba, którą mogę spełnić lub odrzucić w jednej chwili. Daj mi jeden dzień do nanwysłu a jutro udzielę odpowiedzi. Czy zgadzasz się na ten warunek?

Zerknęłam na Kazana, który wzruszył ramionami. Potrzebowaliśmy co najmniej dnia na przygotowanie statku do podróży, bo choć został wyremontowany w Temenos, musieliśmy uzupełnić prowiant i zapasy wody.

–Tak, dostojny archoncie – powiedziałam, składając ukłon. – Zgadzam się i dziękuję ci za życzliwość.

–Dobrze. – Uśmiechnął się, będąc już w weselszym nastroju. – W takim razie, czy wyświadczysz mi zaszczyt i przyjmiesz zaproszenie na wieczorne przyjęcie? Dostojna Altaja obraziłaby się, gdybym nie zaprosił naszych egzotycznych gości. – Archont rzucił rozbawione spojrzenie na Tymantesa, który bez słowa pokręcił głową. – Ty także będziesz mile widziany, mój drogi piracie – powiedział do Kazana. – Panie są zaintrygowane twoją groźną miną. Wieczór zapowiada się naprawdę interesująco.

Wyraz twarzy Kazana pozostał nieodgadniony, gdy zgiął się w nieskazitelnym ukłonie.

–Dziękuję, dostojny archoncie – powiedział, starannie dobierając słowa – ale mam sprawy do załatwienia na statku. Za twoim pozwoleniem, wrócę jutro.

–Jak sobie życzysz. – Demetrios Asterius machnął ręką, potem skłonił głowę w moją stronę. – Mam nadzieję, że ty nie sprawisz mi zawodu. Widujemy niewielu D'Angelinów. Byłoby nam przykro, gdybyś pozbawiła nas swojego towarzystwa.

–Panie, czuję się zaszczycona – zapewniłam.

SZEŚĆDZIESIĄT TRZY

Po audiencji zaprowadzono mnie do pokoi gościnnych, a potem do łaźni, gdzie czekała kąpiel, jakiej nie zażyłam nigdzie poza Dworem Nocy. W pałacu Fajstos są słudzy, których jedynym obowiązkiem jest obsługa łaźni, pilnowanie temperatury wody, wykładanie świeżych ręczników i tak dalej. Podczas gdy rozkoszowałam się kąpielą, dziewczyna o pospolitej twarzy przyniosła tacę z dzbanem słodkiego olejku i uklękła obok wanny. Szepnęła, że dostojna Altaja przysyła swoją osobistą sługę, wprawną w sztuce masażu.

Mogłam obyć się bez tego, lecz nigdy nie odtrącam luksusów. Dlatego po wyjściu z wanny położyłam się na alabastrowej ławie zasłanej czystym Inianym prześcieradłem. Dziewczyna odwracała wzrok, ale kiedy zbliżyła się, żeby rozetrzeć olej na moich plecach, usłyszałam, jak wciąga przez zęby powietrze. Zapomniałam o czerwono-czarnej marce Naamy, wyraziście rysującej się na mojej jasnej skórze.

–Nie trwóż się – powiedziałam do niej po helleńsku. – To tylko znak Naamy, której służę. Ty pewnie nazwałabyś ją boginią.

Potrząsnęła głową, szepcząc coś w nie znanym mi dialekcie, i roztarła olej. Nie wiem, czy uśmierzyłam jej troski, ale zabrała się do pracy i niedługo później przepełniło mnie dobre samopoczucie. Zamknęłam oczy, wspierając głowę na przedramionach, i poddawałam się zabiegom jej rąk, zwinnie rozplątujących węzły zmęczenia w mych mięśniach.

W tym sennym błogostanie nie zwracałam uwagi na osoby wchodzące do łaźni, dopóki nie usłyszałam znajomego głosu.

–Cieszę się, że usługi mojej Chloris sprawiają ci przyjemność.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam uśmiechniętą lekko Krittenkę. Wymyślnie uczesane brązowe włosy i szare oczy – oraz jej poufałość – utwierdziły mnie w przekonaniu, że jest siostrą Tymantesa. Drgnęłam, gdy nazwała masażystkę niewolnicą, lecz odparłam grzecznie:

–Ty jesteś dostojna Altaja, jak sądzę. Mam u ciebie dług, pani.

–W istocie. – Okrążyła ławę, przypatrując mi się bacznie. – Powinnam iść na zapasy, a nie na targ, wtedy wiedziałabym o wszystkim z pierwszej ręki. Tymantes nie powiedział mi, że jesteś hetaera.

–Tymantes nie wiedział, pani. Przebywam tutaj jako sługa Jej Królewskiej Mości Ysandry de la Courcel, królowej Terre d'Ange, nie jako sługa Naamy. To d'Angelińska sprawa.

–Czyżby? – Zatrzymała się i popatrzyła na mnie z góry, unosząc wdzięcznie łuki brwi. – Demetrios Asterius jest oddany mojemu bratu, lecz docenia także urodę kobiet. Zawarliśmy porozumienie, tak, ale jeszcze nie ślubowałam synowi Minosa. Czy jest lepszy sposób na zwabienie archonta Fajstos w pułapkę niż podsunięcie mu na przynętę d'Angelińskiej damy, która praktykuje zawód hetaeraet – Skrzywiła się. – Wiem coś o twoim ludzie, pani Fedro.

Słyniecie ze sztuki rzucania czarów w sypialni.

Oparłam podbródek na pięści.

–Nie zamierzam, pani, uwodzić archonta.

–Nie? – Patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

–Nie – zaprzeczyłam stanowczo. – To sprawa państwowa. Ni mniej, ni więcej.

–A jeśli on zaproponuje? Jeśli obieca pomoc Kriti w zamian za twoje towarzystwo w sypialni? Czy odmówisz?

Zastanowiłam się. Niewolnica Chloris spostrzegła się, że podsłuchuje, i szybko opuściła głowę. Nacierала oliwką moją skórę, uśmierzając niezliczone bóle będące wynikiem długich, ciężkich przejść.

–Znasz archonta, dostojna Altajo – powiedziałam. – Zaproponuje?

Odwróciła wzrok i mruknęła:

–Nie. – W jej uśmiechu dostrzegłam cień spokojnego humoru brata. – Cóż, może zaproponować. Ale nie ufałabym mu, jeśli to robi. Demetrios jest przebiegłym handlarzem. Nie zaoferuje korzyści, których nie dałby chętnie w innych okolicznościach. Może jednak spróbować kazać ci myśleć, że jest inaczej.

W głosie Altai słyszałam niechętny wydzźwięk prawdy, a jej zachowanie nie zdradzało kłamstwa. Uśmiechnęłam się.

–W takim razie wyświadczyłaś mi podwójną uprzejmość, pani. W zamian daję ci słowo, że mój pobyt tutaj ma na celu wyłącznie to co powiedziałam.

–To dobrze. – Altaja odprężyła się. – Dlaczego nie zabierasz swojego pirata na moje przyjęcie, pani Fedro? – zapytała wesoło. – Słyszałam, że jest bardzo męski i ośmielił się odezwać obcesowo do samego archonta. Demetrios będzie zirytowany w wielce korzystny sposób, jeśli go przyprowadzisz.

Wyczułam, że Chloris się napięła.

–Nie rządzą Kazanem Atrabiadesem, pani – powiedziałam cicho. – Jest piratem, owszem, ale nie popełnił żadnego przestępstwa przeciwko Helladzie i jest wolnym obywatelem Ilirii.

–Fi! – Lekceważąco machnęła ręką. – Nie wątpię, że mogłabyś go przekonać. Jesteś taka poważna, jak na hetaera! Mam nadzieję, że na przyjęciu będziesz mniej nudna. Wszyscy liczą na przednią rozrywkę.

–Postaram się być zabawna, pani – odparłam cierpko. Chyba jeszcze nikt mi nie zarzucił, że jestem nudna, ale uznałam jej słowa za ostrzeżenie. Kriteńska społeczność jest uważana za wyrafinowaną, nawet wśród Hellenów. Jeśli chciałam, żeby archont rozpatrzył moją prośbę z należytą uwagą, musiałam zaprezentować się jak prawdziwa d'Angelińska dama. a nie zlachmaniona, zdesperowana uciekinierka. Fakt, że czułam się bardziej jak ta druga, nie miał znaczenia.

–Mam nadzieję – rzuciła beztrosko Altaja i innym tonem dodała: – Chloris! Zejdź na ziemię i zajmij się pracą. Jestem pewna, że pani Fedra przywykła w Terre d'Ange do znacznie lepszych usług, więc nie przynoś mi wstydu!

Niewolnica spuściła głowę i wymruczała przeprosiny, ugniatając rękami moje łopatki. Po wyjściu Altai powiedziałam łagodnie:

–To nieprawda. – Wsparłam się na łokciach i odwróciłam głowę, żeby na nią spojrzeć. – Jesteś bardzo zręczna, Chloris, i znalazłabyś zatrudnienie w każdym d'Angelińskim domu.

Zarumieniła się, przyciskając podbródek do szyi, i odpowiedziała prawie niedosłyszalnie:

–Nie jestem wolna, nie mogę szukać pracy.

–Urodziłaś się wolna czy w niewoli? – zapytałam ze współczuciem.

Uniosła głowę i spojrzała mi w oczy.

–Wolna.

To jedno słowo zawierało ocean smutku i tęsknoty, i choć nigdy nie poznałam losów Chloris, bardzo jej współczułam. Znałam służbę i znałam niewolę, i wiem, że jest różnica pomiędzy jednym i drugim. „Jedną rzeczą jest spełnianie zachcianek wysoko urodzonych”, powiedział mi Anafiel Delaunay w dniu, w którym kupił moją markę i przywiózł mnie do swojego domu, „a całkiem inną traktowanie ludzi jak bydło”. Jako dziecko zostałam sprzedana do służby; nie dostrzegałam różnicy, dopóki nie zostałam niewolnicą w osadzie Guntera Arnlaugsona.

–Przykro mi – powiedziałam do Chloris, wiedząc, że słowa niczego nie zmienią.

Znowu opuściła głowę i skrzywiła usta z gorzką satysfakcją.

–Altaja przy tobie robi się nerwowa, lypiphera – szepnęła. – Wyglądasz jak łania w stadzie krów. Miło to widzieć. – Przestraszyła się, że powiedziała zbyt wiele, dlatego moje próby wyciągnięcia z niej czegoś więcej spelzły na niczym. Przypomniałam sobie jej słowa, gdy po powrocie do pokoju zobaczyłam, że archont przysłał mi stroje na wieczorne przyjęcie, a także służące, żeby pomogły mi się ubrać. Doskonale, pomyślałam, jeśli chce zobaczyć d'Angelińskie piękno, będę zobowiązana. Przejrzałam uważnie garderobę i wybrałam suknię, która, jak zauważyłam, znajdowała się na szczycie kriteńskiej mody: fałdy bieli opadające nisko z przodu i z tyłu.

Marka prześwitywała przez cienki materiał i na kriteńską modę uróżowałam sutki, ale włosy uczesałam po d'Angelińsku, związane na karku, z kilkoma swobodnie spływającymi pasemkami. Służąca podała mi na klęczkach tacę z licznymi słoiczkami kosmetyków i maści, ale wzięłam tylko odrobinę – muśnięcie karminu na usta i smuga proszku antymonowego do przyciemnienia rzęs. Przejrzałam się w lustrze, widząc swoją twarz po raz pierwszy od pobytu w La Serenissimie. Wydawało się dziwne, że się nie zmieniła: to samo nachylenie kości policzkowych, i usta skore do błagania lub całowania, te same łuki rzęs, to samo sklepienie czoła i ciemne, szeroko rozstawione oczy ze szkarłatną cętką w lewej tęczę. A jednak doszukałam się różnicy, cienia powagi, którego nie było wcześniej.

„Zabierzesz ze sobą to, co widziałaś”.

Dobrze, pomyślałam, jestem D'Angelina, nauczę się nosić to z wdziękiem. Po niedługim czasie słudzy archonta przyszli z ukłonami, żeby zaprowadzić mnie do niego i na przyjęcie dostojnej Altai.

Demetrios Asterius popatrzył na mnie przenikliwie, gdy stanęłam przed jego majestatem, i w końcu pokręcił głową.

–Kriteński styl pasuje do ciebie, moja droga Fedro – powiedział uprzejmie. – Szkoda, że nie przybyłaś do nas w bardziej sprzyjających okolicznościach. Chodź, cieszymy się sobą, póki można.

Do elegancko urządzonych salonów Altai, gdzie na tapczanach spoczywali goście, przybyliśmy jako ostatni. Wszyscy wstali i ukłonami powitali archonta. Demetrios chodził wśród nich, wymieniając nieformalne powitania, przerywane pocałunkami i wykrzyknikami. Zostałam wszystkim przedstawiona i niebawem usłyszałam swoje imię, przez jednych wypowiedane w sposób d'Angeliński, przez innych po helleńsku. Wszyscy tutaj się znali i pomijali zaszczytne tytuły, zwracając się do siebie po

imieniu. Altaja przywitała mnie jak dobrą przyjaciółkę, całując w oba policzki, a potem klasnęła w dłonie, każąc nalać wina.

Podejmowanie w ten sposób było przyjemne i dziwne. Czasami nie nadażalam za dowcipnymi, żywymi rozmowami, bo przecież helleński nie był moim ojczystym językiem, a kriteński akcent brzmiał obco w mych uszach. Gawędzili o błahych sprawach: o romansach, teatrze, modzie, poważniejsze tematy zostawiając na później. Nie byłam w nastroju do żartów, ale starannie to skrywałam.

–Czy to prawda, Fedro – zagadnęła bez tchu jedna z pań – że w Terre d'Ange każdy ma czworo kochanków, mężczyzn i kobiety?

–Nie, pani. – Uśmiechnęłam się, rozbawiona jej żywym zainteresowaniem. – Oczywiście, są tacy, którzy mają, i jest ich bardzo wielu. Ale inni trwają wiernie przy jednym towarzyszu.

–Jako hetaera z pewnością należysz do pierwszej kategorii, moja droga – powiedziała słodko Altaja. Spoczywała na tapczanie obok brata, który zagryzł usta, żeby skryć uśmiech. – Ilu masz kochanków?

–Ani jednego. – Pokręciłam głową, widząc jej niedowierzające spojrzenie. – Klient a kochanek to nie to samo. Dla sługi Naamy obdarzenie klienta przywilejami kochanka jest wielkim zaszczytem, i nigdy tego nie zrobiłam.

–Nigdy? – Demetrios uniósł brwi. – Ani męża, ani narzeczonego, ani kochanka... to niemalże przestępstwo!

Dwaj panowie i jedna pani stojący obok niego roześmieli się z aprobatą.

Skłoniłam przed nim głowę.

–Dostojny archoncie, nie pytałeś, czy mam narzeczonego.

–Pytałem...

–Pytałeś, czy pirat jest jej narzeczoną, Demetriosie – przypomniał Tymantes, zarumieniony od wina i śmiechu. – A nie, czy ma narzeczonego.

–Aha, tak – zreflektował się. – W istocie. Skojarzenia nasunęło się samo, gdy zobaczyłem, jak Kazan patrzy na mnie gniewnie, stojąc u twojego boku. – Westchnął. – A zatem nie pirat.

–Nie, panie. – Wyobraziłam sobie twarz Joscelina, rozzłoszczonego takim porównaniem, i uśmiechnęłam się do siebie. – Nie pirat.

–Cóż, przypuszczam, że trudno sobie wyobrazić, iż ktoś taki jak ty narzeka na brak towarzystwa. – Demetrios Asterius znów westchnął. – Altajo, obiecałaś nam rozrywkę, prawda?

–Oczywiście, Demetriosie – odparła bez zajknięcia i klasnęła w ręce, wzywając tancerzy.

Było ich sześcioro, młodzi mężczyźni i dziewczęta, bardzo utalentowani. Pobrzękując dzwoneczkami na rękach i nogach, wykonali szereg skomplikowanych tańców pośrodku kręgu utworzonego przez tapczany. Patrzyłam na nich, ale myślałam o Joscelinie. Nie miałam do niego żadnego prawa, nie miałam prawa nazywać go narzeczonym. Kiedyś pełnił tę rolę, ale wyrzekł się jej. Wspomniałam, jak czuwał w zlanym deszczem ogrodzie, kiedy mu powiedziałam, że wracam do służby Naamie. Prawdą było to, co widziałam w thetalos; skrzywdziłam go i zraniłam głęboko.

Gdybym tego nie zrobiła, stałby u mojego boku w Małym Dworze, kiedy Melisanda Szachrizaj podniosła welon, a księżę Benedykt kazał uśmiercić moich towarzyszy.

Po tańcach znów polało się wino i podano kolację, niezliczone kriteńskie przysmaki, wiele owoców morza, zwłaszcza delikatne kalmary we własnym atramentowym sosie, przepyszne, choć nieapetycznie wyglądające. Po głównych daniach zaserwowano patery ze słodkimi melonami i ostrym serem – pary leżące na tapczanach podawały sobie przysmaki palcami – a potem lód z migdałowym mlekiem na deser. Zaciekało mnie, skąd biorą lód w tym klimacie. Archont wyjaśnił, że zimą na najwyższych szczytach Kriti leży śnieg, i że zamrażają wielkie bloki lodu, które przechowują latem w głębokich, chłodnych piwnicach.

Po kolacji niewolnicy znowu wnieśli wino, a ja odruchowo podziękowałam młodemu człowiekowi, który napełnił mi kielich.

–Cała przyjemność po mojej stronie, lypiphem – mruknął, spuściwszy wzrok.

Tak samo nazwała mnie masażystka Chloris. Nie wiedziałam co oznacza to słowo. Demetrios Asterius uniósł głowę i poczułam na sobie jego spojrzenie.

–Tak cię nazywają, prawda? – zapytał.

–Nie wiem, panie – odparłam szczerze. Młodzieniec nalewający wino przeszedł do następnego gościa. – Co to znaczy?

Po chwili milczenia odpowiedział z zadumą:

–Znosząca ból.

–Och. – Nie wiedziałam co powiedzieć, patrzyłam więc w kielich wina. Był pięknie wykonany, z porcelany tak cienkiej, że niemal przezrystej, ozdobiony sceną przedstawiającą

kriteńskie statki pod pełnymi żaglami. Demetrios Asterius musnął kosmyk moich włosów i przesunął go w palcach.

–W dotyku są jak jedwab – powiedział ze smutkiem. – Pani Fedro, prawdopodobnie poślubię Altaję, która wnosi w posagu ziemie rozciągające się na wschód od moich włości. Lubię ją i kocham jej brata. Jeśli chcę być sukcesorem Minosa, a chcę, to będzie mądra decyzja. Ale żałuję, bardzo żałuję, że nie zjawiłaś się tutaj w bardziej sprzyjających okolicznościach. I bardzo chciałbym, żeby moja droga kuzynka Pazyfae uznała za stosowne udzielić mi rady. Tutaj w grę wchodzi bardzo głębokie kwestie, a ja umiem dostrzec tylko powierzchowne.

Mimo że spodziewałam się, jaka będzie jego odpowiedź, poprosiłam:

–Dostojny archoncie, gdyby Kora mogła mi odpowiedzieć, zrobiłaby to. Nie szukałam tego, co znalazłam na Kriti, choć może było mi to przeznaczone. Proszę cię tylko o pomoc, o statki i ludzi. To prośba skierowana do władcy, dlatego musisz odpowiedzieć.

–Tak. – Westchnął i zdobył się na uśmiech. – Jutro. Dziś jesteś moim gościem, a teraz czeka nas rozrywka.

Krąg wyznaczony przez tapczany został uprzątnięty, kielichy uzupełnione winem. Niewolnicy Altai przynieśli srebrną misę do gry kottabos i ustawili płastinx na słupku. Żal ścisnął mnie za gardło; nie grałam w kottabos od śmierci mojego pana Delaunaya. Choć jest to gra helleńska, cieszy się popularnością wśród D'Angelinów. Poznałam ją u Cecylii w noc debiutu Alcuina, kiedy Delaunay wygrał i wystawił na aukcję jego dziewictwo.

Stawka doszła do sześciu tysięcy dukatów. Nikt nie przypominał sobie takiej ceny za sługę Naamy, nawet ja, wychowana w Dworze Nocy. Zazdrościłam mu wtedy, pamiętam; cena za mnie była znacznie niższa. Wyzabyłabym się zawiści, gdybym znała jego prawdziwe uczucia.

Delaunay powiedział mi, że moja cena wzrośnie z czasem. Miał rację. Chętnie zrzekłabym się tych pieniędzy, byle tylko oni żyli.

Nie mamy wpływu na te sprawy, dlatego uśmiechałam się, śmiałam głośno i grałam w kottabos, zaskakując Kriteńczyków umiejętnością wylewania resztek wina z czarki – Delaunay nauczył nas grać po aukcji Alcuina. Gdy wygrałam, poprosiłam o prawo dzielenia tapczanu z przystojnym bratem naszej gospodyni, co rozbawiło wszystkich i sprawiło przyjemność Altai, która wtedy spoczywała na leżance Demetriososa.

Demetrios spoglądał na mnie bystrym, kpiarskim wzrokiem, gdy Tymantes zabawiał mnie lekką, swobodną rozmową, i obaj wiedzieli, czym się kierowałam.

Wreszcie nadszedł czas, żeby się rozejść.

–Masz talent dworzanina, pani – powiedział Demetrios Asterius, ujmując moją twarz w dłoń. Staliśmy przed komnatami Altai. Słudzy archonta i Tymantes czekali cierpliwie. – To chyba dobrze. – Spojrzał na Tymantesa. – Odprowadzisz Fedrę do jej komnat?

–Oczywiście.

–To dobrze. – Demetrios westchnął. – W takim razie, Fedro, życzę ci dobrej nocy jako mężczyzna, skoro jutro muszę być władcą – powiedział i pocałował mnie. Usta miał ciepłe i miękkie, i umiał całować. Przebiegło mnie rozkoszne drżenie. Demetrios opuścił ręce i niemal mnie odepchnął. – Idź, mała nosicielko bólu – powiedział szorstko. – Sprawiaś mi ból, który zapamiętam na długo.

–Przykro mi, panie. – Mój oddech był trochę przyspieszony.

–Nie trzeba. Będę wspominać go z przyjemnością. – Archont wziął się w garść i uśmiechnął szeroko. – Tymantesie, odprowadź naszego gościa, ale nawet nie myśl o flircie. Są rzeczy, których nasza przyjaźń nie ścierpi, a ta może być jedną z nich.

–Skoro moja siostra jakoś to przeżyła, ty też przetrwasz, Demetriosie – odparł Tymantes, ani trochę nie przejęty.

SZEŚĆDZIESIĄT CZTERY

Rankiem Demetrios Asterius przyjął nas ponownie i zgodnie z danym słowem był w każdym calu archontem. Próżno by szukać w jego zachowaniu śladów wczorajszej swobody zapaśnika czy towarzysza zabawy.

W antykamerze spotkałam się z Kazanem i bardzo mnie to uradowało. Przeżyliśmy razem tyle, że jego towarzystwo niosło mi pociechę. Po odnowieniu garderoby i wizycie u balwierza prezentował się całkiem dobrze, choć nie mniej dziko. Jego czarne włosy lśniły, związane w długą kitę, wąsy miał nawoskowane, wąską bródkę precyzyjnie przystrzyżoną.

–Nie staram się dla tego królika – parsknął pogardliwie, kiedy pochwaliłam jego wygląd. – Dzisiaj wychodzimy w morze, do twojego ludu albo do mojego, i nie chcę ruszać w łachmanach.

Niedługo później zostaliśmy wezwani. W sali tronowej panowała ponura atmosfera.

–Hrabino Fedro nó Delaunay de Montreve z Terre d'Ange. – Demetrios powitał mnie formalnym tonem. – Zwróciłaś się do nas z poważnymi prośbami. Jedna z nich zostanie spełniona. – Złączył czubki palców. – Musisz zrozumieć, że chętnie spełniłbym obie, gdyby nie względy polityczne. Przydzielenie ci eskorty do La Serenissimy... – Pokręcił głową. – Tego nie mogę zrobić. Nie wiem, czy Serenissima słusznie, czy niesłusznie pragnie twojej śmierci, ale naruszenie ich wód zostałoby uznane za jawny akt wrogości. Jeśli dam ci okręty, a ty poniesiesz porażkę, Fedro nó Delaunay, przysporzę Kriti – i całej Helladzie – potężnego wroga. Nie, dwóch wrogów, bo jeśli zawiedziesz, na tronie D'Angelinów zasiądzie Benedykt de la Courcel, który jest sprzymierzony z rodem Stregazza. Czy mam rację?

–Tak, dostojny archoncie – szepnęłam. – Masz rację.

–Przykro mi. – Jego ciemne oczy wyrażały współczucie. – Prosiłaś też, żeby wysłać kuriera do Marsilikos, i tak się stanie. Gdybyś chciała udać się w jakieś inne miejsce, udzieliłbym ci wsparcia. Ale nie mogę narażać Kriti na gniew La Serenissimy i Terre d'Ange, niezależnie od tego, jakich korzyści mógłbym się spodziewać w przypadku twojego powodzenia. Aby władać mądrze, trzeba rozważyć wszystkie możliwości. Nie ma takiego zysku, który wart byłby ceny porażki. Czy potrafisz to zrozumieć?

–Tak. – Przełknęłam łzy i zwiesiłam głowę. Dostałam więcej, niż się spodziewałam, ale mimo to czułam się rozgoryczona. – Rozumiem, dostojny archoncie.

–Gdy rozważysz własne możliwości – podjął łagodnie – możesz dojść do podobnego wniosku. Jeśli powiedziałaś mi prawdę, w La Serenissimie masz nikłe szanse na powodzenie. Prędzej zostaniesz aresztowana albo zginiesz. Zrobiłaś

wszystko, co mogłaś, a nawet więcej, choć za każdym razem podnosiła się przeciwko tobie ręka przeznaczenia. Posłuchaj więc dobrze mojej rady. Kurier niczego nie załatwi, moja droga, bo łatwo jest zlekceważyć wiadomość przyniesioną przez nieznanego. Nie wysyłaj wieści do Marsilikos, tylko udaj się tam osobiście

i zbierz zaufanych sprzymierzeńców, żeby uchronić tron przed zdradą. Stawką może być życie twojej królowej, ale na szali leży też przyszłość całego królestwa i twoja. Co ty na to?

Czekał i patrzył na mnie, a ja milczałam. Kazan poruszył się niespokojnie.

–Mądrze gada – mruknął. – Powiedziałbym to samo, gdybyś mnie spytała.

Propozycja była kusząca – na Eluę, bardzo kusząca! Mogłabym pożeglować nie ku czekającym mnie niebezpieczeństwom i prawie pewnej śmierci, ale do bezpiecznego Marsilikos. Mogłabym wrócić do domu, do mądrej Roxanny de Mereliot, która weźmie sprawy w swoje wprawne ręce, do silnego Kwintyliusza Rousse, nawet do Barquiela L'Envers, chytrego, przebiegłego diuka, któremu kiedyś nie śmiałam zaufać...

...i mogłabym skazać na śmierć Ysandrę de la Courcel, która kiedyś uwierzyła mi na słowo, ryzykując przyszłość całego narodu; skazać nie tylko Ysandrę, ale może wszystkich uczestników progressus, wszystkich, którzy popierali ją w La Serenissimie...

Joscelin.

Przycisnęłam ręce do oczu, zastanawiając się. Demetrios Asterius miał rację, powierzanie wiadomości komuś obcemu nie było bezpieczne. Ten argument przemawiał za podróżą do Marsilikos. Ale nie do końca. Opuściłam ręce i otworzyłam oczy.

–Dostojny archoncie, czy obiecasz mi, że twój kurier zrobi co w ludzkiej mocy, żeby dostarczyć moją wiadomość do Pani Marsilikos?

Po chwili posępnie pokiwał głową.

–Tyle mogę ci obiecać, pani. Na matkę Dię i ród Minosa, przysięgam.

–A ty... – zwróciłam się do Kazana. – Czy zawiesz mnie do La Serenissimy, niezależnie od tego, co dzieje się w Epidauro?

Kazanowi rozbłysły oczy.

–Już powiedziałem, i niech kriawbog połknie moją duszę, jeśli kłamie! Jestem twoim

dłużnikiem i spłace dług. – Uśmiechnął się szeroko. – Gdybyś zawsze postępowała rozsądnie, już byłbym martwy, he?

Odwróciłam się do archonta.

–Dziękuję ci, panie, za hojną ofertę – rzekłam cicho. – I za dobrze przemyślaną radę. Ale jestem przekonana, że zdołam wysłać wiadomość, która nie zostanie zlekceważona.

–Niech tak będzie. – Patrząc na jego surową twarz, domyśliłam się, że nie sądzi, iż jeszcze kiedyś ujrzy mnie żywą. – Napisz list, a ja bezzwłocznie wyprawię statek. Niech bogowie mają cię w opiece, Fedro nó Delaunay. Jak dotąd nie spisywali się najlepiej.

Bez słowa uklęknęłam przed nim, a potem odeszliśmy. Zdążyłam jeszcze zobaczyć współczujące spojrzenie Tymantesa, który stał za tronem archonta. Kazan poszedł do portu, gdzie miałam dołączyć do niego za dwie godziny.

Czas ten spędziłam na pisaniu listów. Pierwszy był najdłuższy, do Roxanny de Mereliot, Pani Marsilikos. Ukrywanie zamiarów nie miało celu ni sensu, toteż uczciwie opisałam sytuację w La

Serenissimie, zdradę Benedykta, rolę Melisandy, plany Marka Stregazza. Napisałam także o uległości Percy'ego de Somerville i jego roli w ucieczce Melisandy z Troyes-le-Mont, a także o tym, jak szantażowała go listem dotyczącym dawnej zdrady Lyonetty de Trevalion. Zawarłam te informacje również dlatego, żeby potwierdzić swoją tożsamość, i poprosiłam ją, że jeśli nie ma pewności, to niech zapyta Kwintyliusza Rousse, kto liczył ziarna piasku na plaży w Kuszecie, przyrównując ich liczbę do Skaldów. Byłam pewna, że admirał o tym pamięta, bo wtedy postanowił ruszyć do Alby, i tylko my dwoje wiedzieliśmy o tej rozmowie.

Napisałam jeszcze więcej, wskazując sprzymierzeńców, sugerując tryb postępowania, zastanawiając się nad lojalnością Ghislaina de Somerville, który mógł, ale nie musiał uczestniczyć w planach ojca. Niewątpliwie napisałam zbyt wiele, bo od tygodni byłam sama z tymi myślami, a przelanie ich na papier dało mi możliwość podzielenia się nimi z inną osobą. W pewnej chwili spojrzałam na słońce i stwierdziłam, że minęło dużo czasu, więc zabrałam się do pisania drugiego listu.

Do diuka Barquiela L'Envers.

Nieco drżącą ręką napisałam tylko: „Wasza Książęca Mość, wysłuchaj duchessy Roxanny de Mereliot, Pani Marsilikos. Wszystko, co jej powiedziałam, jest prawdą. Na płonąca rzekę zaklinam cię, utrzymaj Miasto Elui przeciwko wszystkim pretendentom, łącznie z diukiem Percym de Somerville”.

Skończyłam. Posypałam piaskiem kartkę, przechyliłam ją, żeby pozbyć się nadmiaru ziarenek, i dmuchnęłam na atrament. Miasto Elui było tylko jednym miastem w królestwie złożonym z siedmiu prowincji, ale też jedynym miejscem w Terre d'Ange, które Błogosławiony Elua uznał za swoje. Nikt, mężczyzna, kobieta ani dziecko, nie mógł zostać koronowany na władcę królestwa nigdzie indziej, jak tylko tam. Jeśli się uda – Eluo, oby! – będę dozgonną dłużniczką Nicoli L'Envers y Aragon, która w dobrej wierze próbowała mnie przekonać, że jej kuzyn Barquiel i ja zagrażamy Ysandrze wzajemnym brakiem zaufania – i która podała mi rodowe hasło na dowód swojej szczerości. „Nie ma znaczenia, w co wierzysz. Po prostu zapamiętaj”.

Będąc uczennicą Delaunaya w każdych okolicznościach, zachowałam hasło w pamięci wraz z jej kpiarskim uśmiechem i pożegnalnym pocałunkiem. „Bądź tak dobra i nie wystawiaj go na próbę, chyba że naprawdę znajdziesz się w potrzebie”.

Jestem w potrzebie, Nicolo, myślałam, pieczętując woskiem koperty, naprawdę jestem w potrzebie i zrobię wszystko, czego zażadasz w zamian. Ach, panie mój, Kusielu, jeśli w żyłach L'Enversów wraz z krwią Naamy i Elui płynie również twoja krew, niech diuk wysłucha mojego błagania!

Tymantes przyszedł po listy. Powierzyłam je jego pieczy.

–Demetriosowi naprawdę jest przykro, że nie mógł spełnić obu twoich próśb – powiedział cicho. – Mam nadzieję, że wiesz.

–Wiem. – Spojrzałam w jego chłodne oczy. – Jest dobrym władcą, prawda?

–Demetrios... – Tymantes odetchnął głęboko. – Tak, jest.

Mogło być podobnie, pomyślałam, z moim panem Delaunayem i Rolandem de la Courcel, który go kochał. Delaunay, jak Tymantes, z dumą ujmowałby miejsce u boku swojego pana, wierny niezależnie od jego kaprysów, świadom, że zawsze powróci. Tak byłoby, gdyby książę Roland poślubił swoją pierwszą narzeczoną, Edmee de Rocaille, która kochała ich obu i była życzliwa ich przyjaźni. Dostojna Altaja też to rozumiała i nie prosiła o więcej, kochając swojego brata i pana. Niech Demetrios Asterius pojmie ją za żonę i cieszy się przyjaźnią Tymantesa; niech nie wejdzie pomiędzy nich żaden zgorzkniały rywal, jak zrobiła Izabela L'Envers, wprawiając w ruch nieodwracalny łańcuch zdrad i nienawiści.

Wskutek tych dawnych wydarzeń Delaunay stał się tajri, jakim go poznałam: błyskotliwy, bezlitosny, mądry – i dobry. Elua świadkiem, miałam powody, żeby o tym wiedzieć. A jednak nigdy nie widziałam go szczęśliwym, wyjąwszy te kilka krótkich tygodni przed śmiercią, kiedy Alcuin przebił się przez jego srogie mury, żeby dać mu trochę miłości – dąsałam się wtedy, powodowana dziecięcą zazdrością.

–Kochaj go, Tymantesie – powiedziałam, czując łzy piekące mnie w oczy. –

Cieszenie się względami mądrego władcy i drogiego przyjaciela to nieczęsty przywilej. Kochaj go i pozwól kochać się w zamian, bo Błogosławiony Elua nie żąda od nas nic więcej.

–Tak będzie – odparł z powagą, tylko trochę zaskoczony. – Pani Fedro, Demetrios przysłała mnie z zapytaniem, czy są jakieś słowa, które chciałabyś powierzyć pamięci kuriera? Nie przypuszczam, żeby Serenissimczycy ośmielili się zatrzymać i przeszukać kriteński statek, ale gdyby tak się stało i konieczne okazało się zniszczenie listu, lepiej mieć wiadomość w pamięci.

To był dobry pomysł. Zastanawiałam się przez chwilę.

–Tak. Niech zapamięta: Benedykt jest zdrajcą, ożenił się z Melisanda. Planują zabić królową. Percy de Somerville spiskuje razem z nimi. Przekaż Barquielowi, że, na płonącej rzekę, błagam go o obronę miasta przed nimi wszystkimi.

Kilka razy powtórzył wiadomość, aż zyskałam pewność, że pamięta ją co do litery; na szczęście szybko się uczył. Kiedy skończył, ujął moje dłonie.

–Wiadomość zostanie dostarczona, pani Fedro. Rodzina Minosa nie rzuca słów na wiatr, a statek wypłynie z błogosławieństwem Kory. Sama Matka Dia dopilnuje, żeby bezpiecznie dotarł do portu. Niespełna godzinę temu odebraliśmy wieści z Temenos. – Uśmiechnął się lekko, widząc moją minę. – Kora wie o rzeczach, o których nikt nie mówi, a my nie pytamy.

–Przekaż jej, proszę, moje podziękowania – szepnęłam.

Tymantes pokiwał głową.

–Przekażę. – Zawahał się, szukając słów i patrząc w bok. – Z Temenos napłynęły też... pogłoski. Kapłani i kapłanki zachowują milczenie, ale słudzy lubią mówić, choć z pewnością i to dzieje się za pozwoleniem Kory. Ci, którzy służą, nazywają cię lypiphera, mówiąc o tym z

podziwem i nadzieją.

Po krzyżu przebiegł mi dreszcz, jak gdyby zerwał się silny wiatr.

–Poznanie bólu i pamiętanie o nim nie zawsze jest złe – powiedziałam, a Tymantes znów spojrzał mi w oczy. – Byłam niewolnicą i pamiętam ten ból. Nie wolno traktować ludzi jak sprzęty.

Przez długi czas patrzył na mnie w milczeniu, po czym odwrócił wzrok.

–Inni przekonali się do tego, ale Kriti jest archaiczna, podobnie jak nasze zwyczaje.

A jednak wszystko się zmienia i nowe rodzi się pod słońcem. Wy jesteście nowi, dzieci Elui. Przemyślę twoje słowa i przekażę je Demetriosowi.

–Dziękuję. – Uściskałam jego ręce i obdarzyłam go pożegnalnym pocałunkiem. – Powiedz archontowi, że jestem wdzięczna za pomoc, i miejcie się dobrze. – Odsunęłam się z uśmiechem. – Następnym razem zjawię się w lepszym czasie, obiecuję.

Roześmiał się, kręcąc głową, i rozstaliśmy się w dobrych humorach. Z mojej strony była to tylko brawura, ale przecież wojownicy żartują przed bitwą, w ten sposób podnosząc się na duchu. Dlatego częściowo wierzyłam w swoje słowa i nabrałam otuchy, gdy z eskortą oddziału gwardii opuściłam pałac archonta i szłam przez miasto do portu Kommos. Znowu zmierzałam prosto ku niebezpieczeństwu, ale słońce jasno świeciło na niebie, strażnicy i przechodnie zerkali na mnie z ukrytym podziwem, a ja przynajmniej jedno zrobiłam dobrze.

Jeśli kriteński statek nie dotrze do Marsilikos, to czy nim popłynę, czy nie, nie będzie miało znaczenia. Jeśli dotrze, byłam przekonana, że Roxanna de Mereliot wysłucha moich słów. Archont nie znał mojej przeszłości – opowiedziałam mu tylko o tych wydarzeniach w La Serenissimie, które miały związek z sytuacją – ale Pani Marsilikos wiedziała, że kto jak kto, ale ja nie przysłałabym fałszywego ostrzeżenia. Co do Barquiela L'Envers, nie miałam pewności, czy uhonoruje hasło swojego rodu; nie kochał mnie na tyle, by osobiste przedłożenie prośby miało jakieś znaczenie. W tych okolicznościach, jeśli listy dotrą bezpiecznie, sama nie mogłabym zrobić nic więcej.

W zatłoczonym porcie panował wielki ruch, bo kupcy wykorzystywali ostatnie piękne tygodnie jesieni. Moja eskorta przebijała się przez tłum, zmierzając do nabrzeża, przy którym cumował statek Kazana. Bystrooki Oltukh wypatrzył mnie pierwszy i krzyknął na powitanie, a wówczas wszyscy Ilirowie zaczęli się przepychać przy relingu, żeby pomóc mi wejść na pokład. Było to ciepłe powitanie, jak na przesądnych piratów, którzy kiedyś wzdragali się na mój widok, uważając mnie za straszego ducha. Glaukos, który od początku okazywał mi życzliwość, zamknął mnie w potężnym uścisku.

Kazan przyglądał się temu z ironią w oku.

–Czyżbyś była szczęśliwym talizmanem? – powiedział. – Dotąd nawet nie marzyłem o powrocie do Epidauro. Jeśli jesteś gotowa, wychodzimy w morze.

Wiatr dmuchał jednostajnie, morze za zatoką tańczyło, spienione i żywe, ale nie zdradliwe; rzucało wyzwanie, jakie iliryjscy żeglarze uwielbiają podejmować. Uśmiechnęłam się, czując wiatr we włosach.

–Jestem gotowa, drogi panie piracie. Ruszajmy.

SZEŚĆDZIESIĄT PIĘĆ

Choć raz rejs przebiegał spokojnie. Noce bywały chłodne, ale wiatr i pogoda sprzyjały podróży. Naprawiony w Temenos statek dzielnie rozcinał fale. Kazan dobrze wykorzystał czas spędzony w Fajstos, uzupełniając niezbędne zapasy. Co więcej, wytargował mapy wód helleńskich, dzięki czemu mógł wykreślić szybki kurs do Epidauro.

Wyszliśmy na otwarte morze i strome góry Kriti szybko zniknęły za rufą, a już na drugi dzień ujrzelśmy wybrzeże Hellady. Mając w pamięci straszny sztorm, który niósł nas na południe, Kazan żeglował w taki sposób, żeby nie tracić z oczu lądu, który przesuwał się po sterburcie.

Choć płynęliśmy w jednostajnym tempie, droga w górę wybrzeża mijala powoli. Radość z wysłania kriteńskiego kuriera zmalala i znów zwróciłam myśli ku La Serenissimie. Wpadłam w rozdrażnienie, aż nazbyt świadoma upływu czasu. Godzinami zastanawiałam się, gdzie jest progressus Ysandry, i przypuszczam, że wystawiłam na próbę nawet cierpliwość Glaukosa, wpytując go o długość dróg w Caerdicci. Znał je dość dobrze, ale nie mógł lepiej ode mnie ocenić tempa progressus ani jak długo d'Angelińska monarchini będzie przebywać w danym mieście.

Był już środek jesieni, a orszak Ysandry powinien wrócić do ojczyzny przed końcem tej pory roku. Troski nie pozwalały mi zasnąć, więc błąkałam się po pokładzie, otulona w wełniany płaszcz, dar Kory. Marynarze na wachcie, radzi z mojego towarzystwa, uczyli mnie iliryjskich piosenek i żartów, a także gier, jakimi zabijali czas. Na statku Kazana opanowałam grę w kości; okazało się, że mam do tego całkiem dobrą rękę, bo rzuty wymagają zwinności nadgarstka, jak nie przymierzając niektóre sztuki Naamy.

Skoro o tym mowa, Atrabiades więcej mnie nie dotknął i szczerze mówiąc, nie jestem pewna, jak bym się zachowała, gdyby to uczynił. Jego powściągliwość wynikała po części z okrętowej dyscypliny, bo zaliczał się do tych dowódców, którzy robią wszystko, co jego ludzie – a poza tym na niewielkim statku brakowało prywatności. Byłam tego dotkliwie świadoma za każdym razem, gdy musiałam się załatwić, co, muszę dodać, nie jest wcale proste na statku bez ubikacji. W tych krępujących przypadkach byłam wdzięczna Ilirom za poczucie przyzwoitości.

Jednakże u podstaw zachowania Kazana leżało głównie to, co przeszedł w czasie thetalos. Pierwszego dnia żeglugi powiedział otwarcie:

–Nie wracajmy do tego, co było między nami. – Pokręcił głową i jego perłowe kolczyki zamigotały w nikłym świetle. Jak się dowiedziałam, wedle wierzeń iliryjskich marynarzy perły poprawiają wzrok i nawet Kazan dawał wiarę temu przesądowi. – W

thetalos widziałem coś. Nazwałem cię gościem, bo choć straciłem prawa przynależne mi z urodzenia, byłem dumny z tego, co zrobiłem w Dobreku. – Zaśmiał się. – Odrzucić tytuł pana i żyć jak pan, he? I pirat, bo

taką miałem fantazję. Zawarłem z tobą umowę, która nie była umową. Wiedziałem, że nie możesz odmówić. Gdybym tego nie zrobił, być może wszystko potoczyłoby się inaczej. Gdybyśmy zaufali sobie i powiedzieli prawdę, Serenissimczycy nie wywiedliby nas w pole. – Wzruszył ramionami. – Teraz nie poproszę.

–Dziękuję, Kazanie. – Uśmiechnęłam się. – To wielkopański gest, naprawdę.

–Może znów będę panem. Panem Atrabiadesem. – Z nieskrywaną tęsknotą Kazan spojrział ku północy, w kierunku ojczyzny. – Cokolwiek się stanie, wszystko jest warte zachodu, byle tylko postawić stopę w Epidauro. – Jakaś inna myśl przyszła mu do głowy i popatrzył na mnie, mrużąc oczy. – Poszłaś z nim?

–Z kim? – Naprawdę nie byłam pewna, o co i o kogo mu chodzi.

–Z tym... – chciał splunąć, ale zmienił zamiar – z tym Demetriosem, archontem, bodaj go zaraza, razem z jego olejami, lokami i rym chłoptasiem.

Uniosłam brwi.

–To nie twoja sprawa, mój panie.

Kazan chrząknął i wyszczerzył zęby, ani trochę nie speszony.

–Nie będę się dopytywał i nie powiem, co o tym myślę!

Wywróciłam oczami i nie skomentowałam, a on ze śmiechem wyszedł z kabiny, bardzo zadowolony z siebie. Zauważyłam, że mężczyźni rywalizują nawet wtedy, gdy nie ma nagrody do zdobycia. Może kobiety nie są lepsze, ale my jesteśmy bardziej subtelne i szybciej oceniamy stawkę.

I szybciej robimy z mężczyzn głupków.

Chcąc nie chcąc, pomyślałam o Meiisandzie i z podziwem pokręciłam głową. Ona wszystkich nas wystrychnęła na dudków, mężczyzn i kobiety. Błyskotliwość jej planu dosłownie przyprawiała o zawrót głowy. Ukryć się na widoku we wskazanym przez siebie miejscu – Eluo, co za tupet! Nawet ja, która wiedziałam, do czego jest zdolna, nie dopuściłam takiej możliwości.

„Powiedz mi, czy uważasz, że będę kiepską władczynią?”.

Podziwianie wroga jest niebezpieczne.

Opuściłam rękę, którą uniosłam do szyi, gdzie kiedyś wisiał jej diament, i pomyślałam o strasznej, przesiąkniętej krwią ciemności w jaskini Temenos. Tam ujrzałam leżący za mną szlak śmierci i tych, którzy stracili życie z powodu głupoty moich decyzji. Ale Kora powiedziała prawdę: thetalos ujawnia najmroczniejszą prawdę, ale nie całą. Czasami źle wybierałam drogę, tak, ale to Melisanda doprowadziła mnie do rozstajów i wina spoczywała nie tylko na moich, lecz również na jej barkach.

Nic dziwnego, że Niewybaczeni przybrali takie, a nie inne miano. Dumny Izydor d'Aiglemort doprowadził ich do tych rozstajów, ale kto prowadził jego? Melisanda.

Ach, pani, pomyślałam, spoglądając bez celu na ściany kabiny. Ty podejmowałaś decyzje, ale to ja ponoszę koszt i płacę za nie bólem. Cień, który dźwigam, w większej części należy do

ciebie i jeżeli Błogosławiony Elua pozwoli, podzielę się z tobą ciężarem. I wtedy zobaczymy, jak ci się to podoba.

Ja też spoglądałam na północ, z równie wielką tęsknotą i większym strachem niż Kazan Atrabiades, gdy mila za milą pełziliśmy wzdłuż wybrzeża Hellady. Wreszcie wpłynęliśmy na iliryskie wody; marynarze krzyczeli i wiwatowali, kiedy minęliśmy latarnię na wyspie Kerkira, która wyznacza morską granicę Ilirii dla wszystkich żeglarzy. Eluo dopomóż, radowałam się wraz z nimi, jakbym sama była Iliryjką. Staliśmy się towarzyszami broni, Kazan, jego ludzie i ja, i razem stawialiśmy czoło wrogom, Serenissimczykom, kriawbogowi, sztormowi, nawet koszarom thetalos.

Trzeciego dnia po wpłynięciu na iliryskie wody dotarliśmy do Epidauru.

Widziałam miasto już dwa razy; rozległa zatoka otoczona granitowymi murami i ufortyfikowane wieże strażnicze po obu stronach wejścia do portu stanowiły niemal znajomy widok. Nie wiem, kto pierwszy zobaczył miasto, bo tym razem nikt nie krzyknął, a po pewnym czasie ujrzeliśmy je wszyscy. W porcie kotwiczyło kilkanaście statków, okręty armady bana z czerwonymi żaglami, łodzie rybackie i statki handlowe. Nie dostrzegłam serenissimskich galer wojennych. Dzień był słoneczny, ale zimny wiatr skłonił Glaukosa i mnie do włożenia wełnianych płaszczy. Słońce lśniło na zmarszczonym morzu.

Wiatr zaszumił głośno w luźnych płótnach, gdy Tormos, zastępca dowódcy, bez rozkazu kazał poluzować żagle. Dobrze pamiętał – wszyscy pamiętaliśmy – co się stało ostatnio, gdy próbowaliśmy wejść do Epidauru.

Marynarze stali na stanowiskach, sternik lekko trzymał rumpel, liny zwisały swobodnie, gdy statek dryfował bokiem. Wszyscy patrzyliśmy na Kazana Atrabiadesa. On spojrzał na nas i zobaczył strach wypisany na naszych twarzach.

–Dlaczego się lenicie? – zapytał po iliryjsku. – Czy nie wyznaczyłem kursu? Żeglujemy do Epidauro.

To rzekłszy, odwrócił się plecami i odszedł na dziób, patrząc ku domowi.

Tormos zgrzytnął zębami i wydał rozkaz.

–Róbcie, co każe. Do Epidauro!

Żagiel wydał się na wietrze i statek obrócił się dziobem ku zatoce. Młody Volos poderwał głowę z wyzywającym okrzykiem, gdy ruszyliśmy, a mewa krążąca nad masztem odpowiedziała chrapliwie i dziko. Podeszłam do Kazana. Stał w szerokim rozkroku, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Był spokojny, ale zauważyłam, że ma gęsią skórkę.

–Jeśli przyjdzie po mnie – powiedział kącikiem ust – nie wtrącaj się. Wypchnij mnie za burtę i płyn dalej, jeśli przyjdzie kriawbog.

Mury portu rosły w oczach. Widziałam już ludzi na statkach, krzyczących i machających rękami, czarne ptaki na czerwonych żaglach, słońce przeglądające się w stalowych hełmach załogi.

–Nie przyjdzie – powiedziałam, wierząc gorąco, że się nie mylę.

Kazan przez chwilę poruszał ustami, wciąż zwrócony twarzą ku brzegowi.

–Modłę się, żebyś miała rację. – Zaczerpnął ze świstem tchu, jakby doskwierał mu ból. – Ach!

Weszliśmy na wody zatoki.

Na statku wybuchło szaleństwo, marynarze wrzeszczeli, śmiejąc się i tupiąc w drewniany pokład, krzycząc do załóg okrętów, które szybko nas otoczyły.

–Kazan Atrabiades! To Kazan Atrabiades z Epidauro! Kazan! Kazan! Ka-zan!

Skandowany okrzyk rozprzestrzenił się lotem błyskawicy, przekazywany z ust do ust w całym porcie, podczas gdy strażnicy bana uderzali w tarcze.

–Heja, Kazan! Heja, Kazan! Heja, Ka-zan!

Kazan Atrabiades uśmiechał się od ucha do ucha, unosząc ręce w powitalnym geście.

Patrzyłam na to wszystko, szeroko otwierając oczy i usta. W starożytnej, cywilizowanej Kriti zapomniałam, że Iliria jest wasalem ciemniejszego ją władcy,

zapomniałam, że imię Kazana, znane nawet archontowi Fajstos – mogę dodać, że moje zbudziło tylko cienie starożytnej opowieści – było w ojczyźnie owiane sławą.

Ilirowie witali go jak bohatera.

Eskorta okrętów bana wprowadziła nas do właściwego portu, podczas gdy wiwaty grzmiały nawet na wieżach fortecy. Nasi marynarze wychylali się za burty, wymieniając nowiny i wypytując o dawnych towarzyszy. To Tormos wprowadził nas do portu, wrzaskiem i gniewnymi spojrzeniami utrzymując względny porządek na pokładzie. Kazan tylko uśmiechał się błogo i machał rękami, rad, że żywy powrócił do domu. A ja... prawie o mnie zapomniano w panującym rozgardiaszu.

–Nie bierz sobie tego do serca – pocieszył mnie Glaukos, krzepiącym ruchem obejmując moje ramiona. – Nie zapomni o tobie, nie on. Pamięta o zaciągniętych długach. Pozwól mu nacieszyć się tą chwilą, pani, a przekonasz się, że miałem rację.

Zadrżałam, z niewiadomego powodu czując się samotna i przestraszona własnymi myślami.

–Tak. Chwila jest wszystkim, co mamy.

Nim dobiliśmy do nabrzeża, zebrał się tłum; chłopcy, którzy kręcą się po wszystkich portach w nadziei, że przyciągną uwagę swoich bohaterów, rozbiegli się po całym Epidauro, głosząc wieść o powrocie Kazana Atrabiadesa. Kiedy zesliśmy na ląd, cieszyłam się, że mam przy sobie krzepkiego Glaukosa, który chronił mnie przed napierającym tłumem. Jako urodzony w Tyberium Hellen przynajmniej on był tutaj równie obcy jak ja.

Tłum składał się prawie z samych mężczyzn. Przekazywane nowiny przemykały nad moją głową, a głosy tworzyły taką kakofonię, że niewiele rozumiałam. Z pochwyconych strzępów zdań wywnioskowałam, że trzy pirackie statki bezpiecznie dobiły do brzegu, kiedy uciekliśmy przed serenissimskimi galerami. Serenissimczycy krążyli niezdecydowanie, ujrzawszy

ciemności, które spowiły statek Kazana, a potem uciekli, gdy potężna ręka sztormu zgarnęła nas na południe. Patrzący z brzegu i z okrętów Epidaurczycy uznali, że jesteśmy zgubieni. Ban udzielił azylu wszystkim ludziom Kazana, twierdząc, że nie ma dowodów przestępstwa. Wszyscy, którzy przeżyli – w tym Pekhlo, zmyty z naszego statku – przebywali w Epidauro.

Przybiegli, żeby się z nami przywitać, wezwani z tanich tawern, żywiołowi i radośni. Dopiero przybycie gwardii bana zaprowadziło w porcie względny ład, szkarłatne grzebienie hełmów kołysały się nad głowami, gdy rozdzielali tłum, robiąc przejście. Kazan ryknął do swoich ludzi, gromadząc ich za sobą, gdy podszedł dowódca oddziału.

–Ho, ho – powiedział cicho – Kazan Atrabiades powrócił? – Niespodziewanie zamachnął się, mierzając pięścią w twarz pirata. Kazan bez trudu zrobił unik i z uśmiechem zamknął go w ramionach.

–Czibor, ty synu eunucha! – zawołał, waląc go po plecach. – Nauczyłem cię dobywać miecza! Co też myślał sobie Zim Sokali, powierzając komendę komuś takiemu jak ty?

–Na długo zniknąłeś z Epidauro. – Czibor ze śmiechem odwzajemnił uścisk. – Na Jarowita, dobrze cię widzieć! Skąd się tu wzięłeś?

–Byłem na Kriti, w domu Minosa – odparł Kazan poważnie.

–Aha. – Czibor cofnął się i popatrzył na niego. – Zatem to prawda, co mówią? Że jest tam moc władna oczyścić człowieka z klątwy krwi?

Kazan rozpostarł ręce.

–Widzisz mnie przed sobą, Czibor. To straszne, ale prawdziwe.

Dowódca straży pokiwał głową.

–W takim razie dobrze się stało. Zim Sokali musi to usłyszeć. Jesteś dla niego problemem, Kazanie. Twoje imię i czyny są znane Serenissimczykom, którzy dowiedzą się o twoim powrocie, jeśli ten zgiełk jest jakąś wskazówką. – Jego spojrzenie przeorało tłum i wtedy zobaczył mnie, stojącą u boku Glaukosa, i szeroko otworzył oczy. – Twoi ludzie opowiadali o D'Angelinie wartej trzydzieści tysięcy złotych soldi, Kazanie – powiedział powoli. – Serenissimscy kupcy rozpytywali w mieście, a ambasador przybył do Zima Sokali, który wyparł się wszelkiej wiedzy. Nie dawałem wiary tym historiom, ale jeśli ta osoba istnieje, chyba widzę ją teraz.

–Widzisz. A ja myślę, że ban także będzie chciał ją zobaczyć.

–Pewnie masz rację – przyznał Czibor cierpko.

Ruszyliśmy więc do fortecy bana Ilirii, którego ludzie zwali Zim Sokali, Synem Sokoła. Epidauro było dziwnym miastem, wykutym z kamienia i otoczonym przez grube mury. Eskortowani przez Czibora i jego ludzi, pokonaliśmy kilka wąskich, brukowanych ulic, gdy usłyszeliśmy tętent kopyt i powóz rozproszył tłum mężczyzn i młodzieńców, którzy szli za nami. Zanim gwardziści bana zdążyli zareagować, drzwi powozu otworzyły się i wysiadła z niego starsza kobieta ze ściągniętą i mokrą od łez twarzą.

–Kazan – zatkała, otwierając ramiona. – Kazan!

Zrobił ku niej krok i w jego oczach odbiło się zdumienie.

–Mama?

Wzruszenie ścisnęło mnie za gardło, gdy patrzyłam na ich powitanie. Możliwe, że ze wszystkich darów thetalos ten był najcenniejszy: wybaczenie, udzielone i przyjęte przez obie strony. Znałam dobrze ból, jaki nosił Kazan, gorzkie poczucie winy z powodu śmierci brata z własnej, mimowolnej ręki. Bólu jego matki mogłam się tylko domyślać. Była wdową, która po śmierci ukochanego młodszego syna zbudziła się z pierwszego szaleństwa rozpacz, by zrozumieć, że starszy syn też jest dla niej stracony, skazany przez rzuconą w gniewie klątwę. Kiedy opowieść o serenissimskich galerach wojennych i bitwie Kazana z kriawbogiem dotarła do jej uszu, uznała syna za martwego i opłakała na nowo, kolejny raz rozpaczając po stracie ich obu.

Cóż, pomyślałam, jeśli nawet nie dokonałam niczego więcej, przynajmniej to jest moją zasługą.

–Pani Njesa – powiedział Czibor łagodnym tonem, zdejmując hełm na znak szacunku. – Błagam o wybaczenie, ale mam rozkazy doprowadzić twojego syna prosto przed majestat bana.

–Tak, naturalnie. – Uśmiechnęła się przez łzy i po raz ostatni chwyciła go za ramiona, jakby chciała się upewnić, że jest prawdziwy. – Mój syn, taki wysoki! Zapomniałam, jak bardzo wysoki. Marjopi dobrze o ciebie dbała. Czy jeszcze żyje? Czy zdrowa? Chciałabym jej powiedzieć, że gdybym mogła, cofnęłabym te szorstkie słowa.

–Powiesz jej, mamó, bo dobrze się miewa i jest w Dobreku, a ja sam po nią poślę. – Kazan uwolnił się z uścisku kobiety i pochylił, żeby pocałować ją w policzek. – Tylko najpierw muszę zobaczyć się z banem – dodał cicho – i spłacić długi, nim zajmę się sprawami naszego domu.

Czibor założył hełm na głowę.

–Idziemy. Zim Sokali czeka.

SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ

Wysoka, masywna forteca Sokal znajduje się w sercu Epidauro, obronna budowla w mieście otoczonym murami. Kiedyś zapewne stanowiła łaskawą przystań dla Ilirów, z bramami stojącymi otworem i proporcami łopoczącymi na wszystkich wieżyczkach. Teraz otaczała ją aura ponurego wyzwania, dumnego i nieugiętego, jej mury zostały odarte z ozdób, a brama zaryglowana. Gdy Czibor podał hasło, ostrożnie uchylono skrzydło.

Z dolnego tarasu mogłam zobaczyć, dlaczego tylko Epidauro nie uległo La Serenissimie. Wielka wieża bramna strzegła wąskiej grobli łączącej wyspę z lądem, a całą resztę otaczała woda. Nawet potężna serenissimska flota miałaby kłopot ze znalezieniem słabego punktu w litych szarych murach obsadzonych przez łuczników i załogi trebuszów i balist.

–Ach – westchnął Kazan, patrząc na miasto. – Dom!

Nie powiedziałam na głos tego, co przyszło mi na myśl: przytulna wioska Dobrek była znacznie bardziej przyjemna. Ale ja patrzyłam oczami cudzoziemki. Dla urodzonego i wychowanego tutaj Ilira otoczone murem Epidauro symbolizowało duszę kraju, zaciśniętą pięść wzniesioną przeciwko ciemności. Widać to było w głodnym spojrzeniu Kazana, ale także na twarzach jego towarzyszy, którzy przed wizytą w Fajstos nigdy nie widzieli miasta.

No cóż, nie mogli przecież tęsknić za złotymi polami Terre d'Ange, sędziwymi gajami oliwnymi, winnicami i lawendą, której zapach przesyca powietrze. Sama myśl o tym sprawiała, że żal ścisnął mi serce. Dobrze wiedziałam, co oznacza życie na wygnaniu. To nas łączyło.

Gdy weszliśmy do fortecy, gwardziści zabrali ludzi Kazana, żeby wskazać im kwatery i ugościć ich należycie.

Tylko Kazan i ja zostaliśmy poprowadzeni do bana. Byłam zdenerwowana i czułam się nieswojo, gdyż nie miałam okazji odświeżyć się po podróży, a moja suknia zeszywniała od soli. Kazan, przeciwnie, był w doskonałym nastroju, pewny dobrego przyjęcia.

Ban przyjął nas nie w sali oficjalnej, lecz w przestronnym gabinecie pełnym urzędowych pism i petycji. Siedział przy kominku, w którym płonął ogień łagodzący jesienny chłód. U jego stóp, na wyświechtanym chodniku drzemały dwa podstarzałe psy. Czibor stał na baczność, dopóki ban na niego nie spojrzał.

–Zim Sokali – powiedział – przywiodłem Kazana Atrabiadesa, niegdyś z Epidauro, i...
– Urwał bezradnie, gdyż nie pamiętał mojego nazwiska.

–Fedra nó Delaunay de Montreve z Terre d'Ange – powiedział ban niskim głosem, patrząc na mnie z namysłem. Siedział bez ruchu w fotelu. – Jej nazwisko jest mi znane.

Mówił w caerdicci. Uklękałam przed nim, pochylając głowę.

–Panie, mówię po iliryjsku, jeśli wolisz rozmawiać w ojczystym języku – powiedziałam z pokorą w głosie. – Przykro mi, jeśli przysporzyłam ci kłopotu.

–Tak. – Mówił z rozwagą, był przysadzisty, około pięćdziesięcioletni, z czarnymi włosami i brodą jeszcze bez siwych nitek. Twarz miał mięsistą, a jednak sprawiał wrażenie trawionego głodem nie mającym nic wspólnego z potrzebami ciała. – Tego jeszcze nie można osądzić. – Popatrzył na Kazana i uśmiechnął się lekko. – Aha. Pirat.

Kazan uklonił się i błysnął uśmiechem.

–Zim Sokali, wróciłem do twojej służby.

–Otóż to, piracie. Otóż to. – Ban roześmiał się i kazał nam usiąść. Słudzy przynieśli dzbany mocnej herbaty, którą rozlali do małych srebrnych filiżanek, i talerz ciastek z masy migdałowej. Po niedługim czasie zjawiała się jego pani małżonka, żeby nas przywitać i zapytać, czy nam czegoś nie potrzeba. Była około dziesięciu lat młodsza od bana, a jasne włosy, niebieskie oczy i szerokie kości policzkowe świadczyły, że w jej żyłach płynie krew chowackich najeźdźców, którzy dawno temu zasymilowali się z Ilirami. Już sam wybór żony dawał świadectwo, że ban jest mądrym władcą, który dobrze wie, jak zjednoczyć swój naród.

Nazywał się Wasili Kolcei, a jego żona miała na imię Zabela. Dopóki ban nie odprawił jej z podziękowaniem, stała ze spuszczonym wzrokiem, okazując skromność typową dla iliryjskiej kobiety. Odgadłam, że jest mądrą żoną władcy, bo w rysach jej twarzy nie było śladu pokory.

Przy filiżankach mocnej herbaty Kazan Atrabiades opowiedział swojemu panu dzieje naszej znajomości, wyjaśniając, kim jestem i jak chciał mnie wymienić na okup; jak jego ludzie, ścigani przez serenissimskie galery, uciekli do zatoki Epidauru i co nas spotkało, gdy zawróciliśmy, żeby uciec przed gniewem kriawboga.

–Aha – burknął ban, patrząc na mnie. – I teraz Kazan Atrabiades jest wolny od klątwy krwi, lecz nie od ceny, jaką Serenissimczycy nałożyli na jego głowę za przelaną krew. A ty, młoda D'Angelino, odtrącona przez Kriti, przyszłaś prosić o pomoc Epidauru.

–Dla Kriti i Hellady zysk nie był wart ryzyka, Zim Sokali – powiedziałam pewnym głosem. – Czy Iliria może powiedzieć to samo?

Drgnął, a zaniepokojone psy uniosły głowy. Po chwili ułożyły się z westchnieniem.

–Byłem chłopcem, kiedy Serenissimczycy kawałek po kawałku darli nasze brzegi. Mój ojciec napisał do króla Terre d'Ange, zwracając się z prośbą o przymierze. Czy mam ci mówić, co odpowiedział?

–Nie. – Pokręciłam głową. – Słyszałam, panie, i jest mi przykro z tego powodu, ogromnie przykro. Ale to dawne dzieje. Czy zrobisz na złość czasom obecnym, byle pomścić przeszłość?

–Udzielenie ci pomocy nie jest bezpieczne. – Wasili Kolcei napił się herbaty i zapatrzył w ogień. – Archont z Fajstos mówił szczerze. Epidauro wystąpiło przeciwko Serenissimie; jeśli poniesiesz porażkę, będziemy mieli przeciwko sobie Serenissimę i Terre d'Ange, a na to nas nie stać. Nam wprawdzie nie brakuje siły, ale wybrzeże Ilirii jest słabe i bezbronne, obsadzone przez serenissimskie garnizony. Jaką cenę mój lud zapłaci za twoją porażkę, jeśli Serenissima nazwie nas zdradzieckim wasalem?

–Możemy walczyć – oświadczył Kazan zawzięcie. – Zim Sokali, wyspy są silniejsze, niż ci się wydaje, silniejsze, niż sądzą Serenissimczycy. Jak myślisz, co robiłem przez osiem lat?

–Polowałeś na Serenissimczyków niczym jastrzęb na króliki – powiedział ban ponuro – dopóki połowa Ilirii i całe Epidauro, dopóki wszyscy kupcy i kapitanowie galer na morzach nie poznali twojego nazwiska, Kazanie Atrabiadesie. A teraz przychodzisz, prosząc o... o co? O azyl? Przyjęcie do mojej służby? Niemąla to prośba. W Epidauro roi się od serenissimskich szpiegów, nie mogę zabronić wstępu statkom handlowym, bo to zagroziłoby naszej niezależności. Gdybyś przyszedł ukradkiem, byłoby łatwiej. Cieszę się tylko z jednego. Spowodowałeś takie zamieszanie, że nikt nie zwrócił uwagi na panią Fedrę, a mam wrażenie, że wysłannicy doży byliby bardziej zainteresowani nią niż tobą, Atrabiadesie.

–Nie doży – poprawiłam. – Jego syna, Marka Stregazza.

Wasili Kolcei wzruszył ramionami.

–Na jedno wychodzi. W Serenissimie odbyły się wybory, Consiglio Maggiore oddało głosy. Marco Stregazza jest dożą elektem. Za tydzień obejmie urząd, a jego ojciec ustąpi. – Uśmiechnął się lekko. – Wola Aszery, powiadają. Twoja królowa przybędzie do Serenissimy, żeby wziąć udział w ceremonii i wymienić przysięgi dobrej woli z nowym dożą.

Pokój zawirował mi przed oczami i rozpaczliwie zacisnęłam dłonie na poręczach fotela, starając się zachować jasność myśli. Marco został wybrany na dożę! A Ysandra znajduje się zaledwie tydzień drogi od La Serenissimy, nieświadomie zdążając ku pewnej śmierci. Całe moje zastanawianie się, cała moja niepewność... W

końcu do tego doszło.

Miałam tydzień, nie więcej.

Kazan pobladł, choć zapewne nie z mojego powodu; wrócił do domu jak bohater, nie myśląc o kosztach, jakie może ponieść Epidauro.

–Serenissimczycy... – zaczął chrapliwie. – Czibor próbował mi powiedzieć. Dowiedzą się o moim powrocie i poproszą cię o moją głowę, Zim Sokali.

–Tak – przyznał ban z powagą. – Tak się stanie.

Kazan zaczął krążyć po pokoju, spoglądając na leżące wszędzie traktaty i petycje. Ban siedział bez ruchu, śledząc go wzrokiem. Psy uniosły głowy i wodziły za nim wzrokiem.

–Hierofant z Temenos powiedział mi, że prawo thetalos jest nieodwołalne. – Uśmiechnął się cierpko. – Gdy Matka Dia wybaczy, człowiek jest bez winy. Ale myślę, że Serenissimczycy nie uszanują prawa thetalos, bo Kriti leży za daleko od ich brzegów. Nie, jeśli masz rację – dodał, patrząc na mnie – nie, jeśli sprofanowali własne świątynie.

–Zadali kłam woli Aszery z Morza – powiedziałam cicho. – To wiem na pewno. Przysięgam oczyścić jej świątynię.

Kazan wzruszył ramionami, pstrykając palcem w jeden z pergaminów.

–Takie znaczenie ma wola bogów, gdy w grę wchodzi polityka ludzi. Zim Sokali, próbowałem mądrze rządzić tymi, którzy mi zaufali, ale jestem przede wszystkim wojownikiem.

Nie umiem ocenić ani władzy dawanej i traconej na papierze, ani kosztów ludzkiego życia. Kiedy Serenissima zacznie mnie szukać, jak myślisz?

Jeden z psów z trudem podniósł się na nogi i wsunął nos w zwiniętą dłoń bana, a on odruchowo podrapał go po głowie, błędząc myślami I gdzie indziej.

–Nie tak prędko, jak by chcieli, z powodu zbliżającej się ceremonii. Jeśli ta d'Angelińska panna mówi prawdę... – skinął na mnie głową – Marco Stregazza nie wyciągnie rąk poza Serenissimę, dopóki nie umocni się na tronie. Dwa tygodnie, może dłużej.

–W takim razie sprawa jest prosta, Zim Sokali. – Kazan rozłożył ręce. – Popłynę do Serenissimy z tymi ludźmi, którzy będą chcieli, i z Fedra nó Delaunay. Przecież jestem piratem, prawda? Cokolwiek się zdarzy, powiesz doży, że złamałem twoje

rozkazy. – Uśmiechnął się do mnie z błyskiem w oczach. – Powiesz im, że ona jest Vila, że mnie zaczarowała. Może uwierzą.

–Kazanie... – Widziałam, jak jego matka płakała z radości, że wrócił. Bolało mnie serce, gdy uczucia kłóciły się z obowiązkiem. – Sama nie wiem.

Ban pokręcił głową.

–Nie – powiedział ponuro. – To nie takie proste, piracie. – Uniósł głowę, gdy do pokoju weszła jego żona, pani Zabela. Skinął do niej i podjął, gdy stanęła przy jego fotelu: – Nie zdołasz wejść do portu. Serenissimczycy przeszukają twój statek, jak przeszukują wszystkie inne, i jeśli nawet cię nie rozpoznają – co jest mało prawdopodobne – z pewnością poznają kobietę. – Zaszczycił mnie uśmiechem bez cienia wesołości. – Młoda D'Angelina niespotykanej urody, jasna karnacja, ciemne włosy i oczy, i plamka szkarłatu w lewym, jak po ukłuciu cierniem. Obawiam się, że przebranie niewiele pomoże.

–Przecież musi być jakiś sposób! – zawołał Kazan w poczuciu bezsilności.

–Kazanie, nie. – Drżał mi głos, ale mówiłam dalej: – To nie jest warte twojego życia, ani życia twoich ludzi, których już tak wielu zginęło. Daj mi tylko część okupu, żebym mogła zapłacić za miejsce na statku handlowym i przekupić straż w zatoce. Nie mogę tak szybko odbierać dziecka matce.

–Sądysz, że Serenissimczycy będą bardziej delikatni, kiedy przyjdą po mnie? – zapytał ostro, skory do kłótni, jak w swoim domu w Dobreku. – I czy narażanie całego Epidauro na niebezpieczeństwo będzie aktem odwagi z mojej strony?

–Zim Sokali może powołać się na prawo thetalos. – Popatrzyłam na niego ze złością, też się zapominając. – Jeśli Marco Stregazza zechce mu zaprzeczyć, niech zgłosi pretensje na Kriti. Cała Hellada będzie oburzona, jeśli zlekceważy prawo Kory!

–Jestem ci winny...

–Dwa razy ocaliłeś mi życie, raz na morzu, a potem z Serenissimczykami. Jesteśmy kwita, Kazanie. Nie wiem, czy zniosę kolejną śmierć ciężącą na moim sumieniu!

–Nie tobie mówić, co jestem ci winien! Widziałem, w thetalos...

–Ukryj ją. – Czyjś cichy głos przerwał naszą kłótnię. – Na statku z daniną.

Umilkliśmy i gapiliśmy się niemądrze na panią Zabelę, bo to ona się odezwała. Ban przekrzywił głowę, by spojrzeć na nią z namysłem. Gładził sierść na karku psa, który oparł się o jego nogi i położył łeb na kolanie.

–Jak?

Uśmiechnęła się do niego.

–Kiedy moja babka musiała umykać po stepie, jak wielu Chowatów, ukrywała złoto pod fałszywym dnem w sakwach. To będzie odpowiedni trybut dla Marka Stregazza, jak sądzę.

Serce przyspieszyło mi w piersi.

–Statek. Wysyłasz statek z daniną do La Serenissimy, panie?

–A młody Atrabiades i jego ludzie mogą zająć miejsce wśród tych, którzy będą eskortować daninę – powiedział ban do żony, kończąc jej myśl. Szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz. – Doskonały pomysł, moja droga, i dar w istocie odpowiedni.

–Tak! – zawołał Kazan z zapalem. – Jeśli cokolwiek pójdzie źle, będziemy utrzymywać, że zajęliśmy statek siłą, więc wina nie spadnie na ciebie, Zim Sokali!

–Kazanie, nie...

Wasili Kolcei uniósł rękę i popatrzył na mnie surowo.

–Nie ty decydujesz co ma zrobić Kazan Atrabiades. Jako iliryjski poddany podlega władzy La Serenissimy, i ani ja, ani tym bardziej dzieci Minosa nie mogą uchronić go przed odpowiedzialnością za złamanie prawa. Proponuje honorowe rozwiązanie. To, że nie chcesz mieć jego krwi na sumieniu, jest godne pochwały, D'Angelino, ale przecież chcesz ocalić swoją królową. Pytałaś o to dwóch władców, a teraz ja pytam ciebie. Czy zysk nie jest wart ryzyka?

Popatrzyłam na Kazana i pomyślałam o twarzy jego matki, postarzałej i zniszczonej przez rozpacz, zalanej łzami radości. I pomyślałam o Terre d'Ange, o ukochanych złotych polach, na których rozgorzeje wojna domowa, jeśli Ysandra zginie, a Benedykt de la Courcel ruszy zbrojnie na Barquiela L'Envers, żeby walczyć o tron. Pomyślałam o narodzie osłabionym przez wewnętrzne walki i o Skaldach gromadzących się na naszych granicach, potrzebujących tylko drugiego Seliga, żeby skwapliwie skorzystać z okazji.

I o uśmiechu Melisandy Szachrizaj.

–Tak. – Pochyliłam głowę. – Tak, panie. Jest.

W sztuce szpiegowania zdradzenie własnych zamiarów oznacza śmierć. Czynu raz spełnionego nie można odczynić, słowa raz wyrzeczonego nie można cofnąć. Dlatego właśnie Delaunay nauczył Alcuina i mnie, że w czasie wolnym można

niepiesznie snuć rozważania, w potrzebie jednak trzeba myśleć bardzo szybko, a po dokonaniu wyboru nie należy oglądać się na rozstaje – bo nawet jeśli wybór drogi okazał się nietrafny, nie można już z niej zawrócić. Tak było w moim przypadku. Szczerze mówiąc, potrzebowałam pomocy Kazana; bez niego nie miałam szans na osiągnięcie celu. Jeśli cena bólu okaże się zbyt wysoka, cóż, zostanę osądzona, najpierw jednak muszę dopiąć swego.

Zjawiliśmy się w Epidauro w samą porę, bo statek miał wypłynąć jutro, zabierając złoto – jakby La Serenissima miała go za mało – skóry kun i cywet oraz bursztyn z Chowatu dla Marka Stregazza, nowego doży. Stolarze pracowali przez całą noc, robiąc kufer z fałszywym dnem, pod którym miałam się ukryć. W bogato zdobionym cyprysowym drewnie wywiercili dziurki, żebym mogła oddychać.

A jednak nie bawiła mnie ta perspektywa.

Ban i jego żona ugościli mnie tej nocy, traktując życzliwie. Pani Zabela zaproponowała wszczęcie kampanii dezinformacji. Po Epidauro już krążyła pogłoska zadająca kłam wieściom o powrocie Kazana Atrabiadesa, głosząca, że drobni kupcy wrócili bezpiecznie do domu po długim błakaniu się po morzach i że przywieźli ze sobą młodą helleńską niewolnicę, za wolność której drogo zapłacili na Kriti, bardzo piękną, ale nie D'Angelinę.

Oczywiście wielu ludzi widziało na własne oczy powrót Kazana i nie dali oni wiary kłamstwu, ale nie brakowało takich, którzy nie widzieli i uwierzyli. Ich świadectwo miało dać podstawy do przeczenia, gdyby przyszło co do czego. „Ludzie wierzą w to, co słyszą”, powiedziała Melisanda. Było to irytująco prawdziwe.

Tej nocy spałam źle, co może wydawać się niemądre, bo przecież rankiem miałam tylko wejść na pokład kolejnego statku. Czekala nas czterodniowa podróż i nie miałam zamiaru chować się w skrzyni, dopóki nie zobaczę przeklętych skał La Dolorosy. Ale to miał być początek końca długiej gry, która zaczęła się w dniu, kiedy Melisanda Szachrizaj wysłała mój płaszcz sangoire. Jeśli przegram tę rundę, następnej nie będzie. Melisanda wygra, niezależnie od tego, jak potoczą się losy Terre d'Ange. Ysandra zginie, podobnie jak wszyscy, którzy próbowali jej pomóc, łącznie ze mną, jeśli Marco Stregazza postawi na swoim.

A jeśli nie... wpadnę w ręce Melisandy.

Nie miałam pewności, co byłoby gorsze.

Tej nocy nade wszystko brakowało mi Joscelina. Do tej pory chyba nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo pomagał mi utrzymać na smyczy demony. Co najgorsze, na przekór wszystkiemu, pomimo manipulacji i zdrady, uwięzienia i upokorzenia, bliskiego utonięcia i życia zakładnika, koszmarów thetalos i strasznej wiedzy, jaka

została mi dana – ach, Eluo! – na przekór wszystkiemu wciąż jej pragnęłam. Nie mogłam temu zaradzić, podobnie jak nie mogłam wymazać śladu Strzały Kusziela z oka, a im bardziej walczyłam z tym pragnieniem w głębi mojej roztrzęsionej duszy, tym bardziej moje serce tęskniło za Joscelinem. Był taki niezłomny, taki zdeterminowany – miłość do niego sprawiała mi ból, jak zaciskanie ręki na ostrzu noża, czysty, biały ból, który nie pozwalał mi się zatracić.

Sztylet Kasjela, którym Elua dał odpowiedź posłańcom Boga Jedynego; sługa Kasjela, probierz mojego przeszyciego strzałą serca. Rozważając takie tajemnice, wreszcie zapadłam w niespokojny sen i zbudziłam się o świcie, żeby przystąpić do końcowej rozgrywki.

SZEŚĆDZIESIĄT SIEDEM

Ranek wstał mglisty i chłodny, statek, niczym widmo, majaczył w porcie. Czekałam na nabrzeżu, gdy ładowano wielki kufer i zapasy na drogę. Zabela sprezentowała mi gruby wełniany ciemnobrązowy płaszcz z kapturem i włożyłam go zamiast niebieskiej opończy od Kory. Miał zapinkę ze srebra w kształcie sokoła Epidauro.

Ten sam herb, czarny, zdobił szkarłatne kaftany, narzucone na lekkie kolczugi Kazana Atrabiadesa i sześciu jego ludzi. Znałam ich wszystkich; byli to młodzi śmiałkowie, którzy przychodzili na lekcje u Glaukosa i uczyli mnie iliryjskiego: Epafras, Volos, Oltukh, nieśmiały Uszak z odstającymi uszami, a także bracia Stajeo i Tormos, wciąż rywalizujący. Tormos jako zastępca Kazana miał zapewniony udział w wyprawie, a brat nie chciał go puścić samego.

Brakowało uśmiechniętego Lukina, który przypominał mi Hiacynta-odszedł, zabity przez Serenissimczyków. Staralam się o tym nie myśleć. Inni przyszli nas pożegnać, gromadząc się w mglistym brzasku. Był wśród nich Glaukos, który z oczami mokrymi od łez zamknął mnie w ramionach.

–Moja pani – szepnął – popłynąłbym z tobą, lecz to zadanie dla młodego człowieka. Obawiam się, że tylko bym was spowalniał.

–Gdybyś spróbował, Glaukosie, kazałabym cię wysadzić na brzeg. – Łzy napłynęły mu do oczu, a ja pociągnęłam nosem, wspominając jego życzliwość. – Wracaj do Dobreku, do swojej ślicznej żony, i jeśli kiedyś o mnie pomyślisz, zmów za mnie modlitwę do jakiego chcesz boga, byle cię wysłuchał.

Położył ręce na moich ramionach.

–Pokazałaś mi cuda, które wprawiły w zdumienie nawet starego tyberyjskiego niewolnika, i uczyniłaś Kazana Atrabiadesa panem wbrew jemu samemu. Nie zapomnę cię prędko, dziecko.

–Dziękuję. – Przytuliłam go i pocałowałam w zarośnięty policzek. – Dziękuję ci za wszystko.

A potem wsiadłam na statek dowodzony przez Pjetri Kolcei, średniego syna bana. Miał nadzorować przekazanie daniny. Był młody, tylko parę lat starszy ode mnie, ale sprawiał wrażenie doświadczonego wojownika. W formalny sposób pożegnał się z rodzicami, którzy konno przyjechali na nabrzeże, otoczeni kordonem gwardii. Wszedł po trapie na pokład i kazał zdjąć cumy

Po tak długim pobycie na pirackim statku dziwnie było znaleźć się na zwyczajnym handlowcu z kwadratowymi żaglami, szerokimi pokładami i ładowniami. Stałam przy

relingu, gdy statek powoli odbijał od brzegu, patrzyłam na port. Ban i jego żona siedzieli bez ruchu na koniach, patrząc za nami, w skośnych promieniach porannego słońca prześwitujących przez mgłę.

–Twoja matka nie przyszła? – zapytałam Kazana, gdy stanął obok mnie.

–Nie. – Pokręcił głową. Kropelki wilgoci lśniły w jego włosach jak per –

Siłą nawyku, mówił w caerdicci. – Pożegnałem się w domu. W moim starym domu dzieciństwa. Powiedziała do mnie: „Kazanie, wróć prędko, wróć do domu jako podwójny bohater”.

–Błogosławiony Eluo, spraw, żeby tak się stało – mruknęłam.

Kiedy wypłynęliśmy z zatoki, Pjetri Kolcei kazał podnieść żagiel i ruszyliśmy przez falujące niebieskie morze. Statek obsadzało około dwudziestu marynarzy, zwinnych i obeznanym z żeglarskim rzemiosłem. Poselstwo bana, starannie wybrane, też liczyło ze dwadzieścia osób, a poza tym był jeszcze Kazan i sześciu jego ludzi.

Podszedł do nas średni syn bana. Miał ciemną karnację ojca, ale szerokie, skośne kości policzkowe i szaroniebieskie oczy matki. Włosy wiązał w kitkę i nosił długie, szpiczaste wąsy jak Kazan. Zastanowiłam się, czy to styl narzucony przez gwardię bana.”

–Fedro nó Delaunay – powiedział z zamaszystym ukłonem – Kazanie Atrabiadesie. Późno dołączyliście do mojej misji. Zbudzono mnie w środku nocy i rodzice wtajemniczyli mnie w plany.

–Jestem ci wdzięczna za pomoc – odparłam formalnie. – W imieniu Terre d'Ange, dziękuję.

W jego uśmiechu dostrzegłam przebiegłość ojca i butę wojownika.

–Mam rozkazy. Jeśli coś pójdzie nie po naszej myśli, moi ludzie rzucają broń – powiedział do Kazana – a twoi wezmą ich jako zakładników. Będziemy twierdzić, że użyliście podstępów i nas zaskoczyliście. Taki już los średniego syna, którego honor można odłożyć na bok w razie potrzeby. Ale jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem... – uśmiechnął się z zawziętością wojownika – Serenissimczycy drogo zapłacą za trybut!

–A średni syn urośnie w oczach Zima Sokali! – dodał Kazan z krwiożerczą wesołością. – Oby łaska Jarowita spłynęła na twój miecz, Pjetri Kolcei. Czy szkolił cię Gjergi Hamza? – zapytał, patrząc na jego broń.

Zostawiłam ich, żeby mogli porównać cnoty fechmistrzów bana. Spacerowałam po

pokładzie i cieszyłam się słońcem, które wypaliło mgłę, gdy wyszliśmy na otwarte morze. Na mój widok przestraszeni iliryjscy marynarze kreślili rękami zabobonne znaki. Prawie zapomniałam, jak przyjęli mnie ludzie Kazana. Jeden z nich chodził za mną, samozwańczy strażnik. Był to Uszak, z odstającymi uszami schowanymi pod szpiczastym stalowym hełmem. Poczerwieniał, gdy na niego spojrzałam, a ja zaśmiałam się głośno i przywołałam do siebie. Podałam mu ramię, które ujął z rumieńcem na twarzy.

–Piękny dzień – zagadnęłam po iliryjsku – prawda, Uszaku?

–T-tak – wyjąkał, czerwony jak rak. – Każdy dzień okraszony twoim widokiem jest piękny – dodał jednym tchem.

–Naprawdę? – Przystanęłam, patrząc na niego. – Dlatego płyniesz z nami, Uszaku?

Jego grdyka poskoczyła konwulsyjnie.

–To... to jeden z powodów, pani – odparł sztywno. – Myślę... w Dobreku nie mamy takiego piękna. Umrzeć dla ciebie... to wielki za-zaszczyt!

–Życie jest znacznie większym zaszczytem – powiedziałam łagodnie. – Jestem D'Angelina i sługą Naamy, tak, ale za piękno nie warto umierać.

Speszony, pokręcił głową, głośno przelękając ślinę.

–Nie... nie tylko o to chodzi, pani. Byłaś dla nas życzliwa, nauczyłaś się naszej mowy, śmiałaś się z naszych żartów... nawet... nawet z moich. – Po chwili dodał bezradnie: – Byłaś miła.

Zastanowiłam się nad tym, patrząc w puste niebo.

–Czy zatem świat jest taki okrutny, że wystarczy być miłym, aby inni gotowi byli narażać życie? Czy wystarczy uprzejmość?

–Tak. – Uszak trząsał się i sapał, ale nie odsunął się, mężnie trzymając moją rękę. – Czasami... t-tak, pani – dokończył stanowczym tonem.

Ach, Eluo! Skłoniłam głowę, przytłoczona przez nie dające się nazwać uczucie. Rozumiałam Kazana i jego poczucie wdzięczności; rozumiałam bana i jego rodzinę, ważących zysk przeciwko ryzyku. Rozumiałam lepiej nawet tych ludzi Kazana, z którymi podróżowałam; zadzierzgnęliśmy więź przyjaźni w czasie tej strasznej ucieczki i koszmarów Temenos. Ale to... to płynęło prosto z serca.

Kochaj jak wola twoja.

Głupcami są ci, którzy uważają Eluę za miękkiego boga, czczonego przez chodzących z głową w chmurach kochanków. Niech wojownicy wołają do bogów krwi i grzmotu; miłość jest twarda, twarda jak stal i trzy razy bardziej okrutna. Jest nieubłagana jak przyływ, a życie i śmierć podążają w ślad za nią.

Dużo czasu spędziłam na rozmyślaniach w czasie tej podróży, bo nie miałam żadnego zajęcia, a przed wejściem do La Serenissimy chciałam pogodzić się z Błogosławionym Eluą i jego Towarzyszami. Nasz plan był prosty, na ile to możliwe. Po wejściu do zatoki miałam ukryć się w kufrze. Jeśli straż portowa odnajdzie moją kryjówkę... cóż, dalej nie wybiegałam myślami. Jeśli nie, statek z daniną wpłynie do Wielkiego Kanału i zakotwiczy przy rezydencji Janari Rossatosa, iliryskiego ambasadora w La Serenissimie, i tam zaplanujemy nasz następny ruch.

Miałam nadzieję, że trybut-dar zostanie wręczony nowemu doży przed ceremonią inwestytury, bo wtedy Kazan i jego ludzie będą mogli przekazać wiadomość Ysandrze. Ale co do tego nie mieliśmy pewności, bo nawet Pjetri nie znał protokołu, a dokładna data przybycia d'Angelińskiego progressus regalis wciąż była nieznana.

Chciałabym wiedzieć, co planowała Melisanda.

Jedno było pewne: niezależnie, czyja ręka uderzy sztyletem lub poda truciznę, niezależnie, czyje usta wydadzą rozkaz, to ona wszystko obmyśliła... choć niełatwo będzie dotrzeć po tropach

do jej drzwi. Tego byłam równie pewna. Markowi i Marii Celestynie Stregazza też nie brakowało przebiegłości, postarają się, żeby nikt nie powiązał ich ze śmiercią panującego monarchy.

Czyżby zatem wypadek? Musiałby zostać starannie, bardzo starannie przygotowany – i pewny. Posmarowany tłuszczem stopień, wywrócona gondola – sposoby możliwe, lecz nie dające pewności. Nie, plan Melisandy będzie niezawodny. A to oznacza... co?

Łatwo byłoby to zrobić w Małym Dworze. Trucizna, skrytobójca... Straż Ysandry będzie odprężona, nikt nie spodziewa się zdrady na dworze Księcia Benedykta. Ale nie, Mały Dwór trzeba wykluczyć. Przejęcie tronu było jedną rzeczą; zdolność jego utrzymania – bo Melisanda z pewnością miała zamiar przeżyć Benedykta i ustanowić syna swoim następcą – zależała od akceptacji jej niewinności przez D'Angelinów. Ysandra de la Courcel nie umrze w Małym Dworze.

Zatem gdzie?

W miejscu publicznym, pomyślałam. W miejscu publicznym, gdzie wszyscy mieszkańcy La Serenissimy będą mogli zobaczyć, że książę Benedykt i jego śliczna żona wraz nowym dożą nie przyłożyli ręki do śmierci królowej Terre d'Ange.

Melisanda wymyśli coś błyskotliwego, tego byłam pewna. Jedyny problem, że wciąż nie mogłam odgadnąć, co to będzie.

Utknęłam w tym punkcie i moje spekulacje nie posunęły się ani o krok. Było zbyt wiele niewiadomych; równie dobrze progressus mógł przybyć do miasta i Ysandra już nie żyła. Kiedy zaczęłam gonić w piętke, dałam sobie spokój i spędzałam czas z ludźmi Kazana, grając w kości i przysłuchując się ich rozmowom z gwardzistami bana. Drugiego dnia zaczęło padać; uporczywa mżawka nie spowalniała tempa podróży, ale mroziła do kości i wyganiała z pokładu wszystkich nie pełniących służby. Na dole było wilgotno i ciasno, ale lepiej niż na powietrzu.

Czwartego dnia niebo się przeczyściło, a przed wieczorem minęliśmy La Dolorosę.

Wyszłam na pokład i stanęłam przy relingu, gdy tylko usłyszałam zawołanie; Ilirowie zwali ją Zawodzącą Skałą. Pjetri Kolcei rozkazał ominąć czarną wyspę szerokim łukiem i żaden Ilir nawet nie spojrzał w jej stronę. Gwiżdząc fałszywie, jak marynarze z „Darieli”, patrzyli prosto przed siebie albo na wschód, muskając palcami amulety i robiąc zabobonne gesty w kierunku, w którym nie śmieli spojrzeć.

Ja spojrzałam, musiałam.

Zobaczyłam te same bazaltowe urwiska z falami rozbijającymi się u podnóży. Forteca, w której byłam więźniem, wciąż tkwiła na szczycie wyspy, kamienna i milcząca. Teraz, gdy wiedziałam, czego nasłuchiwać, słyszałam żalosne, doprowadzające do szaleństwa zawodzenie wiatru wśród skał.

Gdy niemal minęliśmy wyspę, zobaczyłam, że most, który spinał ją z lądem, został zerwany. Skręcał się na wietrze, uderzając w klify La Dolorosy, deski rozpadały się na kawałki. Strażnica na lądzie pełniła czczą wartę. La Dolorosa została opuszczona.

Ktoś przeciął liny utrzymujące most.

Joscelin, pomyślałam i moje serce zakołatało jak szalone.

–Fedro. – Kazan dotknął mojego ramienia, wyrywając mnie z zadumy. – Już pora.

SZEŚĆDZIESIĄT OSIEM

W ładowni iliryjskiego statku światło lampy tańczyło po daninie bana, zapalając błyski na złocie i w bursztynie. Dwóch ludzi spojrzelo na Pjetri, pytając o pozwolenie, a on ruchem głowy kazał przystąpić do pracy. Szybko opróżnili skrzynię, piętrząc oszałamiające skarby na deskach pokładu. Obok złota wzniesiono kopiec kunich skórek, miękkich i lśniących.

Odsłonili fałszywe dno.

Pjetri Kolcei ukląkł i wsunął sztylet w szczelinę. Była wąska, stolarze bana dobrze się sprawili. Poruszając ostrzem, podważył deskę, która podniosła się o włos. Wsunął paznokcie w szczelinę i ciągnął z grymasem. Szło powoli, ale w końcu podniósł fałszywe dno z małego występu, na którym leżało.

Pomiędzy prawdziwym a fałszywym dnem znajdowała się mała przestrzeń. Naprawdę bardzo mała.

Patrzyłam, głęboko zaczerpnąwszy tchu. Kufer był solidny, ciemny i ciężki, wyrzeźbiony z cyprysowego drewna i okuty srebrem. Pośrodku kwietnego wzoru, który zdobił podstawę, znajdowały się małe dziurki, tak małe, że światło ledwie się przez nie sączyło. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo boję się zamknięcia w tej ciasnej przestrzeni.

–Nie ma czasu, pani Fedro – rzekł cicho syn bana. – Już widać Włócznie Bellonusa. Musimy przygotować się do wejścia do zatoki.

Skinęłam głową i odetchnęłam jeszcze raz – miałam wrażenie, że za mało powietrza mieści się w moich płucach. Popatrzyłam na Kazana i jego ludzi, a ich twarze nagle wydały się bardzo znajome i drogie. Szybko, żeby nie opuściła mnie odwaga, weszłam do skrzyni i wcisnęłam się w tę strasznie małą przestrzeń, przyciskając kolana do brzucha i brodę do piersi, czując ze wszystkich stron twarde ściany kufra.

–Już – powiedział Pjetri. – Szybko!

Epafras i Oltukh pochylili się nas skrzynią i wtedy ostatni raz widziałam światło. Szeroka deska szybko zasłoniła ich zmartwione twarze. Przycisnęli fałszywe dno i ogarnęły mnie ciemności. Drewno naciskało na moje ramiona i biodra; chciałam się poruszyć, ale nie miałam miejsca. Było ciasno, brakowało mi powietrza. Usłyszałam stłumiony szmer piętrzonych na fałszywym dnie i zwalczyłam falę paniki. Powietrza wcale nie brakowało. Kuląc się w ciemności, widziałam otworki; jeden znajdował się blisko mojego lewego oka, pozwalając zobaczyć blask lampy.

Skoro wpada światło, wpada też powietrze, powtarzałam sobie. Nie pomagało. Moja

pierś wznosiła się z trudem, mimowolnie zasysając wielkie hausty powietrza, ale w końcu zmusiłam się do zachowania spokoju, myśląc: Oddychasz, Fedro, nie umierasz, nie dusisz się.

Zadanie proste, a jednak strasznie trudne. Przypuszczam, że zniósłabym lepiej ten pobyt w zamkniętej przestrzeni, kiedy byłam młodsza – przed La Dolorosą, przed topieniem się w morzu. W obecnej chwili z całych sił powstrzymywałam się od bębnienia w ściany kufra i błagania o uwolnienie. Trzęsłam się, łapczywie wdychałam powietrze i modliłam się, żeby nie było problemów ze strażą portową – żeby poszło gładko i szybko. Eluo, szybko!

Dźwięki, które słyszałam, przyciskając ucho do dna skrzyni, były dziwnie stłumione przez drewno. Plusk fal o kadłub, stłumiony tupot stóp i poskrzypywanie wiosel. Z daleka, z bardzo daleka napływały krzyki. Trwało to w nieskończoność, ale w końcu poczułam zmianę, kiedy zbliżyliśmy się do zatoki. Płynęliśmy powoli, marsie zostały zwinięte, a potem wsteczny ruch wiosel zatrzymał statek w miejscu.

Nastała cisza, potem zadudniły kroki wielu ludzi.

Wiem, bo powiedział mi o tym Kazan, że portowa straż Serenissimy dokładnie przeszukała statek. Ilirowie musieli rzucić kotwicę i zebrać się na pokładzie, zostawiając miecze i stojąc na baczność, podczas gdy kapitan portu kierował rewizją. Kazan i jego ludzie bez zmrużenia oka stali wśród załogi, nie mając pewności, czy nie zostaną rozpoznani jako piraci. Wszyscy mieli sztylety ukryte pod ubraniem; gdyby stało się najgorsze, mieli umrzeć w walce.

Serenissimczycy przewrócili każdy hamak i każdą koję, przetrząsnęli wszystkie kabiny, otworzyli i przeszukali kuferki i worki. Zwycięscy gracze w kości musieli się rozstać ze srebrnymi denarami z podobizną bana Ilirii. Pjetri Kolcei złożył gwałtowny protest, twierdząc, że nie zamierzają użyć tych monet do handlu. Kapitan portu zignorował go i wydał rozkaz przeszukania skrzyni z trybutem-darem bana.

O tym wszystkim dowiedziałam się później. Wtedy słyszałam tylko, jak weszli do kabiny, i udawałam martwą w ciasnej kryjówce, ledwo mając odwagę oddychać. Miałam wrażenie, że zdradzi mnie bicie serca. Pjetri Kolcei otworzył zamek i podniósł wieko skrzyni; skrzyp zawiasów przeniknął mnie do szpiku kości. Podczas gdy leżałam zwinięta w kłębek, sparaliżowana ze strachu pod fałszywym dnem, straż portowa opróżniała skrzynię, inwentaryzując daninę.

Nie wiem jak długo to trwało – dla mnie całą wieczność. Kiedy serenissimski strażnik sięgnął do kufra po ostatnią kunia skórkę, kłyckie zaszurały o drewno wprost nad moim uchem. Odczułam to jak uderzenie pięścią i nie wyobrażałam sobie, że może być nieświadom mojej obecności.

Zobaczę, pomyślałam, zajrzę do kufra i obejrzą z zewnątrz, i wtedy zobaczę, że w środku brakuje stopy przestrzeni.

Nie mogłam uwolnić się od tej myśli, podczas gdy metodyczny głos wyliczał przywiezione dobra, a pióro skrobało po pergaminie. Skrobanie miało swój własny rytm, tłukący się w mojej głowie: zo-ba-czą, zo-ba-czą, zo-ba-czą. Powstrzymywałam się od mówienia tego na głos, powstrzymywałam ręce i nogi od drżenia, starałam się oddychać cicho i miarowo.

Koncentrowałam się na tym wszystkim, kiedy usłyszałam stłumiony głos kapitana portu.

–Danina spisana, co do jednej monety i skórki, Ilirze. Jeśli w skarbcu wyjdą jakieś braki, skrupi się na tobie.

–Dar zostanie przekazany w nienaruszonym stanie – rzekł zimno Pjetri Kolcei w płynnym caerdicci. – Jeśli wasz skarbnik jest złodziejem, ja nie ponoszę za to odpowiedzialności.

Szelest kunich futer zagłuszył odpowiedź kapitana. Tym razem mogłabym zapłakać z radości, gdy poczułam powracający ciężar. Sztuka za sztuką, dar bana wracał na miejsce. Ktoś zatrzasnął wieko, a od huku niemal pękła mi czaszka. Nie przejmowałam się tym, to była muzyka dla moich uszu. Kroki ucichły, drzwi kabiny zostały zamknięte. Wypuściłam ustami długo wstrzymywane powietrze i złożyłam dziękczynienie Błogosławionemu Elui.

Jeśli nawet mój strach trochę zmalał, to niewygodą wzrosła. Uznaliśmy, że będzie najlepiej, gdy pozostanę w ukryciu do czasu dostarczenia do rezydencji ambasadora, więc tkwiłam w ciemności, skulona i ścierpnięta, podczas gdy statek bana wpłynął do portu, a stamtąd do Wielkiego Kanału.

Przypuszczam, że marynarze zwijali się jak w ukropie, lecz w przeciwieństwie do statków Kazana, ten był powolny i mało zwrotny, a w porcie i na kanałach panował duży ruch. Leżałam cicho, starając się nie zwracać uwagi na skurcze, oddechami odmierzając czas podróży i wyobrażając sobie mijane obiekty: Arsenał, pałac doży przy Campo Grandę, posąg Aszery z Morza patrzący na zatokę, świątynia Baala-Jupitera i, tak, Mały Dwór z dumnie powiewającym sztandarem rodu Courcel. Minęliśmy domy Stu Godnych Rodzin nad Wielkim Kanałem, a potem wielki most Rive Alto, a za nim spichlerze i banki, i rezydencje zagranicznych ambasadorów...

Wreszcie dotarliśmy na miejsce. Usłyszałam plusk wioseł, gdy statek podpływał do nabrzeża, potem łoskot wyrzucanych obijaczy i głęboki chlupot kotwicy spadającej do mętnej, zielonej wody. Słyszałam niezliczone odgłosy towarzyszące zwijaniu żagli, i przepływający inny statek, a potem skrzypnięcie otwieranych drzwi kabiny i

rozmowy. Ludzie szybko wykonywali rozkazy Pjetri Kolcei.

Trzeba było czterech mężczyzn, żeby podnieść ciężką skrzynię. Czułam się okropnie, zamknięta w ciasnej przestrzeni. Powróciła panika, pot spływał mi pomiędzy łopatkami, gdy kufer kołysał się w powietrzu. Za każdym razem, kiedy się przechylał, żołądek podchodził mi do gardła. Wynieśli kufer z kabiny, pokonali trap i wspięli się, co było najgorsze, po stromych schodach do rezydencji ambasadora.

Tam wreszcie postawili skrzynię ze wstrząsającym kośćmi łoskotem. Usłyszałam głosy, znajome i nieznanne, formalności i pospieszne wyjaśnienia, a potem przez gwar przebił się głos Kazana:

–Pjetri, klucz. Daj mi go, natychmiast!

Klucz zagrzechotał w zamku i podniesiono wieko. Po raz trzeci tego dnia wyładowano daninę bana, złote monety i okruchy surowego bursztynu rzucono bezceremonialnie na stos,

potem wyciągnięto naręcza futer. Skuliłam się jeszcze mocniej i zadrżałam, gdy ktoś wsunął ostrze sztyletu w szczelinę blisko mojej głowy podważając fałszywe dno. Był to Kazan. Słyszałam, jak klnie, drapiąc drewno paznokciami, szukając maleńkiego wgłębienia.

–Odsuń się – powiedział niecierpliwie Pjetri. – Odsuń się, mówię! Wiem, jak to zrobić. Nie, w ten sposób, naciśnij na rękojeść.

Nagle nacisk z góry zmałał i do skrzyni wlało się światło i powietrze, świeże czyste powietrze. Odetchnęłam głęboko, napelniając płuca, i podniosłam się na kolana. Miałam zawroty głowy i musiałam się przytrzymać, żeby nie stracić równowagi.

–Fedro? – Twarz Kazana znalazła się w moim polu widzenia. – Dobrze się czujesz?

Pokiwałam głową, co tylko pogorszyło zawroty. Za Kazanem zobaczyłam starszego iliryjskiego szlachcica w eleganckim stroju, z brwiami uniesionymi ze zdziwienia. Pjetri stanął między nami i z ukłonem podał mu list.

–Ambasadorze Rossatosie, mój ojciec wszystko w nim wyjaśnił – powiedział uprzejmie.

Mam nadzieję, że tak było; nigdy się nie dowiedziałam, co napisał ban. Janari Rossatos wezwał sługę i kazał podać wino, a potem dwa razy przeczytał list, nie spiesząc się. Byliśmy w jego salonie, ładnie, choć wedle serenissimskich standardów skromnie urządzone. Siedziałam na kanapie i popijałam wino, czując się znacznie lepiej. Zdumiewałam się, że znów widzę światło tańczące po suficie i ścianach, odbite od wody w kanale. Pjetri i Kazan też siedzieli; czterech ich ludzi stało.

Rossatos skończył czytać i popatrzył na mnie. Miał twarz dyplomaty, sprytną i gładką pomimo zmarszczek, i nie każdy potrafił odczytać z niej myśli.

–Hrabina de Montreve, jak mniemam – powiedział w bezbłędnym caerdicci.

Wstałam i dygnęłam.

–Panie ambasadorze, jestem Fedra nó Delaunay de Montreve. Proszę, przyjmij moje podziękowania za gościnę.

Zmrużył oczy.

–Wypełniam wolę Zima Sokali, pani. Jesteś tu mile widziana. – Po-stukał palcem w list. – Mam udzielić ci wszelkiej możliwej pomocy, nie wystawiając na niebezpieczeństwo naszej placówki w La Serenissimie. Jeśli dobrze zrozumiałem, chcesz zapobiec zabójstwu swojej królowej, prawda? Ysandry de la Courcel z Terre d'Ange?

–Tak, panie.

–Masz dowód na istnienie spisku?

Zawahałam się.

–Panie... tak. Kobieta, którą książę Benedykt pojął za żonę, jest zdraj-czynią, skazaną na karę śmierci w Terre d'Ange. On o tym wie i rozmyślnie oszukał królową. To wystarczający dowód.

–Ach. – Janari Rossatos położył wielki nacisk na tę jedną sylabę. – I jesteś gotowa przedłożyć to oskarżenie doży elektowi, jego zięciowi?

–Nie. – Pokręciłam głową. – Marco Stregazza jest jej sprzymierzeńcem.

–Naprawdę? – Rossatos odchylił się w fotelu, robiąc zaintrygowaną minę. – Wiesz, przed miesiącem śmiechem skwitowałbym tę wiadomość, bo przecież książę Benedykt i Stregazza od dawna byli skłóceni. Dziwne i zastanawiające, jak zatarg został zażegnany niemal w przeddzień wyborów. Panuje powszechne przekonanie, że Marco wygrał wybory dzięki poparciu Benedykta oraz obietnicy wyasygnowania d'Angelińskich funduszy na prace irygacyjne i budowlane.

–To było zaplanowane – powiedziałam.

–Możliwe.

–Nie. Na pewno. – Westchnęłam. – Niech zgadnę, panie ambasadorze. Książę Benedykt pożałował pośpiechu, z jakim mianował swego nowo narodzonego syna

Imriela dziedzicem d'Angelińskich posiadłości i przywrócił do łask córkę, Marię Celestynę. Czy mam rację?

Ambasador uniósł brwi.

–Mniej więcej. Co z tego? Córka, w przeciwieństwie do chłopca, nie może odziedziczyć Małego Dworu. Nie w Serenissimie.

–Chłopiec odziedziczy Terre d'Ange – powiedziałam cicho. – Taki mają plan. Ale nie mogę tego udowodnić, panie, bez narażania się na śmierć.

–Mówi prawdę – burknął zniecierpliwiony Kazan. – Stałem na sere-nissimskim statku, gdy kapitan polecił zabić Fedrę nó Delaunay z rozkazu Marka Stregazza. Nie dopuściłem do tego. Ile więc warta jest twoja pomoc, dyplomato?

Rossatos bezradnie rozłożył ręce i spojrzał na Pjetri, syna bana.

–Obawiam się, że niewiele. Moje słowo mało znaczy dla doży, nawet w najlepszych okolicznościach. Teraz Cesare nie udziela audiencji, podobno z powodu złego stanu zdrowia, a co do doży elekta... Marco twierdzi, że skromność nie pozwala mu przyjmować zagranicznych przedstawicieli przed objęciem urzędu.

–A Ysandra? – zapytałam. – Czy przybył d'Angeliński progressus regalis?

Jego starannie podcięte srebrnoszare włosy zafalowały, gdy pokręcił głową.

–Podobno ma to nastąpić jutro, dzień przed inwestyturą. Wczoraj przybyli wysłannicy z Pavento.

–Gdzie zamieszkają?

–W Małym Dworze. Gdzieżby indziej? Książę Benedykt przygotowy-wał się od tygodni. Szkoda tylko – dodał z zadumą – że jego żona podobno niedomaga i być może nie będzie uczestniczyć w uroczystościach.

Zastanowiłam się, czy Melisanda boi się rozpoznania pomimo woalu.

–Moim zdaniem to wygodna wymówka, panie, i podejrzewam, że choroba doży nie ma naturalnych przyczyn. – Nie dodałam, że nie byłabym zdziwiona, gdyby Maria Celestyna podała

biednemu, sędziwemu Cesare coś na rozwolnienie. – Czy masz dostęp do Małego Dworu?

–Nie. – Głos Rossatosa był oschły; żaden dyplomata nie lubi przyznawać się do porażki. – W zeszłym tygodniu miałem, w przyszłym być może będę miał. Dziś, jutro,

pojutrze... wykluczone. Musisz zrozumieć, hrabino, w La Serenissime panuje zamęt. Doża ustępuje z urzędu przed czasem, nowy doża zostaje wybrany, wizyta d'Angelinskiej królowej... a na dodatek groźba wybuchu zamieszek. Ochrona pałacu i Dworu jest szczelna i ten stan rzeczy nie ulegnie zmianie, dopóki Pieczęć Doży nie wsunie się na palec Marka Stregazza. On nie podejmie ryzyka, księżę Benedykt też nie. Nie tylko iliryjski ambasador zostałby odprawiony z kwitkiem. Znam ambasadora z Akadu, któremu zależało na zaproszeniu na uroczystości w Małym Dworze – nawet jemu odmówiono, a przecież reprezentuje kalifa, którego syn jest mężem kuzynki królowej.

Zamrugalam, przemyślując jego słowa.

–Zamieszki?

–Tak, zamieszki. – Janari Rossatos lekceważąco wzruszył ramionami. – Znasz La Serenissime, hrabino? Scholae, gildie? Połowa z nich strajkuje, statki handlowe stoją puste w porcie, a na ulicach dochodzi do aktów przemocy. Nawet targ na Campo Grande od pięciu dni jest zamknięty. Warzelnicy przewrócili kramy wszystkich, którzy poważali się handlować. Doszło do bijatyki i zginęło dwóch młodych ludzi, których nazwiska widnieją w Złotej Księdze. W nocy Schola Świecarzy wznieciła pożary, wrzucając zapalone świece do domów Stu Godnych Rodzin.

–Zamieszki – powtórzyłam, z zadumą dotykając ust palcami. – Co na to Ricciardo Stregazza?

–Ricciardo? – Rossatos spojrział na mnie ze zdziwieniem. – Marco mówi, że to jego wina, że brat nakłonił Scholae do strajku, powodowany małostkową chęcią zemsty za swoją porażkę. Dopóki Marco nie wysłucha skarg mistrzów cechowych, co stanie się po objęciu urzędu, Ricciardo będzie przebywać w areszcie domowym.

–Ricciardo nie podburzał cechów z zemsty – powiedziałam z roztargnieniem. – Naprawdę zależało mu na ich interesach. Ile Scholae bierze w tym udział?

–Plotka mówi, że ponad tuzin. A sprawdzone informacje? – Wzruszył ramionami. – Co najmniej siedem. Straż miejska wyłapała członków gildii warzelników, świecarzy i siodlarzy biorących udział w zamieszkach. A ci młodzi głupcy z klubów szlacheckich, rwący się do bitki na mrugnięcie okiem, tylko dolali oliwy do ognia.

–Fedro, o czym myślisz? – zaciekawiał się Kazan.

Obaj z Pjetri cierpliwie, bez komentarzy przysłuchiwali się naszej rozmowie. Popatrzyłam na niego.

–Gdybym chciała przeprowadzić zamach w miejscu publicznym – zaczęłam powoli – zadbałabym o wywołanie zamieszania, żeby mój agent mógł zadać cios i uniknąć

wykrycia. Mile

widziane byłyby zamieszki. Panie ambasadorze, gdzie odbędzie się ceremonia inwestytury?

–W wielkiej świątyni Aszery. Z pochodem na Campo Grandę, gdzie nowy doża złoży przysięgę Aszerze z Morza.

Siedziałam bez ruchu, czując nacisk na bębenki w uszach, głębokie, miarowe tętnienie prądu wokół La Dolorosy, prądu, który wyniósł mnie na szerokie wody i ocalił mi życie. Musiałam dotrzymać obietnicy i wiedziałam, gdzie powinnam to zrobić.

–To się stanie tam – powiedziałam, słysząc głuche echo własnego głosu, jak gdyby płynął z wielkiej dali. – W czasie ceremonii, gdy na placu będzie tłoczyć się wielotysięczny tłum, nad którym trudno zapanować. Tam dojdzie do zamachu. Tam.

SZEŚĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

To było frustrujące, przebywać tak blisko i tak daleko zarazem, mieć absolutną pewność i nie móc tego dowieść, a nawet gdybym mogła, jak miałabym powiadomić Ysandrę? Iliryski ambasador powiedział prawdę. Nie miał możliwości skontaktowania się z królową ani z jej świtą.

Pjetri Kolcei pokłócił się z nim ostro tego wieczoru, bo miał ochotę sprawdzić swoje wpływy jako syn bana Ilirii. Napisał do księcia Benedykta prośbę o audiencję, bo to umożliwiłoby mu przekazanie wiadomości komuś ze świty Ysandy. W końcu zrozpaczony ambasador ustąpił i list został wysłany. Odpowiedź nadeszła szybko, już rano. Książę Benedykt czuje się zaszczycony i spełni jego prośbę... po inwestyturze doży.

Nie miałam złudzeń co do źródła tych środków ostrożności. Marco Stregazza mógł uważać mnie za martwą, mógł wierzyć, że zginęłam w strasznym sztormie, który na oczach Serenissimczyków pognał nasz statek na południe. Melisanda wołała nie kusić losu i zadbała, żeby Stregazza nie podejmowali ryzyka. Dopóki Ysandra nie zginie, Mały Dwór nie rozpatrzy przychylnie żadnej iliryskiej petycji.

Dotarłam do La Serenissimy, a pomoc bana Ilirii osiągnęła granice.

Potrzebowałam niemożliwego.

Potrzebowałam Joscelina.

–Rozum ci odjęło – powiedział Janari Rossatos z irytacją. – Jesteś bardzo piękna, hrabino, i łatwo cię rozpoznać. Jeśli twoje przypuszczenia choć w połowie są prawdą, narazisz mnie na poważne niebezpieczeństwo, bardzo poważne. Nie – dodał, kręcąc głową. – Nie mogę na to przyzwolić, wykluczone. Musisz tu zostać do czasu zakończenia inwestytury. Jeśli chcesz wysłać wiadomość, udzielę ci pomocy, ale jeśli zostaniesz przyłapaną w towarzystwie Ilirów... Nie mogę wziąć za to odpowiedzialności.

–Przykro mi, panie ambasadorze – powiedziałam. – Muszę iść.

–Nie wolno ci tego robić!

Niemądre było, jak sędzę, przybieranie takiego tonu w obecności Kazana Atrabiadesa. Stojąc w wejściu, uśmiechnął się szeroko i musnął palcami rękojeść miecza.

–Niemał myślę, że wydałeś rozkaz – powiedział wesoło. – Dobrze, że jestem piratem i nie muszę cię słuchać.

Rossatos zarumienił się z bezsilnej złości, rzucając okiem na Pjetri Kolcei.

–Ty jesteś synem Zima Sokali, zrób coś! Wszyscy odpowiemy za wzbudzenie gniewu Serenissimy, jeśli ci szaleńcy zostaną schwytani!

–Dobrze – rzucił Pjetri beztrosko, wychodząc na balkon. Wychylił się nad balustradą i powiedział coś przenikliwym szeptem, a gdy wrócił, miał zadumę w szaroniebieskich oczach. – Wybacz, panie Rossatosie, ale nie wierzę, żeby wolą mojego ojca było, aby twoje prawo

decydowania rozciągało się na naszych gości. Osobiście uważam, że warto udzielić im pomocy. Gondola jest gotowa – powiedział do Kazana. – Ma zasłony z trzech stron, powinna więc spełnić swoją rolę. Jeśli nie... – Wzruszył ramionami. W uścisku wojowników chwycili się za przedramiona. – Niech łaska Jarowita spłynie na twój miecz, piracie.

–I na twój – odparł Kazan. – Fedro? Czy udamy się do świątyni... Josui?

–Jeszui – poprawiłam. – Tak. – Zwróciłam się do ambasadora: – Przykro mi, panie. Wiedz, że zaprzeczę twojej roli, jeśli zostaniemy schwytani. – Gdy nie odpowiedział, przesłam przez pokój i przystanęłam przed średnim synem bana. – Dziękuję, panie – szepnęłam.

Pjetri Kolcei uśmiechnął się cierpko.

–Poszedłbym z tobą, lecz to nie byłoby roztropne. Rad jestem, że bezpiecznie dostarczyliśmy cię do Serenissimy. Rossatos ma rację, nic więcej nie mogę zrobić. Mogę tylko pozwolić ci odejść z tym piratem. Powodzenia, pani.

Wyjście z rezydencji ambasadora było najgorsze. Pomimo obszernego kaptura iliryskiego płaszcza oraz Kazana i jego ludzi, którzy zasłaniaли mnie przed wzrokiem innych, czułam się strasznie widoczna, gdy wyszliśmy w chłodne światło świtu. Gondola była skromna, poobijana, ale solidna, ze spłowiała farbą na burtach i połataną markizą nad ławeczką. Nisko pochylając głowę, ostrożnie usadowiłam się na wołokowym worku, otoczona przez płócienne ściany. Kazan usiadł na wprost mnie. Podobnie jak jego ludzie, kolczugę i liberię zastąpił prostym pirackim przyodziewkiem.

Gdyby ktoś nas zaczepił, mieliśmy podać się za najemnych marynarzy, bezrobotnych z powodu strajku. Była to dość wiarygodna wymówka, bo Ilirowie, doskonali żeglarze, zaciągali się na serenissimskie statki kupieckie, gdyż handel morski ich ojczyzny podlegał surowym ograniczeniom. Oczywiście wybieg nie przeszedłby przy bliższej inspekcji – Rossatos miał rację, mnie trudno byłoby się przebrać – ale nie mieliśmy innego wyjścia.

Pomimo wczesnej pory w Wielkim Kanale tłoczyły się statki, a po ulicach krążyły patrole serenissimskiej straży. Za łukiem Rive Alto panował jeszcze większy ruch. Patrzyłam, jak złocona bissona popleczników Stregazza rywalizuje o miejsce z okrętami marynarki wojennej.

–Płyną w tę stronę, Fedro – powiadomił mnie Kazan, wsunąwszy głowę pod markizę. – Chyba blokują główne kanały, żeby zapewnić bezpieczną drogę twojej królowej. Zdażymy przepłynąć, ale powrót będzie odcięty. Jesteś pewna, że chcesz płynąć dalej?

Zadrżałam, ani trochę tego niepewna. Jeśli istniała szansa, bodaj najmniejsza, na ostrzeżenie Ysandry, nie daruję sobie, że z niej nie skorzystałam. Może by tak siłą wedrzeć się na jej statek, zeskoczyć z mostu, wystrzelić strzałę z wiadomością przywiązaną do drzewca...?

–Czy mamy jakąś szansę, żeby stąd dotrzeć do królowej? – zapytałam.

Po chwili wahania Kazan pokręcił głową.

–Z siedmioma ludźmi? Nie. Zginiemy.

–W takim razie płyniemy dalej – zdecydowałam ponuro.

Ukryta pod markizą, widziałam niewiele podczas naszej podróży. Ludzie Kazana sprawnie i szybko kierowali podniszczoną gondolą, klucząc w labiryncie kanałów i zadając sobie немало trudu, żeby znaleźć dzielnicę Jezuistów. Leżała w zubożonej, wschodniej części miasta, gdzie wzdłuż błotnistych, niebrukowanych ulic stały proste drewniane budynki. Dzielnica była biedna na nieszczęście dla Jezuistów, ale na szczęście dla nas, bo kiedy oddaliliśmy się od Wielkiego Kanału i większych dróg wodnych, napotkaliśmy niewielu strażników.

Dobrze, że wyruszyliśmy o świcie. Zanim znaleźliśmy jezuicką dzielnicę, słońce stało już dość wysoko na niebie.

Jezuici robili co w ich mocy, żeby uprzyjemnić swoje miejsce zamieszkania. Mieli solidne domy z szalowanymi ścianami obłożonymi błotem; woda w wąskich kanałach była czystsza i nie cuchnęła jak wszędzie indziej. Gdzieśdoniedzie donice z kwiatami zdobiły drewniane balkony. Niewielu ludzi wstało o tak wczesnej porze, ale słyszałam dźwięczny głos wznoszący się w pieśni, płynący skądś w głębi dzielnicy.

–Tam jest świątynia – powiedziałam. – Czy możemy bezpiecznie wysiąść?

–W miarę bezpiecznie – powiedział bez przekonania. – Będzie lepiej, jak ty zostaniesz, a ja pójdę.

–Znasz habiru? – zapytałam, a on wywrócił oczyma. – To moja sprawa, Kazanie. Jeśli mam rację, jeśli przez tak długi czas udzielali mu schronienia, nie będą nikomu ufać.

Po paru minutach sprzeczki osiągnęliśmy kompromis. Zdecydowaliśmy, że pójdę z Kazanem i trzema innymi, a pozostali zostaną w gondoli. Szybkim krokiem ruszyliśmy przez dzielnicę Jeszuitów. Ilirowie rozglądali się czujnie, ale w polu widzenia nie było Serenissimczyków, nie tutaj.

Świątynia była skromna, niska, drewniana, wzniesiona na mocnym kamiennym fundamencie. Gdy się zbliżaliśmy, głos kantora brzmiał coraz donośniej, wznosząc się i opadając w, rytualnej pieśni. Sa'acharit, pomyślałam, wspominając nauki rabbiego. Szkoda, że zjawiliśmy się w czasie porannych modłów, ale nic na to nie mogliśmy poradzić. Nie miałam czasu do stracenia.

Otworzyłam drewniane drzwi z wyrytym znakiem chai i weszłam do świątyni w towarzystwie czterech iliryjskich piratów.

Znaleźliśmy się w przedsionku, za którym znajdowała się właściwa świątynia. Na ławkach siedziały dziesiątki wiernych. Kantor przestał śpiewać i wytrzeszczył oczy, a rabbi zastygł z otwartymi ustami na kazalnicy. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety mieli jasnożółte kapelusze, jak Jeszuita, którego dawno temu widziałam na Campo Grandę. Odwracali się jeden po drugim.

I wszyscy mieli przerażone miny. Joscelina nie było wśród nich.

–Baruch hatah Jeszua aMasziah, ojcze – powiedziałam grzecznie w habiru; po tak długim czasie trudno mi było wypowiadać chrapliwe sylaby. – Wy... wybacz mi, że przeszkadzam w modłach, ale mam sprawę niecierpiącą zwłoki. Szukam D'Angelina, Joscelina Verreuil.

Wierni popatrzyli na rabbiego, a on spojrzał w bok i oblizał usta, co jednoznacznie świadczyło, że przygotowuje się do kłamstwa.

–Nie wiem, dziecko, o kogo ci chodzi.

–Nie? W takim razie coś ci powiem, ojcze... – Powtórzyłam słowa, które Jeszuita wyrzekł na Campo Grandę po tym, jak Joscelin pospieszył mu z pomocą. – Szukam tego, którego ostrza niczym gwiazdy rozbłysną w rękach.

Wśród wiernych rozległ się młody męski głos. Jakaś kobieta położyła rękę na ramieniu syna, nie pozwalając mu wstać. Kazan poruszył się, patrząc na mnie pytająco. Rabbi milczał. Z boku świątyni biegło przejście. Pokonałam je powoli, zdejmując kaptur z głowy, i stanęłam przed podwyższeniem.

–Przyjrzyj mi się, ojczy – powiedziałam cicho, unosząc głowę. – Jestem Fedra nó Delaunay, a Joscelin Verreuil jest moim zaprzysiężonym towarzyszem. Mówiąc te słowa i pokazując moją twarz, złożyłam życie w twoje ręce.

Rabbi znowu oblizał usta i spojrzał na Ilirów. Nie był stary, miał nie więcej niż czterdzieści lat. Za jego plecami Ur Tamid, światło, które nigdy nie gaśnie, mrugało nad świętą arką zwojów.

–Słyszę, dziecko. Ale nie ma tutaj osoby, której szukasz:

–Możesz przekazać mu wiadomość – powiedziałam spokojnie. – Błagam cię na wszystko, co uważasz za święte, zrób to. Powiedz mu, że przybyłam. Powiedz mu, że widziałeś d'Angelińską kobietę, która ma cętkę szkarłatu w lewym oku. Powiedz mu, że przysięgam na Sztylet Kasjela. Dopóki słońce nie stanie najwyżej na niebie, będę na niego czekać w Gospodzie Siedmiu Nieznajomych.

Nic więcej nie mogłam powiedzieć. Założyłam kaptur, odwróciłam się i odeszłam. W cieniach przedsiönka Kazan uśmiechnął się szeroko, białe zęby zaśniły w półmroku.

–Czekamy? – zapytał. Nie rozumiał moich słów, ale z twarzy rabbiego wyczytał, co zaszło.

–Czekamy.

Gospoda Siedmiu Nieznajomych miała jedną zaletę: cieszyła się tak złą sławą, że serenissima straż omijała ją z daleka i nie zaglądała do środka, chyba że było to absolutnie konieczne. Polecił ją nam z dużym entuzjazmem jeden z marynarzy Pjetri Kolcei, który przed wstąpieniem na służbę u bana poznawał świat jako najemnik.

Nawet w godzinach rannych było tam pełno bezrobotnych żeglarzy z pół tuzina nacji: Caerdicci, Efezjanów, Akadyjczyków i Umaiłatów, nawet kilku Skaldów, których widok zawsze przyprawiał mnie o mimowolne drżenie. Nie zauważyłam innych Ilirów i to mnie ucieszyło. Nieznajomość języka zapewnia prywatność. Dwaj ludzie zostali przy gondoli, a Kazan i Tormos przebili się na tyły izby, rozpychając się łokciami, podczas gdy pozostali strzegli moich tyłów.

Nie zdjęłam kaptura i opuszczałam głowę, gdy szliśmy przez tłum. Klienci rozstępowali się z jowialnymi przekleństwami, nie poświęcając nam większej uwagi. Brali mnie za kokotę z nabrzeża, wynajętą na spółkę przez Kazana i jego ludzi. Choć raz byłam rada z takiej pomyłki.

Kazan zajął stół w najdalszym, najciemniejszym kącie, usuwając śpiącego pijaka, który nie

zgłosił sprzeciwu. Rozlokowaliśmy się na ławach, a Uszak poszedł kupić dzban

wina. Pieczołowicie przeliczył serenissimskie monety, które dał mu Kazan, żeby karczmarz go nie oszukał.

–Ale paskudztwo! – zawołał Tormos i z sykiem wciągnął powietrze, gdy posmakował trunku. – W Dobreku robimy lepsze. A ja myślałem, że w Serenissimie pijają ambrozię.

–Dlatego że jesteś idiotą – powiedział szybko jego brat Stajeo. – Pani Fedro... będziemy pić podłe wino i grać w kości przez cały dzień, jeśli chcesz, ale po co tu przyszliśmy? Myślałem, że mamy zabijać Serenissimczyków, żeby ocalić twoją królową! Czy ten... D'Angelin... – wymówił słowo z pogardą, która dotąd była mi oszczędzona – może zrobić coś, czego my nie możemy?

Wokół rozległy się gderliwe zapytania i nawet Kazan uniósł brwi, patrząc na mnie. Choć sam nie zapytał, na pewno się zastanawiał.

–Nie wiem – odparłam szczerze. – Szczerze mówiąc... być może nic. Ale z nim będzie nas nie siedmioro, lecz ośmioro, a może dziewięcioro, jeśli Elua mi sprzyja i mój kawaler Ti-Filip żyje.

–Dziewięcioro umrze wolniej niż siedmioro – powiedział Kazan. – Ale niewiele wolniej.

–Może być różnie. – Zaczerpnęłam tchu. – Joscelin Verreuil został w wieku dziesięciu lat przyjęty do Bractwa Kasjelitów, gdzie uczono go walki w obronie potomków Elui i jego Towarzyszy. Kazanie, ty i twoi ludzie jesteście nieustraszonymi wojownikami, sama to widziałam, ale udaremnienie podstępного zamachu... Joscelin szkolił się przez całe życie. Jeśli tylko można coś zrobić, on tego dokona.

Ilirowie podśmiewali się i pokpiwali – nigdy nie stawiali czoła D'Angelinom w bitwie, a co dopiero kasjelicie – ale na twarzy Kazana malowała się zaduma.

–Czy przypadkiem twoja królowa nie ma już na usługach takich strażników?

–Ma – przyznałam. – Co najmniej dwóch, może więcej w czasie progressus. Ale jeśli coś się stanie, nie będą szukać zdrajcy w siedzibie księcia Benedykta. – Zaśmiałam się głucho, wspominając niezachwianą niegdyś wierność Joscelina przysiędze. – Tak, są kasjelitami, będą chronić osobę z rodu Courcel do śmierci.

–I śmierć przyjdzie – mruknął Kazan. Dzban z winem przeszedł z rąk do rąk. Ilirowie rzucili kości, żeby zobaczyć, kto zapłaci za drugą kolejkę. Padło na Epafrasa, który zrobił to, krzywiąc się. Kazan, nie zwracając na nich uwagi, musnął palcami pasmo moich włosów. – Ty chyba nie boisz się śmierci – powiedział cicho w caerdicci. – Ale myślę, że boisz się umrzeć, nie ujrawszy wprzód tego... tego Joscelina Verreuil.

–Powiedziałam ci prawdę.

Uśmiechnął się krzywo.

–A ja uwierzyłem, hę? Chciałbym poznać człowieka, który w pojedynkę napadł na czarną wyspę. Stałem z tobą na statku, tak, widziałem pustą wieżę i przecięty most. Inni nie śmieli patrzeć, ale ja spojrzałem. A jednak... twój głos łagodnieje, gdy wypowiadasz jego imię. Myślę,

że go kochasz.

–Tak. – Byłam mu winna prawdę. – Kocham go.

Kazan pokiwał głową.

–No to zobaczymy. Jeśli przyjdzie, tym lepiej dla nas. A jeśli nie?

Obróciłam w rękach gliniany kubek z winem.

–Jeśli nie przyjdzie, udamy się do wielmożnego Ricciarda Stregazza i będziemy błagać o pomoc. To zaalarmuje straż doży i zapewne będą nas ścigać, ale może Ricciardo zdoła podburzyć inne Scholae, żeby odeprzeć atak Marka.

–Dobrze – powiedział ożywionym głosem Kazan. – To już coś, i przy okazji zginie paru Serenissimczyków. Lepiej walczyć niż się poddać.

Nie odpowiedziałam. Nie mogłam przestać myśleć, że większość Serenissimczyków tylko wykonuje rozkazy, wiedząc o machinacjach Stregazza nie więcej niż niemowlę. Myśl o ich śmierci nie sprawiała mi przyjemności. W jaskini thetalos wina spadłaby na moją głowę.

Czas mijał, osuszono kolejny dzban wina; Stajeo i Uszak poszli zwolnić Oltukha i Volosa, którzy pilnowali gondoli. Dwaj piraci zameldowali, że tylko kilka stopni dzieli słońce od południa, i zasiedli do gry w kości. Już pogrążałam się w rozpacz, kiedy do tawerny wszedł Jezuita.

Był sam, co odróżniało go od innych klientów, i przeszukiwał wzrokiem tłum. Z początku nie rozpoznałam w nim Jezuity, bo nie nosił żółtej czapki i miał obcięte pejsy. Woleliśmy nie ryzykować, więc kiedy jego spojrzenie zatrzymało się na naszym stole, Kazan z rubasznym śmiechem wciągnął mnie na kolana, udając, że rzeczywiście jestem kokotą wynajętą dla jego przyjemności.

To zwiodłoby powierzchownego obserwatora, ale ten młody człowiek nie dał się omamić. Podszedł do stołu i zapytał w habiru:

–Czy ty jesteś podopieczną apostaty?

Volos skoczył na równe nogi i wyciągnął sztylet, przykładając szpic do gardła Jeszuity.

–Puść go – poleciłam po iliryjsku, a potem w caerdicci, żeby Kazan też zrozumiał, oznajmiłam: – Jestem Wybranką Kusziela i służącą Naamy, a Joscelin Verreuil przysiągł mnie chronić. Czy wątpisz w to? – Zdjęłam kaptur i Jeszuita gwałtownie wciągnął powietrze.

–Nie – odrzekł krótko i ukłonił się, w kasjelickim stylu krzyżując przedramiona, na których dostrzegłam skórzane zarękawia. – A czy ty masz wątpliwości, kto mnie przysłał?

–Nie. – Serce zakolało mi w piersi. Kazan lekko objął mnie w talii. – Jest tutaj?

–Nie. – Młody Jeszuita pokręcił głową. Mówił z lekkim obcym akcentem. Nie zwracał najmniejszej uwagi na broń Volosa przy swej szyi. – Jestem Mikah ben Ximon. Przysłał mnie, żebym cię do niego zaprowadził.

Wstałam, Kazan opuścił ręce.

–Prowadź.

SIEDEMDZIESIĄT

Gdy wychodziliśmy z Gospody Siedmiu Nieznajomych, wybuchła kłótnia; Tormos trącił łokciem wysokiego Umajjata, który trzymał kufel piwa, i domyśliłam się, że zrobił to umyślnie. Najpierw wymieniono obelgi, potem poszły w ruch pięści i padło kilka ciosów. Kazan wyprowadził mnie bez zwracania niczyjej uwagi, idąc za Mikahem ben Ximonem, a Tormos dopędził nas na zewnątrz, radośnie szczerząc zęby.

Klienci gospody mogli pamiętać wyjście kilku kłótliwych Ilirów, ale nie zapamiętali D'Angeliny ani samotnego Jezuita.

Mikah miał łódkę, która wyglądała gorzej od naszej gondoli. Kazan zdecydował, że my dwoje i Oltukh popłyniemy z Jezuita, a pozostali w gondoli pod komendą Tormosa. Stajeo wpadł w złość, bo miał słuchać rozkazów brata. Jezuita robił wielkie oczy, patrząc na wadzących się Ilirów. Był młodszy, niż osądziłam w tawernie, miał nie więcej niż siedemnaście, osiemnaście lat.

–Idziemy – powiedziałam. – Dojdą do porozumienia i pospieszą za nami.

Jezuita spojrział na Kazana, który skinął głową. Oltukh usadowił się na ławce przy Mikahu i łódź wypłynęła szybko na środek kanału, gdy razem pociągali wiosłami. Niedługo później gondola ruszyła za nami, ale wciąż słyszeliśmy podniesione w sprzeczce iliryskie głosy.

Kazan uśmiechał się szeroko.

La Serenissima leży na wyspach, mniejszych i większych, wydartych morzu, połączonych mostami i drogami wodnymi. Mikah ben Ximon prowadził nas do jednej z leżących na uboczu, niewielkiego garbu po-rośniętego sosnami, których splecione korzenie utrudniały dobiecie do brzegu. Tu i ówdzie brzeg został oczyszczony, ale prace z jakiegoś powodu przerwano.

Mężczyźni wyciągnęli łodzie na brzeg i ukryli je pod kępami brązowiejących paproci, a potem ruszyliśmy przez pas wypalonego lasu. Korzenie sterczące z popiołów zahaczały o rąbek mojej spódnicy. Choć nie było widać ścieżki, Mikah wszedł śmiało w sosnowy zagajnik, jakby dobrze znał drogę. Wytrwale kroczyłam za nim, a Kazan po drodze dawał sygnały swoim ludziom, każąc im utworzyć tyralierę. Teren był dość znajomy, podobny do wzgórz Dobreku, ale mimo to zerkali czujnie na boki, wypatrując Leskii.

Ja tym razem nie wypatrywałam leśnych duchów. Wypatrywałam Joscelina.

Sosnowy las zamknął się wokół nas, ciemnozielony i odstraszający. Mikah prowadził pewnie, sosnowe igliwie szeleściło pod jego nogami. Zgrzana i spocona z

wysiłku, ściągnęłam kaptur wełnianego płaszcza, wystawiając twarz na chłodne podmuchy. Spojrzałam na Kazana, który poruszył mieczem w pochwie, pokazując zęby w bojowym uśmiechu. Gdy otworzyła się przed nami leśna polana, opadły mnie złe przecucia. Podałam rabbiemu swoje nazwisko. Gdyby Jeszuici postanowili mnie zdradzić, byłoby to nietrudne i z pewnością opłacalne.

Mikah zatrzymał się, a ja z Kazanem stanęliśmy obok niego. Na prawo i na lewo od nas z lasu wyszli pozostali Ilirowie, kilku z mieczami w dłoniach. Pośrodku polany stało w luźnym szeregu około dziesięciu ludzi uzbrojonych w miecze. Dwóch miało kusze.

Moje serce waliło jak młotem.

Zrobiłam krok do przodu. Ich przywódca zrobił krok do przodu.

Nosił gruby przyodziewek, tak jak pozostali. Jego spleciona czupryna miała dziwny kolor, ale dostrzegłam błyski stali na rękach i rękojeści miecza, sterczącej nad lewym ramieniem. Poznałabym go wszędzie.

–Fedra?

Ten głos. Głos Joscelina, z niewiarą wypowiadający moje imię... Łzy zakręciły mi się w oczach, nadzieje, wbrew wszystkiemu, wcale nie były złudne. Zrobiłam drugi krok, potem jeszcze jeden, chciałam wykrzyknąć jego imię, ale głos mi się załamał i uwiązł w gardle, a wtedy on ruszył biegiem, stanął przede mną i objął mnie mocno, prawdziwy i żywy, i podniósł mnie, a ja z patrzyłam w jego pełne niedowierzania oczy. Śmiejąc się i płacząc jednocześnie, ujęłam w dłonie jego twarz i całą obsypałam pocałunkami.

–Joscelinie, Joscelinie! – Mój głos rwał się z radości. Postawił mnie na ziemi, wczepił ręce w moje włosy i przyciągnął do siebie.

–Już nigdy więcej, nigdy, nigdy, przenigdy, Fedro – mruzczał, przerywając słowa gorączkowymi pocałunkami – na Błogosławionego Eluę, przysięgam, nigdy cię nie zostawię, weź sobie tysiąc klientów, jeśli chcesz, weź dziesięć tysięcy, wyjdź za Severia Stregazza, nie dbam o to, ale nigdy cię nie zostawię!

Uniosłam głowę, a wówczas mnie pocałował, długo i mocno, aż pożądanie i miłość przeszły moje serce jak sztylet, a świat zawirował dziko. Musiałam przytrzymać się jego kaftana, bo ledwo stałam na nogach.

Popatrzyliśmy na siebie.

–Żyjesz – szepnął Joscelin ze zdumieniem w błękitnych jak niebo oczach.

–Jesteś... twoje włosy! – zawołałam jak idiotka, podnosząc rękę, żeby dotknąć ciemnobrązowych pasm przemieszanych z popielatoszarymi. – Co zrobiłeś z włosami?

–Farba ze skorup orzechów – wyjaśnił ktoś inny po d'Angelińsku. Głos był słaby, ale znajomy. – Z czasem się zmyje. – Obróciłam się w ramionach Joscelina, szukając mówiącego: Ti-Filip uśmiechnął się do mnie, jego chuda, wymizerowana twarz promieniała pod podobnie wystrzępioną, ciemnobrązową strzechą włosów.

–Filip! – zarzuciłam mu rękę na szyję, pocałowałam go w policzek.

Uścisnął mnie mocno i zobaczyłam łzy w jego oczach, kiedy mnie puścił.

–Myśleliśmy, że nie żyjesz, pani – powiedział cicho. – Joscelin widział, jak spadłaś z urwiska.

–Nie umarłam. – Uśmiechnęłam się przez łzy. – Nie całkiem, jeszcze nie. – Z trudem przełknęłam ślinę i dodałam: – Fortun i Remy... Fortun i Remy nie żyją.

–Wiemy – powiedział Joscelin cicho. – Fedro, kim są ci ludzie?

Cofnął się o krok, jego skrzyżowane ręce zawisły nad sztyletami. Wycierając oczy, zobaczyłam, że Ilirowie podeszli do mnie, podczas gdy inni – Jeszuici, młodzi mężczyźni i jedna kobieta – ustawili się za Joscelinem. Zdałam sobie sprawę, że rozmawialiśmy po d'Angelińsku, i żadna ze stron nie wiedziała, co się dzieje.

–Przyjaciele, wszyscy – powiedziałam w caerdicci i powtórzyłam po iliryjsku ludziom Kazana. – Przyjaciele. – Popatrzyłam na Joscelina. Serce mi pękało na widok jego umiłowanej twarzy. – Joscelinie Verreuil, to Kazan Atrabiades. Zawdzięczam mu życie.

Zmierzyli się wzrokiem, równi wzrostem, różniący się wiekiem: Atrabiades był starszy o jakieś dziesięć lat. Nigdy się nie dowiedziałam, co zaszło w czasie tej milczącej wymiany. Kazan przerwał ją, uśmiechając się szeroko.

–A ja zawdzięczam jej moje. Słyszałam o tobie, D'Angelinie! Musisz być godnym swojej reputacji.

Joscelin uklonił się i skrzyżowane zarękawia błysnęły w jesiennym słońcu. Wyprostował się z krzywym, znajomym uśmiechem, a moje serce zaśpiewało na ten widok.

–Skoro Fedra nó Delaunay zawdzięcza ci życie, panie, ja zawdzięczam ci powód do życia. Zostańmy przyjaciółmi.

Tak oto spotkaliśmy się, Ilirowie, Jeszuici i D'Angelinowie, i zadzierzgnęliśmy węzły przyjaźni. Z miejsca spotkania na polanie poszliśmy do ukrytego obozowiska Joscelina, skupiska namiotów i szałasów, gdzie usiedliśmy, żeby się naradzić.

Mówiliśmy szybko i na zmiany, głosy i języki nakładały się i mieszały. Opowieść o wszystkim, co się wydarzyło, zabrałaby niemal tyle czasu, ile trwały rzeczywiste wydarzenia, dlatego tylko pokrótce wspomniałam, co mnie spotkało po upadku z urwisk La Dolorosy, na inny dzień zostawiając większość szczegółów pobytu na Kriti. Joscelin i Ti-Filip opowiedzieli, co robili w tym czasie.

Z wieloma przerywnikami, kawałek po kawałku, złożyłam ich dzieje. Kiedy strażnicy Benedykta wdarli się do naszego wynajętego domu nad kanałem, Ti-Filip rozpoznał dwóch weteranów z Troyes-le-Mont, których zaledwie parę dni wcześniej spotkaliśmy w koszarach Małego Dworu. Świadom tragicznego końca Fanuela Buonarda, bez wahania skoczył z balkonu do kanału i uciekł. Przemoczony, wymiotujący i już wstrząsany przez febrę, dotarł do dzielnicy Jeszuitów, gdzie, jak wiedział, Joscelin szkolił młodzież w używaniu broni. Szczęście, że moi kawalerowie byli dość podejrzliwi, żeby go szpiegować. Niestety, Marco Stregazza miał rację co do zarazy. Ti-Filip chorował przez dwa tygodnie, ale w końcu powrócił do zdrowia.

–A ja omal nie zachorowałam na serce – powiedział Joscelin ponuro – myśląc o tym, co się wydarzyło. Nie śmieliśmy zbliżyć się do Małego Dworu ani do pałacu, bo strażnicy nas szukali,

ale chwała Elui nie pomyśleli o przetrząśnięciu dzielnicy Jeszuitów.

–Jakim cudem mnie znalazłeś? – zapytałam ze zdumieniem.

–My znaleźliśmy – powiedział Mikah cichym głosem. – Przeczesywaliśmy miasto, służąc Joscelinowi za oczy i uszy. Trwało ro długo, bo baliśmy się wzbudzić podejrzenia. Kilku z nas chodziło za strażnikami, którzy szukali D'Angelinów. Ludzie mówili o tym, nawet z Jeszuitami. Nietrudno było puścić w obieg plotkę, że d'Angelińska szlachcianka została porwana przez dwóch swoich rodaków. Ludzie chętnie mówili o tym, co widzieli.

–Ale nikt niczego nie widział – powiedziałam. – No bo jak?

Mikah uśmiechnął się.

–Jeden widział. Polował na gęsi po drugiej stronie laguny i schował się, kiedy zobaczył, jak do brzegu dobija statek, z którego wysiedli d'Angelińscy żołnierze i kobieta w kapturze, potykająca się, z perłami na szyi.

Zapomniałam o darze doży. To wystarczyło, żeby przekonać Joscelina i Ti-Filipa. Z pomocą Mikaha i trzech innych przebyli lagunę, ukryci na dnie łodzi, i podjęli mój

trop na łądzie. Ludzie Benedykta zachowywali ostrożność, ale strażnicy La Dolorosy byli mniej dyskretni. Pszczelarz, który sprzedawał miód do garnizonu, słyszał pogłoskę o moim istnieniu. Z bólem wspomniałam Tita, jak oblizywał palce, likwidując dowody swojej życzliwości.

Okazało się, że Joscelin nie zaatakował La Dolorosy sam. Ti-Filip i czterej Jeszuici – błagali, żeby ich zabrał, chcąc wypróbować broń i nowo nabyte umiejętności – zabezpieczyli strażnicę i drogę ucieczki. Ich starania poszły na marne, kiedy spadłam z urwiska. Po bezowocnych poszukiwaniach wrócili do La Serenissimy, przebrali się w obszarpane ubrania i postanowili czekać na przybycie Ysandry.

–Nie wiedziałem co robić – przyznał Joscelin ze znużeniem w głosie, mierzwiąc potargane włosy. – Może powrót do miasta był błędem, bo odkąd zaczęły się zamieszki, trudno się stąd wydostać. Ale gdybyśmy opuścili La Serenissimę i minęli się z Ysandra, moglibyśmy ścigać progressus przez połowę Caerdicca Unitas... – Pokręcił głową. – Wiedzieliśmy, że Ysandra ma tu przybyć. Gdyby nie twoja wiadomość, byłibyśmy teraz w drodze do Małego Dworu. To ryzykowne, ale wciąż mamy szansę. Nie wiem, ilu strażników zdradziło, ale ludzie de Somerville'a nie ośmielą się wystąpić otwarcie, gdy na miejscu będzie orszak królowej. Jeśli powstrzymam ich na czas dostatecznie długi... może Ti-Filip zdoła dotrzeć do Ysandry z wieścią o zdradzie de Somerville'a. Nie śmiałem próbować, gdy w Małym Dworze był tylko książę Benedykt, ale Ysandra będzie wiedziała, od kogo pochodzi wiadomość.

Patrzyłam na niego, zszokowana. Żyłam z tą wiedzą tak długo, że o niej zapomniałam, zaczynając opowieść od środka, od La Dolorosy.

–Ty nie wiesz – szepnęłam. – Och, Joscelinie! Błogosławiony Eluo, miej łaskę...

–O czym? – zapytał ze ściągniętymi brwiami. – O co chodzi?

Dziki śmiech wyrwał się z mojego gardła i przycisnęłam ręce do twarzy.

–Melisanda – szepnęłam. – To ją poślubił książę Benedykt. Melisanda Szachrizaj.

–Co takiego? – zapytał Joscelin wysokim, wyteżonym głosem, a twarz Ti-Filipa zrobiła się biała jak kreda. Ilirowie i Jeszuici patrzyli bez śladu zrozumienia, nie orientując się w naszej polityce.

–Tak – powiedziałam krótko. – Właśnie ją spotkałam na audiencji w Małym Dworze. Pobożną żonę Benedykta de la Courcel, która uciekła z ojczyzny, by znaleźć schronienie w świątyni Aszery.

–Czy on wie? – zapytał Joscelin takim tonem, jakby zaraz miał się rozchorować. – Przecież nie...

–Wie. – Patrzyłam na niego ze współczuciem, wspominając własny koszmar. – Joscelinie, rozkazał zabić Remy'ego i Fortuna. Chce, żeby na d'Angelińskim tronie zasiadł dziedzic czystej krwi. Melisanda mogła mu to zapewnić... wraz ze wsparciem dowódcy wojsk królewskich i jego armii. Zrobiła jedno i drugie. Benedykt wie o wszystkim.

Ti-Filip zaczął kłać miarowo i metodycznie. Joscelin podniósł się i krążył niestrudzenie po obozowisku, niezdolny pohamować furii.

–Myśleliśmy, że zabrali cię wartownicy z Troyes-le-Mont – powiedział. – Myśleliśmy, że wezwanie na audiencję w Małym Dworze było podstępem, którego Benedykt nie był świadom. Eluo! Fedro, czy wiesz, ile razy nosiłem się z myślą, żeby dotrzeć do księcia Benedykta? Gdybym nie postanowił czekać na przybycie królowej... – Urwał i nagle go olśniło. – Chcą ją zabić, prawda?

–Tak.

–Czy wiesz gdzie, kiedy i jak?

–Chyba wiem. – Przełknęłam ślinę. Jeśli się myliłam... – Przynajmniej gdzie i kiedy. W świątyni Aszery, na ceremonii inwestytury. Zamieszki zostaną sztucznie wywołane. – Pokręciłam głową. – Poznałam Ricciarda Stregazza, Joscelinie. On za tym nie stoi, dam sobie głowę uciąć. Do zamachu dojdzie w miejscu publicznym, żeby świat zobaczył, że ani Benedykt, ani Melisanda, ani Marco Stregazza nie brali w tym udziału. Świątynia idealnie się do tego nadaje i mają tam sprzymierzeńców. Doża ustępuje z urzędu za sprawą fałszywego proroctwa.

–Poza tym kapłanki udzieliły azylu Meisandzie – dodał Joscelin ponuro.

–O ile mi wiadomo, w tym nie było żadnego oszukaństwa. To Maria Celestyna Stregazza przekupiła kogoś w świątyni. Przysięgłam Aszerze z Morza, że oczyszczę jej kult z zepsucia. Do zamachu dojdzie w świątyni, Joscelinie. Jutro.

Usiadł i złapał się za głowę.

–Więc tam się udamy, hę? – Ciszę zmącił głos Kazana, radosny i pełen zapału. Leżąc swobodnie, wsparty na łokciu, powiódł wzrokiem po twarzach obecnych. – Może zginąć siedmiu ludzi, możliwe, że ośmiu lub dziewięciu, tak, ale nas jest prawie dwudziestu. Widziałem świątynię ze statku. Dwudziestu ludzi powinno wystarczyć, żeby opanować wejście i utrzymać je

przez jakiś czas.

–Nie – powiedział Joscelin. – Nie Jeszuici.

–Joscelinie – zaprotestował Mikah i paru innych. – Ryzykowałeś głowę, żeby nam pomóc, kiedy nie mogliśmy dać ci niczego w zamian. Nie tobie mówić, jak mamy się odwdzięczyć.

–Zrobiliście aż nadto. – Joscelin uniósł głowę. – Nie, Mikahu. To coś innego niż walka z najętymi strażnikami. Szanse są małe, bardzo małe, i nie ma drogi ucieczki. To niemal pewna śmierć.

–Śmierć wojownika, tak – wtrącił Kazan z nadzieją.

Mikah pokraśniał.

–Czy nie wyszkoliłeś nas na wojowników? – zapytał z goryczą. – Jeśli tak, traktuj nas jak równych i poprowadź do boju.

–Wyszkoliłem was, żebyście mogli wypełnić proroctwo i poprowadzić swój lud na północ – odparł Joscelin łagodnym tonem. Nie po to, żebyście polegli w obronie mojej królowej.

–Ilirom pozwolisz walczyć – zawołał z gniewem inny młodzieniec.

Poparzyłam na Kazana, zastanawiając się, jak to przyjmie. Na szczęście był rozbawiony sugestią, że to D'Angelin decyduje, gdzie i kiedy wolno mu się bić. Wszyscy Ilirowie – nawet Uszak, który jeszcze niedawno wydawał się taki młody – w porównaniu z Jeszuitami wyglądali jak doświadczeni weterani. Słuchałam, jak Joscelin obalał ich argumenty, i miałam nadzieję, że wreszcie otworzą uszy na głos rozsądku.

W środku dysputy wystąpiła młoda kobieta ze ściągniętymi brwiami.

–Joscelinie – powiedziała z lekkim akcentem habitu. – A jeśli będzie tak jak w tamtej strażnicy?

SIEDMDZIESIĄT JEDEN

Nie można powiedzieć, kiedy bogowie wtrącają się w sprawy śmiertelników ani w jakim celu to czynią, ale nie ulega wątpliwości, że czasem to robią. Choć w odróżnieniu od Albijek czy Dalriadek Jeszuitki nie walczą wraz z mężczyznami, Sara pochodziła w rodziny słynącej z kobiet obdarzonych silną wolą.

Postanowiła nauczyć się sztuki obrony, żeby móc u boku ukochanego Mikaha ben Ximona wyruszyć na północ i wypełnić proroctwo. W ten sposób zerwała więzi ze swoją równie upartą matką, która upatrzyła dla niej innego mężczyznę na męża.

Sara nie była pierwszą kobietą w rodzinie, która sprzeciwiła się woli rodziców.

–Moja stryjeczna prababka Onit – zaczęła trochę zawstydzona, przemawiając do liczego grona słuchaczy – uciekła, żeby uniknąć małżeństwa z grubym handlarzem starzyzną, i wstąpiła do świątyni Aszery z Morza. W podeszłym wieku wróciła, żeby umrzeć w domu. Nam, dzieciom, nie wolno było z nią rozmawiać, żeby nas nie zepsuła, ale mimo to zakradaliśmy się do jej pokoju, by słuchać opowieści o strasznej bogini Aszerze. – Powiodła wzrokiem dokoła i odchrząknęła. – W świątyni jest balkon, na którym dwa razy w roku staje Wyrocznia i wygłasza proroctwa całemu miastu, patrząc na ołtarz i ludzi zgromadzonych w dole. Onit powiedziała nam, jak to się odbywa: komora ech wzmacnia jej głos, a brązowa płyta nadaje mu metaliczne brzmienie. Śmieliśmy się na myśl, że bogini potrzebuje takich sztuczek. Za balkonem jest tajemne przejście, więc wierni mają wrażenie, że Wyrocznia znika. Korytarz prowadzi do tunelu pod kanałami.

Zapadła cisza, gdy rozważaliśmy informacje. Słysząc było tylko cichy głos Kazana, który tłumaczył słowa Sary swoim ludziom.

–Dokąd prowadzi tunel? – zapytał Joscelin.

Sara odgarnęła włosy z twarzy i z namysłem ściągnęła brwi.

–Do spichrza, w którym zimą przechowuje się olej, suszone owoce i inne takie rzeczy. Po wyjściu wiernych ze świątyni Wyrocznia wraca i schodzi po schodach. O przejściu wiedzą tylko kapłanki i świątynni eunuchowie. Będzie słabo strzeżone, jeśli w ogóle.

–Joscelinie.

Popatrzył na mnie.

–Nie. O nie.

–Może się udać.

–W świątyni – zaczął powoli – pękającej w szwach od popleczników Benedykta i Marka Stregazza, z prawdopodobieństwem wybuchu zamieszek?

Wzruszyłam ramionami.

–Jest droga ucieczki, a poza tym w świątyni będzie mnóstwo ludzi, którzy ich nie popierają, łącznie z Cesare Stregazza, praktycznie nadal będącym dożą.

–Nie wiesz, jak zamierzają zabić Ysandrę?

–Nie. – Pokręciłam głową, z żalem wspominając słowa Melisandy. Zapytałam. „Dość już wiesz”. – Prawdopodobnie zamachowcem będzie uczestnik zamieszek. Spiskowcy spróbują zrzucić winę na Ricciarda i pozbyć się go na dobre. Jestem pewna, że znajdą się osoby, które to poświadczą. To nie ma znaczenia, Joscelinie. Jeśli tam pójdziemy, będziemy mieli szansę zapobiec zamachowi. Jeśli nie, Ysandra umrze.

–To dobry plan, D'Angelino – przyznał Kazan. – Lepszy niż szturmowanie drzwi, hę? Jeśli zginiemy... – uśmiechnął się szeroko – wielu Serenissimczyków umrze razem z nami.

–Podoba mu się ten pomysł, prawda? – zapytał mnie Joscelin, a potem zwrócił się do Sary: – Zgoda. Wiesz, gdzie jest ten spichrz?

–Tak. – Jej głos zdradzał napięcie, twarz miała bladą i zdeterminowaną. – Pokażę ci... jeśli zabierzesz nas, żebyśmy mogli walczyć u twojego boku.

Joscelin zaklął i szarpnął zmierzwione włosy.

–Powiedziałem, że nie!

–Decyzja nie należy do ciebie, apostato – powiedział Mikah zimno. – Tylko do nas.

Joscelin już otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Ti-Filip mu przeszkodził.

–Joscelinie, on ma rację, my nie możemy o tym decydować. Niech idą, jeśli chcą, i słuchają rozkazów. Mogą obsadzić tunel i osłaniać naszą ucieczkę. Ryzyko nie jest większe niż w La Dolorosie i... – popatrzył na Mikaha – przypuszczam, że jeśli zakążesz im pójść z nami, to znajdziesz ich na Placu. W ten sposób przynajmniej nikt ich nie zobaczy i nie aresztuje za sprzeczne z prawem noszenie broni.

W końcu na tym stanęło. Kiedy wszystko zostało uzgodnione, Sara i Ti-Filip poszli obejrzeć spichlerz. Ryzyko było duże, bo budynek stał niedaleko Wielkiego Kanału,

który miał być pilnie strzeżony, ale musiałam przyznać, że Ti-Filip – wymizerowany, w prostym przyodziewku i szerokim wieśniaczym kapeluszu na farbowanych, przyciętych włosach – wcale nie był do siebie podobny\ Co do Sary, nikt nie podejrzewał Jezuitorów.

Jeśli coś się zdarzy, pomyślałam, to tylko tyle, że zostaną zawróceni i będą musieli iść okrężną drogą. Poza tym Ysandra z pewnością już przybyła do miasta, więc sieć ochrony zacieśni się wokół Małego Dworu. Mimo wszystko niepokoiłam się do czasu ich powrotu.

Kazan i jego ludzie budowali pochyły daszek osłaniający od wiatru, ponieważ wyglądało na to, że nie mamy innego wyboru, jak zostać na tej bezimiennej wyspie przynajmniej do późnej nocy. Jeszuici im pomagali, a ja siedziałam z Joscelinem. Mieliśmy sobie tyle do powiedzenia i tak mało czasu.

–Przepraszam – mruknął w końcu. – Za wszystko.

–Nie. – Ujęłam jego rękę. – Ja przepraszam. Zraniłam cię swoim postępowaniem i źle osądziłam w myślach. Popychałam cię do okrucieństwa, wystawiałam twoją cierpliwość na próbę i z zadowoleniem patrzyłam, jak pękasz. Joscelinie, wina leży po mojej stronie.

–Dałam ci powody – powiedział cierpko. – Fedro, zakochałem się w tobie, wiedząc kim jesteś, i walczyłem z tą miłością. Kiedy powiedziałaś, że wracasz do służby Naamie, pomyślałem, że dłużej już nie wytrzymam. Kiedy zaczęłaś spędzać czas z Severiem, byłem pewien, że pęknie mi serce. A kiedy zniknęłaś, uświadomiłem sobie, że nie miałem pojęcia, ile jeszcze mógłbym znieść. – Patrząc na srebrny naszyjnik chai, uwolnił rękę i gwałtownym ruchem zerwał cienki łańcuszek. – Jeszuici będą musieli jeszcze trochę zaczekać, zanim Kasjel Apostata skłoni głowę przed tronem Masziacha – dodał, trzymając w dłoni wisiorek. – Kapłan Elui powiedział prawdę. Wybrałem ścieżkę Towarzysza.

Zamknęłam palce Joscelina na medalionie i pocałowałam jego rękę.

–Zachowaj go. Zrobiłeś dla nich wszystko co mogłeś. Dzięki tobie przetrwają.

–Gdybym mógł chronić ich dłużej... – Musnął czubkami palców moje włosy. – Myślałem, że cię utraciłem, naprawdę.

–A ja myślałam, że naprawdę jestem zgubiona. Ale znowu jesteśmy razem.

–Przynajmniej do jutra. – Joscelin uśmiechnął się leciutko. – Czy jest jakaś szansa, że dasz się przekonać i nie pójdziesz z nami?

Pokręciłam głową.

–Nie. Ostatecznie ja to zaczęłam, i zbyt wiele razy spoglądałam śmierci i szaleństwu w oczy, żeby nie zobaczyć końca.

–Tak przypuszczałem. – Popatrzył na nasze połączone dłonie. – Jak myślisz, dożyjemy, żeby zobaczyć koniec?

–Jest szansa. Jeśli zdołamy choć trochę zmniejszyć poparcie dla księcia Benedykta, Marco Stregazza odsunie się od niego. Jeśli dostrzeże niebezpieczeństwo i szansę na uratowanie własnej skóry, na pewno z niej skorzysta. – Drgnęłam lekko. – Joscelinie, czy któryś z twoich Jeszuitów mógłby zanieść wiadomość do Ricciarda Stregazza? Przebywa w areszcie domowym, ale jeśli Scholae – te, które nie siedzą w kieszeni Marka – wciąż są mu wierne, mogą stawić odpór zamieszkom.

–Jeśli jest strzeżony, wizyta posłańca może wzbudzić podejrzenia – powiedział z zadumą.

–A jego żona? – Wspomniałam Allegrę Stregazza siedzącą przy biurku w uroczej bibliotece, piszącą dla mnie list polecający. Dzięki niej dostałam się do Małego Dworu, gdzie spacerowałam po Ogrodzie Królowej z madame Felicity d'Arbos, podziwiając zawoalowaną żonę księcia Benedykta z dzieckiem w ramionach. – W La Serenissime uchodzi za ekscentryczkę, bo umie czytać i pisać. Czy to wyglądałoby podejrzenie, gdyby młody jezuicki uczonec dostarczył jej zwój?

–Chyba nie – odparł Joscelin, uśmiechając się mimowolnie. – Pomysły sypią się z twojej głowy jak mąka z siovaleńskiego wiatraka.

–Idzie mi lepiej, kiedy jestem z tobą – przyznałam. – Macie pióro i papier na tej zapomnianej wyspie?

–Znajdzie się. – Wstał. – Uczony Teppo na pewno zabrał materiały... aha, zaczekaj. Mam papier. – Zniknął w jednym z namiotów i po chwili wyłonił się z pakiecikiem owiniętym w ceratę. – Gdy Ti-Filip zjawił się ze swoją opowieścią, poszedłem do Mafeo Bardoni, agenta twojego faktora. Pomyślałem, że jeśli przypadkiem zostawiłaś tam wiadomość, to będzie lepiej, jeśli zjawię się u niego przed kimkolwiek innym. – Dostałaś list z kraju. Eugenia przysłała go na adres agenta, bo nie знаła innego. Zajrzałem – dodał, gdy zaczęłam otwierać list. – Ale to nie miało nic wspólnego z twoim zniknięciem.

Był to list od Micheliny de Parnasse, królewskiej archiwistki. Wreszcie doczekała się odpowiedzi od prefekta Bractwa Kasjelitów, niejakiego lorda Calvala, który objął stanowisko po śmierci schorowanego lorda Rinforte. Wierna złożonej dawno temu obietnicy, przesała mi informacje, które zostały usunięte z księgi w archiwum królewskim.

–Czytałeś? – zapytałam Joscelina.

Skinął głową.

–Tyle samo dowiedziała się Thelesis de Mornay. – Wzruszył ramionami i dodał lakonicznie: – Ja też pisałem, wiesz. Lord Calyal nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

–Bractwo Kasjelitów nie wyklęło królewskiej archiwistki – odparłam z roztargnieniem. – Ciebie tak. Joscelinie, ta lista różni się od tej, którą sporządziła Thelesis.

–Tak? – Przykucnął, by spojrzeć nad moim ramieniem. – Czym?

Mój pan Delaunay wymyślał Alcuinowi i mnie różne zadania, które służyły ćwiczeniu spostrzegawczości i pamięci, wypytując nas niespodziewanie o z pozoru niewinne rzeczy. Zwracanie uwagi na szczegóły stało się moim nawykiem. Przejrzałam całą listę i natknęłam się na nazwisko, które zmroziło mi krew w żyłach. Moja ręka zakryła je jakby z własnej woli.

„Czy twoja królowa już nie ma na usługach takich strażników?”.

–Na liście Thelesis widniały tylko takie nazwiska, jakie podali jej sami kasjelici, przybrane nazwiska tych, których adoptował lord Rinforte – wyszeptałam. – Ta lista pochodzi z archiwów prefekta i są na niej pełne nazwiska. W sprofanowanej księdze z archiwum królewskiego musiało być tak samo. Och, Joscelinie! Chyba wiem, jak zamierzają uśmiercić Ysandrę.

Zrozumiał o co mi chodzi. Wyglądał jak człowiek chory.

–Pokaż.

Przesunęłam rękę, odsłaniając nazwisko: Dawid de Rocaille nó Rinforte.

–De Rocaille – powiedział na głos i przełknął ślinę. – Dawid de Rocaille.

–Jesteś Siovaleńczykiem i kasjelita – rzekłam cicho. – Joscelinie, Izabela, matka Ysandry, była odpowiedzialna za śmierć Edmee de Rocaille. Wiem, bo od tego zaczęła się waśń Izabeli i

Delaunaya. Czy Edmee miała brata, który wstąpił do Bractwa?

–Nie wiem. – Przycisnął ręce do oczu. – Nigdy nie interesowała mnie genealogia wielkich rodów Siovale. Wiedziałem, że sam jestem przeznaczony do służby Kasjelowi, to wszystko. Jeśli należał do kasjelitów... Nie wiem. Odszedł, nim zaczęło

się moje szkolenie. Na Eluę! – Opuścił ręce i popatrzył na mnie z udręką w oczach. – Ten żołnierz u Niewybaczonych... powiedział, że właśnie to widział, prawda? Widział brata kasjelitę eskortującego kobietę, którą uznał za Persję Szachrizaj.

–Svariel z UAgnace – mruknęłam. – Fortun to zanotował.

–Dlaczego miałby to robić? – zapytał Joscelin z błyskiem szaleństwa w oczach. – Dlaczego teraz, po tylu latach? Dlaczego miałby mścić się na córce za zbrodnię matki? A jeśli nawet, to przecież jako strażnik Ysandry mógł zrobić to w dowolnej chwili! Dlaczego teraz?

–Nie wiem – powiedziałam łagodnie, chcąc go uspokoić. – Melisanda szantażowała Percy'ego de Somerville. Może on postąpił podobnie z de Rocaille'em, albo może ona to zrobiła. Celowo ukrył swoje nazwisko, co do tego nie ma wątpliwości. Pora odpowiada potrzebom Melisandy, a okoliczności jemu, bo pozostali kasjelici będą skupieni na ochronie Ysandry przed zewnętrznym zagrożeniem. Może czekał na to samo, co ksiązę Benedykt, na prawdziwego d'Angelińskiego dziedzica, nieskażonego krwią L'Enversów. A może jednak się mylę. To tylko domysły.

–Nie – powiedział ze znużeniem. – Wszystkie elementy pasują. To ma sens, Fedro. Zamieszki posłużą odwróceniu uwagi, tak, ale czy zamachowiec z zewnątrz mógłby liczyć na to, że przedrze się przez straż królowej, łącznie z kasjelitami? Ten sposób gwarantuje powodzenie. A Benedykt, Melisanda i Marco... jak mówiłaś, cały świat zobaczy, że mają czyste ręce.

Przekornie sprzeciwiałam się racjom Joscelina, przez wzgląd na niego pragnąc, żebyśmy się mylili.

–To przecież byłoby samobójstwo.

Parsknął śmiechem, przegarniając włosy palcami.

–Tak – przyznał krótko. – Jeśli Dawid de Rocaille nó Rinforte zamierza zabić królową Terre d'Ange, to znaczy, że jest gotowy na śmierć. – Nie miałam nic do powiedzenia, więc tylko klęczałam, obejmując go. Po chwili Joscelin zadrżał i chwycił mnie za ręce. – Jeśli tak jest – szepnął – wyświadczę mu przysługę. Dobrze. Puść mnie, zobaczę, czy Teppo ma pióro i atrament.

Po niedługim czasie przyprowadził młodego, urodziwego Jezuicę o dłoniach pokrytych odciskami i plamami atramentu. Teppo wydukał słowa powitania, kładąc przede mną przybory uczonego: kałamarz, pióro i kilka arkuszy papieru. Szybko skreśliłam list do Allegry: „Pani, z życzliwości pomogłaś mi kiedyś, przedstawiając przyjaciółce matki. Powiem ci w zaufaniu, że Marco Stregazza spiskuje z Benedyktem de la Courcel przeciwko twojemu panu, swojemu bratu Ricciardowi, i podburza Scholae, żeby oczernić jego nazwisko. Powiedz mu, żeby polecił tym

członkom cechów, którzy są mu wierni, by starali się utrzymać porządek na Campo Grandę podczas ceremonii inwestytury, jeśli bowiem tego nie uczyni, zostanie uznany za współwinnego śmierci królowej. Przysięgam, że to prawda”.

Nie podpisałam listu; Allegra Stregazza będzie wiedziała, kto go napisał, a gdyby list został przejęty, będzie mogła wszystkiemu zaprzeczyć. Teppo starannie ukrył pismo pomiędzy dwoma zwiniętymi arkuszami pergaminu i oznajmił, że doręczy je osobiście.

Kolejna krucha barka, pomyślałam, patrząc za nim, gdy kluczył pomiędzy krzakami; kolejny statek nadziei niosący me słowa. Zastanawiałam się, czy moje listy dotarły do Pani Marsilikos i diuka L'Envers i czy adresaci postąpili według moich wskazówek.

Nie miałam wiele czasu na rozmyślania, bo w obozie wybuchło zamieszanie. Błysnęły ostrza, rozległy się krzyki po iliryjsku, w caerdicci i habiru.

–Na Eluę – mruknął Joscelin. – Co się święci?

Domyśliłabym się, gdybym nie miała innych spraw na głowie, że ludzie Kazana poddają próbie Jezuitorów Joscelina. W środku obozu Stajeo i Mikah krążyli dokoła siebie. Tak się dzieje, kiedy nie znający się mężczyźni razem ostrzą broń. Ilir miał puklerz i krótki miecz, ciut za wysoką zasłonę i szeroki uśmiech na twarzy. Mikah ben Ximon, czujny i ostrożny, trzymał dwa sztylety w kasjelicki sposób, nie bez pewnej miarki talentu naśladowując styl Joscelina.

–Kazanie – powiedziałam, westchnąwszy – to głupota.

Podszedł do nas i beztrosko wzruszył ramionami.

–Ty tak mówisz, ale moi ludzie nie chcą bić się ramię w ramię z nie wypróbowanymi chłopcami uzbrojonymi w noże. Jeśli jest coś wart, niech to udowodni, a wszyscy będziemy lepiej walczyć.

–Joscelinie...

–Mikah da sobie radę – odparł z roztargnieniem, obserwując pojedynek. – Jest bardzo dobry, choć późno zaczął się uczyć. Widzisz?

Mikah zamarkował cios lewą ręką, a Stajeo poderwał tarczę, żeby skrajem uderzyć go w bark. Jezuitor obrócił się szybko, przemknął pod puklerzem i przyłożył czubek drugiego sztyletu do brzucha Ilira.

Kazan zagwizdał. Ilirowie śmiali się i klaskali, gdy Stajeo cofnął się z kwaśną miną, unosząc miecz na znak poddania. Mikah złożył kasjelicki ukłon i schował sztylety do pochew.

–Będą walczyć – powiedział usatysfakcjonowany Kazan. Popatrzył na Joscelina. – Ty go tego nauczyłeś?

–Tak. – Joscelin skinął głową do Mikaha, który pokraśniał z zadowolenia.

–Dlaczego sztylety, hę? Taka walka jest dobra, ale na polu bitwy... – Kazan przeciągnął ręką po gardle. – Pfft!

–Ponieważ Jezuicom nie wolno nosić broni w La Serenissimie – odparł Joscelin twardym tonem. – Ani nigdzie indziej. A sztylet, dwa sztylety, można ukryć, w przeciwieństwie do

miecza. Tego mnie nauczono, panie Atrabiadesie. Zostałem wyszkolony nie do zabijania na polu bitwy, ale do obrony w tłumie, gdzie miecz mógłby zostać zatrzymany przez ciało niewinnej osoby.

–A jednak nosisz miecz – zauważył Kazan od niechcienia. – Czy umiesz go używać?

–Tak.

Zrozumiałam to, co nie zostało powiedziane.

–Kazanie, kasjelici dobywają mieczy tylko po to, żeby zabić. Zaufaj mi w tej kwestii.

Kazan Atrabiades popatrzył na mnie z ukosa, zawierając w tym spojrzeniu całą historię naszej znajomości. Razem wzięwszy, nie było tego mało. Uśmiechnął się i złożył zamaszysty ukłon.

–Jak sobie życzysz. Moi ludzie będą walczyć obok jego ludzi, i to wystarczy. Ale jestem ciekaw, co się dzieje, kiedy ten D'Angelin wyciąga miecz!

Odszedł ze śmiechem, żeby dołączyć do Ilirów, którzy użalali się nad przegranym Stajeo. Joscelin patrzył za nim przez chwilę, po czym z uniesionymi brwiami odwrócił się w moją stronę.

–Obracasz się w interesującym towarzystwie, Fedro.

–Tak. – Patrzyłam na niego spokojnie. – Dwudziestu jego ludzi poległo. Nie doszłoby do tego, gdyby nie stanęli do walki z Serenissim-czykami w mojej obronie. Wszyscy oni i sam Kazan gotowi są umrzeć u naszego boku. Czy w to wątpisz?

–Nie. – Joscelin położył ręce na moich ramionach i przyciągnął mnie do siebie. – A powinienem?

Spodobało mi się to jego nowe zachowanie. Będzie miło, pomyślałam tęsknie, jeśli oboje przeżyjemy, aby się nim nacieszyć.

SIEDEMDZIESIĄT DWA

Ti-Filip i Sara wrócili wczesnym wieczorem, podnieceni i rozgadani. Wyglądało na to, że spichrz nie jest strzeżony od zewnątrz i serenissimskie straże nie poświęcają mu zbytnej uwagi. Jeśli ktoś z nas miał wątpliwości, to skrzętnie je ukrył. Plan został zatwierdzony. W ciemną noc przed brzaskiem mieliśmy zakraść się do spichrza i przejść podziemnym korytarzem do świątyni Aszery z Morza.

Młody jezuicki uczyony, Teppo, wrócił z mniejszą ilością informacji. Strażnicy wyznaczeni przez Marka Stregazza do pilnowania brata przepuścili go bez większego zainteresowania, ale zwoje zabrała służąca. Nie wiedział, czy trafiły do rąk Allegry, a jeśli tak, jaka była jej reakcja.

Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się niczego więcej i cieszyłam się, że wszyscy wrócili cali i zdrowi.

Zebraлиśmy nasze zapasy jedzenia i przyrządziliśmy całkiem znośny posiłek z królika, dwóch kaczek, jesiennych jagód, dzikich warzyw i miski grochu. Ilirowie puścili w obieg bukłaki wina, a źródółko na wyspie dostarczało mnóstwa słodkiej wody. Później wyznaczono warty, przy czym nie obyło się bez kłótni, kto ma pełnić ten ważny obowiązek.

Zapadał zmierzch i Jeszuici skupili się w grupę, sprzecząc się cicho w habiru. Kazan przypatrywał się im z rozleniwieniem. Znałam go na tyle dobrze, by się domyślić, iż Ilirowie wystawią własne posterunki.

–Ja będę czuwać pierwszy – oznajmił Joscelin, chcąc położyć temu kres. – A Filip ostatni. Środek podzielcie między siebie. Czy to wystarczy?

–Ale... Joscelinie. – Jeden z młodszych, Elzaar, wyglądał na podenerwowanego. – Pomyśleliśmy... jesteś przecież D'Angelinem, i narażałeś życie, żeby ją ocalić...

Joscelin patrzył na niego bez śladu zrozumienia.

–Twój namiot – wydukał Elzaar kulawo. – My... no, sam zobacz.

Zobaczyliśmy. Postawili w jego skromnym namiocie dwie zapalone lampy oliwne, zarzucili materac i ziemię późnymi leśnymi różami, małymi i pachnącymi, zerwanymi w gęstym podszyciu. Wstrzymałam oddech i wypuściłam powietrze w urywanym śmiechu. Ti-Filip szelmowsko wyszczerzył zęby, zakłopotani Jeszuici przestępowali z nogi na nogę, a spoglądający nad ich ramionami Oltukh wykrzyknął po iliryjsku komentarz, który skłonił do śmiechu kilku ludzi Kazana.

–Fedro... – zaczął Joscelin i popatrzył na mnie bezradnie. – Oni nie chcieli...

–Nie? – Uniosłam brwi. – Przecież jesteśmy D'Angelinami.

Po sekundzie Joscelin wybuchnął śmiechem, swobodnym i niepoahamowanym, jakiego nie słyszałam od czasów Montreve. Jednym ruchem wziął mnie na rękę.

–Mikah – rzucił przez ramię, garbiąc się, żeby wejść do namiotu – obejmij pierwszą wartę. Filipie, zbudź mnie, kiedy nadejdzie pora.

To rzekłszy, opuścił skrzydło namiotu.

Dary Naamy są wielorakie, a ja poznałam je pod różnymi postaciami, żadnym jednak nie cieszyłam się tak bardzo, jak tą nocą z Joscelinem na bezimiennej wyspie La Serenissimy. Po tym, co się wydarzyło, byliśmy niemal sobie obcy, a jednak znów tak przejmująco znajomi. Zapomniałam o surowym, zapierającym dech pięknie jego ciała, które lśniło w świetle lampy niczym rzeźbiony marmur. Bez artyzmu, tylko z miłością i pożądaniem uczyłam się go na nowo, cał po calu. A Joscelin... ach, Eluo! Cokolwiek w nim pękło, wyzwoliło namiętność, którą trzymał w ryzach przez długi – zbyt długi – czas. Jego ręce i usta wędrowały po mnie, aż zaczęłam błagać, żeby mnie wyzwolił, a wówczas z pełną czułości furią wziął mnie na jesiennych różach. Ostre, sprytne kolce kłuły nagą skórę, zwiększając moją rozkosz, a on o tym wiedział i wcale mu to nie przeszkadzało. Sekretny uśmiech wygiął moje usta, gdy pochylił się, żeby mnie pocałować.

Później leżeliśmy spleceni, milcząc przez bardzo długą chwilę.

–Tęskniłam za tobą – wymruczałam w jego twarde, zgięte ramię. – Strasznie.

–Ja również. – Musnął palcami moje włosy, rozsypane na jego piersi. – Jak myślisz, czy ten twój pirat zamierza rzucić mi wyzwanie?

–Nie. – Pocałowałam go w ramię. – Mało prawdopodobne.

–To dobrze – odparł sennie. – Nie chciałbym go zabić, skoro cię lubi.

Pomyślałam o wszystkim, czego jeszcze mu nie powiedziałam – o kriawboggu, Korze i thetalos, o moim układzie z Kazanem i o śmierci jego brata. I zaśmiałam się cicho, ponieważ to nie miało znaczenia; teraz nic nie miało znaczenia. Jeśli będzie czas, jeśli przeżyjemy z woli Elui, opowiem mu wszystko, tak, i wysłucham jego historii, wszystkiego, o czym nie powiedział, łącznie z tym, czy naprawdę ściał włosy sztyletem.

A jeśli nie... mieliśmy tę noc, dar Naamy.

Od dawna jestem jej sługą, pomyślałam. Zasłużyłam na to.

Z tą myślą zasnęłam i na przekór wszystkim niespokojnym nocom, na przekór nękającym mnie niezliczonym troskom, spałam w ramionach Joscelina niewinnie jak dziecko, dopóki Ti-Filip dyskretnie nie podrapał paznokciem w płótno namiotu.

Miałam już dość tych zimnych, ciemnych godzin przed świtem, kiedy pełen urazy księżyc zaczyna opadać, z gwiazdy stają się dalekie i ponure. Ubierałam się – w kriteńską suknię i iliryjski płaszcz, bez jednej rzeczy, która przypominałaby mi ukochaną ojczyznę – podczas gdy szybki Joscelin już krążył po obozie.

Gdy wyszłam z namiotu, moi towarzysze byli gotowi do drogi. Jeszuici wydawali się okropnie młodzi, gdy sprawdzali broń i silili się na surowe, zdeterminowane miny.

–Przyjaciele – powiedziałam do nich. – Ten dzień będzie niebezpieczny. Błagam, jeśli ktoś z was nie jest w pełni zdecydowany, niech zostanie w obozie. Nikt nie weźmie wam tego za złe i nie będzie w tym żadnego wstydu. Zawsze będziemy wam wdzięczni za dotychczasową pomoc. – Czekałam w nocnej ciszy. Nikt się nie poruszył. – Niech więc tak się stanie. Jesteśmy towarzyszami broni, choć jest nas niewielu, i wyprawiamy się przeciwko siłom chciwości i ambicji, które na drodze zdrady chcą zagarnąć to, do czego nie mają prawa. Pokażmy światu, że honor nie popadł w zapomnienie i że sami bogowie – bogowie Ilirii, Terre d'Ange, Jeszuitów i La Serenissimy – nie poskąpili pomocy, kiedy garstka ludzi znalazła w sobie odwagę, żeby uczynić to co słuszne.

Następnie przedstawiłam im plan. Sara szeroko otworzyła oczy i skuliła ramiona, palcami muskając kuszę; nie wiem, może uznała mój pomysł za świętokradztwo. Jeszuici zamruczeli. Ti-Filip zaklął z podziwem w głosie. Kazan Atrabiades śmiał się tak bardzo, że miał kłopoty z przetłumaczeniem słów swoim ludziom. Kilku Ilirów wyszczerzyło zęby, paru innych zrobiło przesądne gesty, żeby odeprzeć zło.

Joscelin przez długi czas patrzył na mnie bez komentarza.

–Rozum ci odjęło? – zapytał w końcu. – Nie.

–Masz inną propozycję? Skoro mamy zrobić to w środku, podkradanie się nie wchodzi w rachubę. – Widziałam, jak rozważa moje argumenty. – Joscelinie, jest nas mało. Ysandra też ma niewielu ludzi. Nawet jeśli uda nam się wejść do spichrza, a stamtąd do świątyni, czy samo ostrzeżenie królowej wystarczy? Melisanda i Marco mają zbyt wiele do stracenia, i zbyt wielu sprzymierzeńców. Musimy sprawić, żeby część z nich odwróciła się od spiskowców, a przynajmniej namieszać im w głowach. Nie umiem wymyślić innego planu. A ty?

Zamknął oczy.

–Nie.

–Złożyłam przysięgę – rzekłam cicho – i właśnie w ten sposób zamierzam jej dotrzymać.

Otworzył oczy i popatrzył na mnie.

–A jeśli się nie powiedzie?

Wzruszyłam ramionami.

–Będziemy uciekać na złamanie karku i modlić się, żeby nie okrzyli spichrza. – Powiodłam wzrokiem po ich czujnych twarzach. – Czy ktoś ma lepszy pomysł? – Nikt się nie zgłosił. – W porządku. Idziemy?

Nikt nie wyraził sprzeciwu, więc ruszyliśmy przez wyspę, niemal po omacku zmierzając na skraj wody, gdzie leżały ukryte łodzie. Dwie i nasza z trudem zdobyta gondola. W wodzie gniły gęste paprocie; do dziś dnia zapach rozkładających się liści budzi we mnie niepokój. Nad rzeką zalegała rzadka mgła. Zająłam miejsce pod markizą gondoli, bo w mniejszych łodziach nie było miejsca. Z cichym pluskiem i paroma stłumionymi przekleństwami odbiliśmy od brzegu.

Była to podróż pełna napięcia, zwłaszcza gdy opuściliśmy zarośniętą rzekę i wpłynęliśmy w

kanaly, krętą drogą zmierzając do celu. Raz w pobliżu przepłynęła bissona pełna hulaków, którzy wracali do domu z dzielnicy kurtyzan. Słyszeliśmy urywaną, fałszywie śpiewaną piosenkę, latarnia na dziobie rzucała drżące światło na ciemną wodę. Skuleni, kryliśmy się w cieniach, ledwo mając odwagę oddychać. Kiedy bissona rozplynęła się w mroku, wioślarze pociągnęli za wiosła i znów płynęliśmy bezgłośnie.

Na ulicy, przy której stał spichrz, panowała cisza. Rezydencje były skromniejsze od tych nad Wielkim Kanalem, przemieszane z eleganckimi sklepami złotników, bławatników i innych ludzi interesu. Nad dachami widziałam szpiczaste kopuły świątyni Aszery z Morza, przysłaniające blednące gwiazdy na ciemnym jeszcze niebie.

–Tam – szepnęła Sara. Wskazała marmurowy gmach, długi i niski, z jednym wejściem na poziomie ulicy. Ti-Filip, kierujący pierwszą łodzią, już do niego podpływał. Zacumowaliśmy pod budynkiem i wysiedliśmy z łodzi. W każdej łódce został jeden wioślarz, a w gondoli dwóch Ilirow

–Podpłyńcie jak najbliżej portu i zostawcie łodzie – przykazał Joscelin w caerdicci. – Wracajcie szybko, ale uważajcie na straże.

Powtórzyłam polecenie po iliryjsku, a Kazan skinął głową. Nie chce liśmy zostać

odkryci, nie mogliśmy więc zostawić trzech obcych łodzi pod spichrzem. Wioślarze odbili i skierowali się w stronę zatoki, płynąc szybko.

Zostało nas piętnaścioro. Kuliliśmy się na ciemnej ulicy, okropnie podejrzana gromada, uzbrojona po zęby, a jednocześnie bezbronna, gdyby spostrzegł nas jakiś przechodzień. Pomyślałam o niedalekich kopułach świątyni i przebiegł mnie dreszcz. Wystarczyłby jeden okrzyk, żeby sprowadzić serenissimską straż.

Wyrzeźbiona w srebrze gwiazdzista korona Aszery zdobiła solidne, dębowe drzwi. Joscelin i Kazan obmacali je, sztyletami próbując podważyć zawiasy i masywny zamek. Był zamknięty, a zawiasy głęboko osadzone i mocne. Ilirowie mruzcili pod nosem. Owinęłam się płaszczem i przestąpiłam z nogi na nogę, spięta i zdenerwowana. Kazan zaklął i plasnął ręką w marmurowe bloki ściany, a któryś z Jesuitów zdusił jęk.

Nie mogłam znieść tego dłużej.

–Na Eluę! Joscelinie, odsuń się – syknęłam, odpinając od płaszcza srebrną zapinkę w kształcie sokoła. Odsunął się posłusznie, a Kazan uniósł brwi, gdy wzięłam szpilkę w zęby i zgięłam czubek, robiąc mały haczyk. Przykucnęłam i wsunęłam wytrych w zamek, szukając zapadki i w duchu błogosławiąc Hiacynta, który nauczył mnie tej podejrzanej sztuczki. Zamek nie był skomplikowany, ale ciężki. Wstrzymałam oddech, gdy wymacałam zapadkę, i ostrożnie manipulowałam cienką srebrną szpilką, żeby jej nie skrzywić.

Nagle rozległo się plaskanie bosych stóp na drewnie. Wracali wioślarze. Nie uniosłam głowy.

–Zbliża się oddział straży! – powiadomił ktoś zasapanym głosem. – Są w połowie drogi do

rogu.

Zazgrzytała iliryjska stal, gdy ludzie Kazana dobyli mieczy, i usłyszałam szeptaną modlitwę w habiru.

–Fedro? – zapytał spokojnie Joscelin.

Zamknęłam oczy i nacisnęłam na szpilkę, przesuając zapadkę w lewo. Szpilka zgięła się... i wytrzymała. Zasuwka wysunęła się z głośnym trzaskiem. Jedną ręką przytrzymując płaszcz, drugą położyłam na klamce.

Drzwi uchyliły się i zobaczyliśmy prostokąt ciemnego wnętrza.

–Szybko, szybko!

Wtargnęliśmy do środka bez ładu i składu, wioślarze z butami w rękach, i ktoś cicho zamknął drzwi. W spichrzu panowały nieprzeniknione ciemności. Wysoko na zewnętrznej ścianie były okna, ale o tej porze nie wpadało przez nie światło. Trącały mnie szepczące, przesuwające się postacie. Ktoś nastąpił na rąbek mojego płaszcza, niemal zrywając go z moich ramion. Szarpnęłam materiał.

Pomyślałam, że wyglądalibyśmy komicznie, przepychając się i wpadając jedno na drugie, gdyby ktoś mógł nas zobaczyć. I zobaczył. Drzwi z tyłu głównego pomieszczenia otworzyły się i zalało nas światło pochodni.

–Co...? – Był to jeden ze świątynnych eunuchów, mrugający i zaspany, z pochodnią i ceremonialną włócznią, której srebrny grot kierował się ku podłodze. Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo przestraszona Sara odruchowo poderwała kuszę i strzeliła.

Bełt trafił w gardło. Eunuch zamrugął, powoli i ze zdumieniem, a włócznia upadła z brzękiem na podłogę. Wciąż trzymając pochodnię, osunął się na kolana i przewrócił na twarz. Znieruchomiał, pochodnia skwierczała obok wyciągniętej ręki.

Kazan i jego ludzie w jednej chwili przystąpili do działania. Z dobytymi mieczami i podniesionymi tarczami przeskoczyli nad zwłokami, pędząc do położonych dalej pomieszczeń. Byli piratami, plagą mórza, wyszkolonymi do przeprowadzania błyskawicznego ataku. Pospieszyłam za nimi ze ściśniętym sercem. Joscelin podniósł pochodnię i wraz z Ti-Filipem rozsyłał Jeszuitów, każąc im przeszukać resztę budynku.

Spichrzem opiekowało się czterech dozorców; trzech spali w swoich kwaterach. Za drzwiami, w których stanął pierwszy, mieściły się sypialnie, ubikacja i skromna kuchnia. Gdy weszłam, dwóch już nie żyło, zostali zabici w łóżkach. Tormos unosił miecz nad czwartym.

–Nie! – krzyknęłam. – Na miłosierdzie Ejszet, nie trzeba zabijać, Kazanie! Daruj mu życie, niech pokaże nam przejście.

Po chwili wahania Kazan polecił krótko:

–Rób, co każe Fedra.

Dozorcy byli młodzi, również ten, który przeżył. Uznałam, że jest w wieku Jeszuitów Joscelina, choć trudno było to osądzić, ponieważ nie miał zarostu. Wytrzeszczył z przerażenia

oczy, gdy Ilirowie czyścili broń. Podeszłam bliżej.

–Jak się nazywasz? – zapytałam cicho.

–Cer... Cendanus. – Szok i strach wymusiły na nim tę urywaną odpowiedź.

–Cendanusie, pomóż nam, a zachowasz życie, obiecuję. Pod kanałami biegnie korytarz do świątyni Aszery. Pokaż go nam.

Jego oczy śmigają z boku na bok i grdyka się poruszyła, gdy przetykał ślinę, ale pomimo strachu nie był tchórzem.

–Nic nie wiem o takim korytarzu.

–Boisz się, że zdradzisz boginię? – zapytałam. – Cendanusie, przysięgam, Aszera z Morza już została zdradzona przez kogoś, kto był wysoko w jej łaskach, i wydarzenia dzisiejszej nocy są owocem tej zdrady. Przyszłam ją pomścić, choć służę innej bogini.

Ludzie Kazana pomrukiwali; przyszli tutaj, żeby zabijać Serenissimczyków. Zignorowałam ich.

Cendanus nie był ani tchórzem, ani głupcem. Oblizął usta.

–A jeśli nie pomogę? Co wtedy?

–Umrzesz – odparłam. – Sami znajdziemy drogę.

Na moment zamknął oczy.

–Wejście jest w podziemiu. Drzwi są zamaskowane. Daj mi się ubrać, a pokażę drogę.

Ilirowie odsunęli się, pozwalając mu wstać z łóżka. Zostawiłam Kazana, żeby pilnował porządku, i wróciłam do spichrza. Joscelin czekał z resztą naszej grupy. W gmachu nie było nikogo więcej, tylko rzędy dzbanów z oliwą i sterty suszonej żywności, jak mówiła Sara. Młoda Jeszuitka była blada i roztrzęsiona, Mikah próbował ją uspokoić. Joscelin spojrzał mi w oczy.

–Z zimną krwią zabiła człowieka – powiedział. – To trudne.

–Wiem. Skąd wzięłaś kusze?

–Zabraliśmy je strażnikom w wieży przy La Dolorosie. – Ze współczuciem popatrzył na Sarę. – Uznałem, że z kuszą będzie bezpieczniejsza, bo nie umie walczyć sztyletami. Właściwie to i tak nie ma znaczenia. Jeśli nas przyłapią, wszyscy będziemy zgubieni.

Strzepnęłam płaszcz i zarzuciłam go na ramiona, przebiłam wełnę zakrzywioną szpilką i zapięłam broszkę pod szyją.

–Na swoje nieszczęście ma dobre oko – powiedziałam cierpko. – Chociaż może to i dobrze. Lepiej, żeby sobie uświadomili ile to kosztuje, zanim postanowią wywalczyć sobie drogę do północnych krain. Proroctwa nigdy nie podają ceny krwi, jaką trzeba zapłacić za ich spełnienie.

–Nie. – Joscelin wzdrygnął się. – Co z innymi?

–Są martwi, poza jednym. Zgodził się pokazać nam przejście. Obiecałam darować mu życie.

–Chodźmy więc.

Moi towarzysze znaleźli drugą pochodnię i kilka lamp, i w ich świetle Cervianus poprowadził nas na tyły spichrza. Był ubrany w granatową tunikę sług Aszery z gwiazdzistą

koroną wyhaftowaną srebrną nicią na piersi. Wyglądał strojnie wśród otaczających go Ilirów, ale jego oczy przypominały ciemne dziury w masce twarzy.

–Tam – powiedział słabym głosem, wskazując ogromne gliniane naczynie, które sięgało Kazanowi do ramienia. – Pod dzbanem.

Z pełnym powątpiewania chrząknięciem Kazan przyłożył ramię do dzbana i naparł. Okazało się, że dzban jest pusty. Trzech piratów przetoczyło go na bok. Cendanus nie kłamał. Pod spodem znajdowała się kłapa wpasowana w kamienną posadzkę. Joscelin pociągnął za żelazny pierścień. Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem, odsłaniając prostokąt ciemności, z której płynęła woń starego powietrza i pleśni. Na dół wiodły wytarte stopnie, w blasku pochodni widzieliśmy tylko kilka pierwszych.

–Przejście prowadzi na balkon Wyroczni w świątyni, tak? – zapytałam.

–Tak. – Cendanus spojrzał na mnie. – Pod kanałem.

–Czy Wyrocznia wchodzi tam w czasie ceremonii inwestytury?

–N... nie. – Cendanus zawahał się i pokręcił głową. – Tylko dwa razy w roku, na Fatum Urbanus. Chyba. Nie wiem na pewno. Jestem tylko młodszym pomocnikiem, a doża nie obejmował urzędu za mojego życia. Ale...

–Ale powiadomiliby was, gdyby tunel miał zostać otwarty, prawda? – dociekałam łagodnym tonem. – Żebyście byli gotowi na przyjęcie Wyroczni.

–Tak. – Patrzył na mnie z gorzką nienawiścią w ocienionych oczach. Nie byłam tym zdziwiona. – Naszym obowiązkiem jest sporządzanie inwentarza i pilnowanie przejścia. Zostalibyśmy uprzedzeni.

–Dobrze. – Joscelin ukląkł przy klapie, trzymając lampę i spoglądając w ciemność. – Straże są w tunelu czy na drugim końcu?

–Nie ma innych strażników! – Cendanus z furią wypluł te słowa. – To był nasz obowiązek, nasz święty obowiązek! Nikt nie wie o tym przejściu. Ponad tysiąc lat temu murarze, którzy je zbudowali, zostali zabici, żeby tajemnica nie wyszła na światło dzienne.

–Urocze – mruknął Joscelin. Sara jęknęła mimo woli, gdy uświadomiła sobie ogrom zdrady, jaką popełniła jej prababka Onit, snując na łożu śmierci opowieści o sekretach zakonu, który na większą część życia udzielił jej schronienia. Ja przysiadłam na piętach, rozmyślając.

–Cendanusie, co teraz dzieje się w świątyni?

Z ponurą miną wzruszył ramionami i skrzywił się, gdy Kazan Atrabiades sztyletem szturchnął go w żebra.

–Kapłanka Korony odprawia czuwanie z sześcioma Wybranymi. Modlą się, żeby Aszera z Morza przyjęła wybrańca ludzi na swego Oblubieńca, bo tylko wtedy może zostać zadzierzgnięta prawdziwa więź. Tak słyszałem. O świcie zaczną się przygotowania, a kiedy słońce opromieni koronę posągu bogini nad laguną, z pałacu doży wyruszy procesja.

–W takim razie lepiej się przygotujmy – powiedziałam.

SIEDEMDZIESIĄT TRZY

Schody prowadzące do tunelu były wąskie i zdradliwe, porośnięte grubą warstwą pleśni. Mogłam uwierzyć, że z korytarza korzystano tylko dwa razy w roku. Szliśmy gęsiego, Joscelin pierwszy, ja za nim, potem Ti-Filip, a dalej Kazan i jego Ilirowie.

Po masakrze w spichrzu Jeszuici nie zgłosili sprzeciwu, gdy Joscelin kazał im zostać, żeby zabezpieczali nasz odwrót. Szturmując lądową strażnicę La Dolorosy, walczyli z uzbrojoną załogą. Zabijanie niewinnych sług, mających tylko ceremonialne włócznie, było zupełnie inną sprawą.

Sznurkiem, który służył do zawiązywania worków z ziarnem, skrępowaliśmy ręce i nogi Cervianusa, a następnie zakneblowaliśmy go pasem prześcieradła.

Współczułam mu, ale nie mieliśmy innego wyboru. Musieliśmy ograniczyć jego swobodę ruchów, bo natychmiast wszcząłby alarm. Zapadnięte oczy patrzyły na mnie z nienawiścią znad knebla, który głęboko wcinał się w kąciki ust. Przemówiłam do niego, zanim odeszliśmy:

–Powiedziałam ci prawdę, Cervianusie, jakkolwiek to rozumiesz. Przykro mi z powodu śmierci twoich towarzyszy.

Jego spojrzenie nie uległo zmianie. Kazan pociągnął mnie za rękę.

–Nie marnuj dla niego litości – poradził mi ponuro. – Gdybyśmy nie wzięli ich z zaskoczenia, ci rzezańcy bez skrupułów zajęliby się nami. Słyszałaś, co mówił o tunelu, hę? Oni nie wahają się mordować dla swojej bogini.

To była prawda, a jednak... Nie ulegało wątpliwości, że gdybym ponownie miała przejść katusze thetalos, wina za przelanie ich krwi spadłaby na mnie. Niech tak będzie. Podejmowałam decyzje ze świadomością, że muszę żyć z konsekwencjami. Ostatecznie to tylko ból, a kto był lepiej przystosowany do znoszenia bólu niż ja? Poza tym, pomyślałam, choć nigdy go nie poznamy, rejestr żywych musi przeważać nad rejestrem martwych.

Jeśli nie zawiedziemy.

Schodziliśmy coraz niżej, a stopnie stawały się coraz bardziej zdradliwe. Raz pośliznęłam się na pięcie i wyciągnęłam rękę, żeby się przytrzymać. Ściana była śliska od szlamu, wilgoć przesączała się pomiędzy blokami kamieni. Schodziliśmy pod miasto zbudowane na wodzie. Gdy dotarliśmy do tunelu, powietrze stało się jeszcze bardziej wilgotne. Przejście jest otwarte od naszej strony, powtarzałam sobie, powietrze musi się ruszać. Joscelin uniósł rękę i czekał cierpliwie, aż płomień się uspokoi i rozjaśni. Stłoczeni za nami Ilirowie poszeptali przesądnie i ucichli

dopiero na wydany ostrym tonem rozkaz Kazana.

Ruszyliśmy dalej.

Nie wiem, ile czasu trwała ta wędrówka kamiennym tunelem pod miastem wzniesionym na wodzie. Niedługo, jak sądzę; zapewne pokonaliśmy jeden kwartał uliczny, jak mówią architekci.

Na ulicy widziałam kopuły świątyni i wzdrygnęłam się, zdumiona ich bliskością. Pod ziemią przemoczony kamień pochłaniał odgłos naszych kroków, aż w końcu odniosłam wrażenie, że jesteśmy zastępem sunących bezszelestnie duchów. Odczuwałam zmęczenie potęgowane przez wilgoć i zimno kamienia, a ciemne oko tunelu otwierało się przed nami w nieskończoność. Zadrżałam, gdy Joscelin zatrzymał się przede mną i zadął głowę, podnosząc lampę.

Kolejne schody, równie strome i wąskie, wiodły w górę i znikaly w ciemności.

–Są – szepnął. – Fedro, to twój plan. Co chcesz zrobić?

Spojrzałam na schody, wytyżając wzrok i słuch, ale nie zdołałam przebić ciemności i nic nie usłyszałam.

–Pójdę pierwsza i zobaczę – szepnęłam. – Jeśli zagrażają nam tylko kapłanki Aszery, ja poradzę sobie najlepiej.

Twarz Joscelina stężała.

–A jeśli na górze jest ktoś więcej, twoja sytuacja będzie znacznie gorsza. Idę z tobą.

–Będiesz trzymać się trzy kroki z tyłu i zaczekasz na schodach na mój sygnał?

Po chwili skinął głową.

–To dobrze. – Zwróciłam się do innych: – Czekajcie tutaj. Przeprowadzimy rozpoznanie i damy wam znać.

Ti-Filip westchnął z rezygnacją; wiedział, że próby perswazji mijają się z celem. Kazan ściągnął brwi.

–Mnie ten pomysł podoba się nie bardziej niż jemu – powiedział niskim głosem, ruchem brody wskazując Joscelina. – Nie powinnaś się narażać. Lepiej, jeśli pierwszy pójdzie któryś z nas.

Uśmiechnęłam się w mrocznym tunelu.

–Zgadłeś, panie, dawno temu w Dobreku, gdy nazwałeś mnie szpiegiem. Do tego

zostałam wyszkolona. Nie pozwolę ci zająć mojego miejsca, tak samo jak ty nie pozwoliłbyś mi dowodzić swoimi ludźmi w bitwie.

Ktoś z tyłu – chyba Volos – zażartował po iliryjsku na temat charakteru i zakresu mojego szkolenia. Ucieszyłam się, że mrok skrywa mój rumieniec i że Joscelin nie zna iliryjskiego. Kazan skrzywił usta w niechętnym uśmiechu.

–W takim razie uważaj – powiedział.

Trudno jest poruszać się w zupełnych ciemnościach, a właśnie to musiałam robić, gdy stromo wznoszące się ściany odcięły dopływ światła. Wszystkie dźwięki wydawały się wzmocnione, a bez widocznych punktów odniesienia człowiek łatwo ulega zawrotom głowy. Na szczęście Delaunay kazał Alcuinowi i mnie ćwiczyć z zawiązanymi oczami. Czubkami palców sunęłam po śliskich ścianach i wspinałam się miarowo stopień po stopniu. Joscelin szedł kilka kroków za mną. Skradał się pięknie – kasjelici uczą się poruszać z gracją, równowagą i dyskrecją, co bardzo mu się przydało – ale słyszałam cichy szmer jego oddechu i od czasu do czasu skrobnięcie czy

skrzypnięcie skóry.

Zostałam wyszkolona do wyłapywania takich dźwięków.

Jak się okazało, niepotrzebnie się skradaliśmy, bo na szczycie schodów były zamknięte drzwi. Oburącz obmacałam śliskie, omszałe drewno i przycisnęłam do niego ucho, krzywiąc się z obrzydzenia. Usłyszałam ciche, bardzo ciche głosy, wznoszące się w powolnym, rytmicznym śpiewie.

W świątyni, pomyślałam, nie zaraz za drzwiami. Ostrożnie nacisnęłam klamkę. Drzwi oczywiście były zamknięte na klucz.

–Eunuch może mieć klucz – szepnął Joscelin do mojego ucha tak cicho, że oddech ledwie poruszył moje włosy.

–A może nie – mruknęłam w odpowiedzi, sięgając po broszę. – Tak będzie szybciej. – Po omacku znalazłam zamek i manipulowałam szpilką; w takich sytuacjach brak światła nie odgrywa roli. Ciche zgrzytanie brzmiało w moich uszach jak odgłosy burzy.

–Żałuję – powiedział Joscelin prawie niedosłyszalnie – że nie znaleźliśmy sposobu, żeby go uwolnić.

A więc on także myślał o Hiacyncie.

–Nigdy nie mów nigdy. Jeszcze żyjemy. – Zapadka ustąpiła i wstrzymałam oddech,

gdy zagrzechotała. Nadstawiłam uszu.

–Udało się? – zapytał Joscelin. On nie usłyszał zgrzytu. – Otwarte?

Pokiwałam głową, zapomniawszy, że mnie nie widzi.

–Zostań. – Nacisnęłam klamkę i powoli uchyliłam drzwi. Przez szczelinę wpadło nikłe, stonowane światło. Teraz wyraźniej usłyszałam śpiewy. Cztery, może więcej głosów; trudno było policzyć, gdyż śpiewały unisono, a śpiew dochodził z pewnej odległości, odbijając się od kopuły świątyni. Nasłuchiwałam bliższych odgłosów, ale tuż za drzwiami panowała cisza. Zapięłam płaszcz, zarzuciłam kaptur na głowę i wysliznęłam się za drzwi, nisko pochylona, podpierając się rękoma.

Znalazłam się w niskim korytarzu, który biegł pod górę w kierunku wysokiego, wąskiego, sklepionego łukiem przejścia. Dalej była nisza z balkonem, na którym stał trójnożny stół. Na prawo i na lewo od niszy, dobrze widoczne z korytarzyka, ale niedostrzegalne od strony świątyni, ciemniały dwie wnęki. Leżąc płasko na brzuchu, przeczołgałam się do przodu i uplasowałam za stołkiem, żeby pomiędzy jego nogami i przez balustradę zajrzeć do świątyni.

Na wprost mnie stał posąg Aszery z Morza, patrzącej szeroko otwartymi oczami, z półksiężycem zdobiącym czoło; bogini była pradawna, starożytna i potężna. Wstrzymałam oddech, czując zimny pot spływający pomiędzy łopatkami. Przyszłam, żeby dotrzymać obietnicy, przypominałam jej bezgłośnie, więc zatroszcz się o dzieci swoich dzieci, Aszero!

Wnętrze świątyni rozjaśniały świece i spowijał dym kadzidła. Przesunęłam się kawałek dalej, żeby spojrzeć na dół. Przed kamiennym ołtarzem i ogromnym posągiem bogini stało siedem

kobiet odzianych w szaty z powłóczystego niebieskiego jedwabiu i woale z kryształowymi paciorkami. Jedna z nich, stojąca pośrodku, miała na głowie tiarę z siedmioma diamentami na gwiazdzistych srebrnych promieniach. Kapłanka Korony, pomyślałam, i jej sześć Wybranych. Kolejna miała włosy białe niczym mleko i sękatę rękę; rozpoznałam sędziwą Biankę, która przepowiedziała mi przyszłość. Szpiegowałam z jej balkonu, bo to ona była prawowitą Wyrocznią.

Na myśl o rym poczułam się trochę lepiej.

A która zdradziła boginię za złoto albo władzę? Wespazja, wiedziałam; tak brzmiało imię następczyni Bianki, która udzieliła doży fałszywej przepowiedni. Czy była jedną z Wybranych? Nie miałam pojęcia. Może to sama Kapłanka Korony? Możliwe. Jeśli nie ona, to na pewno jedna z Wybranych... a może zdrajczyń było więcej? Takiego ryzyka, takiego świętokradztwa nie popełnia się bez gwarancji zysku. Stojąc z nimi twarzą w twarz, mogłabym wskazać winną; ukryta na górze, widziałam niewiele.

Z balkonu zbiegały dwa ciągi kręconych schodów. Sunąc jak węgorz, sprawdziłam jedno i drugie. Były to puste, pożyłkowane różowo marmurowe stopnie ze złożonymi poręczami. Cervianus nie kłamał. O tej porze w świątyni przebywały tylko kapłanki. Cofnęłam się ostrożnie, żeby zajrzeć do ukrytych nisz.

Komory pogłosowe, obydwie. Cioteczna prababka Sary też powiedziała prawdę. Dzięki przyjaźni z Thelesis de Mornay trochę się znam na tych sprawach. We wnękach znajdowały się przemyślnie osadzone płyty rezonujące, przenoszące głos Wyroczeni na sklepienie centralnej kopuły i wzmacniające go potężnie. Komory potęgowały również dźwięki płynące z nich samych. W jednej wisiał giętki arkusz z brązu, przymocowany do mechanizmu z dźwignią i trybami. Domyśliłam się, że to machina grzmotów. Hellenowie mieli takie urządzenia w dawnych czasach.

Wyjąwszy brązową blachę i parę ceremonialnych drobiazgów – kadzielnic i tym podobnych – komory były puste. Usatysfakcjonowana, zawróciłam ostrożnie do czekającego za drzwiami Joscelina.

–Odpowiednie miejsce dla naszych potrzeb – powiedziałam cicho. – Jest tak, jak powiedział Cervianus, na dole kapłanki odprawiają czuwanie. Niech Ti-Filip dołączy do nas, a Ilirowie Kazana czekają za drzwiami, na schodach. Lepiej, żeby nie wchodzili nam w drogę i siedzieli cicho.

Joscelin pokiwał głową, ledwo widoczny w nikłym, przefiltrowanym świetle.

–To szalony plan, Fedro – szepnął. – Wiesz o tym, prawda?

–Bardziej szalony niż śpiewanie pieśni skaldyjskich kobiet Panu Cieśniny? – zripostowałam.

–Nie. – Uśmiechnął się w ciemności. – To ja wymyśliłem, prawda? Ale wiń Cygana, bo to on ubrał mnie w strój bajdura, i módl się, żeby twój plan choć w połowie udał się tak dobrze.

–Modłę się, możesz mi wierzyć – zapewniłam z żarem. Po omacku wyciągnęłam rękę, musnęłam palcami jego policzek, chwyciłam garść krótkich, zmierzwionych włosów i pocałowałam go mocno. – Niech Elua ma cię w opiece, cokolwiek się stanie.

–I ciebie – wyszeptał w moje usta. – I ciebie, ukochana.

Spędziliśmy ze sobą długi czas i dużo razem przeszliśmy, ale nie mogłam sobie przypomnieć, czy kiedyś tak mnie nazwał. Oddech uwiązał mi w gardle. Puściłam go.

–Idź po nich.

Zrobił to i niedługo później wszyscy zajęli wyznaczone pozycje. Miałam napięte

nerwy i wyostrzone zmysły, dlatego szelesty, poskrzypywania i szepty doprowadzały mnie do szaleństwa, choć naprawdę zachowywali się cicho. Kazan i jego ludzie mieli czekać na schodach, gotowi na dany znak wkroczyć do akcji. Joscelin i Ti-Filip schowali się w komorach pogłosowych, skąd mogłam ich wezwać w mgnieniu oka.

Ja wróciłam na balkon i leżąc na brzuchu, patrzyłam spomiędzy nóg stołka. Zaczęło się czekanie.

Czekałam przez całą wieczność, jak mi się zdawało, na wpół uśpiona przez melodyjne śpiewy. Obecne czekanie nie ma znaczenia, pomyślałam. Czekałam, czekałam i czekałam od samego początku tej sprawy; czekałam na informacje w Mieście Elui, czekałam na wypadki w La Serenssimie, czekałam na okup, czekałam na thetalos, czekałam na odpowiedź archonta... przez całe długie miesiące nic, tylko czekałam.

Mogłam zaczekać jeszcze chwilę dłużej.

Wreszcie Kapłanka Korony zakończyła litanię i wraz z Wybranymi podniosła się z klęczek, klaszcząc w dłonie. Gdzieś na zewnątrz wstawał nowy dzień. Leżałam w ukryciu, patrząc z góry, jak świątynia Aszery z Morza budzi się do życia. Eunuchowie wymienili świece, uzupełnili zapas kadzidła, a przed ołtarzem ustawili duże drewniane podium, złożone z trzech części. Kamienna Aszera, niewzruszona tymi przygotowaniem, patrzyła przed siebie, wyciągając ręce ku wykutym w kamieniu falom.

W świątyni panował hałas, więc uznałam, że mogę wypróbować komory pogłosowe. Mruczałam cicho, dopóki nie znalazłam właściwego kąta. Ti-Filip patrzył na mnie jak na wariatkę, ale powstrzymał się od komentarza. W drugiej niszy połyskiwały dziko oczy Joscelina. Kiedy raz w coś się zaangażował, nic nie mogło go powstrzymać. Nie wiem, czy nauczył się tego w czasie krótkiego okresu pracy u Delaunaya, ale pod tym względem byliśmy podobni.

Promienie słońca oświetliły koronę Aszery w porcie.

Światło wlało się do świątyni, gdy otworzono wielkie drzwi w przedsionku; usłyszałam stłumiony pomruk tłumu zgromadzonego na Campo Grandę. Pomruk narastał w miarę zbliżania się procesji. Straż doży utworzyła szpaler i protesty rozbiły się o mur tarcz i włóczni. Kapłanka Korony wraz z Wybranymi zajęła miejsce przed ołtarzem, a nowicjuszek i słudzy przygotowali się do przyjęcia królewskiego orszaku.

Procesja weszła do świątyni.

Ach, Eluo! Wszyscy tam byli, wszyscy. Cesare Stregazza, wciąż pełniący funkcję doży, z drobną kobietą u boku, zapewne żoną. Marco i Maria Celestyna z dumnym

Severiem. Innych znałam z widzenia: Orso Latrigan i Lorenzo Pescaro, kandydaci na urząd doży pokonani przez Marka, inni członkowie Stu Godnych Rodzin i Consiglio Maggiore, szlachta z sześciu Sestieri wystrojona z jaskrawym splendorem, rozgoryczona lub czołobitna, w zależności od charakteru.

I D'Angelinowie. Tak, D'Angelinowie.

Wstrzymałam oddech, gdy ujrzałam Ysandrę de la Courcel, uosobienie całej chwały i piękna Terre d'Ange, mojej ojczyzny. Była ubrana w szatę o barwie bladej lawendy, kolor Elui, wykończoną złotym brokatem; nawet z tego niezbyt dobrego punktu obserwacyjnego widziałam, że suknia została uszyta z nadzwyczajną starannością przez najbieglejsze szwaczki. Królowa miała prostą złotą opaskę na jasnych włosach ujętych w złotą siateczkę. Piękno jej profilu zapierało dech w piersi.

Zapomniałam, że Ysandra nie jest starsza ode mnie.

Oprócz kilkorga d'Angelińskich wielmożów i zbrojnych, którzy zajęli stanowiska na tyłach świątyni, królowej towarzyszyli czterej bracia kasjelici. Powiedli ją na honorowe miejsce po prawicy doży i doży elekta na podium. W siwych jak popiół strojach, z włosami związanymi na karku, ze sztyletami u pasa i mieczami na plecach wyglądali prawie identycznie, wszyscy starsi, między czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem życia. Każdy z nich mógł być Dawidem de Rocaille... albo żaden.

A potem weszła świta księcia Benedykta.

Nie byłam pewna, czy Melisanda ośmieli się przybyć. Powinam się domyślić, że tak. Szła wsparta na ramieniu wysokiego, czerstwego, prostego jak świeca Benedykta de la Courcel, ubranego w błękitne i srebrne barwy swego rodu. Jej ciemnoniebieska aksamitna suknia harmonizowała z jego wamsem. Włosy miała rozpuszczone, spadające w lśniących granatowoczarnych falach do talii. Szła ze skromnie opuszczoną głową, kryjąc twarz za lśniącym Welonem Aszery.

Melisando, pomyślałam, śmiejąc się bezgłośnie, ze łzami w oczach, och Melisando!

W ostatecznym rozrachunku nikt nie mógł się z nią równać.

Moje serce szybko biło w piersi, a wytężony, przyspieszony oddech wysuszał mi usta. Zbudziło się we mnie pożądanie, gdy wspominałam jej ręce, wargi, zapach. Ale od dawna byłam sługą Naamy, dwukrotnie poświęconą, i nauczyłam się znosić tęsknotę dojmującą jak ból. Małżonków otaczała grupa strażników w barwach rodu Courcel. Dostrzegłam wśród nich wielu weteranów z Troyes-le-Mont, gdy zajęli miejsce wśród przepychającego się tłumu czeladzi na tyłach świątyni. Benedykt i Melisanda weszli na podium, żeby zająć miejsce na lewo od Marka i Marii Celestyny Stregazza, swoich sprzymierzeńców i powinowatych.

Potem dwójkami wmaszerowała gwardia doży, strzegąca drzwi przed tłumem ryczącym na Campo Grandę. Słyszając wykrzykiwane rozkazy, domyśliłam się – trafnie, jak się później okazało – że co najmniej jeden oddział straży miejskiej uplasował się przed wejściem do świątyni.

W środku zapadła cisza, mącona przez szelest, szepty kilkuset osób stłoczonych w jednym miejscu, syk płonącego kadzidła, ciche trzaskanie płomieni świec. Z ukrytego stanowiska obserwacyjnego patrzyłam na scenę w dole. Cesare Stregazza siedział na krześle; widziałam szpiczastą szkarłatną czapkę na rzadkich białych włosach i błyski złotej Pieczęci Doży na drżącej dłoni, która spoczywała na poręczy.

Prosił mnie o pomoc, żeby zatrzymać sygnet, przebiegły stary manipulant. Oczywiście nasze interesy nie były tożsame, lecz skorzystałam z okazji – nie miałam wyboru.

Rozpoczęła się ceremonia inwestytury.

SIEDEMDZIESIĄT CZTERY

Jak większość ceremonii, zaczęła się od inwokacji.

Kapłanka Korony wzniosła ręce do Aszery z Morza i odmówiła modlitwę, prosząc boginię o błogosławieństwo dla uroczystości, podczas gdy jej Wybrane składały ofiarę. Ustawiły na ołtarzu lśniące ceremonialne naczynia, złożone kosze z owocami i zbożem, srebrną misę brązowych jaj, wysadzany klejnotami kielich wina.

Ucieszyłam się, że nie będzie krwawej ofiary.

Trudno jest wybrać idealną chwilę. Zastanawiałam się, czy nie przerwać inwokacji Kapłanki Korony, co byłoby słuszne, a jednak... brakowało dramatyzmu. Lepiej zrobić to w punkcie kulminacyjnym, kiedy zgromadzeni obserwują ceremonię, wstrzymując oddech. Żałowałam, że nie widzę ich twarzy, tylko głowy z tyłu. Po zakończeniu inwokacji i złożeniu ofiary Kapłanka Korony i Wybrane odwróciły się, ale to nie na widoku ich twarzy mi zależało.

Następnie Kapłanka Korony wyrecytowała starożytną historię La Serenissimy, a sześć Wybranych wyliczyło obowiązki doży. Ceremonia była dość przyjemna, jeśli nie oglądało się jej z ukrycia, drżąc z napięcia. Nadstawiłam uszu, nad słuchując tłumy na Campo Grandę. Hałas jeszcze nie osiągnął punktu krytycznego.

Nie, pomyślałam, to się nie stanie, dopóki Marco Stregazza nie założy na palec Pieczęci Doży. Nie zaryzykuje przerwania ceremonii inwestytury. Chaos wybuchnie potem. Nawet z góry wyczytałam to z jego postawy, swobodnej i zarazem pełnej zniecierpliwienia. Zastanowiłam się, czy Allegra Stregazza otrzymała moją wiadomość i czy jej mąż Ricciardo skontaktował się ze Scholae.

Ceremonia ciągnęła się tak długo, że w końcu ogarnęła mnie nuda i moje myśli zaczęły błądzić. Strwożona, wzięłam się w garść; skoro ja nie mogłam się skupić, o ile bardziej rozproszeni musieli być Joscelyn i Ti-Filip, nie mówiąc o Kazanie i Ilirach ukrytych za drzwiami, nieprzywykłych do bezczynności? Akurat wtedy Kapłanka Korony zwróciła się do doży elekta i znowu się skoncentrowałam.

–Marku Plautiuszu Stregazza – zaintonowała, podając jego pełne nazwisko. – Słyszałeś wyliczone święte obowiązki nałożone na tego, który składa swój los w ręce Aszery z Morza i zasiada na tronie doży La Serenissimy. Wolą ludu, głosem Consiglio Maggiore i za zgodą świątyni Aszery zostałeś wyznaczony. Czy jesteś gotów złożyć przysięgę?

–Tak – odparł Marco Stregazza stanowczo, występując do przodu.

–Czy przysięgasz na śmierć w męczarniach wypełniać te obowiązki?

–Przysięgam.

Związała go wtedy długą i skomplikowaną przysięgą, której nie zapamiętałam. Marco wiernie powtarzał jej słowa, a potem podszedł do ołtarza i kapłanka namaściła mu czoło.

Przyglądałam się temu, cierpiąc katusze niezdecydowania. Czy teraz? Musiałam to zrobić przed zakończeniem obrzędu.

–Wasza Wysokość... – Kapłanka Korony zwróciła się do Cesare Stregazza, zdobywając się tylko na zdawkowy ukłon – wybiła godzina wyznaczona przez Aszerę z Morza. Czas, żeby Pieczęć Doży przeszła na innego. – Patrzyłam, jak Cesare pochyła głowę na znak rezygnacji, jak sękatę rękę podnoszą się z podłokietników, jak drżące palce próbują zdjąć ciężki pierścień.

Teraz. Tak.

Nadeszła odpowiednia chwila.

Cofnęłam się, podniosłam na kolana i oddech drżał mi w płucach, gdy w myśli powtarzałam słowa w caerdicci. Aszero, pomyślałam, patrząc na wizerunek bogini, po to mnie ocaliłaś, nie skąp mi teraz pomocy. Jestem dzieckiem Elui, Wybranką Kusziela i sługą Naamy, ale wyłowiłaś mnie z głębin morza i wyniosłaś na swoje łono, żebym mogła być tutaj dzisiaj. Jeśli taka jest twoja wola, pozwól mi wykonać zadanie!

Miałam jeszcze w uszach żałobny, doprowadzający do obłędu lament wichrów La Dolorosy, jakiego słuchałam przez niezliczone dni i czarne noce w swej maleńkiej celi, dobrze pamiętałam rozpacz osamotnionej bogini. Utrata, nieodwracalna utrata; rozpacz Aszery po stracie syna Eshmuna mieszała się z moją rozpaczą. Pamiętałam przerażoną twarz Joscelina, oświetloną przez chybotliwe płomienie, i pochodnię spadającą jak gwiazda. Pomyślałam o bracie Kazana, umierającym z jego ręki. O jaskini w Temenos, o krwi na sumieniu, ciężącej niczym kajdany. Klątwa niedopełniona i rzucona na nowo w gorzkiej postaci: utracony syn, utracony kochanek.

Lśniącą złotem Pieczęć Doży zsunęła się z sękatego palca Cesare Stregazza.

Klęcząc na balkonie, zawołałam w kierunku komór pogłosowych:

–O, mój Umiłowany, dlaczego mnie opuszczasz?!

Dobrzy byli ci murarze, którzy oddali życie, żeby nie wyszły na jaw sekrety bogini; sama się zląkłam, gdy moje słowa, głośne i dźwięczne, odbite od kopuły, dotarły do wszystkich zakątków świątyni. Ktoś upuścił gliniane naczynie, które stłukło się z

trzaskiem.

Wszyscy unieśli głowy, patrząc na kopułę i wypatrując boskiej obecności. W tej chwili dwa lata starannego planowania, dwa lata z trudem wykuwanego przymierza zaczęły się rozpadać.

–To znak! – krzyknął drżącym głosem Cesare Stregazza. Z powrotem wsunął pierścień na palec i zacisnął rękę w pięść. – Znak!

–To sztuczka! – syknęła Maria Celestyna Stregazza, odwracając się gwałtownie. Widziałam, jak piorunuje wzrokiem Kapłankę Korony i jej Wybrane. – Sztuczka, powiadam! Znaleźć winnego i położyć temu kres!

Miałam rację, gdy uznałam, że w tym stadle to ona jest bardziej przebiegła.

Kapłanka Korony i dwie jej Wybrane odwróciły głowy, wzrokiem przeszukując balkon, a zrozumienie spływało na ich twarze. Inni spojrzeli w tę samą stronę. Gwardziści doży kręcili się niezdecydowanie, wciąż mnie nie widząc.

–Kto fałszuje prawdę, Serenissimczycy?! – zawołałam do nich. – Kogo bogini wybrała, tego nie wyrzeka się za życia. Słyszeliście fałszywe proroctwo, Serenissimczycy. Marco Stregazza chce zasiąść na tronie doży dla własnych korzyści, a Benedykt de la Courcel pragnie śmierci królowej.

Moje słowa rozpętały pandemonium.

Kapłanka Korony zareagowała pierwsza, szybko podrywając rękę, żeby wskazać balkon.

–Intruz bezcześci świątynię Aszery! – zawołała. – Brać ją!

Po chwili posłuszni jej świątynni eunuchowie ruszyli do schodów, nie pewnie niosąc przed sobą ceremonialne włócznie.

–Teraz, Joscelinie – szepnęłam przez ramię, wstając. Joscelin wyszedł z ponurym uśmiechem z komory echowej, Ti-Filip wyłonił się z drugiej, krok za nim. Obaj zajęli pozycje u szczytu wąskich, krętych schodów, łatwych do obrony przez jednego uzbrojonego człowieka. Przestraszeni słudzy, nie wyszkoleni do walki, zatrzymali się na pierwszym zakręcie.

Wyszłam na balkon, położyłam ręce na balustradzie i popatrzyłam z góry na świątynię. Tetaz mogli mnie zobaczyć, to już nie miało znaczenia. W kłębiącym się tłumie było widać podziały. Kapitan gwardii i trzy czwarte jego ludzi patrzyli na Marka Stregazza, czekając na wskazówki, podczas gdy inni, zdeorientowani, przenosili spojrzenia z dowódcy na Cesare Stregazza i na innych serenissimskich wielmożów,

którzy powoli rozeznawali się w sytuacji, jeden po drugim przechodząc na stronę starego doży.

Ysandra stała wyprostowana i blada, gdy bracia kasjelici ustawiali się dokoła, krzyżując zarękawia i sztylety. D'Angelińscy szlachcice uplasowali się za nimi, zbrojni utworzyli ochronny wachlarz.

Stara, ślepa kapłanka Bianka uniosła dłonie do wizerunku Aszery, jej usta poruszały się w modlitwie. Nagle zadrżała, odwróciła twarz w stronę Kapłanki Korony i odsunęła się od niej, a za nią podążyły trzy inne Wybrane.

A d'Angelińscy strażnicy z Małego Dworu, jakby na dany znak, utworzyli zбитy mur wokół księcia Benedykta i jego małżonki.

Melisanda odwróciła się i stała bez ruchu, wznosząc zawoalowaną twarz ku balkonowi. Przez krystaliczne lśnienie paciorków zobaczyłam, że wpatruje się we mnie. Patrzyłam na nią, drżąc, z palcami zaciśniętymi na marmurowej balustradzie.

–Fedra? – To był głos Ysandry, ostry i skonsternowany. – Na imię Błogosławionego Elui, co ty tutaj robisz i o czym mówisz? Myślałam, że pojechałaś do Efezjum!

–Wasza Wysokość – zaczęłam cicho, nie odrywając od niej wzroku. Nawet bez komory pogłosowej mój głos niósł się swobodnie z tej wysokości. – Pozwoliłaś mi udać się na poszukiwanie zdradzieckiej Melisandy Szachrizaj. Znalazłam ją – powiedziałam, ręką wskazując Melisandę, stojącą dumnie u boku Benedykta. – Tam.

Jestem prawie pewna, że Melisanda leciutko skłoniła głowę, jakby w ukłonie uczestnika pojedynku. Jestem pewna, że jej lewa ręka wykonała ukradkowy gest, powtórzony przez Marię Celestynę Stregazza i przekazany Kapłance Korony, która ruchem głowy wskazała przedsiónek. Osobie wyszkolonej łatwo jest obserwować sytuację, a jednak nie mogłam nic zrobić. Moje usta ułożyły się do ostrzegawczego krzyku, lecz już czyjaś ręka odsunęła rygiel wielkich drzwi świątyni Aszery.

–Buntownicy! – krzyknął ktoś w przedsióнку wysokim męskim altem. Nowicjuszek i pomocnicy zaczęli wycofywać się do właściwej świątyni, gdy przez szerokie drzwi wpadła gromada prymitywnie uzbrojonych robotników i rzemieślników.

Zacząła się walka.

Przypuszczam, że buntowników było mniej, niż spodziewali się spiskowcy. Teraz, gdy drzwi zostały otwarte, słyszałam szcęk broni i ryk na Campo Grandę. Zrozumiałam, że Ricciardo zwołał Scholae. Ale do świątyni wdarli się najbardziej zdeterminowani, i to wystarczyło, żeby doszło do walki. Wrogowie czy sprzymierzeńcy, kto mógł powiedzieć? Patrzyłam z góry na rozwój wydarzeń, skupiając uwagę na kasjelitach Ysandry nawet wtedy, gdy dwie grupy napastników

szturmowały schody pode mną.

Joscelin i Ti-Filip odparli bez trudu pierwszą falę, uzbrojoną w pałki i broń domowej roboty. Drugą tworzyła gwardia doży, niełatwa do rozproszenia.

–Piracie! – zawołał Joscelin przez ramię, robiąc unik i chwytając miecz pomiędzy skrzyżowane sztylety. – Teraz!

Z wyciem radości Kazan Atrabiades wyprowadził Ilirów z ukrycia. Precyzyjni się obok Joscelina i Ti-Filipa, krótkimi mieczami wycinając ścieżkę w dół zakręconych schodów. Krew bryzgała na marmury i kamienie. Słyszałam stękanie, krzyki i jęk rannych. Jeden z Ilirów upadł. Miotając przekleństwa, Kazan wbił się w tłum, pchnął Serenissimczyka i przerzucił go nad poręczą schodów.

A w środku świątyni klin uzbrojonych rzemieślników parł uparcie w stronę mojej królowej, gwardziści lojalni wobec Marka Stregazza cofali się krok po kroku. Zwróciłam uwagę, że buntownicy walczą z dużą wprawą i mają podniszczone miecze. Domyśliłam się, że nie są przekupionymi mąciwodami, tylko najemnikami, którzy otrzymali rozkaz ataku na orszak Ysandry.

Zbliżała się chwila próby.

Marco Stregazza podnosił głos, próbując przekrzyczeć harmider, ale moje oskarżenie zrobiło swoje; poplecznicy odsuwali się od niego i skupiali wokół Cesare.

–Doża! – ryknął ktoś, a inni podchwycili okrzyk. – Otoczyć dożę!

Czterech braci kasjelitów, po dwóch z przodu i z tyłu, poruszało się z płynną gracją, a stal tkwała wokół nich mordercze wzory. Nie spuszczałam z nich oka.

Joscelin dołączył do mnie na balkonie, podczas gdy ludzie Kazana bronili wstępu na schody. Oboje usłyszeliśmy, gdy Marco postanowił się wycofać. Zacerpnął tchu i krzyknął tak głośno, że walczący na chwilę ucichli.

–Serenissimczycy, zdrada! Zostałem oszukany! Benedykt de la Courcel mnie zdradził!

Członkowie gwardii doży przestali walczyć między sobą i wymienili niepewne spojrzenia, wystąpienie Marka scaliło ich rozdartą lojalność. Spokój nie trwał długo. Z ponurą determinacją Serenissimczycy zwrócili się przeciwko orszakowi z Małego Dworu i walka rozgorzała na nowo.

Trzeba przyznać, że Benedykt de la Courcel nie był tchórzem. Kiedyś był odważnym wojownikiem – najstarszym bohaterem Bitwy Trzech Książąt, w której poległ jego bratanek Roland. Nie przypuszczałam, że przystąpi do walki o zmierzchu życia, ale

zrobił to bez wahania. Wyszarpnął ceremonialny miecz z nabijanej klejnotami pochwy i wymachiwał nim dzielnie w obronie swoich ludzi... i żony.

Zapomniani Ilirowie wsparli broń o schody i łapali oddech. Buntownicy, prawdziwi synowie Scholae z rękami stwardniałymi od pracy i konsternacją na twarzach, zaczęli wycofywać się albo uciekać. Rozumieli, że ich sprawa została przegrana.

Najemnicy walczyli nadal. Nie sądziłam, że są wystarczająco liczni i doświadczeni, żeby przebić się przez straż Ysandry. Nie byli, i nie to było ich celem. Mieli natrzeć na D'Angelinów i wciągnąć ich do walki, nawet kasjelitów, którzy jeszcze nie dobyli mieczów, bo nie chcieli zabijać w serenissimskiej świątyni bez rozkazu Ysandry, chyba że jej życie naprawdę będzie zagrożone. Na razie wystarczyło utrzymać wokół niej kordon bezpieczeństwa.

Twarz Ysandry była napięta ze strachu i gniewu – głównie z gniewu. Z drugiego końca świątyni patrzyłam na nią i na kasjelitów. Patrzyłam na nich wszystkich, po kolei, lecz moje spojrzenie co rusz wracało do jednego, stojącego z przodu po lewej stronie. Przypomniałam sobie popołudnie w galerii, w której wisiał portret Izabeli L'Envers de la Courcel, matki Ysandry i wroga mojego pana, lorda Delaunaya.

Wisiał tam również wizerunek Edmee de Rocaille, narzeczonej Rolanda, kobiety, którą by poślubił, gdyby Izabela nie zaaranżowała wypadku.

„Moja matka była winna jej śmierci, wiesz”.

Wiedziałam, jak dobrze wiedziałam! Śmierć Edmee ukształtowała moje życie pod tyloma względami, że ledwo mogłam je ogarnąć, a Anafiela Dealunaya, kochanka księcia, uczyniła kimś, kogo wrogowie nazywali Kurwimistrzem Szpiegów. Ja, Angisette w Dworze Nocy przyuczona do dawania rozkoszy, stałam się jedną z jego najbardziej subtelnych broni.

Jedna śmierć, tyle następstw.

Patrzyłam na brata Edmee de Rocaille.

Gdybym nie wpatrywała się w niego tak pilnie, mogłabym nie zauważyć, jak zaczął się obracać w otaczającej go wolnej przestrzeni, wdzięcznie i płynnie, podrzucił prawą ręką sztylet w powietrze i chwycił ostrze, przygotowując się do rzutu.

–Joscelinie! – Jedną ręką złapałam go za ramię, a drugą wskazałam zamachowca. – Tam! Joscelin powiedział prawdę; brat kasjelita planujący zamordowanie swego suwerena był gotów na śmierć.

Dawid de Rocaille wykonywał terminus.

SIEDEMDZIESIĄT PIĘĆ

–Dawidzie de Rocaille! – krzyk odbił się od kopuły, gdy Joscelin wkroczył do akcji, wrywając się z mojej ręki i przemykając obok zaskoczonych Ilirów Kazana. Po drugiej stronie świątyni odziany w szarość męczyzna zawahał się... i podjął terminus, lewą ręką przykładając sztylet do gardła, a prawą podnosząc do rzutu.

Celował w Ysandrę de la Courcel, królową Terre d'Ange.

Nie widziała, że coś jej zagraża, patrząc na balkon i zastanawiając się, jakie nowe niebezpieczeństwo zwiastuje ten okrzyk.

Na ostrym zakręcie schodów Joscelin wskoczył na poręcz i wyciągnął sztylet. Dawid de Rocaille znieruchomiał wtedy i myślę, że ich spojrzenia skrzyżowały się nad głowami tłumu. Brat Edmee de Rocaille, szczerząc zęby niczym trupia czaszka, skierował wzrok na królową i złożył się do rzutu.

Z modlitwą, która na wpół była przekleństwem, Joscelin rzucił pierwszy.

Nie sądzę, że naciągnę prawdę, mówiąc, że tego dnia sam Kasjel kierował jego ręką. Był to niewykonalny rzut wykonany w niesprzyjających warunkach. Nie mam pojęcia, jak tego dokonał. Koziółkujący sztylet przeleciał nad głowami walczących strażników.

Gotów na śmierć czy nie, Dawid de Rocaille zareagował instynktownie, blokując cios zarękawiem. Sztylet Joscelina zagrzechotał na stali i upadł na podłogę. Najbliżej stojące osoby odwróciły się, niepewne, co się stało. Dawid de Rocaille na chwilę zamknął oczy, z ukłonem schował sztylety i sięgnął po miecz.

Joscelin z cichym okrzykiem zeskoczył z poręczy, rozpraszając gwardzistów doży w chwili lądowania.

Przypuszczam, że musiałby ich zabić i był do tego gotów, ale ich zaskoczył. Zanim zdążyli zareagować, pokonał połowę drogi do Ysandry. Królowa stała zeszywniała ze strachu, gdy przebijał się przez tłum.

W tej chwili niepewności Dawid de Rocaille zaatakował – ale czekał o ułamek sekundy za długo, żeby wykorzystać swoją przewagę. Z szokiem i niedowierzaniem na twarzach pozostali kasjelici Ysandry zwarli szyk i stawili mu czoło.

Jeden zginał szybko, bo zbyt opieszale uniósł zarękawia, myśląc może, że to jakaś straszna pomyłka. Dawid de Rocaille otworzył jego pierś błyskawicznym dwuręcznym ciosem. Drugi walczył lepiej i być może ocaliłby życie, gdyby dobył miecza, zamiast zawierzać sztyletom. De Rocaille Przyklął i wymierzył zamaszysty cios w jego nogi, a gdy upadł, dobił go ciosem w kark.

W tym czasie Joscelin dobiegł i jego miecz zaśpiewał, wyciągnięty z pochwy.

–Dawidzie de Rocaille – powiedział cicho. – Odwróć się i zmierz ze mną.

Ostatni kasjelita cofnął się powoli, osłaniając ucieczkę Ysandry. Dawid de Rocaille odwrócił się do Joscelina Verreuil.

Poza placami ćwiczebnymi zakonu, gdzie pod okiem prefekta odbywają się szkolenia, nikt nigdy nie widział walki dwóch kasjelitów. Taki spektakl może uciszyć największe zamieszki – i właśnie to się stało. D'Angelinowie, Serenissimczycy, najemnicy... wszyscy zaniechali walki i patrzyli w zdumieniu, robiąc miejsce walczącym.

Zaciskałam ręce na balustradzie tak mocno, że bolały mnie palce, i patrzyłam na rozwój wydarzeń.

Ten pojedynek jest do dziś jedną z najstraszliwszych i najpiękniejszych rzeczy, jakie widziałam. Ostrza migotały i zderzały się, kreśląc wzory zbyt skomplikowane, żeby oko mogło za nimi nadążyć, a walczący przechodzili płynnie od figury do figury, wykonując ruchy wszczepione im od dzieciństwa. Joscelin miał w sobie energię młodości, ale D'Angelinowie szybko się nie starzeją. De Rocaille był w kwiecie wieku, jego siły jeszcze nie słabły, i walczył, nie mając nic do stracenia.

–Wyklęty! – syknął, gdy zwały się ich ostrza. – Zdradziłeś Bractwo dla zabawki Naamy!

–Dotrzymałem przysięgi danej Kasjelowi – wycedził Joscelin ponuro. – Jak ty odpowiesz za złamanie swojej?

Dawid de Rocaille odpowiedział chytrym posunięciem. Oderwał ostrze od broni Joscelina i cofnął się, by zadać mu cios w głowę. Joscelin zrobił unik i obrócił się dokoła, a miecz de Rocaille'a przemknął nieszkodliwie nad jego przyciętymi włosami. Joscelin sparował wprawnie pchnięcie wymierzone w brzuch i walczyli dalej, wirując i robiąc uniki. Był to dziwny pojedynek. Dawid de Rocaille w szarym kasjelickim stroju stanowił wzór surowej kompetencji, w przeciwieństwie do Joscelina, ubranego w chłopski przyodziewek, z wystrzępioną, orzechowo-złotą czupryną.

Jednakże różniło ich coś więcej. Rocaille był starszy o dwadzieścia lat, a Joscelin miał po swojej stronie gorzkie doświadczenia. Dawid de Rocaille spędził życie na służeniu regentom Terre d'Ange.

Nigdy nie wyciągnął miecza, żeby zabić.

W przeciwieństwie do Joscelina.

Byłam z nim, gdy samotnie walczył z wojami Waldemara Seliga w szalejącej skaldyjskiej śnieżycy. Była to jedna z jego największych bitew, lecz milczą o niej poeci. Później też tylko ja go widziałam, gdy w Albie starł się z oddziałem Tarbh Cró, broniąc zażarcie mnie i rodzinę Drustana mab Necthana, który za ten chwalebny wyczyn ogłosił go swoim bratem. Byłam w La Dolorosie, kiedy atakował samymi sztyletami, żeby przywrócić mi wolność.

Wiedział, co to znaczy walczyć dla ukochanej.

Powoli, bardzo powoli, szala przechylała się na stronę Joscelina. Dawid de Rocaille nie miał nic do stracenia, ale też nic do zyskania, z wyjątkiem śmierci. A jednak trzymane oburącz miecze

nie przestawały błyskać przed oczami obserwatorów, którym umykała połowa subtelnych sztychów i parad; a jednak wciąż tańczyli dokoła, wykonując szereg skomplikowanych kroków i niezliczonych obrotów. Wreszcie Dawid de Rocaille przeszedł do obrony i na jego twarzy odmalowała się rozpacz.

To było trudne, Elua świadkiem, trudniejsze od wielu czynów, jakich dokonałam. Musiałam odwrócić się od walczących i spojrzeć na świątynię. Kilkaset osób mniej zainteresowanych wynikiem pojedynku nie mogłoby tego zrobić.

Wiedziałam, kto może.

Serenissimski oddział zjednoczony pod komendą Cesare Stregazza otoczył świętą Benedykta. Większość gwardzistów już się poddała, gdyż przeciwnik miał ogromną przewagę liczebną i tylko garstka skupiała się wokół samego księcia. Benedykt leżał, brocząc krwią z wielu ran, jego pierś wznosiła się i opadała powoli, gdy z trudem chwycił oddech. Widziałam, jak najemnicy, którzy atakowali orszak Ysandry, prześlizgują się pod ścianami świątyni, zmierzając do wyjścia. Usłyszałam krzyki i przekleństwa, gdy straż miejska przed drzwiami próbowała powstrzymać napór mieszczan i rzemieślników. Usłyszałam pomruk narastający w świątyni i musiałam spojrzeć.

Dawid de Rocaille bronił się zażarcie, odzyskując stracony grunt, przemieniając rozpacz w dziką energię, i w końcu przeszedł do ataku. Uśmiechał się teraz, szczerząc zaciśnięte zęby, jak człowiek w obliczu śmierci. Krok po kroku spychał Joscelina...

Wraz ze mną patrzyła cała La Serenissima. Z bólem odwróciłam wzrok, musiałam.

Zobaczyłam Melisandę Szachrizaj w niebieskiej sukni i lśniącym woalu, spokojnie idącą w stronę przedsionka. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

Cokolwiek się stanie, odejdzie wolna.

Joscelin cofał się, lśniąca linia jego miecza odbijała ciosy de Rocaille'a. Poruszał się ostrożnie, precyzyjnie stawiał stopy, jego ciało prężyło się, gdy czekał, aż przeciwnik wreszcie zużyje resztki swojej wścieklej siły. Miał żyć, musiał przeżyć. Miał miłość do stracenia. Patrzyłam na niego ze ściśniętym sercem. Tak, tak, miał zwycięstwo wypisane na twarzy, skupionej i czujnej.

Zamknęłam oczy i podjęłam decyzję.

–Muszę coś zrobić – wyszeptałam niepewnie do Ti-Filipa, który stanął ze mną na balkonie, kiedy Joscelin popędził do de Rocaille'a. – Dla Fortuna, dla Remy'ego... dla nas wszystkich, Pójdiesz ze mną?

Mój wesoły kawaler skinął głową, ponury jak śmierć.

–Pani, przysięgłem.

–Zatem idziemy.

Zbiegłam ze schodów, mijając Stajeo i Tormosa, wreszcie walczących nie ze sobą, lecz ramię przy ramieniu, obok Oltukha, który przestraszonym głosem spytał, dokąd idę, i weszłam w

tłum. Kluczenie w wśród klientów na wielkich przyjęciach jest sztuką, i to jedną z pierwszych, jakich uczymy się w Dworze Nocy. Instyktownie wybrałam drogę, nie zwracając uwagi na krzyki. Raz potknęłam się o coś i spojrzałam pod nogi. Był to sztylet Joscelina, kopnięty i zapomniany przez widzów. Pochyliłam się szybko, podniosłam go i pospieszyłam dalej.

Gdzieś w tłumie zgubiłam Ti-Filipa, choć wciąż słyszałam jego gromkie przekleństwa i wyjaśnienia, gdy Serenissimczycy próbowali go zatrzymać. Gdyby Melisanda szła szybszym krokiem, straż doży mogłaby zwrócić na nią uwagę i zatrzymać ją... Bałam się, że dotrze do przedsonka przede mną. Nie dotarła.

Byłam pierwsza.

I sama, pomijając przestraszone nowicjuszki. Oparłam się plecami o drzwi świątyni, zagradzając drogę Meiisandzie, i czekałam ze sztyletem skierowanym w górę, jak to robił Joscelin. Za drzwiami stała straż miejska, powstrzymując tłum z Campo Grandę. Przepuszczą ją, pomyślałam; prawdopodobnie takie mieli rozkazy.

Melisanda zatrzymała się i popatrzyła na mnie przez woal.

–Melisando, pani – zaczęłam, starając się panować nad głosem. Wydawało się dziwne, że nie budzi boskich ech, jak zaledwie parę minut temu. – Nie opuścisz tego miejsca.

–Fedro. – Jedno słowo, moje imię, zawierało całą historię naszej znajomości, całej naszej bitwy we wszystkich jej skomplikowanych aspektach wrogości i miłości, nienawiści i pożądania. Zabarwione lekkim rozbawieniem, jakie umiała okazać tylko Melisanda, cięło moją duszę do głębi i sprawiało, że wszystko inne wydawało się nieważne. – Użyjesz przemocy, żeby mnie zatrzymać?

Zamknęłam oczy, broniąc się przed widokiem jej urody, która niczym pochodnia płonęła pod woalem. Zaraz potem uniosłam powieki, gdyż spuszczenie jej z oka nie było bezpieczne. Ponad pomrukiem tłumu usłyszałam zmianę w morderczej muzyce pojedynkujących się kasjelków.

–Jeśli będę musiała.

–Zatem zrób to – powiedziała krótko i postąpiła krok do przodu.

Już drżałam, zanim to zrobiła; w swoim życiu zabiłam tylko jedną osobę, w obronie własnej, a skaldyjski woj nie był Melisandą. Wyciągnęła rękę, pieszczotliwym ruchem przesunęła ją po nagiej stali sztyletu Joscelina, aż w końcu jej palce nakryły moje, zaciśnięte na rękojeści.

–Zrobisz to? – zapytała. Jej świetliste oczy poważnie spoglądały zza zasłony, gdy przekręciła sztylet w mojej dłoni, zwracając przeciwko mnie moją siłę. Nogi się pode mną ugięły, oddychałam z trudem, moje serce waliło jak oszalałe. Urodziłam się pod złą gwiazdą i przeklęłam los, który kazał mi ulegać woli tej najwspanialszej potomkini Kusziela. – Naprawdę?

Gdzieś w świątyni Joscelin przystąpił do kontrataku. Poznałam to po coraz szybszym dźwięku zderzających się ostrzy, przyspieszających ku zwycięstwu. Ale pojedynek toczył się bardzo daleko, a mój świat skurczył się do wonnych cali, które oddzielały mnie od Melisandy Szachrizaj. Sztylet Joscelina wzniosł się pomiędzy nami, jej ręka prowadziła moją, bezwolną,

rozleniwioną, poddającą się z uległością, z którą na próżno walczyłam. Powoli, niepowstrzymanie, sztylet sunął w górę, mocno ściskany przez nasze dłonie, aż czubek spoczął pod moim podbródkiem, kłując delikatną skórę.

–Tak – wydyszałam, zatrwożona własną odpowiedzią. Spowijał mnie zapach Melisandy, bliskość jej ciała budziła pożądanie. Spojrzałam jej w oczy, czując ukłucie sztyletu, obietnicę ostatniego spełnienia. Pomyślałam o Anaflelu Delaunayu, leżącym w kałuży własnej krwi, i o Alcuinie, będącym mi bratem. Pomyślałam o Fortunie i Remym, Chłopcach Fedry, którzy zginęli dlatego, że byli mi wierni. Chociaż ich cienie wołały o pomstę, nie mogłam uderzyć – nie ją, nie Melisandę. W końcu byłam kim byłam, Wybranką Kusziela. Moją bronią była nie siła, lecz uległość. Czy wolność jest dla niej warta dziesięciu tysięcy lat męczarni? Mocniej chwyciłam sztylet, drugą rękę

zamknęłam na jej dłoni, mocniej przycisnęłam ostry czubek do brody, pragnąc zakończyć terminus, który tak dawno temu zaczął się na polu bitwy pod Troyeą-le-Mont. – A ty?

Wahanie trwało tylko chwilę.

Wahanie Melisandy.

–Immortali! – Nazwa klubu szlacheckiego zabrzmiała jak okrzyk wojenny i poznałam głos wypowiadającej ją osoby. Severio Stregazza przedarł się przez szeregi Serenissimczyków i wpadł do przedsionka z uśmiechniętym Ti-Filipem oraz kilkoma uzbrojonymi kolegami. – Rzuć sztylet – wycedził ponuro – i odstęp od niej, principessa! Wsączyłaś w moją rodzinę tyle jadu, że wystarczy na całe życie. Nie kalaj jej jeszcze bardziej.

W tej samej chwili Ricciardo Stregazza z szaleństwem w oczach przestąpił próg świątyni, przewodząc armii rzemieślników...

...a gdzieś w głębi podniósł się krzyk, gdy miecz Joscelina Verreuil wniknął w ciało Dawida de Rocaille'a, kładąc kres pojedynkowi, którego, niestety, nie było mi dane obejrzeć do końca.

Nieskończenie wdzięcznym ruchem Melisanda puściła sztylet i zrobiła krok w tył.

Zaskoczona, stałam ze sztyletem przyciśniętym do własnego gardła. Opuściłam go pospiesznie. Najemnicy i prowodyrowie zamieszek uciekli, zamach został udaremiony, sprzymierzeńcy zwarli szeregi, Benedykt przegrał, a Marco stchórzył. Z drzeniem głęboko zaczerpnęłam tchu.

–Dziękuję – powiedziałam do Severia. – Jestem twoją dłużniczką, panie.

–Podziękuj swojemu gadatliwemu kawalerowi – burknął i skinął głową do Ricciarda.
– Witaj, stryju. Czy nie powinienes przebywać w areszcie domowym?

Ricciardo dyszał ciężko. Później dowiedziałam się, że stoczył zacieklą batalię ze strażnikami pilnującymi jego posiadłości.

–Zamieszki na Campo Grandę są opanowane – powiedział, ignorując pytanie. – Podżegacze zostali aresztowani. Severio, przykro mi, ale przysięgają, że twój ojciec brał w tym udział.

Po chwili Severio skinął głową.

–Próbowałeś mnie ostrzec. Dziękuję ci. – Odwrócił się do swoich kolegów Immortali.
– Zaprowadźcie, żonę do mojego dziadka – powiedział z odrazą. – Niech pocieszy go

w cierpieniu, jakiego mu przysporzyła.

Melisanda zachowała milczenie. Dobrze pamiętałam rozgoryczenie Severia, gdy Benedykt de la Courcel odwrócił się od dzieci i wnuków półkrwi. Kropla po kropli, Melisanda przemieniła jego obojętność w truciznę zdrady. Nie mogła liczyć na współczucie Severia. Odeszła, nie oglądając się za siebie.

Ti-Filip podniósł sztylet Joscelina i wsunął go za pas.

–Pani – powiedział do mnie – chyba czas spotkać się z królową.

Cokolwiek złego można powiedzieć o Cesare Stregazza, był urodzonym przywódcą. Nim dotarliśmy do celu, zaprowadził porządek w świątyni. Marco i Maria Celestyna klęczeli u jego stóp. Błagali o łaskę, twierdząc, że zostali oszukani przez Benedykta i jego zdradziecką żonę.

Doża trzepotał pomarszczonymi powiekami, ale nie ustąpił ani na cal.

–To prawda? – zwrócił się do Melisandy, która stała obok wykrwawiającego się męża.

–Ależ skąd, Wasza Wysokość – odparła spokojnie. – Twoja synowa przekupiła Kapłankę Korony, żeby zostało ogłoszone fałszywe proroctwo, a dziś buntownicy wpuszczeni do świątyni. Dwa głosy w Consiglio Maggiore, chyba taka była cena. Ja nie dopuściłabym się świętokradztwa.

Maria Celestyna Stregazza z sykiem wypuściła ustami powietrze i powiedziała coś ostrym tonem. Nie słuchałam, poszłam dalej, żeby wreszcie dołączyć do orszaku Ysandry. A tam...

–Joscelinie! – Zarzuciłam mu rękę na szyję, upewniając się, że jest cały i zdrowy; był, wyjąwszy parę draśnięć na ramionach. Roześmiał się z mojej napaści, przytulił i pocałował.

–Zrobiłaś dramatyczne wejście, prawie kuzynko – powiedziała oschle królowa Terre d'Ange.

Zmartwiałam, po czym puściłam Joscelina i uklęknęłam szybko.

–Wasza Królewska Mość, wybacz mi...

–Och, Fedro, wstań. – W głosie Ysandry usłyszałam nutę zniecierpliwienia. – Przykro mi, że w ciebie zwątpiłam. Miałaś rację, ale o tym porozmawiamy później. Chodź, zasłużyłaś, żeby uczestniczyć w tym spotkaniu.

Wolałabym nie iść, ale nikt nie odmawia królowej. Tłum serenissimskich wielmożów i strażników rozstał się, i nawet doża umilkł, gdy Ysandra de la Courcel szła do krewniaka. Toczyłam walkę z Melisanda, zawsze z Melisanda; prawie zapomniałam, że Benedykt de la Courcel jest stryjecznym dziadkiem Ysandry, jej najbliższym żyjącym krewnym ze strony ojca.

Jego zdrada była dla niej ciosem.

–Dlaczego? – zapytała, nie zwracając uwagi na klęczącą obok niego Melisandę. – Dlaczego to zrobiłeś, stryju?

Oczy Benedykta wywróciły się, pomarszczona twarz skurczyła, krwawa piana wystąpiła mu na usta. Ułożono go na płaszczu ze złotogłowiu. Już prawie nie należał do tego świata. Błądzące

oko zatrzymało się na stojącym w pobliżu Severiu Stregazza i pogarda wykrzywiła rysy Benedykta.

–Krew... barbarzyńców... splugawiła linię Elui – wycharczał. – Już źle, że tutaj... a tam... malowany Pikt w twoim łóżku...

To wystarczyło. Benedyktem targnęły konwulsje, ale Ysandra wyprostowała się dumnie i jej rysy stwardniały.

–Zajmijcie się nim – powiedziała ostro do eisandeńskiej lekarki, która przybyła w jej orszaku. – Jeśli przeżyje, stanie przed obliczem sprawiedliwości. – Jej spojrzenie padło na Melisandę, która wreszcie zdjęła woal. Przez długą chwilę panowała cisza. – Twoje życie – powiedziała wreszcie Ysandra – już jest stracone. Co do twojego syna... – Po chwili milczenia podjęła: – Co do twojego syna, przyjmę go do swojego domu i wychowam jak członka rodziny.

–Może – wycedziła zimno Melisanda.

Roześmiałam się; nie mogłam powstrzymać tego krótkiego, zduszonego parsknięcia. Melisanda skierowała na mnie spojrzenie swoich cudownych, już nie przysłoniętych woalem oczu, i wzniosła wdzięczne łuki brwi.

–Pani – powiedziałam, przepelnięta smutkiem i bezsilną złością z powodu przelanej krwi. Powtórzyłam słowa, które wyrzekła do mnie w sali tronowej Małego Dworu: – Prowadzimy grę. Przegrałaś.

Melisanda uśmiechnęła się do mnie zimno. Choć była w rękach Ysandry, choć Marco ją zdradził, a Benedykt konał, odpowiedziała z lodowatą precyzją:

–Nie skończyłam.

Wtedy zaczęły bić dzwony.

SIEDEMDZIESIĄT SZEŚĆ

Wydarzenia potoczyły się bardzo szybko.

Wiedziała, oczywiście, musiałam wiedzieć. Była to jedna z tajemnic, które Melisanda wyjawiała mi w okropnej celi w La Dolorosie. „Czterech kurierów na szybkich koniach wyruszy z La Serenissimy w chwili, gdy dzwon na Wielkim Placu oznajmi śmierć Ysandry...”.

Trzeba przyznać, że doża zareagował błyskawicznie, rozkazując natychmiast uciszyć dzwony i wyprawić strażę w pogoń za kurierami. Chyba wszyscy wiedzieliśmy, że jest już za późno, i poza tym doża mógł zrobić niewiele więcej. Melisanda Opracowała przebiegły plan. Było za późno, kiedy uderzył pierwszy dzwon.

Czterech kurierów, mających do dyspozycji świeże rozstawne konie wzdłuż drogi do Miasta Elui, poniosło zarzewie wojny. Ysandra bez mrugnięcia okiem wysłuchiwała moich rewelacji; w tym czasie była już odporna na wszelakie wstrząsy.

–A zatem Percy de Somerville zajmie Miasto – powiedziała tylko.

–Może. – Popatrzyłam na Melisandę. – A może nie, pani. – Pomyślałam o liście wysłanym z Kriti, lecz zachowałam milczenie.

–Moja droga królowo – powiedział Cesare Stregazza – jest mi ogromnie przykro z powodu tego, co cię tu spotkało. Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby ukarać sprawców... – jego drżący głos stwardniał – choć jest wśród nich mój rodzony syn.

–Proszę tylko, żeby ci, którzy urodzili się w Terre d'Ange, byli sądzeni przez nasz wymiar sprawiedliwości – odparła Ysandra ponuro. – A w szczególności ta kobieta, Melisanda Szachrizaj.

–Tak się stanie – obiecał doża.

Chłodna, wyzywająca poza Melisandy nie zmieniła się ani na jotę.

–I pogwałcisz azyl Aszery z Morza, Wasza Wysokość? – zapytała, unosząc podbródek i patrząc na niego. – Został mi bowiem udzielony.

Ktoś zaklął. Później się dowiedziałam, że był to lord Amaury Trente, dowódca straży przybocznej Ysandry w czasie progressus.

–Na jaja Elui! To chyba żart, pani!

–Nie. – Trzeba było odwagi, żeby to powiedzieć. Wybrana kapłanka była blada i

roztrzęsiona, ale nieustępliwa. Nie należała do tych, które stanęły u boku Kapłanki Korony; skuliła się, przerażona tym świętokradztwem. – Pani mówi prawdę. Udzieliłyśmy jej azylu, gdy przybyła do La Serenissimy. Potwierdzam to teraz, w świętej obecności Aszery. Przysięgam na swoje śluby, że mówi prawdę.

Cesare Stregazza, wciąż z łaski bogini będący dożą, poparł jej słowa, choć z wielkim bólem. Miał niewielki wybór po tym, co się stało. Profanacja świątyni zakończyła się upadkiem Marka i

Marii Celestyny; doża nie mógł powtórzyć ich błędu.

Ysandra wysłuchiwała go z kamienną twarzą.

–Przebywając tutaj, będziesz żyła – powiedziała do Melisandy. – Gdy postawisz nogę poza ziemiami Aszery, stracisz życie. Twój majątek, twoja własność, twój syn – wszystko będzie stracone. Rozumiesz?

–Oczywiście. – Melisanda skłoniła głowę z lekkim, tajemniczym uśmiechem.

Który przyprawił mnie o ciarki.

W tym czasie sytuacja była już w pełni opanowana. Gwardia doży wyprowadziła d'Angelińskich więźniów, a medycy opatrywali rannych. Ricciardo Stregazza i jego rzemieślnicy udzielili bezcennego wsparcia, cicho i skutecznie robiąc to, co do nich należało. Ucieszyłam się na widok Severia pracującego u boku ojca. Tego dnia obaj zyskali w oczach La Serenissimy, i słusznie.

Dawid de Rocaille leżał twarzą w dół, a na marmurową posadzkę sączyła się krew.

Później się dowiedziałam, jak skończył się pojedynek. De Rocaille zrozumiał, że przegrał, i sam wystawił się na miecz Joscelina. Byłoby lepiej, gdyby przeżył i został poddany przesłuchaniu, i chyba o tym wiedział. Joscelin zapytał go, jak zapłaci za złamanie swojej przysięgi. Zapłacił życiem. Kiedy uzdrowicielka z Eisandy opatrzyła księcia Benedykta, który na noszach został wyniesiony do aresztu, zamieniłam z nią parę słów i wysłałam ją na balkon, gdzie Kazan i jego ludzie przyczaili się dyskretnie, na jakiś czas zapomniani.

Potem podeszłam do Cesare Stregazza i opadłam w głębokim ukłonie. Doża upajał się władzą, jakiej nie było mu dane sprawować od wielu miesięcy, i miał rozbawioną minę.

–Ha, mały szpiegu! A jednak dotrzymałaś słowa. Gdzie masz prezent, który ci podarowałem?

Miał na myśli perłową kolię. W pewien sposób ocaliła mi życie, gdyż dzięki niej

Jeszuiccy poszukiwacze Joscelina zdołali mnie zidentyfikować.

–O to musisz zapytać strażników z La Dolorosy, Wasza Wysokość. Jeśli się zgodzisz, poproszę o inną nagrodę.

Zaciekawiony, zmarszczył czoło.

–Naprawdę? Ha, wydaje się, że zasłużyłaś. O co prosisz?

Odetchnęłam głęboko, trochę niepokojąc się, jak przyjmie moje słowa. Joscelin stał za mną, z ręką na moim ramieniu.

–Łaski, Wasza Wysokość, dla sojuszników, którzy pomogli mi w umocnieniu twojego tronu. Twój syn Marco pragnął ich śmierci. Przemoc się dokonała. Chciałabym, żebyś odpuścił im wszystkie winy.

–To wszystko? – Doża uśmiechnął się chytrze. – Spełnię twoją prośbę.

–Czy przysięgasz na ołtarz Aszery?

Cesare Stregazza machnął ręką i złoto Pieczęci Doży zabłysło, gdy wezwał świadków.

–Przysięgam, hrabino de Montreve, przed obliczem Aszery z Morza że przebaczam wszystkim, którzy pomogli ci w udaremnieniu tej zdrady. Czy to cię zadowala?

–Tak, Wasza Wysokość. – Skinęłam do Ti-Filipa na balkonie, gdzie po chwili pokazał się Kazan. Niespiesznym krokiem zszedł po schodach i z szerokim uśmiechem przemierzył świątynię. – To Kazan Atrabiades z Epidauro, Wasza Wysokość, który występuje w imieniu swoich ludzi. Będzie wdzięczny za ułaskawienie.

Pomarszczone usta doży ściągnęły się z niezadowolenia.

–Ten wilk morski, który od wielu lat nęka nasze statki – powiedział kwaśno. – Znam jego imię. Wybrałaś dziwnych sprzymierzeńców, hrabino. Myślałem, że masz na myśli tego mistrza szermierza, który urządził dla nas takie widowisko.

–Potrzebowałam wielu sprzymierzeńców, Wasza Wysokość, żeby twój tron się nie zachwiał.

Chrząknął, gdyż ta sprawa podobała mu się nie bardziej niż przyznanie racji Meisandzie, a może jeszcze mniej. Ale skoro dał słowo, musiał go dotrzymać.

–Przysięgłem.

Kazan złożył głęboki ukłon, nie przestając szczerzyć zębów.

–O, potężny dożo, jestem wdzięczny! Mojabiedna matka dziękuje ci za zmiłowanie, bo dzięki tobie jej syn żywy powróci do domu.

–Nie przeciągaj struny, piracie – powiedział Cesare Stregazza, mierząc go kpiącym wzrokiem. – Twój czyn wykreśla przeszłość, nie przyszłość.

–Ma się rozumieć, potężny dożo. – Kazan, będąc w dobrym nastroju, nie znał żadnych granic. Stał w świątyni Aszery, gdzie przelał serenissimską krew, a jednak był wolny i ułaskawiony. – Ale kto może wiedzieć, co przyniesie przyszłość, hę?

Odciągnęłam go z pomocą Joscelina, żeby doża nie zmienił zdania, i przedstawiłam Ysandrze de la Courcel. Królowa zamruwała ze zdziwienia na widok groźnego pirata.

–Jesteśmy ci wdzięczni za pomoc, Kazanie Atrabiadesie – powiedziała formalnie. – Dopilnuję, żeby Fedra nó Delaunay opowiedziała mi więcej o waszych przygodach.

–Tak, to długa historia – mruknął Kazan z nietypową powściągliwością. – Królewska Mość, powiem ci w zaufaniu, że działałem z błogosławieństwem Zima Sokali, bana Ilirii. Zapamiętasz, mam nadzieję, że mój biedny, uciśniony naród nie skąpił pomocy potężnej Terre d'Ange w godzinie potrzeby?

–Tak. – Królowa patrzyła na niego bez zmruczenia oka i widziała coś więcej niż dzikie, wąsate oblicze, włosy zawiązane na czubku głowy i pirackie kolczyki. To samo spojrzenie pozwoliło jej kiedyś ocenić wartość wytatuowanego Drustana mab Necthana, z którym pewnego dnia miała dzielić władzę i miłość. Dźwigając ciężar zdrady bliskiego krewnego, zamach na swoje życie i groźbę wojny domowej, Ysandra de la Courcel stała niewzruszona. Godnie skłoniła głowę, wyrażając wdzięczność iliryjskiemu piratowi. – Będę pamiętać, Kazanie Atrabiadesie.

Ostatecznie nie bez powodu narażałam dla niej życie.

Kazan uklonił się przed odejściem, głęboko i szczerze.

Ilirowie wycofali się do tunelu, zabierając ze sobą rannego Volosa. Uzdrowicielka zapewniła mnie, że przeżyje, choć rana wyglądała okropnie i Vblos dostawał mdłości, kiedy go ruszano. Nie zazdrościłam im tej podziemnej podróży, choć byłam rada, że odchodzą z błogosławieństwem Ysandry – i że uwolnią biednego eunucha Cervianusa. Związałam Kazana słowem, że nie będą nastawać na jego życie, skoro już teraz nie mógł nam zaszkodzić.

Pożegnaliśmy się wtedy. Liczyłam, że może odszukam go w rezydencji iliryjskiego ambasadora, ale domyślałam się, że w pośpiechu opuści La Serenissimę, a ja przez pewien czas miałam być zajęta u boku Ysandry. Sytuacja zmieniła się tak szybko. Znow przebywałam wśród D'Angelinów, choć nasza pozycja polityczna była bardzo zagrożona.

Rozrywanie więzi zadziergniętych w niebezpiecznych okolicznościach jest bardzo trudne. Podziękowałam każdemu Ilirowi z osobna – romantycznemu Epafrasowi, miłującemu morze Oltukhowi, wiecznie skłóconym braciom Stajeo i Tormosowi, Uszakowi z odstającymi uszami, biednemu Volosowi, który zdobył się na nikły uśmiech – i żadnemu nie poskąpiłam pożegnalnego pocałunku.

A potem Kazan popatrzył na mnie i kpiąco przesunął w palcach lok moich włosów.

– „Gwiazdy pochwycone w sieć nocnego nieba”, czy nie tak powiedział ten mocny w gębie syn Minosa? Przebyliśmy razem szmat drogi, Fedro nó Delaunay, odkąd wyłowilem cię z morza. Nie zapomnę cię prędko.

– Ani ja ciebie, mój panie Atrabiadesie – rzekłam cicho. – Nie zapomnę nigdy.

– Koniec pieśni. – Opuścił ręce i spojrzał w stronę tunelu. – Lepiej już pójdę. Gdybyśmy mieli więcej się nie zobaczyć, niech bogowie czuwają nad tobą. Oni i ten wysoki D'Angelin, he? – Błysnął uśmiechem. – Widziałem, jak używa miecza, myślę więc, że da sobie radę! – Roześmiałam się, a Kazan schylił głowę, żeby pocałować mnie na pożegnanie. Potem odszedł i zniknął w tunelu, nie obejrzawszy się. Przez chwilę słyszałam iliryjskie głosy, budzące echa w ciemnym korytarzu i cichnące w miarę, jak się oddalali.

Wróciłam do świątyni i mojego ludu.

Marco i Maria Celestyna zostali wyprowadzeni przez tych członków gwardii doży, których lojalność nigdy nie stanęła pod znakiem zapytania. Eskortował ich Lorenzo Pescaro, który nie kochał rodu Stregazza. Małżonkowie zostali zamknięci w swoim mieszkaniu, gdzie mieli czekać, aż zbierze się trybunał sędziowski.

Co do Kapłanki Korony i jej dwóch Wybranych, miały się nimi zająć sługi Aszery i wymierzyć im sprawiedliwość. Popatrzyłam na wysoki posąg bogini i przebiegło mnie drżenie. Nie sądziłam, żeby Aszera z Morza okazała litość tym, którzy ją zdradzili.

Ale Melisanda Szachrizaj znajdowała się pod jej ochroną. Gorzka ironia, niestety.

W jednej części świątyni Ysandra de la Courcel zwołała na poczekaniu naradę wojenną, w której uczestniczył kapitan jej gwardii przybocznej i reszta światy. Był tam również Joscelin, ale

nigdzie nie zauważyłam Ti-Filipa. Później dowiedziałam się, że wrócił na bezimienną wyspę, żeby sprawdzić, czy Jeszuici bezpiecznie wymknęli się z miasta.

Narada dotyczyła zajęcia Małego Dworu i naszego szybkiego powrotu do Terre d'Ange. Ysandra miała zamiar pchnąć królewskich kurierów w ślad za emisariuszami Melisandy, obsadzić Mały Dwór, wziąć w areszt syna Benedykta i Melisandy, a

następnie spiesznie wyruszyć do Terre d'Ange i Miasta Elui, żeby potwierdzić słowa kurierów i zdusić bunt Percy ego de Somerville.

W tym czasie już było wiadomo, że kurierzy Melisandy bez przeszkód opuścili miasto. Mając konie rozstawne, mogli uzyskać nawet dzień przewagi nad wysłannikami królowej.

–Nie będzie łatwo, jeśli de Somerville sprowadzi wojska królewskie do Miasta. – Lord Trente miał ponurą minę. – Potrzebuje tylko kilku godzin, żeby zająć je podstępem. A gdy to się stanie, żołnierze mogą pozostać mu wierni, jeśli będą mieli do wyboru albo to, albo stryczek.

–A jeśli ułaskawimy wszystkich, którzy dali się omamić? – zapytała Ysandra z zadumą.

Lord Trente wzruszył ramionami.

–Może. De Somerville będzie utrzymywać, że to podstęp. A bez wojska nie zdołamy podejść na tyle blisko, żeby temu zaprzeczyć. Zachowają czujność, bo będą mieli na rękach krew Barquiela L'Envers.

Chrząknęłam.

–Pani... może będzie inaczej. Wysłałam wiadomość do twojego wuja, nakazując mu obronę Miasta przed uzurpatorami, łącznie z Percym de Somerville. Jeśli otrzymał hasło rodu L'Envers, może tego dokonać.

Ysandra spojrzała na mnie ze zdumieniem.

–Co zrobiłaś?

Powtórzyłam i dodałam:

–Wiadomość miała zostać dostarczona najpierw do Pani Marsilikos, statkiem kurierskim od archonta z Fajstos.

–Fajstos – powtórzyła w osłupieniu. – Fajstos jest miastem, prawda, na wyspie Kriti?

–Tak, pani. – Czułam się głupio, choć nie miałam ku temu powodu. – Czy myślisz, że twój wuj uhonoruje hasło L'Enversów?

Ysandra bezdźwięcznie poruszyła ustami.

–Hasło – powiedziała w końcu. – Skąd... nie, to nieważne. Tak. Może. Powinien. Tak czy siak, na pewno będzie ostrożniejszy i gdy przyjdzie co do czego, drogo sprzeda

życie. – Wyprostowała się, jakby brzemień na jej ramionach zelżało. – Amaury, ilu ludzi będziemy potrzebować do zajęcia Małego Dworu?

–O setkę więcej niż mamy – odparł lord Trente bez namysłu.

–Dobrze. Poprosimy dozę. Dalej będziemy postępować zgodnie z planem.

Sytuacja została opanowana, więc Cesare Stregazza chętnie udzielił pomocy, przysyłając kilka oddziałów gwardii. Połączone siły wpadły do Małego Dworu i przeczesaly go od góry do dołu. Poszłam tam wraz dworkami Ysandry i innymi cywilami, ponieważ żadne miejsce w La Serenissimie nie było bardziej bezpieczne. I miałyśmy Joscelina, który nas ochraniał.

Pałac był obsadzony przez nieduży garnizon; wielu zbrojnych przybyło wraz ze swoim państwem na ceremonię inwestytury i ci już byli pod strażą. Nie widziałam tego, ale wiem, że kilku strażników Benedykta stanęło do walki i zapłaciło życiem. Przypuszczam, że śmierć nastąpiła szybko – i że właśnie dlatego tak zadecydowali. Inni złożyli broń, zdając się na łaskę Ysandry, zamiast poddać się doży. Zostali zamknięci w pokojach Małego Dworu, między innymi w lochu urządzonej jako komnata rozkoszy, z gobelinami na ścianach, pluszowymi poduszkami na grubych kobiercach i dobrze wyposażonym flagelarium.

Poszłam zobaczyć loch, musiałam, choć sama nie wiem dlaczego. Joscelin poszedł ze mną i spoglądał na mnie bez słowa, gdy stałam w korytarzu, trzęsłam się i patrzyłam, jak gwardziści zamykają w lochu kilku ludzi Benedykta.

–Był przeznaczony dla mnie – powiedziałam w końcu.

–Melisanda – rzekł cicho, a ja skinęłam głową. – Ale zamiast tego wysłała cię do La Dolorosy.

–Tak. – Patrzyłam, jak blask pochodni pełga po bogatych tkaninach, miękkich i przyjemnych w dotyku. – Żeby przez porównanie to więzienie wydawało się rajem. I tak by było. – Dotknęłam szyi, gdzie kiedyś wisiał jej diament, i znowu zadrżałam. – Postanowiłam przyjąć jej propozycję, Joscelinie. W noc, w którą przyszedłeś. Oto, czego mi oszczędziłeś.

Rozsądnie nic już nie dodał, tylko wziął mnie pod rękę i wyprowadził z podziemi.

Kiedy Mały Dwór został obsadzony przez ludzi królowej, dwóch królewskich kurierów udało się szybką gondolini na stały ląd, gdzie obozowała część świty Ysandry i gdzie pasły się konie.

W tym czasie wciąż przetrząsano pałac Benedykta i poszukiwania trwały nawet po odprawieniu gwardzistów doży. W końcu Amaury Trente stawił się przed Ysandra,

rozlokowaną w sali tronowej księcia Benedykta.

Wróciłam z wycieczki do lochu Melisandy i stałam przy królowej wraz z Joscelinem i kilkorgiem d'Angelińskich wielmożów. Widziałam gorzki zawód na twarzy lorda Trente.

–Przykro mi, Wasza Wysokość – zameldował, kręcąc głową. – Dziecka tutaj nie ma.

SIEDEMDZIESIĄT SIEDEM

W środku nocy przybył goniec z wieścią z pałacu doży. Książę Benedykt de la Courcel zmarł w wyniku odniesionych ran.

Ysandra skwitowała wiadomość lekkim skinieniem głowy i nigdy się nie dowiedziała, co wtedy pomyślała. Miała już taki charakter, że nawet największą zdradę znosiła bez ulegania niskiej żądzy zemsty. Pomimo zaciekłych protestów zarządziła przygotowania do przewiezienia zwłok Dawida de Rocaille do kraju i pochówku w rodzinnej posiadłości.

–Chciał odebrać mi życie za śmierć swojej siostry – powiedziała nieustępliwie. – Niech ta sprawa zakończy się tutaj.

O ile wiedziała, skończyła się, z wyjątkiem wydarzeń już wprawionych w ruch.

Poszukiwania syna Benedykta i Melisandy świadczyły o innym aspekcie charakteru Ysandy,

choć nie brakuje takich, którzy twierdzili – i zawsze będą twierdzić – że nastawała na życie dziecka. Wcale tak nie było. Choć od ślubu z Drustanem minęły dwa lata, jeszcze nie zaszła w ciążę. Książę Benedykt umarł, a córki, jakie spłodził z serenissimską żoną, okryły się hańbą, sukcesja więc była jasna. Barquiel L'Envers, jakkolwiek mu ufała i jakiegokolwiek były jego ambicje, nie miał w żyłach kropli krwi rodu Courcel, a w Terre d'Ange to ten ród był rodem królewskim.

Dopóki królowa nie urodzi własnego potomka, mały Imriel de la Courcel miał być następcą tronu.

Nie sędzę, żeby Ysandra chciała uczynić go swoim dziedzicem – była młoda i miała nadzieję, że urodzi dzieci – ale w świątyni Aszery z Morza powiedziała prawdę. Zamiast dopuszczać do rozgorzenia kolejnej krwawej waśni, zamierzała przyjąć dziecko pod swój dach i dopilnować, żeby zostało wychowane w szacunku do tronu, udaremniając tym samym plany Melisandy Szachrizaj, która miała nadzieję, że jej syn kiedyś podzieli ród de la Courcel.

Co w obecnym stanie rzeczy było niewykluczone.

Piastunka złożyła zeznanie w łamanym d'Angelińskim. Wiedziała tylko tyle, że polecono przygotować dziecko przed ceremonią inwestytury, nakarmić je, pozwolić mu spać do świtu i opatulić w becik z brokatu przetykanego srebrną nitką. Sługa księżnej, znany jej z widzenia, ale nie z nazwiska, przyszedł po chłopca, a ona go dała. Nie widziała już więcej żadnego z nich.

Z wielu źródeł znaleźliśmy rysopis dziecka: około sześciu miesięcy, jasna cera, gęsta, czarna czuprynka i oczy o barwie błękitnego zmięszchu. Wedle powszechnego mniemania Imriel de la Courcel był pięknym dzieckiem – nieodrodnym synem swojej matki.

1 równie pewne było to, że zniknął.

Następny dzień przywołał dziwne, znajome echa następstw bitwy pod Troyes-le-Mont, gdy

mieszkańcy Małego Dworu byli wzywani przed majestat Ysandry i poddawani skrupulatnemu

przesłuchaniu. Większość z nich chyba naprawdę nie знаła tożsamości Melisandy i nie miała pojęcia o zdradzie Benedykta. Nikt nie wiedział, co się stało z zaginionym następcą. W Troyes-Le-Mont zostałam przesłuchana; tutaj stałam obok tronu Ysandry i wypatrywałam oznak świadczących o kłamstwie. W sprawie dziecka nie doszukałam się żadnych. Plan awaryjny Melisandy spowijała tajemnica.

Ti-Filip wrócił po cichu nad ranem, meldując z ulgą, że wszyscy Jeszuici są w bezpiecznym miejscu. Ucieszyłam się na tę wieść, a Joscelin jeszcze bardziej. Pewnego dnia grupa serenissimskich Jeszuitów miała wyruszyć na dalekie północne ziemie, gdzie słońce latem nie zachodzi, tylko świeci przez cały dzień i noc nad śnieżnym krajobrazem, i miał poprowadzić ich młody człowiek, Mikah ben Ximon, walczący skrzyżowanymi sztyletami, które niczym gwiazdy płonęły w jego rękach – ale to zupełnie inne dzieje i nie mnie je opowiadać.

Cieszyłam się, że nie poprowadzi ich Joscelin.

Po długiej nocy nastąpił długi dzień. Złożyłam Ysandrze szczegółowe sprawozdanie, mówiąc o wszystkim, co spotkało mnie od przybycia do La Serenissimy do ukazania się na balkonie w świątyni. Opowieść zajęła prawie dwie godziny, a nadworny sekretarz Ysandry, lady Denise Grosmaine, pisała bez chwili przerwy, skrobiąc piórem po pergaminie. Nie jestem pewna, która z nas była bardziej zmęczona, kiedy wreszcie skończyłam. Ysandra popatrzyła na mnie.

–Błogosławiony Elua czuwał nad tobą, Fedro, wraz ze swoimi Towarzyszami – zauważyła. – Nie wyobrażam sobie, że bez ich pomocy uszłabyś z życiem, żeby mi o tym opowiedzieć.

–Ani ja, pani – przyznałam ze znużeniem. – Ani ja.

Uścisnęła mi rękę i jej twarz spoważniała.

–Fedro nó Delaunay, dano mi sługę, na jaką nie zasługuje żaden śmiertelnik. Anafiel

Delaunay przysięgł mojemu ojcu z miłości. Nie prosiłam, żebyś dotrzymała jego obietnicy. Mimo wszystko wiedz, że jestem ci wdzięczna tak bardzo, że żadne słowa tego nie wyrażą. Pamięć Delaunaya żyje w twoich czynach. Tego też nie zapomnę.

Tylko pokiwałam głową, bo wzruszenie odebrało mi mowę. Ysandra uśmiechnęła się łagodnie, ściskając moją rękę, a ja w duchu podziękowałam Błogosławionemu Elui, że zapoczątkował dynastię, która wydała na świat osobę godną wiernej służby.

Gdyby nie wojna rodząca się w kraju, zostalibyśmy dłużej w La Serenissimie. Wiele spraw wymagało uporządkowania, przy czym nie najmniej ważną było dziedziczenie Małego Dworu. Ponieważ obie córki Benedykta zostały oskarżone o zdradę, a jego syn zaginął, Severio powinien objąć sukcesję. Przemawiałam na jego korzyść, bo uznałam, że tyle jestem mu winna – przecież uratował mi życie – ale w końcu Ysandra mianowała swojego dworzanina, wicehrabiego de Cheverin, seneszalem posiadłości, dopóki sprawa nie zostanie uregulowana.

Było to niebezpieczne stanowisko, on jednak przyjął je ze spokojem, dobrze znając ryzyko. De Cheverin służył lojalnie Ganelonowi de la Courcel jako ambasador w Tyberium i był obeznany z polityką Caerdicci.

Interesy Małego Dworu i uzyskanie zgody doży zajęły bite dwa dni. Drugiego dnia Ricciardo i Allegra Stregazza przyszli z prośbą o posłuchanie u królowej Terre d'Ange.

Ysandra bez wahania wyraziła zgodę, przekonana przez ich postawę i, nie chwając się, moją radę. Prestiż Ricciarda i całej Sestieri Scholae wzrósł znacznie od czasu wydarzeń w świątyni; Ricciardo stał się popularnym bohaterem, bo przeciwstawił się bratu i zdusił zamieszki. Ysandra przyjęła ich łaskawie. Poczułam ciepło w sercu, gdy twarz Allegry pojaśniała, kiedy królowa podziękowała jej za pomoc – bo to ona namówiła męża do działania po tym, jak otrzymała mój list ukryty w jezuickim zwoju.

–Hrabino de Montreve. – Po zakończeniu audiencji Ricciardo podszedł do mnie i pocałował mnie na znak wdzięczności. – Ocaliłaś mi życie, i nie tylko – oznajmił z przejęciem. – Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić, wystarczy, że powiesz.

–Mam prośbę – odparłam, spoglądając na Allegrę. – Panie, w Terre d'Ange sługi Naamy podlegają ochronie świeckich praw gildii. Zwróciłam uwagę, że w Serenissimie dzielnica kurtyzan, jedna z najuboższych w mieście, jest w wielkiej pogardzie. Jeśli chcesz odwdziżyć się za moje dokonania, niech Sestieri Scholae przygarnie pod swoje skrzydła tutejsze kurtyzany. Jeśli pragną wykonywać ten zawód, niech uczą się i szkolą i przyznajcie im prawa dla ich własnej ochrony i korzyści.

Ricciardo otworzył usta ze zdziwienia, ale w oczach Allegry dostrzegłam błysk

rozumienia. Interesowała się prawami i obyczajami Terre d'Ange, zazdrościła nam swobody w sprawach miłości; jeśli w La Serenissimie była osoba chętna poprawić byt kurtyzan, to tylko Allegra Stregazza.

–Uczyć je czytać i pisać, zaznajamiać z poezją i sztuką konwersacji? – zapytała z lekkim uśmiechem. – Kształcić umiejętności uważane za niestosowne dla szlachcianki?

–Tak, pani – odparłam z uśmiechem, chyląc głowę. – W samej rzeczy.

Ricciardo zamknął usta i przełknął ślinę, patrząc na swoją uprzejmą, mądrą żonę.

–Hrabino – powiedział do mnie – na twoją cześć podejmę starania.

–Miło mi to słyszeć.

I rzeczywiście, w tej sprawie Ricciardo Stregazza dotrzymał słowa, a jego dokonania żyły długo po jego śmierci. Choć żadna kurtyzana z La Serenissimy nie mogła się mierzyć ze sługami Naamy – nawet w czasach schyłkowych Dwór Nocy nie miał sobie równych – z czasem stały się wzorem dowcipu i eleganckich rozkoszy w Caerdicca Unitas. Zaznaczę, że dotyczy to kobiet, bo w Caerdicci nie prostytuował się żaden szanujący się mężczyzna.

Kiedy stało się jasne, że poszukiwania Imriela de la Courcel nie mają sensu, Ysandra posłała umyślnego do świątyni Aszery, żeby umówić spotkanie z Melisandą Szachrizaj. Ku mojemu przerażeniu kazała mi w nim uczestniczyć. Stwierdziła, że znam Melisandę lepiej niż ktokolwiek inny, a ja sprzeciwiałam się głównie z tego samego powodu.

Pomimo to poszłam.

Nigdy już nie zobaczyłam rzeczy utraconych w La Dolorosie, łącznie z wielką perłową kolia, prezentem od doży, ale w siedzibie Marii Stregazza znaleziono trochę mojego dobytku, rozszabrowanego z wynajętego domu nad kanałem, w tym część garderoby. Niektóre suknie zostały przerobione, żeby pasowały na Marię Celestynę, wiecznie złaknioną nowinek d'Angelińskiej mody, inne zachowały się w nienaruszonym stanie z braku odpowiedniego materiału na wstawki.

Wśród odzyskanych rzeczy był mój płaszcz sangoire. Nie włożyłam go, tylko starannie zwinęłam i schowałam na dnie kufra. Nie mogłam się zmusić, podobnie jak Maria Celestyna Stregazza, żeby go wyrzucić. Poza tym płaszcz był darem od Delaunaya.

Odzyskałam również sygnet Montreve, z czego bardzo się ucieszyłam, stanowił bowiem pamiątkę po moim panu Delaunayu, który nigdy go nie zakładał, choć miał

do tego prawo. Na szczęście ja też go nie nosiłam, bo w przeciwnym wypadku przepadłby w La Dolorosie. Maria Celestyna zatrzymała sygnet nie z chciwości, lecz ze względów praktycznych, używając go do pieczętowania kilku podrobionych listów, jak ten – dowiedziałam się później – który przekonywał Ysandrę, że w trop za pogłoskami o pobycie Melisandy udałam się do Efezjum. Ti-Filip kazał złotnikowi z Małego Dworu naprawić łańcuszek z medalionem chai, a także zawiesić na łańcuszku sygnet Montreve, żebym mogła nosić go na szyi. Rozpłakałam się ze wzruszenia, kiedy pokazał mi, co zrobił.

Tak oto ruszyłam na spotkanie, ubrana we własną suknię, jedną z cudownych kreacji Favrieli nó dzika Róża, i z insygniami mojego stanu. To pomogło mi trochę, przypominając, że naprawdę jestem hrabiną de Montreve.

Dla Melisandy nie miało to znaczenia, ale ja czułam się nieco lepiej.

W świątyni panował ponury nastrój i nic dziwnego; słyszeliśmy o tym we Dworze. Kapłanka Korony i dwie Wybrane, które pomogły jej w popełnieniu świętokradztwa, zostały stracone zgodnie ze świątynnym rytuałem. Zemsta Aszery była szybka i nieodwołalna, i krew winnych przyciemniła jej ołtarz. Odwróciłam wzrok, mijając wizerunek bogini. Według ich prawa kara była sprawiedliwa, ale nie lubiłam o tym myśleć.

Wprowadzono nas do salonu na tyłach świątyni, przyjemnie urządzonego pokoju z sofami i małą szemrzącą fontanną. Ubrana w błękitne szaty i połyskliwy welon, Melisanda przyjęła nas jak udzielna królowa, siedząc wśród kapłanek i służby świątynnej.

Ysandra de la Courcel zajęła miejsce naprzeciwko niej, nie czekając na zaproszenie. My, to znaczy Joscelin, lord Trente, lady Grosmaine, dwaj gwardziści i ostatni kasjelita Ysandy, staliśmy.

–Wasza Wysokość. – Melisanda wykonała wdzięczny, powitalny gest, mówiąc uprzejmym tonem. – Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

–Twoje dziecko – odparła chłodno Ysandra. – Co z nim zrobiłaś?

–Ach. – Melisanda uśmiechnęła się pod welonem, a ja wiedziałam, że jej twarz emanuje inteligencją. – Mój syn. Jest bezpieczny, Wasza Wysokość. Dziękuję ci za troskę.

–Nie prowadzę gry, lady Szachrizaj. – Głos królowej stwardniał. – Nie gram w twoją grę. Występuję w interesie królestwa, nic więcej i nic mniej. Gdzie jest dziecko?

–Królestwa – powtórzyła Melisanda drwiąco. – W istocie. Czy w interesie królestwa leży sprawowanie władzy przez jednego monarchę? Błogosławiony Elua był

odmiennego zdania, to jego zazdrośni Towarzysze rozparcelowali królestwo. Pragniesz zachować zdobycz, jaka przypadła ci prawem urodzenia, Ysandro de la Courcel. Ja pragnę przejąć ją prawem rozumu, z jakim się urodziłam. Nawet dożowie La Serenissimy mogą powołać się na mandat publicznych wyborów, aby uzasadnić swoją władzę. Nie mów mi więc, że nie grasz w moją grę.

Ysandra zbladła; nie przypuszczam, żeby wcześniej mierzyła się intelektualnie z Melisanda. Mimo to nie straciła panowania nad sobą.

–Nie mam ani czasu, ani chęci na zabawy w sofistykę. Jeśli twoim życzeniem było zreformowanie d'Angelińskiego systemu rządów, zabrałaś się do tego w bardzo dziwny sposób. Dobrze znasz karę za to, co zrobiłaś. Przychodzę, aby oszczędzić twojemu synowi hańby i dopilnować, żeby został wychowany w należnym mu szacunku.

–Moim życzeniem? Nie. Po prostu zauważyłam, że nasze pragnienia bardzo się nie różnią. A teraz ty chcesz zabrać mojego syna do swojego domu. – Melisanda swobodnie oparła się o poduszki kanapy. – A co proponujesz mi za niego, Wasza Wysokość? Moją wolność? Przywrócenie tytułów i włości?

Pióro lady Grosmaine, która zapisywała rozmowę, zazgrzytało o pergamin. Amaury Trente chrząknął hałaśliwie.

–Nie – odparła Ysandra. – Ani jedno, ani drugie.

Brwi Melisandy uniosły się pod woalem.

–Nie? – powtórzyła szyderczo. – Nie proponujesz... niczego? Zatem nie będziesz zaskoczona, gdy ja nie będę lepsza.

–Czy choć trochę zależy ci na własnym ciele i krwi? – zapytała szorstko Ysandra. – Będziesz związana z tym miejscem, dopóki go nie opuścisz albo nie umrzesz, Melisando Szachrizaj, a już zostało zarządzone, że jedno równa się drugiemu. Nie układam się ze skazanymi zdrajczyniami, lecz przecież jesteś także matką, prawda? Twojemu synowi proponuję pozycję, honor w oczach królestwa, prawowite miejsce na dworze. Czy skążesz go na życie pionka? Czy będziesz chować się za ołtarzem Aszery i patrzeć, jak manipulują nim ręce mniej zwinne od twoich, ale pragnące pochwyć tę samą zdobycz, na której zależało tobie? – Pogarda wykrzywiła jej usta. – Kochaj jak wola twoja. Przykazanie Błogosławionego Elui nie odnosi się do kogoś takiego jak ty.

–Nie waż się uczyć mnie kochać!

Władcze echo brzmiące w tych słowach przyprawiło mnie o ciarki na krzyżu. Odetchnęłam gwałtownie, rada, że Joscelin obejmuje mnie w talii. Wiedziałam – aż za

dobrze wiedziałam! – że zawołane oczy Melisandy rozbliły z pasji.

–Naprawdę myślisz, że pozwolę ci wychować moje jedyne dziecko i zwrócić je przeciwko mnie, królowo Terre d'Ange? – zapytała cicho, z gracją drapieżnika podnosząc się z kanapy. – Nie. O nie. Pomiędzy nami nie było wrogości. Wiedziałam, nawet jeśli ty tego nie rozumiałaś, że prowadzimy grę. Zabierz mojego syna, a zostaniemy wrogami.

Ysandra cofnęła się, ale odpowiedziała pewnym głosem:

–Próbowałaś rozedrzeć królestwo, Melisando Szachrizaj. Zawsze uważałam cię za wroga.

–Naprawdę? – Melisanda uśmiechnęła się kąśliwie. – Przez dwa lata miałam w ręku twoje życie. Gdybym chciała... – Odwróciła głowę i smukłymi palcami dotknęła piersi brata kasjelity – mogłabym zabrać je w każdej chwili. Ale pragnęłam czegoś więcej, twojego tronu. A do tego potrzebowałam czasu i kontroli nad wydarzeniami. – Jej uśmiech zamarł. – Wierz mi, Wasza Wysokość, nie chcesz, żebym uważała cię za wroga.

Kasjelita, Brys nó Rinforte, oddychał z trudem, jego dłonie zamykały się i otwierały nad sztyletami, pot rosił mu czoło, gdy próbował zachować spokój. Jak Joscelin, był świadkiem złamania przysięgi przez jednego ze swoich braci i wiedział, że stało się to za podszeptem Melisandy.

–Zostaw go. – Joscelin dobył miecza i stanął przed Melisanda, ponury i nieugięty. – Groziło mi potępienie ze strony tyłu aniołów, że nie dasz rady ich zliczyć, potomkini Kusziela. Jeden więcej nie czyni różnicy. Zostaw go.

–Kasjelita. – Melisanda popatrzyła na niego chłodno, nie odrywając palców od piersi brata. – A czy groziła ci utrata uczucia ukochanej Fedry? Z pewnością do tego dojdzie, jeśli mnie zabijesz.

Popatrzył na mnie; wszyscy patrzyli na mnie, nawet kapłanki i słudzy, a ja nie mogłam myśleć, miałam mętlik w głowie i krew szumiała mi w uszach. Przycisnęłam palce do skroni i krzyknęłam:

–Siadaj!

Nikt nie usiadł, ale Melisanda odsunęła się i opuściła rękę, gestem każąc mi mówić. Brys nó Rinforte odetchnął głęboko; pióro poskrzypywało. Ysandra siedziała w milczeniu. Ja patrzyłam na Melisandę.

–Pani – zaczęłam szeptem – wiesz, czego chcemy. Czy jest cena, jeszcze nie wymieniona, na którą jesteś gotowa przystać?

Nie planowałam tej propozycji; gdybym miała czas do namysłu, trzymałabym język za zębami. A jednak był pewien układ, wciąż aktualny od czasu tych strasznych dni i nocy, kiedy marniałam w więzieniu na czarnej wyspie.

Traktowali ją jak królową, tutaj w świątyni Aszery – i dlaczego nie? – była przecież szlachetnie urodzona i obdarzona przebiegłością wytrawnego dworaka. Była także matką pozbawioną syna. Spędziłam wiele ciemnych nocy w La Dolorosie i dobrze znałam ogrom żalu Aszery. Wiedziałam, co to oznacza dla tych, którzy służą bogini. Będą ją chronić, jak długo zapragnie. I pójdą jej na rękę, jeśli mnie zechce. Cena nie była mała, o nie, ale może warto ją zapłacić, jeśli zapewni pokój.

I zakończy wreszcie łańcuch wyrzutów sumienia, jaki klątwa mojego życia wykuwała w jaskini thetalos.

O to chodziło.

Powoli, z żalem, Melisanda Szachrizaj pokręciła głową, wprawiając w ruch granatowoczarne loki, które spływały jej na plecy.

–Nie – odparła cicho. – Nie za to. Nie za mojego syna.

Usłyszałam, jak Joscelin wypuszcza ustami długo wstrzymywane powietrze. Wyprostowałam się, zwracając do królowej:

–Zapytałaś. – Mój opanowany głos brzmiał obco w moich uszach. – Otrzymałaś odpowiedź, Wasza Wysokość. Czy wysłuchasz mojej rady?

–Mów – odparła Ysandra.

–Wracaj do domu, Wasza Wysokość – powiedziałam. – Tam toczy się gra, tutaj nie masz nic do zyskania. Percy de Somerville wystąpi przeciwko twojemu tronowi, nawet w tej chwili czeka na wieści, które mkną do niego na uskrzydłonych kopytach. Wracaj i broń kraju.

Ysandra wysłuchiwała mnie z niewzruszoną miną. Skinęła głową, wstając.

–Nie cofam propozycji – powiedziała do Melisandy. – Na razie. Pamiętaj, że ją złożyłam. – Nie czekając na odpowiedź, wyszła z salonu, a za nią podążyła jej świta. Melisanda stała i patrzyła za Ysandra, zadumana pod lśniącym woalem.

Spojrzałam na nią po raz ostatni. Nie umiem powiedzieć co myślała. Nawet w klęsce nie była pokorna. Odwróciłam się i pospieszyłam za oddalającym się orszakem. Ręka Joscelina podtrzymała mnie, kiedy moje stopy się potykały, nie chciały ruszyć z miejsca. Jego miłość była sztyletem, który nastawił kompas mojego serca.

We właściwej świątyni lord Amaury Trente pomstował na niedawno namaszczonej Kapłankę Korony, która wystąpiła w obronie azylu Melisandy.

**–D'Angelińskie prawo skazało ją na śmierć! – krzyczał, dając upust bezsilnej złości.
– Jak możecie bronić osobę, której słodki język rozlał więcej krwi niż miecz wojownika?**

Choć była młoda i drżała, nie ustąpiła i stała z podniesioną głową.

–Możemy karać tylko tych, którzy zgrzeszyli przeciwko bogini, i czynimy to wedle jej praw. Łaska Aszery sływa tak na kobrę, jak na lwa, panie. Jakim prawem twierdzisz, że jest inaczej?

Pograżona we własnym zamęcie myśli, nie czekałam na odpowiedź i odwróciłam się, niemal zderzając z inną kapłanką. Znałam ją, starą Biankę z mlecznobiałymi oczami. Idący tuż za mną

Joscelin wpadł na mnie, gdy się zatrzymałam.

–Aha – mruknęła staruszka z satysfakcją w głosie, podniósłszy rękę do mojej twarzy. – Dziecko Elui, które wypełniło przykazanie jego matki i oczyściło jej dom. Zaprawdę, nosisz na duszy odciski ich palców, dziecko! – Zachichotała. – Nawet bogowie nie mogą utrzymać rąk z daleka od ciebie. I twój wierny cień, związany z tobą w świetle i ciemności. Czy przepowiedzieć ci przyszłość, skoro stanęłaś w miejscu Wyroczni i wykułaś nam naszą?

Drżałam, czując dotyk jej ręki, i cieszyłam się, że Joscelin stoi tuż za mną.

–Zatrzymaj swoje granaty, matko. Niech bogowie dla odmiany wybiorą inne naczynie i zajmą się sobą. Ja zrobiłam, co było mi pisane.

–Nie trzeba owoców ziemi ani ciała, żeby przepowiedzieć twój los – oznajmiła Bianka z zadowoleniem, nie odrywając palców od mojej twarzy. – Służ wiernie i pamiętaj, jak inni cię nazwali, bo jeśli to zrobisz, będziesz miała dziesięć lat wytchnienia. – Opuściła rękę i zamrugnęła jak zdumione, niewidzące dziecko. – Tyle wolno mi powiedzieć, nic więcej.

–Dziękuję – szepnęłam. Pochyliłam się – lata skurczyły ją tak mocno, że sięgała mi głową do ramienia – i objęłam ją, czując kości kruche jak nóżki konika polnego. – Niechaj Błogosławiony Elua ma cię w opiece, matko. Ja muszę wracać do domu.

Tak zakończyła się nasza wizyta i wyszłam za królową z cienia kopuły świątyni Aszery w promienie słońca. Dotrzymałam słowa danego w zimnych głębinach. Sprawa dobiegła końca, ale nie czułam triumfu, tylko żal i zmieszanie. Członkowie orszaku królowej też byli zmęczeni, sfrustrowani przez świątynny azyl Melisandy i

pełni lęku przed tym, co nas czekało.

A jednak Ysandra dumnie unosiła głowę, nieomylnie patrząc w stronę ojczyzny.

–Masz rację – odezwała się. – Jedziemy do Terre d'Ange.

SIEDEMDZIESIĄT OSIEM

Przygotowania do wyjazdu zajęły jeszcze jeden dzień.

W istocie nie miałam czasu szukać Kazana u iliryjskiego ambasadora. Spotkałam się z Severiem Stregazza, który przyszedł do Małego Dworu, żeby naradzić się z wicehrabią de Cherevin. ChrJĆ Ysandra odroczyła decyzję, panowało powszechne przekonanie, że ta sprawa zostanie rozstrzygnięta na korzyść młodego Stregazza.

Było to krępujące spotkanie, choć ucieszyłam się, że o nie poprosił.

–Właściwie to nie mogę ci podziękować za spowodowanie upadku mojej rodziny, Fedro nó Delaunay.

–Wiem – mruknęłam. – Chciałabym, żeby było inaczej, Severio, ale...

Przerwał mi ruchem ręki.

–Wiem. Mój ojciec dopuścił się zdrady. Moja matka popełniła świętokradztwo. Dzięki łasce Aszery z Morza, Elui, Baala-Jupitera lub kogoś, kto nade mną czuwa, różnię się od nich na tyle, żeby nienawidzić ich za te występki. A jednak są moimi rodzicami i zostałem wychowany w szacunku do nich. – Westchnął. – Zrobiłaś to co słuszne i konieczne. Żałuję tylko, że była ku temu potrzeba.

–Co się z nimi stanie?

–Zapewne zostaną uwięzieni. – Severio wzruszył ramionami. – Może skazani na wygnanie. To zależy od trybunału sędziowskiego, od nastrojów ludności i Consiglio Maggiore, od gniewu mojego dziadka, a także od Terre d'Ange – dodał cicho.

Wiedziałam, o czym myśli, choć żadne z nas tego nie powiedziało. Marco i Maria Celestyna Stregazza uknuli spisek, który miał na celu nie uśmiercenie doży, lecz zajęcie jego miejsca. Oskarżenie o udział w spisku przeciwko królowej Terre d'Ange było znacznie poważniejsze. Ale jeśli w kraju źle się działo... jeśli Ysandra nie utrzyma się na tronie, żaden d'Angeliński głos nie odwoła się do serenissimskiej sprawiedliwości. Percy de Somerville będzie rządzić w imieniu prawowitego następcy, syna księcia Benedykta. Jeśli czegoś zażąda, to najpewniej uwolnienia niesłusznie oskarżonej matki. Nic dziwnego, że Melisanda postanowiła czekać.

–Terre d'Ange podlega władzy Ysandry de la Courcel – powiedziałam.

–Mam nadzieję. Jestem zmęczony intrygami, które rozdzierają moją lojalność. – Severio z ponurą miną ujął mą rękę. Już nie był szorstkim w obejściu młodym szlachcicem, którego poznałam w pałacu. – Fedro, nie wiem, czy przyszłe wydarzenia

zrobią z nas wrogów, czy przyjaciół. Jeśli Ysandra upadnie... Opowiem się za La Serenissimą, a miasto zrobi to, co będzie dla niego korzystne. Niezależnie od tego, kto włada Terre d'Ange, musimy handlować. Ale wiedz, że zawsze będę myślał o tobie z sympatią, i przepraszam za to, co zaszło między nami.

–Uratowałeś mi życie. Za to, między innymi, zawsze będę ci wdzięczna, księżę Severio.

Uśmiechnął się nieznacznie.

–Nauczyłaś mnie być dumnym z mojego d'Angelińskiego dziedzictwa, Fedro nó Delaunay, i patrzeć bez strachu na dotąd pogardzane cechy. Myślę, że to nie byłoby złe małżeństwo. – Ukłonił się i puścił moją rękę. – Powodzenia, pani – rzekł cicho. – I powiedz królowej, żeby nie liczyła na długotrwałe poparcie doży. Kiedy opuści serenissimską ziemię, dziadek zacznie śledzić rozwój wypadków.

Nie wątpiłam w to, ale z drugiej strony Severio nie był zbyt pojętym uczniem, gdy chodziło o rodzinne intrygi. Modliłam się, żeby się nie zmienił, bo taki był lepszy.

–Dziękuję, panie, i niech Błogosławiony Elua ma cię w opiece.

Było to moje ostatnie pożegnanie w La Serenissimie, bo nazajutrz o świcie, eskortowani przez potężne okręty doży, popłynęliśmy do d'Angelińskiego obozowiska na lądzie. Serce mi urosło, gdy zobaczyłam jasne jedwabne namioty z powiewającymi proporcami, zadbane konie na pastwisku, setki D'Angelinów.

Tak wielu... a jednak tak niewiele, gdy wziąć pod uwagę szanse. W progressus regalis uczestniczyło ponad siedmiuset ludzi, w tym prawie dwustu służących, kucharzy, stajennych, szwaczek, fryzjerek, muzyków i im podobnych. Królowej towarzyszyły dwa tuziny szlachty, mężczyzn i kobiet; ich liczba została ustalona przed wiekami. Niektórzy zabrali ze sobą rodziny i czeladź. Zaniepokoił mnie widok kilkorga dzieci w orszaku, bo choć zostawialiśmy za sobą jedno niebezpieczeństwo, to czekało na nas kolejne.

Progressus nigdy nie był pomyślany jako pokaz d'Angelińskiej siły w Caerdicca Unitas – wyrażał szacunek i wzajemne zaufanie. Żaden monarcha nie podjął go w czasie, gdy miasta-państwa prowadziły wojnę – między innymi dlatego tak długo się nie odbywał – i gdy nie miał pewności, że pozostawieni w kraju D'Angelinowie są mu wierni, grożąc srogim odwetem każdemu, kto zakłóci progressus. Choć za obecnym stały ważne polityczne powody, zwłaszcza potrzeba odnowienia przymierzy z miastami-państwami Caerdicci, których nieobecność dotkliwie objawiła się w czasie skaldyjskiej nawały, Ysandra nie poważyłaby się opuścić kraju, gdyby nie ciągle naleganie Benedykta de la Courcel.

Gwardia królewska liczyła tylko pięciuset ludzi. Stu z nich miało zostać w La

Serenissimie, umacniając rządy wicehrabiego de Cheverin w Małym Dworze.

Jedyny pozytywny aspekt naszej sytuacji polegał na tym, że mieliśmy przemierzać półwysep Caerdicci wśród sprzymierzeńców, z którymi zaledwie kilka tygodni wcześniej odnowiono sojusze. Jeśli Elua pozwoli, pomogą nam uzupełnić zapasy i dadzą świeże konie.

Ysandra odbyła krótkie spotkanie z kapitanem gwardii, jego czterema porucznikami, kwestorem i koniuszym. Narada miała burzliwy przebieg – namiot nie tłumi głosów podniesionych w zapalczącej sprzeczce. Wiem, że Ysandra wyszła poruszona, z rumieńcami na wysokich kościach policzkowych, a Amaury Trente biegał wokół namiotów jak burza, każąc związać obóz.

Zrobiono to w rekordowym tempie, załadowano wozy, utworzono karawanę. Jeden z pomocników koniuszego znalazł wierzchowce dla Joscelina, Ti-Filipa i dla mnie; mieliśmy wiele zapasowych koni, bo strażnikom, którzy zostali w La Serenissimie, nie były potrzebne. Kilka osób z orszaku jechało w powozach, ale większość konno, łącznie z Ysandra.

Wyznaczono nam miejsce w szeregach wielmożów za królową, która jechała w otoczeniu gwardii. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby objaśnić nam plany; omijała nas hierarchia służbowa. Ti-Filip wytrzymał ten stan rzeczy przez pół godziny, a potem wziął na spytki gwardzistów i dowiedział się, że zmierzamy do odległego o dwa dni drogi Pavento. Emisariusze królowej pojechali przodem, żeby uprzedzić pana miasta.

Ysandra miała zamiar zostawić zbędnych członków orszaku w bezpiecznych kwaterach w Pavento i uzupełnić zapasy, a następnie przez Milazzę jak najszybciej dotrzeć do kraju. Według pogłosek zebranych przez Ti-Filipa królowa odrzuciła radę Amaurego Trente, który chciał wjechać w granice Terre d'Ange z armią Caerdicci.

Szczerze mówiąc, nie wiedziałam co myśleć; byłam rada, że decyzja nie spoczywa na mojej głowie. Podróżowaliśmy żwawo porządną tyberyjską drogą, otuleni w płaszcz dla ochrony przed jesiennym chłodem. Na przekór wszystkiemu nie mogłam powstrzymać radości. Byłam młoda i żywa, miałam przy sobie Joscelina i Ti-Filipa. Wiele straciliśmy – rozpaczałam za każdym razem, gdy myślałam o Remym i Fortunie – ale żadne z nas nie miało nic przeciwko podróży do domu. Cokolwiek tam na nas czekało, każdy krok był dobrodziejstwem.

Dla Ysandy de la Courcel sprawa przedstawiała się zgoła inaczej.

–Przekroczenie granicy będzie ryzykowne – powiedział Joscelin tej nocy, gdy leżeliśmy razem w przydzielonym nam małym żołnierskim namiocie; tych też było w nadmiarze. – Z czterema setkami ludzi? De Somerville bez większego wysiłku zastawi pułapkę.

–De Somerville nie wie, że królowa żyje – przypomniałam mu. – Choć nie można wykluczyć, że Melisanda go powiadomiła.

–Nie. – Podniósł się na łokciu, patrząc na mnie w nikłym świetle ognisk, prześwitującym przez nasączony oliwą jedwab namiotu. – Naprawdę poszłabyś do niej, gdyby o to poprosiła?

Usłyszałam zmianę w jego głosie. Nie rozmawialiśmy o tym od tamtego bezowocnego spotkania w świątyni Aszery. Mieliśmy za mało prywatności i jeszcze mniej czasu. Położyłam rękę na jego ciepłym torsie, czując silne bicie serca.

–Nie wiem – odparłam szczerze. – Joscelinie, to zamknęłoby sprawę i położyło podwaliny pod pokój. Za taką cenę... tak, może.

Było coś więcej, coś, co wiązało się z wydarzeniami na Kriti; widziałam ciemność własnej duszy i nie mogłam przymknąć na to oczu, a poza tym jestem anguisette. Brakło mi słów do opisanie tego. Nie można mówić o tajemnicach. Ale Joscelin był kapłanem – i znał mnie.

Milczał przez chwilę, okręcając na palcach pasemko moich włosów.

–Jezuici właśnie to obiecują – powiedział w końcu. – Absolutne rozgrzeszenie. Myślałem o tym. W końcu... – Uśmiechnął się cierpko. – W końcu dokonałem wyboru, jak zawsze. Boję się myśleć, że pewnego dnia Melisanda poprosi, a ty nie będziesz widziała co wybrać.

–Kiedy jej zagroziłeś, podała cenę, jakiej ty nie chciałbyś zapłacić. Ja podałam taką, na jaką nie przystała. Chciała grać w trony z samym Kuszielem, była skłonna poświęcić wszystkie swoje plany. Ale nie syna. Dziecko jest obosieczną bronią, Joscelinie. Warto o tym wiedzieć.

–Fedro nó Delaunay – wyszeptał, przyciągając mnie do siebie – czy twój umysł nigdy nie przestaje pracować?

–Czasami – przyznałam – jeśli ty...

Nie musiałam mu mówić, co ma zrobić, bo choć również i to jest tajemnicą Naamy, znają ją wszyscy kochankowie. W dawnych czasach ostro pokłóciłibyśmy się o to, co stało się w świątyni. Teraz Joscelin bardziej słuchał woli Naamy niż logiki Kasjela, dlatego uciszył mnie pocałunkiem i zabrał się do robienia tych rzeczy, które sprawiały, że mój umysł przestawał pracować.

Drugiego dnia dotarliśmy do Parano. Przed murami powitała nas straż honorowa wysłana przez principe Gregorio Livinius. Podczas gdy na żyznych polach rozbijano obóz, Ysandra i starannie dobrane towarzystwo – w tym ja – udało się do miasta.

Było ładne, choć widziałam niewiele. Pojechaliśmy prosto do pałacu zbudowanego z szarego kamienia z gór na północy, złagodzonego przez cudownie kolorowe gobeliny; warto zaznaczyć, że Pavento słynie z farbiarzy.

Gregorio Lhnnius, rubaszny i energiczny, miał około czterdziestu pięciu lat. Pragnął umocnić świeży sojusz z Ysandra, licząc na wzbogacenie miasta poprzez zwiększenie handlu z Terre d'Ange. Wymiana handlowa osłabła w latach, kiedy skaldyjskie najazdy zagrażały szlakom lądowym, ale od czasu klęski Waldemara Seliga Skaldowie byli mniej agresywni.

Principe Gregorio targował się zacięcie o cenę za pomoc. Ysandra przystała na większość jego warunków. W zamian miał dostarczyć nam prowiant na drogę i otworzyć miasto dla jej orszaku, udzielając bezpiecznego schronienia prawie dwustu osobom. „Każdemu, kto nie może utrzymać miecza” – powiedziała Ysandra ponuro.

Były oczywiście wyjątki. Sekretarz królewski, lady Denise Grosmaine, musiała towarzyszyć królowej, podobnie jak uzdrowicielka, kilku stajennych, sługi i kucharze.

I ja, choć nie byłam uważana za niezbędną.

W końcu Ysandra uległa moim błaganiom. Zgodziła się również zabrać dwie damy dworu, bo nie mogła odmówić ich prośbom, wysłuchawszy mojej. Wiedziałam, że chętnie zostawiłaby nas w Pavento, hołdując zasadzie: mniej ludzi zagrożonych, mniej do ochrony.

–Pani – błagałam, klęcząc przed nią – byłam oszukiwana, więziona, bita po głowie, prawie utonęłam, zostałam porwana, błąkałam się w sztormie, prawie straciłam zmysły i trzymano mnie na ostrzu noża. Jeśli nie chcesz nagrodzić mnie inaczej, pozwól mi wrócić do domu!

–Fedro – powiedziała z westchnieniem Ysandra. – Im bardziej próbuję cię chronić, w tym większe wpadasz tarapaty. Zgoda. Prawdopodobnie zjawiałabyś się na czele bandy zbójców, gdybym cię zostawiła. Możesz jechać. – Popatrzyła kwaśno na pełną temperamentu baronessę Marię de Flairs, już gotową dołączyć do moich błagań, i na stojącą krok za nią panią Vivienne Neldor. – Na Eluę, wystarczy! Panie kasjelito, czy przyjmiesz odpowiedzialność za ich bezpieczeństwo?

Stojący u jej boku Brys nó Rinforte nie krył zaniepokojenia, ale królowa miała na myśli Joscelina. Joscelin wystąpił i uklonił się nisko ze skrzyżowanymi zarękawiami. W Małym Dworze zmyłam mu większość farby z włosów i wyrównałam końce, więc wyglądał trochę bardziej przyzwoicie.

–Tak, Wasza Wysokość – odparł spokojnie.

Klamka zapadła i Joscelin Verreuil przejął dowodzenie nad tymi zbrojnymi, którzy

ochraniali dworki królowej. Niepotrzebnie się obawiałam, że będą się wzdragać przed służbą pod jego rozkazami. Już słyszeli o pojedynku z Dawidem de Rocaille w świątyni i byli pełni podziwu. Ti-Filip roześmiał się, kiedy usłyszał o awansie Joscelina. Dni wrogości pomiędzy nimi już dawno przeminęły, zastąpione wzajemnym poszanowaniem.

Ysandra nie prosiła principia Gregoria o pomoc zbrojną i jeśli lord Trente nie był tym zachwycony, to trzymał język za zębami, bo małe Pavento miało niewielu żołnierzy na zbyciu. Teraz pokładał nadzieje w Milazzy i jego sprzeczka z królową pozostała otwarta.

W czasie naszego pobytu dowiedzieliśmy się, że kurierzy Melisandy nie wstąpili do Pavento, żeby rozgłosić wieści o rzekomej śmierci Ysandy. Zatrzymywanie się w kolejnych miastach spowolniłoby ich wprawdzie, ale też utrudniło naszą podróż, gdyż musielibyśmy tracić czas na dementowanie pogłosek i przekonywanie potencjalnych sprzymierzeńców, że nasza pozycja nie jest zagrożona. W obecnym stanie rzeczy Ysandra mogła utrzymywać, że pogłoski o jakiejś drobnej rebelii skłoniły ją do szybszego powrotu do kraju, i to wystarczało.

To była dobra wiadomość.

Złą przekazał nam principe Gregorio: na drodze na zachód od miasta znaleziono zwłoki dwóch d'Angelińskich jeźdźców, zabitych najpewniej przez zbójców. Choć zostali odarci z broni i odzieży, poznaliśmy ich z opisu – byli to królewscy kurierzy.

Plany w planach, pułapki w pułapkach; Melisanda umiała przewidywać. Nikt przed jej starannie wybranymi kurierami nie dostarczy wieści do kraju.

A ich przewaga wzrosła do pięciu dni.

SIEDEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Opuściliśmy Pavento w pośpiechu, bez wozów i powozów, przynaglając wierzchowce, ale ich nie forsując. Po naradzie z koniuszym lord Trente zdecydował, że lepiej oszczędzać nasze konie niż szukać świeżych dla ponad czterystu jeźdźców.

Nie było już żadnych nadziei na zapobieżenie zdradzie. Cokolwiek miało się stać, już się stało. Kurierzy Melisandy dostarczą wiadomość Percy'emu de Somerville na długo przed naszym powrotem. Jeśli kriteński statek bezpiecznie dotarł do Marsilikos, Roxanna de Mereliot dobrze wiedziała o zdradzie de Somerville'a. Nie wiem, co zrobiła poza przekazaniem mojego ostrzeżenia Barquieleowi L'Envers i innym znanym sojusznikom królowej – być może zaczęła przygotowania do wojny. Kwintyliusz Rouse udzieli nam pomocy, ale z marynarki nie będzie większego pożytku na lądzie.

Sprawa nie była prosta, bo de Somerville miał pod swoimi rozkazami wojska królewskie i był suwerennym diukiem L'Agnace. Bez dowodu – i znacznej siły do dyspozycji – nie mogli go aresztować. A jeśli był z nim Ghislain, to znaczyło, że Azalia bierze udział w rebelii. Azalia mogła zagrozić naruszeniem granic Namarry, więc Barquiel nie otrzyma wsparcia ze swojej prowincji; szczerze mówiąc, jeśli po kraju rozeszły się wieści o śmierci Ysandry, nie mógł liczyć na pomoc znikąd. Miasto Elui miało być wyspą otoczoną przez siły de Somerville'a.

Oczywiście, jeśli statek kriteński nie przybył, Barquiel niedługo straci życie.

Śmierć dwóch królewskich kurierów urealniła zagrożenie czekające nas po powrocie. W najlepszym wypadku zastaniemy kraj na krawędzi wojny domowej. Mieliśmy dobre tempo w czasie tej dzikiej podróży przez półwysep Caerdicci, a ponura determinacja zjednoczyła nasze szeregi.

Wiele lat później dowiedziałam się, że wzdłuż północnej drogi w Caerdicca Unitas wciąż opowiadają o przejeździe oddziału Ysandry de la Courcel. To prawda, stanowiliśmy nie lada jaki widok. Gwardia królewska nosiła lśniące pancerze ze srebrnym damaskiną i granatowe kaftany z łabędzim herbem rodu Courcel. Nad naszymi głowami łopotały proporce rodów towarzyszących Ysandrze, a wyżej powiewała złota lilia Elui na zielonym polu. Tam, gdzie się nie zatrzymaliśmy, zrodziły się plotki o pełnej kompanii ludzi ze złowieszczym światłem na twarzach, jadącej bez potrzeby jedzenia i snu pod wodzą pięknej, nieustraszonej królowej.

Roześmiałam się, gdy usłyszałam te bajki; nikt nie powiedział ludziom z gminu, że gdy rozbijaliśmy obóz na noc, kwesor targował się z chytrymi wieśniakami o prawo skorzystania z pól i strumieni, podczas gdy czterystu zmęczonych, poobcieranych od siodeł d'Angelińskich żołnierzy czekało niecierpliwie na rozkaz „z koni”, klnąc na

juczne, które kręciły się i plątały postronki. A jednak tak wyglądała prawda.

Droga do Milazzy zajęła nam tydzień, ale prowiant z Pavento wystarczył. Amaury Trente nie był zadowolony, że omijaliśmy miasta leżące wzdłuż drogi, gdyż to wykluczało możliwość zebrania armii Caerdicci. Wielkie nadzieje wiązał z Milazzą, która leży najbliżej d'Angelińskiej granicy spośród wszystkich dużych miast-państw.

Ysandra pozostała nieugięta.

–Nie – powiedziała zwięźle. – Nie wprowadzę cudzoziemskiej armii na d'Angelińską ziemię, Amaury.

W poczuciu niemocy zmierzwił włosy palcami. Liczył, że przekona królową przed wjazdem do Milazzy, co miało nastąpić następnego dnia w południe.

–Wasza Królewska Mość, z tysiącem dodatkowych ludzi możesz bezpiecznie wmaszerować do Eisandy. Diuk Milazzy może odkomenderować ich bez trudu. Na Eluę, dlaczego nie słuchasz głosu rozsądku?

–Zastanów się, panie Trente – zaczęła Ysandra nieprzejednanym tonem. – Percy de Somerville nie może liczyć na to, że przejmie kontrolę nad całym wojskiem królewskim i zwróci przeciwko mnie wszystkich mieszkańców Terre d'Ange, o ile im nie wmówi, że jestem zdrajczynią. Obecność armii z Caerdicci podparłaby to twierdzenie.

–Nie wie, że żyjesz! – krzyknął Amaury, targając czuprynę.

–Ale się dowie – odparła cicho Ysandra. – Wysłucha raportów i będzie wiedział, choć może temu przeczyć i nazwać mnie impostorem. Czy mam być naiwna i założyć, że de Somerville nie przygotował planu awaryjnego na wypadek niepowodzenia?

Amaury Trente westchnął i opuścił rękę na mapę rozpostartą na stole przy ognisku, gdzie Ysandra zwołała naradę wojenną.

–W porządku. W porządku. Pospieszmy zatem do Ligurii i popłynemy statkiem do Marsilikos, gdzie znajdziemy bezpieczną przystań i wielu sprzymierzeńców.

–Panie Trente. – Ti-Filip chrząknął przepraszająco, gdy zagadnięty spojrział na niego gniewnie. – Proszę mi wybaczyć, ale przez całe życie byłem marynarzem i powiem panu jedno: jest późno na taką przeprawę. Będą kłopoty ze znalezieniem odpowiednich statków.

Zadrzałam na myśl o kolejnym niebezpiecznym rejsie, ale zachowałam milczenie. Amaury uderzył pięścią w stół.

–Na pewno nie ma innej drogi? – zapytał. – Przecież? musi być jakiś łatwy i możliwy do przyjęcia sposób wejścia na teren Terre d'Ange, Ysandro!

Królowa miała zaciętą minę i wiedziałam, że nie wysłucha argumentów, które nie będą dotyczyć bezpośredniej jazdy do Miasta Elui. Okrążyłam doradców i popatrzyłam na mapę pod zaciśniętą pięścią Amaurego.

„Pamiętaj, jak nazwali cię inni...”.

–Pani – zaczęłam – jest pewien sposób, jeśli zechcesz posłuchać.

Ysandra obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem i pochyliła głowę.

–Słucham, Fedro.

–Jeśli z Milazzy pojedziemy na północ i przetniemy granicę tutaj, na podgórzu – powiedziałam, pokazując palcem – znajdziemy się w Kamlachu, którego strzegą Niewybaczeni. Patrz, tutaj leży Południowy Fort.

–Kamlach! – parsknął Amaury Trente z pogardą. – Czarne Tarcze już raz zdradziły królową, hrabino. Dlaczego sadzisz, że będą mniej uległe od wojsk de Somerville'a?

–Ręczę za nich życiem, panie – odparłam spokojnie. – Niezależnie od polityki de Somerville'a Niewybaczeni przysięgli odkupić śmiercią grzech swojej zdrady. Przysięgli, że odpokutują, będąc... – odchrząknęłam – przysięgli słuchać mojego pana Kusziela i jego wybranki.

Joscelin drgnął, przypominając sobie. Ysandra popatrzyła na mnie twardo.

–Proponujesz suwerennej i prawowitej władczyni Terre d'Ange ochronę żołnierzy, którzy przysięgli posłuszeństwo anguisette? – zapytała oschle.

Poczułam, że się rumienię.

–Pani... – zaczęłam słabym głosem.

–Doskonale. – Ysandra weszła mi w słowo, patrząc w dal, i zrozumiałam, że wcale ze mnie nie szydziła i że nie tylko upór skłonił ją do przyjęcia mojej propozycji. Podobno Potomkowie Elui niekiedy słyszą jego zawołanie; wierzę, że Ysandra usłyszała je wtedy, wzywające ją do domu, do Miasta. – To moja duma i głupota doprowadziły nas do tego. Gdybym dawno temu wysłuchała twoich obaw, nie pojechałabym ufnie do La Serenissimy. Wybierzmy sposób odkupienia i oddajmy się w ręce Kusziela. Niewybaczeni utworzą naszą straż przednią i zaprowadzą nas do Miasta Elui.

–Niewybaczeni przysięgli na miecz Kamaela strzec granic Kamlachu – wtrącił

Amaury Trente. – A ty im pozwoliłaś, Ysandro. Jeśli nawet okażą się wierni koronie, czy sądzisz, że chętnie złamią przysięgę?

–Czasami trzeba złamać jedną przysięgę, żeby dotrzymać ważniejszej – powiedział Joscelin.

–Tak. – Ysandra popatrzyła na mnie. – Co ty na to, Fedro nó Delaunay? To ty będziesz nimi dowodzić, nie ja. Wybranka Kusziela ma prawo poprosić o to, czego nie może zażądać królowa Terre d'Ange. Czy Niewybaczeni posłuchają?

W wyobraźni zobaczyłam oświetloną ogniem twarz Tarrena d'Eltoine, spokojną i nieustępliwą. „Ręka Kusziela nie musi znać zamysłów tego, kto nią kieruje”, powiedział, ale ja od tej pory poznałam straszne tajemnice Temenos. Wiedziałam, co robię, kiedy prosiłam ludzi o łamanie przysięg i marsz ku śmierci. Nazwali mnie Ręką Kusziela, ale w Fajstos niewolnica nazwała mnie Iypiphera, znosząca ból.

–Tak, pani – odparłam cicho. – Będą posłuszni.

Zostało postanowione, że diuka Milazzy poprosimy tylko o gościnę i uzupełnienie zapasów. Przyjęto nas z wielką pompą i wszystkich wpuszczono do miasta. Ysandra jechała pod złotym

baldachimem, gdy zmierzaliśmy do potężnej twierdzy Castello. Była to wielka forteca, otoczona murem z wysokimi, mocnymi wieżami.

Diuk Milazzy był powolny, ale sprytny i widziałam, że zastanawia się nad przyczyną pośpiechu Ysandry, a także prawdziwością jej opowieści. Królowa pognębiła go, patrząc chłodno i wysoko unosząc głowę, i zbyła jego podejrzenia. Pomyślałam, że podjęła mądrą decyzję, nie chcąc prosić go o żołnierzy. Duchessa, dama ze starożytnej tyberyjskiej linii, przywołała męża do porządku i powołała się na prawa gościnności.

Ucztowaliśmy w Castello, a diuk otworzył spichrze i obiecał przewodników, którzy mieli pokazać nam najszybszą drogę przez podnóża Kamaelinów. Przypuszczam, że tego dnia Amaury powściągnął swoją chęć zdania się na siły Caerdicci, choć nigdy się do tego nie przyznał. Wszyscy zobaczyliśmy, jak szybko może się cofnąć ręka sojusznika, gdy odmienia się fortuna.

Rankiem wyruszyliśmy do Kamlachu.

O tej podróży powiem niewiele. Już wcześniej przebyłam Kamaeliny, ich najwyższe partie w samym środku zimy. Była to straszna wędrówka, podczas której kilka razy dziennie myślałam, że umrę albo po prostu się poddam. Ta, choć znacznie mniej trudna, wcale nie była przyjemniejsza. Wyciągnęłam z kufra płaszcz sangoire i narzuciłam go na wełniany płaszcz z Ilirii, drżąc pod oboma. Przypuszczam, że

wszyscy stracilibyśmy zapał w czasie tej podróży, gdyby nie Ysandra de la Courcel, która znosiła te same trudy i nie skarżyła się, patrząc na zachód, skupiona jak żeglarz, który podąża za Gwiazdą Nawigatora. Jak inni, kuliłam sę w siodle i jechałam za nią, chuchając w zgrabiące dłonie. Położyłabym się z samym Seligiem za parę skaldyjskich rękawic w czasie tej długiej jazdy.

Joscelin oczywiście był żwawy i czujny, i z lubością oddychał górskim powietrzem. Urodził się i wychował w górach Siovale, które są równie surowe jak te podnóża. Znieubiłam go trochę za to i czerpałam otuchę ze świadomości, że Ti-Filip także.

Nasi przewodnicy – milkliwi, okutani w filtra górale – odeszli przed granicą, wskazując ostatnią przełęcz w trakcie szybkich ukłonów. Kwetor rzucił im kilka srebrnych monet, które złapali zręcznie, i tyle ich widzieliśmy.

Przejechaliśmy przez przełęcz w długim szeregu, na potykających się, zmęczonych koniach.

Terre d'Ange, pomyślałam. Jestem w domu. Nieważne, co jeszcze się stanie, przynajmniej jesteśmy w ojczyźnie. Inni czuli to samo, bo nie raz usłyszałam dziękczynną modlitwę.

Niedługo później wypatrzył nas samotny wartownik. Amaury Trente z krzykiem popędził w jego stronę, ale było za późno. Wartownik spiął konia i pomknął niczym błyskawica. Po krótkim pościgu lord Trente ściągnął wodze. Wsparłam się na łuku, rada z chwili odpoczynku, i zobaczyłam, że Ysandra na mnie spogląda.

–To twój plan, Fedro – powiedziała. – Co mamy zrobić?

–Jechać za nim – odparłam ze znużeniem. – I pozwól mi jechać na czele, pani. Poręczyłam za ten plan.

Ysandra po chwili pokiwała głową. Awangarda Amaurego Trente rozstąpiła się przede mną. Ruszyłam na czoło oddziału z Joscelinem u boku, moim kasjelickim cieniem, przystając tylko na chwilę, żeby zamienić parę słów z Ti-Filipem i innymi zbrojnymi, którzy strzegli dwórek Ysandy.

Pojechaliśmy dalej.

Zbliżał się wieczór, gdy znalazł nas oddział zwiadowczy. Wiszące nisko pomarańczowe słońce prześwitywało pomiędzy sosnami. Starannie wybrali miejsce: wąskie przewężenie kamienistej ścieżki, gdzie nasz oddział rozciągnął się w długą linię. Było ich dwudziestu, z napiętymi kuszami, w podniszczonych zbrojach z czarnymi tarczami. Wiedziałam, jak sprawne są ich formacje. Wystarczyłby tuzin, żeby zatrzymać nas tutaj przez godzinę, podczas gdy posłańcy pędziliby po wsparcie. Niewątpliwie garnizon już był w drodze.

–Kim jesteście, wy, którzy nieproszeni weszliście na d'Angelińską ziemię? – zapytał mężczyzna stojący na czele, głosem stłumionym przez, przyłbicę hełmu. – Opowiedzcie się!

Wysunęłam się przed oddział, patrząc ze strachem na bełt mierzący prosto w moje serce.

–Panie strażniku, jestem Fedra nó Delaunay de Montreve – powiedziałam głośno. – Proszę o bezpieczny przejazd do garnizonu Niewybaczonych w imieniu Jej Królewskiej Mości Ysandry de la Courcel, królowej Terre d'Ange.

Echo mosiężnego grzmotu Kusziela nie zagrzmiąło w moich słowach, szkarłatna mgiełka nie zasnuła mi oczu. Mój głos, słaby i zmęczony, niósł się w zimnym powietrzu. A jednak dowódca opuścił kuszę. Pomruk narósł w szeregach. Strażnik podniósł przyłbicę, podjechał do mnie i pochylił się w siodle. Joscelin spał się, jego ręce przesunęły się ku sztyletom. Słońce zaśniło na zarękawiach i jeden z Niewybaczonych krzyknął ostrzegawczo.

–Pani! – Dowódca zwiadowców szeroko otworzył oczy; dostrzegł szkarłatną plamkę po Strzale Kusziela. Nim zdążyłam przemówić, zeskoczył z konia i ukląkł na sosnowym igliwiu. – Wybranka Kusziela – szepnął. – Jesteśmy na twoje rozkazy.

Znowu siedziałam zdumiona, gdy Niewybaczeni jeden po drugim zsiadali z koni i pochylali głowy, klękając przede mną, i ten drugi raz był nie mniej dziwny niż pierwszy. Obróciłam się w siodle, napotyając spokojne fiołkowe spojrzenie królowej, która postawiła koronę na moje słowo. Odwróciłam się do Niewybaczonych.

–Zabierzcie nas do Południowego Fortu – powiedziałam. – Muszę prosić kapitana d'Eltoine o przysługę.

OSIEMDZIESIĄT

Tarren d'Eltoine udzielił nam gościny, nie kryjąc zdziwienia i przejęcia.

–Wasza Wysokość, wybacz mi zdumienie – powiedział, opadając na kolano i chyląc głowę przed Ysandra – ale nie spodziewaliśmy się zobaczyć cię żywej. Dwa dni temu dostałem wiadomość, że zostałaś zabita w La Serenissimie, a twój wuj diuk L'Envers zasiadł na tronie i zamknął Miasto.

Łzy ulgi zapiekły mnie w oczy.

–To prawda? – zapytałam, nie bacząc na etykietę. – Barquiel L'Envers rządzi w Mieście Elui? D'Eltoine otworzył usta, żeby odpowiedzieć, po czym zerknął na Ysandrę, która lekko skinęła głową.

–Wstań, kapitanie, i powiedz nam, co wiesz – poleciła.

Zrobił to w zatłoczonej sali Południowego Fortu, otoczony ludźmi królowej i Niewybaczonymi, którzy pilnie słuchali wieści.

–Wasza Wysokość, nie ręczę za prawdę, ale oto, co słyszałem. Sześć dni temu kurierzy księcia Benedykta przynieśli wiadomość, że w La Serenissimie wybuchły zamieszki, a ty zostałaś podstępnie zamordowana przez buntowników, którym przewodził brat nowego doży, wspomagany przez kasjelickiego zdrajcę. Książę Benedykt uprzedził, że przybędzie w wielkim pośpiechu, i rozkazał Jego Księżęcej Mości diukowi de Somerville zadbać o bezpieczeństwo Miasta. Diuk Percy natychmiast zaczął przerzucać swoje oddziały z Champs-de-Guerre, ale twój wuj Barquiel, Wasza Wysokość, wykorzystał swoją władzę regenta, dokonał zamachu stanu i zamknął przed nim Miasto.

–A co się dzieje teraz? – zapytała Ysandra ponuro.

Kapitan Niewybaczonych wzruszył ramionami, rozkładając ręce.

–L'Envers miał w Mieście sporo ludzi i wydaje się, że gwardia pałacowa i straż miejska są mu wierne. Utrzymają się przez jakiś czas. Wojsko królewskie obozuje pod murami Miasta, diuk Percy nie kwapi się z użyciem machin oblężniczych przeciwko perle Terre d'Ange. Ma nadzieję, że Miasto podda się i wyda twojego wuja, kiedy przybędzie książę Benedykt.

–Książę Benedykt nie przybędzie, panie – wtrąciłam cicho. – Miałaś rację, kiedy powiedziałaś, że poluję na zdrajców. Znalazłam ich.

Po chwili milczenia przemówił grobowym głosem:

–Książę Benedykt?

–Tak. – Było mi go żal; ciężko to przyjął, już kiedyś służąc pod jednym zdrajcą. – Był zdrajcą. Szukałam brakujących wartowników z Troyes-le-Mont, pamiętasz? Znalazłam ich w La Serenissimie, w Małym Dworze u Benedykta de la Courcel.

Tarren d'Eltoine nie był nierozgarnięty. Popatrzył na mnie beznamiętnie.

–Który wysłał kurierów do diuka Percy'ego, dowódcy wojsk królewskich, a nie do regenta.

–Tak, panie. Przykro mi.

–Jesteś pewna?

–Jesteśmy pewni – wtrąciła Ysandra chłodnym głosem, choć jej twarz wyrażała współczucie. – To Percy de Somerville umożliwił ucieczkę Melisandzie Szachrizaj. – Opowiedziała mu wtedy całą historię, poczynając od udziału de Somerville'a w planach Lyonetty de Trevalion, przez szantaż Melisandy, jej ucieczkę do La Serenissimy, zdradę księcia Benedykta i knowania Stregazza, próbę zemsty Dawida de Rocaille za śmierć siostry, kończąc na zaginięciu następcy tronu, Imriela de la Courcel.

Rysy d'Eltoine'a tężały z narastającego gniewu, który znajdował odbicie na twarzach wszystkich Niewybaczonych.

–Wasza Królewska Mość – powiedział, kiedy skończyła – moi kurierzy są do twojej dyspozycji. Rozniosą tę historię po całym Kamlachu, powiadomią Ejszet, Namarrę i Siovale, żebyś mogła zebrać armię i ruszyć przeciwko diukowi.Percy'emu...

–Nie. – Ysandra pokręciła głową. – Dopóki jestem królową, nie będę wszczynać wojny domowej w Terre d'Ange. Pojadę do Miasta Elui, kapitanie, by na powrót zasiąść na tronie.

Patrzył na nią bez słowa. Usłyszałam ciężkie westchnienie Amaurego Trente, który stał za moimi plecami.

–Co zatem każesz mi zrobić, Wasza Wysokość? – zapytał d'Eltoine ze zdumieniem.

Wystąpiłam do przodu.

–Panie kapitanie, powiedziałaś mi kiedyś, że Niewybaczeni przysięgli słuchać Wybranki Kusziela. Oto, o co proszę w imieniu swojego pana: Niech twoje oddziały powiodą Jej Królewską Mość do Miasta Elui.

–Zostawiając granice bez ochrony? – Tarren d'Eltoine zbladł. – Hrabino, przysięgliśmy Kamaelowi, że do końca życia będziemy strzec przełęczy przed Skaldami. Czy prosisz nas o złamanie słowa?

–Masz rekrutów do obsadzenia garnizonów, a Skaldowie odsunęli się daleko od naszych granic. Zagrożenie czyha teraz w sercu królestwa, panie, a droga do pokuty leży w sprzeciwieniu się zdradzie, nie Skaldom.

–Prosisz o wiele, anguisette – burknął, odwracając wzrok.

–Tak. – Współczułam mu, ale pozostałam nieugięta. – Wiem.

Milczał przez długą chwilę, potem skinął głową.

–Wasza Wysokość – zwrócił się do Ysandry – daj mi jeden dzień na zebranie Niewybaczonych. Odprowadzimy cię do Miasta Elui.

Decyzja została podjęta i godzinę później jeźdźcy ruszyli na północ, niosąc wiadomość do innych garnizonów. Dobrze wiedziałam, jak szybko potrafią zebrać się Czarne Tarcze. My wykorzystaliśmy ten czas najlepiej jak mogliśmy, w samym forcie i w obozie, w którym

rozlokował się trzon gwardii Amaurego Trente.

Podjęcie decyzji i wprowadzenie w życie planu – nawet ryzykanckiego – podniosło nas na duchu. Byliśmy D'Angelinami zmierzającymi do domu. Pachołkowie wytoczyli beczułki i podgrzali wino z korzeniami w wielkich kotłach, a następnie częstowali gwardzistów i żołnierzy. Jeden z siwych weteranów, który służył jako zarządca w garnizonie, przyniósł dobrze nastrojoną małą harfę. Maria de Flairs i Vivienne Neldor na zmianę śpiewały i grały. Damy dworu zniosły podróż bez skargi i podziwiałam je obie. Przypuszczam, że ich postawa dodała otuchy kamaelińskim żołnierzom, wciąż oszołomionym zasłyszczanymi rewelacjami. My, którzy od dawna byliśmy w drodze, już do nich przywykliśmy.

Ysandra zamknęła się z kapitanem d'Eltoine, lordem Trente i ich podkomendnymi, planując dalsze posunięcia. Nie żałowałam, że jestem wykluczona z narady, i cieszyłam się, że choć raz zadecydują za mnie cięższe głowy.

Wieczorem poszły w ruch kości, jak to zwykle bywa, gdy wino i żołnierze są w tym samym miejscu. Patrzyłam, jak Ti-Filip pozbawia miesięcznego żołdu jednego z Niewybaczonych, wyrzucając zwycięskie punkty. Wyglądał prawie jak dawniej, za życia Remy'ego i Fortuna, i to mnie pokrzepiło. Podzieliłam się tą myślą z Joscelinem, który przyznał mi rację.

–Wcześniej uważałem go za bezczelnego matofka – powiedział ponuro. – Sądziłem,

że wstąpił na służbę u ciebie dla żartu. Ale to on dowodził Jeszuitami, kiedy zaatakowaliśmy La Dolorosę, i wyprowadzenie nas żywych jest jego zasługą. Ja odchodziłem od zmysłów, bo myślałem, że moja próba ratunku spowodowała twoją śmierć. I mało brakowało.

Wspomniałam luksusowy loch Melisandy w Małym Dworze i przebiegły mnie dreszcze.

–Ocaliłeś mnie przed losem gorszym od śmierci. Elua wie, co by się stało, gdybyś nie przybył tamtej nocy. Ja nie wiem i cieszę się z tego.

Ti-Filip zgarnął wygraną do pękatej sakiewki u pasa. Srebrny regal wypadł i poturlał się po podłodze. Lśnił w świetle pochodni jak monety, które kwesor rzucił naszym przewodnikom z Milazzy. Pochyliłam się po niego. Była to nowa moneta, jedna z pierwszych wybitych za panowania Ysandry, ukazująca jej profil, z lilią Elui na rewersie. Podobizna była wierna; d'Angelińscy rzemieślnicy są dobrzy w tym fachu. Patrzyłam na monetę, wspominając, jak Kazan i jego ludzie przetapiali w tyglach pieniądze z wizerunkiem bana. Nie sądzę, że rozpoznałabym Wasilia Kolcei, znając go tylko z monety.

Ale Ysandrę de la Courcel poznałam. Przypomniałam sobie, jak mistrz ceremonii przygotowywał wjazd Drustana mab Necthana do miasta, jak jechałam w wesołym towarzystwie Nicoli L'Envers y Aragon, która rozdawała monety dzieciom wzdłuż drogi i kazała im rzucać kwiaty pod nogi cruarchy, podczas gdy ja uczyłam ich powitania w języku cruithne.

–Pani Fedro. – Ti-Filip uklonił się i wyciągnął rękę. – Moja wygrana, jeśli łaska.

–Filip! – Wyrwana z zadumy, popatrzyłam na niego trochę nieprzytomnie. – Mogę zatrzymać ją na chwilę?

–Zagrasz o nią, pani? – zapytał, podrzucając kości w rękę.

Z uśmiechem uniosłam brwi.

–Jak sobie życzysz.

Przypuszczam, że wygrałam za sprawą szczęśliwego trafu, choć ludzie Kazana dobrze mnie wyuczyli. Ti-Filip poddał się z wdziękiem i przekazał mi monetę, a żołnierze parsknęli śmiechem.

Joscelin spojrzał na mnie z lekkim zdziwieniem.

–Fedro nó Delaunay, o co chodzi tym razem? – zapytał, gładząc moje włosy.

–Och, nic takiego. – Oparłam się o niego, ciesząc się jego ciepłem i siłą. – Mam pewien pomysł, to wszystko.

–Zdaje się, że słyszałem już kiedyś te słowa – skomentował cierpko.

Rankiem poprosiłam o spotkanie z Ysandra i jej sztabem. Amaury Trente złapał się za głowę i patrzył na mnie z niedowierzaniem. Ysandra nie skomentowała, tylko spojrziała pytająco na Tarrena d'Eltoine, który ze ściągniętymi brwiami krążył po sali.

–Wiesz, że to obłądny pomysł? – zapytał, zatrzymując się przede mną.

–I tylko pomysł, panie – powiedziałam ze skruchą. – Doszłam do wniosku, że jedna z głównych trudności polega na potwierdzeniu tożsamości królowej, zanim de Somerville napiętnuje ją jako oszustkę.

–Tak. – Kapitan Niewybaczonych zamknął oczy. – To tylko...

–Uda się? – zapytała Ysandra.

Otworzył oczy.

–Być może.

–Otworzyć skarbiec. – Jej głos nie tolerował sprzeciwu. – Opróżnić sakiewki gwardzistów. Zwrócę po dwie za każdą monetę z moją podobizną. Kapitanie, podejmę wszelkie środki, łącznie z tym, byle zapobiec rozlewowi krwi.

–Jak sobie życzysz, Wasza Królewska Mość.

Pieniądzy zebrało się sporo, bo garnizony Kamlachu nie były biedne, a żołnierze oszczędzali żołąd na zimne miesiące. Czułam się nieswojo, patrząc na te przygotowania, bo przecież byłam jedyną pomysłodawczynią. Jeśli plan nie wypali, nie będę mogła rzucić winy na podszepty żadnego boga. Swoją drogą, w przypadku niepowodzenia wszyscy będziemy zgubieni. Zaledwie sześciuset ludzi miało wyruszyć przeciwko całej armii królewskiej, której liczba szła w tysiące – i nikt jeszcze nie wiedział, czy Ghislain de Somerville nie dołączył do ojca. Niewybaczeni nie mieli wieści z Azalii.

Pomimo swoich zastrzeżeń lord Amaury Trente skrupulatnie wykonywał rozkazy i teraz zrozumiałam, dlaczego Ysandra wybrała go na kapitana gwardii w czasie progressus. Królowa przedkładała lojalność nad ślepe posłuszeństwo. Trente był jej wierny i trzeba powiedzieć, że żaden z jego gwardzistów nie okazał niechęci, choć jestem pewna, że wielu uważało mój pomysł

za głupotę.

Bardziej martwił mnie Brys nó Rinforte, kasjelicki strażnik, który snuł się za królową jak wynędzniały szary cień. Zdrada Dawida de Rocaille wstrząsnęła nim do głębi i chyba wciąż jeszcze był w szoku; ci, którzy zbyt sztywno trzymają się swoich przekonań, prędzej pękną niż ugną się wraz z odmianą fortuny. Wiem, że Joscelin też był strapiony, ale nie mógł nic powiedzieć człowiekowi, który nie chciał słuchać.

Niewybaczeni dla odmiany okazywali coraz większą determinację. Przybyło ich wielu do Południowego Fortu, przyjmując złe wieści i trudne zadanie z kamaelicką zawziętością. Pragnienie szukania chwały w bitwie było dla mnie obce, ale rozumiałam napędzający ich głód odkupienia. Kusziel jest srogim panem, lecz jego kult zawsze służy jakiemuś celowi.

Tarren d'Eltoine dostał jeden dzień i kiedy nazajutrz wstało słońce, pełna kompania Czarnych Tarcz czekała w Południowym Forcie. Już samo zwołanie żołnierzy miało heroiczny wymiar, choć mieli swoje sposoby łączności i szybkiego podróżowania przez podnóża Kamaelinów jeszcze z czasów Izydora d'Aiglemort, który stworzył formację Sprzymierzeńców z Kamlachu.

Ranek był zimny i rześki, cichy i bezwietrzny. Nasze oddechy białały w kłębach pary pod bezchmurnym niebem. Przed wyjazdem z Południowego Fortu Ysandra de la Courcel wygłosiła krótką mowę, siedząc na swoim ulubionym siwym stępadku. Purpurowy płaszcz spływał na zad wierzchowca, a poranne słońce złociło jej jasne włosy.

–Naszym celem jest jazda do Miasta Elui i odzyskanie tronu, który przysługuje nam z prawa urodzenia! – oznajmiła czystym, dźwięcznym głosem. – Pragniemy uczynić to nie dla władzy ani bogactwa, lecz z miłości. Błogosławiony Elua przykazał: Kochaj jak wola twoja. Terre d'Ange, moja pierwsza i największa miłość, jest zagrożona przez tych, którzy chcą ją rozedrzeć i posiąść. Ja, potomkini linii Elui, prawowicie koronowana królowa Terre d'Ange, nie mogę do tego dopuścić. Niechaj nikt spośród was nie zaczyna tego dnia, jeśli nie ma wolnej woli! Niechaj nikt spośród was nie jedzie ze mną, jeśli kieruje się czymś innym niż miłością do Błogosławionego Elui i spłodzonego przezeń wspaniałego narodu!

Krzyczeliśmy na wiwat, aż ochrypliśmy. Pikinierzy Niewybaczonych potrząsali pikami, kierując groty ku niebu. Twarz Ysandyry była zarumieniona i myślę, że wszyscy zgromadzeni tego dnia zobaczyli to, co ja widziałam pod Milazzą: jasny cień Elui spowijał ją niczym płaszcz.

Wyruszyliśmy.

OSIEMDZIESIĄT JEDEN

Cztery dni jazdy dzieliły nas od Miasta Elui, a pogłoska pędziła przed nami jak błyskawica.

Wiedzieliśmy, że tak będzie, i na dodatek ją podsycaliśmy. Nawet mieszkańcy małych wiosek Kamlachu słyszeli, że królowa nie żyje, a Percy de Somerville i Barquiel L'Envers walczą o władzę w Mieście. D'Angelinowie nie siedzą z założonymi rękami, słysząc takie wiadomości. Z przyjemnością powiem, że wieść, iż Ysandra żyje, była przyjmowana z ogromną radością.

Widziałam to, gdy wiosną jechaliśmy do Południowego Fortu; Terre d'Ange rozkwitła pod rządami Ysandry, a jej małżeństwo z Drustanem mab Necthana powiększyło dobrobyt kraju. Jeśli szlachta miała jej za złe bezprecedensowe przymierze z obcym mocarstwem i wmieszanie krwi barbarzyńskiej w dynastię Elui – bo księżę Benedykt i Percy de Somerville nie byli w tym osamotnieni – prosty lud wiedział, że ich piękna królowa wyszła za mąż z miłości. Pamiętali także, że jej barbarzyński król był bohaterem królestwa, a pod ich wspólnym panowaniem zaznali tylko pokoju i dostatku.

Od czasu do czasu rozdawaliśmy monety po drodze i ci, którzy je dostali, dokładnie oglądali podobiznę. W Kamlachu nie było wątpliwości, że kobieta podająca się za Ysandrę de la Courcel nie jest oszustką.

W L'Agnace poszło gorzej.

Nie mogliśmy wyprzedzić pogłoski, chyba że maszerowalibyśmy we dnie i w nocy, co Tarren d'Eltoine i Amaury Trente uznali za głupotę. Dlatego postanowiliśmy to wykorzystać, pozwalając wieściom przemykać od wioski do wioski, kiedy tylko przystawaliśmy na wieczorny odpoczynek. Podczas gdy w Kamlachu oczekiwano nas z nadzieją i radością, po wjeździe do L'Agnace spotkaliśmy się z wrogim nastawieniem.

Wieść o tym, że Ysandra żyje, dotarła do uszu Percyego de Somerville, który zareagował w jedyny możliwy sposób, nazywając ją impostorem.

Bolało ją, gdy prości wieśniacy wyśmiewali się z niej, a dzieci obrzucały jej orszak zamarznętymi grudami ziemi. Niewybaczeni tworzyli straż przednią: pikinierzy maszerowali czwórkami, za nimi jechała konnica z posępnymi czarnymi tarczami. Nie patrzyli ani w prawo, ani w lewo, kiedy słyszeli drwiny, podobnie jak Ysandra, która jechała pomiędzy Tarrenem d'Eltoine i kapitanem Północnego Fortu, z kasjelickim strażnikiem pół kroku za nimi. To my, jadący za nią, musieliśmy zadawać kłam twierdzeniu de Somerville'a. Głosiliśmy wszem wobec, że Ysandra jest prawdziwą królową Terre d'Ange, nazywając diuka de Somerville kłamcą i zdrajcą.

Przypuszczam, że to monety odwróciły los, choć Amaury Trente nigdy tego nie przyznał. Z początku tylko dzieci zbierały je z krzykiem, kłócąc się o lśniące sztuki srebra. Dorosłych trudniej było kupić, gdyż d'Angelińska duma ma wyższą cenę. Ale kiedy kilkoro dzieci stanęło i

wlepiło wzrok w Ysandrę, wieśniacy też zaczęli się przypatrywać.

W ten sposób zyskiwaliśmy zwolenników.

Po części wynikało to z faktu, że dosłownie garściami rzucaliśmy pieniądze. Ludzie patrzyli, dawali nam wiarę i zaczęli pojmować, że na ich oczach rozwija się dramat godzien pieśni poetów. I byli D'Angelinami. Ludzki strumień przemieniał się w powódź, gdy dwójkami i trójkami dołączali do swojej królowej.

Nie umiem powiedzieć, ilu nam towarzyszyło. Byli wśród nich rolnicy, kołodzieje i tkacze, świecarze, bartnicy i serowarzy; nie napotkaliśmy takiego miasta czy wioski, żeby nie dołączyło kilku. I starzy, i młodzi. Dzieci odsyłaliśmy, choć inne dołączały po drodze. Widziałam łzy w oczach Ysandry, gdy z determinacją zmierzała do Miasta Elui.

Podobnie jak podążający za nią ludzie. A ich liczba stale rosła.

Na skrzyżowaniu Drogi Ejszet napotkaliśmy szwadron jazdy de Somerville'a, pięciuset żołnierzy. Dowiedziałam się później, że stacjonowali w Eisandzie wzdłuż drogi z Milazzy, żeby udaremnić nam wjazd do kraju. Melisanda zasugerowała takie środki ostrożności, ale de Someralle na wieść o powrocie królowej zawrócił ich i ustawił na naszej drodze. Nie sądzę, żeby wiedział, iż towarzyszą nam wszyscy Niewybaczeni.

A już na pewno nie spodziewał się setek nieuzbrojonych chłopów i rzemieślników.

Nastąpił impas. Żołnierze królewscy rozciągnęli się w szeroki łuk, przegradzając trakt i przyległe pola. Nasz oddział zatrzymał się i Tarren d'Eltoine wydał krótki rozkaz. Niewybaczeni zareagowali jak dobrze naoliwiona maszyna, pikinierzy utworzyli dwuszeręg przed żołnierzami de Somerville'a, konnica skupiła się za nimi, wycelowana jak strzała w szeregi wojsk królewskich. My staliśmy z tyłu, otoczeni przez gwardię pod wodzą lorda Trente.

Herold Ysandry, wybrany zarówno z uwagi na odwagę, jak i na donośny głos, wyjechał przed nasze szeregi, niosąc sztandar z lilią i gwiazdami Elui i jego Towarzyszy oraz srebrnym łabędziem rodu Courcel.

–Droga! – krzyknął głosem, który poniósł się po pustych polach. – Droga dla Ysandry de la Courcel, królowej Terre d'Ange!

Zapadła cisza. Wiedziałam, że dowódca konnicy de Somerville'a ocenia sytuację. Z takiej odległości nie mógł poznać królowej, mógł jednak nas policzyć i nie był głupcem. Po chwili trącił boki rosłego wierzchowca i zawrócił.

–Impostor! – krzyknął. – Nikczemna oszustka! Spotkamy się z tobą i zdradzieckimi Czarnymi Tarczami u bram Miasta!

Uniósł rękę i wydał komendę. Szeroko rozpostarte skrzydła złożyły się, gdy konnica rozpoczęła uporządkowany odwrót, pokazując nam zady i ogony rumaków. Kilku naszych d'Angelińskich zwolenników pobiegło z wrzaskiem za nimi, ale szybko zrezygnowali z pościgu.

–No cóż – mruknął z zadumą Tarren d'Eltoine. – Wiemy, że będą na nas czekać.

Parę godzin później okazało się, że to prawda.

Nie byłam na polu bitwy, gdy Drustan mab Necthana, Ghislain de Somerville i Izydor d'Aiglemort z kilkoma tysiącami ludzi runęli na skaldyjską armię. Patrzyłam z murów Troyes-le-Mont, ale to nie to samo. Tego dnia zrozumiałam, co czuli. Białe mury Miasta Elui lśniły w dali, a między nami i miastem czekały wojska królewskie. Stała armia liczyła tylko cztery tysiące ludzi, ale z nimi było zaledwie sześciuset.

Percy de Somerville nie popełnił błędu Waldemara Seliga; zatrzymał część oddziałów w odwodzie, do strzeżenia bram Miasta. Barquiel L'Envers nie miał szans na przypuszczenie kontrataku.

Trzon sił diuka czekał na nas w takiej formacji, że stało się jasne, iż de Someralle wysłuchał raportu dowódcy kawalerii i przygotował się na spotkanie. Gdy podjechaliśmy bliżej, szereg klęczących z przodu łuczników wypuścił strzały.

–Tarcze w górę! – krzyknął kapitan d'Eltoine i wzniosła się ściana czarnej stali. To stara tyberyjska taktyka, dobra dla piechoty, nie dla jazdy. Zabójczy deszcz spadł z sykiem. Słyszałam szmer, gdy strzały ześlizgiwały się po tarczach, i krzyki bólu, gdy trafiały w ciało, i straszny kwik ranionych koni. Ktoś jęczał obok nas. Patrząc nad ramieniem Joscelina – pochylił się, niemal wyciągając mnie z siodła, żeby osłonić mnie zarękawiami – zobaczyłam dwunastoletniego chłopca z boku naszej kolumny, pobladłego z bólu, zaciskającego rękę na strzale wystającej z piersi. Wybiegł do przodu, żeby mieć lepszy widok.

–Nie, Eluo, nie!

Ysandra też go zobaczyła i widziałam, jak z trudem przełknęła ślinę. Niemalże szeptem wydała rozkaz Tarrenowi d'Eltoine:

–Naprzód.

Ruszyliśmy.

Musiał to być straszny widok, gdy mur Czarnych Tarcz ruszył do przodu. Nie wszystkich, bo kilku łuczników de Somerville'a znalazło cel. Czułam się tak, jakbym sama została trafiona, gdy okrążałam zabitego kamaelickiego rycerza, leżącego na drodze ze szklistymi, otwartymi oczami, z ręką zaciśniętą na uchwycie tarczy. To ja, która nigdy nawet nie poznałam jego imienia, przysłałam go tutaj na śmierć.

Maszerowaliśmy, a z nieba spadł drugi grad strzał. Kilkunastu ludzi zostało poważnie rannych. W końcu zbliżyliśmy się na tyle, że Percy de Someralle rozkazał łucznikom cofnąć się i wysunął na czoło pikinierów w sile tysiąca ludzi, jednocześnie wysyłając dwie trzecie jazdy na skrzydła. Wieśniacy, którzy dotąd dzielnie maszerowali u naszego boku, teraz skupili się za gwardzistami, niepewni i przestraszeni.

Gdzieś na dalekich białych murach Miasta Elui rozlegały się krzyki i ryczały rogi, ale odgłosy były ciche i dalekie. Żołnierze de Somerville'a oskrzydłali nasz małe oddział, a przed nami wznosił się las ostrych pik. Ysanrda de la Courcel odmawiała modlitwę, bezgłośnie poruszając ustami.

–Heroldzie – powiedziała cicho – wygłoś obwieszczenie.

Szeregi Niewybaczonych rozsunęły się, przepuszczając go przed straż przednią. Herold wciągnął do płuc potężny haust powietrza i ryknął:

–Droga dla Ysandry de la Courcel, królowej Terre d'Ange!

Pikinierzy Percy'ego de Somerville zaatakowali z wrzaskiem, lecz wielka fala rozbiła się na nieustępliwym murze Czarnych Tarcz, Niewybaczonych z Kamlachu. Wszędzie wokół nas panował chaos, konnica de Somerville'a wpadła w gromadę nieuzbrojonych wieśniaków, w szeregach powstał zamęt.

–Y-san-dra! Y-san-dra!

Pikinierzy Niewybaczonych wbili się klinem w piechotę i jazdę, poszerzając lukę, w którą wjechała królowa Terre d'Ange. Amaury Trente przystanął na chwilę i powiódł dokoła dzikim wzrokiem.

–Gwardziści! – krzyknął. – Teraz!

Zostało im mniej monet, niżbym sobie życzyła, ale wystarczyło. Każdy gwardzista miał pękata sakiewkę. Ruszyli za Ysandra i szeregami Niewybaczonych, rozbijając grupę wielmożów, których dotąd chronili, i wystrzelili monety procami z samodzielnymi pasów. Deszcz srebra spadł na królewskich żołnierzy, którzy się zatrzymali, zdumieni.

Na nic więcej nie miałam nadziei.

Wykorzystując tę chwilę zaskoczenia, Ysandra pędziła do przodu, otoczona przez Niewybaczonych, a w ślad za nią ciągnął chór wieśniaków:

–Y-san-dra! Y-san-dra!

Cięnięte monety, krzyki pospólstwa i czarne tarcze Niewybaczonych otworzyły nam drogę przez środek wojsk królewskich.

–Nie mogę! – zawołał gorączkowo Brys nó Rinforte, kasjelita. Wodze drżały mu w rękach i jego wierzchowiec tańczył niespokojnie. – Wasza Wysokość, już raz cię zawiodłem i zawiodę znowu! Nie każ mi tego robić!

–Spokojnie, kasjelito – powiedziała Ysandra łagodnie. – Niczego ci nie każę.

Usłyszałam, jak Joscelin wciąga powietrze. Spojrzał na mnie ze śmiertelną powagą. Skinęłam głową. Nauczyliśmy się porozumiewać bez słów, dawno temu. Wiedziałam, co zamierza.

–Wasza Wysokość... – zaczął.

–Nie. – Ysandra uniosła rękę. – Nie, Joscelinie – dodała cicho. – Ja sama muszę to zrobić.

Zatrzymał się. Niewybaczeni zajmowali pozycje z zaciętymi, ponurymi minami. Pomruk rozchodził się nad szeregami wojsk królewskich, docierając do uszu Percy'ego de Somerville. Brys nó Rinforte zsiadł z konia, stanął na drżących nogach i przycisnął twarz do końskiego karku. Joscelin uklonił się w siodle, krzyżując zarękawia. Ja, tak jak pozostali, patrzyłam.

A Ysandra de la Courcel jechała samotnie w szpalerze Niewybaczonych.

Królowa Terre d'Ange.

Niewybaczeni utworzyli szerokie przejście jak dla jednego jeźdźca i Ysandra jechała powoli, a każdy krok jej kłusaka trwał całą wieczność. Jechała z podniesioną głową, bez strachu w fiołkowych oczach. Słyszałam, jak Amaury Trente gdzieś w pobliżu szepcze modlitwy i słowa podziwu, jakby układał zaklęcie. Konający i ranni jęczeli z bólu, a żołnierze królewscy stali dziwnie spokojnie, patrząc na Czarne Tarcze.

Kiedy Ysandra pokonała dwie trzecie szpaleru, Tarren d'Eltoine wydał rozkaz, jedno urywane słowo:

–Naprzód!

Z niedościgłą precyzją Niewybaczeni podnieśli piki i schowali miecze, prąc przez szeregi wojsk królewskich ku Miastu Elui.

Mnie, która tam byłam, brakuje słów na opisanie tego widoku. Szeregi rozstały się przed królową Terre d'Ange i jej skąpą strażą. Ogniska protestu rozgorzały i zgasły. Nieklamany podziw odmalował się na twarzach żołnierzy, a na polu bitwy zapanował spokój. Niektórzy spoglądali na srebrne monety trzymane w stwardniałych od miecza dłoniach. Jedni tylko patrzyli, inni zaś klękali. To piękny i zarazem straszny widok, gdy armia rozstępuje się niczym ocean w jezuickiej opowieści.

Ysandra jechała między nimi.

Ścieżka, która się otworzyła, prowadziła prosto do Percyego, diuka de Somerville, dowódcy wojsk królewskich. Podążaliśmy z tyłu, na wpół zorganizowana grupa konnej gwardii i pieszych wieśniaków. Za nami ciągnęły setki żołnierzy de Somerville'a.

Przed nami jechał oddział Czarnych Tarcz, a wśród nich samotna królowa, bez korony, z jasnymi włosami spadającymi w falach na plecy, w płaszczu okrywającym zad kłusaka. Wolnym, miarowym tempem zbliżała się do de Somerville'a.

Przypisuję sobie zasługę za pomysł z monetami, które utorowały drogę, ale miały znaczenie tylko na samym początku, w chwili zaskoczenia. Ciarki przebiegały mi po skórze przez cały ten strasznie długi czas, gdy czekałam na dotyk stali.

To, że nie nastąpił, zawdzięczam odwadze Ysandy de la Courcel.

Diuk Percy czekał, otoczony najwierniejszymi żołnierzami, stojąc niczym starożytne, potężne drzewo. Inkrustowana złotem zbroja lśniła, podobnie jak hełm trzymany na ręce. Przypuszczam, że wiedział, kiedy wojsko odwróciło się od niego. Był dobrym dowódcą, najlepszym od wielu lat, niemal od tyłu, ile sama miałam. Ysandra zatrzymała się przed nim.

–Czy wiesz, panie, kim jestem? – zapytała cicho.

–Tak. – Wyraz jego twarzy nie zmienił się, gdy odpowiedział. Zapach jabłek wisiał w chłodnym jesiennym powietrzu, słaby i słodki jak w wygrzanym przez słońce sadzie. – Jesteś Ysandra de la Courcel, królowa Terre d'Ange.

Dźwięk podobny do potężnego szlochu wzbił się nad pobojowiskiem. Żołnierze, którzy jeszcze tego nie zrobili, teraz chowali broń i z trzaskiem rzucali tarcze, wiedząc, co uczynili. Sam wśród tysięcy, którzy klęczeli we wstydzie, Percy de Somerville stał i patrzył królowej w oczy.

–Percy de Somerville – powiedziała – aresztuję cię za zdradę stanu.

OSIEMDZIESIĄT DWA

Wysoko na murach Miasta zagrzmiały wiwaty.

Widzieli wszystko z wysokich białych murów, obrońcy Miasta Elui pod wodzą Barquiela L'Envers; to jego opis wykorzystwała Thelesis de Mornay, kiedy tworzyła epos o tych wydarzeniach. Łatwo było go dostrzec w purpurowym rodowym płaszczu na zbroi, unoszącego miecz w salucie. Chłodne słońce przejrzało się w głowni i herold Ysandry podniósł sztandar w odpowiedzi.

Widziałam radość i ulgę na wielu twarzach, gdy przybyli odpowiadali obrońcom, ale sama miałam zbyt wielki ciężar na sercu, żeby dzielić ich uczucia. Widziałam rozpacz na twarzach żołnierzy armii królewskiej, gdy zaczęli pojmować, czego się dopuścili. Widziałam Brysa nó Rinforte, kulącego się ze wstydu. Widziałam surowe zdecydowanie na twarzach Niewybacznym, którym nigdy nie będzie dane odpokutowanie zdrady, i widziałam uzdrowicielkę i jej pomocnice, już zajęte opatrywaniem rannych oraz umierających. Wciąż widziałam szkliste oczy kamaelickiego rycerza, którego mijałam w drodze, i rękę chłopca zaciśniętą na drzewcu, które tkwiło w jego piersi. Widziałam cień w uśmiechu Joscelina i pamiętałam, jak moje serce przemieniło się w kamień po śmierci Remyego i Fortuna.

To wszystko nie powinno się zdarzyć.

Ten sam smutek odbijał się na twarzy Ysandry de la Courcel, gdy patrzyła na człowieka, któremu ufała od urodzenia, na dowódcę wojsk królewskich, bohatera królestwa, suwerennego diuka UAgnace, krewnego jej i księcia krwi ze strony babki.

Myślę, że on też to czuł, choć nie było mi dane dowiedzieć się, co zaszło między nimi, bo nagle rozległ się krzyk na murach. Uniosłam głowę i zobaczyłam, jak obrońcy wskazują ku północy, a chwilę później dotarły do nas zawołania płynące ze skrzydła.

Nadciągał Ghislain.

–Przepuścić go – rozkazała Ysandra.

Przybył gotów do bitwy, w barwach i ze sztandarem rodu Trevalion, ciemnoniebieskim z trzema statkami i Gwiazdą Nawigatora, i z około trzema setkami ludzi. Szeregi armii rozsunęły się, żeby go przepuścić, gdy jechał w naszą stronę. Ysandra patrzyła na niego chłodno, na jej znak Niewybaczeni usunęli się na bok.

Mieli za sobą forsowną jazdę, konie były spienione i niemal zajeżdżone. Ghislain de Somerville ściągnął wodze przed Ysandra, a oddział zatrzymał się za nim, gdy zdjął hełm i przycisnął zaciśniętą pięść do piersi.

–Królowo – zagaił łamiącym się głosem, z twarzą pobladłą z emocji.

Ysandra skłoniła głowę.

–Panie de Somerville.

–Nie nazywaj mnie tak, Wasza Wysokość. – Ghislain odwrócił głowę, z miłością i nienawiścią spoglądając na ojca. – To prawda?

Percy de Someralle nie uciekł ze wzrokiem, choć w jego oczach widniał straszliwy ból. Był zdrajcą, ale nie tchórzem.

Ghislain wzdrygnął się, jak spoliczkowany, potem uniósł zaciśniętą pięść i otworzył dłoń. Zielona szarfa spłynęła na stratowaną ziemię. Zdążyłam zobaczyć wyhaftowane gałęzie jabłoni, herb linii de Somerville.

–Na Eluę i Anaela – powiedział szorstkim głosem – wyrzekam się swojego rodu. Ghislaina de Someralle już nie ma.

Krew załomotała mi w głowie, usłyszałam bicie mosiężnych skrzydeł, purpurowa mgielka przysłoniła moje oczy już zasnutę łzami. Percy de Somerville pochylił z rozpaczą głowę, zgarbił szerokie ramiona. Wiedziałam, że coś w nim pękło.

Mój pan Kusziel jest okrutny i sprawiedliwy.

–Słyszeliśmy i przyjęliśmy do wiadomości – powiedziała cicho Ysandra, ze współczuciem w oczach. – Panowie i panie Terre d'Ange, pozwólcie nam jechać do domu.

Barquiel L'Envers spotkał nas przy bramie Miasta, gdzie po początkowej radości panował posępny nastrój; w tym zwycięstwie nie było chwały ni triumfu. Królowa i diuk wymienili powitalne pocałunki. Nie wiem, co sobie powiedzieli. Kiedy się rozstali, L'Envers spojrzał na mnie z cieniem dawnej, znajomej ironii w oku.

–Anguissette Delaunaya – powitał mnie. – Przysłałaś wiadomość w samą porę.

–Cieszę się, że jej wysłuchałeś, panie – odparłam uprzejmie.

–Wyraziłaś ją dość przekonująco. – Uniósł brwi. – Ysandro, czy mogłabyś na powrót objąć tron? Opieka nad nim jest dość uciążliwym zadaniem.

Tak oto królowa Terre d'Ange powróciła do Miasta Elui. Powitały ją tłumy i ludzie nie kryli łez, kiedy przejeżdżała ulicami. Wiele dni temu uwierzyli w jej śmierć, bo de Someralle nie pozwolił, żeby pogłoska o powrocie Ysandry przedostała się do oblężonych. Dzięki silnej woli i talentom przywódczym Barquiel L'Envers zdołał

zachować porządek w Mieście, utrzymując przy sobie gwardię pałacową i straż miejską w czasie oblężenia. Moja wiadomość dotarła do niego na kilka dni przed kurierami Melisandy, przywieziona przez kontyngent żołnierzy z Eisandy. Roxanna de Mereliot zaklinała w swym liście diuka na wszystkie świętości, żeby jak najszybciej obsadził Miasto. Zrobił to, śląc do Namarry po swoich wyszkolonych przez Akadyjczyków ludzi i każąc im mieć na oku Champs-de-Guerre. Kiedy zaczęła się mobilizacja wojsk królewskich, szpiedzy L'Enversa na złamanie karku popędzili do Miasta i bramy zostały zamknięte.

O tym wszystkim dowiedziałam się z czasem; wtedy było po prostu zbyt wiele do zrobienia, żeby słuchać opowieści. Percy de Someralle został aresztowany wraz podwładnymi mu porucznikami, bo nie ulegało wątpliwości, że niektórzy z nich znali prawdę. Ysandra mianowała Barquiela L'Envers dowódcą pro tern i przewodniczyła sądownemu wojennemu oficerów. Jako par

królestwa, de Someralle miał być osądzony przez parlament, jak kiedyś rodzina Trevalion.

Dowiedziałam się, że to Mark deTrevalion podejrzewał lorda Percyego o zdradę, kiedy do Azalii dotarły wieści o śmierci królowej i oblężeniu Miasta, i to on podzielił się swoimi domysłami z zięciem, Ghislainem. Wiedział, co wiedziała Melisanda, choć nie miał dowodu, że Percy de Somerville przysiągł wspierać Lyonettę de Trevalion, która chciała osadzić na tronie księcia Baudoina. Gdyby powiedział o tym wcześniej, zaoszczędziłby wszystkim wielkiej rozpacz. Przypuszczam, że w owym czasie uważał tę sprawę za przebrzmiałą i że odgrzebywanie jej spowodowałoby tylko ból, bo przecież jego córka wyszła za syna de Somerville'a. Miałby rację, gdyby nie Melisanda.

Nie wiem, czy Markowi de Trevalion przyszło na myśl, żeby posądzać de Somerville'a o odegranie roli w jej ucieczce. Zaprzeczył, a Ghislain oznajmił, że mu wierzy. Ostatecznie nie miał powodu, żeby podejrzewać Melisandę, nawet gdy wiedział o współudziale de Somerville'a – wyjąwszy fakt, że ona jest Melisanda. Mnie to by wystarczyło... ale przecież ja znałam ją aż za dobrze. Ysandra wysłuchała go, a czy mu uwierzyła, nie wiem. Chyba tak, skoro nie drażyła tej sprawy.

Ysandra przyjęła na audiencji wieśniaków z L'Agnace, którzy nam towarzyszyli, wypytała ich o imiona i podziękowała każdemu z osobna. Każdemu podarowała prezent, złotego dukata ze swym wizerunkiem, umieszczonego w aksamitnej sakiewce z herbem rodu Courcel. Do dziś dnia nie brakuje cyników, którzy twierdzą, że zrobiła to dla korzyści politycznych, bo aresztowanie umiłowanego diuka de Somerville wznieciło niepokoje w prowincji, ale ja, która widziałam łzy w jej oczach, gdy wieśniacy do nas dołączali, wiem swoje.

Potem odbyła się prywatna uroczystość, na której wyrażono uznanie

Niewybaczonym. Ysandra zrobiłaby więcej, bo przecież zasługiwali – poza tym to pomogłoby przywrócić dobre imię dawnym Sprzymierzeńcom z Kamlachu – ale odmówili, co do jednego. Byłam tam, kiedy dziękowała im, udzielała błogosławieństwa i modliła się za poległych. Zginęło dziesięciu, jeden na dwudziestu. Nie było to bezkrwawe zwycięstwo.

–Czy dobrze się sprawiliśmy, Wybranko Kusziela? – zapytał mnie Tar-ren d'Eltoine.

–Dobrze, panie – zapewniłam.

Pomyślałam o przepowiedni starej Bianki w świątyni Aszery z Morza i modliłam się, żeby jej słowa okazały się prawdziwe. Zrobiłam, co kazała, pamiętając, jak nazwali mnie Niewybaczeni. Obiecała mi dziesięć lat spokoju, po roku na każdego człowieka, którego wysłałam na śmierć pod Miastem Elui.

Posłańcy wyruszali we dnie i w nocy, królewscy kurierzy rozwozili wieści po całym królestwie, dementując fałszywe pogłoski i uciszając potencjalne niepokoje. Ghislain nó Trevalion – bo tak się nazwał, formalnie adoptowany przez teścia – pojechał do Azalii, przysięgając wyprawić statek na drugą stronę Cieśniny, z listem i pełnym raportem dla Drustana mab Necthana w Bryn Gorrydum. Zimowa przeprawa wiązała się z dużym ryzykiem, ale była

konieczna, bo nikt nie wiedział, czy plotka nie dotarła na wybrzeża Alby. Ysandra bała się, że Drustan może uwierzyć w jej śmierć. Życie z dala od męża było dla niej trudne w tym czasie.

Wiedziałam, co czuje, sama bowiem przeżyłam długą rozłąkę z Joscelinem. Teraz, jak nigdy dotąd, cieszyłam się z jego towarzystwa. Ze słodkim bólem, zaprawionym kroplą goryczy, wróciliśmy do mojego uroczego, niedużego domu. Kuchmistrzynie Eugenia uściskała mnie jak matka i rozplakała się z radości, że jesteśmy bezpieczni, i ze smutku, bo nie wrócił Remy i Fortun. Wszyscy dotkliwie odczuwaliśmy ich nieobecność. Brakowało mi głosu Remyego, płynącego w śpiewie z różnych części domu; brakowało mi widoku Fortuna w bawialni, jego ciemnych, spokojnych oczu patrzących znad planów Troyes-le-Mont, nad którymi pracował tak ciężko. Byli moją pociechą i towarzyszami, moi kawalerowie, w tym czasie.

Najtrudniej było Ti-Filipowi, który stracił najdroższych przyjaciół. Zaproponowałam mu zwolnienie ze służby, po wypłaceniu wielomiesięcznych zaległości, ale odmówił.

–Komu miałbym służyć po tobie, pani? – zapytał z cieniem uśmiechu. – Mam tyle historii do opowiadania, przez długie lata nie będę musiał płacić w winiarni. Poza tym im to by się nie spodobało. Chłopcy Fedry są wierni.

Wysłałam go więc do Montreve, żeby zobaczył, w jakim stanie jest moja długo zaniedbywana posiadłość. Oczywiście kwitła w czasie mojej nieobecności,

zarządzana przez seneszela i jego żonę. Ugościli go i nie chcieli wypuścić, wypyując o wieści ze świata, i dobrze mu zrobiło odgrywanie pana dworu przez pewien czas.

Były inne, bardziej radosne spotkania, oczywiście, z Thelesis de Mornay, którą uważałam za drogą przyjaciółkę, i z moją dawną mentorką, Cecylią Laveau-Perrin, którą kochałam równie mocno. Cecylia w okamgnieniu spostrzegła zmianę, jaka zaszła w moim związku z Joscelinem, i chwyciła nas za ręce, promieniejąc serdeczną aprobatą.

–Moi drodzy, nareszcie się pogodziliście! Nic nie mogłoby bardziej mnie uszczęśliwić.

Joscelin uniósł brwi, uśmiechając się do niej ze szczerą sympatią.

–Jesteś czarodziejką, pani Cecylio, że widzisz tak wiele?

–Nie, piękny panie. – Cecylia z uczuciem poklepała go po policzku. – Jestem sługą Naamy, która służy z prawdziwym oddaniem i widzi, co inni skrywają w sercach. Pamiętaj o tym, jeśli kiedyś znów spróbujesz opuścić Fedrę.

–Nie stanie się to prędko – rzekł Joscelin cicho. – Tyle mogę obiecać.

Poszliśmy także do rabiego, Nahuma ben Izaaka. Liczba Jezuitów w Mieście Elui zmalała, gdyż kilkuset opuściło je podczas letnich miesięcy, szukając swojego przeznaczenia na dalekiej północy. W Mieście doszło do wielu incydentów, na szczęście niewielkich, ponieważ Ysandra wysłuchała mojej prośby i rozkazała łagodnie traktować młodych jezuitskich zapaleńców, dopóki w jasny sposób nie pogwałcą prawa. My nie jesteśmy Serenissimczykami. Nie, oni odeszli z własnej woli, zostawiając jezuitską gminę starszą i smutniejszą. Stało się to, czego bał się rabbi: Dzieci Yisraela się podzieliły.

–Przykro mi, mistrzu – powiedziałam do rabiego, siedząc na stołeczku u jego stóp.

–Mnie również, Fedro nó Delaunay – powiedział ze smutkiem. – Mnie również. Adonai wie, którzy z nas mają rację, i czasami modlę się, żeby nie chodziło o mnie. – Popatrzył bez uśmiechu na Joscelina. – Podobno w La Serenissimie włożyłeś broń w ich ręce, apostato, i nauczyłeś ich walczyć.

–Prawda, ojciec. – Joscelin niewzruszenie patrzył mu w oczy.

–A jednak wyrzekłeś się drogi Jezui.

Joscelin pokręcił głową.

–Nie wzgardziłem jego naukami, ojciec. Cenię wielce to, czego się nauczyłem, jestem

jednak D'Angelinem i wybrańcem Kasjela. Choć to prowadzi do wiecznego potępienia, muszę słuchać serca, nie Masziacha. – Sięgnął do sakiewki u pasa i wyjął medalion chai. – Weź go, jeśli chcesz, i przekazaj tej, która mi go dała. Nie jestem godzien go nosić.

–Hanna odeszła, apostato. – Ton rabiego był nieubłagany. – Poszła na północ z innymi. Oddałaby ci serce, gdybyś tylko chciał je przyjąć, ale zamiast tego wybrałeś swoją klątwę.

–Nie wiedziałem – szepnął Joscelin, blednąc lekko. Kochałam go, ale czasami w pewnych sprawach bywał idiotą. Rabbi westchnął i wskazał brodą na medalion w jego dłoni.

–Zachowaj go, niech ci przypomina, jak często nieświadomie ranimy swoich bliźnich – przykazał surowo. – Wy, dzieci Elui, zbyt szybko zapominacie, że rozbudzona przez was miłość może ciąć niczym ostrze, nawet ty, apostato. A jednak – dodał z lekkim uśmiechem, który pogłębił zmarszczki wokół jego oczu – moje serce raduje się, bo oboje żyjecie.

Joscelin stropił się, a mnie nie było przykro z tego powodu, bo pamiętałam, jak się krzywdziliśmy. Dobrze wiedziałam, ile zła było moim dziełem; nie zapomniałam, co widziałam w thetalos. Ale też porozmawiałam z Korą i wiedziałam, że każdy dźwiga własne, beztrosko popełniane grzechy, zbyt rzadko uznawane.

Spotkałam się również z Kwintyliuszem Rouse. Był w Marsilikos, zajęty szykowaniem floty do zimowania, kiedy statek z Kriti dostarczył mój list. Zamiast na zimowisko, okręty popłynęły w górę rzeki Awiliny i zacumowały w odległości kilkudziesięciu mil od Miasta. Marynarze przygotowywali się do napaści na oddziały de Somerville'a, podczas gdy Roxanna de Mereliot zbierała wojska w Eisandzie i Siovale.

Admirał floty królewskiej nie zmienił się ani trochę. Zbeształ mnie bezlitośnie za podjęte ryzyko i zamknął w uścisku tak potężnym, że trzeszczały mi kości.

–La Serenissima zapłaci – oznajmił złowieszczo. – Zobacysz!

–Panie admirale – wydyszałam, próbując złapać oddech – wbrew temu, co się stało, La Serenissima podlega władzy Cesare Stregazza, który zawarł sojusz z Ysandra de la Courcel. Sytuacja jest delikatna i podejrzewam, że królowa może poczuć się urażona, jeśli wywrzesz zemstę wbrew jej rozkazom.

Rouse spojrzał na mnie spod krzaczastych brwi.

–Zrównałbym z ziemią ich przeklęty Arsenał, gdyby zrobili ci krzywdę, dziecko, możesz mi wierzyć. Poza tym La Serenissima nie jest naszym przyjacielem, dopóki

hołubi Melisandę Szachrizaj – i w tym sęk!

–I w tym sęk – powtórzyłam cicho.

Niestety, taka była prawda; Melisanda Szachrizaj – Melisanda Szachrizaj de la Courcel – żyła i miała się dobrze w areszcie w świątyni Aszery z Morza. Tej zimy wymieniono wiele listów pomiędzy Miastem Elui i La Serenissima. Chytry stary doża wyraził wielką radość na wieść, że Ysandra zachowała władzę, ale powtarzał, że jest bezsilny w sprawie próśb o ekstradycję Melisandy.

Wiem, bo Ysandra rozmawiała ze mną szczerze o tych sprawach, a poza tym dostawałam listy od Severia Stregazza i czasami od jego stryjenki Allegry. Wieści nieodmiennie były takie same: Melisanda przebywa w świątyni, obsługiwana jak królowa i najwyraźniej zadowolona z tego stanu rzeczy.

O jej synu Imrielu nie było żadnych wieści.

–Co mam zrobić, Fedro? – zapytała mnie kiedyś Ysandra w rzadkiej chwili słabości. – Próbowalaś ostrzec mnie przed nią, a ja nie dałam wiary twoim obawom. Ty, która znasz ją najlepiej, powiedz mi teraz, czego mogę się spodziewać ze strony Melisandy Szachrizaj.

–Nie wiem, pani – odparłam, bezradnie rozkładając ręce. – Plany Melisandy zawiodły, wyjąwszy jej ostatnią drogę ucieczki. Jeśli nie ma nic przeciwko pobytowi w świątyni – tamtejsze mury powstrzymają ją nie bardziej niż Troyes-le-Mont – to dlatego że jej plany jeszcze nie zostały urzeczywistnione. Nie umiem zgadnąć, czego mogą dotyczyć.

Ysandra obrzuciła mnie sarkastycznym spojrzeniem.

–Chłopiec stoi w kolejce do mojego tronu. Nie domyślasz się, co jest jej celem?

–Zgadywanie, co, jest proste – odparłam, patrząc jej w oczy. – Problem polega na odgadnięciu, jak. Przysięgam, pani, będę czujna i powiadomię cię o wszystkim, czego się dowiem. Ale nie mogę niczego obiecać.

–Byłoby miło, gdyby udało ci się znaleźć dziecko – powiedziała łagodnie Ysandra.

Pewnego dnia miałam sobie przypomnieć te słowa z głęboką, gorzką ironią; wtedy tylko pochyliłam głowę, przyjmując do wiadomości życzenie mojej królowej. Nie zaproponowałam powrotu do służby Naamie, żeby prowadzić poszukiwania. Nie sądziłam, by Melisanda wtajemniczyła moich dawnych lub potencjalnych klientów w sprawy, które wiązały się z bezpieczeństwem jej syna. Widziałam pasję w jej oczach, kiedy Ysandra podała w wątpliwość jej uczucia macierzyńskie. Nie, Melisanda nie zaryzykuje, nawet w imię prowadzenia naszej misternej gry. Jeśli Naama zapragnie

powrotu swojej sługi, niech wezwie mnie sama.

Minęła zima i królestwo zaleczyło rany po tej drugiej zdradzie w ciągu niewielu lat. Parlament zebrał się i osądził Percyego de Somerville. Musiałam zeznawać, podobnie jak Ti-Filip, który słyszał słowa wdowy po Fanuelu Buonardzie. Była to formalność, bo jeden z

poruczników de Somerville'a już złożył pełne zeznanie przed sądem wojennym, któremu przewodniczył Barquiel L'Envers. Słyszałam niepochlebne wypowiedzi na temat jego metod prowadzenia przesłuchania, ale nie wpłynęły skargi i większość oficerów została oczyszczona z zarzutów. Sama trzymałam język za zębami; Barquiel L'Envers zasłużył na moją wyrozumiałość. Percy de Somerville i jego zastępca zostali oskarżeni o zdradę stanu i skazani na śmierć, z prawem wyboru sposobu. Będąc dobrym żołnierzem do samego końca, były dowódca wojsk królewskich przebił się mieczem.

Miasto go nie żałowało, jak kiedyś Baudoina de Trevalion, innego bohatera królestwa, który zginął w ten sam sposób. Tamten spisek, poroniony od samego początku, zakończył się niepowodzeniem wskutek knowań Melisandy; ten wyklął się w pełni i pamięć o wojskach królewskich otaczających Miasto Elui była zbyt świeża. A jednak nie sądzę, żeby ktoś się cieszył. Ja byłam rada, że to już koniec.

Wczesną wiosną, po rocznej przerwie, podjęłam zgłębianie wiedzy habiru, cierpliwie posuwając się krok po kroku. Nie zapomniałam o moim Księciu Podróżnych ani nie straciłam nadziei na znalezienia klucza, którym będę mogła uwolnić go z wyspiarskiego więzienia. Kupiłam także kilka iliryjskich książek z myślą o doskonaleniu języka i w ramach ćwiczeń napisałam list do Kazana Atrabiadesa. Kiedy pogoda się poprawi, Kwintyliusz Rousse popłynie do Epidauro z emisariuszami, mającymi przeprowadzić negocjacje handlowe. Ysandra nie zapomniała o swojej obietnicy. Następnie Rousse miał pożeglować na Kriti, zawożąc hojny dar dla archonta Fajstos. Napisałam też listy do Demetriosia Asteriusa i jego kuzynki Pazyfae, Kory z Temenos, o której często myślałam.

Kiedy ucichł ostatni wiosenny sztorm, szlaki morskie zostały otwarte. Flota admirała Rousse wypłynęła z Marsilikos... a z Azalii wyruszyli jeźdźcy z wieściami, że w Cieśninie dostrzeżono okręt flagowy cruarchy Alby. Ysandra oznajmiła, że wreszcie nadszedł czas świętowania, a ja z całego serca przyznałam jej rację.

–Mieliśmy zimę do rozpamiętywania i smutku, pani – powiedziałam. – Nastąpiła wiosna, czas radości. Nie ma lepszego powodu do świętowania niż powrót mojego pana, Drustana.

–Będziemy świętować, ale także z innego powodu, prawie kuzynko. – Ysandra popatrzyła na mnie z zagadkowym rozbawieniem. Obawiam się, że czasami

wprawiała ją w zdumienie. Bardzo się różniłyśmy, Ysandra i ja. – Fedro nó Delaunay de Montreuve, nie uszło mojej wiedzy, że zawdzięczam ci życie i koronę, tobie i twoim towarzyszom. Czekałam na stosowną porę, żeby formalnie nagrodzić wasze czyny. Czy naprawdę myślałaś, że tego nie zrobię?

–W istocie – przyznałam. – Tak myślałam.

OSIEMDZIESIĄT TRZY

–Ale co takiego planuje? – zapytał Joscelin.

–Nie wiem! – parsknęłam z irytacją. – Nie powiedziała. Przypuszczam, że wygłosi mowę i wzniesie toast przed możnowładcami. Nie śmieję się. – Wskazałam na Ti-Filipa, który już wrócił z Montreuve. – Ciebie to też dotyczy, kawalerze.

–Nie przepuściłbym takiej okazji. – Uniósł brwi i wyszczerzył zęby. – Chcę zobaczyć miny twoich klientów, kiedy dowiedzą się o twoich dokonaniach. Nie sądzę, by wielu z nich wierzyło, że miało w łóżku prawdziwą heroinę, którą sławią poeci.

Co dobrze o nim świadczy, Joscelin tylko cisnął w niego kiścią winogron, a Ti-Filip ze śmiechem zrobił unik. Wiele się zmieniło w ich relacjach od czasu La Serenissimy. Pomyślałam o słowach Ti-Filipa. To dziwne być wychwalaną przez możnych, kiedy wielu z nich widziało mnie nagą i błagającą na klęczkach. Nigdy nie pragnęłam być kimś więcej niż tylko kurtyzaną. To dziwny kaprys losu uczynił mnie kimś więcej.

–Anguissette Delaunaya – powiedział Joscelin głośno, bo jego myśli podążały tym samym torem. – Byłby z ciebie dumny, Fedro, poznałem go na tyle dobrze, że mogę to powiedzieć. Niech Ysandra cię uhonoruje. Zasłużyłaś.

–Wszyscy zasłużyliśmy i wszyscy pójdziemy, mój panie kasjelito, bez łaski. – Przekrzywiłam głowę, patrząc na niego z namysłem. – Nie zaszkodzi ci wizyta u balwierza.

Od wyjazdu z La Serenissimy pszeniczne włosy Joscelina rosły tak, jak chciały; nie przycinał ich od czasu moich zabiegów, tylko splótł w warkocz, z którego sterczały krótkie kosmyki. Słowo daję, dbał o swoją urodę nie bardziej niż bogaty pijak o sakiewkę. W końcu oddałam go pod opiekę Ti-Filipa, który dopilnował strzyżenia, i zamówiłam nowe stroje dla całej naszej trójki.

Favriela nó Dzika Róża miała się doskonale w czasie mojej nieobecności; trudno uwierzyć, ale rok jej dzierżawy w Domu Dzikiej Róży już przeminął i otworzyła własny salon na parterze kamienicy w dzielnicy krawców. Zakład nie był duży, ale szybko się rozwijał. Już miała troje pomocników – bławatnika, krojczynię i drugą szwaczkę – i zamierzała w niedługim czasie zatrudnić czwartego.

–Hrabino – powitała mnie, krzywiąc zniekształcone usta. Co dziwne, jej kwaśny uśmiech sprawił, że poczułam się jak w domu. – Zjawiasz się w złym czasie, jak zwykle. Mam wiele zamówień nie cierpiących zwłoki, wiele z nich, jak myślę, na twoją gałę. Czy myślisz, że znajdę czas dla ciebie tylko dlatego, że mam dług wdzięczności?

–Nie – odparłam wesoło. – Znajdziesz czas, bo to moja gala, a ty jesteś bystrą kobietą interesów, i ponieważ powiem ci szczegółowo, co nosi się na dworze archonta Fajstos na Kriti. Poza tym, jeśli chcesz, opiszę suknię, którą uszyto dla mnie na podstawie starożytnego poematu

w Ilirii.

Favriela patrzyła na mnie, z namysłem mrużąc zielone oczy.

–Mów.

Opowiedziałam, a ona robiła szkice i notatki, chodząc po pokoju, mrużąc pod nosem i wyciągając różne materiały. Kiedy skończyłam, zrzędliwie zawołała o papier i usiadła na czas szkicowania, z pośpiechu robiąc kleksy, i w końcu pokazała mi efekt – zieloną suknię, plisowaną i zebraną powyżej stanu na kriteńską modłę, niemal przezrystą na dopasowanej tunice z brązowego jedwabiu. Na papierze wyglądało to jak starożytny helleński posąg w cienkiej draperii.

–Bardzo ładne – powiedziałam i uśmiechnęłam się z jej chmurnej miny. – Postarasz się zdążyć przed fetą?

Postarała się i zdążyła; projekt był zbyt wspaniały, żeby go nie pokazać, a Favriela nó Dzika Róża była dumna ze swojego geniuszu. Na dodatek miała dar przekonywania większy od mojego i zdołała namówić Joscelina, żeby zrezygnował ze swoich surowych, niby to kasjelickich szarości. Wstrzymałam oddech, gdy zobaczyłam go w wamsie i spodniach w kolorze leśnej zieleni, poważnego i eleganckiego. Ti-Filip, jak miał w zwyczaju, włożył odświętny strój: dopasowaną kamizelkę w zieleni i brązach, ciemne spodnie i białą koszulę z długimi rękawami. Wszyscy razem prezentowaliśmy się świetnie.

Feta odbyła się w wielkiej sali balowej w pałacu, gdzie ogromny stół odzwierciedlał ucztę Elui i jego Towarzyszy na wspaniałych freskach; naprawdę, Ysandra nie liczyła się z kosztami. Smukłe kolumny zostały przybrane kwitnącymi gałęziami brzoskwiń, wiśni i jabłoni, a małe szklane lampy wypełnione czystą wodą mrugały białym światłem. Fontanna szumiała w grocie, tworząc tło dla muzyki, a kanarki w złotych klateczkach śpiewały słodko. Myślałam, że się spóźniliśmy, gdyż wydawało się, że kwiat d'Angelińskiej arystokracji już się zgromadził. Zrozumiałam dopiero wtedy, gdy szambelan ogłosił nasze przybycie.

–Hrabina Fedra nó Delaunay de Montreve, messire Joscelin Verreuil, kawaler Filip Dumont! – zawołał dźwięcznie.

Muzycy przestali grać i w wielkiej sali zapadła cisza, maćona tylko przez szmer fontanny i trele ptaszków. Potem rozbrzmiał cichy aplauz, a d'Angelińskie głowy pochyliły się w ukłonach. Wtedy jeszcze nie w pełni pojmowałam, że jesteśmy gośćmi

honorowymi i że wszyscy czekali na nasze wejście. Ysandra przyjęła nas osobiście, wyciągając ręce na powitanie, z Drustanem mab Necthana u boku.

Widziałam go, oczywiście, gdy przybył do miasta w pochodzie, ale wtedy był czas tylko na krótką wymianę uprzejmości. Widok jego spokojnego uśmiechu i ciemnych oczu, niewzruszonych w tatuowanej na niebiesko twarzy, uradował moje serce.

–To dobrze – powiedział cicho w cruithne – że zebraliśmy się, aby uczcić twoją odwagę, Fedro nó Delaunay.

Pomyślałam o nieulękłej Ysandrze jadącej pomiędzy czarnymi tarczami Niewybaczonych, o dumie, z jaką rzucała wyzwanie żołnierzom Percy'ego de Somerville, i pokręciłam głową.

–Jeśli widziałam odwagę, panie, to tylko u twojej małżonki, która jest moją panią i władczynią.

Ciemne oczy Drustana zaiskrzyły się z rozbawienia.

–Nie mów tak, bo się na ciebie rozzłości, a pragnie oddać ci sprawiedliwość. – Odwrócił się do Joscelina i uściśnął jego przedramiona. – Bracie – rzekł po prostu. – Gdybyś mniej wprawnie radził sobie z bronią, moje serce umarłoby tamtego dnia.

–I wraz z nim serce Terre d'Ange – powiedział Joscelin, mocno odwzajemniając uścisk. – Cieszę się, że jestem tu dzisiaj, panie.

Drustan odwrócił się w stronę Ti-Filipa. Nie słuchałam, co powiedział, bo pochwycił mnie wir powitań, wyciągniętych rąk, policzków nadstawionych do ucałowania. Byli tu ludzie, których nie widziałam prawie od roku – ludzie, którzy nie kryli radości, gdy wypadłam z łask Ysandry i Drustana w wyniku ukartowanej scysji. Taka jest polityka, która nie zamiera nawet wtedy, gdy ważą się losy królestwa. Miałam wrażenie, że od tamtej pory minęło znacznie więcej czasu. Widziałam znajomych – lorda Amaurego Trente, lady Vivienne i innych, którzy brali udział w naszym strasznym wyścigu przez Caerdicca Unitas – i w ich oczach dostrzegałam tę samą wiedzę, świadomość, że mało brakowało. Byli tam, wświątyni Aszery zMorza, gdzie Benedykt de la Courcel omal nie przejął korony Terre d'Ange.

Co do reszty, to tylko opowieść poety.

Oblężenie Miasta trwało dziesięć dni; jak szybko i jak łatwo ludzie zapominają! Przyjazd Ysandry położył mu kres i obrócił wielki, misterny plan Melisandy w ledwie nieporozumienie, głupi pomysł jednej zdradzieckiej osoby, przypis w annałach historii. Teraz, widząc swobodę i wesołość d'Angelińskiej arystokracji, rozumiałam prawdziwe znaczenie jej działań.

Jednakże nie wszyscy zapomnieli. Na przyjęciu był Barquiel L'Envers. Nasze oczy spotkały się w zatłoczonej sali balowej i diuk skłonił krótko ostrzyżoną głowę, jakby przyznając mi rację. Źle się osądziliśmy, on i ja, i oboje o tym wiedzieliśmy. Jeśli nasze metody były nieszablonowe, przyświecał nam jeden cel. Nicola L'Envers y Aragon próbowała mi to powiedzieć, a ja nie chciałam jej słuchać; w thetalos poznałam cenę mojej dumy i ducha dawnej wrogości Delaunaya. Nic dziwnego, że myśląc o Nicoli, na wpół świadomie wyczarowałam jej wizerunek. Niepotrzebnie, bo Nicola była na balu. Roześmiała się z mojego przestachu, a mnie krew przyspieszyła bieg w żyłach.

Nie miałam jednak czasu na rozmowę z nią czy innymi gośćmi, bo zadzwieczał dzwon wzywający nas do stołu. Ysandra i Drustan zajęli miejsca u szczytów. Jako najbliższy krewny i diuk, Barquiel L'Envers zasiadał po prawicy królowej, a ja po jej lewej stronie, na honorowym miejscu. Byłabym zdenerwowana, gdyby Joscelin nie siedział obok mnie, a Ti-Filip naprzeciwko niego, tryskając nieposkromionym humorem. Posiłek był wyśmienity, słudzy wypełniali swe

obowiązki w nienaganny sposób, a wino lało się niczym woda. Podawano danie po daniu: skowronki i bażanty w kruchym cieście, wędzone węgorki, łopatki jagnięce faszerowane porzeczkami i posypane białym serem, pieczone leszcze, drżące galaretki z gałką muszkatołową i liśćmi laurowymi... Nie pamiętam wszystkiego, co jedliśmy ani o czym rozmawialiśmy, wyjąwszy fakt, że rozmowa się skrzyła, a talerze i kielichy błyszcząły, i blask tej nocy przetrwał w mojej pamięci.

Kiedy podano ostatnie danie i ostatni talerz został wymieciony do czysta, Ysandra klasnęła w dłonie. Słudzy napełnili nasze puchary likierem i rozstawili patery z kandyzowanymi skórkami pomarańczowymi i cytrynowymi, ułożonymi w taki sposób, żeby przypominały bukiety kwiatów z cukrowanymi fiołkami pośrodku. W połowie długości stołu Thelesis de Mornay wstała i ukloniła się, przykuwając naszą uwagę. Zapowiedziała występ Gillcsa Lamiza, swojego utalentowanego ucznia. Umyliśmy ręce w miseczkach z różaną wodą, i wtedy zaklaskaliśmy grzecznie.

Widziałam młodego człowieka w komnatach Thelesis; pomagał jej w wielu czynnościach i sporządzał notatki, gdy relacjonowałam swoje przygody. Przypuszczałam, nie do końca trafnie, że notuje dla niej, do Cyklu Ysandryjskiego. Ciemne, piękne oczy Thelesis jaśniały z radości, gdy zdradziła swoją niespodziankę – Gilles Lamiz pracował nad własnym dziełem, skromniejszym.

Był to poemat opiewający czyny moje i moich towarzyszy.

Nie był zły i Gilles wyrecytował go ładnie, czystym tenorem, którego głęboką barwę osiągnął dzięki wskazówkom mentorki. Wsparałam brodę na dłoni i słuchałam ze zdumieniem, na nowo poznając własne czyny, choć niekoniecznie wiernie zrelacjonowane. Młody Gilles dobrze ujął rozpaczliwe szaleństwo La Dolorosy, lecz

pominał smród i nudę. Moja odpowiedź na propozycję Melisandy Szachrizaj zabrzmiała godnie, a nie z desperacją, na jaką się zdobyłam po rozbiciu głowy. Myślę, że wiernie oddał śmiałość ataku Joscelina na czarną wyspę i heroizm Ti-Filipa, który dowodził gromadką niewyszkolonych jezuickich sprzymierzeńców, żeby utrzymać wieżę. Obaj śmiali się potem, że spora dawka ich paniki i grozy nie doczekała się bodaj najkrótszej wzmianki.

Muszę przyznać, że w poemacie wszystko robiło znacznie większe wrażenie. Ucieczka przez morze, kriawbog i sztormy były straszne, zgodnie z prawdą. Kazan Atrabiades wypadł raczej na eleganta, co mnie rozbawiło; myślę, że byłby zadowolony. W wersji Gillesa Demetrios Asterius, archont Fajstos, udzielił pomocy z podziwu dla mojej urody. To zadawało kłam jego zmysłowi handlowemu, ale d'Angelińscy arystokraci popatrywali na mnie kątem oka i kiwali głowami, skłonni wierzyć poecie.

Brakowało opowieści o thetalos, bo to przemilczałam nawet w rozmowie z Thelesis de Mornay. O tajemnicach nie wolno mówić z niewtajemniczonymi; wystarczyło powiedzieć, że odbył się rytuał i Kazan Atrabiades z Epidauro został oczyszczony z klątwy krwi.

Poemat Gillesa Lamiza skończył się w świątyni Aszery, moim oznajmieniem z balkonu Wyroczni i dramatycznym pojedynkiem Joscelina z kasjelickim zdrajcą Dawidem de Rocaille. Przypuszczam, że to ostatnie wyglądało dobrze nawet bez upiększania, i nawet Joscelin temu nie zaprzeczył. Choć całe królestwo dzięki pojedynkowi zna jego imię, nie jest z tego dumny. Co do kasjelitów, już nigdy więcej nie służyli bez przerwy władcy Terre d'Ange. Po La Serenissimie i tchórzostwie Brysa nó Rinforte na polu bitwy Ysandra zerwała z siedemsetletnią tradycją, odprawiając ich ze służby.

To ironia, że Bractwo kasjelitów zyskało na popularności, gdy poemat Gillesa Lamiza stał się szeroko znany. Arystokraci ubiegali się o kasjelickich strażników, a rodziny, które wiele pokoleń temu zarzuciły tradycję, posyłały średnich synów do Bractwa. Joscelin tylko uśmiechał się oschle, kiedy ludzie mu o tym mówili, i szybko zmieniał temat.

Gdy Gilles Lamiz przestał deklamować, rozległy się brawa, wielkie i huczne, przeznaczone również dla mnie. Obląłam się rumieńcem. Młody poeta kłaniał się raz za razem, a Thelesis de Mornay promieniała z dumy. Ysandra uniosła rękę, prosząc o ciszę, i wszyscy szybko posłuchali.

–Usłyszeliście o czynach tych – powiedziała dźwięcznie – dla uczczenia których się tu zebraliśmy.

Jako królowa, stojąc pomiędzy Drustanem mab Necthana i Barquielem L'Envers,

przywołała najpierw Ti-Filipa. Ofiarowała mu Medal Męstwa, ciężki złoty medalion z wytłoczonym mieczem Kamaela i lilią Elui, wiszący na szerokiej zielonej wstążce. Łzy napłynęły mi do oczu, gdy patrzyłam, jak ostatni z Chłopców Fedry klęka przed Ysandra, nietypowo poważny, a potem muska palcami ważne odznaczenie.

Później wezwała Joscelina. Nie wiem, co sobie myślał, ale moje serce pęczyło z dumy na widok jego surowego piękna, gdy złożył kasjelicki ukłon, czego nikt nie śmiał zakwestionować, i ukląkł przed królową. Jemu też dała Medal Męstwa, przyjmując go z ręki Barquielia L'Envers, który wciąż był dowódcą wojsk królewskich.

–Starożytna tradycja daje królowej prawo mianowania Rycerza do walki w jej imię – oznajmiła Ysandra, biorąc z poduszki podsuniętej przez służbę pięknie spleciony wieniec winorośli. – Nie uczyniłam tego, Joscelinie Verreuil, ale składam dzięki Błogosławionemu Elui, że w chwili potrzeby wybrał cię do tej roli. Sama nie dokonałabym lepszego wyboru.

Założyła wieniec na jego jasną, pochyloną głowę.

Mnie wystarczyłby widok uhonorowania tych, których kochałam; Ysandrze de la Courcel nie wystarczył, bo wezwała mnie przed swój majestat. Dygnęłam i chciałam paść na kolana, a ona pokręciła głową i złapała mnie za rękę.

–Hrabino Fedro nó Delaunay de Montreve – wymieniła moje nazwisko i tytuł z błyskiem w oku; przypuszczam, że wypita tyle samo wina, co wszyscy inni. – Jak twoim klientom, którzy cenią cię nad złoto, sprawia mi przyjemność rzucenie wyzwania twojej wyjątkowo niezłomnej woli. Za czyny, które sławi poemat, za bezprzykładną odwagę i ku pamięci twojego pana,

Anafiela Delaunaya, który nauczył nas wszystkich, co to znaczy dotrzymywać przysięgi złożonej z miłości, ofiarowuję ci Gwiazdę Towarzysza.

Patrzyłam bez zrozumienia, gdy Drustan mab Necthana z uśmiechem podsunął jej broszę, promienistą złotą gwiazdę z brylantem. Na szlachetnym kamieniu widniała misternie wygrawerowana pieczęć Elui, robota mistrza jubilera. Ysandra zręcznymi palcami przypięła klejnot do stanika mojej sukni.

–To daje ci prawo – powiedziała cicho – zwracać się do mnie po imieniu w miejscu publicznym i na osobności, a także nie zginać kolan przed żadnym potomkiem Elui w królestwie. W istocie, oddawanie hołdów umniejszyłoby zaszczyt, jakim cię obdarzyłam. Gdy pokażesz Gwiazdę moim strażnikom, przepuszczą cię bez pytania. I przysięgam, że cokolwiek mi powiesz, wysłucham. – Ysandra cofnęła się o krok i przyjrzała swojemu dziełu. – Z tym wiąże się również nagroda. Zrobię wszystko, o co poprosisz, jeśli tylko będzie to w mojej mocy. Mów, czego pragniesz.

–Niczego, pa... – zająknęłam się, widząc jej ostrzegawcze spojrzenie – Ysandro.

–W takim razie przyjmij Gwiazdę z moimi podziękowaniami, prawie kuzynko – powiedziała z uśmiechem królowa Terre d'Ange – a nagrodę zachowaj na dzień, kiedy będziesz jej potrzebować. Na razie wypijmy za twoje zdrowie i podziękujmy błogosławionemu Elui, że żyjemy, aby móc to uczynić.

To przynajmniej mogłam zrobić i zrobiłam, gdy wróciłam na swoje miejsce. Spełniłam toast i wychlusnęłam resztkę likieru przez ramię, czując, jak moje wnętrze płonie, harmonizując z zarumienionymi policzkami. Na tym na szczęście Ysandra zakończyła część oficjalną. Z uśmiechem zadowolenia poleciła muzykom zagrać melodię do tańca i oznajmiła początek balu.

Z radością w sercu patrzyłam, jak Ysandra i Drustan zaczynają pierwszy taniec. Spełniwszy obowiązek, wpatrywali się w siebie i uśmiechali tajemniczo; dwa królestwa, dwoje władców, zjednoczonych miłością i wspólnym marzeniem. Myślę, że takie jest głębsze znaczenie przykazania Błogosławionego Elui. W miłości, jakkolwiek się objawia, jesteśmy więksi niż suma naszych części.

Miałam niewiele czasu na rozmyślania, bo Barquiel L'Envers poprosił mnie o taniec. Zgodziłam się chętnie, rada z okazji na zakończenie kłótni na oczach królestwa. Później odszukałam Joscelina, który towarzyszył Thelesis de Mornay. Podszedł do mnie Gilles Lamiz, jękając się nerwowo. W tańcu trzymał mnie tak lekko, że można by pomyśleć, iż jestem z porcelany. Uśmiechnęłam się na myśl, że mogłabym pęknąć tak łatwo po wszystkim, przez co przeszłam. Spełniłam toast za jego poemat, dla psoty, żeby zobaczyć, jak rumieni się i jąka tym mocniej. Likier uderzał do głowy i zdawało mi się, że lampy płoną jaśniej.

Jest dzika i przeszywająca słodycz w czczeniu życia po długiej rozpacz; wszyscy czuliśmy to tej nocy. Wiosna zawsze jest czasem odnowy, więc wydawało się stosowne, że po tak długim czasie na nowo odkrywamy czyste, niezmacone szczęście.

–Fedro nó Delaunay. – Odwróciłam się, poznając głos. Nicola L'Envers y Aragon patrzyła na mnie z rozbawieniem. – Niełatwo dziś zdobyć u ciebie posłuchanie – powiedziała, obdarzając mnie powitalnym pocałunkiem.

–Nicola. – Ujęłam jej rękę. – Miałaś rację w związku z tym, co próbowałaś mi powiedzieć. Nie zdołam spłacić tego długu.

–Hmm. – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się leniwie, a moje serce zaczęło bić żywiej, gdy wspomniałam nasze figle. – Mogłabyś spróbować, oczywiście. Słyszałam, że nie wróciłaś do służby Naaamie, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś wzięła kochankę. – Jej fiołkowe oczy spojrzały nad moim ramieniem i skłoniła głowę na powitanie. – Miło cię widzieć, panie kasjelito.

–Witaj, lady Nicolo.

Dosłownie podskoczyłam na dźwięk głosu Joscelina i odwróciłam się, żeby zobaczyć jego minę. Nicola roześmiała się, gładząc mnie po płonącym policzku.

–Pomyśl o tym – rzuciła lekkim tonem na odchodnym.

Otworzyłam usta, ale Joscelin wszedł mi w słowo.

–Fedro, jeśli myślisz o wzięciu kochanka...

–Wcale nie...

–...to chyba byłby dobry pomysł, gdybyś ogłosiła mnie swoim oficjalnym narzeczoną.

–Joscelinie, ja nie... – Urwałam, patrząc na niego. Uśmiechał się krzywo, wieniec też miał przekrzywiony i wyglądał trochę jak młody, podpity bóg. – Naprawdę?

–Mówiłem ci w La Serenissimie, nie obchodzi mnie, czy weźmiesz tysiąc klientów...

–Nie o tym mówię – przerwałam mu. – Tylko o narzeczeństwie.

–Aha! – Joscelin wybuchnął śmiechem. – Fedro nó Delaunay, nie pasujemy do siebie pod tyloma względami, że nie potrafiłbym zliczyć, i zapewne będziemy się krzywdzić na niewyobrażalne dotąd sposoby. Jediną rzeczą gorszą od spędzenia życia z tobą jest życie bez ciebie – wiem to i nie chcę przeżywać tego znowu. Skoro udało ci się dotrzeć do mnie, choć pomyleni piraci, podstępni Serenissimczycy i straszliwe sztormy stały ci na przeszkodzie, nie zamierzam tracić czasu na martwienie się o ambitnych klientów. Poza tym... – pokazał zęby w uśmiechu – sądzę, że powinienem upomnieć się o tę rolę, zanim znajdziesz sposób na wyciągnięcie tego przeklętego Cygana z tej przeklętej wyspy, i...

Nie dodał nic więcej, bo zarzuciłam mu ręce na szyję i pocałowałam go tak mocno, że obojgu nam zakręciło się w głowach.

Gdzieś w świątyni Aszery Melisanda Szachrizaj prawdopodobnie knuła nowy, śmiercionośny spisek; gdzieś, Elua tylko wie gdzie, wychowywało się dziecko z jej krwią w żyłach i roszczeniami do tronu Terre d'Ange. Gdzieś w Ilirii, w La Serenissimie, w Terre d'Ange, w Albie, krewni ofiar wydarzeń, jakie wprawiłam w ruch, wciąż opłakiwali swoich bliskich. Gdzieś na Cieśninie Księżę Podróżnych ścigał swe samotne przeznaczenie... Nie zapominałam o żadnej z tych rzeczy, bo gdzieś w jaskini Temenos czekała na mnie wiedza. Ale są granice bólu,

jaki możemy znosić my, śmiertelni, nawet ja, i w tej chwili mój świat obfitował w

radość, ucieleśnioną przez piękną twarz Joscelina, którą trzymałam w dłoniach. Jego błękitne oczy uśmiechały się do mnie.

–Czy mówiłam – szepnęłam – że cię Kocham?

–Tak – odszepnął, całując mnie. – Ale to wymaga powtórzenia.

Ręka w rękę przemykaliśmy wśród biesiadników, żeby znaleźć Ysandrę de la Courcel. Siedziała u szczytu długiego stołu obok Drustana, zabawiana dykteryjką przez dworzanina. Popatrzyła na nas i kazała przerwać opowieść, mając wzgląd na pozycję, jaką nadała mi Gwiazda Towarzysza.

–Słucham? – zapytała uprzejmie.

–Wasza... – urwałam i chrząknęłam. – Ysandro, przed Błogosławionym Eluą i wszystkimi zgromadzonymi, chcę przedstawić Joscelina Verreuil jako mojego narzeczonego.

Drustan mab Necthana wybuchnął śmiechem, a królowa Terre d'Ange uniosła brwi.

–Nareszcie.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-24

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/